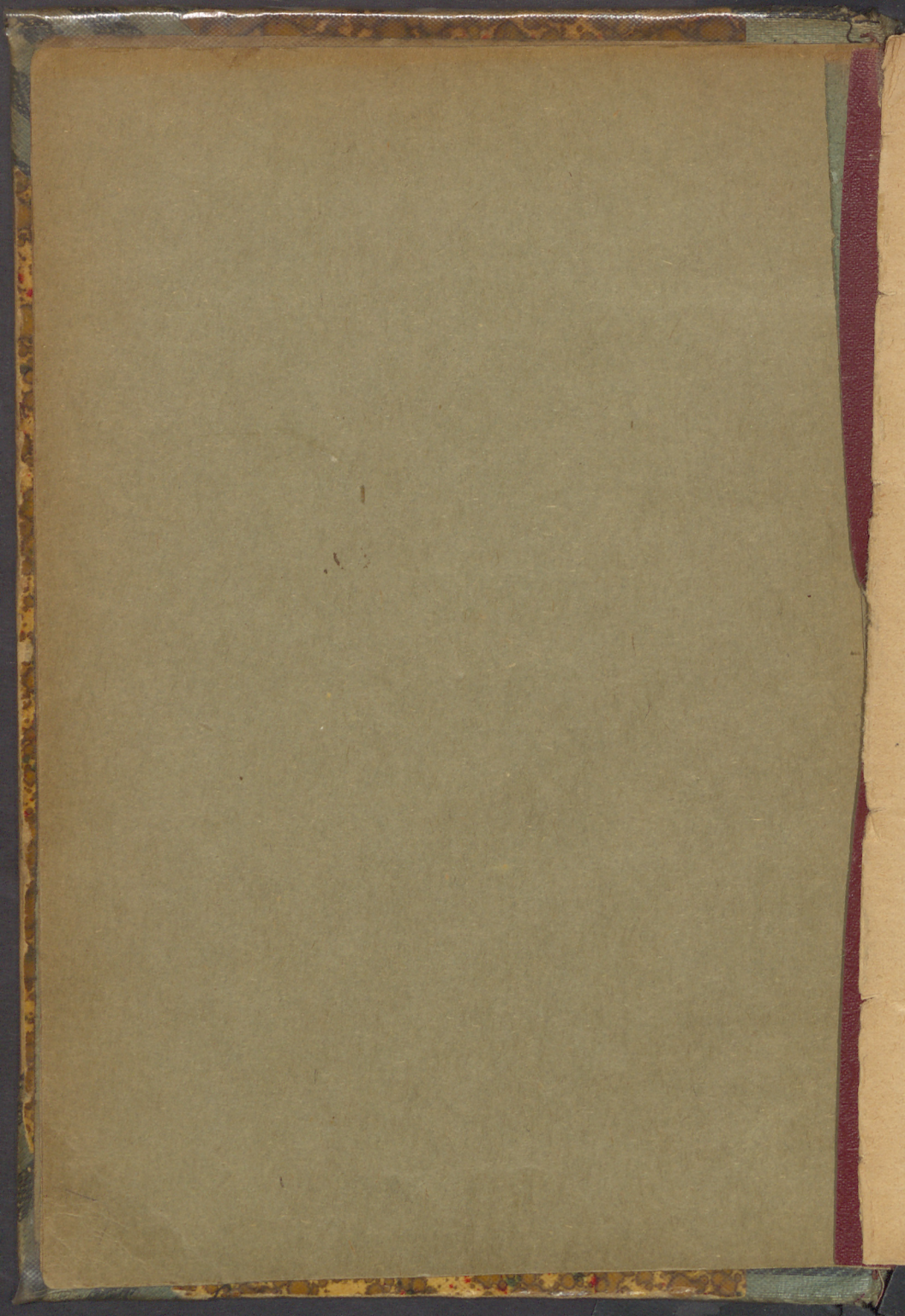


Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

282493



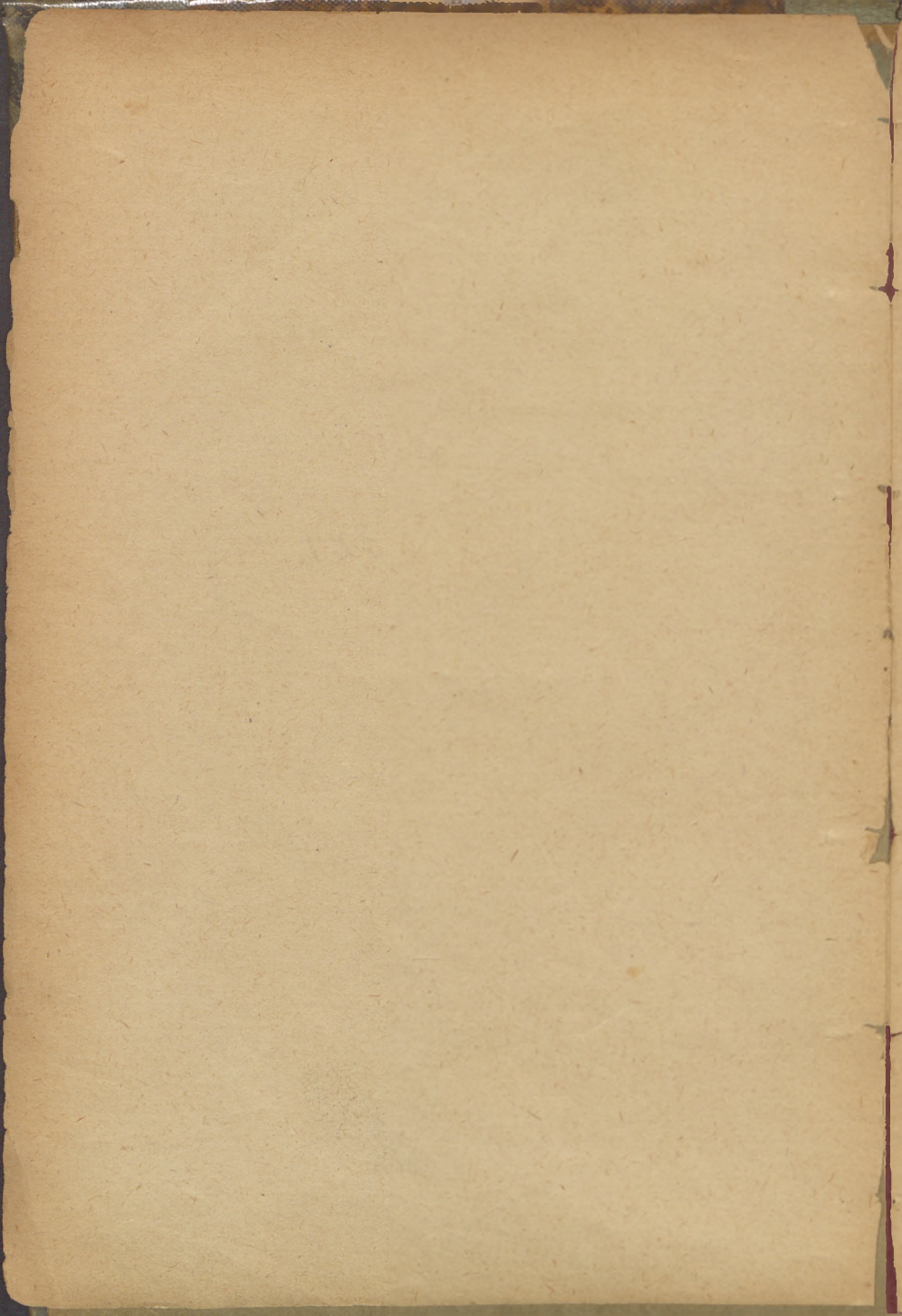




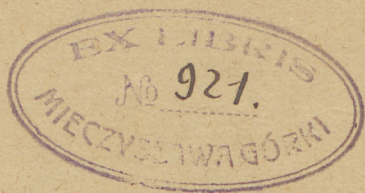
5173  
Opisany

EX LIBRIS  
№ 927.  
KROBIECZAN  
MIECZYŃSKI











DWUBARWNA AUTOLITOGRAFJĘ  
OKŁADKOWĄ RYSOWAŁ NA KA-  
MIENIU WŁ. SKOTAREK. OKŁAD-  
KĘ WYKONAŁA POZNAŃSKA DRU-  
KARNIA I ZAKŁ. NAKŁADOWY T.A.  
W POZNANIU. ODBITO 5000 EGZ.  
W DRUKARNI AKADEMICKIEJ W  
WARSZAWIE. WYDANIA DOKONA-  
NO Z UPOWAŻNIENIA FIRMY PER-  
RIN & CIE EDITEURS W PARYŻU.  
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONO.  
COPYRIGHT BY HULEWICZ & PASZ-  
KOWSKI WARSZAWA 1923. DRUK  
UKOŃCZONO DNIA 30 PAŹDZIER-  
NIKA ROKU 1922.



E D W A R D S C H U R É

# WIELCY WTAJEMNICZENI

ZARYS TAJEMNEJ HISTORJI RELIGJI

RAMA — KRYSZNA — HERMES — MOJŻESZ —  
ORFEUSZ — PYTAGORAS — PLATON — CHRYSZTUS

PIERWSZE POLSKIE WYDANIE ZUPEŁNE Z 52-EGO WYDA-  
NIA FRANCUSKIEGO W AUTORYZOWANEM TŁOMACZENIU

R. CENTNERSZWEROWEJ



N<sup>o</sup> 921.

HULEWICZ i PASZKOWSKI  
WARSZAWA \_\_\_\_\_ KRUCZA 42

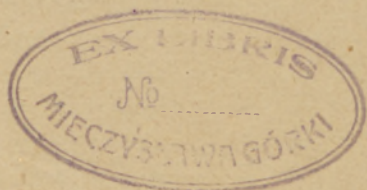
MCMXXIII



282493

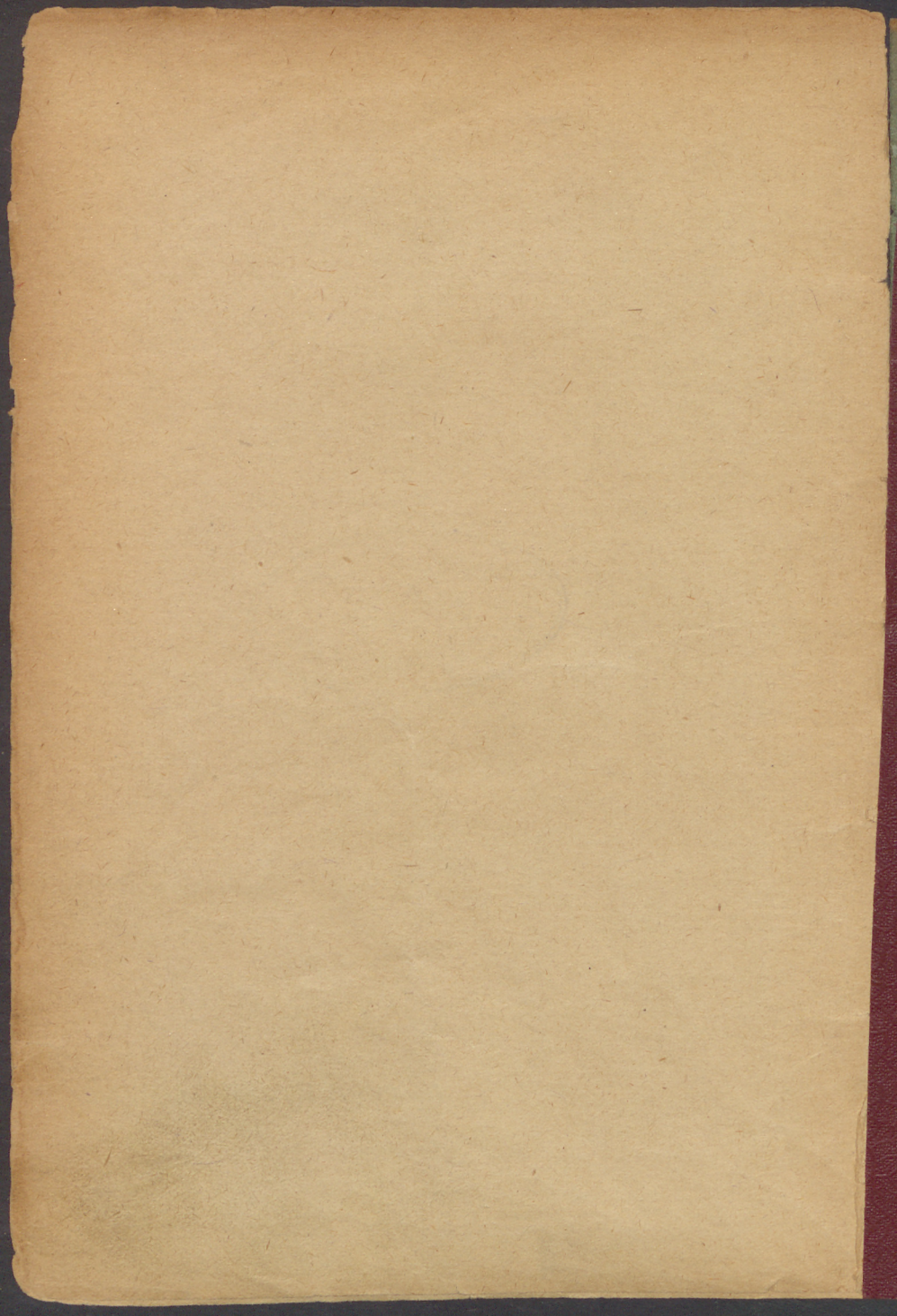


K 267/57



*Dusza jest kluczem wszechświata...*







## OD TŁOMACZKI

Oryginał francuski Schure'go doczekał się już pięćdziesięciu z górą wydań. Wielkie dzieło jego natchnienia i wiedzy, przełożone na języki europejskie, zyskało rozgłos w świecie całym.

U nas wszelako jest znane mało, a co gorsza nie bez krzywdy dla autora.

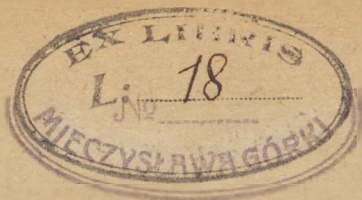
Streszczenie „Wielkich Wtajemniczonych“ wydane w r. 1911, takim jest okrojeniem dzieła, podanego jedynie w wycinkach i w tłumaczeniu dość dowolnem, że nie może dać pojęcia o pięknie i wartości oryginału.

Puszczając w świat pierwszy pełny polski przekład „Wielkich Wtajemniczonych“, jedno tylko jeszcze drobne czynię zastrzeżenie. Czytelnik zauważy niewątpliwie, że pozwoliłam sobie na szereg własnych wyjaśniających przypisków. Są one wynikiem przeświadczenia, że książka przeznaczona dla szerszego ogółu czytelników, nie powinna zawierać żadnego terminu niezrozumiałego ani nazwy nieznaney. Stąd przypiski, mające na celu ułatwienie czytającym korzystania w całej pełni z uroku i głębi przepięknej pracy francuskiego myśliciela-poety.

R. C.



182



## Pamięci Margherity Albana Mignaty

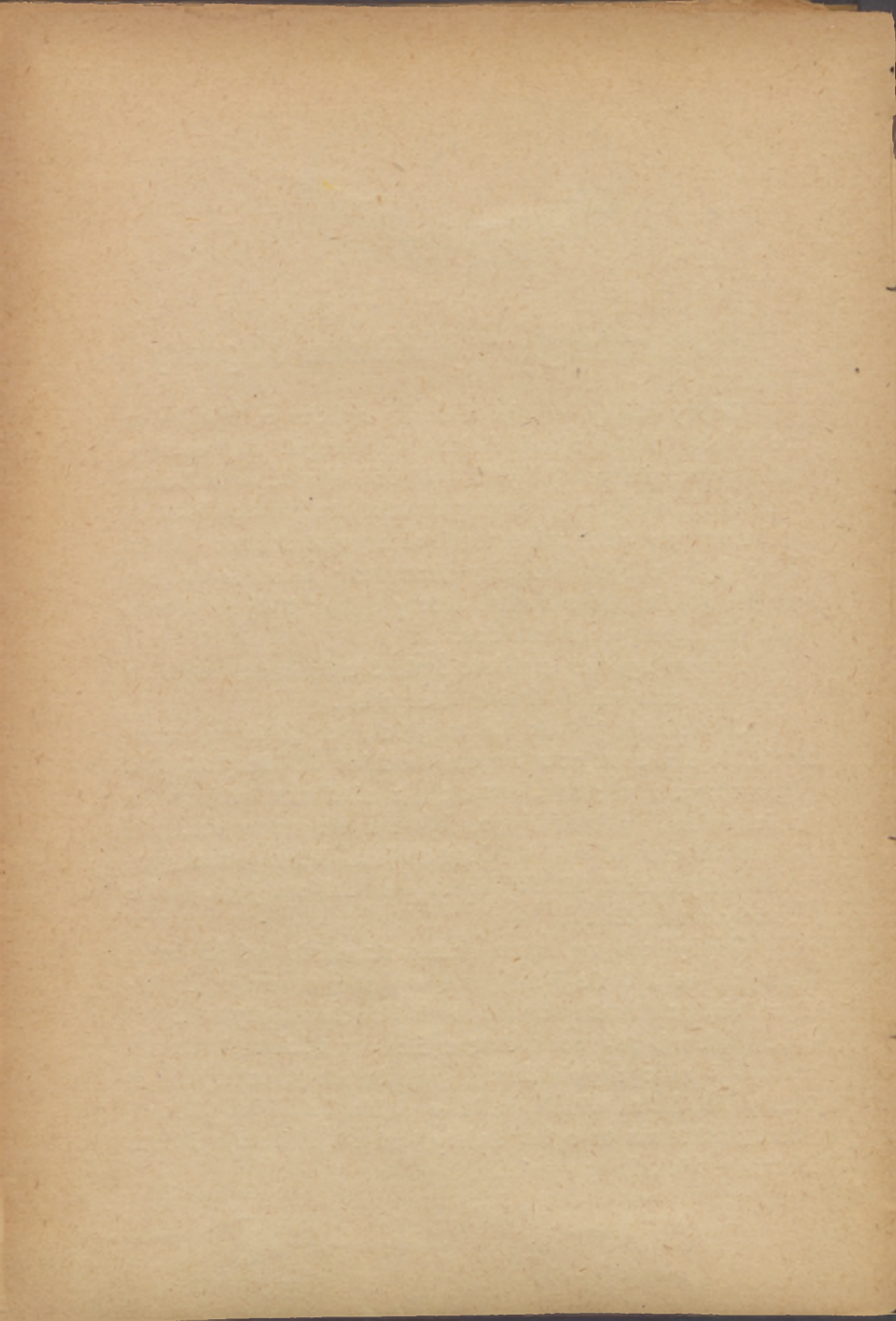
Gdyby nie ty, o wielka duszo ukochana, książka ta nie byłaby nigdy ujrzała światła dziennego. Ogrzewał ją potężny płomień twój, żywił twój ból, błogosławiła boska nadzieja. Intelpekt twój dostrzegał wiekuiste Piękno i Prawdę wiekuiętą po nad znikomemi rzeczywistościami; Wiara twoja była z tych, co góry przenoszą; w sercu twojem gorzała Miłość, która budzi i tworzy dusze; twój entuzjazm palił jak ogień promieniujący.

I nagle zgastaś i znikłaś. Śmierć uniosła cię ciemnem skrzydłem swoim w Krainę Nieznaną...

Jakkolwiek jednak nie mogą cię już dosięgnąć oczy moje, żyjesz w pojęciu mojem bardziej niż kiedykolwiek. Wyzwolona z więzów ziemskich, z siedliska twojego na łonie światła niebiańskiego, którem się napawasz, nie przestałaś czuwać nad dziełem mojem. Wierny twój promień przyświecał aż do końca narodzinom jego, które musiały nastąpić.

Gdyby coś ze mnie przetrwać miało wśród braci naszych, na świecie tym, gdzie wszystko przemija, chciałbym, aby przetrwała książka ta, świadectwo wiary zdobytej i podzielonej. Jak pochodnię z Eleuzys, zdobną w czarny cyprys i narcyz gwiaździsty, poświęcam ją uskrzydłonej duszy Tej, która wiodła mnie w głębie Tajników. Niechaj nieci pochodnia ta ogień święty i niech zwiastuje światu Jutrznię wiekuiestego światła.

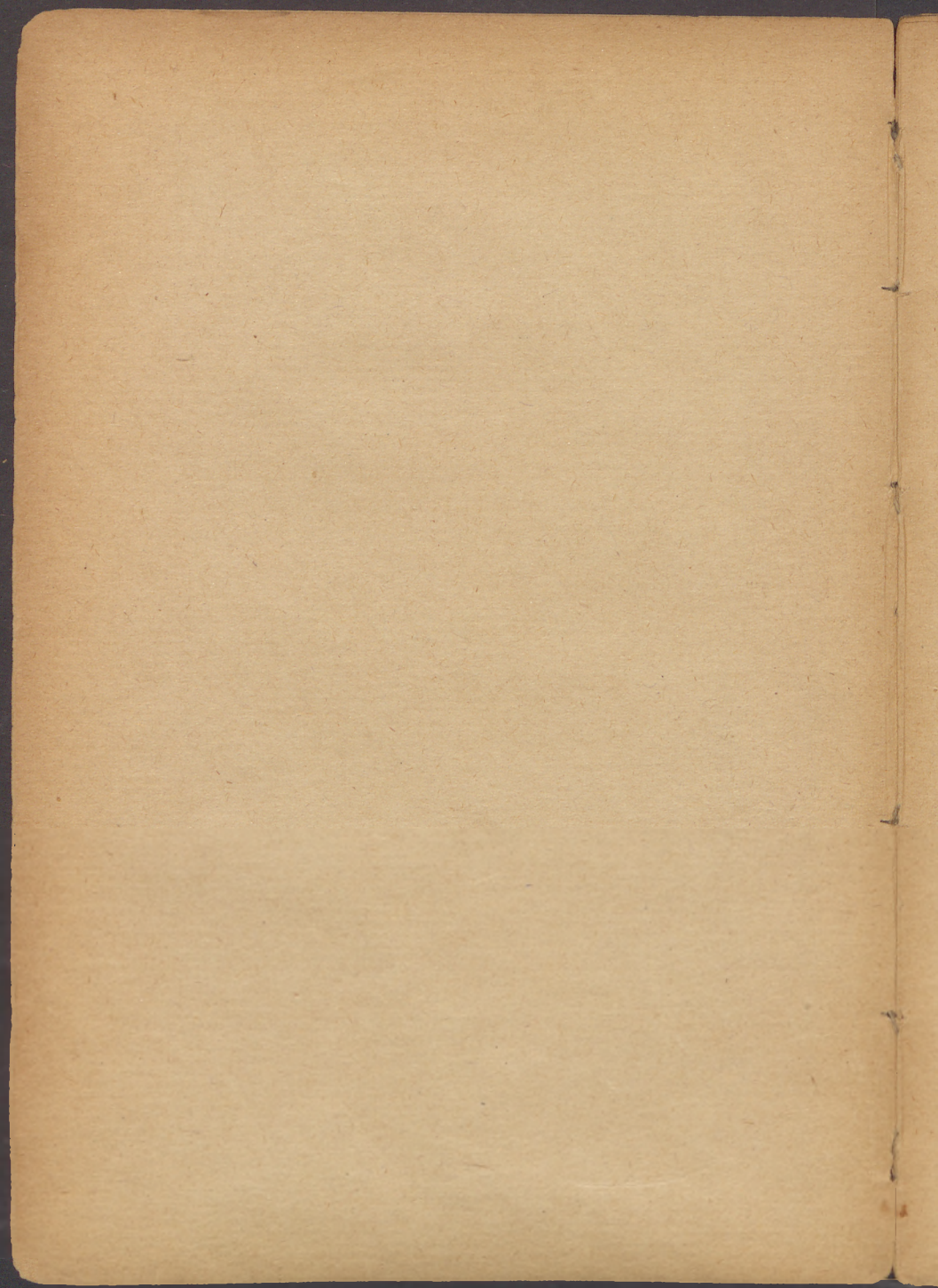






W S T Ę P





## O DOKTRYNIE EZOTERYCZNEJ, CZYLI NAUCE DLA WTAJEMNICZONYCH

*Pewien jestem, że przyjdzie dzień, w którym fizjolog, poeta i filozof jednym będą przemawiali językiem i będą się wszyscy wzajem rozumieli.*

*Claude Bernard.*

Największym złem naszego czasu jest, że Nauka i Religja stają wobec siebie, jako dwie wrogie, niedające się wzajem pogodzić siły. To zło intelektualne tem jest zgubniejsze, że przychodzi z góry i wsiąka skrycie, acz niezawodnie, niby jad lotny, wdychany wraz z powietrzem. Zaś wszelkie zło intelektualne staje się z czasem chorobą duszy, a skutek tego złem społecznem.

Dopóki chrystjanizm utrwał jedynie w sposób naiwny wiarę chrześcijańską w Europie nawpół barbarzyńskiej, jak w wiekach średnich, był on najpotężniejszą dźwignią moralną: ukształtował duszę współczesnego człowieka. — Dopóki Nauka doświadczalna, otwarcie ustanowiona w XVI-em st., walczyła jedynie o słuszne prawa rozumu oraz o nieograniczoną dla siebie wolność, była ona największą potęgą intelektualną: odnowiła oblicze świata, wyzwoliła człowieka z pęt odwiecznych i dała umysłowi ludzkiemu podstawy niezniszczalne.

Odkąd wszakże Kościół, nie mogąc już udowodnić pierwotnego swojego dogmatu wobec zarzutów, stawianych mu przez naukę, zamknął się w nim, jak w domu bez okien, i przeciwstawił wiarę rozumowi, jako nakaz



bezwzględny i nietykalny; odkąd Nauka, upojona odkryciami swojemi w świecie fizycznym i wyłączająca ze sfery swoich dociekań świat duchowy i intelektualny, stała się agnostyczną<sup>1)</sup> w metodzie swojej i materialistyczną, zarówno w podstawach swoich jak i celu ostatecznym; odkąd Filozofja, sprowadzona przez nie obie na manowce i pozbawiona siły, wyrzekła się niejako praw swoich i wpadła w sceptycyzm co do możliwości zbadania istoty rzeczy; — nieuniknionem się stało głębokie starcie w sferze duchowej zarówno ogółu społeczeństwa, jak i poszczególnych jednostek. Starcie to, zrazu potrzebne i pożyteczne, ustaliło bowiem prawa Rozumu i Nauki, spowodowało z czasem skostnienie i bezsilę. Religja odpowiada potrzebom serca, i stąd jej czar wiekuisty; Nauka — potrzebom umysłu, i stąd jej siła niezwalczona. Oduwajna jednak utraciły obie te potęgi zdolność wzajemnego rozumienia się. Religja bez dowodów i Nauka bez nadziei stają wobec siebie i wzajem wyzywają się do walki, nie mogąc się pokonać.

Stąd głęboka przeciwstawność, ukryta walka, nie tylko pomiędzy Państwem i Kościołem, lecz w łonie samej Nauki, w łonie wszystkich kościołów a nawet w świadomości wszystkich jednostek myślących. Niezależnie bowiem od tego, kim jesteśmy, do jakiej szkoły filozoficznej, estetycznej i społecznej należymy, nosimy w sobie te dwa wrogie, napozór niedające się pogodzić światy, zrodzone z dwu niezwalczonych potrzeb człowieka: potrzeby poznania i potrzeby wiary. Ten stan rzeczy, trwający już od stu lat z górą, niewątpliwie nie mało przyczynił się do rozwoju umysłowych władz człowieka przez

---

<sup>1)</sup> *agnostycyzm* — pogląd filozoficzny, według którego umysł nasz zajmować się może jedynie badaniem tego, co poznać możemy zmysłami naszemi. (przyp. tłum.)

pobudzanie ich wzajem przeciw sobie. Natchnął on poezję i muzykę, bogacąc je w akcenty nieznanego dotąd patosu i potęgi. Obecnie jednak to zbyt długo trwające i zbyt zaostre naprężenie wywołało skutek wprost przeciwny. Jak wyczerpanie występuje u chorego po gorączce, przeszło naprężenie owo w wycieńczenie i bezsilę. Nauka zajmuje się wyłącznie światem fizycznym i materialnym; filozofja moralna utraciła władzę kierowniczą nad umysłami; Religja rządzi jeszcze do pewnego stopnia tłumami, minęło wszakże panowanie jej na wyżynach społecznych; wielka wciąż jeszcze swoim miłosierdziem, przestała już jaśnieć potęgą wiary. Przewodnikami duchowymi naszej epoki są niedowiarki, lub najzupełniej szczerzy i uczciwi sceptycy. Zwątpili oni wszelako w sztukę swoją i spoglądają na siebie wzajem z uśmiechem, jak augurowie rzymscy. Na arenie publicznej i w dyskusjach prywatnych przepowiadają katastrofy społeczne, nie znajdując środka na nie, lub też przezornie omawiając i łagodząc ponure swoje przepowiednie.

Pod takim przewodnictwem zatraciła literatura i sztuka poczucie boskości. Znaczna część młodzieży, odwykła od widnokręgów wiekuistych, skłoniła się ku temu, co nowi przywódcy duchowi zwą naturalizmem, poniżając tem samem piękną nazwę Natury. To bowiem, co zdobią oni jej mianem, jest jedynie obroną i usprawiedliwieniem niskich instynktów, kałuży występku lub też schlebaniem naszym pospolitościom społecznym, — słowem: systematycznym zaprzeczaniem duszy i intelektu. A biedna Psyche, po utracie skrzydeł swoich, jękiem i wzdychaniem protestuje w głębi jaźni tych samych właśnie ludzi, którzy ją znieważają i zapierają się jej.

Materjalizm, pozytywizm i sceptycyzm sprawiły, że ku końcowi XIX-go st. urobiło się fałszywe zupełnie pojęcie Prawdy i Postępu.



Uczeni nasi, posługujący się przy badaniu wszechświata Baconowską metodą doświadczalną ze zdumiewającą dokładnością i cudownymi wynikami, tworzą sobie czysto zewnętrzne i materialne pojęcie Prawdy. Sądzą oni, że zbliżyć się można do niej coraz bardziej w miarę nagromadzenia coraz większej liczby faktów. Ze swojego stanowiska naukowego mają słuszność. Żle jest natomiast, że nasi filozofowie i nasi moralisci zaczynają myśleć tak samo. Pod tym względem pewnem jest, że praprzyczyny i cele ostateczne pozostaną na zawsze nieprzeniknionymi dla umysłu ludzkiego. Przypuśćmy bowiem, że moglibyśmy wiedzieć dokładnie, co zachodzi — ujmując rzecz materialnie — na wszystkich planetach systemu słonecznego, co — mówiąc nawiasem — byłoby wspólną podstawą indukcji; przypuśćmy nawet, że moglibyśmy wiedzieć, jakiego rodzaju istoty zamieszkują satelitów Syrjusa oraz kilku gwiazd drogi mlecznej. Oczywiście, cudownie byłoby poznać to wszystko. Czy jednak ułatwiłoby to nam poznanie całokształtu gwiazdozbioru, nie mówiąc już o mgławicy Andromedy oraz o obłoku Magellana? — Oto dlaczego rozwój ludzkości jest w pojęciu epoki naszej nieustannem dążeniem ku prawdzie nieokreślonej, niedającej się określić i nazawsze niedostępnej.

Tak pojmowali filozofję pozytywistyczną: August Comte i Herbert Spencer, których pogląd utrzymał się do naszych czasów.

Dla teozofów i mędrców Wschodu i Grecji Prawda była czemś zupełnie odmiennem. Wiedzieli oni oczywiście, że niepodobna ująć jej i ustalić bez ogólnego pojęcia o świecie fizycznym, zarazem jednak wiedzieli, że szukać jej należy przedewszystkiem w nas samych, w pierwiastkach intelektualnych oraz w życiu naszym duchowem. Dla nich dusza była jedyną boską rzeczywistością, kluczem wszechświata. Skupiając

całą wolę swoją w głębi własnej jaźni, rozwijając ukryte władze duszy, docierali oni do życiodajnego ogniska, zwanego przez nich Bogiem, którego światło pozwala rozumieć ludzi i byty. Dla nich—to, co my zwiemy Postępem,—to znaczy historia świata i ludzi, było jedynie ewolucją w czasie i przestrzeni owej ośrodkowej Praprzyczyny i owego Celu ostatecznego. — Sądźcie może, iż teozofowie ci byli ludźmi, oddanymi wyłącznie rozmyślaniu, bezsilnymi marzycielami, fakirami, siedzącymi na szczytach kolumn? — Jesteście w błędzie.

Świat nie znał większych ludzi czynu, w najbardziej płodnym, niedającym się obliczyć, znaczeniu tego wyrazu. Świecą oni jak gwiazdy pierwszej wielkości na firmamencie dusz. Nazywają się: Kryszna, Buddha, Zoroaster, Hermes, Mojżesz, Pytagoras, Jezus. Byli to potężni urabiacze umysłów, wielcy budziciele dusz, zbawczy organizatorzy społeczeństw. Oni to, żyjący wyłącznie dla idei swojej, za którą zawsze gotowi byli umrzeć, bowiem wiedzieli, że śmierć za Prawdę jest czynem skutecznym i najszczytniejszym, stworzyli nauki i religie, a co za tem idzie, pisma i sztuki, których istotą karmimy się i żyjemy dotąd jeszcze. Co zaś rodzi pozytywizm i sceptycyzm naszych dni? Pokolenie suche, pozbawione ideałów, światła i wiary, niewierzące ani w duszę, ani w Boga, ani w przyszłość ludzkości, ani w życie doczesne i przyszłe, niemające siły woli, wątpiące o sobie samych i o wolności ludzi.

„Po owocach ich poznacie ich“ — powiada Chrystus. Te słowa Mistrza stosują się zarówno do doktryn jak i do ludzi. Sama przez się narzuca się tu myśl: albo prawda jest nazawsze niedosięgalną dla ludzi, albo też posiadli ją w znacznym stopniu wielcy mędracy i pierwsi na ziemi prorocy. Szukać więc jej należy na dnie wszystkich wielkich religii i w księgach świętych wszystkich narodów. Należy jedynie umieć ją odnaleźć w nich i z nich wydobyć.



Patrząc na historję religji oczami, rozwartemi szeroko przez ową prawdę ośrodkową, którą dać może jedynie wtajemniczenie wewnętrzne, doznajemy uczucia zarazem zdumienia i zachwytu. To, co dostrzegamy wówczas, nie przypomina w niczem nauk, udzielanych nam przez Kościół, szukający objawienia wyłącznie w chrystjanizmie i przyjmujący je jedynie w jego znaczeniu pierwotnem. Zarazem jednak mało przypomina ono to, czego nas uczy wiedza czysto naturalistyczna, wykładana na naszych uniwersytetach. Przyznać wszakże należy, iż ta ostatnia ujmuje rzeczy ze stanowiska szerszego.

Stawia ona wszystkie religje na jednej linii i stosuje do wszystkich jednakową metodę badania. Jej erudycja jest głęboka, jej gorliwość godna podziwu, nie wzniosła się ona jednak jeszcze do *stanowiska ezoteryzmu porównawczego*, które rzuca nowe zupełnie światło na historję religji i ludzkości. Oto, co dostrzegamy z tej wyżyny:

Wszystkie wielkie religje mają historję zewnętrzną i historję wewnętrzną; pierwszą — widoczną, drugą — ukrytą. Przez historję zewnętrzną rozumiem dogmaty i mity, głoszone publicznie w świątyniach i szkołach, uznane przez kult i przyjęte w wierzeniach gminnych. Mianem historii wewnętrznej określam wiedzę głęboką, doktrynę tajemną, działalność wielkich wtajemniczonych, proroków czy reformatorów, którzy stworzyli, podtrzymywali i szerzyli same te religje. Pierwsza, historia oficjalna, ta, którą czytać można wszędzie, odbywa się w pełnem świetle dziennem, co nie czyni jej bynajmniej mniej ciemną, mniej zawiłą i nie pozbawia jej sprzeczności. Druga, którą nazywam tradycją ezoteryczną, czyli doktryną Tajników, trudna jest bardzo do rozwikłania. Albowiem ukrywa się ona w głębi świątyni, w bractwach tajemnych, a jej dramaty najbardziej wstrząsające rozgrywają się wyłącznie i jedynie w duszach wielkich proroków, którzy żadnemu

pergaminowi ani żadnemu z uczniów nie powierzyli tajemnicy swoich przełomów najgłębszych, ani boskich swoich uniesień. Należy ją odgadywać. Z chwilą jednak, gdy daniem jest nam ujrzeć ją, ukazuje się nam ona w glorii promiennej, ustalona i zawsze szarmonizowana we wszystkich swoich punktach. Można ją też nazwać historją religji wiekuistej, religji wszechświata. Odsłania się w niej ukryta treść rzeczy, siedlisko świadomości ludzkiej, której zmuđną drogę zewnętrzną ujawnia historyk. Docieramy tutaj do punktu twórczego Religji i Filozofji, które łączą się na drugim końcu elipsy w całokształcie nauki. Punkt ten odpowiada prawdom transcendentnym. Znajdujemy w nich przyczynę, źródło i rezultat ostateczny olbrzymiej pracy stuleci, Opatrzność w jej czynnikach ziemskich. Historia ta jest jedyną, którą zająłem się w tej książce.

Dla rasy aryjskiej zaród i jądro jej mieszczą się w Wedach. Jej pierwszą krystalizacją historyczną jest doktryna troistości Kryszny, której brahmanizm zawdzięcza swoją potęgę, a religja Indji swoją cechę niezatartą. Buddha, który wedle chronologii brahmanów miał przyjść w 2400 lat po Krysznie, odsłania inną jedynie stronę doktryny tajemnej: wędrówkę dusz i wiarę w szereg bytów, związanych w jeden łańcuch prawem Karmy. Jakkolwiek buddyzm był wobec arystokratycznego i kapłańskiego brahmanizmu demokratycznym przewrotem społecznym i etycznym, jego podkład metafizyczny jest ten sam, tylko nie tak zupełny.

Niemniej też uderza odwieczność świętej doktryny w Egipcie, którego tradycje sięgają cywilizacji dużo wcześniejszej, niż ukazanie się rasy aryjskiej na widowni dziejów. Wolno było przypuszczać aż do ostatnich czasów, że monizm troisty, wyłożony w księgach greckich Hermesa Trismegistosa, był kompilacją szkoły Aleksandryjskiej pod podwójnym wpływem judeo-chryścjanizmu i neo-



platonizmu. Wszyscy wierzący i niedowiarkowie, historycy i teologowie nie przestawali zgodnie powtarzać tego aż do naszych czasów. Otóż teoria ta upada dzisiaj wobec odkryć epigrafiki egipskiej.

Niezbita autentyczność ksiąg Hermesa, jako dokumentów starożytnej mądrości Egiptu, stwierdzają w sposób rozstrzygający odczytane już hieroglify. Napisy na stelach <sup>1)</sup> w Tebach i Memfisie nie tylko potwierdzają chronologję Manethona, lecz wykazują, że kapłani Ammon-Râ wyznawali wyższą metafizykę, której uczono w innej postaci nad brzegami Gangesu <sup>2)</sup>. Powtórzyć tutaj można za prorokiem hebrajskim, że „kamień mówi a mur wydaje okrzyk“. Gdyż, podobna do „słońca północy“, które jaśniało — jak mówią — w Tajnikach Izdy i Ozyrysa, idea Hermesa, starożytna doktryna słowa słonecznego, rozbłyскуje znów w grobach Królów i świeci na papyrusowych zwojach *Księgi Zmarłych*, przechowanych w mumjach, mających cztery tysiące lat.

W Grecji idea ezoteryczna jest zarazem bardziej widoczna i bardziej osłonięta niż gdziekolwiek; bardziej widoczna, bowiem prześwieca po przez czarującą mitologję ludzką, ponieważ płynie, niby krew ambrozyjska, w żyłach tej cywilizacji i wytryska wszystkimi porami z jej bogów, jak balsam i jak rosa niebiańska. Z drugiej zaś strony myśl głęboka i naukowa, leżąca u podstawy wszystkich owych mitów, trudniejsza jest do przeniknięcia właśnie z powodu ich uroku oraz ozdób, w jakie je przystroili poeci. Wzniosłe podstawy teozofji doryckiej i mądrości delfickiej wypisane są jednak złotemi zgłoskami zarówno we fragmentach orfik (poezji mistyczno-religijnych) jak w syntezie pytagorejskiej, w dialektycznem, nieco dowolnem uprzystępnieniu Platońskiem. Klucza do ich zrozu-

1) Pomniki egipskie z jednego kamienia.

2) Porównaj piękne prace Franciszka Lenormant i M. Maspéro.

mienia dostarcza nam wreszcie szkoła Aleksandryjska. Ona pierwsza bowiem ogłosiła częściowo i opatrzyła wyjaśniającymi przypisami znaczenie tajników na tle rozprzężenia religii greckiej i wobec rozwijającego się chrystjanizmu.

Tradycje nauki tajemnej izraelskiej, biorące początek zarówno w Egipcie, jak w Chaldei i Persji, zachowane nam zostały w dziwacznej i niejasnej postaci, a zarazem w całej swojej głębi i rozciągłości w *Kabale*, czyli tradycji ustnej, począwszy od księgi *Sohar* i *Sepher Jezirah*, przypisywanych Szymonowi Ben Jochai, i skończywszy na komentarzach Majmonidesa. Zawarta mistycznie w Księdze Rodzaju (Genesis) oraz w symbolice proroków, występuje też ona w sposób uderzający w świetnej pracy Fabra d'Olivet o *Odtworzonym języku hebrajskim*, dążącej do odbudowania, podług metody egipskiej, na zasadzie troistego znaczenia każdego wiersza i niemal każdego wyrazu pierwszych dziesięciu rozdziałów Księgi Rodzaju, — istotnej kosmogonji Mojżesza.

Ezoteryzm chrześcijański promienieje sam przez się w Ewangeljach, oświetlonych tradycjami esseńskimi i gnostycznymi<sup>1)</sup>. Wytryska on, niby ze źródła życiodajnego, ze słów Chrystusa, z jego przypowieści, z głębi tej duszy nieporównanej, prawdziwie boskiej. Zarazem też daje nam Ewangelja Ś-go Jana klucz do zrozumienia intymnej i wyższej nauki Chrystusowej, do znaczenia i doniosłości jego zapowiedzi. Odnajdujemy tutaj ową doktrynę Trójjedności i Słowa Bożego, głoszoną już przed tysiącami lat w świątyniach Egiptu, lecz uszlachetnioną, uosobioną w postaci króla wtajemniczonych, w postaci największego z Synów Bożych.

<sup>1)</sup> *Gnostycyzm* — nauka, przyznająca sobie wyłączny przywilej głębszego poznawania natury boskiej i natury chrześcijaństwa. Znamieniem jej jest naginanie pojęć chrześcijańskich do filozofji lub misterjozofji pogańskiej, zarówno greckiej, jak wschodniej. (*Przyp. tłum.*).



Zastosowanie do historii religii metody, którą nazywaliśmy ezoteryzmem porównawczym, prowadzi nas zatem do wielce doniosłego wyniku, dającego się streścić w kilku wyrazach: odwieczność, ciągłość i zasadnicza jedność doktryny ezoterycznej. Jest to fakt w najwyższym stopniu godny uwagi. Każe on bowiem przypuszczać, że mędrcy i prorocy najrozmaitszych epok doszli do tych samych wyników co do istoty rzeczy, jakkolwiek odmiennych co do formy, w sprawie prawd podstawowych i ostatecznych. Osiągali zaś je zawsze tą samą drogą wtajemniczenia wewnętrznego i rozmyślenia. Dodajmy, że mędrcy ci i prorocy byli największymi dobroczyńcami ludzkości, zbawcami, których moc odkupicielska wyrwała ludzkość z odmetów bardziej przyziemnej, niższej natury oraz negacji.

Czyż nie należy uznać wobec tego, że istnieje — jak się wyraża Leibnitz — rodzaj filozofji wiekuistej, *perennis quodam philosophia*, która stanowi pierwotny łącznik pomiędzy nauką i religią oraz ostateczne ich pojednanie?

Teozofja starożytna, wyznawana w Indjach, w Egipcie i w Grecji, stanowiła istotną encyklopedję, dzieloną powszechnie na cztery kategorie: 1. *Teogonja* czyli nauka zasad bezwzględnych, utożsamiona z *nauką Liczb* zastosowaną do wszechświata, czyli matematyką teologiczną. 2. *Kosmogonja*, urzeczywistnienie zasad wiekuistych w przestrzeni i czasie, czyli *inwolucja*<sup>1)</sup> ducha do materji; okresy świata. 3. *Psychologja*, ustrój człowieka; *ewolucja* duszy po przez łańcuch istnień. 4. *Fizyka*, poznanie państw natury ziemskiej i jej właściwości. — Metoda indukcyjna i metoda doświadczalna łączyły się i wzajem kontrolowały w tych różnorodnych działach nauk i każdej z nich odpo-

<sup>1)</sup> *inwolucja* — rozwój wsteczny — przeciwieństwo *ewolucji* — rozwoju postępowego. (*Przyp. tłum.*).

wiała poszczególna sztuka. Były niemi, biorąc je w porządku odwrotnym i zaczynając od nauk fizycznych: 1. *Medycyna specjalna*, oparta na znajomości tajemnych cech minerałów, roślin i zwierząt. *Alchemja* czyli przetwarzanie metali, rozprężanie i sprężanie się materji pod działaniem czynnika powszechnego, sztuka uprawiana, podług Olympjodora, w starożytnym Egipcie i nazwana przez niego chrysopeą i argyropką (fabrykacją złota i srebra). 2. *Sztuki psychurgiczne*, odpowiadające władzom duszy: magja i wieszczbiarstwo. 3. *Genetlakja niebiańska* czyli astrologja, sztuka wykrywania stosunku, zachodzącego pomiędzy przeznaczeniem narodów i osobników a ruchami wszechświata, zaznaczonemi przez zmianę położenia gwiazd. 4. *Teurgja*, najwyższa sztuka magji, dar zarówno rzadki jak niebezpieczny i trudny, polegający na wprowadzaniu duszy w świadome zetknięcie z rozmaitemi rodzajami duchów i na oddziaływaniu na nie.

Jak widzimy więc, obejmowała teozofja ta zarazem nauki i sztuki, wypływające z jednej powszechnej podstawy, którą nazwałbym w języku współczesnym *monizmem intelektualnym, spirytualizmem rozwojowym i transcendentnym*. Główne podstawy doktryny ezoterycznej sformułować można w sposób następujący:

Duch jest jedyną rzeczywistością. Materja jest jedynie wyrazem jego niższym, zmiennym, przemijającym, jego dynamizmem w przestrzeni i czasie.— Tworzenie jest wieczne i ciągle jak życie. Mikrokosm-człowiek jest z układu swojego troistym (umysł, dusza i ciało), obrazem i zwierciadłem makrokosmu-wszechświata (świat boski, ludzki i świat natury), który sam przez się jest narzędziem Boga niewypowiedzianego, Ducha bezwzględnego, będącego z natury swojej Ojcem, Matką i Synem (istotą, substancją i życiem).

Oto dlaczego człowiek, obraz Boga, może stać się żywym jego symbolem. Gnoza (poznanie prawd religij-



nych), czyli mistyka racjonalna wszystkich epok, jest sztuką znalezienia Boga w sobie samym przez rozwijanie tajemnych głębi, ukrytych władz świadomości.— Dusza ludzka, jaźń, jest w istocie swojej nieśmiertelna. Rozwój jej odbywa się na płaszczyźnie zstępującej i wznoszącej się, po przez istnienia duchowe i cielesne. — Ponowne wcielanie się jest prawem jej rozwoju. Osiągnąwszy doskonałość, przestaje się wcielać i powraca do Ducha czystego, do Boga, w pełni świadomości. Tak samo jak dusza wznosi się po nad prawo walki o życie z chwilą, gdy zyskuje świadomość swojego człowieczeństwa, podobnie też wznosi się ona po nad prawo ponownego wcielania się, kiedy zyskuje świadomość swojej boskości.

Perspektywy, otwierające się u progu teozofji, są olbrzymie, zwłaszcza gdy się je porównywa z ciasnym i ponurym widnokregiem, w jakim zamyka nas materializm, lub też z dziecięcą i nie do przyjęcia naiwnością danymi teologii kościelnej. Stając wobec nich po raz pierwszy, doznajemy uczucia olśnienia, przejmując nas dreszcz bezkresu. Rozwierają się w głębi jaźni naszej otchłania Nieświadomości, ukazując nam przepaść, z której się wydostajemy, zawrotne wyżyny, na które dążymy. Zachwyceni tym bezmiarem, lecz przerażeni drogą do odbycia, pragniemy przestać istnieć, wzywamy *Nirwany*. Potem jednak zdajemy sobie sprawę, że ta słabość jest tylko znużeniem żeglarza, gotowego do wypuszczenia z rąk steru w obliczu szalejącej burzy. Jeden z myślicieli powiedział: człowiek zrodzony został we wklęsłości fali i nie wie nic o olbrzymim oceanie, który rozpościera się przed nim i za nim. Jest to prawda; tajemna wszakże siła niepojęta pcha łódź naszą na grzbiet fali, i tam, smagani nieustannie wściekłością nawałnicy, chwytny jej rytm potężny; a oko, mierzące sklepienie niebios, odpoczywa w ciszy błękitu.

Zdumienie nasze wzrasta, gdy, powracając do nauk nowoczesnych, stwierdzamy, że od Bacon'a i Kartezjusza dążą one bezwiednie, lecz tem pewniej w kierunku powrotu do danych teozofji starożytnej. Nie zarzucając hipotezy atomów, nieświadomie doszła fizyka współczesna do utożsamiania pojęcia materji z pojęciem siły, co stanowi już krok naprzód ku dynamizmowi spirytualistycznemu. Dla wyjaśnienia istoty światła, magnetyzmu i elektryczności, zmuszeni byli uczeni przyjąć materję lotną i bezwzględnie nieważką, wypełniającą przestworze i przenikającą wszystkie ciała; materję, którą nazwali eterem, co już jest krokiem ku dawnemu pojęciu teozoficznemu o *duszy świata*. Niedawne doświadczenia, dotyczące przenoszenia dźwięku za pomocą fal świetlnych<sup>1)</sup>, dowodzą wrażliwości i rozumnej przystosowalności tej materji.

Zoologja porównawcza i antropologja należą do rzędu nauk, które najwięcej, zdałoby się, zaszkodziły spirytualizmowi. W rzeczywistości wszakże poważną oddały mu one przysługę wykazaniem prawa i sposobu wkroczenia świata umysłowego do świata zwierzęcego. Darwin położył kres naiwnemu pojęciu o stworzeniu w myśl teologii pierwotnej. Pod tym względem powrócił on wprost do starożytnych pojęć teozoficznych. Już Pytagoras powiedział: „człowiek jest krewnym zwierzęcia“. Darwin wykazał prawa, którym ulega przyroda, aby wykonać

---

<sup>1)</sup> *Doświadczenie Bella*. Rzuci się promień światła na płytkę z selenu, która odsyła światło to na odległość, na inną płytkę z tego samego metalu. Ta druga płytką połączona jest ze stosem galwanicznym, do którego przystosowany jest telefon. Wyrazy, wymawiane za pierwszą płytką, słyszalne są wyraźnie przez telefon, złączony z drugą płytką. Promień światła służył więc za drut telefoniczny. Fale dźwiękowe przeistoczyły się w fale świetlne, te zaś w fale galwaniczne, które z kolei stały się ponownie falami dźwiękowymi.



plan boski, prawa narzędnicze, któremi są; walka o byt, dziedziczność i dobór natury. Dowiódł on wielorakości i różnorodności gatunków, zmniejszył ich liczbę, ustalił ich dobór. Uczniowie jego jednakże, teoretycy transformizmu bezwzględne, którzy chcieli wyprowadzić wszystkie gatunki z jednego pratygu i uczynić ich pojawienie się zależnem wyłącznie od wpływów środowiska, naciągali fakty na korzyść czysto zewnętrznego i materialistycznego pojmowania przyrody. Nie, środowiska tak samo nie tłumaczą powstawania gatunków, jak prawa fizyczne nie wyjaśniają praw chemicznych, jak chemja nie tłumaczy podstaw rozwoju rośliny, a podstawy rozwoju rośliny—podstaw rozwoju zwierzęcia. Co się tyczy wielkich rodzin zwierzęcych, odpowiadają one wiekuistym typom życia, pieczęciom Ducha, zaznaczającym szczeble świadomości. Ukazanie się zwierząt ssących po płazach i ptakach nie jest wynikiem zmiany, jaka zaszła w środowisku ziemskim; zmiana ta jest tylko jego warunkiem.

Każde ona przypuszczać powstanie i rozwój nowego zarodka; tem samem nowej siły intelektualnej i duchowej, działającej stroną wewnętrzną, treścią natury, siłą, którą nazywamy zaświatem w stosunku do poznania zmysłowego. Bez tej siły intelektualnej i duchowej nie można byłoby wytłumaczyć nawet pojawienia się komórki organicznej w świecie nieorganicznym. Wreszcie Człowiek, który kończy i wieńczy łańcuch istot, ujawnia całą myśl boską, dzięki harmonji swoich narzędzi i doskonałości swojej formy, czyniących go żywym obrazem Duszy wszechświata, czynnego intelektu. W ciele jego streszczone są wszystkie prawa rozwoju i cała natura, nad którą panuje on i po nad którą wznosi się, aby dzięki zdobytemu uświadomieniu i wyzwoleniu się wejść do bezbrzeżnego królestwa Ducha.

Psychologia doświadczalna, oparta na fizjologii i dążąca od początku stulecia do stania się ponownie nauką, doprowadziła współczesnych uczonych do progu innego świata, właściwego świata duszy, gdzie — obok trwających w dalszym ciągu analogji — nowe panują prawa. Mam na myśli badania i stwierdzenia przez medycynę nowoczesną faktów, dotyczących magnetyzmu zwierzęcego, somnambulizmu oraz wszelkich stanów duszy różnych od poprzednich, a więc: snu na jawie, jasnowidzenia i ekstazy.

Wiedza współczesna rozpoczyna dopiero pierwsze po omacku stawiać kroki w tej dziedzinie, w której umiała się orjentować wiedza świątyni starożytnych, posiadała bowiem potrzebne do niej podstawy i klucze do jej zrozumienia. Mimo to nie ulega kwestji, że i nauka współczesna odkryła tutaj cały szereg faktów, które wydały się jej zdumiewającymi, cudownymi, niedającymi się wyjaśnić, ponieważ przeczyły one teoriiom materialistycznym, narzucającym jej przez tak długi czas kierunek myślenia i stanowiącym podstawę jej doświadczeń. Niema nic bardziej pouczającego nad pełne oburzenia niedowiarstwo niektórych uczonych materialistów wobec wielkich przejawów, mogących stwierdzić istnienie duchowego świata niewidzialnego. Każdy, kto ośmiela się dzisiaj dowodzić istnienia duszy, ściąga na siebie oburzenie prawdziwych ateistów, tak samo jak ongi gorszono prawowierność Kościoła, przecząc istnieniu Boga. Nie naraża się już teraz coprawda życia, ale naraża się swoją opinię.

Bądź co bądź wszakże, najprostsze zjawisko poddawania myślowego na odległość wyłącznie siłą myślenia, zjawisko stwierdzone tysiąckrotnie w kronikach magnetyzmu<sup>1)</sup>, wykazuje działanie ducha i woli po za obrębem praw fizycznych i praw świata widzialnego.

---

<sup>1)</sup> Por. piękną pracę Ochorowicza: „O poddawaniu myślowem“.



Drzwi do Świata Niewidzialnego zostały więc uchylone.—W wyższych przejawach somnambulizmu świat ten otwiera się szeroko. Poprzestaną jednak na tem, co stwierdziła nauka oficjalna.

Przechodząc od psychologii doświadczalnej i przedmiotowej do psychologii wewnętrznej i podmiotowej naszego czasu, znajdujemy wyraz swój w poezji, muzyce i literaturze, zauważymy, że przenika ją potężny powiew bezwiednego ezoteryzmu. Dążenie do życia duchowego, tęsknota za światem niewidzialnym, dławione i odtrącane przez teorie materialistyczne i przez opinię publiczną, nie były nigdy szersze i bardziej istotne. Odnajdujemy je w żalach, w zwątpieniach, w czarnych melancholjach, a nawet w błuznierstwach naszych powieściopisarzy-naturalistów i naszych poetów-dekadentów. Nigdy dusza ludzka nie odczuwała głębiej niedostateczności, nędzy, nieistotności życia obecnego, nigdy nie tęskniła goręcej za niewidzialnym światem pozaziemskim, mimo że nie uwierzyła jeszcze w jego istnienie. Czasem nawet udaje jej się formułować intuicyjnie prawdy transcendentne,<sup>1)</sup> nie wchodzące w skład systemu uznanego przez rozum, sprzeczne z poglądem ogółu i stanowiące bezwiedne wybliski tajemnego jej uświadomienia. Przytoczę na dowód ustęp z pracy niezwykłego myśliciela, który doświadczył całej goryczy i całego osamotnienia moralnego dni dzisiejszych: „Każda sfera bytu—mówi Fryderyk Amiel—dąży do sfery wyższej i ma już objawienie jej i przeczucie. Ideałem, we wszelkiej jego postaci, jest wyprzedzanie, wizja prorocza bytu wyższego niż własny, do którego dąży zawsze każda istota.

Ten wyższy dostojnością swoją bytu jest z natury swojej bardziej wewnętrznym, to znaczy bardziej duchowym.

---

<sup>1)</sup> *Transcendentne* — przechodzące granice doświadczenia.

Jak wybuchy wulkanów ujawniają nam tajniki wnętrza kuli ziemskiej, tak samo zapał i ekstaza są chwilowymi przebłyskami wewnętrznego świata duszy, a życie ludzkie jest właściwie tylko przygotowaniem i wstępem do tego życia duchowego. Nieskończone są stopnie wtajemniczenia. Czuwaj więc, uczniu życia, poczwarzko aniola, pracuj nad twojem przyszłem wykluciem się, bowiem boska Odyssea jest jedynie szeregiem przeobrażeń coraz bardziej uduchowionych, w których każda postać poszczególna będąca wynikiem poprzednich, warunkuje powstawanie następnych. Życie boskie jest szeregiem kolejnych śmierci, przy których duch odrzuca swoje niedoskonałości i swoje symbole, poddaje się wzrastającej sile przyciągającej niewypowiedzianego ośrodka ciężenia, słońca intelektu i miłości“.

Amiel był skąd inąd bardzo rozumnym hegeljaninem, pod którym krył się wyższy moralista. W dniu, w którym napisał te słowa natchnione, był głębokim teozofem. Trudno bowiem byłoby wyrazić w sposób bardziej poryjający i bardziej świetlany właściwą istotę prawdy ezoterycznej. Powyższy rzut oka wystarczy do wykazania, że nauka i umysłowość współczesna przygotowują się bezwiednie i mimowolnie do przywrócenia dawnej teozofji, która będzie się posługiwała narzędziami precyzyjnymi i oprze się na solidniejszej podstawie. Ludzkość—wedle słów Lamartine'a—jest tkaczem, który pracuje w odwrotnym kierunku, idąc za wątkiem czasu. Przyjdzie dzień, kiedy przeszedłszy na drugą stronę płótna, ujrzy ona wspaniały i potężny obraz, który tkala w ciągu wieków własnymi rękami, nie dostrzegając nic prócz skłębienia spletaných na odwrotej stronie nici. W dniu tym stanie ona oko w oko z Opatrznością, ujawnioną w niej samej. Znajdą wówczas potwierdzenie słowa pewnego współczesnego



pisma hermetycznego<sup>1)</sup> i nie wydadzą się zbyt śmiało tym, którzy dość głęboko dotarli do istoty tradycji okultystycznych, aby przeczuć cudowną ich jedność. Słowa te brzmią: „Doktryna ezoteryczna nie jest jedynie nauką, filozofją, moralnością i religją. Jest ową właściwą nauką, właściwą filozofją, właściwą moralnością i właściwą religją, do których wszystkie inne są tylko przygotowaniem lub których są zwyrodnieniem, wyrazem częściowym lub nieściśłym, zależnie od tego, czy zbliżają się do nich czy też się od nich oddalają“.

Nie kuśiłem się bynajmniej przedstawić pełny obraz owej nauki nauk. Wymagałoby to całego gmachu nauk znanych i nieznanych, odtworzonych w ich ramach hierarchicznych i przekształconych w duchu ezoteryzmu. Dowieść chciałem jedynie, iż doktryna Tajników leży u źródła naszej cywilizacji; że stworzyła ona wielkie religie, zarówno aryjskie jak i semickie; że chrystjanizm prowadzi do niej cały rodzaj ludzki i że nauka współczesna opatrnościowo zmierza ku niej całokształtem swojego rozwoju; że wreszcie nauka i religja spotkają się w niej, jak w porcie połączenia, i znajdują w niej ostateczną swą syntezę.

Rzec można, że gdziekolwiek znajduje się ułamek jakiś doktryny ezoterycznej, tam istnieje ona w całości. Każda bowiem z jej części każe się domniemywać istnienia pozostałych lub rodzi je. Posiedli ją wszyscy wielcy mędrcy i wielcy prorocy, a prorocy przyszłości posiadają ją tak samo jak ich poprzednicy. Światło może mieć większą lub mniejszą siłę natężenia, będzie to jednak zawsze to samo światło. Kształt, szczegóły, zastosowania mogą ulegać nieskończonym zmianom; istota rzeczy, to znaczy początek i koniec pozostają wiekuście niezmiennie, —

---

<sup>1)</sup> zawierającego zamkniętą w nich tajemnicę. Pisma hermetyczne, inaczej okultystyczne.

Czytelnik znajdzie w książce tej rodzaj rozwoju stopniowego, kolejnego ujawnienia różnych części doktryny, po przez dzieje wielkich wtajemniczonych. Każdy z nich jest przedstawicielem jednej z wielkich religii, które przyczyniły się do ukształtowania współczesnej ludzkości i których szereg kolejny wytyka linię rozwoju, zakreślona przez nią w cyklu niniejszym, zacząwszy od starożytnego Egiptu i pierwszych czasów aryjskich. Wyprowadzona ona będzie nie z oderwanego, scholastycznego wykładu, ale z dusz wielkich wtajemniczonych i z żywej pracy historii.

W szeregu tym Ramę ukazuje nam jedynie dostęp do świątyni. Kryszna i Hermes dają klucz do niej. Mojżesz, Orfeusz i Pytagoras otwierają jej wnętrze. Chrystus jest uosobieniem świętego przybytku.

Książkę tę zrodziło jedynie gorące pragnienie zdobycia prawdy najwyższej, całkowitej, wiekuistej, bez której prawdy częściowe są tylko ułudą. Zrozumieją mnie ci, którzy świadomi są, że chwila obecna historii z jej bogactwami materialnymi smutną jest pustynią ze stanowiska duszy i jej dążeń nieśmiertelnych. Moment jest wielce krytyczny i wyniki ostateczne agnostycyzmu<sup>1)</sup> zaczynają się dawać we znaki w postaci rozprzężenia społecznego. Powstaje — zarazem dla Francji i dla całej Europy — zagadnienie: być albo nie być. Nasuwa się — o ile nie chcemy wpaść ostatecznie w otchłań materializmu i anarchii — konieczność oparcia organicznych prawd zasadniczych na podstawach niewzruszonych.

Nauka i Religja — te strażniczki cywilizacji, utraciły obie dar swój najwyższy, swój wpływ magiczny, polegający na posiadaniu i szerzeniu wielkiej i silnej wiedzy. Świątynie Indji i Egiptu wydały największych mędrców świata.

---

<sup>1)</sup> *Agnostycyzm* — pogląd filozoficzny, przyjmujący za podstawę niemożność uzasadnienia istnienia Boga.



Świątynie greckie ukształtowały dusze bohaterów i poetów. Apostołowie Chrystusa byli sami wzniosłymi męczennikami i zrodzili tysiące ich. Kościół średniowieczny, bez względu na swoją teologję pierwotną, wydał świętych i rycerzy dzięki temu, że wierzył i że duch Chrystusowy wstrząsał nim od czasu do czasu. Dzisiaj ani Kościół spętany w okowach dogmatu, ani Nauka zamknięta w swojej materji, nie umieją już wytwarzać ludzi całkowitych. Zatraciła się sztuka tworzenia i urabiania dusz. Nie zmartwychwstanie ona, dopóki Nauka i Religja, złane w jedną siłę żywą, nie wezmą się zgodnym wysiłkiem do dzieła zbawienia ludzkości. Nauka nie będzie musiała w tym celu zmieniać metody, lecz jedynie rozszerzy swój zakres, zaś chrystjanizm utrzyma swoją tradycję, ale zrozumieć będzie musiał jej powstanie, jej ducha i jej doniosłość.

Ten czas odrodzenia intelektualnego i przeistoczenia społecznego nadejdzie niewątpliwie. Zwiastują go już pewne oznaki niezawodne. Kiedy Nauka zdobędzie Wiedzę, Religja zyska moc, a Człowiek będzie działał z nową energją—wówczas łącznemi, uzgodnionemi ich siłami odrodzi się Sztuka życia i wszystkie wogóle sztuki. W przeciwnym razie nie nastąpi to nigdy.

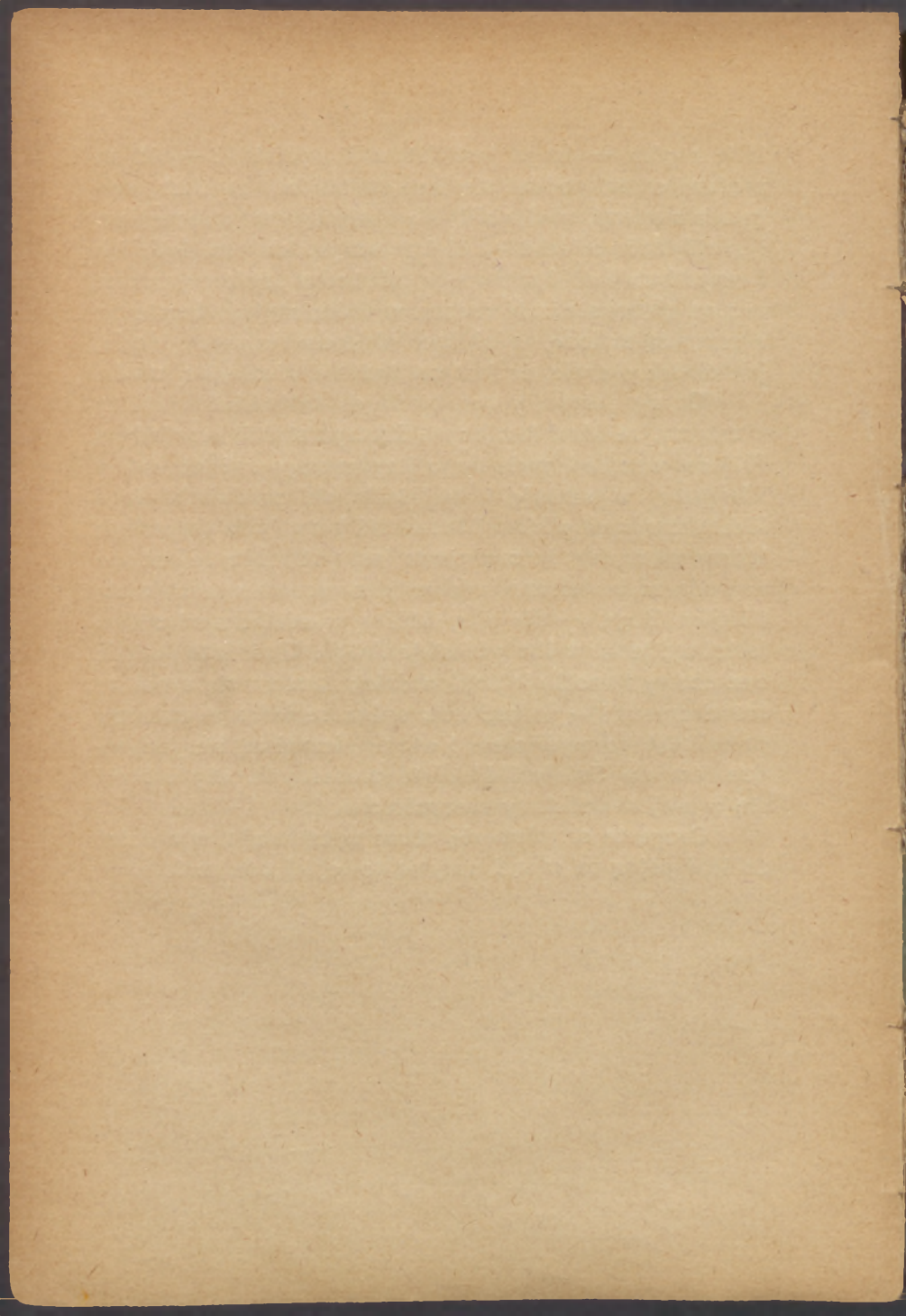
Zanim to jednak nastąpi, cóż czynić pozostaje na tym schyłku wieku, podobnym do staczania się w otchłań wpośród groźnego zmierzchu, gdy początek zdawał się wznoszeniem ku wolnym szczytom w blaskach wspaniałej jutrztenki?—Wiara—powiedział pewien wielki uczony—jest odwagą ducha rwącego naprzód, pewnego, że odnajdzie prawdę. Wiara taka nie jest wrogiem rozumu, lecz jego pochodnią; to wiara Kolumba i Galileusza, wiara, szukająca dowodów i przeciw-dowodów, *provando e riprovando*;— jest ona jedynie możliwą dzisiaj. Dla tych, którzy utracili ją bezpowrotnie — a takich są zastępy, przykład bowiem

idzie z góry — droga jest łatwa i wytknięta: — iść za prądem czasu, poddać się jego nastrojom, zamiast walczenia z niemi, zadowolić się zwątpieniem i przeczeniem i znajdować pociechę — w obliczu wszystkich nędz ludzkich i przyszłych kataklizmów — w uśmiechu szyderczym; rzucać na głęboką nicość rzeczy, w którą się jedynie wierzy, błyszczącą zasłonę, zdobioną pięknem mianem ideału, jakkolwiek się wie, że jest on jedynie niezbędną uludą.

Co się zaś tyczy nas, biednych zatraceniów, którzy wierzymy, że Ideał jest jedyną Rzeczywistością oraz jedyną Prawdą wpośród zmiennego i znikomego świata; którzy wierzymy w sankcję i spełnienie się zapowiedzi tego Ideału, zarówno w historii ludzkości, jak w życiu przyszłym; którzy wierzymy, że sankcja ta jest potrzebną, że jest ona nagrodą za braterstwo ludzkie, jako rozum wszechświata i logika Boga, — dla nas, którzy przeświadczeni o tem jesteśmy, jedna tylko pozostaje droga; Głośmy tę prawdę bez obawy i możliwie najdonośniej; rzućmy się z nią na arenę czynu, i — po nad ową walką bezładną — usiłujmy przeniknąć rozmyślaniem i wtajemniczaniem się indywidualnem do Świątyni Idei niewzruszonych, aby uzbroić się w niej w podstawy niezwalczone.

Drogę tę starałem się obrać w tej książce w nadziei, że inni pójdą za mną i uczynią to lepiej ode mnie.





KSIĘGA PIERWSZA  
R A M A  
CYKL ARYJSKI



Zoroaster zapytał Ormuzda, wielkiego Twórcę: „Kto jest pierwszym człowiekiem, z którym mówiłeś“?

Ormuzd odpowiedział: „Piękny Yima, który był na czele mężnych“.

Powiedziałem mu, aby czuwał nad światami, których jestem władcą i dałem mu złoty miecz, miecz zwycięstwa!

I poszedł Yima po drodze słońca i zgromadził mężnych w słynnej Airyana-Vačja, stworzonej czystą.

Zend-Avesta (Vendidad-Sadé)

2-i Fargard.

O Agni! Ogniu święty! Ty, który uszpiony jesteś w drzewie i wlatujesz płomieniem jasnym nad ołtarzem ofiarnym, tyś jest sercem ofiary, śmiałem wzbiciem się modlitwy w niebiosy, iskrą bożą utajoną w rzeczy każdej i świetlaną duszą słońca.

Hymn wedyjski.

I  
RASY LUDZKIE I POCZĄTEK RELIGJI

**N**iebo jest moim ojcem, spłodziło mnie ono. Rodziną jest mi całe to otoczenie niebieskie. *Matką moją jest wielka Ziemia. Najwyżej wzniesiona część jej powierzchni jest jej macicą; tutaj Ojciec zapładnia łono tej, która jest jego małżonką i córką jego*“.

Tak śpiewał przed czterema czy pięcioma tysiącami lat przed ołtarzem z ziemi, na którym płonął ogień suchych traw, poeta wedyjski. Głębią przeczucia wieszczego, potęgą uświadomienia tchną te słowa dziwne. Zawarta jest w nich tajemnica dwojakiego pochodzenia ludzkości. Boski typ człowieka poprzedza ziemię i jest nad nią wyższy; niebiańskie jest pochodzenie jego duszy. Ale ciało jego jest wytworem pierwiastków ziemskich zapłodnionych przez treść kosmiczną. Uściski Uranosa i wielkiej Matki oznaczają w mowie Tajników deszcze dusz czy monad duchowych, spadających, aby zapłodnić zarodki ziemskie; są to pierwiastki twórcze, bez których materja byłaby jedynie nieruchomą masą rozlaną. Część najbardziej wzniesiona powierzchni ziemskiej, którą poeta wedyjski nazywa macicą ziemi, oznacza łądy i góry, kolebki ras ludzkich. Co zaś do nieba: *Varuna*, grecki Uranos,



uosabia świat niewidzialny, nadmysłowy, wieczny i duchowy, obejmuje całą Nieskończoność Przestrzeni i Czasu.

W rozdziale niniejszym rozpatrywać będziemy ziemskie jedynie początki ludzkości podług tradycji ezoterycznych, uznanych i potwierdzonych przez współczesną wiedzę antropologiczną i etnologiczną.

Cztery rasy, zaludniające obecnie kulę ziemską, są córami rozmaitych stref i ziem. Stwarzane kolejno, drogą powolnego kształtowania się ziemi, wylaniały się lądy z mórz w znacznych odstępach czasu, nazywanych przez starożytnych kapłanów indyjskich cyklami przedpotopowymi.

Po przez tysiące lat rodził ląd każdy własną swoją florę i faunę, a uwieńczeniem tego dzieła było stworzenie rasy ludzkiej różnej barwy.

Ląd południowy, pochłonęły przez ostatni wielki potop, był kolebką pierwotnej czerwonej rasy ludzkiej. Szczałkami jej, pochodzącymi od Troglodytów, jaskiniowców, którzy przedostali się na szczyty gór podczas zapadania się ich lądu, są amerykańscy Indianie. Afryka jest macierzą rasy czarnej, nazwanej przez Greków etjopską. Azja wydała rasę żółtą, która utrzymała się w Chińczykach. Najpóźniej powstała rasa biała, której kolebką są lasy Europy, położone pomiędzy nawałnicami Atlantyku a uśmiechami morza Śródziemnego. Wszystkie odmiany ludzkie są wytworem pomieszań, połączeń, zwyrodnień czy doborów tych czterech wielkich ras. W okresach poprzednich rasa czerwona i rasa czarna panowały kolejno, wydawszy potężne cywilizacje, które pozostawiły ślady w postaci budowli cyklopicznych jak w architekturze Meksykańskiej. Świątynie Indji i Egiptu przechowały nieliczne tylko znaki cyfrowe i tradycje, dotyczące tych cywilizacji zanikłych. W naszym okresie góruje rasa biała, rzec też można, obliczając przypuszczalną starożytność

Indji i Egiptu, iż przewaga jej datuje od siedmiu czy ośmiu tysięcy lat<sup>1)</sup>.

Podług tradycji bramińskich, cywilizacja powstać miała na kuli ziemskiej przed 50 tysiącami lat, wraz z rasą czerwoną, na lądzie południowym, w epoce, kiedy cała Europa i część Azji pokryte były jeszcze wodą. Mitologie te wspominają jeszcze o uprzednim istnieniu jakiejś rasy olbrzymów. Odnaleziono w jaskiniach Tybetu olbrzymie kości ludzkie, których budowa przypomina raczej małpę niż człowieka. Są to szczątki ludzkości pierwotnej, przejściowej, bliskiej jeszcze zwierzętom, nie posiadającej mowy artykułowanej, ustroju społecznego, ani religii. Te trzy cechy powstają bowiem równocześnie i na tem właśnie polega znaczenie ciekawej owej tryjady bardyjskiej, która mówi: „Trzy rzeczy są pierwotnie równoczesne: Bóg, światło i wolność“. Wraz z pierwszymi artykułowanymi dźwiękami powstaje społeczeństwo oraz mgliste przecucie boskiego porządku rzeczy. Jest to tchnienie Jehowy w ustach Adama, zakłęcie Hermesa, prawo pierwszego Manu, ogień Prometeusza. Bóg drga w faunie ludzkiej. Rasa czerwona, jak mówiliśmy, zaludniała ląd południowy, dzisiaj pochłonięty przez ocean, nazwany przez Platona, w myśl tradycji egipskich, Atlantyda.

Wielki kataklizm zniszczył ją częściowo i rozproszył jej resztki. Niektóre rasy polinezyjskie oraz Indjanie Ameryki Północnej i Aztekowie napotkani przez Franciszka

---

<sup>1)</sup> Ten podział ludzkości na cztery kolejne rasy pierwotne przyjęty był przez najdawniejszych kapłanów egipskich. Uosabiają je cztery postacie o różnych typach i barwach, przechowane w malowidłach, zdobiących grób Sėti I-go w Tebach. Rasa czerwona nosi nazwę *Rot*; rasa azjatycka, o żółtej barwie skóry—nazwę *Amu*; rasa afrykańska, czarna—*Halasiu*; rasa lybijsko-europejska, biała, jasnowłosa—*Tamahu*.

(Lenormant: „Historja ludów Wschodu“).



Pizarro w Meksyku, są przeżytkami dawnej rasy czerwonej, której kultura, zatracona oddawna, miała swoje dni chwały i świetności materialnej. Wszyscy ci biedni spóźnieni potomkowie noszą w duszy swojej nieuleczalną melancholję, właściwą starym, zamierającym beznadziejnie rasom.

Po rasie czerwonej rasa czarna panowała na kul ziemskiej. Typu jej najbardziej skończonego nie należy szukać w zwyrodniałym murzynie, ale w Abisyńczyku i w Nubijczyku, w którym przechowały się cechy specyficzne tej rasy z doby jej rozkwitu. Czarni zajęli południe Europy w czasach przedhistorycznych i zostali wyparci stąd przez białych. Pamięć ich zaginęła zupełnie w tradycjach gminnych. Odcisnęli oni jednak na nich dwa piętna niezatarte: strach przed smokiem, który był godłem ich królów, oraz pojęcie, że djabeł jest czarny. Czarni wywzajemnili się za obelgę, czyniąc swojego djabła białym. W okresie przewagi swojej mieli czarni środowiska religijne w Górnym Egipcie i w Indjach. Ich miasta cyklopiczne wznosiły się na górach Afryki, Kaukazu i Azji Środkowej. Ich ustrój społeczny polegał na bezwzględnej teokracji. U szczytu kapłani, przed którymi drżano jak przed bóstwami; w dole szczepy rojące się bezładnie, bez podziału na rody, z kobietami-niewolnicami. Kapłani owi posiadali głęboką wiedzę, wyznawali zasadę boskiej jedności wszechświata oraz kult gwiazd, który pod nazwą *sabeizmu* przesiąknął do narodów białych <sup>1)</sup>. Nie było wszakże żadnego ognia łącznego pomiędzy wiedzą czarnych kapłanów, a bałwochwalstwem mas, żadnej

---

<sup>1)</sup> Porównaj historyków arabskich, jak Aboul-Ghazi, historję genealogiczną Tatarów i Mohammeda Moshen'a, historyka Persów.— William Jones, *Asiatic Researches*. I. Rozprawy o Tatarach i Persach.

sztuki ideowej ani mitologii urobionej na tle wrażeń. Po za tem wszakże był przemysł ich dość już rozwinięty, zwłaszcza zdolność miotania pocisków i posługiwania się w tym celu masami glazów olbrzymich oraz topienia metali w ogromnych paleniskach, przy których zatrudniano jeńców wojennych. Religją rasy tej, potężnej dzięki jej odporności fizycznej, sile namiętności i zdolności przywiązywania się, było panowanie siły oparte na strachu. W świadomości tych ludów dziecięco naiwnych występowała Natura i Bóg nie inaczej jak w postaci smoka, straszliwego zwierzęcia przedpotopowego, którego obraz malować sobie kazali królowie na swoich sztandarach i którego kształt wycinali kapłani na wrotach swoich świątyń.

O ile w palących promieniach słońca Afryki zrodziła się rasa czarna, rzecz można, iż lody bieguna północnego zrodziły rasę białą. Byli to owi Hyperborejczycy, o których mówi mitologia grecka. Ci ludzie rudowłosi, niebieskoocy, przedarli się z Północy przez gąszcze lasów oświetlonych zorzą północną; towarzyszyły im psy i reny, a przewodzili im mężni wodzowie, kierowani przez niewiasty jasnowidzące. Złoto ich włosów i lazur ich oczu harmonijny tworzyły zespół barw, wyróżniający tę rasę, przeznaczoną jak gdyby do stworzenia kultu słońca i ognia świętego i przyniesienia światu tęsknoty za niebem.

Przyjdzie taki okres, w którym burzyć się ona będzie przed niem i zapragnie wdrzeć się doń, to znów kryć się będzie przed jego wspaniałością w zachwycie bezgranicznym.

Podobnie jak inne, i rasa biała musiała wyzwolić się ze stanu dzikości, zanim budzić się w niej zaczęły pierwsze przebłyski samowiedzy. Wybitną jej cechą jest umiłowanie swobody jednostki, wrażliwość refleksyjna, stwarzająca zdolność współodczuwania oraz przewaga inte-



lektu, nadająca wyobraźni kierunek idealistyczny i symboliczny. Wrażliwość uczuciowa wytworzyła przywiązanie, wyróżnianie przez mężczyznę jednej kobiety, stąd skłonność tej rasy do monogamji, zasada życia małżeńskiego i rodzinnego. Wyobraźnia dążąca do ideałów stworzyła kult przodków, który stanowi podstawę i jądro religji narodów białych.

Pierwiastek społeczny i polityczny ujawnił się w dniu, w którym pewna liczba ludzi na wół dzikich, zagrożonych przez szczep wrogi, zgromadziła się, wiedzona instynktem, i wybrała najsilniejszego i najrozumniejszego z pośród siebie, aby bronił ich i przewodził nad nimi. Dzień ten był dniem narodzin społeczeństwa. Wódz jest przysłym królem, jego towarzysze — przyszłą szlachtą; starcy obradujący, lecz niezdolni do marszów wyteżonych, tworzą już rodzaj senatu lub rady starszych. W jaki wszakże sposób powstała religja? Utrzymywano, że zrodził ją lęk człowieka pierwotnego wobec zjawisk przyrody. Lęk wszakże nic nie ma wspólnego z szacunkiem i miłością. Nie wiąże on faktu z idea, rzeczy widomej z Nieznanem, człowieka z Bogiem. Dopóki człowiek drżał przed naturą, nie był jeszcze człowiekiem. Stał się nim w dniu, w którym uświadomił sobie związek, łączący go z przeszłością i przyszłością, z czemś wyższem i dobroczynnem, w dniu, w którym zbudziło się w nim uwielbienie dla tajemniczego tego nieznanego. W jaki jednak sposób objawiło się to uwielbienie po raz pierwszy?

Fabre d'Olivet kreśli genialnie pomyślaną, przekonującą hipotezę w sprawie sposobu, w jaki kult przodków miał powstać u rasy białej <sup>1)</sup>.

W klanie wojowniczym wybuchło starcie pomiędzy dwoma w półzawodniczącymi wojownikami. Rozwścieczeni

<sup>1)</sup> „Histoire philosophique du genre humain“ (Historja filozoficzna rodzaju ludzkiego). T. I. I.

chcą wstąpić w bój i już stają naprzeciw siebie. W tej samej chwili niewiasta jakaś z włosem rozwianym rzuca się pomiędzy nich i rozdziela ich. To siostra jednego, zarazem żona drugiego. Oczy jej ciskają płomienie, głos jej nabrał brzmienia rozkazu. Woła głosem zadyszczanym, urywanym, że widziała w lesie Przodka rasy, zwycięskiego ongi wojownika, który nagle ukazał się jej. Nie chce on, aby dwaj bracia walczyli z sobą wzajem, lecz żąda, aby się połączyli przeciwko wspólnemu wrogowi. „Cień wielkiego Przodka, cień bohatera-oznajmił mi to“, woła kobieta w uniesieniu — „przemówił do mnie! Widziałam go!“ Mówi z głębokim przeświadczeniem, że było tak istotnie, jak powiedziała. Przekonana przekonywa. Wzruszeni, zdumieni, jak gdyby zdruzgotani siłą niezmożoną, pojednani już przeciwnicy podają sobie dłonie i patrzą na kobietę natchnioną jak na rodzaj bóstwa.

Natchnienia podobne, po których następowały nagle, gwałtowne zmiany nastrojów, musiały występować często i pod różnemi postaciami w życiu przedhistorycznym rasy białej. U ludów barbarzyńskich kobieta jest pierwszą, która dzięki swojej wrażliwości nerwowej przeczuwa siły tajemne, stwierdza objawianie się światów niewidzialnych. Uprzymiemy sobie teraz wyniki nieoczekiwane i zdumiewające podobnego wydarzenia.

Cała ludność klanu poruszona jest nadzwyczajnym tym faktem, mówią o wydarzeniu cudownem. Dąb, pod którym natchniona niewiasta ujrzała zjawę, staje się drzewem świętem. Prowadzą ją na to miejsce: i tu pod czarodziejskim, magnetycznym wpływem księżyca, wprowadzającą ją w stan jasnowidzenia, przemawia w dalszym ciągu głosem proroczym w imieniu wielkiego Przodka. Niebawem niewiasta owa i inne jej podobne, stojąc na skałach, czy w pośród polan leśnych, przy wtórze wiatru i ryku dalekiego Oceanu, wyczarowuje



mgliste zjawy przodków wobec zdjętych dreszczem trwogi tłumów. I tłumy te, porwane zapalem i ekstazą niewiasty, zobaczą te zjawy lub uwierzą, że je widzą, pociągnięte czarem, zaklętym w mgły lotne, unoszące się nad łąkami i osrebrzone blaskami księżycowemi. Ostatni z wielkich Celtów, Ossjan, wywoła z mgieł tych ducha Fingala i jego towarzyszy. W ten sposób w samych już zaczątkach życia społecznego rodzi się kult przodków u ludzi rasy białej. Wielki Przodek staje się Bogiem plemienia. I oto mamy już początek religji.

Ale to jeszcze nie wszystko. Dokoła prorokini gromadzą się starcy, którzy przypatrują się jej w chwilach jej snów na jawie, w momentach natchnień jej wieszczych. Badają oni jej stany zmienne, kontrolują jej objawienia, wyjaśniają jej słowa prorocze. Spozzegają, że w chwilach natchnień wieszczych, w stanie jasnowidzenia, twarz jej przeobraża się, mowa staje się rytmiczną, a głos podniesiony wypowiada proroctwa śpiewnie, melodią poważną i dźwięcznie w ucho wpadającą.<sup>1)</sup> Stąd wiersz, strofa,

---

<sup>1)</sup> Wszystkich, którzy mieli sposobność widzenia prawdziwej wizjonerki, uderzyć musiało dziwne podniecenie umysłowe, objawiające się w jej śnie na jawie. Dla tych, którzy nie bywali świadkami podobnych przejawów i którzy mogliby mieć wątpliwości w tym kierunku, przytoczę ustęp z dzieła znanego Dawida Straussa, którego nie można podejrzewać o przesady. Widział on u przyjaciela swego, Justyna Kenera, słynną „jasnowidzącą z Preworst” i tak ją opisuje: „Wkrótce potem jasnowidząca wpadła w sen magnetyczny. Po raz pierwszy wówczas miałem przed sobą obraz zdumiewającego tego stanu i, rzec mogę, w najczystszej i najpiękniejszej jego postaci. Była to twarz o wyrazie bolesnym, ale wzniosłym i czułym, jak gdyby opromieniona światłem niebiańskim; *język jasny, miarkowany, uroczysty, dźwięczny, rodzaj recytatywu*; bogactwo uczucia, przelewające się na zewnątrz, które możnaby przyrównać do zwojów mglistych oraz świetlnych, to znów ciemnych, przeszlizgujących się po nad duszą, lub też do *melancholijnych i cichych fal zefiru muskających struny cudownej harfy eolskiej*“ (Biografia ogólna, art. Kerner).

poezja i muzyka, której źródło uważane jest za boskie przez wszystkie ludy aryjskie. Pojęcie objawienia nie mogło powstać na innej drodze, jak tylko w łączności z faktami podobnego rodzaju. Zarazem też wytryska z nich poczucie religijne, potrzeba kultu, kapłanów i poezji.

W Azji, w Iranie i w Indjach, gdzie ludy białe zapoczątkowały pierwsze cywilizacje aryjskie, połączywszy się z ludami barwy odmiennej, mężczyźni rychło wzięli górę nad kobietami w zakresie natchnień religijnych. Mowa tam już jest tylko o mędrcach, o rishi, o prorokach. Kobieta odsunięta, podległa, jest już kapłanką tylko przy ognisku domowem. W Europie natomiast odnajdujemy ślady górującej roli kobiety u ludów tego samego pochodzenia, pozostających w stanie barbarzyńskim w ciągu tysiącleci. Uwydatniają się one w Pythonissie, wróżbiarce skandynawskiej, w Voluspie Eddy, w druidyjskich kapłankach celtyckich, we wróżbitkach towarzyszących armjom germańskim i rozstrzygających o dniach wydawania bitew<sup>1)</sup>, i wreszcie w Bachantkach tracejskich, o których mowa jest w legendzie o Orfeuszu. Wieszcziarka przedhistoryczna odradza się w Pytji Delfijskiej.

Prorokinie pierwotne rasy białej tworzyły zgromadzenia druidek pod dozorem starców uczonych czyli druidów, ludzi z pod dębu. Zrazu był wpływ ich prawdziwie dobroczynny. Intuicją swoją, boskiem swoim natchnieniem, zapaleń nadawały one olbrzymi rozpęd duchowy rasie, która stała za ledwie u progu wielowiekowej walki swojej z rasą czarną. Rychło jednak uległa instytucja druidek rozprzężeniu. Nieuniknionemi stały się wówczas ogromne nadużycia. Czując się paniami losów rodzimych szczepów, zapragnęły druidki utrwalić to panowanie, za wszelką cenę. Nie mogąc stale liczyć na natchnienie, próbowały

<sup>1)</sup> Porówn. ostatnią bitwę Ariovista i Cezara w *Komentarzach* Cezara.



w braku jego panować grozą. Żądały ofiar w ludziach i uczyniły z nich pierwiastek podstawowy swojego kultu. Instykty bohaterskie ich rasy wielce były im w tym względzie pomocne. Białych cechowało męstwo i ich wojownicy lekceważyli śmierć, na pierwsze zaraz wezwanie zjawili się sami i z zapalem junackim rzucali się pod nóż krwawych kapłanek. Żywych wysyłano w poselstwie do zmarłych, aby tą drogą zyskać łaski przodków. Ta groźba nieustanna zawieszona nad głowami pierwotnych wojowników i spadająca w postaci wyroków głoszonych ustami proroków i druidek, stała się w rękach ich potężnym narzędziem władzy.

Mamy tu pierwszy przykład wypaczenia, jakiemu z konieczności ulegają najszlachetniejsze porywy natury ludzkiej, gdy nie miarkuje ich władza rozumna, mająca dobro jedynie na względzie i zdążająca ku niemu, pod wpływem wyższego uświadomienia. Wydane na łup ambicji i namiętności osobniczych, przeistacza się natchnienie w przesąd, męstwo staje się okrucieństwem, wzniosła idea ofiary — narzędziem tyranji, wyzyskiem podstępny i okrutny.

Były to jednak pierwsze dopiero zaczątki, gwałtowne i nieobliczalne w swym szale dzieciństwo rasy białej. Pełna zapala w dziedzinie duchowej, wystawiona ona być miała na wiele innych, bardziej jeszcze krwawych przełomów. Zbudziły ją do czynu pierwsze napaści rasy czarnej, która zaczynała zagarniać ją od południa Europy. Walka była z początku nierówna. Biali, nawpół dzicy, wychodzący ze swoich lasów lub mieszkań nawodnych, mieli za jedyną broń łuki, dzidy i strzały o ostrzach kamiennych. Czarni uzbrojeni byli w broń żelazną, w rynsztunek spiżowy, posiadali wszystkie środki walki, jakich im dostarczyła ich cywilizacja pomysłowa i cyklopiczne ich grody. Zmiażdżeni w pierwszym starciu, uprowadzeni zostali

Biali w niewolę Czarnych, którzy zmusili ich do rozbijania i obrabiania kamieni oraz do topienia metali w wielkich ich paleniskach. Rychło wszakże zaczęli ratujący się ucieczką zbiegowie wprowadzać do ojczyzny swojej obyczaje, sztuki, rzemiosła, a także okruchy wiedzy zwycięzców. Biali nauczyli się od Czarnych dwóch rzeczy zasadniczych: topienia metali i świętego pisma, to znaczy sztuki utrwalania myśli swoich za pomocą tajemniczych znaczków hieroglificznych rysowanych na skórach zwierząt, na kamieniach lub też na korze jesionów, — co dało początek runom celtyckim. Metal stopiony i przekuty dawał broń wojenną; święte pismo było zaczątkiem nauki i tradycji religijnej. Walka rasy białej z czarną toczyła się ze zmiennem szczęściem w ciągu długich wieków od Pirenejów do Kaukazu i od Kaukazu do Himalajów. Zbawieniem Białych były ich lasy, gdzie jak dzikie zwierzęta mogli kryć się, aby wypadać z nich w chwili odpowiedniej. Ośmieleni, zahartowani w bojach, coraz lepiej zbrojni ze stulecia na stulecie, osiągnęli wreszcie odwet: zburzyli miasta Czarnych, wypędzili ich z wybrzeży Europejskich i zajęli z kolei całą północ Afryki oraz środek Azji, zaludniony przez szczepy rasy czarnej.

Zmieszanie obu ras dokonane zostało dwojakim sposobem: bądź drogą pokojowej kolonizacji, bądź — podboju wojennego. Fabre d'Olivet, cudownie wskrzeszający obraz przedhistorycznej przeszłości świata, niezmiernie jasny rozwija pogląd na powstanie narodów zwanych semickimi i narodów zwanych aryjskimi, przyczem punkt wyjścia jego jest następujący: Tam, gdzie biali osadnicy poddali się dobrowolnie narodom czarnym i podporządkowali się im, przyjmując z rąk ich kapłanów wtajemniczenie religijne, utworzyć się miały ludy semickie, jak: Egipcjanie z przed Menesa, Arabowie, Fenicjanie, Chaldejczycy i Żydzi. Cywilizacje aryjskie natomiast powstać miały tam, gdzie Biali



panowali nad Czarnymi dzięki zwycięstwu czy podbojowi; takim np. miało być pochodzenie Irańczyków, Hindusów, Greków i Etrusków. Dodajmy, że tą nazwą narodów aryjskich obejmujemy też narody białe, które pozostały w starożytności w stanie barbarzyńskim i koczowniczym, jak np.: Scytów, Getów, Sarmatów, Celtów, a w następstwie Germanów. Tłumaczyłaby się tem zasadnicza różnorodność religii i pisma tych dwu wielkich kategorii narodów. U Semitów, na których pierwotnie wpływ przeważający wywierała umysłowość rasy czarnej, zauważyć się daje — po nad powszechnem bałwochwalstwem — dążenie do monoteizmu, — bowiem ukryta doktryna jedności Boga nieosobowego i bezwzględnej była jedną z głównych zasad wiary kapłanów czarnej rasy oraz ich wtajemniczenia. U Białych, którzy bądź jako zwycięzcy bądź z innych powodów pozostali czysti, spostrzegać się daje, przeciwnie, dążenie do wielobóstwa, do mitologii, do personifikacji bóstwa, co wypływało z ich umiłowania natury i z ich namiętnego kultu przodków.

Na tej samej drodze wytłumaczyć się też daje zasadnicza różnica pomiędzy pismem Semitów i Aryjczyków. Dlaczego wszystkie narody semickie piszą idąc od ręki prawej ku lewej, a ludy aryjskie — od lewej ku prawej? Fabre wyjaśnia to w sposób zarazem ciekawy i oryginalny. Wyjaśnienie jego daje nam istną wizję zaginionionej tej przeszłości.

Wiadomo powszechnie, że w czasach przedhistorycznych nie istniało swykle pismo. Sztuka pisania polegała na oddawaniu znakami dźwięków wyrazów. Pismo hieroglificzne, czyli sztuka przedstawiania rzeczy różnemi znakami, sięga najpierwszych zaczątków cywilizacji. W owych czasach pierwotnych była ona przywilejem kapłanów, uważana bywiem była za coś świętego, jako obrządek reli-

gijny, a pierwotnie nawet jako wyraz natchnienia boskiego. Kiedy na południowej półkuli kapłani rasy czarnej, czyli sudańskiej, kreślili na skórach zwierzęcych lub też na płytach kamiennych swoje znaki tajemnicze, zwracali przytem zazwyczaj twarz ku biegunowi południowemu; ręka ich skierowana była ku Wschodowi, źródłu światła, dlatego pisać musieli od strony prawej ku lewej. Kapłani rasy białej, czyli północnej, nauczyli się pisma od kapłanów czarnych i pierwotnie pisać zaczęli w ten sam sposób jak oni. W miarę jednak, jak budzić i rozwijać się w nich zaczęło poczucie odmienności pochodzenia, świadomość narodowa i ambicja czy duma rasowa, wymyślać zaczęli własne swoje znaki i, zamiast zwracania się w stronę Południa, ku krainie Czarnych, zwracali się ku Północy, ku krajowi Przodków i pisali w stronę Wschodu, — wskutek czego stawiać zaczęli znaki od strony lewej ku prawej. Tem się tłumaczy kierunek runów celtyckich, znaków zendu czyli języka starożytnych Persów, sanskrytu, języka greckiego, łacny i wszystkich wogóle pism ras aryjskich. Biegają one w kierunku słońca, źródła życia na ziemi; ale zwrócone są ku Północy, ojczyźnie Przodków i tajemnemu źródłu jutrzni niebiańskich.

Prąd semicki i prąd aryjski stanowią dwa strumienie; któremi szły do nas wszystkie nasze światopoglądy, mitologie nasze i religje, sztuki, nauki i doktryny filozoficzne. Każdy z tych prądów przynosi ze sobą odmienny światopogląd, a ujednostajnienie tych pojęć odmiennych i ich pojednanie dałoby prawdę właściwą. Prąd semicki obejmuje zasady bezwzględne i wyższe: pojęcie jedności i powszechności w imię idei kierowniczej, która w zastosowaniu swoim prowadzi do zjednoczenia całego rodu ludzkiego. Prąd aryjski mieści w sobie ideę rozwoju, idącego wzwyż po przez wszystkie królestwa ziemskie i pozaziemskie, i prowadzi, w zastosowaniu swoim, do



nieskończonej różnorodności rozwoju w imię nieprzebranego bogactwa natury i wielorakich dążeń duszy. Genjusz semicki zstępuje od Boga do człowieka; genjusz aryjski wznosi się od człowieka do Boga. Symbolem pierwszego jest archanioł, wymierzający sprawiedliwość i zstępujący na ziemię, zbrojny w miecz i piorun; drugiego — Prometheus, dzierżący w dłoni ogień porwany z niebios i hardo mierzący wzrokiem Olimp.

My dzisiaj nosimy w sobie oba te genjusze. Myślimy i działamy z kolei pod wpływem jednego i drugiego. Są one jednak splecione bezładnie, a nie zlane w jedną całość w naszej umysłowości. Przeciwstawiają się wzajem sobie i zwalczają w naszym poczuciu wewnętrznym i w naszym myśleniu nieuchwytnym tak samo jak w naszym życiu społecznym i w naszych urządzeniach publicznych.

Ułajone pod różnorodnymi postaciami, które mogłyby sprowadzić do dwu mianowników ogólnych: spirytualizmu i naturalizmu, nadają one kierunek naszym dyskusjom i walkom naszym. Niezwalczone są oba i nie dają się pogodzić z sobą wzajem. Któż je złączy? A jednak od ich pojednania, od zlania się ich w jedną syntezę zależy postęp i zbawienie ludzkości. Dlatego też w pracy niniejszej chcielibyśmy dotrzeć do źródła obu prądów, do narodzin dwu genjuszów. Po przez walki dziejowe, wojny kultów, sprzeczności tekstów świętych przenikniemy w głąb sumień twórców ich i proroków, którzy nadali religjom kierunek pierwotny. Posiedli oni zarazem intuicję wieszczą i natchnienie, przychodzące z góry, żywe światło, rodzące czyn płodny. Synteza istniała w nich, tkwiła w ich duszach od początku. Promień boski zbladł i ściemnił się w ich następcach; wyblaskuje on jednak ponownie, ilekroć w danym momencie dziejowym prorok jakiś, bohater, czy jasnowidzący wznieść się zdoła do samego źródła jasności. Bowiem cel dostrzec można tylko z punktu

ośrodkowego; ze słońca promieniującego — bieg planet. Taki przebieg mają dzieje objawienia. Jest ono stałe, stopniowe, wielopostaciowe jak natura, — ale płynące z jednego źródła, jedyne, jak jedyną jest prawda, stałe i niewzruszone jak Bóg.

Idąc wstecz drogą prądu semickiego, dochodzimy z Mojżeszem do Egiptu, którego świątynie miały — podług Manéthona — tradycję trzydziestu tysięcy lat. Idąc wstecz drogą prądu aryjskiego, dochodzimy do Indji, gdzie rozwinęła się pierwsza wielka cywilizacja, jako wynik podboju, dokonanego przez rasę białą. Indje i Egipt były dwiema wielkimi macierzami religji. Posiadły one tajemnicę wielkiego wtajemniczenia. Wejdziemy do ich świętych przybytków.

Tradycje ich wszakże prowadzą nas jeszcze dalej, do epoki odleglejszej, w której dwa genjusze, rozpatrywane przez nas, zjednoczone są w pierwotnej swojej niewinności i cudownie z sobą szarmonizowane. Jest to pierwotna epoka aryjska. Wspaniałe prace nauki współczesnej, zdo- bycze filologii, mitologii i etnologji porównawczej dają nam obecnie możność uchylenia zasłony, kryjącej tę epokę tak odległą. Zarysowuje się ona z prostotą iście patryjar- chalną i wspaniałą czystością linii po przez hymny we- dyjskie, które stałem się zaledwie jej odbiciem. Jest to wspaniały okres męskości, nie przypominający w niczem złotego okresu dziecięctwa, o którym śnią poeci.

Nie brak w nim bólu i walki, jest jednak w ludziach ufność, siła i pogoda ducha, których ludzkość nigdy już później nie odzyskała.

W Indjach myśl pogłębi się, a uczucia ulegną wy- subtelnieniu. W Grecji uczucia i myśli spowinięte zostaną w urok sztuki, przyodzieją się w czarowną szatę piękna. Nie istnieje jednak poezja szczytniejsza od niektórych hymnów wedyjskich, przewyższająca je wzniosłością mo-



ralną i głębią myśli. Jest w nich poczucie boskości natury, świata niewidzialnego, który ją otacza i wielkiej jedności, przenikającej całość.

W jaki sposób zrodzić się mogła kultura podobna? Jak mogła rozwinąć się umysłowość taka wpośród zażartych wojen, jakie wiodły z sobą rasy, oraz ciągłej walki z naturą? Na tem miejscu zatrzymują się dociekania i domysły nauki współczesnej. Głębiej jednak docierają tradycje religijne narodów, pojmowane w ich znaczeniu ezoterycznym. Pozwalają nam one przypuszczać, że pierwsze skupienie jądra aryjskiego w Iranie wytworzyło się dzięki pewnego rodzaju doborowi, dokonanemu w samem łonie rasy białej pod przewodem zwycięskiego jakiegoś prawodawcy, który dał ludowi swojemu religię i prawa zgodne z genjuszem rasy białej. Księga święta Persów, *Zend-Avesta*, mówi w istocie o starożytnym takim prawodawcy, nazywając go imieniem Yimy. Zoroaster, tworząc nową religję, powołuje się na poprzednika tego, jako na pierwszego człowieka, do którego przemawiał Ormuzd, Bóg żywy, podobnie jak Chrystus powołuje się na Mojżesza.—Poeta perski, Firdusi, nazywa tego samego prawodawcę: Djem, zwycięzca Czarnych.— W epoce hinduskiej, w *Ramayanie*, zjawia się on pod nazwą: *Rama* i w szacie króla indyjskiego, otoczonego wspaniałością wysoko rozwiniętej kultury; zachowuje on tu jednak podwójną swoją cechę: zdobywcy-odnowiciela i zarazem wtajemniczonego.— W tradycjach egipskich epoka Ramy określona jest jako epoka panowania Ozyrysa, pana światła, poprzednika Lzydy, królowej tajemników.

W Grecji wreszcie, starożytny bohater, pół-bóg, czczony był pod mianem Djonizosa, pochodzącem z sanskryckiego *Deva Nahusha*, boski odnowiciel. Orfeusz nadał nawet nazwę tę boskiemu Rozumowi, a poeta Nonnus opiewał podbój Indji przez Djonizosa zgodnie z tradycjami Eleuzyńskimi.

Wszystkie tradycje te, jak promienie jednego i tego samego koła wskazują na jeden punkt środkowy wspólny. Idąc w ich kierunku, można dotrzeć do niego. Wówczas, po przez Indie Wedów, przez Iran Zoroastra, w pierwszym szarym brzasku rasy białej, dostrzeżemy wychodzącego z gęstwin leśnych dawnej Scytji pierwszego twórcę religii aryjskiej, promieniejącego podwójną glorią zwycięzcy i wtajemniczonego, niosącego w dłoni ogień tajemny, ogień święty, który oświeci wszystkie rasy.

Sława odnalezienia tej osobistości należy się Fabrowi d'Olivet<sup>1</sup>); utworzył on drogę świetlaną, która do niej prowadzi. Idąc też śladem przez niego wytkniętym, będą usiłował i ja z kolei ją odtworzyć.

---

<sup>1</sup>) „*Histoire philosophique du genre humain*“. (Historja filozoficzna rodzaju ludzkiego) T. I.



II  
POŚLANNICTWO RAMY

Na cztery czy pięć tysięcy lat przed naszą erą gęste lasy pokrywały jeszcze dawną Scytję, ciągnącą się od Oceanu Atlantyckiego aż do mórz podbiegunowych. Czarni, którzy byli świadkami narodzin tego lądu, wyspa po wyspie nazwali go „ziemią wyłonioną z fal“. Jakież przeciwieństwo z ich ziemią białą spaloną od słońca, stanowiła ta Europa o zielonych wybrzeżach, o zatokach wilgotnych, głęboko wrzynających się w ląd, o sennych rzekach, ciemnych toniach jezior, o smugach mgieł, snujących się wiecznie po zboczach gór! Na porośłych trawą, nieuprawnych, rozległych jak pampasy płaszczynach nie słychać było nic po za wyciem dzikich bestji, rykiem bawołów i ogłuszającym galopem stadnin dzikich koni, pędzących z rozwianymi na wietrze grzywami. Człowiek biały, zamieszkujący te lasy, nie był już jaskiniowcem. Mógł już uważać się za pana tej ziemi. Wymyślił już noże i topory z krzemienia, umiał sporządzać łuki i strzały, proce i sidła, i znalazł dwóch towarzyszy walki, dwóch przyjaciół doskonałych na śmierć i życie: psa i konia. Pies domowy, który stał się wiernym, czujnym stróżem jego chaty skleconej z drzewa, zapewnił mu bezpieczeń-

stwo domowego ogniska. Dzięki poskromieniu konia zdobył on ziemię, poddał władzy swej inne zwierzęta, stał się królem obszarów. Na grzbietach płowych rumałów pędzili i wirowali rudowłosi olbrzymi lotem błyskawicy. Zabijali niedźwiedzia, wilka, żubra, rzucali postrach na panterę i lwa, które w epoce owej zamieszkiwały nasze lasy.

Cywilizacja rozpoczęła swój pochód: zaczątki rodziny, klan, plemię — istniały już. Scytowie, synowie Hyperborejczyków, wznosili już wszędzie na cześć przodków swoich potworne menhiry.<sup>1)</sup>

Po śmierci wodza grzebano wraz z nim jego zbroję i konia, aby mógł — jak mówiono — dosiadłszy go, zwalczyć ognistego smoka na tamtym świecie. Stąd zwyczaj składania ofiary z konia, odgrywający tak wielką rolę u Wedów i Skandynawów. Religja rozpoczynała się więc od kultu przodków.

◀ Semici odnaleźli jedynego Boga, Ducha wszechświata w pustyni, na szczycie gór, w bezmiarze gwiazdnych przestrzeni. Scytowie i Celtowie znajdowali Bogów swoich, duchy wielorakie, duchy w gąszczach lasów rodzinnych. Tam słyszeli głosy, tam przenikały ich po raz pierwszy dreszcze Niewidzialnego, wizje Zaświatów. Dla tego też las zachwycający czy groźny drogim pozostał rasie białej. Pociągana melodją liści i czarem światła księżycowego, powraca ona do niego wciąż w biegu wieków, jako do źródła Młodości, do świątyni pramacierzy Herty. Uśpione są w nim jej bóstwa, jej ukochania, jej utracone tajniki.

Od najdawniejszych czasów przepowiadały jasnovidzące niewiasty przyszłość, stojąc pod drzewami. Każdy

---

<sup>1)</sup> *Menhiry* — bloki kamienne, prawdopodobnie grobowce, przedhistoryczne pomniki celtyckie.



szczep miał swoją wielką prorokinię, jak Woluspa Skandynawów z całym swoim orszakiem druidek. Kobiety te jednak, zrazu wzniosłe natchnione, stały się ambitnymi i okrutnymi. Dobre prorokinie przeistoczyły się w złe czarownice. Ustanowiły one ofiary z ludzi i krew poświęcanych zraszała nieustannie grobowce druidów, przy akompaniamencie ponurego śpiewu kapłanów i radosnych okrzyków okrutnych Scytów. Młodzieniec pewien, imieniem Ram, sposobił się również do kapłaństwa, skupiona jednak dusza jego i głęboki umysł wzdrygały się przed krwawym tym kultem.

Młody druid łagodny był i poważny. Od wczesnego dzieciństwa okazywał już skłonności szczególne do poznawania roślin, ich cudownych własności; umiał wyciskać i przyrządzać soki z nich; bardzo zajmowało go również badanie gwiazd i ich wpływu. Zdawał się odgadywać, widzieć rzeczy dalekie. Stąd od lat najmłodszych wielkie uznanie dla niego najstarszych nawet druidów. Słowa jego, cała jego postać tchnęły dobrocią jakąś wielkością. Jego spokój mędrca zupełnem był przeciwstawieniem opętania druidek, głosicielek klątw, rzucanych przez nie w ponurych wyroczniach, w konwulsjach szału. Druidzi nazwali go „tym, który wie“, a lud dał mu miano „natchnionego pokojem“.

W poszukiwaniu nauki boskiej wędrował Ram po całej Scytji i po krajach południowych. Kapłani Czarnych, pociągnięci ogromem jego wiedzy, a zarazem jego skromnością, udzielili mu części swoich tajników. Po powrocie do kraju Północy przerażony był Ram nadzwyczajnem wzmożeniem się kultu ofiar ludzkich, w którym widział zgubę swojej rasy. Jaką jednakże drogą zwalczyć ten zwyczaj, mający źródło w dumie druidek, szerzony przez ambitnych druidów i podtrzymywany przez lud zabobonny? W owym czasie inna spadła na Białych kłęska,

w której dopatrywał się Ram kary niebios za kult świętokradzki. Z wycieczek swoich do krain Południa i stykania się z Czarnymi zawlekli Biali do kraju swego straszliwą chorobę, rodzaj dżumy. Zakażała ona krew ludzi, główne źródło życia. Plamy czarne występowały na całym ciele, oddech stawał się cuchnącym, nabrzmiałe i pokryte wrzodami członki zniekształcały się i chory umierał wśród najsroźszych męczarni. Oddech żywych i odór zmarłych szerzyły zarazę. Przerażeni Biali padali i konali tysiącami w swoich lasach, opustoszonych nawet przez ptactwo drapieżne. Ciężko strapiiony Ram szukał napróżno drogi ratunku.

Zwykł był on oddawać się rozmyślaniom pod dębem, stojącym na polanie leśnej. Pewnego wieczora, po wielogodzinnem rozmyślaniu o nieszczęściach swojej rasy, usnął pod swoim ulubionem drzewem. We śnie zdawało mu się, że ktoś woła go po imieniu i że się obudził. W chwili tej ujrzał przed sobą postać olbrzymią, odzianą, jak on sam, w białą szatę druida. W rękę trzymała ona laseczkę, dokoła której owijał się wąż. Zdziwiony Ram chciał zapytać nieznajomego o znaczenie laseczki, gdy wtem zjawa ujęła go za rękę, kazała mu powstać i wskazała mu na drzewie, pod którym był uspiony, prześliczną gałąź jemioly. „Ramie! — rzekła zjawa — oto lek, którego szukasz!” Mówiąc to, wyciągnęła z łona swego mały złoty nożyk ogrodniczy, ścięła nim gałąź i dała mu ją, poczem, szepnąwszy kilka słów o sposobie przygotowania jemioly, znikła.

Wówczas Ram zbudził się na dobre, czując się znacznie pokrzepionym na duchu. Głos wewnętrzny mówił mu, że znalazł zbawienie. Bezwłocznie zajął się przygotowaniem jemioly wedle wskazówek boskiego swego przyjaciela. Gdy napój był gotów, rozpuścił go w płynie sfermentowanym i dał go do wypicia jednemu z chorych,



który odrazu ozdrowiał. Cudowne kuracje, których dokonał, okryły go sławą w całej Scytji. Wzywano go wszędzie, aby uzdrawiał. Gdy druidzi jego szczepu zapytali go o skład leku, wyjawił im swoją tajemnicę, zaznaczając wszakże, że musi ona pozostać wyłączną własnością kasty kapłańskiej, aby nie pozbawić jej autorytetu. Uczniowie Rama, którzy obchodzili całą Scytję z gałązkami jemioli, uważani byli wszędzie za wysłańców boskich, a mistrz ich za pół-boga.

Wydarzenie to stało się źródłem nowego kultu. Jemiola uważana była odtąd za roślinę uświęconą. Na jej pamiątkę ustanowił Ram święto Kolendy czyli nowego zbawienia, które obchodzono na początku roku i które nazwał Nocą macierzystą (matką nowego słońca) czyli wielkiem odnowieniem. Co się tyczy owej istoty tajemniczej, którą Ram ujrzał we śnie i która pokazała mu jemiolę, nosi ona w tradycji ezoterycznej Białych Europejskich nazwę *Aesc-heył-hopa*, co oznacza: „nadzieja zbawienia jest w lesie“. Grecy zrobili z niej Eskulapa, genjusza medycyny, trzymającego w ręku różdżkę czarnoksięską w postaci laski bożka, dokoła której owija się wąż.

„Natchniony pokojem“ Ram miał jednak szersze cele na względzie. Chciał on uleczyć naród swój z choroby moralnej, gotującej mu sroższą jeszcze klęskę niż dzuma. Z chwilą, gdy obrany został naczelnym druidem swojego szczepu, nakazał wszystkim druidom i druidkom, aby położyli kres przynoszeniu ofiar z ludzi.

Nowina ta rychło obiegała wszystkie ziemie aż do oceanu, witana wybuchami radości przez jednych, wywołująca, jako zamach bluźnierczy, oburzenie innych. Druidki, czując, że władza ich jest zagrożona, najokropniejsze rzucały klątwy na śmiałka, głosiły na niego wyroki śmierci. Wielu druidów widzących w mordach ofiarnych jedyny sposób utrzymania się przy władzy, stanęło po ich

stronie. Ram, ubóstwiany przez jednych, nienawidzony był przez innych. Nietylko jednak nie cofnął się przed walką, ale zaostriżył ją przyjęciem nowego symbolu. Każdy szczep biały posługiwał się wówczas znakiem umówionym w postaci zwierzęcia, symbolizującego jego ulubione cechy. Jedni wodzowie wyrzynali na odrzwiach drewnianych swoich domostw podobizny żórawi, inni — orłów lub sępów, jeszcze inni głowy dzików lub bawołów. Były to pierwsze zaczątki późniejszych herbów. Ulubionym symbolem, malowanym przez Scytów na ich chorągwiach był Byk, którego nazywali Thor, znak siły brutalnej przemocy. Ram przeciwstawił Bykowi — Barana, odważnego, ale pokojowo usposobionego wodza stada, obrał go za znak umówiony, wyróżniający wszystkich swoich stronników. Sztandar ten, zatknięty w pośrodku Scytji, stał się hasłem do wielkich zamieszek, spowodował istną rewolucję w umysłach. Narody białe rozdzieliły się na dwa obozy. Przełom nastąpił w głębi duszy Białych, którzy pierwszy zrobili krok na drodze wyzwolenia się ze zwierzęcej brutalności i wzniesienia się ku niewidzialnemu sanktuarjum, wiodącemu do boskiej ludzkości. „Śmierć Baranowi!“ wołali stronnicy Byka. „Na bój z Bykiem!“ głosili przyjaciele Rama. Nieuniknioną stała się walka potężna.

Wobec podobnego stanu rzeczy zawahał się Ram. Czy rozpętanie walki takiej nie było pogorszeniem zła i skazaniem rasy swojej na zagładę w wojnie bratobójczej? W tym momencie miał on ponowne widzenie.

Ciężkie, ciemne chmury zasnuły cały strop nieba. Stały się po zboczach gór i w pędzie czepiały się miotanych wichrem wierzchołków drzew. Stojąca na skale postać niewieścia z włosiem rozwichrzonym już ramię podniosła, aby zadać cios śmiertelnikowi, związanemu u jej stóp. „W imię przodków, wstrzymaj się!“ krzyknął



Rama, rzucając się na kobietę. Druidka groźnie spojrzała na przeciwnika, topiąc w nim wzrok od sztyletu ostrzej-szy. Wtem ryknął grzmot potężny i w błysku pioruna ukazała się postać olśniewająca. Blask, który bił od niej, rozjaśnił las cały. Kobieta padła jak rażona; pękły więzy, któremi spętany był wojownik, patrzący z błyskiem wyzwania w oczach na postać olbrzyma promiennego. Ram nie czuł jednak lęku, bowiem w rysach widziadła poznał istotę boską, która raz już objawiła mu się pod dębem. Wydała mu się teraz jeszcze piękniejszą; całe ciało jej promieniowało z siebie jasność. I spostrzegł Ram, że znajdował się w otwartej świątyni, otoczonej szeregiem wielkich kolumn.

Na miejscu kamienia ofiarnego wznosił się ołtarz. Przed ołtarzem stał wojownik, którego oczy wciąż jeszcze wyzywały śmierć. Kobieta leżąca na posadzce, wydawała się martwą. Genjusz niebiański dzierżył w prawej dłoni pochodnię, a w lewej — czarę. Uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł: „Ramie, zadowolony jestem z ciebie. Czy widzisz tę pochodnię? To ogień święty Ducha boskiego. Czy widzisz tę czarę? To czara Życia i Miłości. Daj pochodnię mężczyźnie a czarę kobiecie“. Ram uczynił, jak mu nakazał Genjusz. Z chwilą, gdy pochodnia dostała się do rąk mężczyzny, a czara do rąk kobiety, ogień zapłonął na ołtarzu, sam przez się, a oboje oni promienieli przeistoczeni w jego błysku, jako para boskich Oblubieńców. Równocześnie rozszerzyła się świątynia; kolumny sięgnęły nieba; sklepienie stało się stropem niebieskim. Wówczas Ram, pogrążony wciąż w śnie swoim wieszczym, ujrzał się na szczycie góry pod niebem gwiazdzistym. Stojący przed nim Genjusz jego wyjaśniał mu znaczenie układów gwiazdnych i pozwolił mu odczytywać w płomiennych znakach zodiacalnych losy ludzkości.

„Duchu cudowny, kim jesteś?” — zapytał Ram swego Genjusza. A Genjusz odpowiedział: „Nazywają mnie Dva Nahusha, Rozum boski. Rozsiejesz promień mój na ziemi, a ja przyjdę zawsze na twoje wezwanie. A teraz idź obroną drogą. Tam!” I dłonią wyciągniętą wskazał mu Genjusz Wschód.



III  
WYJŚCIE I PODBÓJ

Senne to widzenie otworzyło oczy Ramie, jak gdyby olśnionemu nagłym światłem, na właściwe jego posłannictwo, na olbrzymią doniosłość przeznaczeń białej rasy. Zamiast tedy wzniesienia pożogi wojennej pomiędzy szczepami europejskimi, postanowił pociągnąć za sobą wybrańców z pośród nich w głąb Azji. Oznajmił więc stronnikom swoim, że ustanawia kult świętego ognia, który uszczęśliwi ludzkość; że składanie ofiar z ludzi na zawsze będzie zniesione; że obrządek wzywania Przodków nie będzie już dokonywany przez okrutne kapłanki na ociekających krwią ludzką dzikich skałach, ale przy każdym ognisku domowym przez oboje małżonków, złączonej w jednokiej modlitwie, w hymnie uwielbienia, przy ogniu oczyszczającym. Tak, ogień widmowy ołtarza, symbol i wyraziiciel niewidzialnego ognia niebios, połączy rodzinę, klan, szczep i wszystkie narody, środowisko Boga żyjącego na ziemi. Aby posiać jednak siejbę taką, odzielić należało przedewszystkiem ziarno od plew; trzeba było, aby wszyscy mężczyźni przygotowali się do opuszczenia Europy dla zdobycia nowej ziemi, ziemi dziewiczej. Tam wyda on swoje prawa; tam ustanowi kult ognia odradzającego.

Myśl jego przyjęta została z zapalem przez lud młody i żądny przygód. Ognie, rozpalone i podsycane w ciągu kilku miesięcy na górach, były hasłem emigracji masowej wszystkich tych, którzy wyruszyć chcieli pod znakiem Barana. Olbrzymia masa wychodźcza, pod wodzą wielkiego pasterza narodów, ruszyła z wolna, kierując się ku środkowi Azji. W drodze wzdłuż Kaukazu zmuszona była zająć kilka cyklopicznych twierdz, wzniesionych przez Czarnych. Na pamiątkę zwycięstw swoich wycięły kolumny Białych ogromne głowy baranie na skałach Kaukazu.

Ram okazał się godnym szczytnego swojego posłannictwa. Usuwał trudności, przenikał myśli, przewidywał przyszłość, uzdrawiał chorych, uśmierzał bunty, zagrzewał męstwo. Widocznie więc potęgi niebiańskie, nazywane przez nas Opatrznością, chciały panowania rasy północnej na ziemi, gdy za pośrednictwem genjusza Ramy rozświeślały promieniami swojemi jej drogę. Rasa ta miała już swoich wtajemniczonych drugiego stopnia, którzy wyrwali ją ze stanu dzikości. Ram wszakże, w którego umyśle poczęta została po raz pierwszy idea prawa społecznego jako wyrazu prawa boskiego, był wtajemniczonym bezpośrednio, wtajemniczonym pierwszego rzędu.

Zaprzyjaźnił się z Turańczykami, dawnymi plemionami scytyjskimi, skrzyżowanymi z rasą żółtą i zamieszkującymi górną Azję i pociągnął ich za sobą na podbój Iranu, z którego wyparł całkowicie Czarnych. Chciał on, aby naród czystej rasy białej zaludnił środek Azji i stał się dla wszystkich innych ogniskiem światła. Założył tu miasto Ver, miasto cudowne, mówi Zoroaster. Nauczył lud swój uprawiania i obsiewania ziemi, był ojcem zboża i łązy winnej. Ustanowił kasty zależnie od rodzaju zajęcia i rozdzielił całą ludność na kapłanów, wojowników, rolników i rzemieślników. Kasty te pierwotnie nie współzawodniczyły z sobą; przywilej dziedziczenia, odwieczne



źródło nienawiści i zawiści, wprowadzony został później dopiero. Zakazał niewolnictwa równie surowo jak mordstwa, utrzymując, że niewolenie człowieka przez człowieka jest źródłem wszystkich nieszczęść. Zachował w zupełność ustrój klanowy, więc pierwotne ugrupowanie rasy białej, i pozwolił klanowi wybierać wodzów swoich i swoich sędziów.

Uwieńczeniem dzieła Ramy, głównem narzędziem cywilizacyjnem, przez niego stworzonym, była nowa rola, jaką wyznaczył kobiecie. Dotychczas mężczyzna znał kobietę w dwojakiej jej postaci: nędznej niewolnicy chaty, którą pomiatał i z którą obchodził się brutalnie, lub też groźnej kapłanki z pod dębu i z nad skały, o której łaski ubiegał się. Jak czarownica okrutna, opętała go ona i nieograniczoną miała nad nim władzę, gdyż przesądna dusza jego dygotała z lęku przed jej wyrokami. Krwawa ofiara ludzka była odwetem ze strony kobiety topiącej nóż w sercu swojego tyrana. Przez zniesienie tego kultu straszliwego i podniesienie kobiety wobec mężczyzny do boskiej godności małżonki i matki, Ram uczynił z niej kapłankę domowego ogniska, strażniczkę ognia świętego, równą małżonkowi, wzywającą wraz z nim ducha Przodków.

Jak wszyscy wielcy prawodawcy, Ram rozbudził jedyne i rozwinął podniosłejsze instynkty swojej rasy. Celem urozmaicenia i upiększenia życia ustanowił cztery wielkie święta doroczne. Pierwszem było święto wiosny czyli rodzaju. Poświęcone było miłości małżonka i małżonki. Święto lata czyli zbiorów należało do synów i córek, którzy darzyli rodziców plonami swojej pracy. Święto jesieni słaWiło ojców i matki, którzy dawali dzieciom owoce na znak uciechy. Najuroczystszym i najbardziej mistycznym było święto Narodzin czyli wielkiego posiewu. Ram poświęcił je zarazem noworodkom, owocom miłości poczętym na wiosnę i duszom zmarłych czyli Przodków.

Uroczystość ta religijna, jako łącznik między widzialnem a niewidzialnem, była zarazem pożegnaniem dusz, które uleciały, i mistycznym pozdrowieniem tych, które wstępowały ponownie w łona matek, aby odrodzić się w ich dzieciach. W tę noc świętą zbierali się dawni Arjowie w świętych przybytkach Airyana-Vaeia, jak to czynili ongi w swoich lasach. Rozniecaniem ogni i śpiewami święcili początek roku ziemskiego i słonecznego, kiełkowania w łonie ziemi, życia płodnego w samym sercu zimy, dreszcz życia w głębi śmierci. Opiewali zlanie się w uścisku nieba i ziemi i zwycięzkie poczęcie nowego słońca przez wielką Macierz-Noc.

Rama wiązał w ten sposób życie ludzkie z cyklem pór roku, z przeistoczeniami astronomicznymi, uwydatniając tem samym boskie jego znaczenie. Za ustanowienie płodnych tych w wyniki urządzeń nazywa go Zoroaster „władzem narodów, wielokroć szczęsnym monarchą“. Z tego też samego powodu poeta hinduski Valmiki, przenoszący starożytnego bohatera do epoki znacznie późniejszej i wkładający go w ramy kultury dużo bardziej posuniętej, nie odejmuje mu jednak cech wysokiego ideału: „Rama o oczach błękitnych jak kwiat lotosu — mówi Valmiki — był panem świata, władcą duszy własnej i miłością ludzi, ojcem i matką swoich poddanych. *Umiał on związać wszystkich łańcuchem miłości*“.

Rasa biała, osiadła w Iranie, u wrót Himalajów, nie była jeszcze władczynią świata. Przednie jej strażę musiały posunąć się w głąb Indji, do głównego środowiska Czarnych, którzy pokonali niegdyś rasę czerwoną i rasę żółtą. Zend-Avesta mówi o tym pochodzie Ramy na Indje. <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Nader znamienem jest, że Zend-Avesta, księga święta Persów, uważając Zoroastra za natchaionego przez Ormuzda, proroka prawa Bożego, czyni z niego następcę proroka znacznie dawniejszego. Symbolika świątyni starożytnych daje nam tutaj wątek



Epopea hinduska uczyniła z pochodzącego jeden z najulubieńszych swoich tematów. Rama podbił obszary, obejmujące Himawat, ziemię słoni, tygrysów i gazel. Dał on hasło do pierwszego uderzenia i prowadził pierwszy atak boju tego olbrzymiego, w którym dwie rasy walczyły nieświadomie o berło świata. Tradycja poetycka Indji, opierając się na tradycji tajemniczej nauki świętyń, przeistoczyła bój ten w walkę czarowników białych z czarownikami czarnymi. W wojnie swojej z ludami i królami kraju Dżambus, Ram—jak go wówczas nazywano,—Rama, jak go nazywały ludy Wschodu, użył sposobów cudotwórczych na pozór, bowiem przekraczających zwykłe władze człowieka. Posiadanie ich zawdzięczali wielcy wtajemniczeni znajomości ukrytych sił przyrody i umiejętności kierowania nimi.

---

wielkiego objawienia boskiego, snujący się po przez wszystkich prawdziwych wtajemniczonych i wiążący ich z sobą. Oto ustęp ten:

1. Zarathustra (Zoroaster) zapytał Ahura-Mazdy (Ormuzda, boga światła): Ahura-Mazdo, o święty i stokroć błogosławiony twórczo wszystkich istot cielesnych przeczystych;

2. Kto był pierwszym człowiekiem, z którym mówiłeś, ty, któryś jest Ahura-Mazdą?

...4. Wówczas Ahura-Mazda odrzekł: „Z pięknym Yimā, tym, który stał na czele zgromadzenia, godnego pochwały, o czysty Zarathustro”;

...13. A ja mu rzekłem: „Czuwaj nad światami, które do mnie należą, uczyni je płodnymi ty, jako ich opiekun.

...17. A ja przyniosłem mu oręż zwycięstwa, ja, który jestem Ahura-Mazdą.

18. Dzidę złotą i złoty miecz.

...31. Wówczas Yima wznosił się do gwiazd ku południowi, po drodze, która idzie za słońcem.

...37. Kroczył on po tej ziemi, którą uczynił płodną. Była ona o trzecią część znacznieszą niż dawniej.

...43. I świętny Yima zebrał zgromadzenie mężów najzacniejszych na słynnej górze Ariyana-Vaeiā, stworzonej czystą *Vendidad-Sadé*. 2-i Fargard.

Tradycja podaje, że za sprawą Ramy wytryskiwały źródła na pustyni; zgłodniałe rzesze znajdowały niespodziewanie rodzaj manny, której sposobu używania nauczył; innym znów razem ukrocał epidemje stosowaniem rośliny zwanej *hom* (grecka—*amomos*, egipska—*persea*), z której wytłaczał sok uzdrawiający. Roślina ta zyskała odtąd miano świętej wśród wyznawców jego i zastąpiła jemiolę, którą utrzymali jako świętą Celtowie europejscy.

Rama zwalczał wrogów wszelkiego rodzaju czarami. Kapłani czarnych zawdzięczali władzę nad ludami jedynie dzięki podtrzymywaniu barbarzyńskiego kultu. Hodowali w świątyniach swoich olbrzymie węże i gady latające, rzadkie przeżytki zwierząt przedpotopowych, którym kazali oddawać cześć jako bogom i które budziły grozę w tłumach. Węże te karmili ciałami jeńców. Rama zjawiał się od czasu do czasu niespodzianie w tych świątyniach z pochodniami, budził postrach wśród węży i kapłanów i przeganiał ich precz. Czasem też zjawiał się w obozie nieprzyjacielskim i narażał się bezbronny na wściekłość tych, którzy czyhali na jego śmierć. Nikt jednak nie śmiał tknąć go, wracał też bez żadnej szkody do swoich. Na pełne zdziwienia pytania, zadawane tym, którzy pozwalali mu odejść bezkarnie, odpowiadali oni, że spotkawszy się z wzrokiem jego, drętwieli z przerażenia; albo też, że, kiedy mówił, góra spiżowa stanęła między nimi a nim, tak że widzieć go nie mogli. Wreszcie, jako uwieńczenie jego dzieła, przypisuje Ramie tradycja Indyjska podbój Cejlonu, ostatniego schronienia czarnego czarownika Rawany, na którego czarownik biały spuścił deszcz ognisty, przerzuciwszy uprzednio most przez odnogę morza. Do zbudowania mostu tego pomogły mu zastępy małp, przypominających bardzo pierwotny jakiś szczep dzikich himanów, których wciągnął i zagrzał do walki ten wielki oczarowywacz narodów.



IV  
TESTAMENT WIELKIEGO PRZODKA

Mocy swojej, genjuszowi swojemu i swojej dobroci zawdzięczał Rama, jak mówią święte księgi Wschodu, że stał się władcą Indji i Królem duchowym świata. Kapłani, narody i królowie korzyli się przed nim jak przed dobroczyńcą niebieskim. Wysłańcy jego szerzyli pod znakiem barana prawo aryjskie, wieszczące równość zwycięzców i zwyciężonych, zniesienie krwawych ofiar z ludzi i niewolnictwa, poszanowanie kobiety przy ognisku domowem, kult przodków i dogmat świętego ognia, jako widomy symbol Boga nienazwanego.

Zestarzał się Rama. Broda jego zbieleła, ale moc nie opuściła jego ciała, a majestat najwyższego kapłana prawdy jaśniał na jego czole, Królowie i wysłańcy narodów składali w jego ręce władzę najwyższą. Prosił o rok czasu do namysłu, a w trakcie tego ponowne miał widzenie.

„Ujrzał się w lasach z czasów swojej młodości. On sam był znów młodym i miał na sobie szatę Iniana druida. Świecił księżyc. Była to noc święta, Noc-Macierz, w której ludy oczekują odrodzenia słońca i roku. Rama chodził pod dębami, wsłuchując się jak niegdyś w nawołujące

głosy losu. Wtem zbliżyła się do niego piękna niewiasta z wspaniałą koroną na głowie. Jej płowe włosy świeciły jak złoto, skóra jej była białości śniegu, a oczy miały głęboki blask lazuru po burzy. Rzekła doń: „Jestem dziką druidką; dzięki tobie stałam się małżonką promienną. Nazywam się Sita. Jestem kobietą, wyniesioną przez ciebie do chwały, jestem rasą białą, jestem twoją oblubienicą. O, panie mój i królul! Wszakże to dla mnie przeszedłeś przez rzeki, oczarowałeś narody i powaliłeś królów. Oto twoja nagroda. Przyjm wieniec ten z ręki mojej, uwieńcz nim skroń twoją i panuj wraz ze mną nad światem. Uklękła w postawie kornej, pełnej poddania, podając mu wieniec leżący na ziemi. Jego kamienie drogocenne połyskiwały tysiącem ogni; upojenie miłosne promieniało w oczach kobiety. Widok ten przejął do głębi duszę starego Ramy, pasterza ludów. Wtem zjawił się ponad lasem Genjusz jego, Deva Nahusha, i przemówił doń: „Jeśli włożysz wieniec ten na głowę swoją, opuści cię Intelpekt boski; nie ujrzysz mnie więcej. Jeśli weźmiesz niewiastę w objęcia swoje, szczęście twoje śmierć jej zada. Jeśli jednak wyrzekniesz się posiadania jej, będzie żyła szczęśliwa i wolna na ziemi, a duch twój niewidzialny będzie panował nad nią. Wybieraj tedy: czy chcesz dać posłuch jej prośbie, czy pójść za mną“. Sita, nie podnosząc się z klęczek, patrzyła na swego władcę oczyma upojonemi miłością i wzrokiem błagalnym czekać się zdawała na jego odpowiedź. Rama milczał przez chwilę. Spojrzenie jego utkwione w oczach Sity mierzyły przepaść, dzielącą posiadanie całkowite od rozstania na wieki. Czując wszakże, iż miłość najwyższa jest najwyższem wyrzeczeniem się, położył dłoń swoją wyzwalającą na czole białej kobiety i rzekł do niej: „Żegnaj! Bądź wolną i nie zapominaj o mnie!“ Ledwie wymówił te słowa, kobieta znikła niby zjawą księżycowa. Młoda Jutrzenka dotknęła czarodziejską różdżką swoją



wierchołków lasu odwiecznego. Król stał się znów starcem. Rosa też skropiła jego białą brodę, a z głębi lasów zawołał smętny głos jakiś: „Ramo! Ramo!“

Ale Deva-Nahusha, Genjusz promieniejący światłością, zawołał: „Za mną!“ I Duch boski uniósł Ramę na górę na północ Himavatu.

Po widzeniu tem, które wskazało mu, w jaki sposób spełnić ma posłannictwo swoje, zawołał Rama królów i wysłańców narodów i rzekł im: „Nie chcę władzy najwyższej, którą mi ofiarujecie. Zatrzymajcie wasze wieńce i bądźcie posłuszni prawu. Zadanie moje spełnione. Chronię się na zawsze z moimi braćmi wtajemniczonymi na górę Aïryana-Vaeïa. Stamtąd czuwać będę nad wami. Pilnujcie ognia świętego! Gdyby zagasnąć miał, zjawiłbym się znów wśród was, ale już jako sędzia karzący, jako mściciel!“ To rzekłszy, odszedł wraz z wiernymi swoimi na górę Albori, pomiędzy Balkiem i Bamayanem, do schroniska, które znane było tylko wtajemniczonym. Tam nauczał uczniów swoich wszystkiego, co sam wiedział o tajemnicach ziemi i wielkiej Istoty. Oni z kolei roznieśli daleko, po Egipcie aż do Okcytanji, ideę ognia świętego, symbolu boskiej jedności rzeczy, oraz rogi baranie, godło religji aryjskiej. Rogi te stały się znakiem wtajemniczenia a stąd władzy kapłańskiej i królewskiej<sup>1)</sup>. Rama nie przedstawiał czuwać zdala nad ludami i nad umiłowaną swoją białą rasą. Ostatnie lata jego życia zajęte były ustaleniem kalendarza Arjan. Jemu to zawdzięczamy znaki zodiaku. Był to testament patrjarchy wtajemniczonych. Dziwna księga, wypisana przez Praojca rasy naszej gwiazdami, znakami

---

1) Rogi baranie odnaleść można na głowach mnóstwa postaci na pomnikach egipskich. Ten strój głowy królów i wielkich kapłanów jest oznaką wtajemniczenia kapłańskiego i królewskiego. Stąd też pochodzą dwa rogi tjary papieskiej.

hieroglificznymi niebios na stropie bezkresnym. Ustalając dwanaście znaków zodiaku, potrójnie przypisał im znaczenie. Pierwsze tyczyło wpływu słońca podczas dwunastu miesięcy roku; drugie streszczało w pewnej mierze własne jego dzieje; trzecie wskazywało tajemne sposoby, jakimi posługiwał się, aby osiągnąć swój cel. Dlatego właśnie znaki te, odczytywane w porządku odwrotnym, stały się z czasem ukrytymi godłami wtajemniczenia stopniowego<sup>1)</sup>.

1) Oto w jaki sposób podług Fabra d'Olivet, genialnego tego myśliciela, który umiał odczytywać symbole przeszłości w myśl tradycji ezoterycznej, uosabiają znaki zodiaku dzieje Ramy: — 1. *Baran* uciekający z głową zwróconą w tył, wyobraża Rama opuszczającego ojczyznę i kierującego wzrok ku krajowi, z którym się rozstaje. — 2. *Byk rozjuszony* staje mu na drodze, ale połowa jego ciała pogrążona w mule nie pozwala mu wykonać zamiaru, pada więc na kolana. — 3. *Bliźnięta* oznaczają sojusz Ramy z Turańczykami. — 4. *Rak* — rozmyślanie i skupienie się jego w głębi duszy własnej. — 5. *Lew* — jego walki z wrogami. 6. *Dziewica skrzydlata* (znak *Panny*) zwycięstwo. 7. *Wagi* — równość zwycięzców i zwyciężonych. 8. *Skorpion* — bunt i zdradę. 9. *Strzelec* — zemstę za nie. 10. *Koziorożec*. 11. *Wodnik*. 12. *Ryby* tyczą moralnej strony dziejów Ramy.

To wyjaśnienie znaków zodiaku może się wydać śmiałem i dziwaczne. Jak dotychczas jednak nie wyjaśnił nam żaden astronom ani mitolog w przybliżeniu nawet pochodzenia ani znaczenia tych znaków tajemniczych mapy nieba, przyjętych i czczonych przez ludy od samego początku naszego cyklu aryjskiego. Hypoteza Fabra d'Olivet ma tę przynajmniej zasługę, że otwiera umysłowi naszemu nowe i dalekie widnokreśli. — Powiedziałem, że znaki te, czytane w porządku odwrotnym, oznaczały w następstwie w Grecji i na Wschodzie różne stopnie, które należało przebyć, aby wznieść się do najwyższego wtajemniczenia. Przypomnijmy najsłynniejsze z tych godeł: *Dziewica skrzydlata* oznaczała czystość, dającą zwycięstwo. *Lew* siłę moralną; *Bliźnięta* — związek człowieka z duchem boskim, tworzących pospołu dwóch zapaśników niezwalczonych. *Byk* okiełznany — opanowanie przyrody; *Baran* — gwiazdę Ognia lub Ducha wszechświata, który darzy wtajemniczeniem najwyższym przez poznanie Prawdy.



Rama nakazał wiernym swoim, aby zataili fakt jego śmierci i prowadzili dalej dzieło jego, utrzymując na wieki braterstwo swoje. W ciągu całych stuleci jeszcze wierzyły ludy, że Rama, noszący na głowie tjarę z rogami baraniami, żyje wciąż jeszcze na świętej swojej górze. W czasach wedyjskich Wielkim Przodkiem stał się Yama, sędzia zmarłych, Hermes kierowca dusz Hindusów.

V  
RELIGJA WEDYJSKA

Genjusz organizatorski wielkiego wtajemniczonego Arjów stworzył w Azji, w Iranie, lud, społeczeństwo i ustrój życia, które promienlować miały we wszystkich kierunkach. Kolonie pierwotnych Arjów rozszerzyły się po Azji i po Europie, roznosząc ich obyczaje, ich kultury i bóstwa ich. Z wszystkich tych kolonii najbardziej zbliżoną do Arjów pierwotnych jest odnoga Arjów, zamieszkałych w Indjach.

Księgi święte Indów, Wedy, mają dla nas wartość potrójną. Przedewszystkiem wiodą one nas do ogniska dawnej czystej religji aryjskiej, której hymny wedyjskie świetlnymi są promieniami. Nadto dają one nam klucz do zrozumienia duszy Indji. I wreszcie wskazują nam pierwsze skryształizowanie się podstawowych, macierzystych niejako idei ezoterycznej doktryny oraz wszystkich religji aryjskich. <sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> Brahmani uważali Wedy za główne swoje księgi święte. Znajdują oni w nich naukę nauk. Sam wyraz *Weda* oznacza wiedzę. Słusznie też miały teksty wedyjskie urok szczególny dla uczonych europejskich. Zrazu widzieli oni w nich tylko poezję patryjarchalną; z czasem jednak odkryli w nich nie tylko źródło wielkich mitów indo-europejskich oraz naszych bóstw klasycznych, ale także ma-



Poprzestaniemy na krótkim tylko rzucie oka na formy zewnętrzne oraz na jądro religii wedyjskiej.

Nic prostszego ani bardziej wzniosłego nad religję tę, w której głęboki naturalizm łączy się z ukrytym spirytualizmem. Przed wschodem słońca mężczyzna, głowa rodziny, staje przed ołtarzem z ziemi, na którym płonie ogień, rozniecony za pomocą tarcia dwóch suchych kawałków drzewa.

Przy sprawowaniu obrzędów głowa rodziny jest zarazem ojcem, kapłanem i królem ofiarnym. Podczas gdy jutrzienka wchodzi na niebo, wyłaniając się z mgieł „jak—wedle słów poety wedyjskiego, kobieta, wychodząca z kąpieli i tuląca się w najpiękniejsze, utkane przez nią samą płótna“, odmawia głowa domu modlitwę, wezwanie do Ushy (Jutrzienki), do Savitri (słońca) i do Assurów (Duchów życia). Matka i synowie leją na ogień (*Agni*), płyn sfermentowany przygotowany z tojeści — *soma*. Strzelający w górę płomień unosi ku bogom niewidzialnym modlitwę oczyszczoną, wychodzącą z ust patriarchy i z serca rodziny.

Stan duszy poety wedyjskiego tak samo dalekim jest od zmysłowości helleńskiej (mówię o kultach gminnych greckich, nie zaś o nauce wtajemniczonych w Grecji), która wyobraża sobie bogów kosmicznych zdobnych w piękne kształty ludzkie, jak od żydowskiej doktryny jednobóstwa, wielbiącej Przedwiecznego, wszechobecnego, choć niemającego formy zewnętrznej. W pojęciu poety wedyjskiego natura podobna jest do przejrzystej zasłony, po za którą poruszają się siły nieważkie i boskie. Siły te

---

drze ustanowiony kult, głęboko obmyślany system religijny i metafizyczny (patrz Bergaigne: „Religja Wedów“, a także piękną, jasną pracę Augusta Bartha: „Religje Indji“). Przyszłość gotuje im może ostatnią niespodziankę, którą będzie odnalezienie w Wedach określenia tajemnych sił przyrody. Nauka współczesna jest już na ich tropie.

wzywa on, wielbi, personifikuje, zdając sobie doskonale sprawę ze swoich przerośni. Dla niego nietyle Savitri jest słońcem, ile Vivasvat, potęga twórcza, która w nie tchnie życie i której dziełem jest system słoneczny. Indra, boski wojownik, przebiegający niebo na swoim wozie złocistym, miotający pioruny i przeszywający obłoki, uosabia potęgę tego słońca w życiu atmosferycznym, w „wielkiem przezroczu powietrznym“. Wyżej jeszcze wznosi się poeta wedyjski, kiedy wzywa Varunę (Uranosa greckiego), boga bezkresnego, świetlanego nieba, obejmującego wszechświat. O ile Indra uosabia życie czynne oraz walki nieba, jest Varuna przedstawicielem niewzruszonego jego majestatu. Nic nie może dorównać wspaniałości opisu nieba, jaki znajdujemy w Hymnach: „Słońce jest jego okiem, niebo—jego szatą, huragan—jego tchnieniem. Jego to dziełem jest ustalenie podstaw niewzruszonych, na których opiera się niebo i ziemia i on też utrzymuje je w rozdzieleniu. Wszystkiego dokonał i wszystko zachował. Dziełom Varuny nic szkody wyrządzić nie może. Nikt nie jest w stanie przeniknąć go; ale on sam wie wszystko i widzi wszystko, co jest i co będzie. Z wyżyn nieba, na którym przebywa w pałacu o tysiącu wrót, rozróżnia w powietrzu ślady przelatującego ptactwa, a na oceanie drogę okrętów prujących fale. Z wyżyn tych, z tronu swego złocistego, opartego o podstawy z brązu, widzi on i sądzi działania ludzkie. Utrzymuje ład we wszechświecie i w społeczności; karze winnego; miłosiernym jest dla żałujących za grzechy. Ku niemu też zwraca się okrzyk bólu i pokajania; przed obliczem jego staje grzesznik, aby zrzucić z siebie brzemień winy swojej. Obrządkowa skądinąd, często wysoce spekulatywna religja wedyjska schodzi z Varuną w głębię świadomości i osiąga zrozumienie idei boskiej <sup>1)</sup>. Dodajmy, że wznosi się ona

1) A. Barth. „Religje Indji“.



do czystej idei Boga jedyne go, przenikającego wielką Całość i rządzącego nad nią. Potężne obrazy, roztaczane w hymnach wielkimi strumieniami, niby rzeki wezbrane, dają nam jednak pojęcie o zewnętrznej tylko obłonie Wedów. Do samego jądra doktryny, do jej tajemniczej, ukrytej głębi docieramy dopiero wraz z pojęciem o Agni, ogniu bożym. Agni jest w istocie najdoskonalszym czynnikiem kosmicznym, podstawą wszechrzeczy. „Nie jest on tylko ogniem ziemskim błyskawicy i słońca. Istotną jego ojczyzną jest niebo niewidzialne, tajemnicze, siedlisko światła wiekuistego, prazródło wszechrzeczy. Narodziny jego są nieskończone, bądź kiedy wytryska z kawałka drzewa, w którym spoczywa w uśpieniu niby zarodek w macicy, bądź kiedy jako „Syn Fal“ kaskadą spada z hukiem gromu, z rzek niebiańskich, w których Aćwini (rycerze nieba) splodzili go z pajakami złotemi. Jest on *najstarszym z bogów*, kapłanem najwyższym nieba i ziemi; celebrował modły w siedlisku Vivaswata (nieba czy słońca) znacznie wcześniej jeszcze, aniżeli przyniósł go śmiertelnym Matariswa (piorun) i zanim Atarvan i Angirasi, ofiarnicy starożytni, zesłali go na ziemię jako opiekuna, gospodarza i przyjaciela ludzi. Agni, kierownik i twórca ofiary boskiej, stał się też wywaczem bogów, nosicielem wszelkich rozważań mistycznych, których przedmiotem jest ofiara. *Rodzi bogów*, kształtuje świat, wytwarza i podtrzymuje życie na ziemi; jest, słowem, *potęgą kosmogoniczną*.

*Soma*—jest nieodstępnym towarzyszem Agni. W rzeczywistości jest on sokiem pewnej rośliny poddanej fermentacji, lanym w ofierze bogom. Istnienie jego wszakże jest — jak istnienie Agni — mistyczne. Najwyższem jego siedliskiem są głębie trzeciego nieba, gdzie Surya, córka słońca, scedziła go; gdzie znalazł go Pustan—bóg żywiciel. Tam Sokół, symbol błyskawicy, albo może sam Agni,

porwali go Łucznikowi niebiańskiemu, Gandarwie, strażnikowi Jego, i przynieśli go ludziom. Bogowie pili go i zyskali nieśmiertelność; (ludzie też z kolei staną się nieśmiertelnymi, gdy pić go będą u Yamy, w siedlisku szczęśliwych. Tymczasem daje on im na ziemi siłę i pełnię życia; jest ambrozją i krynicą młodości. Żywi i przenika rośliny, tchnie życie w nasienie zwierząt, daje natchnienie poecie i siłę uniesienia modlitwie. *Soma, dusza nieba i ziemi, Indry i Wisznu, tworzy wraz z Agni parę nierozdzielną; para ta rozpałiła słońce i gwiazdy*“.<sup>1)</sup>)

Agni i Soma uosabiają w doktrynie ezoterycznej dwa podstawowe pierwiastki życia we wszechświecie: Agni jest pierwiastkiem *Wiekuiście—Męskim*, intelektem twórczym, Duchem czystym; zaś Soma—pierwiastkiem *Wiekuiście—Żeńskim*. Duszą świata, więc substancją lotną, macierzą wszystkich światów widzialnych i niewidzialnych oczom ciała, słowem przyrodą czyli materją w jej przeobrażeniach nieskończonych.<sup>2)</sup>

Otóż związek tych dwu istot stwarza Istotę najwyższą, istotę Boga.

Dwa te pojęcia zasadnicze rodzą trzecie niemniej płodne. Wedy czynią z *aktu twórczego ofiarę nieustanną*. Rzeby spłodzić wszystko, co istnieje, Istota najwyższa poświęca samą siebie; dzieli się, aby stać się wieloraką. Ofiara ta uważana jest więc za sprężynę życia wszystkich funkcji przyrody. Pojęcie to, zdumiewające i dziwne na pierwszy rzut oka, nader głębokie przy bliższem wniknięciu w nie, zawiera w sobie zarodek całej teozoficznej doktryny

<sup>1)</sup> Barth. „Religje Indji“.

<sup>2)</sup> Niezaprzeczonem dowodem, że Soma uosabia pierwiastek bezwzględnie żeński, jest że brahmanowie utożsamiali go później z księżycem. Owóż księżyc uosabia pierwiastek żeński we wszystkich religjach starożytnych, gdy słońce symbolizuje w nich pierwiastek męski.



przeobrażeń Boga po przez światy, syntezę ezoteryczną wielobóstwa i jednobóstwa. Zrodzi ona djonizyjską doktrynę upadku i odkupienia dusz, którą rozwiną Hermes i Orfeusz. Stąd już wytryśnie doktryna Słowa bożego, głoszona przez Krysznę i doprowadzona do doskonałości przez Chrystusa.

Ofiara ognia z jej obrządkami i modłami, stanowiąca jądro niewzruszone kultu wedyjskiego, staje się w ten sposób obrazem wielkiego tego aktu kosmogonicznego. Wedy przywiązują zasadniczą wagę do modlitwy, do formuły zaklęcia, towarzyszącej ofierze. Dlatego też czynią z modlitwy boginię—Brahmanaspati. Wiara w moc przyzywającą i twórczą słowa ludzkiego, któremu towarzyszy potężne uniesienie duszy lub też wypływ skupionej woli, jest źródłem wszystkich kultów, racją bytu egipskiej i chaldejskiej doktryny czarnoksięstwa. W pojęciu kapłana wedyjskiego i brahmańskiego Asurowie, władcy niewidzialni i Pitrysy, dusze przodków mogą siadać na trawie podczas całopalenia, pociągnięci ogniem, śpiewami i modlitwami.

Nauka, dotycząca tej strony kultu, jest nauką hierarchji duchów wszelakiego rodzaju i wszelakich stopni.

Wedy wyraźnie i z całym naciskiem głoszą ideę nieśmiertelności duszy. „W każdym człowieku istnieje część nieśmiertelna; ogrzej ją, Agni, promieniami twojemi, rozplomień ją twoim ogniem. O, Jatawedo, przenieś ją w tem ciele czarownem, przez ciebie ukształtowanem, do świata pobożnych“.

Poeci wedyjscy nie tylko wskazują przeznaczenie duszy, ale zajmują się także jej pochodzeniem. „Z czego zrodziła się dusza? Są takie, które przychodzą do nas i odchodzą; które odchodzą i wracają“. Oto już w dwóch słowach doktryna wcielenia, które odgrywać będzie główną rolę w braminizmie i buddyzmie, u Egipcjan i u Orfików, w filozofji Pytagorasa i Platona, w tajniku tajników, w arkanach arkanów.

Czyż można wobec tego nie odnajdować w Wedach głównych linii wytycznych skończonego systemu religijnego, filozoficznego ujęcia wszechświata? Jest w nich nie tylko głębokie odczucie prawd rozumowych, poprzedzających obserwację i przewyższających ją, jest nadto jednolitość i szerokość poglądu, ujawniona w pojmowaniu przyrody, w uporządkowaniu i harmonizowaniu jej zjawisk. W świadomości poety wedyjskiego, niby w przejrzystym kryształach, odbija się słońce prawdy wiekuistej i w tym pryzmacie błyszczącym załamują się już wszystkie promienie teozofji wszechświata, Pierwiastki doktryny wiekuistej wyraźniej tu jeszcze występują, niż w innych księgach świętych indyjskich oraz w innych religjach semickich i aryjskich, a to dzięki niezrównanej otwartości poetów wedyjskich oraz dzięki przejrzystości tej religii pierwotnej, tak wzniosłej i czystej. W okresie tym nie było jeszcze różnicy między wiedzą tajemną a kultem popularnym. Czytając jednak uważnie Wedy, dostrzec można po za ojcem rodziny lub poetą wznoszącym hymny, inną osobistość donioślejszego znaczenia: *rishi*, mędrca, wtajemniczonego, od którego przejął poeta prawdę. Widocznym jest, że prawda ta przekazywana była drogą nieprzerwanej tradycji, sięgającej początków rasy aryjskiej.

I oto mamy już lud aryjski, krocący po drodze podbojów i misji cywilizacyjnej wzdłuż Indu i Gangesu, pod przewodnictwem niewidzialnego geniusza Rami i Devy Nahushy, darzących go świadomością rzeczy boskich.

Agni, ogień święty, krąży już w żyłach tego ludu. Młodzienny wiek jego, jego siła i męskość kapłan się w blaskach świtu różanego. Wytworzyła się już rodzina. Kobieta otacza szacunek powszechny. Kapłanka ogniska domowego często sama układa, sama śpiewa hymny. „Oby mąż tej małżonki żył sto jesieni“ — mówi poeta. Ukochanie życia ziemskiego nie wyklucza wiary w zaświaty.



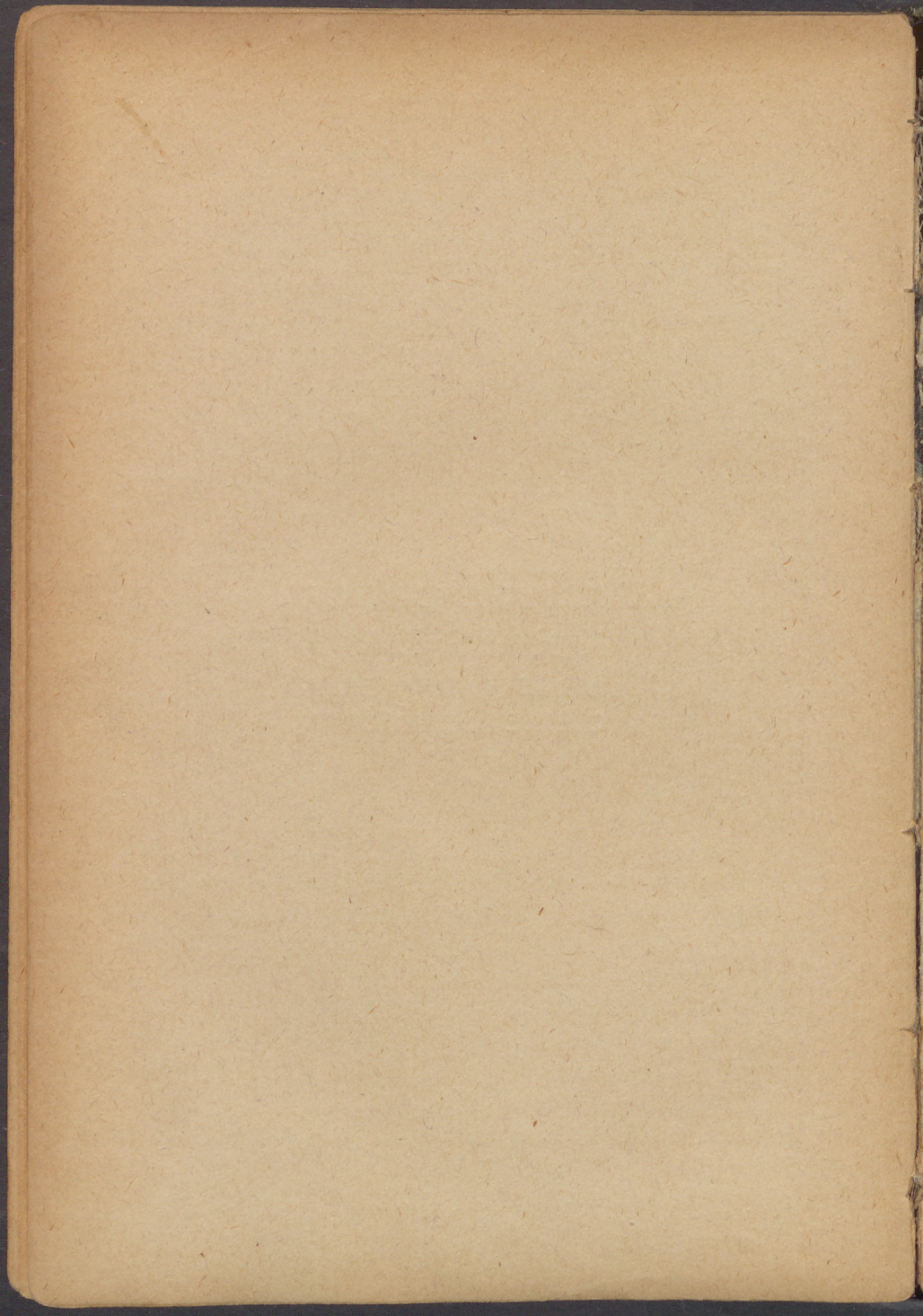
Król mieszka w pałacu na wyniosłości górującej nad osadą. Kiedy wyrusza na wojnę, jedzie na rydwanie świetnym, strojny w zbroje pozłociste, uwieńczony tjarą; błyszczący jest cały jak bóg Indra. Później, kiedy bramini utrwala swoją potęgę, wzniesiona zostanie obok — obok wspaniałego pałacu *Maharadzi* czyli wielkiego króla — pagoda kamienna, z której zrodzi się na świat sztuka, poezja i dramat bogów, grany i śpiewany przez tancerki świątyni. Narazie kasty istnieją, ale nie bezwzględne, nie pooddzielane murami nieprzebytymi. Wojownik jest kapłanem, a kapłan wojownikiem, częściej jeszcze sprawującym służbę u wodza lub u króla. A oto występuje osobistość nędzna z pozoru, ale rokująca wielkie na przyszłość nadzieje. Splątane włosy i broda, nawpół nagi, okryty łachmanami. To *mumi*, samotnik, żyje on obok jezicr świętych, w dzikich pustkowiach, w których oddaje się rozmyślaniam i ascezie. Od czasu do czasu przychodzi z napomnieniami do wodza lub króla. Często bywa odtrącany; nie słuchają go; ale mają dla niego szacunek i boją się go. Już teraz wywiera wpływ groźny.

Pomiędzy tym królem na jego wozie pozłocistym, otoczonym wojownikami i tym nawpół nagim *mumi* nie mającym innej broni prócz myśli, słów i spojrzenia — rozgorzeje walka. Zwycięzcą potężnym nie będzie w niej król; będzie nim samotnik, zasuszony, żebrak, który zwycięży dzięki posiadaniu wiedzy i woli.

Historja tej walki — to historja bramanizmu, jak później będzie historja buddyizmu. Streszcza się w niej cała niemal historja Indji.

KSIĘGA DRUGA  
K R Y S Z N A  
INDJE i WTAJEMNI-  
CZENIE BRAMINÓW <sup>1)</sup>





1) Ze względu na znaczenie wyrazów: Brahma, braminowie, Brahman, braminizm, a zwłaszcza dla uniknięcia nieporozumienia należy poznać rodowód ich i stopniowe przekształcanie się pojęć z nimi związanych. Materiał, odnoszący się do powyższych wyrazów, zebrany przez d-ra Johna Muir'a w tomie I-ym *Original Sanscrit texts* oraz d-ra Houg'a w rozprawie „*Brahma i Braminowie*”, zużytkował J. A. Świącicki w IV t. Historji Literatury Powszechnej „Hist. Lit. indyjskiej” str. 103 i nast.

*Brahman* — wyraz podług znaczenia swojego abstrakcyjny, oznacza coś, co jest nieodłączne od powodzenia ofiar, przechodzi z czasem w znaczenie „siły żywotnej wszechświata”, a nakoniec w „istotę najwyższą”. Pochodzi on od pierwiastka *brih* — rosnąć i przyrostka *mani*, co razem oznacza „roślinę”, latorośl. Stąd powstały z czasem „środki wzrostu i pomyślności”, mianowicie ofiary, święte pieśni, wogóle pobożność.

Z rodzaju nijakiego, „*Brahman*” przez przedłużenie głoski końcowej na *ā* i zmianę akcentu tworzy się forma konkretna *Brahmān* — „ten, który rośnie”, „wzrost w sobie nosi”, „Stwórca świata — Bóg”. Liczba mnoga tego wyrazu t. j. *Brahmanās* oznaczała pierwotnie „modlących się”, z czasem wszakże „*brahmanās*” zajęci byli przygotowaniem soku „*soma*”, a następnie przestrzeganiem prawidłowego odbywania ceremonji ofiarnych, przez co stali się wreszcie panującą kastą kapłanów — *braminami*. —

Wyraz „*Brāhmanam*” oznacza w ogólności naukę praktycznego spożytkowania materiału, zawartego w *Samhitach* Wed, z których każda posiada swoje „*Bramany*”, złożone z 3-ch części. Treścią *Bramanów*, stanowiących liczbą i objętością dzieł swoich odrębny rodzaj literatury i będących zwierciadłem duchowem epoki kilkowiekowej — są omówienia i wyjaśnienia zawitego rytuału ofiarnego, wywody i badania teologiczne, legendy wszelkiego rodzaju, rady praktyczne dla kapłanów, postanowienia, dotyczące rozmaitych wydarzeń przy ofiarach, podania historyczne oraz uwagi etymologiczne, usiłujące wyprowadzić z języka nauk filozoficzną i teologiczną dla wzmocnienia wywodów teologicznych. —

Wyznaniem wiary bramińskiej była formuła: „Cały wszechświat powstał z *Brahmy*, z którego wszystko pochodzi, do którego wszystko powraca i w nim oddycha. Niechaj każdy wielbi go w spokoju. Instytucje do szerzenia nauki w rodzaju wszechnic, „*paryszady*”, kierowane przez kapłanów biegłych w *Wedach*, kształciły przyszłych braminów.



*Ten, kto tworzy nieustannie światy,  
jest troisty. Jest to Brahma-Ojciec; jest  
to Maya-Matka; jest to Wisznu-Syn;  
Istota, Materja i Życie. Każdy z nich  
zawiera w sobie obydwaj inne, a wszystko  
troje jednością są w Niewymownym.*

Doktryna braminiczna. Upani-  
szady.

*Nosisz w sobie samym wzniesłego  
przyjaciela, którego nie znasz. Bowiem  
Bóg przebywa w duszy każdego czło-  
wieka; niewielu jednak umie go znaleźć!  
Człowiek, który dążenia swoje i czyny  
swoje przynosi w ofierze Istocie, będą-  
cej źródłem wszechrzeczy i twórcą  
wszechświata, zdobywa ofiarą tą dosko-  
nałość. Ten bowiem, kto w sobie samym  
znajduje swoje szczęście i radość, i w so-  
bie samym też światło swoje, jedność  
z Bogiem stanowi. Owóż, wiedz o tem:  
dusza, która znalazła Boga, uwolniona  
jest od odrodzenia się i od śmierci, od  
starości i od cierpienia i pije ze źródła  
nieśmiertelności.*

Bhagawadgita („Pieśń Blogo-  
sławionego”).

## INDJE BOHATERSKIE—SYNOWIE SŁOŃCA I SYNOWIE KSIĘZYCA

**P**odbój Indji przez Arjów zrodził jedną z najświetniejszych kultur, jakie znał świat. Wzdłuż Gangesu i jego dopływów powstały wielkie państwa i olbrzymie stolice, jak Ayodhya, Hastinapura i Indrapecta. Opowiadania epiczne *Mahabharaty* i Kosmogonje ludowe *Puran*, zawierające najstarsze tradycje historyczne Indji, mówią z zachwytem o przepychu królewskim, o bohater-skiej wielkości i o duchu rycerskim tych wieków zamierz-chłych. Nic bardziej dumnego, ale zarazem bardziej szla-chetnego, aniżeli jeden z tych królów aryjskich Indji, sto-jący na swoim rydwanie wojennym i dowodzący armjami słoni, koni i żołnierzy. Jeden z kapłanów wedyjskich błogosławi w ten sposób króla swojego wobec zebranego tłumu: Sprowadziłem cię pośród nas. Cały lud pragnie cię. Niebo jest mocne, ziemia jest mocna; góry te są mocne; niechaj mocnym będzie też król rodów. W póź-niejszym zbiorze praw, Manawa — Dharma — Sastra czy-tamy: „Władcy świata, pełni zapału w zwalczaniu się wzajemnem, rozwijają siłę swoją w boju, nie odwracając ani na chwilę twarzy i po śmierci ulatują wprost do nieba,“ Uważają się w istocie za pochodzących od bogów, za



współzawodników ich, gotowych stać się nimi samymi. Posłuszeństwo synowskie, męstwo wojenne w połączeniu z poczuciem wspaniałomyślnego opiekuństwa w stosunku do wszystkich — oto ideał człowieka. Co się tyczy kobiety, epopeja induska, pokorna sługa braminów, wyobraża ją nam jedynie w postaci wiernej małżonki.

Ani Grecja ani narody północne nie wyczarowały w poematach swoich postaci tak subtelných, tak szlachetnych i tak pełnych uniesienia małżonek, jak namiętna Sita lub czuła Damayanti.

Epopeja indyjska nie mówi nam jednak nic o głębokich tajnikach pomieszania ras, ani o powolnem kielkowaniu idei religijnych, które wywołały głębokie zmiany w ustroju społecznym Indji wedyjskich. Arjowie, zdobywcy, przedstawiciele rasy czystej, znaleźli się wobec ras mocno skrzyżowanych i znacznie niższych, w których typ żółty, czerwony i czarny pomieszały się w najróżnorodniejszym stosunku. Kultura induska czyni wrażenie ogromnej góry, u której stóp rozpostarła się rasa melanezyjska, na zboczach rasy mieszane, a na szczycie — czysti Arjowie. Brak ścisłego podziału na kasty w epoce pierwotnej umożliwił liczne krzyżowania się wśród tych narodów. Czystość rasy zdobywców psuła się z czasem coraz bardziej; dotychczas jednak zauważyć można przewagę typu aryjskiego w warstwach wyższych, zaś typu melanezyjskiego — w niższych. Z mętnych nizin społeczności induskiej wznosił się zawsze, jak wyziewy dżungli zmieszane z odorem zwierząt, wrzący opar namiętności, mieszanina tęsknicy i okrucieństwa. Obfitość krwi czarnej nadała Indji jej barwę specjalną. Udelikatniła ona i zniewieściła rasę. Cudem jest nieledwie, że pomimo znacznej domieszki krwi czarnej, utrzymać się mogła po przez tyle przewrotów, przewaga światopoglądu rasy białej u szczytu tej kultury. Tak więc podstawa etniczna Indji

zarysowuje się, ściśle biorąc, w sposób następujący: z jednej strony genjusz rasy białej z swoim poczuciem moralnym i wzniosłymi dążnościami metafizycznymi; z drugiej genjusz rasy czarnej z jej potęgą namiętności i siłą rozprzegania. W jaki sposób ujawnia się podwójny ten genjusz w zamierzchłych dziejach religji w Indjach? Najdawniejsze tradycje mówią o dynastji słonecznej i dynastji księżycowej. Królowie dynastji słonecznej utrzymywali, że pochodzą od słońca; inni nazywali się synami księżycy. Ten język symboliczny był jednak tylko wyrazem dwu sprzecznych pojęć religijnych, bowiem oznaczał, że te dwie kategorie władców związane były z dwoma kultami odmiennymi. Kult słońca przypisywał Bogu wszechświata płęć męską. Grupowało się dokoła niego wszystko, co było najczystsze w tradycji wedyjskiej: znajomość ognia świętego i modlitwy, pojęcie ezoteryczne o Bogu najwyższym, cześć dla kobiety, kult przodków, królowie obieralni i patrjarchalni. Kult księżycy przypisywał swajemu bóstwu płęć żeńską, pod której znakiem religje cyklu aryjskiego wielbiły zawsze przyrodę, często przyrodę ślepa, nieświadoma w jej najgwałtowniejszych, najokrutniejszych przejawach. Kult ten skłania się ku bałwochwalstwu i czarnoksięstwu, popierał wielożeństwo i tyranję, dogadzające żądzom gminu. — Walka pomiędzy synami słońca i synami księżycy, pomiędzy Pandawami i Kurawami, jest przedmiotem wielkiej epopeji induskiej, Mahabharaty, rodzaju perspektywicznego zarysu historji Indji aryjskich, przed ostatecznem wprowadzeniem braminizmu. Walka ta pełna jest bojów zażartych, pełna dziwnych i nieskończonych przygód. W pośrodku olbrzymiej epopeji zwycięzcami są Kurawowie, królowie księżycowi. Pandawowie, szlachetni synowie słońca, obrońcy czystych obrządków, są zdetronizowani i skazani na wygnanie.



Błąkają się, ukryci w lasach, szukając schronienia u pustelników, noszą odzież zrobioną z kory i kije wędrowców.

Czy wezmą górę nizinne instynkty? Czy potęgę ciemności, uosobione w epopeji induskiej przez czarnych Rakshasów odniosą tryumf nad świetlanymi Dewami? Czy tyranja zmiążdzy wybrańców pod kołami swojego rydwanu wojennego, a cyklon złych żądz czy zmiecie z oblicza ziemi ołtarz wedyjski, czy zagasi święty ogień przodków? Nie, Indje są dopiero u progu swojej ewolucji religijnej. Metafizyczny i organizatorski jej genjusz zająśnieje w całej pełni w braminizmie dopiero. Kapłani, zastępujący królów i wodzów pod nazwą *purohitas* (przełożeni nad ogniem świętym) stali się już ich doradcami i ministrami. Posiadali oni wielkie majątki i znaczny wpływ. Nie byłoby jednak mogli nadać kaście swojej owej powagi najwyższej, owego stanowiska niezwalzonego, górującego nawet nad władzą królewską, gdyby nie pomoc innej kategorii ludzi, uosabiających ducha Indji w tem, co jest w nim najoryginalniejszego i najgłębszego. Ludźmi tymi byli pustelnicy.

Od niepamiętnych czasów mieszkali ci asceci w głębi lasów, na brzegach rzek lub w górach, obok jezior świętych. Czasem żyli samotnie, czasem złączeni w bractwa, ale zawsze jednym zespolemi i ożywieni duchem. Są to królowie duchowi, istotni władcy Indji, Oni to, jako spadkobiercy dawnych mędrców, rishi, byli w posiadaniu klucza do tajemnego znaczenia Wedów. Żył w nich genjusz ascetyzmu, wiedzy tajemnej, władzy nadziemskiej. Dla zdobycia tej wiedzy znosili wszystko: głód, chłód, piekące słońce, strach przed dżunglą. Bezbronni w swoich szałasach z desek, żyją modłami i rozmyślaniami. Głosem, spojrzeniem przywołują i oddalają węże, uśmieniają lwy i tygrysy. Szczęśliwy, kto zyska ich błogostawieństwo: będzie miał przyjaciół w Dewach! Biada temu,

kto ukrzywdzi ich lub zabije: ich klątwa — mówią poeci — ciąży na winnym aż do trzeciego wcielenia. Królowie drżą przed ich groźbami i, rzecz godna uwagi, lękają się ich nawet bogowie. W Ramayanie Vicvamitra, król, który stał się ascetą, zdobywa surowością obyczajów i rozmyślaniami taką władzę, że bogów lęk zdejmuje o ich istnienie. Wówczas zsyła mu Indra najpowabniejszą z Apsar, która kąpie się w jeziorze pod szalasem świętobliwego. Nimfa niebiańska czaruje pustelnika, który ulega pokusie jej wdzięków; ze związku ich rodzi się bohater i dzięki temu istnienie wszechświata zapewnione jest na kilka tysięcy lat. Pod tą przerośnią i przesadą poetycką nietrudno domyśleć się właściwej istoty rzeczy. Jest nią potęga pustelników białej rasy, których duch wieszczcy i wola skupiona panują z głębi lasów nad burzliwą duszą Indji.

Z łona takiego bractwa pustelniczego wytrysnąć miał przewrót w ustroju kapłaństwa, który uczynił z Indji najpotężniejszą teokrację. Zwycięstwo władzy duchowej nad władzą ziemską, pustelnika nad królem, które zrodziło potęgę braminizmu, było dziełem jednego z najwybitniejszych reformatorów. Boski ten człowiek, który pogodził dwa walczące z sobą genjusze: rasy białej i rasy czarnej, kultury: słoneczny i księżycowy, stał się rzeczywistym twórcą narodowej religii indyjskiej. Ponadto doktryna potężnego tego genjusza dała światu nową niesłychanej doniosłości ideę. Była to idea słowa bożego, czyli boga wcielonego w człowieku i objawianego przez niego. Tym pierwszym mesjaszem, tym najstarszym synem bożym, był Kryszna.

Dzieje jego żywota niesłychanie są ciekawe, bowiem streszczają i dramatyzują doktrynę bramińską. Pozostały one jednak tylko rozsiane w tradycji, często nieuchwytnie, a to z powodu braku siły plastycznej, jaki cechuje genjusz induski. Niejasna i mityczna opowieść Wisznu-Purana



zawiera wszakże dane historyczne o Krysznie, o charakterze indywidualnym i wymownym. Nadto *Bhagawad-Gita*, cudowny fragment, włączony w karty wielkiego poematu, *Mahabharaty*, który bramini uważają za jedną z najświętszych swoich ksiąg, zawiera przypisywaną mu doktrynę w całej jej czystości. Przy odczytywaniu tych dwu ksiąg, stanęła przedemną jak żywa postać wielkiego twórcy religji indyjskiej. Opowiem zatem dzieje Kryszny na podstawie obu tych źródeł, z których jedno uosabia tradycję gminną, a drugie tradycję wtajemniczonych.

II  
KRÓL MADURY

Na początku okresu Kali-Yougi, na 3000 lat przed erą naszą (podług chronologii braminów, żądza złota i władzy opanowała świat. W ciągu wieków — mówią mędrcy starożytni — Agni, ogień boski, tworzący świetlane ciało Dewów i oczyszczający dusze ludzkie, zalewał ziemię falami swojemi eterycznemi. Równocześnie jednak owiewało wszystkie serca palące tchnienie Kali bogini Żądy i Śmierci, wychodzącej z otchłani ziemskich nakształt oddechu płonącego. Sprawiedliwość zapanowała wraz z szlachetnymi synami Pandawów, królów słońca, posłusznych głosowi mędrców. Jak zwycięzcy przebacжали oni zwyciężonym i traktowali ich jak równych. Odkąd wszakże synowie słońca wytepieni zostali lub strąceni z tronów, a nieliczni ich potomkowie kryli się w grotach i szałasach pustelników, zapanowała niesprawiedliwość, ambicja i nienawiść. Królowie księżycowi, zmienni i kłamliwi jak gwiazda nocy, której przyjęli godło, wzajem zwalczałi się nieubłaganie w bojach nieustannych. Jednemu z nich wszakże udało się wziąć górę nad wszystkimi innymi i pokonać ich grozą i szczególnemi urokami.

Na północy Indji, na brzegu szerokiej rzeki, jaśniało miasto potężne, o dwunastu pagodach, dziesięciu pałacach



i stu wrotach, nad którymi wznosiły się wieże. Wielobarwne sztandary powiewały na wysokich jego murach, podobne do węży skrzydlatych. Była to dumna Madura, niezdo-  
byta jak twierdza Indry. Władcą Madury był Kansa o sercu wykrętnem i duszy nienasyconej. Nie znośił obok siebie ni-  
kogo prócz niewolników; zdawało mu się, że osiąść może to tylko, co zmiążdży, a wszystkie ziemie zdobyte niczem mu się wydawały wobec tych, które jeszcze pozostawały do zdobycia. Wszyscy królowie, którzy uznawali kult księ-  
życa, hołd mu składali. Ale Kansa marzył o podboju ca-  
łych Indji, od Lanki aż do Himawatu. Aby osiągnąć za-  
miar swój, złączył się z Kalayenim, władcą gór Wyndhia, potężnym królem Yawanasów, ludzi o żółtej twarzy. Jako wyznawca bogini Kali, oddawał się Kalayeni ponurym praktykom czarnoksięskim. Nazywano go przyjacielem Rakshasów czyli demonów nocnych i królem węzów, posługiwał się bowiem zwierzętami temi, aby siać po-  
strach wśród ludów swoich i swolch wrogów. W głębi gęstego lasu znajdowała się świątynia bogini Kali, wy-  
drażona we wnętrzu góry, olbrzymia jaskinia czarna, której krawca niepodobna było dojrzeć i której wyjścia strzegły kolosy o głowach zwierzęcych, wykute w skałę. Tam przyprowadzano tych, którzy przychodzili hołd skła-  
dać Kalayeniemu, aby zyskać od niego moc tajemną. Ukazywał się on wówczas u wejścia do świątyni, w oto-  
czeniu mnóstwa węży potwornych, owijających się do-  
koła niego, podnoszących łby na skinienie jego berła. Zmuszał wówczas hodowników swoich do oddawania czci gadzinom tym, których skłębione syczące łby wily się po-  
nad jego głową. Sam równocześnie szeptał jakieś zaklęcie tajemnicze. Ci, którzy spełniali wszystkie formuły tego obrządku i korzyli się przed węzami, otrzymywali, jak mó-  
wiono, wielkie łaski i wszystko, czego zapragnęli. Zarazem jednak stawali się nieodwołalnie ofiarami Kalayeniego,

zbliska i zdaleka. Ktokolwiek próbował opierać się jego rozkazom lub też wyzwolić się z pod jego władzy, widział przed sobą straszliwą postać czarnoksiężnika, otoczonego gadzinami, których syczące łby okalały go zaciśniętym kręgiem, a ich ślepie paraliżowały magiczną swoją siłą. Kansa prosił potężnego władcę o sojusz. Król Yawanów przyobiecał mu władzę nad światem pod warunkiem, że pojmie córkę jego za małżonkę.

Dumną jak antylopa i zwinną jak wąż była córka króla czarnoksiężskiego, piękna Nysumba, strojna w wisioiry złote, pobrzękujące na piersi, jak heban czarnej. Twarz jej była jako chmura ciemna o sinawych odblaskach księżycowych, oczy jak błyskawic para, a usta pożądliwe jak krwawy miąższ owocu o białych pestkach. Rzekłbyś, sama Kali ponura, bogini żądy.

Owładnęła niebawem sercem Kansy, a rozpalając wszystkie namiętności jego, żar płomienny z nich uczyniła. Kansa miał pałac zapełniony kobietami barw wszelkich, żadnej jednak nie uległ po za Nysumbą.

— Obym syna z Tobą spłodził, a uczynię go następcą moim. Stanę się wówczas władcą ziemi i nie będę się lękał nikogo.

Bezplodną jednak była Nysumba i serce się jej gorączą przepełniło. Zazdrościła innym kobietom Kansy, których miłość dawała owoce. Żądała od ojca pomnażania ofiar przynoszonych Kali, ale łono jej pozostawało jak piasek gorący, na którym nic zrodzić się nie może. Wówczas rozkazał król Madury dokonać wobec całej ludności miasta wielkiej ofiary ognia i przywołać wszystkie Dewy. Kobiety Kansy i lud cały zgromadziły się na uroczystość. Kapłani bili czołem przed wielkim ogiem i wzywali śpiewami swemi wielkiego Warunę, Indrę, Aswinów i Marutów. Królowa Nysumba zbliżyła się do ognia i rzuciła w płomienie garść kadzidła ruchem wyzywającym, wymawiając



magiczne zaklęcia w nieznanym języku. Dym skłębił się gęstszy, buchnęły płomienie i krzyknęli przerażeni kapłani:

— O, królowo, to nie Dewy, ale Rakshasy przez ogień przeszły. Łono twoje pozostanie bezpłodnem.

Zbliżył się z kolei Kansa do ognia i rzekł do kapłana:

— Powiedz zatem, która z moich kobiet urodzi władcę świata?

W tej samej chwili Dewaki, siostra króla, zbliżyła się do ognia. Była to dziewczica o sercu prostem i czystem, której wiek dziecięcy upłynął na przedzeniu i tkaniu i która żyła jak we śnie. Ciało jej tylko było na ziemi, dusza zdawała się zawsze przebywać w niebie. Dewaki kornie przyklękła, prosząc Dewy, aby dały syna jej bratu i pięknej Nysumbie. Kapłan spojrział z kolei na dziewczicę i na ogień i nagle zawołał zdumiony:

— O, królu Madury, żaden z twoich synów nie będzie władcą świata! Ten, który nim będzie, zrodzi się z łona tej oto siostry twojej.

Wielkie było przerażenie Kansy i jeszcze większy gniew Nysumby na te słowa. Kiedy król i królowa pozostali sami, rzekła ona do niego:

— Dewaki musi zginąć natychmiast!

— Jakto? odparł Kansa, mam-że zgładzić siostrę moją? Jeśli Dewy roztaczają nad nią swoją opiekę, zemsta ich zwróci się przeciwko mnie.

— Dobrze więc, zawołała pełna wściekłości Nysumba, niech panuje ona zamiast mnie i niech siostra twoja wyda na świat tego, przez którego zginiesz nędznie. Nie chcę panować wspólnie z tchórzem, który boi się Dew, wracam więc do ojca mojego, Kalayeni.

Oczy Nysumby miały ogień, wisiory podskakiwały na jej błyszczącej szyi hebanowej. Padła na ziemię,

a piękne ciało jej wilo się jak żmija rozwścieczona. Kansę zagrożonego utratą tej, która rozplłomieniała w nim żądze najgwałtowniejsze, zdjął lęk i ponownie opanowało go pożądanie namiętne.

— Niech i tak będzie! — rzekł — Dewaki zginie, bylebyś ty nie opuściła mnie.

Błysk tyumfu zamigotał w oczach Nysumby, fala krwi zalała szkarłatem czarne jej oblicze. Zerwała się jednym skokiem z ziemi, oplotła giętkimi ramionami szyję pokonanego tyrana i muskając go hebanowem swem łonem, z którego aromat bił upajający, szepnęła głosem przyciszonym:

— Złożymy ofiarę Kali, bogini Żądy i Śmierci, a ona da nam syna, który będzie władcą świata.

Tej samej wszakże nocy purohita, kapłan naczelny, ujrzał w widzeniu sennem króla Kansę, dobywającego miecza przeciwko własnej siostrze. Udał się natychmiast po obudzeniu do dziewicy Dewaki, aby uprzedzić ją, że grozi jej śmierć i rozkazał, aby uciekła niezwłocznie do pustelników. Ostrzeżona przez kapłana Dewaki, wyszła w przebraniu pokutnicy z pałacu Kansy i opuściła miasto Madurę bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi. Wczesnym rankiem wtargnęli żołnierze do sypialni siostry królewskiej, aby zadać jej śmierć, ale znaleźli sypialnię pustą. Król zaczął badać strażę miejskie. Odpowiedzieli mu wszyscy zgodnie, że wrota zamknięte były przez noc całą, we śnie wszelako widzieli, jak promień księżyca przebił mur ciemny i po promieniu tym wyszła z gródu niewiasta jakaś...

Kansa zrozumiał, że siła niezwalczona roztacza opiekę swą nad Dewaki.

Od tej chwili padł strach na jego duszę. Siostrę swoją znieawidził nienawiścią śmiertelną.



III  
DZIEWICA DEWAKI

Kiedy Dewaki, odziana w ukrywające jej piękność ubranie z kory, przestąpiła niezmierzone pustkowie olbrzymich lasów, chwiała się na nogach, wyczerpana znużeniem i głodem. Zaledwie jednak poczuła cień tych lasów czarownych, zakosztowała słodczy owocu z drzew mangowych i odetchnęła świeżością krynicy, orzeźwiła się jak kwiat omdlały. Weszła pod sklepienie olbrzymie, utworzone z pni potężnych, których gałęzie zapuszczały ponownie korzenie w ziemię, mnożąc do nieskończoności zielone arkady. Długo szła tędy, ochroniona od słońca, jak gdyby wewnątrz ciemnej pagody bez wyjścia. Brzęczenie pszczół, krzyki zakochanych pawi, śpiew kokilasów i tysiący ptaków pociągał ją wciąż dalej. Drzewa stawały się coraz bardziej olbrzymie, las coraz głębszy i bardziej splątany. Pnie cisnęły się za pniami, liście wznosiły się kopulasto na podkładach liści, jak pylony<sup>1)</sup> wciąż potężniejące. Dewaki bądź sunęła naprzód przez krużganki z zieleni, które słońce oblewało kaskadami światła i gdzie

---

<sup>1)</sup> *pylony* — drzwi świątyni egipskich zakończone wieżami czworograniastymi.

leżały kłody pni, obalonych przez nawałnicę, bądź stawała pod namiotami drzew mangowych, z których zwieszały się girlandy pnączy i spadały deszcze kwiatów. Daniele i pantery przebiegały gęstwinię; gałęzie trzeszczały pod cielskiem bawołów, stada małą przedzierały się z wraskiem przez poszycie liści. Szła tak przez dzień cały. Pod wieczór ujrzała pod lasem bambusów nieruchomą głowę mądrego słonia. Spojrzał on na dziewicę rozumnym i opiekuńczym wzrokiem i podniósł trąbę, jak gdyby na powitanie jej. Las przerzedził się nagle i Dewaki ujrzała przed sobą widok, tchnący prawdziwym spokojem i czarem niebiańsko-rajskim.

U stóp jej roztaczało się jezioro usiane kwiatem lotosu i modrych grzybieni: jego lazurowe łono rozwierało się u skraju lasu niby dalszy ciąg nieba. Płochliwe bociany stały na brzegach w nieruchomem rozmarzeniu; dwie antylopy piły wodę fal. Na drugim brzegu wdzięczyło się pod osłoną palm ustronie pustelnika. Cicha światłość różana oblewała jezioro, lasy i schronisko świętych rishi. Na widnokregu biały szczyt góry Meru wznosił się po nad lawiną lasów. Oddech niewidzialnego strumienia ożywiał rośliny; przyciszony szmer dalekiej kaskady błąkał się w zefirze jak pieszczota lub melodia cicha. Na brzegu jeziora ujrzała Dewaki czółno. Obok niego człowiek w wieku dojrzałym, pustelnik, zdawał się czekać na nią. W milczeniu dał znak dziewczynie, aby wsiadła do czółna i ujął wiosła. W chwili, gdy łódź pomknęła, roztrzając grzybienie, zobaczyła Dewaki łabędzia, płynącego po jeziorze. Samiec łabędzi, który lotem śmiałym sfrunął z powietrza, zataczać zaczął wielkie dokoła niej kregi, poczem spuścił się na wodę obok pierwszego łabędzia, samicy, drżąc cały śnieżnym swem upierzeniem. Na ten widok dreszcz głęboki wstąpił ciałem Dewaki, która nie wiedziała czemu go przypisać. Ale łódź oparła



się już o brzeg przeciwległy i dziewczica o oczach barwy lotosu stanęła przed królem pustelników—Wasychtą.

Siedział on na skórze gazeli, a odziewała go skóra czarnej antylopy. Wyglądał raczej na boga niż na człowieka, taką cześć budziła jego postać. Od sześćdziesięciu lat żywił się dzikimi jedynie owocami. Włosy jego i broda były białe jak szczyty Himawatu, skórę miał przejrzystą, spojrzenie jego oczu błędnych zwrócone było w głąb duszy własnej w rozmyślaniu nieustannem. Ujrawszy Dewaki, wstał i powitał ją temi słowy: „Dewaki, siostrze sławnego Kansy, bądź pozdrowiona pomiędzy nami“. Kierowana przez Mahadewę, władczynię najwyższego, opuściła padół nędz, aby go zamienić na świat upojeni. Jesteś tu u świętych rishi, panów zmysłów własnych, szczęśliwych z losu swego i pragnących kroczyć tylko szlakiem nieba. Oddawna już czekaliśmy na ciebie, jak noc czeka na świtanie. Jesteśmy okiem Dew, zwróconem na świat, my, którzy żyjemy w głębiach lasów. Ludzie nas nie widzą, ale my widzimy ludzi i patrzymy na ich czyny. Ponury wiek żądź, krwi i zbrodni pokarał ziemię. Wybraliśmy ciebie do spełnienia dzieła wyzwolenia; przez nas wybrały cię Dewy. Bowiem w łonie niewiasty promień wspaniałości boskiej przyjąć ma kształt ludzki.“

W tej chwili wychodzili z pustelni rishi na modły wieczorne. Stary Wasichta nakazał im, aby skłonili się nisko przed Dewaki. Uczynili jak im kazano i rzekł Wasichta: „Ta będzie matką nas wszystkich, z niej bowiem zrodzi się duch, co ma nas odrodzić“. Poczem, zwracając się ku niej: „Idź, córo moja, rishi powiodą cię do sąsiedniego jeziora, gdzie mieszkają siostry pokutne. Zamieszkaś pomiędzy niemi i spełnią się misterja“.

Dewaki zamieszkała w obrośniętej ljanami pustelni, u pobożnych niewiast, karmiących oswojone gazy i oddających się obrządkom obmywania i modlitwom. De-

waki uczestniczyła w składaniu przez nie ofiar. Jedna ze starszych niewiast wprowadzała ją w świat nauk tajemnych. Pokutnice te miały rozkaz przystrajania jej jak królowej we wspaniałe tkaniny wonne i puszczenia jej, aby swobodnie błądziła w głębi lasu. A las ten, pełen aromatów przedziwnych, odgłosów i tajemnic, pociągał młodą dziewczynę. Czasem spotykała ona gromady starych pustelników, powracających z nad rzeki. Widząc ją, przyklękali, poczem w dalszą szli drogę. Pewnego dnia ujrzała obok źródła, przysłoniętego różowemi kwiatami lotosu, młodego pustelnika, pogrążonego w modłach. Powstał na jej spotkanie, objął ją wzrokiem smutnym i głębokim i oddalił się w milczeniu. Poważne postacie starców, obraz dwóch łabędzi i spojrzenie młodego pustelnika nawiedzały dziewicę w jej rojeniach sennych. Obok źródła stało drzewo odwieczne o szerokich konarach rozłożystych, zwane przez starych rishi „drzewem Życia“. Dewaki lubiła spoczywać w jego cieniu. Często usypiała tutaj i śniły jej się widzenia dziwne. Głosy śpiewały z poza liści: „Chwała ci, Dewakil! Przyjdzie on w glorijskiej światlanej, ten fluid czysty, wyłoniony z duszy wielkiej, i przed wspaniałością jego zbledną gwiazdy. — Przyjdzie i życie wyzwie śmierć i odmłodzi krew wszystkich istot. — Przyjdzie od miodu słodszy i amryty<sup>1)</sup>, tego napoju bogów dającego nieśmiertelność, czystszy niż jagnię bez skazy i niż usta dziewicy, i wszystkie serca miłością rozploną. — Chwała, chwała, chwała ci, Dewakil!“<sup>2)</sup> — Czy to pustelnicy, czy Dewy tak śpiewały? Czasem zdawało jej się, że siła jakaś daleka czy obecność czyjaś tajemnicza, jak gdyby ręka niewidzialna wyciągnięta ku niej, do snu ją zmu-

1) *Amryta* — w mitologii indyjskiej to samo prawie, eo w greckiej ambrozja: napój, dający nieśmiertelność.

2) *Atharwa-Weda*.



szała. Wpadała wówczas w sen głęboki, słodki, niepojęty, z którego budziła się zmieszana i niespokojna. Odwracała się, jak gdyby szukając, kto obok niej się znajduje, ale nigdy nie widziała nikogo. Czasem tylko dostrzegała róże rozsypane na jej łożu z liści lub też wieniec lotosu w dłoniach swoich.

Pewnego dnia wpadła Dewaki w głębszy jeszcze sen ekstatyczny. Usłyszała muzykę niebiańską jak ocean harf i głosów boskich. Nagle rozwarło się niebo otchłanią świetlistą. Tysiące promiennych istot patrzyło na nią, a w blasku olśniewającego promienia słońce słońc, Mahadewa, ukazał się jej w postaci ludzkiej. Wówczas „zaćmiona“ przez Ducha światów, utraciła przytomność i w zapomnieniu o ziemi całej, w błogości bezgranicznej, poczęła dziecię boskie<sup>1)</sup>.

Kiedy siedem księżyców opisało swoje koła zakłętę po nad świętym lasem, rozkazał zwierzchnik nad wszyst-

---

1) Niezbędna jest tutaj uwaga, dotycząca symbolicznego znaczenia legendy powyższej i początku istotnego tych, którzy nosili w dziejach miano *Synów Bożych*. W myśl doktryny tajemnej indyjskiej, która była również doktryną wtajemniczonych w Egipcie i w Grecji, dusza ludzka jest córą nieba, ponieważ przed narodzinami swemi na ziemi przeszła przez szereg istnień cielesnych i duchowych. Ojciec i matka piodzą zatem tylko ciało dziecka, zaś dusza jego przychodzi skądinąd. Temu prawu powszechnemu ulegają wszyscy. Najwięksi prorocy, ci nawet, których ustami przemawia Słowo Boże, nie mogą wyzwolić się z niego. W istocie bowiem, z chwilą gdy się przyjmuje istnienie uprzednie duszy, sprawa, kim był ojciec, staje się drugorzędną. Najważniejszą jest rzeczą, czy prorok ów pochodzi ze świata boskiego. Tego zaś dowieść są w stanie prawdziwi synowie Boga zarówno czynami swemi za życia, jak śmiercią swoją. — Wtajemniczeni starożytni nie uważali jednak za właściwe popospolitowania tych spraw. Niektórzy z nich, zjawiający się na świecie jako wysłańcy boscy, byli synami wtajemniczonych, a matki ich bywały w świątyniach, ażeby począc wybrańców.

kimi pustelnikami przywołać Dewaki: „Wola Dew została spełniona“ — oznajmił jej. „Poczęłaś w czystości serca i w miłości bożej. Bądź przez nas pozdrowiona, dziewico i matko. Zrodzi się z ciebie syn, który będzie zbawcą świata. Ale brat twój, Kansa, szuka cię, aby cię zgładzić wraz z płodem słodkim, który nosisz w twojem łonie. Musisz ująć przed nim. Bracia pustelnicy wskażą ci drogę do pasterzy, którzy mieszkają u podnóża góry Meru, pod cedrami pachnącemi, w powietrzu czystem Himawatu. Tam wydasz na świat twojego syna boskiego i nazwiesz go Kryszną błogosławionym. Niechaj nie wie on jednak o pochodzeniu swoim ani twojem, nie mów mu o niem nigdy. Idź bez obawy, czuwamy nad tobą!“ I poszła Dewaki do pasterzy u podnóża góry Meru.



IV  
MŁODOŚĆ KRYSZNY

U stóp góry Meru rozpościerała się przewiewna dolina, usiana pastwiskami i okolona rozległymi lasami cedrowymi, po których ślizgało się świeże tchnienie Hima-watu. Dolinę tę zamieszkiwał lud pasterzy, nad którymi panował patriarcha Nanda, przyjaciel pustelników. Tam właśnie znalazła Dewaki ucieczkę przed prześladowaniem tyrana, Madury, i tam również, w schronieniu Nandy, wydała na świat syna swego Krysznę. Nikt z wyjątkiem Nandy nie wiedział, kim jest nieznajoma i kto był ojcem jej dziecięcia. Niewiasty okoliczne mówiły: „To syn Gandharwów<sup>1)</sup>. Bowiem muzycy Indry opiekę swoją roztoczyć musieli nad miłością tej kobiety, która podobną jest do nimfy niebiańskiej, do Apsary. Czarowne dziecię nieznajomej rosło wśród stad i pasterzy pod czujnym okiem matki. Pasterze nazywali je „Promiennym“, bowiem sama obecność jego, uśmiech jego i wielkie oczy miały dar promieniowania radości. Zwierzęta, dzieci, kobiety, mężczyźni — wszyscy kochali małego, a on zdawał się kochać cały świat, uśmiechał się do matki, bawił się z ja-

---

<sup>1)</sup> Są to genjusze, które w każdej poezji hinduskiej występują jako duchy opiekuńcze małżeństw z miłości.

gniętami i dziećmi, równolatkami, lub rozmawiał ze starcami. Jako dziecko już nie znał Kryszna bojaźni, śmiały był i dokonywał czynów zdumiewających. Czasem spotykano go w lesie, rozciągniętego na mchu, obejmującego młode pantery i trzymającego je za rozwartą paszczę, a one nie śmiały kąsać go. Czasem zapadał nagle w odrętwienie, zamyślał się głęboko, dziwnym ulegał smętkom. Pozostawał wówczas na uboczu i poważny, zatopiony w myślach, patrzył nie odpowiadając. Nadewszystko jednak, nad wszystkich ludzi wszystkie rzeczy ubóstwiał młodą swą matkę, tak piękną, tak promienną, mówiącą mu o niebie Dew, o walkach bohaterskich i rzeczach cudownych, o których opowiadali jej pustelnicy.

Pasterze, wiodący stada swoje pod cedry góry Meru, mówili: „Kim jest ta matka i kim jest jej syn? Mimo że odziana jest jak wszystkie nasze niewiasty, ma wygląd królowej. Cudowne dziecko wychowane jest razem z naszymi, a jednak niepodobne jest do nich. Czyżby to miał być genjusz? Czy bóg może? Kimkolwiek jest, przyniesie nam szczęście“.

Kiedy Kryszna miał piętnaście lat, wezwał do siebie zwierzchnik pustelników matkę jego, Dewaki. Pewnego dnia znikła, nie pożegnawszy się z synem. Nie widząc jej, udał się Kryszna do patriarchy Nandy i rzekł:

— Gdzie jest matka, moja?

Nanda odparł, pochylając głowę:

— Nie pytaj mnie, dziecko moje. Matka twoja udała się w daleką podróż. Poszła z powrotem do kraju, z którego przybyła i nie wiem, kiedy powróci.

Kryszna nie odpowiedział nic, — jeno w tak głęboką wpadł zadumę, że wszyscy jego rówieśnicy odsunęli się od niego, jak gdyby lękiem przesądnym zdjęci. Kryszna porzucił towarzyszy swoich, zabawy ich i, w myślach wciąż zatopiony, udał się sam na górę Meru. Błąkał się tak



kilka tygodni. Pewnego dnia wszedł na wysoki szczyt zalesiony, z którego roztaczał się widok na łańcuch gór Himawat. Nagle ujrzał przed sobą starca odzianego w białą opończę pustelnika i stojącego pod cibrzymiami cedrami w świetle porannem. Zdawał się mieć sto lat z górą. Śnieżna jego broda i wysokie czoło jaśniały majestatem. Dziecię pełne życia i starzec stuletni patrzyli na siebie wzajem. Oko starca spoczęło z lubością na postaci Krysny. A Krysna tak był zachwycony widokiem starca, że oniemiał z podziwu. Jakkolwiek widział go po raz pierwszy, zdawało mu się, że zna go.

— Kogo szukasz?—rzekł wreszcie starzec.

— Matki mojej.—

— Niema już jej tutaj.—

— Gdzież ją odnajdę?—

— U Tego, który pozostaje zawsze niezmiennym.

— Ale jakże mam Go znaleźć?

— Szukaj.

— A ciebie czy ujrzę jeszcze?

— Tak, kiedy córka Węża popchnie do zbrodni syna Byka, ujrzysz mnie w świtanie purpurowem. Zglądzisz wówczas Byka i zmiażdżysz głowę potwora. Wiedz, synu Mahadewy, że ty i ja jednością jesteśmy w Nim! Szukaj go, szukaj, szukaj wciąż!

I starzec wyciągnął ręce na znak błogosławieństwa. Potem zawrócił i postąpił kilka kroków naprzód pod wysokimi cedrami, w kierunku Himawatu. Nagle wydało się Krysnie, że majestatyczna postać starca staje się przezrystą. Po chwili drgnęła ona i znikła wśród roziskrzonych gałązek o cienkich listeczkach, w migotaniu świetlanem <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Jest to stałe wierzenie w Indjach, że wielcy asceci objawiać się mogą zdala w widomej postaci, wówczas kiedy ciało ich pogrążone jest w śnie kataleptycznym.

Gdy wreszcie zeszedł Krysna z góry Meru, zdawał się jak gdyby przeistoczonym. Moc jakaś nowa promieniowała z jego istoty. Zgromadził towarzyszy swoich i rzekł im: „Chodźmy walczyć z bykami i z węzami; chodźmy bronić dobrych i powalać złych. Z łukiem w ręku i mieczem u pasa Krysna i jego towarzysze, synowie pasterzy, przeistoczeni w wojowników, zaczęli krążyć po lasach, walcząc z dzikimi zwierzętami. W głębi kniej słychać było wycia hyjen, szakali i tygrysów, okrzyki tryumfalne młodzieńców wobec pokonanych bestji. Krysna zabijał i poskramiał lwy; staczał boje z królami i wyzwał narody uciemione. Ale w duszy jego gościł wciąż smutek. Jedno tylko w sercu jego żyło głębokie, tajemne pragnienie, z którym się nie zdradzał: odnaleźć matkę i ujrzeć powtórnie dziwnego, boskiego starca. Przypominał sobie słowa jego: „Czyż nie przyobiegał mi, że ujrzę go znów, gdy zmiążdżę łeb potwora? Czy nie powiedział mi, że odnajdę matkę moją obok Tego, który wiecznie pozostaje niezmiennym?“ Daremnie jednak walczył, zwyciężał i zabijał; nie mógł znaleźć promiennej matki swojej ani oglądać powtórnie boskiego starca. Pewnego dnia usłyszał o Kalayenim, królu węzów, i oświadczył się z gotowością walczenia z najstraszliwszym z tych potworów w obecności czarnoksiężnika. Mówiono, że wąż, ten hodowany przez króla Kalayeni pożarł już setki ludzi i że spojrzenie jego zmraza lękiem najśmielszych. Na znak dany przez króla Kalayeni wypełzła gadzina sino-zielonej barwy, wyprostowała z wolna straszliwe swoje cielsko, nadęła czub czerwony, a przeszywające oczy jej zamigotały w potwornym łbie, pokrytym łuską lśniącą. „Wąż ten — rzekł Kalayeni — wie niejedno; to demon potężny. Tajemnice swoje wyjawia on temu tylko, kto go zgładzi, ale zabija tych, których pokona. Nie pozostaje ci więc nic innego jak ukorzyć się przed nim, jeśli nie chcesz zginąć



ciły do domostw swoich. Nazajutrz wszakże, zaledwie księżyc czarowny ukazał sierp swój, wróciły jeszcze bardziej spragnione słów jego. Widząc, że upajają się opowieściami jego, nauczył je Krysna, jak mają same śpiewać i wyobrażać przytem ruchami wzniosłe czyny bohaterów i bogów. Dał jednym harfy o strunach drżących jak dusze, innym cymbały dźwięczne jak serca wojowników, jeszcze innym bębny, łoskot grzmotu naśladowujące. Najpiękniejsze z dziewcząt wybrał, aby tchnąć w nie myśli swoje. Wyciągając ramiona, chodząc i poruszając się w boskiem upojeniu, odtwarzały tancerki majestat Waruny, gniew Indry, zabijającego smoka, lub rozpacz opuszczonej Mayi. W ten sposób walki i nieśmiertelna chwała bogów, które Krysna oglądał w duszy własnej, odradzały się w tych upojonych i przeistoczonych szczęściem kobietach.

Pewnego dnia rozpierzchły się Gopisy: Dźwięki ich instrumentów muzycznych i roześmianych głosów ich śpiewnych zamilkły w oddali. Krysna pozostał sam pod wielkim cedrem. Przywołał wówczas dwie córki Nandy: Saraswati i Nichdali, które wnet usiadły obok niego. Saraswati otoczyła jego szyję ramionami, aż zadźwięczały zdobiące ją naramienniki, i rzekła: „Nauczyłeś nas śpiewów i tańców uświęconych i tem uczyniłeś nas najszczęśliwszemi z niewiast; będziemy wszakże najnieszczęśliwszemi, jeśli nas opuścisz. Cóż się z nami stanie, kiedy cię już nie ujrzą oczy nasze? O, Krysno, poślub nas, siostrę moją i mnie, będziemy ci wiernemi małżonkami, a oczy nasze nie zasmucają się utraceniem ciebie“. Gdy Saraswati tak mówiła, zawarła Nichdali powieki, jak gdyby wpaść miała w sen ekstatyczny.

— Dlaczego zamykasz oczy, Nichdali? — zapytał Krysna.

— Zazdrosna jest—odparła Saraswati ze śmiechem—nie chce widzieć ramion moich, oplecionych dokoła szyi twojej.

— Nie — odrzekła Nichdali zarumieniona; zamykam oczy, aby napawać się widokiem twojej postaci, wrytej w głębi duszy mojej. Kryszno, możesz odejść; nie utracę cię nigdy. — Zamyślił się Kryszna. Rozplótł z uśmiechem ramiona Saraswati, zaciśnięte namiętnie dokoła szyi jego. Potem przyjrzał się uważnie obu kobietom i ujął je obie w swoje ramiona. Przycisnął najpierw usta swoje do ust Saraswati, a potem do oczu Nichdali. W dwu przeciągłych tych pocałunkach zdawał się młody Kryszna zgłębiać wszystkie rozkosze ziemskie i upajać się niemi. Nagle dreszcz wstrząsnął jego ciałem.

— Piękną jesteś, o Saraswati! — rzekł — ty, której usta mają zapach bursztynu i kwiecica wszelakiego; czarującą jesteś, o Nichdali, ty, której powieki osłaniają oczy głębokie i która umie patrzeć wgłąb siebie. Kocham was obie. Jakżebym mógł was poślubić, skoro musiałbym podzielić między was serce moje.

— O! nie pokocha on nigdy! — rzekła Saraswati gniewnie.

— Kochać będę tylko miłością wiekuistą,

— Cóż czynić należy, abyś tak pokochał? — rzekła czule Nichdali. Kryszna wstał; oczy jego płomieniały.

— Aby kochać miłością wiekuistą? — powtórzył. Trzeba, aby zgasło światło dnia, aby piorun wpadł do serca mojego i aby dusza moja uleciała ze mnie w głąb niebios.

W chwili, gdy mówił tak, zdawało się dziewczętom, że postać jego olbrzymieje. Lęk zdjął je nagle przed nim; wróciły do domu płacząc. Kryszna udał się sam w drogę na górę Meru. Nocy następnej zgromadziły się niewiasty na zwykle zabawy, daremnie jednak czekały na mistrza. Znikł, pozostawiając im treść jedynie i balsam swej istoty: śpiewy i tańce uświęcone.



V  
WTAJEMNICZENIE

Król Kansa, dowiedziawszy się, że siostra jego, Dewaki, znalazła schronienie u pustelników, gdzie nie mógł jej odszukać, zaczął ich prześladować i tropić jak dzikie zwierzęta. Zniewoliło ich to do cofnięcia się głębiej jeszcze w dzikszą część lasu. Wówczas główny ich kierownik stary Wasychta, chociaż miał już sto lat, udał się w drogę, aby pomówić z królem Madurą. Zdumione straże ujrzaly u wrót pałacu ślepego starca, prowadzonego przez gazelę, którą trzymał na smyczy. Przejęci szacunkiem dla rishi, przepuścili go swobodnie. Wasychta zbliżył się do tronu, na którym siedział Kansa obok Nysumby i rzekł:

— Kanso, królu Madury, biada ci, synu Byka, za to, że prześladujesz samotników w świętym lesie. Biada ci, córo Węza, za to, że natchnęłaś go zemstą. Zbliża się dzień waszej kary. Wiedźcie, iż syn Dewaki żyje. Przyjdzie okryty łuską nietykalną, i przepędzi cię sromotnie z tronu. A teraz drżycie i spędzajcie dni w lęku; taką karę zsyłają na was Dewy.

Wojownicy, straże, służebni padli na twarz przed świętym starcem stuletnim, który wyszedł, prowadzony przez swoją gazelę, a nikt nie śmiał tknąć go nawet. Od

dnia tego wszakże Kansa i Nysumba myśleć zaczęli, w jaki sposób można byłoby zgładzić tajemnie króla pustelników.

Dewaki nie żyła i nikt, — prócz Wasychty, nie wiedział, że Kryszna jest jej synem. Rozgłos jego czynów doszedł w tym czasie do uszu króla. Pomyślał tedy Kansa: „Potrzebny mi jest człowiek silny, który mógłby mnie bronić. Ten, kto zabił wielkiego węża króla Kalayeni, nie ulęknie się pustelnika“. To pomyślawszy, kazał Kansa oznajmić patriarsze Nanda, — aby mu przysłał młodego bohatera, Krysznę, „z którego uczynię kierowcę mojego rydwanu i pierwszego mojego doradcę“ — dodał <sup>1)</sup>). Nanda powtórzył Krysznie rozkaz królewski, na co odpowiedział Kryszna: „Pójdę!“ W duchu wszakże pomyślał: „Czyż król Madury — miałby być owym wiekuiście Niezmiennym? Przez niego dowiem się, gdzie jest moja matka“.

Kansa, widząc siłę, zręczność i rozum Kryszny, polecił go i powierzył mu pieczę nad swoim państwem. Nysumba natomiast doznała na widok bohatera z góry Meru dreszczu nieczystych pożądań cielesnych i umysł jej giętki snuć zaczął w błysku myśli zbrodniczej projekt ponury. Bez wiedzy króla przywołać kazała kierowcę rydwanu do swojego gynecceum. Czarnoksięską mocą swą potrafiła odmłodzić się za pomocą płynów, działających ze skutecznością natychmiastową. Syn Dewaki zastał hebanowo-łoną Nysumbę nagą prawie na łożu purpurowem; złote kolce oplatały ramiona jej i nogi w kostkach; dżadem z kamieni drogocennych błyszczał na jej głowie. U stóp jej płonęła kadzielnica miedziana, z której kłębamii ulatywały opary wonności upajających.

---

<sup>1)</sup> W dawnych Indjach obie te godności pełniła często jedna osoba. Kierowcy rydwanów królewskich byli wielkimi osobistościami i często ministrami monarchy. Przykładów tego mnóstwo jest w poezji hinduskiej.



— Kryszno — rzekła córka króla węży — czoło twoje gładsze jest od śniegu na szczytach Himawatu, a serce twoje jest jak ostrze pioruna. Niewinnością swoją jaśniejesz nad wszystkimi królami świata. Nikt cię tutaj nie poznał; ty sam nie wiesz, kim jesteś. Ja jedna wiem o tem; Dewy uczyniły z ciebie władcę ludzi; ja jedna uczynić mogę z ciebie władcę świata. Chcesz tego?

— Jeśli rzeczywiście mówi ustami twemi Mahadewa — rzekł Kryszna uroczyście — powiesz mi, gdzie jest matka moja i gdzie znajdę wielkiego starca, który przemawiał do mnie pod cedrami góry Meru.

— Matka twoja? — zawołała Nysumba z pogardliwym uśmiechem — o, napewno nie ja cię o tem pouczę; twojego starca nie znam zupełnie. Szalańcze! gonisz mary obłądne, a nie widzisz skarbów ziemi, które składam ci w darze. Są królowie, noszący koronę i nie będący królami. Są synowie pasterzy, którzy noszą majestat królewski na swych czołach i którzy nie znają swojej potęgi. Silny jesteś, młody i piękny; idą za tobą serca. Zabij króla, gdy spać będzie, a ja koroną uwieńczę skroń twoją i będziesz władcą świata. — Bowiem kocham cię; jesteś mi przeznaczony. Tak chcę, tak rozkazuję!

Mówiąc to, powstała królowa, dumna, rozkazująca, dziwny rzucająca urok, straszliwa jak piękny wąż. Stojąc na wspaniałem łożu, cisnęła z oczu posepnych taki snop płomieni żarzących na jasne oczy Kryszny, że zadrzał przerażony. W spojrzeniu jej dojrzał piekło. Dojrzał przepaść świątyni Kali, bogini Żądz i Śmierci, i węże kłębiące się w niej w męce wiekuistej konania. I stały się nagle oczy Kryszny, jako dwa sztylety ostre. Przeszyły one królową nawskroś. Bohater z góry Meru zawołał:

— Wierny jestem królowi, który wezwał mnie na swego obrońcę, ale ty zginiesz, wiedz o tem!

Nysumba krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się na łożo, kasając purpurę pościeli. Cała jej sztuczna młodość zgasła odrazu; stara była znów i pomarszczona.

Kryszna wyszedł, pozostawiając ją na pastwę własnej wściekłości.

Król Madury, któremu dniem i nocą nie dawały spokoju słowa pustelnika, rzekł do swego kierowcy rydwanu:

— Odkąd stopa wroga stała w moim pałacu, nie mam spokoju na tronie. Djabelski czarownik, Wasychta, żyjący w gęstym lesie, rzucił na mnie swoją klątwę. Od tej chwili nie oddycham swobodnie; starzec ten zatrul mł życie, lecz mając przy sobie ciebie, który nie lękasz się niczego, nie boję się go. Chodź ze mną do lasu przekłętogo. Szpieg pewien, który zna wszystkie drogi, zaprowadzi nas do niego. Jak tylko go ujrzysz, pospiesz ku niemu i zadaj mu cios, zanim zdąży wymówić słowo lub spojrzeć na ciebie. A gdy będzie już zraniony śmiertelnie, zapytaj go, gdzie jest syn siostry mojej, Dewaki, i jakie nosi imię. Spokój państwa mojego zależy od tej wiadomości.

— Bądź spokojny — odrzekł Kryszna — nie przejął mnie lękiem Kalayeni ani wąż Kali. Przed kim mógłbym drzeć teraz? Więc choć potężnym jest ów człowiek, do-wiem się, co ukrywa przed tobą.

Król i kierowca jego, przebrani za łowców, pędzili na wozie, zaprzężonym w rwące cwałem konie. Za nimi pospieszał szpieg, który przeszukał las cały. Było to na początku okresu deszczowego. Wody rzek i strumieni wezbrały, drogi i ścieżki zarosły bujnie pleniącą się roślinnością, sznury bocianów znaczyły długie białe smugi na szarem tle chmur. Z chwilą, kiedy doszli do świętego lasu, widnokrąg zaciemnił się, chmury zasnuły słońce, rdzawa mgła wypełniła powietrze. Z ponurego, burzliwego



stropu nieba zwisały ciężkie chmury, czepiając się szmatami zwichrzonych wierzchołków lasów.

— Dlaczego — spytał Kryszna króla — zaciemniło się nagle niebo i czemu tak poczerniał las?

— Widzę to — odparł król Madury — to Wasychta, zły samotnik, zaciemnia tak niebo i najeża przeciwko mnie drzewa przeklęte. Czy przeraża cię to, Kryszno?

— Miałbym bać się, że niebo zmienia oblicze, a ziemia barwę? Nie, nie boję się.

— A więc, naprzód.

— Kryszna zaciął rumaki i rydwan wjechał w obręb głębokiego cienia baobabów. Pędził tak przez czas pewien z szybkością zawrotną. A las stawał się coraz dzikszyszy i coraz groźniejszy. Błyskawice przeszły ciemności; ryki gromu wstrząsnęły ziemią i lasami.

— Nigdy jeszcze — rzekł Kryszna — nie widziałem nieba tak czarnego, ani drzew tak pogiętych od wichru. Potężnym jest twój czarownik!

— Boisz się, Kryszno, ty, który zabijasz węże, ty, bohaterze z góry Neru?

— Choćby zapaść się miało niebo, a ziemia drgnąć w posadach, nie znam lęku.

— Więc jedźmy dalej!

I znów śmiały kierowca zaciął rumaki i rydwan popędził lotem ptaka. Wtem rozsrożyła się burza z mocą tak straszliwą, że pogięły się najwyższe olbrzymy drzew. Miotany wichrem las zawył rykiem tysięcy szatanów. Piurun spadł obok podróżnych; strzaskany baobab runął, tarasując drogę; konie stanęły, drgnęła ziemia.

— Bogiem chyba być musi wróg twój — rzekł Kryszna — skoro sam Indra ma go w swojej oplece.

— Jesteśmy blisko kresu naszej drogi — wtrącił szpieg królewski. Spójrz na tę aleję zieleni. Na krańcu jej stoi nędzna chata. Tam właśnie mieszka Wasychta,

wielki muni, żywiący ptaki, broniony przez gazelę i siejący postrach na dzikie bestje.

Słyszac te słowa, król Madury zbladł śmiertelnie: Jest więc tam? naprawdę? za temi drzewami?“ I konwulsyjnie chwytając się Kryszny, szepnął cały dygoczący:

— Wasychta! Wasychta! ten, który obmyśla, jak ma mnie zgładzić, jest tam. Widzi mnie z głębi swojego domostwa... oko jego śledzi mnie... Uwolnij mnie od niego!

— Tak, na Mahadewę — rzekł Kryszna — schodząc z rydwanu i przeskakując przez olbrzymi pień baobabu — chcę zobaczyć tego, przed którym tak drżysz cały.

Stuletni muni Wasychta przebywał od roku już w oczekiwaniu śmierci w chacie tej, ukrytej w głębi lasu świętego. Przed śmiercią ciała wyzwolił się z niewoli ciała. Oczy jego zagasły, lecz widział duszą. Skóra jego nie odczuwała już ani ciepła ani zimna, ale umysł jego żył złąny cudownie z duchem najwyższym. Rzeczy tego świata oglądał już tylko po przez światłości Brahmy, modląc się i rozmyślając nieustannie. Jeden z wiernych uczniów jego przychodził codziennie z pustelni i przynosił mu ziarnka ryżu, któremi się żywił. Gazela, która jadła z jego ręki, ostrzegała go rżeniem przed zbliżaniem się dzikich zwierząt. Wówczas oddawał je szeptaniem zaklęcia mantra i wyciąganiem w ich kierunku kija swego bambusowego o siedmiu węzłach.

Zbliżanie się ludzi, kimkolwiek byliby, widział okiem duszy na odległość kilku mil.

Idąc naprzód po ciemnej alei, stanął Kryszna nagle przed obliczem Wasychty. Król pustelników siedział, skrzyżowawszy nogi na macie słomianej, oparty o mur chaty, w spokoju głębokim. Jego oczy ślepcy nieciły ogień iskier wewnętrznych jasnowidzącego. Jak tylko Kryszna spojrział na niego, poznał w nim odrazu „boskiego starca“. Radość przepelniła jego serce, duszę przejęła cześć



głęboka. Zapominając o królu, o rydwanie i o państwie jego, zgiął kolano przed świętym i hołd mu złożył.

Wasychta zdawał się widzieć go. Bowiemi ciału jego, oparte o ścianę chaty, uniosło się w lekkim drganiu; wyciągnął ramiona, aby pobłogosławić przybysza, a wargi jego wyszeptaly zgłoskę świętą: HUM<sup>1)</sup>.

Przez ten czas król Kansa, nie słysząc krzyku i nie mogąc się doczekać powrotu kierowcy rydwanu, pospieszył w głąb alei. Na widok Krysny, klęczącego przed świętym pustelnikiem, osłupiał ze zdumienia. Pustelnik zwrócił ku niemu swoje oczy ślepeca i podnosząc kij, rzekł:

— O, królu Madury, przychodzisz zabić mnie, bądź pozdrowiony! Bowiemi zadając mi śmierć, wyzwolisz mnie z nędzy ciała. Chcesz wiedzieć, gdzie jest syn siostry twojej, Dewaki? ten, który ma pozbawić cię tronu? Oto jest on! Stoi na klęczkach przede mną i przed Mahadewą. To Krysna, własny twój kierowca. Pomyśl, jak jesteś szalony i przeklęty, bowiemi najgroźniejszy wróg twój — to on właśnie. Przywiodłeś go do mnie, abym mu powiedział, że jest owym wybrańcem. Drżyj! Zgubiony jesteś, albowiemi dusza twoja piekielna stanie się pastwą demonów.

Kansa z przerażeniem słuchał słów jego. Nie śmiał spojrzeć w twarz starcowi; bład z wściekłości na widok klęczącego wciąż Krysny, chwycił łuk swój i, napinając go z całych sił, wypuścił strzałę na syna Dewaki. Ale ramię jego drgnęło, pocisk zboczył i strzała utkwiała w piersi Wasychty, który, skrzyżowawszy ręce, czekał na nią jak gdyby w ekstazie.

---

<sup>1)</sup> We wtajemniczeniu bramińskim oznacza ona: Bóg Najwyższy, Bóg-Duch. Każda z tych liter odpowiada jednej z potęg boskich, jednej z osób Trójcy.

Krzyk straszny rozległ się, — nie z piersi starca, ale z piersi Krysny. Usłyszał on świst puszczonej z łuku strzały, ujrzał ją tkwiącą w ciele świętego... i zdało mu się, że przeszła ona własne jego serce, tak dalece dusza jego zjednoczyła się w tej chwili z duszą rishi. Wraz z tą strzałą ostrą cały ból świata przeszył duszę Krysny, rozdarł ją do głębi. Wasychta, ze strzałą tkwiącą w piersi, poruszał jeszcze wargami, szepcząc:

— Synu Mahadewy, dlaczego wydajesz ten okrzyk bólu? Zabić daremnym jest trudem. Strzała nie może dotrzeć do duszy, a ofiara jest zwycięzcą zabójcy. Tryumfuj Krysno, przeznaczenie spełniło się: wracam do Tego, który pozostaje zawsze Niezmiennym. Niech Brahma przyjmie twoją duszą. Ale ty, jego wybrany, zbawco świata, wstań! Krysno! Krysno!

Krysna, posłuszny temu głosowi, wstał, chwytając za miecz; chciał zwrócić się przeciwko królowi. Ale Kansa uciekł.

Wtem błysk świetlany rozdarł czarne niebo i Krysna padł na ziemię, rażony jasnością olśniewającą. A gdy ciało jego pozostało bez czucia, dusza, zlna potęgą sympatji z duszą starca, wzniosła się w przestworze. Ziemia ze swemi rzekami, strumieniami, z morzami swemi i ładami, znikła jak kula czarna, a oni obaj ulecieli aż po siódme niebo Dew, ku Ojcu wszystkich istot, słońcu słońc, Mahadewie, boskiemu rozumowi. Pogrążyli się w rozwartą przed nimi ocean jasności, w którego samym środku ujrzał Krysna matkę swoją promienną, swoją uwielbianą matkę, Dewaki, która z nieopisanie błogim uśmiechem wyciągnęła ku niemu ramiona, przyciągając go do swego łona. Tysiące Dew przylatywało poić się światłością Dziewicy-Matki, ogrzewać się przy tem ognisku niewygasającym. I uczuł Krysna, że ogarnia go i pochłania miłosne spojrzenie Dewaki. Z głębi serca matki pro-



mieniejącej istota jego siała blaski po przez wszystkie nieba. Uczuł, że jest Synem, duszą Boską wszechświata, Słowem życia, Słowem twórczem. Stojąc po nad życiem ziemskim, przenikał je bólem przecierpianym, żarem modlitwy i błogością boskiej ofiary<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Legenda o Krysznie pozwala nam dotrzeć do źródła idei Dziewicy-Matki, Człowieka-Boga i Trójcy. — W Indjach idea ta występuje od początku zaraz w całej przejrzystości symboliki swojej, w głębokiem swoim znaczeniu metafizycznym. W księdze V-jej rozdz. II *Wisznu-Purana*, opowiedziawszy o poczęciu Kryszny przez Dewaki, dodaje: „Nie mógł nikt patrzeć na Dewaki z powodu spowijającej ją światłości, a ci, którzy oglądali jej wspaniałość, czuli że rozum ich mąci się; bogowie, dla śmiertelnych niewidzialni, nieustannie glosili chwałę jej, odkąd Wisznu wcielony był w jej łono“. Mówili oni: „Ty jesteś ową Prakriti bezbrzeżną i lotną, która nosiła niegdyś Brahme w swoim łonie; stałaś się później boginią Słowa, siłą Twórcy wszechrzeczy i matką Wed. O ty, istoto wiekuista, zawierająca w materji swojej istotę wszechrzeczy stworzonych, byłaś samą twórczością, byłaś ofiarą, z której powstało wszystko, co rodzi ziemia; jesteś drzewem, którego tarcie ogień nieci. Jak Aditi, jesteś matką bogów; jak Diti, jesteś matką Datjów, ich wrogów. Jesteś światłem, które rodzi dzień, jesteś pokorą, matką prawdziwej mądrości, jesteś polityką królów, matką porządku; jesteś pożądaniem, z którego wytryska miłość, jesteś zadowoleniem, z którego czerpie siły rezygnacja; jesteś uświadomieniem, z którego bierze początek nauka; jesteś cierpliwością, matką odwagi; całe sklepienie niebieskie i gwiazdy są twojemi dziećmi; z ciebie powstaje wszystko, co istnieje... Zesłaś na ziemię, aby zbawić świat. Zmiluj się nad nami, o, bogini, i okaż się łaskawą dla wszechświata, bądź dumną, że nosisz w swem łonie boga, który podtrzymuje świat“.

Ustęp ten świadczy, że bramini utożsamiali matkę Kryszny z materją wiekuistą, z istotą wszechrzeczy, z pierwiastkiem żeńskim w przyrodzie. Uczynili z niej drugą osobę Trójcy boskiej, troistości pierwotnej nieobjawionej. Ojciec, *Nara*, (wiekuiście — Męski pierwiastek); Matka, *Nari* (wiekuiście — Żeński pierwiastek) i Syn, *Wiradi* (Słowo Twórcze) — taki jest układ władz boskich. Innemi słowy: pierwiastek umysłowy, pierwiastek plastyczny i pierwiastek tworzący. Wszystkie trzy razem stanowią ową *natura naturans* Spinozy. Świat zorganizowany „*natura naturata*” jest dziełem Słowa twórczego,

Kiedy Krysna ocucił się, gromy huczały jeszcze na niebie, las był ciemny i potoki deszczu zalewały chatę. Gazela lizała krew na ciele przebitego strzałą ascety. „Boski starzec“ był już trupem tylko. Ale Krysna wstał jak odrodzony. Przepaść dzieliła go od świata i znikomych jego ulud. Danem mu było widzieć wielką prawdę i zrozumieć posłannictwo swoje.

Król Kansa, zdjęty lękiem bez granic, uciekał na rydwanie swoim, gnany przez nawałnicę, a konie jego spinały się, jak gdyby zacinane przez tysiące demonów.

---

które objawia się z kolei w trzech postaciach: *Brahma*—duch—odpowiada światu boskiemu, *Wisnu* — dusza — światu ludzkiemu, *Siva* — ciało — przyrodzie zmysłowej. W trzech tych światach pierwiastek męski i pierwiastek żeński (duch i materja) jednakowo są czynne; a pierwiastek wiekuiście żeński objawia się równocześnie w przyrodzie ziemskiej, ludzkiej i boskiej. Izys jest troistą, Cybela również. — Tak pojęta, jak widzimy, troistość podwójna: Boga i wszechświata, obejmuje podstawy i ramy teodycei i kosmogonji (systemu sprawiedliwości bożej i ustroju wszechświata). Zaznaczyć należy, że idea ta wyszła z Indji. Przyjęły ją wszystkie świątynie starożytne, wszystkie religje wielkie oraz kilka najwybitniejszych systemów filozoficznych. W czasach apostołów i w pierwszych wiekach chrześcijaństwa czcili wtajemniczeni chrześcijanie pierwiastek żeński przyrody widzialnej i niewidzialnej pod mianem Ducha Świętego, wyobrazonego w postaci gołąbka, symbolu siły żeńskiej, we wszystkich świątyniach Azji i Europy. Mimo że kościół ukrył i zatracił klucz tych tajników, znaczenie ich przechowało się w tych symbolach.



VI  
DOKTRYNA WTAJEMNICZONYCH

Pustelnicy powitali w Krysznie oczekiwanego i powołanego następcę Wasychty. Odprawiono w świętym lesie *Srade*, czyli obchód żałobny po wielkim starcu. Po spełnieniu ofiary ognia w obecności najstarszych pustelników, tych, którzy umieją na pamięć trzy Wedy, otrzymał syn Dewaki — na znak władzy rozkazodawczej — kij o siedmiu węzłach. Po dokonaniu obrządku tego udał się Kryszna na górę Meru, aby rozmyślać tam w skupieniu ducha nad nauką swoją i nad drogą zbawienia ludzkości. Rozmyślał tak i umartwiał ciało swoje w ciągu siedmiu lat. Po ich upływie uczuł, że boskością swoją zwyciężył ziemską naturę i że dostatecznie utożsamił się ze słońcem Mahadewy, aby zasłużyć na imię syna Bożego. Wówczas dopiero wezwał do siebie pustelników, nowych i dawnych, aby objawić im doktrynę swoją. Ujrzeni oni Krysznę oczyszczonego i wyolbrzymionego, bohater przystoczył się w świętego; nie utracił on lwiej swej siły, ale zyskał słodycz gołębią. Jako jeden z pierwszych przybył Ardżuna, potomek królów słonecznych, jeden z Pandawów strąconych z tronu przez Kurawów, królów księżycowych. Młody Ardżuna pełen był ognia, zapal jego osty-

gał jednak łatwo i łatwo też przeistaczał się w zwątpienie. Przywiązał on się gorąco do Kryszny.

Siedząc pod cedrami góry Meru i mając przed sobą Himawat, zaczął Kryszna głosić uczniom swoim prawdy, niedostępne dla ludzi, żyjących w niewoli zmysłów. Uczył ich doktryny nieśmiertelności duszy, odradzania się jej i pojednania mistycznego z Bogiem. Ciało—mówił on—osłona duszy, która w niem przebywa, jest rzeczą skończoną; ale dusza sama jest niewidzialna, nieważka, niezniszczalna, wiekuista<sup>1)</sup>. Człowiek ziemski jest troisty, jak bóstwo, którego jest odzwierciedleniem: intelekt, dusza i ciało. Jeżeli dusza łączy się z intelektem, osiąga ona *Satwę*: mądrość i pokój; jeśli pozostaje w zawieszeniu między intelektem a ciałem, ulega władzy *Raji*, namiętności, i wiruje od przedmiotu do przedmiotu, zataczając krąg fatalny, i jeśli zaprzeda się ciału, wpada w *Tamę*, obłąd, nieświadomość i śmierć chwilową. Oto, co człowiek każdy widzieć może w sobie samym i dokoła siebie<sup>2)</sup>.

— Jaki jest jednak los duszy po śmierci? — zapytał Ardżuna. Czy ulega ona zawsze tym samym prawom, czy też może wyłamać się z pod nich?

— Nie wyłamuje się z pod nich nigdy i ulega im zawsze, — odparł Kryszna. Na tem polega tajemnica odrodzeń. Podobnie jak głębie nieba rozświetlają promienie gwiazd, tak samo światło tej prawdy rozświetla głębie nieba. „Kiedy ciało zamiera podczas górowania nad niem *Satwy* (mądrości), dusza ulatuje w sfery owych istot czystych, które poznały Najwyższego. Kiedy zaś zamrze ciało w chwili, gdy jest we władzy *Raji* (namiętności), dusza wciela się ponownie w istotę przywiązaną

---

<sup>1)</sup> Wyjawienie tej doktryny, którą przyjął później Platon, znajduje się w 1-ej księdze *Bhagawadgity* w postaci dialogu między Kryszną i Ardżuną.

<sup>2)</sup> Księga XIII do XVIII *Bhagawadgity*.



do rzeczy ziemskich. Podobnie też, gdy śmierć ciała następuje przy górowaniu *Tamy* (niewiadomości), zaćmiona przez materję dusza daje się ponownie usidlić istotom obłądnym.<sup>1)</sup>

— Słuszne to — rzekł Ardżuna. Poucz nas jednak, co się staje w przeciągu wieków z tymi, którzy szli za głosem mądrości i którzy po śmierci swojej przenoszą się do światów bożych?

— Człowiek — odrzekł Kryszna — którego śmierć zastanie oddającego się praktykom pobożnym, korzysta w ciągu kilku wieków w sferach niebiańskich z nagrody, należnej mu za jego cnotę, a potem powraca na ziemię, wcielony w istotę, należącą do godnej, świętobliwej rodziny. Taki rodzaj odrodzenia w życiu doczesnem trudny jest jednak wielce do uzyskania. Człowiek, na nowo w ten sposób narodzony, posiada w tym samym stopniu zdolność skupiania się i doskonalenia, w jakim posiadał ją w pierwotnem swoim ciele, zaczyna też na nowo pracować nad doskonaleniem się w pobożności.<sup>2)</sup>

— A więc — zauważył Ardżuna — dobrzy nawet muszą odradzać się i rozpoczynać na nowo życie cielesne! Powiedz nam wszakże, o, władco zycial czy dla człowieka idącego drogą mądrości nie istnieje kres wiecznych odrodzeń?

— Słuchajcie więc, — rzekł Kryszna — a wyjawię wam bardzo wielką i bardzo głęboką tajemnicę, tajemnicę najwyższą, wzniosłą i czystą. Aby dojść do udoskonalenia, zdobyć należy *wiedzę jedności*, która przewyższa mądrość; należy wznieść się do istoty boskiej, stojącej po nad duszą, po nad rozumem nawet. Owóż boska ta istota, ten przyjaciel wzniosły jest w każdym z nas. Bowiem w du-

<sup>1)</sup> Ibid. ks. XIV.

<sup>2)</sup> Ibid. ks. V.

szy każdego człowieka mieszka Bóg, niewielu wszakże umie go tam znaleźć. A oto droga zbawienia. Gdy uda wam się dojrzeć w sobie Istotę doskonałą, stojącą po nad światem, postanówcie wyrzec się wroga waszego, który przybiera na siebie postać żądy. Poskramiajcie wasze namiętności. Rozkosze, których dostarczają wam zmysły, są źródłem i rodzicielem przyszłych cierpień. Nietylko czyńcie dobro, ale bądźcie dobrymi. Niech pobudka tkwi w czynie, a nie w jego wynikach. Wyrzeczcie się plonu waszych dzieł, ale niech każdy z czynów waszych będzie ofiarą złożoną Najwyższej istocie. Człowiek, który czyni ofiarę z pożądań swoich i z czynów na rzecz istoty, będącej źródłem i twórcą wszechrzeczy, zdobywa ofiarą tą doskonałość. Złączony duchowo z tą istotą, zyskuje ową mądrość, stojąca po nad kultem ofiar, i odczuwa szczęśliwość boską. Ten bowiem, kto w samym sobie odnalazł szczęście i radość i kto światło też w sobie samym odnalazł, zjednoczył się z Bogiem. Wiedźcie zatem, że dusza, która odnalazła Boga, wyzwolona jest z odradzania się i ze śmierci, ze starości, z bólu i pije z krynicy nieśmiertelności.<sup>1)</sup>

W ten sposób wyjaśniał Kryszna doktrynę swoją uczniom, wznosząc ich powoli — drogą wewnętrznego kontemplacji—do poznania prawd najwyższych, odstępionych przed nim samym w piorunowym błysku jego widzenia. Kiedy mówił o Mahadewie, głos stawał się uroczystszym, a twarz rozjaśniał blask promienny. Pewnego dnia Ardzuna, pełen ciekawości i odwagi, rzekł do niego:

— Daj nam ujrzeć Mahadewę w boskiej jego postaci. Czy nie mogą oglądać go oczy nasze?

Powstał wówczas Kryszna i mówić zaczął o Tym, który żyje we wszystkich istotach, przybierając kształtów

<sup>1)</sup> *Bhagawadgita, passim.*



tysiące, który oczu moc ma niezliczoną i oblicza zwrócone we wszystkie strony, a który wszakże wyższym jest nad nie o cały bezmiar nieskończoności; o Tym, który w bezkresnym nieruchomem ciele swem mieści cały wielokształtny świat ruchomy. „Gdyby w niebiosach rozblęła naraz światłość tysięcy słońc“ — rzekł Krysna — przypominałaby ona w słabym zaledwie stopniu świetność jedynej istoty Wszecmocnej.“

Kiedy mówił tak Krysna o Mahadewie, taki trysnął z oczu jego promień, że uczniowie nie mogli znieść jego blasku i padli do stóp jego. Włosy zjeżyły się z przerażenia na głowie Ardżuny. Nachylając się kornie i składając modlitewnie dłonie, rzekł: „Mistrzu, słowa twoje przerażają nas, nie możemy znieść widoku wielkiej Istoty, jaką przedstawiasz oczom naszym. Obraz ten piorunuje nas“<sup>1)</sup>. A Krysna mówił dalej: „Słuchajcie, co wieści wam on przez usta moje: Ja i wy mieliście wiele narodzin. Moje znane są mnie tylko, ale wy nie znacie waszych nawet. Jakkolwiek z samej natury mojej nie podlegam narodzinom ani śmierci i jakkolwiek jestem władcą wszystkich istot, rozkazuję jednak naturze własnej i własną potęgą ją czynię się widzialnym. Ilekroć też cnota upadać zaczyna na świecie, a zapanowuje na nim natomiast grzech i niesprawiedliwość, czynię się widzialnym i dlatego ukazuję się po przez wieki dla ocalenia sprawiedliwości, zniszczenia zła i przywrócenia cnoty. Kto poznał prawdziwą moją istotą i dzieło moje boskie, nie powraca już do nowych narodzin, lecz powraca do mnie“<sup>2)</sup>.

---

1) Patrz ustęp o przeobrażeniu Krysny w ks. XI *Bhagawadgity*. Można ją porównać z przeobrażeniem Chrystusa, Mat. XVII. Patrz ks. VIII niniejszego dzieła.

2) *Bhagawadgita*, ks. IV. Cf. Schlegel i Wilkins.

Mówiąc to, spoglądał Kryszna łagodnie i dobrotliwie na uczniów swoich. Wtedy Ardżuna zawołał:

— Paniel jesteś władcą naszym, jesteś synem Mahadewy! Mówi mi o tem dobroć twoja, twój czar niewypowiedziany bardziej jeszcze niż blask twój przerażający. Nie w wirze bezkresu szukają cię z upragnieniem Dewy; kochają cię one i wielbią, gdy ludzką przybierasz na się postać. Ani pokuta, ani jałmużny, ani Wedy, ani ofiary nie dorównają jednemu spojrzeniu twemu. Jesteś prawdą. Wiedź nas na walki, na boje, na śmierć. Dokądkolwiek zechcesz, pójdziemy za tobą!

Uśmiechnięci i zachwyceni uczniowie cisnęli się do Kryszny, mówiąc:

— Jakże mogliśmy nie widzieć tego wcześniej? Wszak to Mahadewa przemawia przez ciebie.

A on rzekł:

— Oczy wasze nie były otwarte. Wyjawiłem wam wielką tajemnicę. Odsłońcie ją tym tylko, którzy mogą ją zrozumieć. Jesteście wybrańcami moimi; widzicie cel, tłum widzi zaledwie kawałek drogi. A teraz idźcie głosić ludom drogę zbawienia.



VII  
ZWYCIĘSTWO I ŚMIERĆ

Po udzieleniu nauki uczniom swoim na górze Meru udał się Kryszna wraz z nimi na brzegi Dżamuny i Gangesu, aby nawrócić lud. Wchodził do chat i zatrzymywał się w miastach. Wieczorem na krańcach wiosek zbierał się dokoła niego tłum. Głosił ludowi nade wszystko miłość bliźniego. „Krzywda, którą wyrządzamy bliźniemu naszemu — mawiał — idzie za nami nieodstępnie, jak cień idzie za ciałem naszym. Sprawiedliwy dążyć winien do spełniania uczynków, opartych na miłości bliźniego, one bowiem zaważą najbardziej na szali bożej. — Jeśli przedstawać będziesz z dobrymi, zbędnymi się staną twoje przykłady; nie lękaj się przestawiania ze złymi, gdyż tym sposobem sprowadzisz ich na dobrą drogę. — Człowiek cnotliwy podobny jest do drzewa olbrzymiego, którego liczne gałęzie wrastają prostopadle w ziemię, którego cień dobrotliwy daje otaczającym go roślinom świeży powiew życia.“

Czasem też mówił Kryszna, którego duszę przepelniał teraz balsam miłości, o zaparciu się samego siebie i o poświęceniu; mówił głosem słodkim, pociągające wycharowując przytem obrazy: „Jak ziemia nosi i podtrzy-

muje tych, którzy depcą ją nogami i którzy rozdzierają łono jej, aby ją uprawiać,—tak samo i my winniśmy dobrem płacić za złe.—Człowiek zacny paść musi pod ciosami, zadanymi mu przez złych ludzi, jak święte drzewo sandałowe zapachem swoim owiewa topór, który je zrażał“.—Kiedy pół-mędrkowie, niedowiarki i pyszałki żądali od niego, aby im wyjaśnił istotę Boga, takimi odpowiadał zdaniami:

„Wiedza ludzka jest próżnością jedynie; wszystkie dobre jej uczynki utudą są tylko, jeśli nie umie wiązać ich z Bogiem.—Bóg miłuje pokornych sercem i duchem; nie potrzeba mu niczego innego. —Nieskończoność jedynie i bezkрас zdolne są zrozumieć nieskończoność; Bóg tylko zrozumieć może Boga“.

Nie były to jedyne prawdy nowe, głoszone przez niego. Zachwycał zwłaszcza i czarował tem, co mówił o Bogu żyjącym, o Wisznu. Pouczał, że władca wszechrzeczy wcielał się niejednokrotnie w ludzi. Objawiał się kolejno w siedmiu rishich, we Wyasie i w Wasychcie. I nadal objawiać się będzie. Wisznu, jak twierdził Kryszna—lubił czasem przemawiać ustami pokornych: żebraka, pokutnicy, dziecięcia. Opowiadał ludowi przypowieść o biednym rybaku, imieniem Durga, który spotkał dziecię umierające z głodu pod cieniem drzewa daktylowego. Dobry Durga, uginając się pod ciężarem własnej niedoli, obarczony liczną rodziną, której nie był w stanie wyżywić, wzruszył się niedolą dziecka i zabrał je z sobą do domu. Słońce już zaszło, księżyc wschodził nad Gangesem, rodzina cała odmówiła modlitwy wieczorne, a dziecię szepnęło półgłosem: „Owoc kataki oczyszcza wodę; dobre uczynki oczyszczają duszę. Weź sieć, Durgo, łódź twoja kołysze się na Gangesie“. Durga zarzucił sieć, które ugięły się pod ciężarem mnóstwa ryb. Dziecię znikło. I tak—mówił Kryszna, — kiedy człowiek o własnej zapo-



mina niedoli, aby myśleć o niedoli bliźnich. objawia się Wisznu i czyni go szczęśliwym w własnym jego sercu“.

Przykładami podobnemi głosił Kryszna kult Wisznu. Każdy z wsłuchanych w słowa syna Dewaki szczęśliwy był, że ma Boga tak blisko własnego serca. Sława proroka z góry Meru rozeszła się po całych Indjach.

Pasterze, znający go od małego dziecka i będący świadkami naocznymi jego czynów, wierzyć nie mogli, aby święty ten był owym tak dobrze im znanym bohaterem nieustraszonym.

Stary Nanda nie żył już. Żyły wszakże obie jego córki, Saraswati i Nichdali, które kochał Kryszna. Losy jednej i drugiej były odmienne. Saraswati, rozgniewana na Krysznę za to, że ją opuścił, szukała zapomnienia w małżeństwie. Poślubiła człowieka, należącego do wyższej kasty, który pojął ją za jej urodę. Potem pogardził nią i sprzedał jakiemuś waysia czyli kupcowi. Saraswati porzuciła go jednak i stała się kobietą złych obyczajów. Potem dnia pewnego, ogarnięta skrucą i wstrętem do swego życia, rozpacz poczuła w sercu, powróciła do kraju rodzinnego i udała się w tajemnicy do siostry swej, Nichdali. Ta, mająca wciąż w pamięci Krysznę, jak gdyby był zawsze przy niej, pozostała w stanie dziewictwa i mieszkała razem z bratem swoim, u którego pełniła obowiązki służebnej. Gdy Saraswati opowiedziała jej o swojej niedoli i wyjawiała przed nią swoją hańbę, Nichdali odpowiedziała:

— Siostro moja biedna; ja ci wybaczam, ale mój brat ci nie wybaczy. Kryszna jedynie mógłby cię ocalić.

Promień zabłysnął w zagasłych oczach Saraswati.

— Krysznal rzekła; co się z nim dzieje?

— Stał się świętym, wielkim prorokiem. Naucza na brzegach Gangesu.

— Chodźmy do niego! — zawołała Saraswati. —  
I udały się obie siostry w drogę, jedna zniszczona przez  
żądze, druga promienna niewinnością, — obie wszakże  
jedną pochłonięte miłością.

Kryszna nauczał w tej porze wojowników czyli  
kszatrijów. Kolejno bowiem głosił naukę swoją braminom,  
ludziom należącym do kasty braminów i ludowi. Brami-  
nom wyjaśniał ze spokojem wieku dojrzałego głębokie  
prawdy doktryny swojej, wobec radzów słauił cnoty  
wojenne i rodzinne w słowach, pełnych ognia młodości;  
do ludu przemawiał z prostotą dziecięcą o miłosierdziu,  
o pokorze i o nadziei.

Siedział właśnie za stołem biesiadnym, w gościnie  
u słynnego pewnego wodza, kiedy dwie niewiasty przy-  
szły prosić o wprowadzenie ich przed oblicze proroka.  
Ich odzież pokutnic ułatwiła im dostęp do niego. Saras-  
wati i Nichdali skłoniły się do stóp Kryszny i Saraswati  
pierwsza zawołała:

— Odkąd opuściłeś nas, o Kryszno, pędziłam życie  
w błędzie i grzechu; gdybyś chciał jednak, mógłbyś mnie  
ocalić!... Nichdali dodała:

— O Kryszno, ujrzawszy cię ongi, wiedziałam, że  
miłość moja dla ciebie będzie wieczną, teraz, kiedy  
odnajduję cię w całym twym blasku, wiem, że jesteś  
synem Mahadewy.

I obie ucałowały stopy jego. Radzowie rzekli wów-  
czas:

— Dlaczego, o święty rishi, pozwalasz kobietom tym,  
aby cię znieważały słowami niedorzecznymi?

Na to odpowiedział Kryszna:

Pozwólcie im wynurzyć przedemną serca swoje;  
więcej one warte od was. Bowiem w sercu jednej żyje wiara,  
a w sercu drugiej gości miłość. Grzesznica Saraswati zba-  
wiona jest od tej chwili, albowiem uwierzyła we mnie;



cicha Nichdali więcej w milczeniu swoim miłowała prawdę, niż wy wszyscy krzykami waszemi. Wiedziecie otóż, że promienna matka moja, żyjąca w słońcu Mahawedy, nauczy ją tajników miłości wiekulstej, podczas gdy wy wszyscy grzęznąć jeszcze będziecie w mrokach życia nizinnego.

Od dnia tego Saraswati i Nichdali szły nieodstępnie śladem Kryszny wraz z uczniami jego. Natchnione przez niego, nauczały one inne kobiety.

Kansa panował wciąż w Madurze. Od chwili, kiedy zabił starego Wasychtę, nie miał ani chwili spokoju na tronie. Ziściło się proroctwo pustelnika: syn Dewaki żył Król widział go i poczuł, że wobec potęgi tych oczu słabnie cała jego siła i kruszy się cała jego władza. Drżał jak liść suchy o życie własne i często, mimo, że otaczały go roje straży, odwracał się nagle w przekonaniu, że ujrzy młodego bohatera, promiennego a straszliwego, u wrót swego pałacu. — I Nysumba również, rozciągnięta na łożu w głębi gynecceum, rozmyślała o utraczonej swej potędze. Kiedy powiedziano jej, że Kryszna, który stał się prorokiem, naucza na brzegach Gangesu, namówiła króla, aby wysłał oddział żołnierzy z rozkazem sprowadzenia go związanego. Na widok wysłanych przeciwko niemu żołnierzy uśmiechnął się Kryszna i rzekł do nich:

— Wiem, kim jesteście i w jakim celu przychodzicie. Gotów jestem iść z wami do waszego króla; pierwej jednak opowiem wam o królu niebios, który jest moim królem.

I mówić zaczął o Mahawedzie, o blasku jego wspinałymi i o jego objawieniach. Kiedy skończył, złożyli żołnierze broń swoją u stóp Kryszny, mówiąc:

— Nie uprowadzimy ciebie jako jeńca na dwór naszego króla, ale pójdziemy za tobą, do króla twójego.

Pozostali przy nim, a gdy wieść o tem doszła do Kansy, lęk zdjął go wielki. Wtedy poradziła mu Nysumba:

— Wyślij najpierwszych mężów kraju.

Stało się wedle jej rady. Najwybitniejsi mężowie państwa Kansy udali się do miasta, w którem nauczał Kryszna. Przybiecali nie dawać posłuchu jego mowie.

Na widok wszakże blasku jego spojrzenia, majestatu jego postaci i czci, jaką okazywał mu tłum, nie mogli powstrzymać się od słuchania. Kryszna mówił im o niewoli wewnętrznej tych, którzy czynią źle, i boskiej wolności tych, którzy czynią dobrze. Radość i zdumienie ogarnęły kszatrijów, bowiem poczuli się wyzwolonymi jak gdyby z ciężaru przytłaczającego.

— Zaprawdę wielkim jesteś czarownikiem, — rzekli. Przysięgliśmy, że przyprowadzimy cię przed oblicze króla, zakutego w łańcuchy żelazne; nie możemy jednak tego uczynić, albowiem wyzwoliłeś nas z więzów, jakimi my sami byliśmy spętani.

Powrócili tedy do Kansy i oznajmili mu:

— Nie możemy przyprowadzić ci tego człowieka. Wielkim on jest prorokiem i nie masz powodu lękać się go.

Widząc, że wszystkie próby sprowadzenia Kryszny są daremne, rozkazał król potroić strażę i założyć ciężkie łańcuchy żelazne u wszystkich wrót pałacu. Pewnego dnia wszakże usłyszał wielki hałas w mieście, okrzyki radości i tryumfu. „To Kryszna wchodzi do miasta. Lud wywała wrota, kruszy łańcuchy żelazne“. Na wieść tę chciał Kansa uciekać. Straże zmusiły go jednak do pozostania na tronie.

Kryszna wchodził istotnie w otoczeniu uczniów swoich i licznego zastępu pustelników do Madury, z której murów powiewał las chorągwi i której ulice przepelniała ciżba ludzka, podobna do fal rozkołysanego wiatrem morza. Deszcz wieńców i kwiatów sypał się na jego głowę. Wi-



tano go okrzykami zachwytu. U wnijsć do świątyń stali bramini, zgromadzeni pod świętymi drzewami bananowymi i witający syna Dewaki, zwycięzcę potwora, bohatera z góry Meru, a nadewszystko proroka Wisznu. Wreszcie, otoczony świętym orszakiem i witany jak zbawca przez lud i kszatrijów, stanął Krysna przed królem i królową.

— Przemoc i zło były podstawami twojego panowania — rzekł Krysna do Kansy, — zasłużyłeś też na tysiące śmierci za to, że zabiłeś świętego starca, Wasychtę. Nie umrzesz jednak jeszcze. Chcę dowieść świata, że nie zabijaniem wrogów odnosi się zwycięstwo nad nimi, ale przebaczeniem im.

— Zły człowieku! rzekł Kansa, — skradłeś koronę moją i państwo moje. Dopełnij więc swojego dzieła.

— Mówisz jak szaleniec — rzekł Krysna. Gdybyś umarł w tym stanie bezrozumu, zakamieniałości i występku, zgubiony byłbyś na wieki w przyszłym życiu. Jeśli natomiast rozumieć zaczniesz szal twój i żałować czynów popełnionych, będąc jeszcze na tym świecie, kara twoja na tamtym będzie zmniejszona, i przyjdzie dzień, w którym, za wstawiennictwem duchów czystych, zbawiony zostaniesz przez Mahawedę.

Nysumba, pochylona nad uchem króla, szepnęła:

— Szaleńcze! Skorzystaj z obłędnej pychy jego. Dopóki żyjesz, pozostaje ci jeszcze nadzieja zemsty.

Krysna zrozumiał, co powiedziała, chociaż nie sły-szał słów jej. Obrzucił ją surowem, pełnem politowania spojrzaniem:

— Nieszczęsna! Żądło twoje wciąż zatrute. Czarnonico, duchu przewrotny, nic więc niema w sercu twojem prócz jadu żmii?... Wyrwij to żądło, albowiem, jeśli nie uczynisz tego, zmuszony będę kiedyś głowę ci rozplatać.

A teraz pójdiesz wraz królem na wygnanie, aby tam, pod okiem braminów, odbyć pokutę za zbrodnie swoje.

Po wydarzeniach tych powołał Kryszna, za zgodą wybitnych mężów i ludu, ucznia swojego, Ardżunę, najśłynniejszego potomka królów słonecznych, na króla Madury. Władzę najwyższą złożył w ręce braminów, którzy stali się duchowymi przewodnikami króla. Sam Kryszna zaś pozostał zwierzchnikiem pustelników, stanowiących radę najwyższą braminów. Celem ustrzeżenia rady tej od przesładowań kazał wybudować dla niej i dla siebie miasto obronne wpośród gór, otoczone murem wysokim i zamieszkałe przez ludność wybraną. Miasto owo nosiło nazwę Dwarka. W pośrodku jego stała świątynia wtajemniczonych, której część główna ukryta była pod ziemią <sup>1)</sup>.

Kiedy jednak królowie kultu księżycowego dowiedzieli się, że król kultu słonecznego objął tron Madury i że bramini stali się dzięki niemu władcami Indji, złączyli się w sojuszu potężnym, aby obalić go połączonymi

---

1) *Wisznu-Purana*, ks. V rozdz. XXII i XXX mówią o mieście tem w sposób dość przejrzysty: „Postanowił tedy Kryszna zbudować twierdzę, w której pokolenie Yadu znalazłoby schronienie bezpieczne, a zarazem tak pewne, że kobiety nawet mogłyby jej bronić. Wysokie mury chroniły Dwarę, zdobyły ją ogrody i zbiorniki wody, czyniąc ją równie wspaniałą jak Amarawati, miasto Indry. W mieście tem obronnem zasadził on drzewo Parijata, którego zapach balsamiczny rozchodził się najszerzszemi kręgami w dal. Wszyscy ci, co się doń zbliżali, zyskiwali możność przypominania sobie uprzedniego swego istnienia”. Drzewo to musi być widocznie symbolem wiedzy boskiej i wtajemniczenia, tym samym, który odnajdujemy w tradycji chaldejskiej i który przeszedł stąd do genezis hebrajskiej. Po śmierci Kryszny miasto zostaje zatopione, drzewo wraca do nieba, jedynie tylko świątynia pozostaje. O ile wszystko to ma znaczenie historyczne, znaczy ono dla tych, którzy znają arcsymboliczny i ostrożny język Hindusów, że tyran jakiś kazał zrównać miasto z ziemią i że wtajemniczenie odbywało się coraz bardziej w ukryciu.



siłami. Ardżuna, z kolei, zgromadził dokoła siebie wszystkich królów kultu słonecznego tradycji białej, aryjskiej, wedyjskiej. Krysna czuwał nad nimi i kierował nimi z głębi świątyni w Dwarce. Dwie armje wrogie stanęły naprzeciw siebie i walka rozstrzygająca była nieunikniona. Ardżuna, nie widząc wszakże mistrza swego obok siebie, uląkł się; duch jego uległ przyćmieniu; odwaga jego osłabła. Pewnego dnia o świcie zjawił się Krysna przed namiotem króla, ucznia swego.

— Dlaczego — rzekł mistrz głosem surowym — nie rozpoczęłeś walki, która ma rozstrzygnąć, czy synowie słońca czy też synowie księżyca panować mają na ziemi?

— Nie mogę na nic się odważyć bez ciebie — odparł Ardżuna. Spójrz na te dwie armje olbrzymie i na te zastępy, które mają się wzajem mordować.

Ze wzniesienia, na którym stali, władca duchów i król Madury patrzyli na dwie armje niezliczone, ustawione w szyku bojowym, jedna naprzeciw drugiej. Zdała dostrzedz można było lśniące zbroje pozłociste wodzów; tysiące żołnierzy, koni i sloni czekały tylko na hasło rozpoczęcia walki. W tej chwili najstarszy z Kurawasów, wódz armji nieprzyjacielskiej, zadał w swój róg morski, w róg wielki, którego grom podobny był do ryku lwa. Na odgłos ten rozległo się na ogromnym placu boju rżenie koni, szcęk zdławiony oręża, warkot bębnow i trąb — co wszystko razem na huk złożyło się potężny. Nie pozostawało już Ardżunie nic czynić innego, jeno wskoczyć na rydwan zaprzężony w białe rumaki i zadać w konchę swoją jasno-błękitną, aby dać synom słońca hasło rozpoczęcia walki. Głęboka litość załża jednak serce króla, który rzekł bardzo zgnębiony:

— Ręce opadają mi na widok tych rzucających się na siebie wzajem hord; usta moje wysuszył ogień, ciało moje drży, włos jeży mi się na głowie, skóra moja pło-

nie, a umysł mać się. Widzę złe wróżby. Bój ten nie zapowiada nic dobrego. Cóż przyjdzie nam z panowania, z rozkoszy, a nawet z życia? Ci, dla których zdobywać pragniemy państwa, rozkosze, radości, stoją tam, gotowi do walki, zapominają o życiu swoim i swoich dostatkach. Ojcowie, synowie, dziadowie, wnukowie, rodzice, przewodnicy duchowi, zarzynać się wzajem będą. Nie chcę zabijać ich, aby panować nad trzema światami, a tem mniej jeszcze, aby królować na ziemi. Czy zabijanie wrogów może sprawić mi przyjemność? Grzech zabicia wiarołomnych spadnie na nas.

— W jaki sposób — rzekł Kryszna — dotknęła cię klątwa bojaźni, niegodna duszy mędrca, będąca źródłem hańby, która wypędza nas z niebios? Nie bądź zniewieściałym. Powstań.

Ale Ardżuna, zgnębiony i zniechęcony, siedział w milczeniu, a potem oznajmił:

— Nie będę walczył.

— Na to Kryszna, król duchów, ze słabym odparł uśmiechem:

— O, Ardżunol nazwałem cię królem snu, aby umysł twój czuwał nieustannie. Ale umysł twój usnął i ciało twoje zwalczyło duszę. Płaczesz nad tymi, nad którymi nie należałoby płakać, i słowom twoim brak mądrości. Mądrzy nie oplakują ani żywych ani umarłych. Ja i ty i ci kierownicy ludzi istnieliśmy zawsze i nie przestaniemy istnieć nigdy w przyszłości. Podobnie jak dusza przemieszkując w danem ciele, przeżywa dzieciństwo, młodość i starość, tak samo przeżywać je będzie w innych ciałach. Człowieka rozważnego nie może to stropić. Potomku Bharaty! znoś z jednaką pogodą ducha cierpienie i radość. Ci, którym są one obojętne, zasługują na nieśmiertelność. Ci, którzy dostrzegają właściwą istotę rzeczy, widzą prawdę wiekiustą, panującą nad duszą i cia-



łem. Wiedz zatem, że to, co przenika wszechświat, nie może uleść zniszczeniu. Nikt nie jest w stanie zniszczyć Niewyczerpanego. Istnienie wszystkich tych ciał krótko-trwałe jest, jak ci wiadomo. Jasnowidzący wiedzą również, iż dusza wcielona jest wiekuista, niezniszczalna i nie-skończona. Dlatego też idź walczyć, synu Bharaty! Jednako błędzą ci, którzy sądzą, że dusza może zabijać lub może zostać zabita. Nie zabija ona ani może być zabita. Nie urodziła się i nie może tem samem stracić bytu tego, który zawsze posiadała. Jak ten, kto zrzuca ze siebie stare szaty, aby przywdziać nowe, tak samo dusza wcielona odrzuca ciało swoje, aby wcielić się w inne. Miecz jej nie przetnie, ogień nie spali, ani woda zatopi, ani też powietrze nie wysuszy jej. Trwała, mocna, wiekuista — przenika wszystko. Nie powinny zatem obchodzić cię, o Ardzuno, ani narodziny ani śmierć! Albowiem ten, kto się urodził, umrzeć musi niezawodnie, zaś ten, kto umiera, musiał się narodzić. Spełń powinność swoją bez wahania, albowiem niema dla kszatrji nic wyższego po nad walkę w imię słuszności. Szczęśni są wojownicy, którym bitwa zdaje się wrotami otwartymi do rajul. Jeśli jednak nie zechcesz stanąć do słusznego boju, popełnisz grzech, zaniedbując obowiązki swoje i narażając dobrą swoją sławę. Wszyscy mówić będą o wiecznej hańbie twojej, a hańba gorszą jest od śmierci człowieka, czczonego powszechnie<sup>1)</sup>.

Na te słowa mistrza spłonął Ardzuna wstydem i poczł, że krew jego królewska nowem zawrzała męstwem. Wskoczył tedy na rydwan swój i dał znak do rozpoczęcia bitwy. Wówczas pożegnał Kryszna ucznia swojego i opuścił pole walki, albowiem pewien już był zwycięstwa syna słońca.

Rozumiał wszakże, iż, chcąc zniewolić zwyciężonych do przyjęcia religji swojej, musi odnieść nad duszami

<sup>1)</sup> Początek *Bhagawadgity*.

ich ostatnie zwycięstwo, trudniejsze niż zwycięstwo orężne. Zarówno jak święty Wasychta umarł przebity strzałą, aby móc objawić Krysznie prawdę najwyższą, tak samo musiał Kryszna śmierć ponieść dobrowolną pod ciosami zadanymi mu przez śmiertelnego wroga, aby wpoić w serca przeciwników swojej zasady wiary, którą głosił uczniom swoim i światu.

Wiedział on, że dawny król Madury, nie myśląc bynajmniej o pokucie za grzechy, schronił się do ojca swej żony, króla Kalayeni, władcy węzów. Gnany zemstą, którą podsycala w nim Nysumba, rozkazał szpiegom, aby śledzili Krysznę i uchwycili moment odpowiedni do zadania mu ciosu. Zaś Kryszna czuł, że spełnił posłannictwo swoje i że do ostatecznego przypiecztowania go brak jedynie najwyższej pieczęci ofiary. Przestał więc unikać wroga i krzyżować zamiary jego potęgą woli swojej. Wiedział, że z chwilą, gdy przestanie bronić się siłą swoją tajemną, cios dawno obmyślany dosięgnie go niezawodnie. Ale syn Dewaki pragnął umrzeć zdala od ludzi, w samotności Himawatu. Tam będzie się czuł bliższym matki swojej promiennej, boskiego starca i słońca Mahadewy.

Udał się tedy do pustelni, położonej w najdzikszym i najbardziej samotnym ustroniu, u stóp niebotycznych szczytów Himawatu. Żaden z uczniów nie domyślał się jego zamiaru. Saraswati jedynie i Nichdali wyczytały go z oczu mistrza, wiedzione owym czarem przeczuwania, właściwym kobiecie i miłości. Zrozumiawszy, że Kryszna chce umrzeć, padła mu Saraswati do nóg, ucałowała je namiętnie i zawołała:

— Nie opuszczaj nas, mistrzu!

Nichdali spojrzała na niego i rzekła z prostotą:

— Wiem, dokąd idziesz. Kochaliśmy cię, pozwól więc nam iść ze sobą.

A na to Kryszna:



— W niebie mojem nie dozna miłość odmowy.  
Chodźcie więc!

Po długiej podróży doszli prorok i dwie światobliwe niewiasty do szeregu chat, ugrupowanych dookoła wielkiego nagiego cedru, na żółtawej, skalistej górze. Z jednej strony okalały je olbrzymie szczyty śnieżne Himawatu; z drugiej, w głębi, labirynt gór; w dali — płaszczyna, państwo Indji, owiane, jak sen, mgłą złotawą. W pustelni tej mieszkało kilku pokutników w odzieży z kory, z włosami skręconemi w snop, z długimi brodami, z członkami wyschłemi palącym tchnieniem wiatru i żarem słońca, obrosłych włosem na skórze pokrytej warstwami błota i kurzu. Kilku z nich wyglądało jak szkielety, obciągnięte zasuszoną skórą. Na widok smutnego miejsca tego zawołała Saraswati:

— Ziemia jest daleka, a niebo milczące. Dlaczegoż o Panie, przywiódłeś nas do tej pustyni, opuszczonej przez Boga i ludzi?

— Módl się — odrzekł Krysna — jeśli chcesz, aby ziemia przybliżyła się i niebo przemówiło do ciebie.

— Z tobą niebo zawsze jest bliskie, rzekła Nichdali; ale dlaczego chce nas ono opuścić.

— Syn Mahadewy — oznajmił Krysna — musi umrzeć przebity strzałą, aby świat uwierzył w słowa jego.

— Wyjaśnij nam tę tajemnicę!

— Zrozumiecie ją po mojej śmierci. Módlmy się.

Przez siedem dni modlili się i dokonywali obmywań. Oblicze Krysny przeistaczało się często, zdając się promieniować światło. Siódmego dnia o zachodzie słońca ujrzały obie niewiasty łuczników, zbliżających się do pustelni.

— Oto łucznicy Kansy, którzy cię szukają, rzekła Saraswati; broń się, m istrzul

Ále Kryszna, klęcząc pod cedrem, nie przerywał modlitwy. Po chwili nadeszli łucznicy, przypatrując się kobietom i pokutnikom. Twarze prostaczych żołnierzy tych żółte były i czarne. Na widok tonącego w modłach świętego stanęli oszołomieni. Zrazu usiłowali wyrwać go ze stanu ekstazy, zadając mu pytania, łącząc go i ciskając weń kamienie. Nic wszakże nie zdołało zakłócić kamiennego jego spokoju. Zniecierpliwieni rzucili się na niego i uwiązali go do pnia cedru. Kryszna pozwalał wszystko ze sobą robić, jak gdyby pogrążony był we śnie. Potem cofnęli się nieco łucznicy i wzajem podniecając się, zaczęli z odległości ciskać w niego strzały. Gdy przebiła go pierwsza strzała i trysła krew, zawołał Kryszna: „Wasychto, synowie słońca zwyciężyli!“ Kiedy druga strzała świsnęła i wbiła się w jego ciało, rzekł: „Matko moja promienna, niechaj ci, którzy mnie kochają, wejdą wraz ze mną w krąg twoich jasności“. Przy trzeciej szepał tylko „Mahadewa!“ I potem z imieniem Brahmy na ustach wyzionął ducha.

Słońce zaszło. Zaszumiał wicher, zawieja śnieżna zwała się ze szczytów Himawatu i padła na ziemię. Niebo zasnuło się chmurami. Wir czarny powionął po górach. Przerażeni tem, co uczynili, uciekli zabójcy, a obie niewiasty, zmartwiłe z przerażenia, padły zemdlone na ziemię, jak gdyby rażone deszczem krwawym.

Ciało Kryszny spalone zostało przez uczniów jego w świętym grodzie Dwarki. Saraswati i Nichdali rzuciły się na stos, aby połączyć się z mistrzem, i w tej samej chwili wydało się tłumowi, że widzi syna Mahadewy, unoszącego się słupem świetlnym z płomieni i pociągającego ze sobą obie swoje małżonki.

Po wydarzeniu tem przyjęła większa część Indji kult Wisznu, który zjednoczył kultury słoneczne i kultury księżycowe w religiji Brahmy.



VIII

PROMIENIOWANIE DOKTRYNY SŁONECZNEJ

Taką jest legenda o Krysźnie, odtworzona w całości kształcie swoim w perspektywie dziejowej.

Rzuca ona żywe światło na powstanie braminizmu. Niepodobna oczywiście ustalić na podstawie dokumentów faktycznych, czy po za mitem o Krysźnie ukrywa się osobnik rzeczywiście istniejący. Potrójna zasłona, okrywająca wyłonienie się wszystkich religii wschodnich, bardziej jest nieprzenikniona w Indiach niż gdziekolwiek. Bramini bowiem, władcy nieograniczeni społeczności hinduskiej, jedyni przechowujący tradycję, urabiali ją często i przerabiali w biegu wieków. Słuszność wszakże nakazuje dodać, że wiernie przechowali oni wszystkie jej podstawy i że jeśli nawet doktryna święta rozwinęła się w przebiegu wieków, jądro jej nie zostało nigdy naruszone. Nie moglibyśmy też, jak to czyni większość uczonych europejskich, wyjaśnić postaci takiej, jak Kryszna, słowami: „To bajki rozsiane na tle mitu słonecznego i przetkane fantazją filozoficzną“. Nie tworzy się w ten sposób religja, która przetrwała tysiące lat, zrodziła cudowną poezję, kilka wielkich systemów filozoficznych, oparła się potęż-

nej napaści buddyzmu<sup>1)</sup>, najściom mongołów, mahometan, podbojowi angielskiemu i zachowała, w upadku swoim jeszcze, poczucie odwiecznych i wzniosłych swoich początków.

Nie. U źródła wielkiej organizacji stoi zawsze wielki człowiek. Jeśli weźmiemy pod uwagę górującą rolę osobistości Kryszny w tradycji epickiej i religijnej, jeśli uwzględnimy z jednej strony cechy jego ludzkie, a z drugiej jego stałe utożsamianie z Bogiem objawionym czy z Wisznu, musimy uwierzyć, że był on twórcą kultu Wisznu, któremu braminizm zawdzięcza całą swoją wysoką wartość i swój urok. Logika zatem nakazuje przypuścić, że z pośród chaosu religijnego i społecznego, jaki stwa-

---

<sup>1)</sup> Wielkość Sakya-Muni tkwi w boskiej jego dobroci, w jego reformie moralnej i w przewrocie społecznym, jaki spowodował on obaleniem skostniałych kast. Buddha wstrząsa podwalinami, braminizmu w sposób podobny, jak protestantyzm uczynił to przed trzystu laty w stosunku do katolicyzmu: zmusił go do skupienia całej energii, do walki i do odrodzenia się. Ale Sakya-Muni nie dodał nic do doktryny ezoterycznej braminów, rozgłosił tylko niektóre jej części. Psychologja jego jest w gruncie rzeczycą sama, jakkolwiek obiera drogę odmienną. (Patrz Schuré: *Legenda o Buddzie*, *Revue des Deux-mondes* 1 lipca 1885).

Jakkolwiek Buddha nie figuruje w tej książce, nie zapoznajemy bynajmniej doniosłego znaczenia jego w łańcuchu wielkich wtajemniczonych, uczyniliśmy to jedynie ze względu na specjalny plan pracy niniejszej. Pod tym względem należałoby zająć się Buddhą dwukrotnie, raz przy Pytagorasie, w którego osobie rozwinąłem doktrynę powtórnego wcielenia i ewolucji dusz; z drugiej strony przy Chrystusie, który pierwszy ogłosił, dla Wschodu zarówno jak dla Zachodu, ideę braterstwa i miłości bliźniego.

Co się tyczy wielce zresztą ciekawej i zasługującej na przeczytanie książki *Esoteric Buddhism* M. Sinnett'a, której powstanie przypisują niektórzy domniemanym wyznawcom, zamieszkującym obecnie Tybet, nie mogą widzieć w niej nic, po za zręczną kompilacją braminizmu i buddyzmu z niektórymi myślami Kabały i Paracelsa oraz pewnych danych nauki współczesnej.



rzało pierwotne opanowanie Indji przez kultury naturalistyczne i zmysłowe, wyłonił się świetlany reformator, który ożywił czystą doktrynę aryjską ideą trójjedności i słowa bożego objawionego, który przypieczętował dzieło swoje ofiarą życia własnego i nadał tym sposobem Indjom ich ducha religijnego, ich charakter narodowy i ostateczny ustrój.

Znaczenie Kryszny wyda nam się większem jeszcze i prawdziwie wszechświatowem, jeśli zwrócimy uwagę na to, że doktryna jego mieści w sobie dwie idee podstawowe, dwa czynniki twórcze religji i filozofji ezoterycznej. Mówię o doktrynie nieśmiertelności duszy czyli istnień kolejnych w szeregu wcieleń oraz o doktrynie trójjedności czyli Słowa Bożego, objawionego ustami człowieka. Zaznaczyłem powyżej<sup>1)</sup> doniosłość filozoficzną zasadniczego tego pojęcia, które, jeśli dobrze je zrozumiemy, odezwie się żywym echem we wszystkich dziedzinach wiedzy, sztuki i życia. Muszę się ograniczyć na zakończenie do uwagi historycznej.

Pojęcie, że Bóg, Prawda, Piękno i Dobro nieskończone objawiają się w człowieku uświadomionym z potęgą zbawczą, sięgającą aż do głębin nieba siłą miłości i ofiary, to pojęcie najpłodniejsze ze wszystkich budzi się po raz pierwszy w Krysznie. Uosabia się ono w chwili, kiedy ludzkość, po wyjściu z pierwocin aryjskich, pograżać się zaczyna coraz bardziej w kulcie materji. Kryszna objawia światu doktrynę Słowa Bożego, której nie zapomni już.

Im głębiej będzie ludzkość odczuwała swój upadek, tem goręcej będzie łaknęła Zbawców i Synów Bożych. Po Krysznie odbywa się niejako potężne promieniowanie doktryny słonecznej po przez świątynie Azji, Afryki i Europy. W Persji uosabia ją Mitras, pojednawca świe-

---

<sup>1)</sup> Porównaj uwagę o Dewaki z powodu widzenia Kryszny.

łanego Ormuzda i ponurego Ahrimana; w Egipcie—Horus, syn Ozyrysa i Izydy; w Grecji — Apollin, syn słońca i lutni; Djonizos — wskrzesiciel dusz. Wszędzie bóg słoneczny jest bogiem pośredniczącym, a światło jest zarazem mową życia. Czy nie ona też była źródłem, z którego wytrysnęła idea mesjaniczna? Ideę tę wprowadził bądź co bądź do świata starożytnego Kryszna; dzięki Chrystusowi promieniować ona będzie na świat cały.

Wykażę w dalszym ciągu tej tajemnej historii religii, w jaki sposób doktryna Trójcy świętej wiąże się z doktryną duszy i jej ewolucją, w jaki sposób i dlaczego jedna jest podłożem i dopełnieniem drugiej. Już na tem miejscu zaznaczyć możemy, że ich punkt styczny jest ośrodkiem żywotnym, świetlanem ogniskiem doktryny ezoterycznej. Jeśli rozpatrywać będziemy wielkie religie Indji, Egiptu, Grecji i Judei od strony ich zewnętrznej jedynie, dostrzeżemy wszędzie rozdzźwięki, zabobony, chaos. Kiedy jednak zgłębimy ich symbole, kiedy spróbujemy badać ich tajniki, doszukiwać się idei podstawowej, zapładniającej twórców i proroków — olśni nas światło harmonji przedziwnej. Najróżniejszymi, często zawilemi nader drogami do tego samego dojdziemy punktu, tak że dotarcie do tajników jednej z tych religii będzie zarazem dotarciem do pozostałych. Będziemy wówczas świadkami dziwnego zjawiska. Stopniowo, coraz szerszy zataczając krąg, wyłoni się w blasku promiennym, z pośrodku religii doktryna wtajemniczonych, jak słońce z mgławic je otaczających. Każda religja wyda się jak gdyby planetą odmienną. Przy rozpatrywaniu każdej z nich z odmienną spotykamy się atmosferą i z odmiennem położeniem na mapie nieba, zawsze jednak to samo przyświeca nam słońce.

Kraina wielkich marzycieli, Indje, pogrąża nas wraz z sobą w marzenie o wieczności. Wspaniały, surowy jak



śmierć, Egipt, wskazuje nam drogę do życia pozagrobowego. Upajająca Grecja pociąga nas ku pełnym uroku świętom życia i nadaje tajnikom swoim czar form swoich zewnętrznych, pełnych wdzięku lub grozy, swojej duszy żywej i namiętnej. Pytagoras wreszcie sformułuje naukowo doktrynę ezoteryczną, da jej wyraz najpełniejszy może i na mocniejszych niż kiedykolwiek oparty podwalinach. Platon i szkoła Aleksandryjska byli tylko jej uprzystępniającami.

W rozdziałach powyższych dotarliśmy do źródła jej w dżunglach Gangesu i pustkowiach Himalajów.

KSIĘGA TRZECIA  
H E R M E S  
TAJEMNICE EGIP TU



*O, duszo ślepa! Uzbrój się w pochodnię Tajemnic, a wpośród nocy ziemskiej odnajdziesz twójego Sobowtóra świetlanego, twoją Duszę niebiańską. Idź za tym przewodnikiem boskim i niech będzie on Genjuszem twoim. Albowiem dzierży on klucz twoich istnień minionych i przyszłych.*

*Wezwanie do Wtajemniczonych  
(podług Księgi Zmarłych).*

*Wstuchujcie się w siebie samych i patrzcie w nieskończoność Przestrzeni i Czasu. Rozbrzmiewa tam śpiew Gwiazd, głos Liczb i harmonja Sfer.*

*Słońce każde jest myślą Bożą, a każda planeta odmianą tej myśli. Uciążliwą wędrówkę waszą w dół i w górę po siedmiu planetach i siedmiu ich niebach odbywacie w celu poznania myśli Bożej. Co czynią Gwiazdy? Co mówią Liczby? Co toczą Sfery? — O, dusze zatracone lub zbawione—głoszą, opicwają, toczą—wasze przeznaczenia.*

I  
SFINKS

**W** przeciwieństwie do Babilonu, ponurej twierdzy despotyzmu, był w świecie starożytnym Egipt prawdziwą ostoją wiedzy świętej, szkołą najsłynniejszych jego proroków, ucieczką i wytwórnią najszlachetniejszych tradycji ludzkości. Dzięki dokonanym na olbrzymią skalę wykopaliskom i pracom zdumiewającym, naród egipski znany nam jest obecnie lepiej, aniżeli którakolwiek z cywilizacji, jakie poprzedziły Grecję, odtwarza on nam bowiem dzieje swoje wypisane na kartach z kamienia<sup>1)</sup>. Pomniki jego są już odczyszczone, hieroglify odczytane; pozostaje jednak jeszcze praca nad dotarciem do najgłębszych arkanów myśli jego, do doktryny tajemnej kapłanów egipskich. Doktryna ta, uprawiana naukowo

---

<sup>1)</sup> Champollion: „*L'Égypte sous les Pharaons*“; Bunsen: „*Aegyptische Alterthümer*“; Lepsius: „*Denkmäler*“; Paul Pierret: „*Le Livre des morts*“; François Lenormant: „*Histoire des peuples de l'Orient*“; Maspéro: „*Histoire ancienne des peuples de l'Orient*“ etc.



w świątyniach, przezornie osłonięta tajemnicą, ukazuje nam duszę Egiptu i zarazem rozwiązuje zagadkę polityki jego i roli górującej w historii świata.

Historycy nasi mówią o faraonach w ten sam sposób, jak o despotach Niniwy i Babilonu. Egipt jest dla nich monarchją absolutną i zaborczą, jak Assyryja, i różni się od niej tem tylko, że przetrwał o kilka tysięcy lat dłużej. Czy przychodzi im na myśl, że w Assyryji władza królewska obaliła kapłaństwo, aby użyć je za narzędzie swoje, gdy przeciwnie w Egipcie kapłaństwo kierowało władzą królewską, nie abdykowało nigdy, w najtrudniejszych nawet epokach; narzucało królom swoje zwierzchnictwo; wypędzało despotów i rządziło zawsze narodem. Czy rolę tę zawdzięczało ono wyższości umysłowej, głębokiej i ukrytej mądrości, z którą nigdzie, w żadnym państwie i w żadnej epoce, równać się nie mogła mądrość żadnego z ciał nauczających? Mocno o tem powątpiewam. Nie tylko bowiem nie wyciągnęli dziejopisarze nasi żadnego z niezliczonych wniosków, jakie wysnuć należałoby z tego faktu zasadniczego, ale nieomal nie dostrzegają go wcale, a w każdym razie nie przypisują mu żadnego znaczenia. Nie trzeba być jednak koniecznie archeologiem albo językoznawcą, aby zrozumieć, że źródłem nieublaganej niewiści wzajemnej Assyryji i Egiptu jest fakt, że dwa te narody uosabiały w świecie dwie przeciwstawne zasady i że naród egipski zawdzięczał przetrwanie swoje przez tak długie wieki podkładowi religijnemu i naukowemu, którego moc okazała się potężniejszą od wszystkich przewrotów. Od epoki aryjskiej, po przez okres burzliwy, który nastąpił po czasach wedyjskich i trwał aż do podboju perskiego i epoki aleksandryjskiej, to znaczy w ciągu pięciu tysięcy lat z górą, był Egipt warownią czystych i wzniosłych doktryn, których całokształt składa się na ogół nauki zasad i któremu możnaby nadać miano ezo-

teryecznej ortodoksji starożytności. Pięćdziesiąt dynastji nastąpiło kolejno po sobie, zaś Nil wzniósł odsepami<sup>1)</sup> swojemi grody całe, Fenicjanie najściem swoim zalali kraj, a potem zostali z niego wyparci; wpośród przyptywów tych i odpływów historii, pod pozornem bałwochwalstwem swojego zewnętrznego wielobóstwa, utrzymał Egipt dawne podstawy tajemnej swojej teogonji oraz ustrój swój kapłański. Oparł się on wiekom jak piramida z Gizeh, nawpół pogrzebana w piaskach, a mimo to nietknięta. Dzięki temu bezruchowi sfinksa, zachowującego swoją tajemnicę, dzięki tej odporności granitu stał się Egipt osią, dokoła której rozwinęła się myśl religijna ludzkości w przejściu z Azji do Europy. Judea, Grecja, Etrurja — wszystkie te dusze bytów, które dały podstawy religjom różnorodnym, czerpały źródło natchnień ze starożytnego Egiptu. Mojżesz i Orfeusz stworzyli dwie potężne, przeciwstawne sobie wzajem religje, z których jedną cechował surowy monoteizm, drugą — olśniewające wielobóstwo. Gdzie jednak kształtował się ich genjusz? Gdzie zdobył jeden siłę, energję, odwagę przeistoczenia narodu napoły dzikiego, jak śpiż przekuwa się w ogniu? Skąd wziął drugi ów dar magiczny zniewalania bogów do przemawiania, niby lira nastrojona, do dusz tych barbarzyńców oczarowanych? Oczywiście w świątyniach Ozyrysa, w starożytnych Tebach, które wtajemniczeni nazywali grodem słońca czy Arką słoneczną, bowiem w nich było siedlisko syntezy nauki boskiej oraz wszystkich tajników wtajemniczenia.

Co roku, w porze letniego przesilenia, kiedy padają ulewne deszcze abissyńskie, zmienia Nil barwę i przybiera ów odcień krwawy, o którym wspomina Biblja. Rzeka

---

<sup>1)</sup> *Odsepy* przybycie gruntu przez ustąpienie wód po wylwach rzek.



przybiera aż do jesiennego porównania dnia z nocą i grzbiecie pod falami swemi widnokrąg brzegów. Wyniosłe wszakże na swoich cokółach granitowych, pod oślepiającymi promieniami słońca, wykute w skałach świątynie, grobowce, pylony <sup>1)</sup>, piramidy odbijają wspaniałość ruin swoich w wezbranym jak morze Nilu. Tak samo też kapłaństwo egipskie przetrwało wieki całe, zachowując ustrój swój i symbole swoje, stanowiące niezbadane przez długi czas tajniki jego wiedzy. W świątyniach tych, w tych kryptach i piramidach wypracowana została słynna doktryna Słowa-Światła, Słowa Bożego, które Mojżesz zamknie w złotej swojej arce przymierza i którego Chrystus żywą będzie pochodnią.

Prawda niewzruszona jest sama w sobie; ona jedna przetrwa wszystko; zmienia ona wszakże kształt i siedlisko, a objawienia jej są perjodyczne.

„Światło Ozyrysa“, rozjaśniające niegdyś wtajemniczonym głębie przyrody i sklepienia nieba, zagasło na zawsze w opustoszonych grobowcach. Spełniła się wyrocznia Hermesa: „O Egipciel! Egipciel! nie pozostanie z ciebie nic prócz bajek, które wydadzą się nieprawdopodobnymi przyszłym pokoleniom i nic nie przetrwa z ciebie prócz słów wyciosanych w kamieniu“.

Chcielibyśmy jednak, podążając tajemną drogą stażożytnego wtajemniczenia egipskiego, o ile pozwala na to intuicja ezoteryczna oraz gubiące się załamywanie promieni światła po przez osłonę wieków, wskrzesić jeden z promieni tajemniczego tego słońca świątyń.

Zanim jednak przekroczymy ich progi, rzućmy okiem na wielkie fazy, przez jakie przeszedł Egipt przed Hyksosem.

<sup>1)</sup> *Pylony* — budynki kształtu wieżowego, służące w starożytnych budowlach egipskich za ramy portyku wchodowego, stanowią charakterystyczną cechę budownictwa staro-egipskiego.

Cywilizacja egipska, niemal równie stara jak szkielet naszych łądów, sięga początkami swemi okresu starożytnej rasy czerwono-skórych<sup>1)</sup>. Olbrzymi sfinks z Gizeh, obok wielkiej piramidy, jej jest dziełem. W czasach, kiedy istniała jeszcze Delta (utworzona później przez odsepy Nilu), potworny zwierz symboliczny spoczywał już na wzgórzu granitowem, mając po za sobą łańcuch gór libijskich, a przed sobą fale morskie, rozbijające się u jego stóp, tam, gdzie teraz ciągną się w nieskończoność piaski pustyni. Sfinks, to pierwsze dzieło Egiptu, stał się podstawowym jego symbolem, jego znakiem wyróżniającym. Najstarszy z kapłanów wyrzeźbił to wyobrażenie przyrody spokojnej, groźnej w swojej tajemniczości. Głowa ludzka wyrasta z ciała byka o lwich pazurach i składa orle skrzydła na bokach swoich. To Izys ziem-ska, przyroda w żywej jedności swych państw. Już bowiem kapłani owi z czasów niepamiętnych wiedzieli i pouczali, że natura ludzka jest wykwitem natury zwierzęcej.

Ta mieszanina byka, lwa, orła i człowieka obejmuje zarazem cztery gatunki zwierzęce z widzenia Ezechjela, symbolizujące cztery zasadnicze żywioły mikro- i makrokosmu: wodę, ziemię, powietrze i ogień — podstawę wiedzy tajemnej. Dlatego też w duszy wtajemniczonych z okresów późniejszych, gdy ujrzą zwierzę święte, leżące na progu świątyń lub w głębi sklepień podziemnych zbudzi się zrozumienie tej tajemnicy: i, jak ów sfinks, zwiną i oni w milczeniu skrzydła ducha swego na prawdzie,

<sup>1)</sup> W jednym z napisów IV-ej dynastji mowa jest o sfinksie, jako o pomniku, którego powstanie ginie w pomroce dziejów, a który odnaleziony został przypadkowo za panowania tego księcia, zakopany pod piaskiem pustyni, gdzie spoczywał zapomniany w ciągu długich pokoleń. *Fr. Lenormant: „Histoire d'Orient”* II. 55.— Owóz IV-a dynastja przencsi nas na 4000 lat przed Chrystusem. Łatwo ocenić wobec tego starożytność Sfinksa!



głęboko w niej ukrytej. Już przed Edypem bowiem wie-  
dzieć oni będą, że rozwiązaniem zagadki sfinksa jest  
człowiek, mikrokosm, czynnik boski, streszczający w sobie  
wszystkie żywioły i wszystkie siły przyrody. Jedynym  
więc świadkiem działalności swojej, jaki pozostawiła rasa  
czerwona, jest sfinks z Gizeh, niezaprzeczony dowód, że  
postawiła ona wielkie zagadnienie i rozwiązała je na  
swoj sposób.

II  
HERMES

Rasa czarna, która odziedziczyła po czerwonej rasie południowej władanie światem, uczyniła z Górnego Egiptu główny swój przybytek święty. Nazwa Hermesa Totha, tajemniczego pierwszego duchowego przewodnika Egiptu, otwierającego mu drogę do nauk świętych, wiąże się niewątpliwie z pierwszym okresem pokojowego pomieszania rasy białej z rasą czarną w okolicach Etyjopji i Górnego Egiptu, na długo przed epoką aryjską. Hermes jest nazwą rodową, jak Manu lub Buddha. Oznacza ona zarazem człowieka, kastę i boga. Hermes-człowiek jest pierwszym wielkim egipskim odśłaniaczem tajników; jako kasta jest to stan kapłański, przechowujący tradycje nauki wtajemniczonych; jako bóg — planeta Merkury, zespolona wraz z sferą swoją kategorią duchów, boskich odśłaniaczy; Hermes jest słowem, przewodnikiem najwyższym w naziemskiej dziedzinie wtajemniczenia niebiańskiego. Wszystkie te sprawy związane są w duchowej organizacji świata węzłami ukrytego powinowactwa, jak gdyby nicią niewidzialną. Imię Hermesa jest talizmanem, który streszcza i kojarzy w sobie wszystkie; dźwiękiem magicznym, który wywołuje ich obraz. Stąd wielki jego urok. Grecy, uczniowie Egipcjan, nazywali go Hermesem Trismegistem czyli



potrzykroć wielkim, albowiem uważany był za króla, prawodawcę i kapłana. Symbolizuje on epokę, w której stan kapłański, stan urzędniczy oraz władza królewska zjednoczone były w jednym ciele rządzącem. Chronologja egipska Manethona nazywa epokę tę panowaniem bogów. Nie było wówczas ani papyrusu, ani pisma fonetycznego, istniało natomiast pismo, używające znaków, które wyrażały pojęcia; nauka kapłańska wypisana była pismem hieroglificznem na kolumnach i murach grobowców. Pomnożona znacznie, przeszła ona później do księgozbiorów świątyń. Egipcjanie przypisywali Hermesowi 42 księgi, dotyczące wiedzy tajemnej. Księga grecka, znana pod nazwą *Hermesa Trismegistosa*, zawiera, przekształcone niewątpliwie, ale niezmiernie cenne szczątki teogonji starożytnej, owego światła, z którego spłynęły pierwsze promienie wiedzy na Mojżesza i Orfeusza. Doktryna Ognia—Początku Wszecrzeczy oraz doktryna Słowa Światła, zawarta w *Wizji Hermesa*, pozostanie szczytem i ośrodkiem wtajemniczenia egipskiego. Postaramy się odnaleźć ową wizję mistrzów, ową różę mistyczną, rozwijającą się jedynie w mrokach świątyń i w głębi tajników wielkich religii. Słowa Hermesa, nacechowane mądrością starożytną, najlepiej się nadają jako przygotowanie do tego aktu: „Myśl nasza—mówi on do ucznia swego Asklepijosa, — nie byłaby nigdy zdolna wytworzyć sobie pojęcia Boga i żaden język nie byłby zdolny określić go. To co jest bezcielesne, niewidzialne, nieposiadające kształtu widomego, nie może być uchwycone zapomocą zmysłów; to, co jest wieczne, nie może być mierzone krótką miarą czasu: Bóg jest więc niewypowiedziany. Bóg może, co prawda, udzielić wybranym swoim zdolności wznoszenia się po nad rzeczy przyrodzone i dostrzegania tą drogą promieni jego doskonałości najwyższej, — wybrani ci jednak nie mogą znaleźć słów dla oddania w języku pospolitym bezcielesnej

wizji, króra wstrząsnęła do głębi ich jestestwem. Mogą oni wyjaśnić ludzkości wtórne przyczyny tworzenia, które dane im było oglądać jako obrazy życia we wszechświecie, pierwotne jednak źródło pozostaje osłonięte mgłą tajemnicy „którą dopiero po śmierci naszej zdolni będziemy zgłębić“.

Tak mówił Hermes na progu krypt o Bogu nieznanym. Uczniowie, którzy docierali wraz z nim do Ich wnętrza, uczyli się poznać go jako istotę żywą <sup>1)</sup>.

Księga mówi o śmierci jego jako o odejściu Boga. „Hermes dostrzegał ogół rzeczy, a dostrzegłszy je, zrozumiał, rozumiawszy zaś, posiadał władzę objawiania i ujawniania. Co powstało w myśli jego, napisał; co napisał, ukrył w znacznej części, milcząc jako mędrzec wielki i mówiąc zarazem, ażeby świat w ciągu całego przyszedłego trwania swojego szukać musiał tych rzeczy. I tak nakazawszy bogom, braciom swoim, aby służyli mu za orszak, wzbił się na gwiazdy“.

---

<sup>1)</sup> Naukowa teologia w tajemniczonych — mówi M. Maspéro — jest monoteistyczną od czasu pierwszych Faraonów. W tekstach, odnoszących się do tej epoki, znajdujemy twierdzenie o zasadniczej jedności boskiej, wypowiedziane w sposób stanowczy i wyraźny. „Bóg jest jeden i jedyny, ten, który istnieje jako duch utajony; Bóg jest i był od początku, był wówczas, gdy nikt inny nie istniał. On istniał, gdy nic innego nie istniało, a co istnieje w niebie i na ziemi, On stworzył po swoim przyjsciu do bytu. Jest On zarazem Ojcem, Matką i Synem, on rodzi, lecz nigdy nie był zrodzony. On jest wieczny i nieskończony, On stwarza lecz nigdy nie był stworzony. Nieskończoność, wiekiistość, niezawisłość, wola wszechpotężna, dobroć bezgraniczna — są jego własnościami. „Stwarza on własne członki, które są Bogami“ — mówią stare teksty. Każdy z tych wtórnych bogów, uważanych za tożsamość Boga Jedynego, może stworzyć nowy typ, z którego wylonią się z kolei i tą samą drogą inne typy niższe. — „*Histoire ancienne des peuples de l'Orient*“.



Można w ostateczności traktować dzieje polityczne, narodów jako odrębne całości, niepodobna jednak rozbiierać w taki sposób historii ich rozwoju religijnego. Religie Assyrii, Egiptu, Judei, Grecji zrozumieć można jedynie w związku ich ze starożytną religią indo-aryjską. Wzięte oddzielnie przedstawiają one szereg zagadek i szarad; rozpatrywane w całokształcie i z góry, stanowią jeden wspaniały łańcuch rozwojowy, którego wszystkie ogniwa wzajem się zazębiają, uzupełniają i tłumaczą. Słowem, rzec można, że historia jednej religii będzie zawsze ciasną, zabobonną i fałszywą,—prawdziwą będzie jedynie historia religijnego rozwoju ludzkości. Stojąc na tej wyżynie, odczuwa się już tylko prądy, obiegające całą kulę ziemską. Naród egipski, najbardziej niezależny i najbardziej odporny na wpływy zewnętrzne, nie mógł wyzwolić się z pod tego prawa powszechnego. Na pięć tysięcy lat przed naszą erą ognisko światła, rozniecone w Iranie przez Rameę, promieniowało na Egipt, stwarzając tutaj prawo Hammona-Râ, Tebańskiego boga słońca. Ustrój ten pozwolił Egipcjom oprzeć się zwycięsko tyłu przewrotom. Menes był pierwszym królem, który oparł rządy swoje na sprawiedliwości, pierwszym faraonem, który wprowadził prawo to w czyn. Był on o tyle przeczynnym, że nie pozbawił Egiptu dawnej jego teologii, która była też jego własną. Wzmocnił on ją jedynie i rozwinął, uzupełniając ją nową organizacją społeczną. Ustrój organizacji tej był następujący: Kapłaństwo czyli nauczanie — na jednym planie, sprawiedliwość — na innym; do nich obu należało kierownictwo kraju; władza królewska pojęta była jako przedstawicielstwo ich, podlegające ich kontroli; u podstaw społeczeństwa stała względnie niezależna gmina albo powiat czyli „nom“. Takim był ustrój, który nazwać można rządami wtajemniczonych. U szczytu tego gmachu społecznego, jako jego wiązanie, stała synteza

wiedzy, znana pod nazwą Ozyrysa (O Sir-Is), władcy duchowego. Symbolem jego i gnomonem<sup>1)</sup> matematycznym jest wielka piramida. Faraon, sprawujący władzę zarazem kapłana i króla, różnił się zasadniczo od despoty assyryjskiego, opierającego nieograniczoną władzę swoją na krwi i zbrodni. Faraon był wtajemniczonym, którego skronie wieńczyła korona, a przynajmniej uczniem wtajemniczonych. W ciągu wieków będą faraonowie bronili prawa Barana, symbolizującego w owym czasie prawa sprawiedliwości i sądu międzynarodowego przeciwko Azji, która stała się despotyczną, i Europie, w której panowała anarchja.

Okolo r. 2200 przed Chr. przebył Egipt najgroźniejszy przełom, jaki może przeżyć naród: najście i podbój, połowiczny przynajmniej, dokonany przez obcych. Najście fenickie było wynikiem wielkich walk religijnych w Azji, które pobudziły do buntu masy ludowe przez sianie niezgody w świątyniach. Najście to, pod wodzą królów pasterzy, zwanych Hyksosami, spowodowało zalanie hordami azjatyckimi okolicy Deltę i Egiptu Środkowego. Odszczepienczy królowie wprowadzili do Egiptu wypaczoną kulturę, jońską gnuśność, azjatycki przepych, obyczaje haremowe, grube bałwochwalstwo. Zagrożony był byt narodowy Egiptu; jego umysłowość znalazła się w niebezpieczeństwie; jego posłannictwo wszechświatowe zachwiane. Posiadał on wszakże duszę żywą, którą był zorganizowany zastęp wtajemniczonych, przechowujący dawną naukę Hermesa i Ammon-Râ. Jak się zachowała dusza ta? Cofnęła się w głąb swoich przybytków i tam skupiła się bardziej jeszcze w sobie, aby tem skuteczniej oprzeć się wrogowi. Kapłaństwo ukorzyło się pozornie

---

1) *Gnomon* — przyrząd używany przez astronomów starożytnych do oznaczenia wysokości ciał niebieskich.



przed zdobywcami i uznało uzurpatorów, którzy wprowadzili kult byka i wołu Apisa. W rzeczywistości wszakże ukryci w świątyniach kapłani przechowywali tam, jako depozyt święty, naukę swoją, swoje tradycje, dawną nieskażoną religję, a wraz z nią nadzieję przywrócenia dynastji narodowej. W tym właśnie okresie rozpowszechnili oni wśród tłumów legendę o Izydzie i Ozyrysie, o powstaniu tego ostatniego i następnem jego zmartwychwstaniu dzięki synowi jego, Horusowi, który odnaleźć miał członki jego rozproszone i uniesione przez wody Nilu. Podniecali wyobraźnię tłumu uroczystością i świetnością obchodów publicznych. Podtrzymywali jego ukochanie dawnej religji przedstawianiem mu nieszczęść bogini, jej opłakiwania utraty boskiego małżonka oraz nadziei, jaką pokładała w synu, Horusie, boskim pośredniku. Zarazem jednak uważali wtajemniczeni za konieczne osłanianie prawdy ezoterycznej potrójną zasłoną. Szerzeniu kultu Izydy i Ozyrysa sprzyjała umiejętna organizacja wewnętrzna małych i wielkich Tajemnic. Otoczono je nieprzełamanymi niemal zaporami w postaci straszliwych niebezpieczeństw. Wymyślono próby moralne, żądano klątwy milczenia, a kara śmierci nieuchronnie była stosowana w razie, jeśli który z wtajemniczonych zdradził najdrobniejszy chociażby szczegół, dotyczący Tajemnic. Dzięki surowej tej organizacji stało się wtajemniczenie egipskie nie tylko ucieczką i schronieniem doktryny ezoterycznej, ale zarazem warownią odrodzenia narodowego i rozsądkiem przyszłych religji. W czasie kiedy ukoronowani bezprawni przywłaszczyciele władzy panowali w Memfisie, przygotowywały powoli Teby odrodzenie kraju. Ze świątyni swojej, z arki swojej słonecznej wyszedł zbawca Egiptu, Amos, który wypędził Hyksosów po dziewięćciowiekowym ich panowaniu i przywrócił utracone prawa nauce egipskiej oraz kultowi Ozyrysa.

Tym sposobem, na szczęście ludzkości, Tajemnice uratowały duszę Egiptu od zagłady, jaką groziła jej obca tyranja. Tak silną była bowiem dyscyplina, wprowadzona przez kapłanów i tak wielką potęgą ich wtajemniczenia, że skupiła się w łonie ich organizacji największa siła moralna, najwyższy dokonał się dobór intelektualny.

Wtajemniczenie w przyszłości oparte było na zdrowszym i podnioślejszym poglądzie na istotę człowieka, aniżeli nasz pogląd obecny. Wychowywanie ciała, duszy i umysłu nie jest traktowane przez nas równomiernie. Nasza wiedza przyrodnicza, skądinąd bardzo posunięta, traktuje duszę i jej rozlanie się we wszechświecie jako pojęcie abstrakcyjne; religja nasza nie zadawała naszych potrzeb umysłowych; a medycyna nasza nie chce nic wiedzieć o duszy i o duchu. Człowiek współczesny szuka przyjemności, nie dającej szczęścia, szczęścia bez nauki i nauki bez mądrości. Starożytność nie uznawała możliwości odgraniczania tych rzeczy. Miała ona na względzie wszędzie i zawsze potrójną naturę człowieka. Wtajemniczenie polegało na stopniowym wciąganiu całej istoty człowieka na zawrotne wyżyny ducha, z którego panować mógłby on nad życiem. „Ażeby dojść do doskonałości — mówili mędrcy ówczesni — musi człowiek przekształcić zupełnie swoją istotę fizyczną, moralną i umysłową“. Przekształcenie to uskutecznić można jedynie drogą równoczesnego ćwiczenia woli, intuicji i rozumowania. Przez zupełne uzgodnienie ich może człowiek rozwinąć władze swoje aż do granic nieobliczalnych. Wtajemniczenie budzi uspięne władze duszy. Poglębiając wciąż studia swoje, nie ustając w usiłowaniach, może człowiek wejść w związek z tajemnymi siłami wszechświata. Prężąc całą potęgę woli, może osiągnąć bezpośrednio duchowe uświadomienie, utworować sobie drogę do zaświatów i stać się zdolnym do wznoszenia się ku nim. Wówczas dopiero



będzie mógł powiedzieć, że pokonał los i osiągnął na ziemi już boskie wyzwolenie. Wówczas dopiero stać się może wtajemniczony mistrzem, prorokiem i wywoływaczem duchów, a więc jasnowidzącym i twórcą dusz. Albowiem ten jedynie, kto opanował siebie, może panować nad innymi, kto sam jest wolny, może wyzwalać.

Tak zapatrywali się wtajemniczeni w starożytności. Najwięksi z nich żyli i działali zgodnie z tym poglądem. Prawdziwe wtajemniczenie nie było więc bynajmniej czczem tylko rojeniem, ani też prostym nauczaniem, było ono tworzeniem duszy przez nią samą, jej rozwarciem się na wyższej płaszczyźnie, jej rozkwitem w świecie nadziemskim.

Przenieśmy się myślą do epoki Ramzesa, do czasów Mojżesza i Orfeusza, do roku 1300 przed naszą erą i postarajmy się dotrzeć do głębi wtajemniczenia egipskiego. Pomniki, wyobrażające postacie, księgi hermetyczne, tradycja żydowska i grecka umożliwią poznanie faz wstępnych i wytworzenie sobie pojęcia o najwyższem jego objawieniu.

## III

## IZYDA — WTAJEMNICZENIE — PRÓBY

Za panowania Ramzesa dosięgła kultura egipska najwyższego rozkwitu swojej sławy. Faraonowie XX-ej dynastji, uczniowie i obrońcy sanktuarjów, bohatersko podtrzymywali walkę z Babilonem. Łucznicy egipscy niepokoiłi wciąż Libijczyków, Beduinów i Numidyjczyków i odpychali ich w głąb Afryki. Flota licząca czterysta okrętów podążała za ligą odszczepieńców aż do ujść Indusu. Celem skuteczniejszego przeciwdziałania uderzeniom ze strony Assyrii i jej sprzymierzeńców wytknęli Ramzesowie drogi strategiczne aż do Libanu i zbudowali łańcuch twierdz pomiędzy Mageddo i Karkemiszem. Nieukończone karawany przeciągały przez pustynię od Radazji do Elefantyny. Roboty budowlane prowadzone były nieprzerwanie, zatrudniając robotników z trzech lądów. Hypostylowa sala Karnaku, której każda kolumna była wysokości kolumny Vendôme, została doprowadzona do porządku; świątynie w Abydos ozdobiono cudami rzeźby, a dolinę królów zapelnili wspaniałe pomniki. Wznoszono gmachy w Bubaście, w Lugzorze, w Speosie Ibsambułu. W Tebach pylon tryumfalny słał wzięcie Kadeszu.



W Memfisie wznosiło się Ramesseum, okolone lasem obelisków, posągów i olbrzymich monolitów.

W pośród gorączkowej tej pracy, tego życia olśniewającego, niejednen cudzoziemiec, pragnący poznać Tajniki i przybywający z dalekich wybrzeży Azji Mniejszej lub z gór Tracji, obierał za cel wędrówki Egipt, do którego ciągnął go rozgłos wspaniałych świątyń. Na widok Memfisu stawał osłupiony. Posągi, widowiska, uroczystości publiczne olśniewały wielkością i przepychem. Po uroczystości namaszczenia króla, która odbywała się w zamknięciu świątyni, wychodził z niej faraon, aby ukazać się tłumowi w lektyce dźwiganej przez dwunastu oficerów sztabu głównego, niosących wielkie wachlarze z piór pawich i liści lotosu, osadzone na wysokich tykach. Poprowadzało ich dwunastu młodych lewitów<sup>1)</sup> trzymających haftowane poduszki z oznakami dostojęstwa królewskiego: z berłem sędziów, uwieńczonem głową barana, mieczem, łukiem i mnóstwem zbroi. Po za nim szedł dwór królewski i kolegi kapłańskie w otoczeniu wtajemniczonych w wielkie i w małe misterja. Naczelnik kapłani mieli na głowach białe tjary, a napierśniki ich błyszczwały ogniem kamieni symbolicznych. Dostojnicy koronni strojni byli w emblematy Jagnięcia, Barana, Lwa, Lilji i Pszczoły, zawieszone na grubych cudownej roboty łańcuchach złotych. Cechy zamykały pochód, niosąc rozwinięte chorągwie i sztandary<sup>2)</sup>. W nocy wspaniale przystrojone łodzie obwoziły po sztucznych jeziorach orkiestry królewskie, w pośród których odcinały się hieratyczne pozy tancerek i lutnistek.

<sup>1)</sup> *Lewitai* — młodzieńcy pochodzenia kapłańskiego.

<sup>2)</sup> Malowidła ścienne świątyń w Tebach, odtworzone w książce Franciszka Lenormant oraz rozdział o Egipcie w „*Mission des Juifs*“ Saint-Yves d'Alveydre'a.

Ten przepych przytłaczający nie był jednak głównym celem dążeń przybysza. Przywiodło go z tak daleka pragnienie przeniknięcia tajników i żądza wiedzy. Opowiadano mu, że w świątyniach Egiptu znajdzie magów i kapłanów, którzy posiadli naukę boską. Przybysz pragnął dotrzeć do tych tajników. Kapłani z kraju jego mówili mu o *Księdze umarłych*, o tajemniczym zwoju, który kładziono mumjom pod głowy jako wjatyk. Na zwoju tym wypisana była w formie symbolicznej historia zagrobowej drogi duszy, celem ułatwienia duchowi przejścia z niebytu do Ra do nieba. „Rozdział ten odnaleziony był w Hermopolis, wypisany pismem błękitnem na alabastrowej płycie, u stóp boga Totha (Hermesa) za czasów króla Menkara, przez księcia Hastatefa podczas podróży jego, mającej na celu oglądanie świątyń, Książę zabrał kamień ten do świątyni królewskiej. O, wielka tajemnico! Po przeczytaniu czystego i świętego rozdziału tego przestał żyć, słyszeć, zbliżyć się do kobiet, nie tknął więcej mięsa ani ryby“. Ile jednak było prawdy w niepokojących tych opowiadaniach, w tych obrazach hieratycznych, po za któremi ukrywała się straszliwa tajemnica pozagrobowa? Izydzie tylko i Ozyrysowi jest to wiadome — mówiono przybyszowi. Jakimi wszakże byli ci bogowie, o których mówiono z gestem tajemniczym, z palcem na ustach? Ażeby dowiedzieć się tego, pukał przybysz do wrót wielkiej świątyni Teb lub Memfis.

Służba wprowadzała go pod portyk wewnętrznego dziedzińca, którego ogromne kolumny, podobne do olbrzymich lotosów, podtrzymywały siłą swoją i czystością Arkę słoneczną, świątynię Ozyrysa. Kapłan zbliżał się do wprowadzonego. Majestat rysów jego, spokój, jakim tchnęło jego oblicze, tajemne głębie jego czarnych oczu nieprzeniknionych, acz jaśniejących światłem wewnętrznym, wystarczały już samo przez się do wywołania silnego



uczucia niepokoju. Wzrok jego wwiercał się w głąb duszy obcego przybysza. Czuł on, że staje wobec człowieka, przed którym nic nie da się ukryć. Kapłan Ozyrysa zaczął wypytywać przybyłego o jego miasto rodzinne, o jego rodzinę oraz o świątynię, z której czerpał dotychczas naukę. O ile po krótkim tym ale przenikliwym egzaminie uznany on był za niegodnego dopuszczenia do tajników, milczący ale nieodwołalny gest wskazywał mu drzwi. Jeśli jednak kapłan dostrzegał w ubiegającym się szczerze pragnienie prawdy, zapraszał go, aby szedł za nim przez portyki, przez dziedzińce wewnętrzne, potem przez aleję, wyciosaną, w skale i nie mającą dachu. Na końcu alei tej, po której obu bokach ustawione były szeregi pomników z jednego kamienia, słupów i sfinksów, stała niewielka świątynia, służąca za wejście do krypty podziemnej. Naturalnej wielkości posąg lzydy zasłaniał drzwi do krypty. Bogini wyobrażona była w postawie siedzącej z księgą zamkniętą na kolanach, w pozie pełnej skupienia i rozmyślań. Twarz jej była osłonięta; pod posągiem był napis:

„Nikt ze śmiertelnych nie uchylił mej zasłony“.

— Oto wrota do tajemnej świątyni — oznajmiał kapłan. Spójrz na te dwie kolumny. Czerwona wyobraża wzniesienie się ducha ku światłu Ozyrysa; czarna oznacza ugrzęźnięcie jego w materji, upadek ten doprowadzić może do unicestwienia. Ktokolwiek szuka dostępu do nauki naszej i do naszej doktryny, naraża życie swoje. Na słabych i złych czeka tu obłąd lub śmierć; jedynie silni i dobrzy znajdują u nas życie i nieśmiertelność. Wielu nierozważnych przekroczyło te podwoje i nie wyszło z nich żywymi. To przepaść, pochłaniająca wszystkich, z wyjątkiem tych jedynie, którzy są nieustraszeni. Zastanów się więc głęboko nad tem, co chcesz uczynić, nad niebezpieczeństwami, na które się narażasz, i, jeśli nie

czujesz w sobie odwagi, która nie ulęknie się żadnych prób, wyrzecz się twojego zamiaru. Bowiem z chwilą, kiedy wrota te zawrą się za tobą, nie będziesz już mógł cofnąć się. Jeśli po przemówieniu tem, przybysz trwał w chęci poznania tajników, odprowadzał go kapłan do wewnętrznego dziedzińca i polecał go służącym świątyni, z którymi przeżyć miał tydzień, poświęcony pełnieniu najniższych posług, słuchaniu hymnów i dokonywaniu obmywań. Zachowywać musiał przy tem bezwzględne milczenie.

Kiedy wreszcie nadszedł wieczór prób, dwaj neokorzy czyli stróże świątyni, prowadzili go do wrót tajemnej świątyni, do czarnego przedsionka, z którego nie było widać wyjścia. Po obu stonach ponurej sieni, oświetlonej pochodniami, spozstrzegał przybysz szereg posągów, wyobrażających głowy zwierzęce osadzone na torsach ludzkich, lwy, byki, ptaki drapieżne, węże, a wszystkie one zdawały się szyderczo uśmiechać do niego. Na końcu złowroziej tej sieni stały, ustawione naprzeciw siebie: mumja i szkielet. Strażnicy wskazywali nowicjuszowi niemym gestem jamę w murze, przed którą stał. Było to wejście do korytarza tak niskiego, że dostać się można doń było zaledwie na czworakach.

— Możesz jeszcze wrócić — mówił jeden z neokorów. Wrota świątyni jeszcze się nie zawarły. W przeciwnym razie musisz iść tą drogą już bez możliwości powrotu.

— Zostaję — odpowiadał nowicjusz, wysilając całą swoją odwagę.

Po takiej odpowiedzi wręczano mu małą zapaloną lampkę. Neokorowie wracali i zamykali z trzaskiem wrota świątyni. Nie było już wyboru, trzeba było wsunąć się do korytarza. Zaledwie wczolgał się do niego na kolana, trzymając lampkę w dłoni, rozlegał się z głębi podziemi głos: „Gina tutaj szaleńcy, którzy zapragnęli wiedzy



i władzy". Zdumiewające jakieś urządzenie akustyczne sprawiało, że echo powtarzało słowa te siedmiokrotnie, w dłuższych odstępach. Trzeba było, mimo to, iść na przód; korytarz rozszerzał się, spadając w dół coraz bardziej pochyło. Wreszcie śmiały podróżnik stawał wobec leja zakończonego jamą. W otworze jego ginał koniec drabiny żelaznej, na którą wchodził i na której ostatnim stopniu przerażony wzrok jego tonął w głębiach przeraźliwej studni. Jego mała lampka naftowa, którą ściszał konwulsyjnie w drżącej dłoni, sączyła skąpe światło w ciemnicy bezdennej. Co czynić? Nad nim powrót niemożliwy; pod nim otchłań czarna, straszliwa noc. W tej chwili rozpaczy dostrzegł na lewo rozpadlinę. Uczepiony jedną ręką o drabinę, drugą wyciągając przed sobą lampkę, zauważył w rozpadlinie stopnie. Schody — było to zbawienie. Przypadł do nich; piał się w górę, wymykając się z przepaści Schody, przebijające swidrem skałę, wiły się krętą linią węzową. Pnąc się tak coraz dalej, docierał wreszcie do kraty z brązu, otwierającej dostęp do szerokiej galerji, podtrzymywanej przez wielkie karjatydy. W przejściach między niemi widniały, na murze dwa szeregi fresków symbolicznych. Było ich po jedenaście z każdej strony; lampy kryształowe, umieszczone w dłoniach pięknych karjatyd, rzucały na nie słabe, łagodne światło.

Mag zwany *pastoforem* (stróż świętych symbolów) otwierał przed nowicjuszem kratę i przyjmował go pełnym życzliwości uśmiechem. Winszował mu szczęśliwego przebycia pierwszej próby, poczem oprowadzając go po galerji, wyjaśniał mu znaczenie świętych malowideł. pod każdym z nich była zgłoska i cyfra. Dwadzieścia dwa symbole wyobrażały pierwsze dwadzieścia dwa tajniki i tworzyły alfabet nauk tajemnej, a więc, zasady bezwzględne, klucze wszechobejmujące, które kierowane

wolą, stają się źródłem najwyższej mądrości i potęgi. Zasady te utrwały się w pamięci dzięki związkowi ich ze zgłoskami świętego języka oraz z liczbami, które zgłoskom tym odpowiadają. W języku tym każda zgłoska i każda liczba wyrażają prawo troiste, mające odpowiedniki swoje *w świecie boskim, w świecie umysłowym i w świecie fizycznym*. Jak palec, dotykający strun liry, wywołuje poszczególny dźwięk, z całej gamy dźwięków i wprawia we współdrżanie wszystkie pokrewne mu brzmienia, tak samo umysł, rozważający wszystkie właściwości danej liczby lub głos, wymawiający literę z całą świadomością jej znaczenia, powołują do życia siłę, której echo odbija się we wszystkich trzech światach. I tak litera A, odpowiadająca liczbie 1, wyobraża *w świecie boskim*: Istotę bez względną: Absolut z którego wyłaniają się wszystkie twory; *w świecie umysłowym* — jedność, źródło i syntezę liczb; *w świecie fizycznym* — człowieka, uwieńczenie istot względnych, który, przez naprężenie wszystkich swoich władz, wznosi się do współśrodkowych sfer nieskończoności.— Tajnik I wyobrażony był u Egipcjan w postaci kapłana w białej szacie, dzierżącego berło i mającego złotą koronę na głowie. Biała szata oznaczała czystość, berło było znakiem władzy, a złota korona — światło wszechogarniające.

Trudno było nowicjuszowi zrozumieć wszystkie te nowe i dziwne rzeczy, które przed nim odsłaniano. Słowa pastofora i piękne te malowidła, patrzące na niego z niewzruszoną powagą bogów, otwierały przed nim nowe, nieznane widnokregi. Po za każdym z nich dostrzegał w błyskach przelotnych szeregi myśli i obrazów, nagle przez nie wywołanych. Tajemniczy łańcuch przyczyn nasunął mu po raz pierwszy w życiu jego myśl o *wnętrzu* świata. W ten sposób przechodząc od litery do litery, od cyfry do cyfry, wyjaśniał mistrz uczniowi znaczenie



tajników i wiódł go od *Izydy Uranji* do *wozu Ozyrysa*, przez *wieżę zburzoną* do *gwiazdy promienistej* i wreszcie do *korony magów*. „A wiedz otóż — mówił pastofor — co oznaczać ma ta korona: wszelka wola, łącząca się z Bogiem celem objawienia prawdy i sprawowania sprawiedliwości, zyskuje już w ziemskim życiu część władzy boskiej nad istotami i przedmiotami. Częstka ta stanowi nagrodę wiekuistą duchów wyzwolonych“. Słuchając tych słów mistrza doznawał nowicjusz uczucia zdumienia, lęku i zachwytu zarazem. Były to pierwsze przebłyski światła sanktuarjum, a prawda w tych błyskach dostrzeżona zdawała mu się jutrznią boskiego wspomnienia.

Nie był to jednak jeszcze koniec prób. Przy ostatnich słowach swoich otwierał pastofor podwoje, wiodące do nowego wąskiego a długiego przejścia sklepionego, na którego końcu buzowało ognisko gorejące. „Ależ to śmierć!“ — wołał nowicjusz, patrząc z drzeniem na swego przewodnika. „Synu mój — odpowiadał pastofor — śmierć przeraża jedynie dusze niedojrzałe. Przeszedłem ongi przez płomień ten niby przez pole różane“. I wrota galerji tajników zamykały się za nowicjuszem. Zbliżając się do kręgu ogniowego, spostrzegął on, że ognisko było jedynie złudzeniem wzrokowem, wytworzonym przez lekkie przeplecenie drzew żywicznych ułożonych w rozmaitych kierunkach na kratkach. Ścieżka wykreślona środkiem pozwalała mu przejść szybko. Po *próbie ognia* następowała *próba wody*. Nowicjusz przejść musiał przez martwą czarną wodę przy blasku płonącej nafty, zapalonej za nim w komnacie ognistej. Po odbyciu próby tej przechodził cały dygocący jeszcze, prowadzony przez dwóch przewodników do groty ciemnej, gdzie stało łoże miękkie, tajemniczo oświetlone przyćmionem światłem zawieszanej u stropu lampy brązowej. Tu osuszano go, skrapiano ciało jego wytwornemi wonnościami, przyodziewano w cienką bie-

liznę i pozostawiano samego ze słowami: „Spocznij i czekaj na wielkiego hierofantę“<sup>1)</sup>).

Nowicjusz wyciągał zmartwiałe przebyтым trudem członki na puszystym kobiercu łoża. Po tylu doznanych wrażeniach różnolitych słodką wydawała mu się ta chwila spoczynku. Przed oczyma wyobraźni jego przesuwaly się wszystkie owe, oglądane przez niego, malowidła święte, wszystkie dziwne postacie, sfinksy i karjatydy. Dlaczego jednak myśl jego powracała wciąż do jednego z tych malowideł, które jawiło mu się niby widziadło na jawie? Widział przed sobą wyraźnie tajnik X wyobrażony w postaci koła zawieszzonego na osi swojej pomiędzy dwiema kolumnami. Z jednej strony wznosi się w górę Hermanubis, genjusz Dobra, piękny jak młody efeb; z drugiej Tyfon, genjusz Zła, pada głową na dół w przepaść. Pośród obydwoma, na wierzchu koła, siedzi sfinks, trzymający miecz w szponach.

Nieuchwytny szmer muzyki lubieżnej, który, zdało się, wychodził z głębi groty, spędzał to widzenie. Były to lekkie, nieokreślone dźwięki, tchnące smętkiem niewysłowionym, w głąb duszy przenikającym. Wtem dźwięknął mu w uszach brzęk jakiś metaliczny, zmieszany z dźwiękami fletu i z ciężkimi, jak oddech pałacy westchnieniami.

Tonąc w marzeniu płomiennem, przymykał oczy. Gdy je otworzył, ujrzał o kilka kroków od łoża swego olśniewające zjawisko, tchnące czarem życia i urokiem szatańskim. Nubijka, spowita w osłony przejrzyste z gazy purpurowej, z kolją amuletów na szyi, podobna kapłankom misterjów Mylitty, stała, chłonąc go wzrokiem i trzymając w lewej ręce uwiłtą różami czarę. Uosabiała ona ów typ nubijski, którego odurzająca zmysłowość streszcza-

---

<sup>1)</sup> *hierofanta* — kapłan, który przewodniczył misterjom Eleuzyńskim.



w sobie całą potęgę uroku samczego: policzki wydatne, rozszerzone nozdrza, pełne wargi krwiste jak soczysty owoc czerwony. Czarne jej oczy żarzyły się w półcieniu. Zerwał się nowicjusz, i zdumiony, nie wiedząc, czy lękać się ma czy cieszyć, skrzyżował instynktownie ręce na pierśsiach. Nubijka szła ku niemu z wolna z oczami spuszczo-nemi, szepcząc półgłosem: „Boisz się mnie, piękny cudzoziemcze? przynoszę ci nagrodę zwycięzców, zapomnienie bólów, czarę szczęścia?... Nowicjusz wahał się; wtedy, jak gdyby owładnięta znużeniem nagłem, siadała Nubijka na jego łożu i topiła w nim wzrok błagalny, który owiewał go falą oddechu palącego.

Lecz biada mu, jeśli ulegnie pokusie. Biada mu, jeśli pochyli się nad ustami temi, jeśli da się upoić ciężkim aromatem, unoszącym się z tych ramion brunatnych. Jeśli raz tylko dotknie jej dłoni i umoczy usta w tej czarze, zgubiony będzie na wieki... padnie na postanie opleciony uściskiem żarzącym. Ale po dziwnym nasyceniu zmysłów, napój, który wchłonął w siebie z podanej mu czary, pograży go w sen kamienny. Po przebudzeniu będzie osamotniony, zdjęty lękiem. Lampa rzucać będzie błyski posępne na zmięte jego łoże. W tej chwili ujrzy przed sobą hierofantę, który mu powie:

— Wyszedłeś zwycięzko z pierwszych zadanych ci prób. Opanowałeś śmierć, ogień i wodę, nie umiałeś jednak opanować samego siebie. Ty, który wznieść się pragniesz na wyżyny ducha i wiedzy, uległeś pierwszej pokusie zmysłów i wpadłeś w otchłań materji. Kto zaprzędał się w niewolę zmysłów, żyje w mrokach niewiedzy. Przeniosłeś mrok nad światło, pozostań więc w mroku. Uprowadziłem cię o niebezpieczeństwach, które czyhają na ciebie. Uratowałeś życie, ale utraciłeś wolność. Pozostaniesz, pod grozą śmierci, niewolnikiem świątyni“.

Jeśli jednak nowicjusz miał siłę, przewrócić czarę, wylać zawarty w niej napój, i odtrącić kusicielkę, otaczał go wnet orszak dwunastu neokorów, niosących pochodnie i prowadził w tryumfie do świątyni Izydy, gdzie czekali na niego zebrani w pełnem zgromadzeniu, ustawieni w półkole i przybrani biało magowie. W głębi rzeźbionej oświetlonej pustyni jaśniał olbrzymi posąg Izydy odlany z metalu, ze złotą różą u piersi i z głową uwieńczoną dżademem siedmiopromiennym. Do ramion bogini tulił się syn jej, Horuso. Stojący pod posągiem hierofanta w szatach purpurowych przyjmował przybysza i odbierał od niego przysięgę milczenia i poddania, popartą klątwami najstraszliwszemi. Po odebraniu przysięgi pozdrawiał go w imieniu całego zebrania jako brata i jako przyszłego wtajemniczonego. Stając wobec dostojnych mistrzów tych, doznawał uczeń Izydy uczucia, że staje wobec bogów. Przerosłszy siebie samego, wkraczał po raz pierwszy w sferę prawdy.



## IV

## OZYRYS — ŚMIERĆ I ZMARTWYCHWSTANIE

A jednak było to zaledwie dopuszczenie na próg poznania prawdy. Teraz bowiem rozpoczynały się dopiero długie lata nauki i przygotowania. Zanim wznieść się miał nowy adept do Izdy Uranji, poznać musiał Izydę ziemską, zdobyć wiedzę fizyczną, wykształcić się w naukach, jej poświęconych. Czas cały poświęcał poczęści na rozmyślenia w ciszy swojej celi, poczęści zaś na studjowanie hieroglifów w salach i dziedzińcach świątyni rozległej jak miasto oraz na słuchanie wykładów, prowadzonych przez mistrzów. Uczył się poznawania własności minerałów i roślin, dziejów człowieka i narodów, medycyny, architektury i muzyki świętej. Podczas tych długich lat nauki miał nietylko *poznać ale stać się!* miał i zaparcieciem się siebie zdobyć się. Mędrcy starożytni wierzyli, iż człowiek wówczas tylko osiąść może prawdę, kiedy staje się ona najistotniejszą częścią składową jego osobowości, wpływem bezpośrednim jego duszy. Pracy tej głębokiej dokonać musiał jednak, pozostawiony własnym zupełnie siłom. Mistrze jego żadnej nie okazywali mu w niej pomocy, tak iż często dziwił go ich chłód, ich obojętność. Czuwano nad nim pilnie, zniewalano go,

aby stosował się do nieugiętych przepisów, wymagano od niego bezwzględnego posłuszeństwa; nie wyjawiano mu jednak nic co wychodziło po za pewne granice. Na jego pełne niepokoju pytania odpowiadano: „Czekaj i pracuj,“. Przychodziły na niego wówczas nagle chwile buntu, żalów gorzkich, strasznych podejrzeń. Czy niestał się ofiarą śmiałych oszustów lub złych czarnoksiężników, którzy opanowali wolę jego w niecnym jakimś celu? Prawda zdawała się uciekać przed nim; bogowie opuścili go; był sam, zaprzędany w niewolę świątyni. Prawda ukazała mu się w postaci sfinksa. Teraz sfinks ten mówił mu: „Jestem zwątpieniem!“ I piękne zwierzę skrzydlate o niewzruszonej, kamiennie obojętnej twarzy kobiecej i szponach lwa porywało i unosiło prawdę, aby ją podrzeć na strzępy w palącym piasku pustyni.

Dręczące te zmary opuszczały go wszakże, poczem następowały godziny ukojenia i przeczuc boskich. Przenikał wówczas znaczenie symboliczne prób, którym go poddawano przy wejściu jego do świątyni. Niestety, bowiem, ciemne otchłanie, w które nieomal nie wpadł, mniej były czarne, aniżeli niezglębiona przepaść prawdy; ogień, przez który przeszedł, mniej był groźny, aniżeli żądze, których żar spalał jeszcze jego ciało; lodowata, mroczna woda, w której był zmuszony pograżyć się, mniej była zimna, aniżeli zwątpienia, w których tonęła i gubiła się myśl jego w godzinach posępnych. W jednej ze sal Świątyni ciągnęły się dwa szeregi tych samych malowideł świętych, których znaczenie wyjaśniono mu w krypcie podczas owej nocy prób, a które wyobrażały dwadzieścia dwa tajniki. Tajniki te, które odsłaniano na wstępie do nauki okultystycznej, stanowiły właściwe podstawy teologii; ażeby jednak zrozumieć je należało przejść przez całe wtajemniczenie. Od owej nocy żaden z mistrzów nic więcej mu o nich nie wspominał. Pozwalano mu tylko



przechadzać się po sali tej i rozmyślać nad owemi znakami. Spędzał w niej długie samotne godziny. Po przez postacie czyste i jasne jak światło, uroczyste jak wieczność, przesiąkała zwolna w serce jego niedostrzeżona, nieuchwytna prawda. W niemem obcowaniu z milczącymi i bezimiennymi, bóstwami temi z których każde panować się zdawało nad inną sferą życia, nowych doznawać zaczynał wrażeń: zrazu było to cofanie się w najgłębszą treść duszy własnej, rodzaj oderwania się od świata, które pozwalało mu szybować ponad sprawami ziemskimi. Czasem pytał którego z magów: „Czy nadejdzie dzień, w którym wolno mi będzie napawać się aromatem róż lzydy i widokiem światła Ozyrysa?” — Na co mag odpowiedział mu: „Nie zależy to od nas. Prawda nie jest dawana. Odnajduje ją człowiek w samym sobie, albo też nie odnajduje jej wcale. Nie możemy uczynić z ciebie wyznawcy jej, musisz stać się nim sam przez się. Kwiat lotosu rośnie pod powierzchnią fal na długo przed rozwinięciem się. Nie przyspieszaj rozkwitu boskiego kwiatu. Jeśli ma on nastąpić, nastąpi we właściwej porze. Pracuj i módl się“.

I uczeń powracał z tęskną radością do studjów swoich i do swoich rozmyślań. Rozkoszował się poważnym i słodkim urokiem tej samotności, w której czuje się, tchnienie istoty istot. Tak upływały miesiące i lata. Zdawał sobie sprawę, że dokonywa się w nim samym powolna przemiana, przeistoczenie zupełne. Namiętności, które osaczyły młodość jego, nikły jak cienie, a myśli, które go teraz opanowały, uśmiechały się do niego jak przyjaciółki nieśmiertelne. Chwilami odczuwał jak gdyby pochłonięcie swojego ja ziemskiego i narodziny nowej jaźni, czystej i bardziej lotnej. W nastroju tym padał na stopnie świątyni, której podwoje zamknięte były przed nim. W takich chwilach nie było w nim ani buntu, ani

pożądania żadnego, ani żalu. Było tylko bezgraniczne poświęcenie duszy Bogom, zupełne oddanie się prawdzie. „O, Izydo — wzywał on w modłach swych — dusza moja jest jedynie łąką oczu twoich, niech więc spadnie ona jako rosa na inne dusze, abym, umierając, mógł czuć ulatujący ku tobie aromat ich. Gotów jestem do wszelkiej ofiary“. Po jednej z niemych takich modlitw ukazywała się pogrążonemu w ekstazie uczniowi wychodząca jak gdyby z pod ziemi wizja: postać hierofanty w gorących blaskach zachodu. Mistrz zdawał się czytać wszystkie myśli ucznia, przenikać cały dramat jego przeżyć wewnętrznych.

— Synu mój — mówił — zbliża się godzina, w której prawda zostanie ci objawiona. Bowiem przeczułeś ją już, wchodząc w głąb duszy własnej i odnajdując w niej życie boskie. Przyjmiesz udział w wielkim niewypowiedzianem obcowaniu Wtajemniczonych, którego stałeś się godzien czystością twojego serca, ukochaniem prawdy i siłą zaparcia się siebie. Nikt jednak nie może przekroczyć progu Ozyrysa, zanim nie przeszedł przez śmierć i przez zmartwychwstanie. Będziemy ci towarzyszyli do krypty. Nie lękaj się, albowiem jesteś już jednym z braci naszych.

O zmierzchu kapłani Ozyrysa towarzyszyli z pochodniami w rękach nowemu adeptowi w drodze do niskiej krypty, opartej na czterech słupach, ustawionych na sfinksach. W rogu krypty stał otwarty sarkofag marmurowy <sup>1)</sup>.

---

1) Archeologowie przez długi czas dopatrywali się w sarkofagu wielkiej piramidy w Gizeh grobu króla Serostrysa, na wiarę Herodota, który nie był wtajemniczonym i któremu kapłani egipscy powierzali jedynie opowieści ludowe oraz fraszki drobne. Królowie egipscy mieli groby swoje gdzieindziej. Dziwna budowa wewnętrzna piramidy świadczy, że musiała ona służyć jako miejsce obrzędów wtajemniczenia oraz tajemnych praktyk kapłanów Ozyrysa.



— Nikt — rzekł hierofanta — nie może uniknąć śmierci, zmartwychwstanie jest przeznaczeniem każdej istoty żyjącej. Adept przechodzi żywy przez grób, aby za życia wejść w krąg światła Ozyrysowego. Legnij więc w grobie tym i oczekuj światła. Nocy tej przekroczysz podwoje Przerżenia i dosięgniesz progu Doskonałości“.

Adept kładł się do otwartego grobu, hierofanta wy-  
ciągał nad nim rękę, aby pobłogosławić, poczem orszak  
wtajemniczonych oddalał się w milczeniu od grobu. Mała,  
postawiona na ziemi, lampka oświetlała jeszcze mdłym  
światłem swoim cztery sfinksy, podtrzymujące przysa-  
dziste kolumny krypty. Przyciszony, głuchy chór głosów  
niskich rozbrzmiewa w powietrzu. Zkąd przychodzi? To  
śpiew pogrzebowy!... Cichnie i zamiera, lampka rzuca  
błysk ostatni, potem gaśnie zupełnie. Adept pozostał  
sam w ciemnościach; ogarnia go chłód mogilny, mrozi  
wszystkie jego członki. Przechodzi stopniowo przez wszy-  
stkie bolesne uczucia zamierania i wpada w letarg.  
Wszystkie obrazy życia jego przesuwiają się kolejno przed  
oczyrna jego wyobraźni, jak coś nierzeczywistego i świa-  
domość jego ziemską staje się coraz bardziej zamgloną  
i rozpięchłą. W miarę jednak jak czuje zanikanie ciała,  
oddziela się jego część lotna jego osoby; wpada on w stan  
ekstazy...

Cóż to za punkcik jaśniejący, daleki ukazuje się  
zaledwie dostrzegalny na czarnem tle mroków? Zbliża  
się, potężnieje, staje się gwiazdą pięciopromienną, mie-  
niącą się wszystkimi barwami tęczy i przebijającą mroki

---

Odnaleźć w niej ma *Studnię Prawdy*, przez nas opisaną, schody,  
wiodące w górę, salę tajników... *Komnata* zwana *Królewska*, w której  
mieści się sarkofag, była tą właśnie do której wprowadzano adepta  
w przeddzień wielkiego wtajemniczenia. Taka sama budowa cecho-  
wała wielkie świątynie środkowego i górnego Egiptu.

światłem magnetycznym. Teraz jest to już słońce, przyciągające go białością swojego ośrodka ognistego.—

Czy to czary mistrzów stwarzają tę wizję? Czy niewidzialne stało się widzialnem? Czy to zapowiedź prawdy niebiańskiej, płomiennej gwiazdy nadziei i nieśmiertelności? — Gwiazda niknie, a na miejscu jej rozwiera się pąk kwiatu na tle nocy, kwiatu bezcielesnego, ale wrażliwego i obdarzonego duszą. Rozwiera się on przed nim jak róża biała; rozchyła płatki swoje; widzi jak drgają żywe jej listki jak różowi się kielich jej płomienny. — Czy to kwiat Izdy, mistyczna Róża mądrości, mieszcząca Miłość w sercu swoim? Ale oto ulatnia się ona jak opar wonny. I w tej samej chwili pogrążony w ekstazie czuje muskające go ciepłe tchnienie pieśczośliwe. Mgła zgęszcza się i przybiera kształty coraz wyraźniejsze, wreszcie staje się postacią ludzką.

To postać kobieca, Izys z świątyni tajemnej, ale młodsza promieniejąca uśmiechem, świetlana. Zastłona przejrzysta spowija ją całą, a po przez zastłonę tę przeczera jaśniejące jej ciało. W rękę ma zwój papyrusu. Zbliża się zwolna, pochyla się nad wtajemniczonym, leżącym w grobie, i mówi: Jestem siostrą twoją niewidzialną, duszą twoją boską, a oto księga twojego życia. Zawiera ona karty pełne bytów twoich minionych i białe karty twoich bytów przyszłych. Przyjdzie dzień, w którym rozwinę je wszystkie przed tobą. Znasz mnie już teraz. Przywołaj mnie, a zjawię się!“ Kiedy wypowiedziała słowa te, promień miłości trysnął z jej oczu... O, słodka obecności anielskiego sobowtóra, niewypowiedziana zapowiedź boskości, cudowne zlanie się w nieuchwytnych zaświatach...

Wtem załamuje się wszystko, widzenie zacierza się. Cios straszliwy; Adept czuje, że wtłoczony zostaje znów w ciało swoje, jak gdyby w trupa. Powraca do stanu świadomego latargu; pierścienie żelazne ściskają jego



członki, straszliwy ciężar przytłacza mózg jego; budzi się i widzi... że stoi przed nim hierofanta w otoczeniu magów. Otaczają go, podają mu kordjał do picia; — wstaje.

— Zmartwychwstałeś mówi prorok — chodź święcić wraz z nami uroczystość wtajemniczonych i opowiedz nam o wędrówce twojej ku światłu Ozyrysa. Bowiem jesteś już odtąd jednym z naszych.—

Przenieśmy się teraz z hierofantą i nowym wtajemniczonym do obserwatorjum świątyni, na tle ciepłych wspaniałości nocy egipskiej. Tam właśnie kapłan naczelny udzielał niedawnemu Adeptowi wielkiego wtajemniczenia, opowiadając mu *widzenie Hermesa*.

Widzenie to nie było opisane na żadnym papyrusie. Kreślone ono było znakami symbolicznymi na płytach krypty tajemnej, znanej jedynie prorokowi. Jeden prorok przekazywał ją drugiemu w opowieści ustnej.

—Słuchaj uważnie—mówił hierofanta—bowiem w widzeniu tem zawarta jest wiekuista historia świata i wszechrzeczy.

WIDZENIE HERMESA <sup>1)</sup>

„Pewnego dnia zasnął Hermes po długich rozmyślaniach o początku wszechrzeczy. Ciężka drętwość owładnęła jego ciałem; w miarę wszakże, jak stawało się coraz o ciężalszem, duch jego wznosił się w przetworza. Wydało mu się, że olbrzymia Istota jakaś, nieokreślonego kształtu, wzywa go po imieniu.

— Kim jesteś? — zapytał Hermes przerażony. — Jestem Ozyrysem, Rozumem najwyższym i mogę odsonić przed tobą, wszystkie tajemnice — Czego pragniesz? — Oglądać źródło istnień, o boski Ozyrysie: i poznać Boga. — Stanie się jak pragniesz.

W tej samej chwili uczuł Hermes, że tonie w morzu jasności rozkosznej. W jej falach przejrzystych przepływały czarowne kształty wszystkich istnień. Lecz nagle spadły na niego ciemności przeraźliwe o dziwacznych kształtach pokręconych. Otoczył go chaos wilgotny pełen oparów

<sup>1)</sup> *Widzenie Hermesa* stanowi początek księgi *Hermesa Trismegistosa* pod nazwą *Poemandres*. Starożytna tradycja egipska doszła do nas w zmienionej nieco przeróbce aleksandryjskiej.

Próbowałem odtworzyć zasadniczy ten fragment doktryny hermetycznej w znaczeniu najwyższego wtajemniczenia oraz syntezy ezoterycznej, jaką on przedstawia.



i rylów ponurych. Równocześnie rozbrzmiał z głębi przepastnej głos jakiś. Był to *krzyk światła*. Zarazem też z otchłani wilgotnych strzelił w górę, ku wyżynom eterycznym, cienki język ognia.

Hermes wznosił się wraz z nim i ujrzał się w przestworzach. Chaos rozwikływał się w otchłani; konstelacje gwiazd rozpały się nad jego głową, a *głos światła* wypełniał nieskończoność.

— Czyś zrozumiał, co oglądałeś? — zapytał Ozyrys Hermesa, spletanego w marzeniu swoim sennem i zawieszzonego między ziemią a niebem. — Nie—odparł Hermes.

— Dowiesz się zatem. Oglądałeś to, co trwa wiekuiście. Światło które widziałeś najsampierw — to rozum boski, zawierający w sobie zarodek wszechświata oraz prapropy wszystkich istot. Mroki w których byłeś pogrążony, to świat materialny, w którym żyją istoty ziemskie, ludzie. Ale ogień, który w oczach twoich wytrysnął z głębin, to *Słowo Boże*. Bóg jest Ojcem, Słowo—Synem, ich połączenie—jest Życiem.—

— Jakiż zmysł cudowny powstał we mnie?—rzekł Hermes. Nie widzę już oczami ciała, ale oczami ducha. Jak to się stało?—O, dziecię prochu—odpowiedział Ozyrys—stało się tak, bowiem Słowo jest w tobie. Tem, co słyszy w tobie, widzi i działa,—jest słowo właśnie, ogień święty, mowa twórczal

— Skoro tak jest — rzekł Hermes — daj mi oglądać życie światów, drogę dusz, z której przychodzi człowiek i na którą wraca.

— Niech się stanie wedle woli twojej.

Hermes stał się ponownie cięższym niż kamień i spadł po przez przestworza jak aerolit. Wreszcie ujrzał się na szczycie góry. Panowała noc; ziemia ciemna była i naga; członki jego ciężły mu ołowiem.—Wznies oczy i patrz!—usłyszał głos Ozyrysa.

Spojrzał Hermes i zobaczył widok cudowny. Przes. twór nieskończony, niebo gwiaździste rozpiętało nad nim siedem sfer świetlnych. Jednym rzutem oka objął siedem nieb, spiętrzonych nad jego głową, jak siedem kul przejrzystych i koncentrycznych, w których ośrodku świetlnym znajdował się on sam. Ostatnią z kul opasywała droga mleczna. W każdej sferze krążyła planeta, której towarzyszył genjusz odmiennego kształtu, znaku i światła. Ośniony Hermes oglądał ich gwiazdy rozsiane i ich ruchy majestatyczne; wtem usłyszał głos:

— Patrz, słuchaj i zrozum. Widzisz siedem sfer życia twójego. Po przez nie dokonywa się spadek dusz i wznoszenie się ich. Siedem genjuszów—to siedem promieni Słowa—Światła. Każdy z nich poszczególną rządzi sferą Ducha w pewnej fazie życia dusz. Najbliżej ciebie znajduje się genjusz Księżycy o niepokojącym uśmiechu, uwieńczony sierpem srebrnym. Kieruje on narodzinami i śmierciami. Wyzwala dusze z ciał i wciąga je w promień swojego światła.—Po nad nim błądy Merkury wskazuje drogę duszom zstępującym lub wznoszącym się dając znak, łaską swoją, w której jest siedlisko Wiedzy.—Wyżej jaśnieje Wenus trzymająca zwierciadło miłości, w którym dusze z kolei zapominają o sobie i rozpoznają się.—Ponad nią Genjusz Słońca wznosi pochodnię zwyciężką wiekuiętego Piękna.—Jeszcze wyżej Mars mieczem Sprawiedliwości potrząsa.—Górujący nad całą sferą niebieską Jupiter dzierży berło władzy najwyższej, którą jest Rozum boski.—Na krańcach świata, pod znakami zodiaka, Saturn podtrzymuje glob mądrości wszechświata <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Rozumie się że Bogowie ci inne nosili nazwy w języku egipskim. Ale siedem Bóstw kosmogonicznych ma odpowiedniki swoje we wszystkich mitologiach co do znaczenia swojego i swoich właściwości. Wspólnem ich źródłem jest starożytna tradycja ezoteryczna. Zachowujemy nazwy łacińskie, ponieważ utrzymała je tradycja zachodnia; czynimy to dla większej jasności.



— Widzę — rzekł Hermes, — siedem sfer, obejmujących świat widzialny i niewidzialny; widzę siedem promieni Słowa-Światła, Boga Jedyneho, który je przenika i rządzi nimi za ich pomocą. Ale jak, o mistrzu mój, dokonywa się wędrówka ludzi po przez te światy?

— Czy widzisz, — rzekł Ozyrys — ziarenka świetlane spadające ze sfery drogi młecznej w głąb siódmej sfery? To zarodki dusz. Żyją one jak opary lekkie w sferze Saturna, szczęśliwe, beztrioskie i nieświadome własnego szczęścia. Spadając ze sfery do sfery, przybierają coraz cięższą powłokę. W każdym wcieleniu zyskują nowy zmysł cielesny, przystosowany do środowiska, które zamieszkują. Ich energia żywotna wzrasta; w miarę wszakże wchodzenia ich w ciała coraz bardziej zwarte, tracą pamięć boskiego swego pochodzenia. Taką drogą dokonywa się upadek dusz, których kolebką jest Eter boski. Coraz bardziej pochłonięte przez materję, coraz bardziej upojone życiem, spadają one snopem iskier ognistych, doznając dreszczu rozkoszy, po przez sfery Bólu, Miłości i Śmierci aż do ziemskiego swojego więzienia, w którym jęczysz ty sam, trzymany na uwięzi przez płomienny ośrodek ziemi, i w którym życie boskie wydaje ci się marzeniem płónnem.

Czy mogą dusze umierać?—Pyta Hermes.

— Tak,—odpowiada głos Ozyrysa—wiele z nich ginie podczas upadku fatalnego. Dusza jest córą niebios i wędrówka jej jest próbą, przez którą przechodzi ona. Jeśli w nieokiełzanem swoim ukochaniu materji traci ona pamięć swojego pochodzenia, iskra boża, która była w niej i która mogła rozblysnąć światłem od gwiazdy jaśniejszem, powraca do sfery eterycznej, jako atom bez życia—a dusza rozpada się w odmęcie ślepych żywiołów.

Na te słowa Ozyrysa zadrżał Hermes. Burza grzmiała spowiła go chmurą czarną. Siedem sfer znikło pod opa-

rami gęstemi: Dojrzał w nich widma ludzkie, wydające dziwne okrzyki, porywane i rozdierane przez zjawy potworów i zwierząt, w pośród niewypowiedzianych jęków i złorzeczeń.

— Takim jest—rzekł Ozyrys—los dusz niepoprawnie niskich i złych. Ich udręka kończy się wraz z ich zagładą, którą jest utrata świadomości. Ale, patrz, mgły rozwiewają się, siedem sfer ukazuje się znów pod stropem. Spójrz w tę stronę. Czy widzisz rój dusz, który usiłuje wznieść się ku sferom księżycowym? Jedne z nich strącane są ku ziemi jak roje ptaków przez gwałtowne podmuchy burzy. Inne dostają się potężnym rozmachem skrzydeł do sfery wyższej, która wciąga je do swojego obiegu. Dostając się tam, odzyskują możliwość oglądania rzeczy boskich. Tym razem już jednak nie wystarcza im samo odbicie Ich w bezwładnym śnie o szczęściu. Jasnowidzeniem świadomości, którą oświeca ból, pełnią siły woli zdobytej w walce, wchłaniają je w siebie. Stają się świetlanymi bowiem posiadają w sobie boskość, i wypromieniowują w czynach swoich. Wzmocnij zatem duszę swoją, o Hermesie, i rozpogodź twój umysł przyćmiony. Rozjaśnij go oglądaniem tych dalekich wzlotów dusz, które wznoszą się do siedmiu sfer i rozpryskują się w nich niby snopy iskier. I ty bowiem podążyc możesz za nimi; wystarcza chcieć, aby wznieść się. Patrz, jak roją się one i zakreślają łuki boskie.

Każda tuli się pod skrzydła ulubionego geniusza swojego. Najpiękniejsze żyją w sferze słonecznej, najpotężniejsze wznoszą się do Saturna. Niektóre wznoszą się aż do Ojca, pomiędzy potęgi, gdyż same są potęgami. Albowiem tam, gdzie wszystko się kończy, wszystko wiekuiście się rozpoczyna; i siedem sfer głosi równocześnie: „Mądrość! Miłość! Sprawiedliwość! Piękno! Wspaniałość! Wiedza! Nieśmiertelność!”



— Oto — zakończył hierofanta, co widział starożytny Hermes i co przekazali nam jego następcy. Słowa mędrca są jak siedem tonów liry, w których zawarta jest cała harmonja wraz z liczbami i prawami wszechświata. Widzenie Hermesa podobne jest do nieba gwiaździstego, którego niezglębione otchłanie usiane są konstelacjami. Dla dziecka jest to tylko strop niebieski nabitý złotymi ćwiekami, dla mędrca—to bezmiar nieskończony, w którym krążą światy zdumiewająco rytmicznie i miarowo. Widzenie to obejmuje liczby wiekuiste, znaki tajemne i klucze czarnoksięskie. Im więcej nauczysz się wpatrywać w nie i im lepiej je będziesz rozumiał, tem bardziej nieskończonemi ci się wydadzą. Bowiern jedno i to samo prawo organiczne rządzi wszystkiemi światami“.

I prorok świątyni wyjaśniał tekst święty. Mówił, że doktryna Słowa-Światła wyobraża bóstwo w *stanie statycznym*, w doskonałej jego równowadze. Wykazywał tróistą jego naturę, która jest zarazem rozumem, siłą i materją; duchem, duszą i ciałem, światłem, słowem i życiem. Istota, objawienie i treść są trzema nazwami, z których każda każe się domyślać obu pozostałych. Związek ich stanowi podstawową zasadę boską i rozumową, prawo trójcy w jedności, rządzące wszechświatem“

Doprowadziwszy w ten sposób ucznia swojego do idealnego ośrodka wszechświata, do twórczej zasady Bytu, rozwijał ją mistrz w czasie i przestrzeni, wykazywał jej wielorakie rozkwity. Druga bowiem część widzenia Hermesa przedstawia boskość w *stanie dynamicznym*, to znaczy w czynnym jej rozwoju, innemi słowy: wszechświat widzialny i niewidzialny, żyjące niebo. Siedem sfer związanych z siedmioma planetami symbolizowało siedem zasad, siedem stanów różnych, przez które każdy człowiek i każda społeczność przejść muszą, w ich ewolucji po przez system słoneczny. Siedem Genjuszów, czyli sie-

dem Bóstw kosmogonicznych oznaczały duchy wyższe, kierujące wszystkimi sferami, które same wzięły początek z niezmiennej zasady ewolucji. Każdy wielki Bóg był więc dla starożytnego wtajemniczonego symbolem i kierownikiem legionów duchów, odtwarzających prawzór jego w tysiącznych odmianach i mogących, w zakresie swojej władzy, wywierać wpływ na ludzi i na rzeczy ziemskie. Siedem Genjuszów widzenia Hermesa — to siedem Dew Indji, siedem Amshapand Persji, siedmiu wielkich Aniołów chaldejskich, siedmiu Sefirotów (serafów)<sup>1)</sup> Kabały, siedmiu Archaniołów Apokalipsy chrześcijańskiej. Wielka siedmiorakość, ogarniająca wszechświat ujawnia się nie tylko w siedmiu barwach tęczy, w siedmiu tonach gamy, objawia się też ona w ustroju człowieka, który jest trojakiem w swej istocie, ale siedmiorakim w swoim rozwoju<sup>2)</sup>

„Dotarłeś zatem — kończył hierofanta — do progu wielkiej tajemnicy. Życie boskie ukazało ci się w postaci mar rzeczywistości. Hermes zapoznał cię z niebem nie-widzialnym, ze światłem Ozyrysa, z ukrytym Bogiem wszechświata, żyjącym w milionach dusz, tchnącym życie w globy błakające się i w ciała będące w okresie kształtowania się. Twoją jest teraz rzeczą, jaką masz obrać drogę, aby wznieść się do Ducha czystego. Od tej chwili bowiem należysz do *żywych zmartwychwstałych*. Pamiętaj, że dwa są zasadnicze klucze wiedzy: „Strona zewnętrzna

---

1) Jest 10 Sefirotów w Kabale. Pierwsze trzy wyobrażają boską trójcę, siedem pozostałych rozwój wszechświata.

2) Damy tutaj nazwy egipskie tego siedmiorakiego ustroju człowieka, powtarzającego się w Kabale: *Chat* — ciało materialne *Anch* — siła żywotna, *Ka* — ciało astralne: *Hati* — dusza zwierzęca i *Bai* — dusza rozumowa, *Chczybi* — dusza duchowa, *Kon* — duch boski, odpowiadający greckiemu.

Rozpatrzenie tych idei podstawowych doktryny ezoterycznej znajdziemy w księdze *Orfeusza*, a zwłaszcza u *Pytagorasa*.



jest równa wewnętrznej; małe jest takim jak wielkie istnieje jedno tylko prawo, a ten, kto tworzy, jest Jeden. Niema nic małego, ani nic dużego w harmonji boskiej.— To jest klucz pierwszy. A oto drugi: „Ludzie są bogami śmiertelnymi, a bogowie nieśmiertelnymi ludźmi“. Szczęśliwy kto rozumie te słowa, bowiem posiada klucz wszechrzeczy. Pomnij, że prawo tajemnicy osłania wielką prawdę. Wiedza zupełna może być wyjawiona tym jedynie braciom naszym, którzy przeszli przez te same próby, przez jakie my przeszliśmy. Należy odmierzać prawdę wedle intelektów, osłaniać ją wobec słabych, których mogłaby ona przyprawić o szal, ukryć ją przed złymi, którzy są w stanie pochwycić jedynie ułamki jej i obrócić je w narzędzia rozkładu. Zamknij ją w sercu twojem i niech przemawia ona przez dzieła twoje. Wiedza będzie siłą twoją, wiara—twoim mieczem, a milczenie — zbroją twoją nieprzenikną“.

Wyjawiania proroka Ammon-Râ, otwierające przed świeżotajemniczoną tak szerokie widnokreśli w głębi własnej jego duszy i we wszechświecie, wywierały niewątpliwie głębokie wrażenie, zwłaszcza że czynione one były w obserwatorjum świątyni Tebańskiej, wśród jasnej ciszy nocy egipskiej. U stóp jego, wpośród kęp kaktusów i drzew daktylowych, usłpione były pilony portyków wchodowych kształtu wieżowego, dachy i białe tarasy świątyni. W oddali wielkie monolity<sup>1)</sup>, olbrzymie posągi Bogów, obsiadły ciche jeziora niby sędziowie nieprzedajni. Trzy piramidy, geometryczne figury czworościenności i świętej siedmiokrotności ginęły na widnokreśli, zatracając zarysy trójkątów swoich w lekkiej szarości powietrza. Nieprzenikniony strop nieba skrzył się gwiazdami. Jakiemiż nowe-

---

<sup>1)</sup> *monolity* — obeliski lub kolumny, wykute z jednej bryły kamiennej.

mi oczami patrzył na te gwiazdy, które mu przedstawiono jako przyszłe jego siedliska. Kiedy wreszcie złoty sierp księżycy wynurzył się z ciemnego zwierciadła Nilu, niknącego na widnokregu niby długi wąż sinawy, wydało mu się, że widzi barkę Izydy, żeglującą po strumieniu i unoszącą je ku słońcu Ozyrysa. Przypomnił sobie Księżę Zmarłych, i odsłaniać mu się zaczęło znaczenie wszystkich owych symbolów. Po tem, co widział i czego się dowiedział, mogło mu się zdawać, że jest w mrocznym państwie Amentów<sup>1)</sup>, w tajemniczym czyścicu pomiędzy życiem ziemskim a niebiańskim, w którym zmarli, zrazu niemi i ślepi, odzyskują stopniowo mowę i wzrok. I on też udać się miał w wielką drogę, rozpocząć wędrówkę w niekończoności, po przez światy i byty. Hermes rozgrzeszył go już i uważał za godnego jej. Wyjawił mu słowo wielkiej zagadki: „Jedna jedyna dusza, wielka dusza Wszystkiego zrodziła, mnożąc się, wszystkie dusze, krążące we wszechświecie“.

Zbrojny w wielką tajemnicę, siadał do barki Izydy. Odpływała ona. Wzniesiona w przestworza eteru, płynęła w sferach międzygwiazdowych. Szerokie promienie niezmierzonej jutrzeńki przebijały już błękitne osłony widnokreęgów nieba, już chór duchów, sławiących Akhima-Seku, którzy zyskali spoczynek wiekuisty, spiewał: „Pozostań o, Ammonie Ra Hermakuti! Słońce duchów! Ci, którzy są znajdują się w twojej barce, w najwyższem są uniesieniu! Wydają okrzyki w *barce tysiącoleci*. Wielki krąg boski uszczęśliwiony jest głoszeniem chwały wielkiej barki, świętej. Uroczystości radosne odbywają się w tajemniczej

---

<sup>1)</sup> *Amentis* — dosłownie *ukrywający*, u Egipcjan piekło, grecki Hades. Amentis odprowadzał dusze, wylatujące ustami, w kształcie ptaka, z ciała ludzkiego przed tron Ozyrysa, który wraz z 42 sędziami wyrokował o czynach nieboszczyków.



świątyni. O, powstań, Ammonie Ra Hermakuti! Słońce, które tworzy się samo!

A wtajemniczony odpowiadał dumnymi słowami: „Dotarłem do krainy prawdy i łaski bożej, czyniącej ludzi sprawiedliwymi. Zmartwychwstaję jak Bóg żyjący i promienieję w chórze Bogów, zamieszkujących niebo, bowiem jestem z ich rodu“.

Myśli tak dumne i tak śmiałe nadzieje mogły powstawać w duszy adepta w nocne godziny po mistycznym obchodzie zmartwychwstania. Nazajutrz, w alejach, wiodących do świątyni, w oślepiającym świetle dnia, noc ta zdawała mu się sennem już tylko marzeniem. Ale jak niezapomnianem marzeniem była pierwsza ta wędrówka w krainę nieuchwytną i niewidzialną. Odczytywał ponownie napis na posągu lzydy: „Żaden śmiertelny nie uniósł mojej zasłony“. A przecież uchylił się rąbek zasłony, co prawda, aby znów opaść, poczem zbudził się on na ziemi grobowców. O, jakże dalekim był jeszcze od celu wymarzonego! Długą jest bowiem droga na *barce tysiącolecí!* Danem mu było przynajmniej ujrzeć cel ostateczny. Chciałby nawet widzenie jego miało być sennem jedynie marzeniem, dziecięcym wzlotem wyobraźni, przyćmionej jeszcze oparami ziemskimi, czyż mógł żywić wątpliwość co do innego owego uświadomienia, które zbudziło się w głębi jego duszy? co do tajemniczego owego *sobowótora*, tej jaźni niebiańskiej, która ukazała mu się w pięknie swoim promiennem, niby kształt żywy i która przemawiała do niego we śnie. Czy była to dusza siostrzana, czy może genjusz jego, a może tylko odblask jego ducha, przeczucie jego bytu przyszłego? Cud i tajemnica. Niewątpliwie, była to rzeczywistość, a jeśli dusza ta była tylko własną jego duszą, była duszą prawdziwą. Wszystko uczyni aby ją odnaleść! Gdyby żyć miał miliony lat, nie zapomni boskiej tej godziny, w której

danem mu było widzieć właściwą jaźń swoją czystą i promienną.<sup>1)</sup>

Wtajemniczenie zostało dokonane. Adept wyświęcony został na kapłana Ozyrysa. Jeśli był Egipcjaninem, pozostawał przy świątyni; jeśli zaś cudzoziemcem, pozwalano mu w pewnych wypadkach wracać do swojego kraju celem wprowadzenia tam kultu lub też wypełnienia jakiejś misji. Zanim wszakże opuszczał świątynię, uroczyście przysięgał jaknajgroźniejszymi zaklęciami, że zachowa bezwzględne milczenie w sprawie jej tajemnic. Niewolno mu było nigdy i przed nikim zdradzić tego, co widział i słyszał, ani też wyjawić doktryny Ozyrysa inaczej jak pod potrójną osłoną symbolów mitologicznych lub tajników. Gdyby złamać miał tę przysięgę, śmierć nieuchronna spotkałaby wcześniej czy później, gdziekolwiek znajdowałby się. Milczenie natomiast stawało się puklerzem jego siły.

Po powrocie na wybrzeża Johji, do gwarne go miasta, zrażony gwałtownymi namiętnościami, błąkający się pośród ciżby ludzi, którzy żyją jak opętańcy, nieświadomi własnej swojej istoty, — powracał często myślą do Egiptu, do piramid, do świątyń Ammon-Ra. Pamięć jego wzkrzeszała wówczas widzenie w krypcie. I jak tam, w Egipcie, kwiat lotosu kołysze się na wodach Nilu, tak samo unosila się wizja ta biała ponad bagnistym, odu-

---

<sup>1)</sup> W myśl doktryny egipskiej człowiek w życiu doczesnem miał jedynie świadomość duszy zwierzęcej i duszy rozumowej, zwanych *hati* i *ba*. Część wyższa jego istoty, dusza duchowa i duch boski, *chcybi* i *kon* istnieją w nim w stanie nieświadomego zarodka i rozwijają się w życiu pozaziemskim, kiedy on sam staje się *Ozyrysem*.



rzającym strumieniem życia ziemskiego. W chwilach wyjątkowych słyszał głos jej, a był to głos światła. Wyczarowując w duszy jego harmonję mistyczną, mówił mu głos ten: „Dusza jest przysłoniętem światłem. Zaniedbywana przyćmiewa się i gaśnie, namaszczona wszakże świętymi olejami miłości, rozpala się i płonie jak lampa nieśmiertelna“.

KSIĘGA CZWARTA  
M O J Ź E S Z  
POŚLANNICTWO IZRAELA



*Nie istniało dla niego nic osłoniętego, nic, co okrywałoby zasłoną istotę wszystkiego, co widział.*

(Napis pod posągami Ptahmera, arcykapłana świątyni w Memfis — Muzeum Luwru).

*Najtrudniejsza i najbardziej zawiła z ksiąg świętych, Genesis, tyleż zawiera tajemnic, ile wyrazów, a każdy wyraz kryje ich kilka.*

S-te Hieronim.

*Dziecię przeszłości, zapowiedź przyszłości, księga ta (dziesięć pierwszych rozdziałów księgi Rodzaju) spadkobierczyni całej wiedzy Egipcjan, nosi ponadto w łonie swem zadatki przyszłych nauk.— Wszystko, co przyroda ma najgłębszego i najbardziej tajemniczego, co rozum jest w stanie ogarnąć z cudów, oo intelekt posiada najwzmoślejszego,— wszystko to zawarte jest w tej księdze.*

*Fabre d'Olivet. „Odtworzony język hebrajski“ (Rozprawa wstępna).*

O**bjawienie** jest tak stare jak świadomość ludzka. Jest ono wynikiem natchnienia i sięga zamierzchłej przeszłości. Wystarczy jeden badawczy rzut oka na księgi święte Iranu, Indji i Egiptu, aby nabrać przekonania, że myśli podstawowe doktryny ezoterycznej stanowią ukrytą, ale niemniej żywą ich treść. Żyje w nich dusza niewidzialna, podstawa twórcza wielkich tych religii. Wszystkim prorokom potężnym danem było w pewnym momencie ich życia widzieć promieniowanie prawdy ośrodkowej; ale światło, które z niej wyprowadzali, załamywało się i zabarwiała zależnie od genjusza ich i ich posłannictwa, zależnie od czasu i środowiska. Przeszliśmy przez wtajemniczenie aryjskie wraz z Ramą, bramińskie — z Kryszną, Izidy i Ozyrysa — z kapłanami Tebańskimi. Czy moglibyśmy wobec tego zaprzeczyć, że braminom i kapłanom boga Ammon-Râ nie była znaną zasadą duchowa Boga najwyższego, stanowiącą główny dogmat jednobóstwa i jedności przyrody? Niewątpliwie, nie przypuszczali oni, aby świat zrodził się odrazu, jako wynik dzieła chwili czy kaprysu bóstwa, jak to wyobrażali sobie pierwotni nasi teologowie. Naukowo, stopniowo, drogą



wyłaniania się i rozwoju, wyprowadzali świat widomy z niewidzialnego, wszechświat z niezbadanych głębin Boga. Pierwotna jedność rodziła dualizm męski i żeński, twórcza dwoistość — żywą trójcę człowieka i wszechświata i tak dalej. Liczby święte tworzyły słowo wiekuiste, rytm i narzędzie boskości. Badane z większą lub mniejszą siłą i jasnością poglądu, wywoływały w umyśle wtajemniczonego pojęcie o budowie wewnętrznej świata na zasadzie zrozumienia własnego ustroju duchowego. W podobny sposób ton właściwy, wydobyty za pomocą uderzenia smyczkiem o płytę szklaną pokrytą piaskiem, rysuje na niej w drobnych rozmiarach — harmonijne formy drgań, napełniających dźwiękowemi swojemi falami rozległe państwo powietrza.

Monoteizm ezoteryczny Egiptu nie wyszedł jednak nigdy po za progi świątyń. Jego nauka święta pozostała przywilejem nielicznej mniejszości. Nieprzyjaciele zewnętrzni kruszyć zaczęli starożytną warownię kultury. W okresie do którego doszliśmy, w XII w. przed Ch. grzęzła Azja w kulcie materji. Indje chyliły się już szybko ku upadkowi. Na brzegach Eufratu i Tygrysu powstawało potężne państwo. Babilon, miasto potwornych rozmiarów oszałamiało kolosalnością swoją ludy koczownicze, wałęsające się dokoła niego.

Królowie asyryjscy głosili, że są władcami czterech stron świata i dążyli do wykreślenia granic państwa swego tam, gdzie kończy się ziemia. Miażdżyli narody, pędzili je masowo na wygnanie, wcielali do swoich armji i podburzali jedne przeciw drugim, Lekceważenie praw ludzkich, brak poszanowania jednostki była głęboka, ale znacznie mniej czysta, mniej wzniosła i mniej owocna niż kapłanów egipskich. W Egipcie nauka cieszyła się najwyższym autorytem. Kapłaństwo wywierało tam zawsze wpływ hamujący na władzę królewską. Faraonowie

pozostawali uczniami kapłanów i nie doszli nigdy do tak ohydneho despotyzmu, jaki cechował królów Babilonu, gdzie—wprost przeciwnie—pokonane kapłaństwo było od początku jedynie narzędziem tyranji. Na jednej z płaskorzeźb Niniwy widać Nemroda, przysadzystego olbrzyma, który rozdziera muskularnem swoim ramieniem młodego lwa, trzymanego w mocnym uścisku. Żywy to symbol: w ten właśnie sposób zdusili monarchowie assyryjscy lwa irańskiego, bohaterski naród Zoroastra, wyrzynając jego arcykapłanów i towarzyszy ich—magów, przekupując jego królów. O ile rishi Indyjscy i kapłani egipscy wprowadzili do pewnego stopnia rządu Opatrzności na ziemi dzięki mądrości swojej, rzec można, iż rządy babilońskie były panowaniem Losu, zatem brutalnej i ślepej siły. Babilon stał się w ten sposób tyrańskiem środowiskiem anarchji powszechnej, nieruchomem okiem zawieruchy społecznej, ogarniającej Azję; potężnem okiem Losu, zawsze otwartem, czyhającym na narody, aby je pożreć.

Jakże mógł Egipt przeciwstawić się temu potokowi zachłannemu? Omal nie pochłonęli go już Hyksosi. Opierał się bohatersko, nie mogło to jednak trwać wiecznie. Po upływie sześciu wieków nawałnica perska, która nastąpiła po cyklonie babilońskim, zmieść miała z oblicza ziemi świątynie jego i jego faraonów. Zresztą Egipt, posiadający w najwyższym stopniu geniusz wtajemniczenia w arkana tajników i utrzymywania duchowych dóbr nabytych, nie miał nigdy ducha prężności i propagandy. Miały więc zagaść wszystkie nagromadzone przezeń skarby jego wiedzy? Znaczna część niewątpliwie została zagrzebana i szkole Aleksandryjskiej udało się wydostać szczątki ich zaledwie. Dwa wszakże narody, różniące się zupełnie rodzajem umysłowości swoich, rozpały w ich świątyniach pochodnie swoje o promieniach odmiennych, z których



jedna oświetla głębie nieba, a druga oświetla i przekształca ziemię: Izrael i Grecja.

Doniosłe znaczenie narodu izraelskiego dla historii ludzkości uderza na pierwszy rzut oka z dwóch przyczyn. Po pierwsze dlatego, że uosabia on monoteizm; po drugie, że dał początek chrystjanizmowi. Opatrznościowy jednak cel posłannictwa Izraela jasnym się staje dla tych jedynie, którzy, badając symbole Starego i Nowego Testamentu, spostrzegają, że mieści się w nich cała tradycja ezoteryczna przeszłości, jakkolwiek w formie często zmienionej — zwłaszcza o ile dotyczy to Starego Testamentu — przez licznych redaktorów i tłumaczy, z których większości obce było ich znaczenie pierwotne. Wówczas dopiero jasną się staje rola Izraela. Naród ten stanowi również ogniwo konieczne pomiędzy starym a nowym cyklem, pomiędzy Wschodem a Zachodem.

Wynikiem idei jednobóstwa jest zjednoczenie ludzkości pod skrzydłami jednego Boga oraz jednego i tego samego prawa. Dopóki jednak teologje tworzyć sobie będą dziecinne pojęcie o Bogu, a ludzie nauki będą go zapoznawali lub wprost przeczyli jego istnieniu, jedność moralna, społeczna i religijna na naszej planecie pozostanie pobożnym jedynie życzeniem lub też postulatem nauki i religii, niemożliwym do ziszczenia. Możliwą natomiast wyda się ona wówczas tylko, kiedy zasada boska uznana zostanie ezoterycznie i naukowo za klucz świata i życia, człowieka i społeczeństwa w ich rozwoju.

Chrystjanizm wreszcie, to znaczy religia Chrystusa, ukaże nam się wówczas tylko z całej swojej wzniosłości i powszechności, kiedy ujawni on nam swoją treść ezoteryczną. Wówczas dopiero pokaże się, że jest on wynikiem wszystkiego, co go poprzedza, jako mieszczący w sobie zasady, cele i środki całkowitego odrodzenia ludzkości. Zatem wówczas dopiero, kiedy chrystjanizm

odsłoni przed nami najgłębsze swoje tajniki, stanie się on tem, czem jest istotnie: religją zapowiedzi i ziszczenia Ich, to znaczy wtajemniczenia powszechnego.

Mojżesz, wtajemniczony egipski i kapłan Ozyrysa, był niewątpliwie twórcą monoteizmu. Dzięki niemu zasada ta, ukryta dotychczas pod potrójną zasłoną tajemnicy, wyszła z głębin świątyni, aby wejść w krąg historii. Mojżesz zdobył się na odwagę uczynienia z najwyższej zasady wtajemniczania wyłącznego dogmat religii narodowej, a zarazem był o tyle przezornym, że wyjawił konsekwencję tego nielicznym tylko wtajemniczonym, zaś masom narzucił je siłą grozy. Rzecz oczywista, że kierował w tym względzie prorokiem z góry Synaj względ szerszy, branie pod uwagę widnokręgów znaczenie dalszych niż przeznaczenie własnego jego narodu. Prawdziwem posłannictwem Izraela, z którego niewielu żydów — po za największymi jego prorokami — zdawało sobie sprawę, było stworzenie powszechnej religii ludzkości. Ażeby posłannictwo to mogło zostać spełnionem, musiał zostać pochłoniętym naród, który je uosabiał. Naród żydowski został rozproszony, unicestwiony. Idea Mojżesza i Proroków ostała się i spotęgowała.

Rozwinięta i przekształcona przez chrystjanizm, ponowiona przez mahometanizm, jakkolwiek w postaci mniej podniosłej, musiała ona z konieczności narzucić się barbarzyńskiemu Zachodowi, wyrzucić wpływ na Azję nawet. Odtąd już ludzkość nie będzie miała przed sobą innej drogi, chociażby burzyć się miała i walczyć z samą sobą wysiłkami konwulsyjnymi; — zawsze będzie ona krążyła dokoła tej idei ośrodkowej, jak mgławice dokoła słońca, które je wytwarza. Na tem polega wiekopomne dzieło Mojżesza.

Dla urzeczywistnienia tego przedsięwzięcia, najpotężniejszego od czasów przedhistorycznej wędrówki Arjów,



znalazł Mojżesz gotowe już narzędzie w plemionach Hebrajczyków, w tych zwłaszcza, które osiedliwszy się w Egipcie, w dolinie Goshen, żyły tu w stanie zawisłości pod nazwą Beni-Jakobów. Miał on też w swoim dziele ustanowienia jednobóstwa poprzedników w osobach koczowniczych królów pokojowych, których przedstawia nam Biblia pod mianem patryarchów: Abrahama, Izaaka i Jakóba.

Przyjrzyjmy się Hebrajczykom tym i tym patryarchom. Postaramy się uwypuklić postać wielkiego ich Proroka na tle mirażów pustyni i ciemnych nocy na górze Synaj, wśród których rozlega się ryk gromów legendarnego Jehowy.

Znano ich już od wieków, od tysięcy lat, tych Ibrim, tych koczowników niestrudzonych, wiecznych tych wygnańców <sup>1)</sup>. Hebrejowie, pobratymcy Arabów, stanowili, jak wszyscy Semici, produkt dawnego zmieszania rasy białej z rasą czarną. Przeciągali oni wielokrotnie przez północną część Afryki pod mianem Bedonów (Beduinów), ludzi bez dachu i bez łoża, poczem rozbijali namioty swoje w rozległych pustyniach, pomiędzy morzem Czerwonym i zatoką Perską, pomiędzy Eufratem i Palestyną. Ammonici, Elamici czy Edomici — wszyscy ci koczownicy podobni byli wzajem do siebie. Za środek przewozowy służył wszystkim osioł lub wielbłąd, za mieszkanie — namiot, jedynym ich majątkiem były stada, bląkające się jak oni sami i pasące się stale na cudzej ziemi. Niepodległe plemiona te żywiły wstręt — podobnie jak przodkowie ich, Ghiborim, jak pierwotni Celtowie — do ciosanego kamienia, do miast obronnych, do pańszczyzny i do kamiennych świątyń. Mimo to jednak wywierały olbrzymie miasta: Babilon i Niniwa, kolosalnymi pałacami i tajemnicami,

---

<sup>1)</sup> *Ibrim* znaczy „ci z tamtej strony, ci stamtąd, ci którzy przeszli przez rzekę”. — *Renan*, Historia narodu Izraelskiego.

urok nieodparty na tych ludzi nawpół dzikich. Wciągnięci do tych więzień kamiennych, chwytani przez żołnierzy królów assyryjskich, wtłaczani przemocą do ich szeregów, upajali się czasem orgjami babilońskimi. Czasem też uwodziły Izraelitów Moabitanki, śmiały te czarnoskóre kusicielki o oczach jak gwiazdy błyszczących. Pociągały ich one do oddawania czci bożkom ciosanym z kamienia i drzewa, a nawet do uprawiania strasznego kultu Molocha. Nagle jednak budziła się w nich tęsknota za pułstynią i wówczas uciekali. Wracając do dzikich swoich dolin, w których słycać było jedynie ryki dzikich zwierząt, do nieskończonych płaszczyn, w których kierować się mogli jedynie światłem konstellacji, pod zimnem okiem tych gwiazd, wielbionych przez ich przodków, wstydzili się samych siebie. A jeśli w takich chwilach patrjarcha, człowiek natchniony, mówił im o Bogu jedynym, o Elelonie, Aelohimie, Sebaocie, Panu zastępów, który widzi wszystko i karze winowajców, dorosłe te dzieci dzikie i krewkie chyliły głowy i, kłękając do modłów, pozwalały kierować sobą jak owieczki.

Powoli też idea wielkiego Aelohima, Boga jedynego, wszechmocnego, wypełniła dusze ich, jak w Padan-Haranie zmierzch zaciera wszystkie nierówności gruntu na niezmierzonej linii widnokregu, zatapiając barwy i odległości we wspaniałej jednostajności stropu i przetwarzając wszechświat w jednolite morze ciemności, nad którym rozpostarte jest usiane gwiazdami niebo.

Któż to byli owi patrjarchowie? Abram, Abraham, czyli ojciec Orham, był królem Uru, miasta chaldejskiego, położonego blisko Babilonu. Assyryjczycy przedstawiali go zgodnie z tradycją — w pozycji siedzącej z miną dobrotliwą <sup>1)</sup>. Ta postać prastara występująca w dziejach mi-

<sup>1)</sup> Renan: „Naród Izraelski“.



tologicznych wszystkich narodów, bowiem cytowana przez Owidjusza <sup>1)</sup> jest tą samą, o której mówi Biblia, że wędrowała z kraju Ur do ziemi Chanaanńskiej, posłuszna głosowi Przedwiecznego: „Wiekuisty ukazał mu się i rzekł: Jestem bogiem silnym, wszechmocnym. Krocź w prawości przed obliczem mojem.... Ustanowię przymierze pomiędzy mną a tobą i pomiędzy potomstwem twojem, aby było przymierzem wiekuistym, ażebym był Bogiem twoim i Bogiem potomstwa twojego po tobie“ (Genesis, XVI, 17. XVII, 7).

Ustęp ten, przełożony na język współczesny, oznacza, że wielce starożytny wódz semicki imieniem Abraham, który, jak się zdaje, otrzymać musiał wtajemniczenie z rąk kapłanów chaldejskich, uczuł, że głos wewnętrzny każe mu wieść plemię swoje na Zachód i nakazuje mu cześć dla Aelohima.

Pierwsza sylaba Is imienia Izaaka, zdaje się wskazywać na wtajemniczenie egipskie, natomiast imię Jakóba i Józefa pozwala przypuszczać pochodzenie fenickie. Prawdopodobnem jest bądź co bądź, że ci trzej patriarchowie byli trzema wodzami odrębnych ludów, żyjących w różnych, odległych od siebie epokach. Już znacznie po Mojżeszu złączyła ich legenda izraelska w jedną rodzinę. Z Izaaka zrobiono syna Abrahama, z Jakóba syna Izaaka. Ten sposób symbolizowania ojcostwa duchowego przez ojcostwo fizyczne bardzo był rozpowszechniony u kapłanów starożytnych. Z legendarnej tej genealogii jeden zasadniczy daje się wysnuć wniosek: ciągłość kultu monoteistycznego po przez wtajemniczonych patriarchów pustyni. Fakt, że ludźmi tymi kierowały głosy wewnętrzne ostrzegawcze, lub że miewali oni objawienia duchowe

<sup>1)</sup> Rexit Achaemenias pater Orchamus, isque  
Septimus a prisco numeratur origine Belo.  
Vide: Metam. IV. 212.

w postaci snów, a nawet widzeń na jawie, nie przeczy bynajmniej nauce ezoterycznej, ani powszechnemu prawu psychicznemu, które rządzi duszami i światami. Fakty te przybrały w opowieści biblijnej naiwną formę odwiedzin aniołów których gości się pod namiotem.

Czy patriarchowie ci mieli głębsze pojęcie o duchowości Boga i o celach religijnych ludzkości? Niewątpliwie. Nedorastając wiedzą pozytywną do poziomu magów chaldejskich i kapłanów egipskich, przewyższyli ich prawdopodobnie podniosłością moralną i szerokością poglądów, będącą wynikiem wolnego życia koczowniczego. Boskiemu porządkowi, jaki zaprowadził Aelohim we wszechświecie, odpowiada u nich ustrój społeczny, oparty na kulcie rodzinnym, na szacunku dla kobiet, na gorącej miłości dla synów, na roztaczaniu opieki nad całym pokoleniem, na gościnności dla obcych. Słowem „wysocy ci ojcowie“ są naturalnymi rozjemcami pomiędzy rodziną a pokoleniem. Laska ich patriarchy jest berłem sprawiedliwości. Wywierają wpływ cywilizacyjny i tchną dobroliwością i pokojem. Tu i owdzie, po przez legendę o patriarchach przezierną myśl ezoteryczna. Tak np., kiedy w Bethel widzi Jakób we śnie drabinę z Aelohimem u szczytu i aniołami wchodzącymi na jej stopnie i schodzącymi z nich, poznać można w tem widzeniu spopularyzowaną, streszczoną judejską formę widzenia Hermesa i doktryny ewolucji dusz wznoszących się do sfer niebieskich i opadających z nich.

Dwa wersety biblijne ujawniają nam fakt dziejowy wielkiej doniosłości. Mowa w nich o spotkaniu Abrahama z towarzyszem wtajemniczenia. Po zwyciężeniu królów Sodomy i Gomorrh, udaje się Abraham do Melchysedeka, aby mu złożyć hołd. Miejscem zamieszkania tego króla jest twierdza, która stanie się w następstwie Jerolimą. „Melchisedek, król Salemu, kazał przynieść chleb



i wino. Albowiem był on ofiarnikiem Aelohima, Boga najwyższego. Błogosławi on Abrahama, mówiąc: „Błogosławiony Abram od Boga najwyższego, dzierżawcy nieba i ziemi“ (Gen. XIV, 18-19). Król Salemu jest więc arcykapłanem tego samego Boga, co Abraham, który widzi w nim zwierzchnika, mistrza i dzieli z nim chleb i wino w imię Aelohima, co w dawnym Egipcie było znakiem wzajemnego obcowania wtajemniczonych. Istniał zatem węzeł braterstwa, oznaki rozpoznawcze oraz cel wspólny, łączące wielbicieli Aelohima zamieszkałych w głębi Chaldei i w Palestynie, a może nawet i w niektórych świątyniach Egiptu. To sprzysiężenie monoteistyczne czekało już tylko na swojego organizatora.

Tak więc pomiędzy skrzydlatym Bykiem assyryjskim i Sfinksem egipskim, czuwającym zdala nad pustynią, pomiędzy miążdzącą tyranją i nieprzeniknioną tajemnicą inicjacji, posuwają się naprzód wybrane pokolenia Abrahmitów, Jakobelitów i Beni-Izraelitów. Uciekają one od wyuzdanych uctw babilońskich, przechodzą obok orgji Moabit, potworności Sodomy i Gomorrhji i chydneho kultu Baala, odwracając się od nich ze wstrętem. Pod opieką patrjarchów idzie karawana drogą, opromienioną tu i owdzie oazami, znaczoną nielicznymi źródłami i wątlami palmami. Wije się ona długą, zanikającą wstęgą w bezkresie pustyni, w palących promieniach światła dziennego, w purpurze zachodu lub pod płaszczem zmierzchu, a nad wszystkim tem króluje Aelohim. Ani stada, ani kobiety, ani starcy nie znają celu nieskończonej wędrówki. Idą mimo to posłusznym i bezwolnym krokiem wielbłądów. Dokąd idą tak nieustannie? Patrjarchowie władzą; powie im to Mojżesz.

## II

WTAJEMNICZENIE MOJŻESZA W EGIPCIE — UCIECZKA JEGO  
DO JETRY

Ramses II był jednym z wielkich władców Egiptu. Syn Jego nosił imię Menefty. Zwyczajem egipskim kształcili go kapłani w świątyni Ammon-Rā, w Memfisie, bowiem sztuka panowania uważana była w owym czasie za część sztuki kapłańskiej. Menefta był młodzieńcem skromnym, ciekawym, o inteligencji miernej. Jego pociąg do nauk tajemnych był dość niskiego gatunku, wskutek czego stał się on w następstwie ofiarą czarowników i astrologów pośledniego stopnia. — Jego towarzyszem nauk był młodzieniec o umysłowości silnej, o charakterze dziwnym i zamkniętym w sobie.

Hozarsyf<sup>1)</sup> był kuzynem Menefty, synem księżniczki rodu królewskiego, siostry Ramsesa II. Czy był to syn przybrany czy naturalny? — niepodobna tego dociec<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Pierwsze imię Mojżesza (Manethon cytowany przez Filona).

<sup>2)</sup> W opowieści biblijnej (Exod. II, 1-10) występuje Mojżesz jako żyd z pokolenia Lewi, znaleziony i przybrany przez córkę Faraona w sitowiu Nilu, gdzie podstęp matki złożył go celem zmiękczenia serca księżniczki i uratowania dziecka od prześladowania, przypominającego Herodowe. — Manethon natomiast, kapłan



Hozarsyf był nadewszystko synem świątyni, wzrósł bowiem pomiędzy jej kolumnami. Poświęcony przez matkę swoją bogini Lzydzie, nosił już w wieku młodzieńczym szaty kapłańskie i w takim charakterze występował na koronacji faraona, a w procesjach kapłańskich podczas wielkich uroczystości miał na sobie pas kapłański, a w rąku kielich lub kadzielnicę; potem, wewnątrz świątyni, poważny i skupiony, wsłuchany był w hymny święte lub w nauki kapłanów.

Był niskiego wzrostu, miał wygląd pokorny i zamyślony; z pod wielkiego czoła patrzyły przenikliwie czarne oczy o orlej bystrości i niepokojącej głębi. Nazywano go „milczącym“, tak był zamknięty w sobie, prawie zawsze niemy. Często jąkał się mówiąc, jak gdyby szukał wyrazów lub jak gdyby obawiał się wyjawić swoje myśli. Wydawał się nieśmiałym. Potem nagle wybuchała w jednym słowie, jak błysk gromu, myśl jakaś przerażająca, pozostawiając po za sobą smugę światła. Rozumiano

---

egipski, któremu zawdzięczamy objaśnienia najdokładniejsze w sprawie dynastji Faraonów, potwierdzone dzisiaj przez napisy na pomnikach. Otóż Manethon utrzymuje, że Mojżesz był kapłanem Ozyrysa. Strabon, czerpiący wyjaśnienia swoje z tego samego źródła, to znaczy od kapłanów egipskich, stwierdza to samo. — Źródło egipskie ma pod tym względem większą wartość od źródła żydowskiego. Bowiem nie leżało bynajmniej w interesie kapłanów egipskich przekonywać Greków czy Rzymian, że Mojżesz był Egipcjaninem, zaś miłość własna Żydów nakazywała im przedstawić twórcę ich narodu za człowieka tej samej co i oni krwi. Opowieść biblijna przyznaje zresztą, że Mojżesz wychowany był w Egipcie i wysłany przez rząd swój w charakterze kierownika (dozorcy) żydów do Gossen. To właśnie jest faktem doniosłym, zasadniczym, ustalającym tajemną łączność pomiędzy religją mojżeszową a wtajemniczeniem egipskim. Klemens z Aleksandrji przypuszczał, że Mojżesz był głęboko wtajemniczony w naukę egipską. Istotnie dzieło twórcy Izraela byłoby niezrozumiałem, gdyby nie fakt ten.

wówczas, że jeśli „milczący“ weźmie się kiedykolwiek do dzieła, uczyni to ze straszliwą odwagą. Pomiędzy brwiami jego pogłębiała się już fałda fatalna ludzi, powołanych do zadań przytłaczających swoim ogromem; nad czołem jego zawisła chmura groźna.

Kobiety bały się wzroku młodego tego lewity, wzroku niezgłębionego jak grób, i twarzy jego kamiennej, jak wrota świątyni Lzydy. Rzec można, że przewidywały one wroga rodu kobiecego w tym przyszłym przedstawicielu pierwiastka męskiego w religii, w tem, co jest w nim najbezwzględniejszego i najnieprzystępnieszego.

Matka jego, księżniczka rodu królewskiego marzyła dla syna swojego o tronie Faraonów. Hozarsyf był mędrzy od Menefty; mógł żywić nadzieje zyskania tronu przy pomocy kapłanów. Faraonowie wyznaczali, co prawda, następców swoich z pomiędzy swoich synów; zdarzało się jednak, że po śmierci władcy kapłani unieważniali jego wybór, oczywiście w interesie państwa. Niejednokrotnie odsuwali oni od tronu niegodnych i słabych, aby oddać berło królewskiemu wtajemniczonemu. Już nawet odczuwał Menefta zazdrość o swojego kuzyna; Ramses obserwował go pilnie, niedowierzając milczącemu lewicie.

Pewnego dnia matka Hozarsyfa spotkała syna swojego w Serapeum meffiskiem, na olbrzymim placu pełnym obelisków, pylonów trofealnych, który stanowił rodzaj muzeum sławy narodowej pod gołem niebem, dokąd prowadziła aleja sześciuset sfinksów. Na widok królewskiej matki swojej skłonił się młody lewita do ziemi, czekając, wedle zwyczaju, dopóki ona pierwsza nie przemówi.

— Masz przeniknąć tajniki Lzydy i Ozyrysa — rzekła. Przez długi czas nie będę cię widziała, o, synu mój. Nie zapomnij wszakże, iż jesteś ze krwi faraonów i że jestem twoją matką. Rozejrzyj się dokoła siebie... jeśli zechcesz, wszystko to... będzie kiedyś należało do ciebie!



Mówiąc to, obwiodła dokoła gestem wskazującym obeliski, świątynie, Memfis i cały widnokrąg.

Uśmiech pogardliwy przemknął po obliczu Hozarsyfa, gładkiem i nieruchomem, jak posąg z brązu.

— Chiałabyś więc — rzekł — abym rządził tym narodem, ubóstwiającym bogów o głowach szakali, ibisów i hyjen? Cóż pozostanie za kilka wieków ze wszystkich tych bałwanów?... — Przy tych słowach nachylił się i biorąc garść mialkiego piasku, przepuścił ją między cienkimi palcami swojemi wobec zdumionej tym ruchem matki: — Tyle otol — dodał.

— Gardzisz więc religią ojców naszych i nauką naszych kapłanów?

— Przeciwniel dążę do niej. Ale piramida jest nieruchoma. Należy poruszyć ją z miejsca. Nie będę Faraonem. Ojczyzna moja jest daleko stąd... tam... na puszczy!

— Hozarsyfiel — zawołała księżna tonem wyrzutu — dlaczego bluźnisz? Wiew ognia posiał cię w moje łono, i czuję to, zmiecie cię burza. Wydałam cię na świat i nie znam cię. W imię Ozyrysa, kim jesteś i co zamierzasz czynić?

— Czyż wiadomo to mnie samemu? Ozyrys jedynie wie o tem; może powie mi. Ale daj mi błogosławieństwo twoje, o matko, aby opiekowała się mną lzyda i aby ziemia egipska łaskawą mi była.

Ukląkł Hozarsyf przed matką, skrzyżował kornie ręce na piersiach i pochylił głowę. Matka odpięła kwiat lotosu, który nosiła na czole wedle zwyczaju kobiet ze świątyni i dała mu go powąchać, widząc, że myśl syna pozostanie wiekuiście tajemnicą dla niej, oddaliła się, szepcząc modlitwy.

Hozarsyf przeszedł zwycięsko przez wszystkie próby, poprzedzające wtajemniczenie lzydy. Hartowna dusza jego i wola żelazna sprawiły, że wydały mu się one zabawką

nieleddie. Obdarzony genjuszem matematycznym i umysłem wszechogarniającym, doprowadził do olbrzymiej potęgi sprawność duchową i zdolność operowania liczbami świętymi, których płodny symbolizm i zastosowanie były wówczas nieskończone. Umysł jego, lekceważący rzeczy powierzchowne i przemijające, czuł się w swoim żywiole jedynie wpośród zasad niewzruszonych. Z wyżyn tych spokojnie i pewnie przenikał wszystko i panował nad wszystkim, nie zdradzając ani pożądań, ani buntu, ani zaciekawienia. Hozarsyf pozostał zagadką zarówno dla matki swojej jak i dla swoich mistrzów. Najbardziej przerażało ich, że był niezłomny i z jednej wykuty był jak zasada. Czuli, że nie uda im się ani ugiąć go, ani sprowadzić z raz obranej, dla niego samego nieznannej drogi. Kroczył on po niej tak nieodmiennie, jak krąży ciało niebieskie po niewidzialnej swojej orbicie. Arcykapłan Membra zadawał sobie pytanie, jak wysoko sięgnie ambicja tego młodzieńca, zwarta w duszy jego własnej. Chciał przekonać się o tem. Pewnego dnia niósł Hozarsyf, wraz z trzema innymi kapłanami Ozyrysa, arkę złotą, która poprzedzała arcykapłana na wielkich uroczystościach. Arka ta zawierała dziesięć najtajniejszych ksiąg świątyni, dotyczących magji i sztuki wywoływania duchów.

Kiedy powrócili obaj do świątyni, rzekł Membra do Hozarsyfa:

— Jesteś z krwi królewskiej. Siła twoja i wiedza są po nad wiek twój. Czego pragniesz?

— Niczego, prócz tego — odpowiedział Hozarsyf, kładąc rękę na arce świętej, którą pokrywały błyszczące skrzydła odlanego ze złota krogulca.

— Chcesz zatem zostać arcykapłanem świątyni Ammon-Râ i prorokiem Egiptu?

— Nie; chcę jedynie wiedzieć, co jest zawarte w tych księgach.



— Jakże dowiesz się tego, skoro nikt oprócz kapłana nie może znać ich treści?

— Ozyrys przemawia, jak chce, kiedy chce, i do kogo chce. To, co zawiera arka ta, martwą jest jedynie literą. Jeśli Duch żywy zechce przemówić do mnie, uczyni to.

— Co zamierzasz uczynić w tym celu?

— Czekać i być posłusznym.

Odpowiedzi te, powtórzone Ramsesowi II-mu, spotęgowały jego nieufność. Obawiał się on, aby Hozarsyf nie dążył do objęcia tronu z krzywdą syna jego Menefty. Wydał tedy rozkaz, aby syn jego siostry zamianowany został pisarzem świętym świątyni Ozyrysa. Ważny ten urząd obejmował symbolikę we wszelkich jej postaciach, kosmografję i astronomję; oddalał go wszakże od tronu. Syn królowny poświęcił się z nadzwyczajną gorliwością i najzupełnijszem oddaniem swoim obowiązkom pisarza na usługach świątyni — hierogrammaty, z którymi związana była funkcja nadzorcy rozmaitych nomów czyli prowincji egipskich.

Czy Hozarsyf był istotnie tak dumnym, jak mu przypisywano? Tak, o ile dumą nazwać można, gdy lew uwięziony podnosi głowę i patrzy — po przez przęśta klatki swojej — na dalekie widnokregi, nie widząc wcale przyglądających mu się przechodniów. Tak, jeżeli dumą nazwać można, że orzeł na uwięzi drży całym swem upierzeniem i z wyciągniętą szyją i rozpostartemi skrzydłami patrzy na słońce. Jak wszyscy ludzie mocni, powołani do spełnienia wielkich czynów, nie czuł się Hozarsyf zależnym od ślepego Losu; przeświadczony był, że czuwa nad nim tajemnicza Opatrzność, która doprowadzi go do celu.

Podczas pełnienia obowiązków skryba (pisarza) wysłany został na inspekcję Deltę. Hebrajczycy, lennicy egipscy, zamieszkujący w owym czasie dolinę Gossen,

obciążeni byli największą pańszczyzną. Ramses II połączył łańcuchem twierdz Peluzjum z Heliopolisem. Wszystkie nomy egipskie miały obowiązek dostarczania zastępów robotniczych do tych olbrzymich prac. I znów najciężej obarczono pod tym względem — Beni-Izraelitów. Pracowali oni zwłaszcza w kamieniołomach i cegielniach. Dumni i niezależni, nie znosili z takim jak tuziemcy poddaniem bata żandarmów egipskich; burzyli się często, a czasem nawet oddawali razy. Kapłan Ozyrysa nie mógł się oprzeć uczuciu sympatji dla tych nieugiętych „o twarym karku“, których Starszyzna, wierna tradycji Abrahama, utrzymała bez zastrzeżeń kult jedyne go Boga; dla tych ludzi, którzy czcili swolch wodzów, swoich *hag'ów* i *zaken'ów*, natomiast opierali się jarzmu i burzyli się przeciwko niesprawiedliwości. Pewnego dnia, widząc żandarma egipskiego, znęcającego się nad bezbronnym Hebrajczykiem, wyrwał okrutnikowi broń i zabił go na miejscu. Czyn ten, dokonany pod wpływem szlachetnego oburzenia, zadecydował o jego życiu. Kapłani Ozyrysa, którzy popełnili zbrodnię zabójstwa, surowo byli sądzeni przez kolegum kapłańskie. Że zaś Faraon podejrzewał już w synu siostry swojej przyszłego przywłaszczyciela tronu, życie Hozarsyfa wisiło na włosku. Wobec tego postanowił on iść na wygnanie, aby tam dobrowolną nałożyć na siebie karę. Pociągała go samotność puszczy, dal nieznaną, jego dążenia, przecucie posłannictwa własnego, a nadewszystko tajemniczy, nieubłagany głos wewnętrzny mówiły mu: „Idź—tam jest twoje przeznaczenie“!

Po za morzem Czerwonem i półwyspem Synajskim, w kainie Madjanitów była świątynia niezależna od kapłanów egipskich. Ziemia ta ciągnęła się szeroką wstęgą zieleni pomiędzy zatoką elamityńską a pustynią Arabji. Zdała poza odnogą morską widać było clemne zbocza góry Synaj z jej nagim szczytem. Kraj ten, wciśnięty



między pustynią i morze Czerwone, chroniony przez górę wulkaniczną, odcięty od innych, wolny był od najazdów. Świątynia owa poświęcona była czci Ozyrysa, zarazem jednak czczono tam Boga najwyższego pod nazwą Aelohim.

Bowiem świątynia ta, pochodzenia etjopskiego, była ogniskiem religijnem Arabów, Semitów oraz ludzi rasy czarnej, którzy pragnęli wtajemniczenia. Od wieków już były również: Synaj i Horeb, tajemniczem środowiskiem kultu jednobóstwa. Sam już widok nagiej i dzikiej wielkości góry, wznoszącej się samotnie pomiędzy Egiptem i Arabją, nasuwał myśl o Bogu jedynym. Liczni Semici odbywali do niej pielgrzymki pobożne celem oddawania czci Aelohimowi. Pozostawali tam po kilka dni, poszcząc i modląc się w pieczarach i przejściach wyłobionych w zboczach góry Synaj. Przedtem jeszcze oczyszczali się i słuchali nauk w świątyni Madjanitów.

W miejscu tem szukał Hozarsyf schronienia.

Arcykapłanem Madjanitów, czyli Raglem (dozorcą boskim) był wówczas Jetro <sup>1)</sup>. Był to człowiek rasy czarnej <sup>2)</sup>, przedstawiciel najczystszej rasy etiopskiej, która na 4 czy 5 tysięcy lat przed Ramsesem panowała w Egipcie i która nie zatraciła swoich tradycji, sięgających najstarszych ras zamieszkałych na kuli ziemskiej. Jetro nie był ani natchnionym, ani też człowiekiem czynu, lecz wielkim mędrce. Posiadał on skarby wiedzy, nagromadzone zarówno w pamięci swojej, jak w kamiennych bibliotekach swojej świątyni. Nadto był on opiekunem mieszkańców pustyni: Libijczyków, Arabów i Semitów

---

<sup>1)</sup> Exodus, III, 1.

<sup>2)</sup> Później (Liczby III, 1.) po wyjściu z Egiptu, Aaron i Marja brat i siostra Mojżesza, zarzuca mu, że poślubił Etjopkę. Zatem, ojciec Sefory (żony Mojżesza) Jetro, należał też do tej rasy.

koczowniczych. Wieczni ci tułacze, zawsze ci sami, ze swoim nieuświadomionem dążeniem do Boga jedyne go, uosabiali żywioł niezmienny wśród kultów przemijających i zanikających cywilizacji. Czuło się w nich niejako obecność Wiekuistego, pamięć odległych wieków, wielkie zastępy Aelohima. Jetro był ojcem duchowym tych niepokornych, tych tułaczy, tych niezawisłych. Znał ich duszę, przeczuwał ich przeznaczenie. Kiedy Hozarsyf przyszedł prosić go o schronienie w imię Ozyrysa-Aelohima, przyjął go z otwartymi rękami. Może w tym zbiegu odgadł odrazu człowieka wybranego, zrodzonego, aby stać się prorokiem wygnańców, przewodnikiem ludu Bożego.

Hozarsyf chciał poddać się przedewszystkiem pokucie, którą prawo wtajemniczonych nakazuje zabójcom. Kapłan Ozyrysa, popełniający zabójstwo, chociażby mimowolne, traćć miał przywilej uprzedniego zmartwychwstania „w świetle Ozyrysa“, które zdobył dzięki przebyciu prób wtajemniczenia i które wywyższyło go po nad zwykłych ludzi. Aby odpokutować zbrodnię swoją, aby odzyskać światło wewnętrzne, musiał poddać się próbom o wiele okrutniejszym, raz jeszcze przebyć próbę śmierci. Po długotrwałym poście pogrążano pokutnika, za pomocą napoju specjalnego, w sen letargiczny, poczem składano go do jednego z grobowców w podziemiach świątyni. Pozostawał tam w ciągu dni, czasem nawet tygodni <sup>1)</sup>. Przez ten czas miał jakoby odbywać wędrówkę w zaświaty, do Erebu lub do krainy Amenti, gdzie krążą dusze zmarłych, którzy nie są jeszcze oderwani od atmosfery ziemskiej. Szukać

---

<sup>1)</sup> Współcześni nam podróżnicy stwierdzali, że fakirzy hinduscy każą się zagrzebywać po wprowadzeniu ich uprzedniem w sen letargiczny i oznaczają ścisłą datę dnia, w którym mają ich odkopać. Jeden z nich, po trzytygodniowym zagrzebaniu, znaleziony był żywym, zdrowym i nietkniętym.



tam musiał swojej ofiary, przeżyć jej udręki, uzyskać jej przebaczenie i dopomóc jej do znalezienia drogi do światła. Wówczas dopiero uważano, że odpokutował swoją zbrodnię, wówczas dopiero ciało jego astralne obmyte zostało z plam czarnych, któremi skaził je zatruty oddech i złorzeczenia ofiary. Z tej wędrówki istotnej czy przypuszczalnej łatwo mógł jednak winowajca nie powrócić, i często, kiedy kapłani przychodzili zbudzić pokutnika, zastawali już tylko trupa.

Hozarsyf nie zawahał się poddać tej próbie jak również wielu innym <sup>1)</sup>. Pod wrażeniem popełnionej zbrodni zabójstwa zrozumiał zasadniczy, niezmienny charakter pewnych praw moralnych i zdał sobie sprawę z głębokiego zamętu, jaki przekroczenie ich wywołuje na dnie sumienia. Z całym też zaparciem się złożył samego siebie w ofierze Ozyryrynowi, błagając, aby Bóg, w razie gdyby powrócić miał do życia ziemskiego, natchnął go siłą objawienia światu zakonu sprawiedliwości. Po obudzeniu się z groźnego letargu w podziemiach świątyni Madjanitów, poczuł, że jest innym człowiekiem.

Cała jego przeszłość jak gdyby oderwała się od niego; Egipt przestał być jego ojczyzną; bezmiar pustyni z jej tułaczami koczownikami roztaczał się przed nim jako nowe pole działania.

---

<sup>1)</sup> Siedem cór Jetry, o których mówi Biblia (Exodus, II, 16-20) ma widocznie znaczenie symboliczne, jak cała ta opowieść, która doszła do nas w formie legendarnej i zupełnie spopularyzowanej.

Mocno jest nieprawdopodobnem, aby kapłan wielkiej świątyni kazał córkom swoim paść stada i aby miał czynić pasterza z kapłana egipskiego. Siedem cór Jetry symbolizuje siedem cnót, które zdobyć musiał wtajemniczony, aby otworzyć studnię prawdy. Studnia ta nazwana jest w historii o Hagar i Izmaelu „studnią Żyjącego który mnie widzi“.

Patrzył na górę Aelohlma na widnokregu i po raz pierwszy, jak widać burzy w mgłach spowijających Synaj, błysnęła w umyśle jego idea własnego jego posłannictwa: urobić z tych pokoleń koczujących lud wojowniczy, który będzie przedstawicielem zakonu Boga najwyższego wpośród kultów bałwochwalczych i bezrządu narodów — lud, który przekaże przyszłym wiekom prawdę opieczętowaną w złotej arce wtajemniczenia.

W dniu tym dla zaznaczenia nowej, rozpoczynającej się w jego życiu ery przyjął Hozarsyf imię Mojżesza, co znaczy: Zbawiony.



III  
SEFER - BERESZYT

Mojżesz zaślubił Seforę, córkę Jetry i przebywał przez długie lata przy mędrцу Madjanitów. Dzięki tradycjom etjopskim i chaldejskim, które znalazł w świątyni, mógł dopełnić i skontrolować wiedzę, nabytą w świątyniach egipskich, sięgnąć okiem do najstarszych okresów ludzkości i przenieść się drogą indukcji na najdalsze widnokreśli przyszłości. W świątyni Jetry znalazł dwie księgi poświęcone kosmogonji i przytoczone w Księdze Rodzaju: *wojny Jehowy i pokolenia Adama*. Pogrążył się w studjowaniu ich.

Dzieło, które obmyślał, wymagało wielkiej wytrwałości i mocy. Przed nim już Rama, Kryszna, Hermes, Zo-roaster, Fo-Hi stworzyli religję dla ludów; Mojżesz zamierzał stworzyć lud dla religji wiekuistej. Śmiały ten, nowy zupełnie i tak olbrzymi zamiar wymagał podstawy potężnej. W tym właśnie celu napisał Mojżesz swój *Sefer-Bereszyt*, swoją *Księgę Zasad*, treścią syntezę dawnej wiedzy i ramy wiedzy przyszłej, klucz tajemnic, pochodnię wtajemniczonych, ognisko zestrzelające cały naród.

Spróbujmy rozpatrzyć, czem była Księga Rodzaju w mózgu Mojżesza. Niewątpliwie promieniowała ona

w umyśle proroka innym światłem, obejmowała nierównie szersze światy, aniżeli dziecięcy świat i poziomy szmat ziemi, które ukazują nam się w greckim przekładzie Septuaginty <sup>1)</sup> lub w przekładzie łacińskim św. Hieronima!

Współczesny wykład Pisma Świętego rozpowszechnił mniemanie, jakoby Księga Rodzaju nie była dziełem Mojżesza, że prorok ten mógł wcale nie istnieć nawet i być postacią czysto legendarną, sfabrykowaną w cztery lub pięć wieków później przez kapłanów żydowskich, którzy chcieli tym sposobem nadać sobie cechy pochodzenia boskiego. Pogląd swój opiera krytyka współczesna na tej okoliczności, że Księga Rodzaju składa się z odmiennych fragmentów (elohistycznych i jehowistycznych) sklejonych razem i że obecna jej redakcja sporządzona została conajmniej w cztery wieki po epoce, w której Izraelici wyszli z Egiptu.

Ustalone przez krytykę współczesną i posiadane przez nas fakty co do okresu ostatecznej redakcji tekstów, są ściśle; wnioski wszakże, wyprowadzane z nich przez nią, są dowolne i nielogiczne. Z tego, co Elohistą i Jehowistą pisali w czterysta lat po wyjściu Hebrajczyków z Egiptu, nie wypływa bynajmniej, aby byli oni twórcami Księgi Rodzaju i aby nie opracowali dokumentu dawniejszego, że może zrozumianego. Z tego, że Pięcioksiąg daje nam opowieść legendarną o życiu Mojżesza, nie wypływa bynajmniej, aby nie zawierał on nic prawdziwego. Postać Mojżesza nabiera życia, a całe cudowne jego dzieje stają się zrozumiałemi z chwilą, kiedy zaczynamy przenosić go do rodzimego jego środowiska: do świątyni słonecznej w Memfisie. I wreszcie, głębie samej Księgi Rodzaju odślaniają się dopiero przy świetle pochodni, zapożyczonych od wtajemniczenia Izdy i Ozyrysa.

---

<sup>1)</sup> *Septuaginta*—Biblia Aleksandryjska.



Niepodobna zbudować religii bez twórcy jej. Sędziowie, Prorocy, cała historia narodu izraelskiego są dowodem istnienia Mojżesza; Chrystusa nawet niepodobna wyobrazić sobie bez niego. Księga Rodzaju zawiera samą istotę tradycji mozaistycznej. Bez względu na przeistoczenia, jakim uległa, zawierać musi czcigodna mumja ta pod nawarstwieniem pyłu wieków i pod opaskami kapłańskimi, ideę podstawową, żywą myśl, testament proroka izraelskiego.

Naród izraelski skupia się tak samo niezaprzeczenie i tak samo nieuchronnie dokoła Mojżesza, jak ziemia krąży dokoła słońca.—

Ustaliwszy wszakże fakt ten, zbadać należałoby jeszcze, jakie były idee podstawowe Księgi Rodzaju i co przekazać chciał Mojżesz potomności, dając jej tajemny testament w Sefer-Bereszyt. Zagadnienie to może być rozwiązane jedynie ze stanowiska ezoterycznego. Przedstawia się ono w sposób następujący: umysłowość Mojżesza, jako wtajemniczonego egipskiego, musiała stać na wysokości nauki egipskiej, która — podobnie jak nasza — przyjmowała niezmiennność praw, rządzących wszechświatem, oraz stopniowy rozwój światów i której pojęcia o duszy i przyrodzie niewidzialnej były rozległe, dokładne i wyrozumowane. Jeśli taką była wiedza Mojżesza — a jakże mogła nie stać na tej wyżynie wiedza Ozyrysowego kapłana? — jak można ją pogodzić z dziecinnie naiwnymi pojęciami księgi Rodzaju o stworzeniu świata i powstaniu człowieka? Czyżby historia ta, która, jeśli brać ją będziemy dosłownie, wywoła dzisiaj uśmiech na twarzy, ucznia szkoły średniej, nie miała zawierać głębokiego znaczenia symbolicznego? I czyżby nie miał istnieć klucz do zrozumienia go? Jakież jest to znaczenie? Gdzie znaleźć klucz do niego?

Klucz ten znajduje się: 1<sup>o</sup> w symbolice egipskiej, 2<sup>o</sup> w symbolice wszystkich religii starożytnego cyklu, 3<sup>o</sup> w syntezie nauki wtajemniczonych, takiej, jaka jest wpływem porównawczego nauczania ezoterycznego, począwszy od Indji wedyjskich aż do wtajemniczonych chrześcijan pierwszych wieków.

Kapłani egipscy—mówią autorzy greccy—mieli trzy sposoby wypowiedania swoich myśli. „Pierwszy był jasny i prosty, drugi—symboliczny język przenośni, trzeci—święty i hieroglificzny. Ten sam wyraz mógł wedle woli ich przybierać znaczenie właściwe, przenośne lub duchowe. Takim był duch ich języka. Heraklit doskonale wyraził tę różnicę, określając ją epitetami: *mówiący, znaczący i ukrywający*“<sup>1)</sup>).

W naukach teogonicznych i kosmogonicznych używali zawsze kapłani egipscy trzeciego sposobu pisania. Hieroglify ich miały zawsze trzy równoległe wzajem sobie odpowiadające znaczenia. Dwu ostatnich—nie można było zrozumieć bez klucza. Zagadkowy ten i ukryty sposób pisania związany był z podstawowym dogmatem doktryny Hermesa, w myśl którego jedno i to samo prawo rządzi światem natury, światem ludzkim i światem boskim. Język ten, zdumiewająco zwięzły, niezrozumiały dla prostaków, szczególnie wymowny był dla wyznawców. Zapomocą jednego tylko znaku uzmysławiał on zasady, przyczyny i skutki, promieniujące z bóstwa na ślepą przyrodę, na świadomość ludzką i na świat czystych duchów. Dzięki pismu temu ogarniał wyznawca jednym rzutem oka wszystkie trzy światy.

Nie ulega wątpliwości, wobec poziomu naukowego przygotowania Mojżesza, że pisał on Księgę Rodzaju hieroglifami egipskimi w trójkrotnym znaczeniu. Klucze do

<sup>1)</sup> Fabre d'Olivet: „Złote myśli Pytagorasa“.



zrozumienia jej oraz objaśnienie ustne przekazał on swoim następcom. Kiedy potem, w epoce Salomona, przełożono księgę Rodzaju na język fenicki, kiedy po niewoli babilońskiej Ezdrasz ułożył ją w języku aramejsko-chaldejskim, posiadali kapłani żydowscy klucze te w stopniu wielce niedostatecznym. Kiedy wreszcie przyszli greccy tłumacze Biblii, mieli oni już słabe zaledwie pojęcie o znaczeniu ezoterycznym tekstów. Święty Hieronim, tłumacząc tekst hebrajski na język łaciński, nie mógł—pomimo najszerszych swoich zamierzeń i pomimo wielkiego swojego umysłu—dotrzeć do znaczenia pierwotnego; a, gdyby nawet był to uczynił, musiałby zataić je. Słowem, czytając Księgę Rodzaju w przekładach, mamy tylko jej znaczenie pierwotne, niższe. Nawet teologowie i egzegeci, ortodoksi, czy wolnomyśliciele, czy chcą czy nie chcą, widzą tekst hebrajski jedynie po przez *Vulgatę*. Znaczenie porównawcze i wyższe, to znaczy głębokie i istotne, zatracą się dla nich. Pozostaje ono wszakże tajemniczo ukrytem w tekście hebrajskim, którego źródłosłówów szukać należałoby w świętym języku świątyń, przeistoczonym przez Mojżesza. W języku tym każda samogłoska i każda spółgłoska miała znaczenie wszechobejmujące, zależnie od dźwiękowej wartości litery oraz stanu duszy człowieka, który ją wypowiada. Dla ludzi, obdarzonych głębszą intuicją, ukryte znaczenie to wytryska czasem z tekstu, olśniewając ich jak błyskawica; dla wtajemniczonych jaśnieje w budowie fonetycznej słów użytych lub stworzonych przez Mojżesza: w głośkach magicznych, w których wtajemniczony w świątyni Ozyrysa odlewał myśl swoją, jak dźwięczny metal w formie doskonałej. Dzięki badaniu tej fonetyki, noszącej na sobie piętno świętego języka świątyń starożytnych, dzięki kluczom, których nam dostarcza Kabała, i których część sięga Mojżesza, wreszcie dzięki porównawczemu ezoteryzmowi, jesteśmy dzisiaj w możności roz-

poznać i odtworzyć prawdziwą Księgę Rodzaju. Tą drogą, myśl Mojżesza wyblśnie jak złoto z ogniska wieków, z mętów pierwotnej teologii i z popiołów krytyki negatywnej. <sup>1)</sup>

1) Prawdziwym odtwórcą kosmogonji Mojżesza jest człowiek genialny, obecnie niemal zapomniany, któremu Francja odda sprawiedliwość w dniu, kiedy nauka ezoteryczna, która jest całkowitą nauką religji, oparta zostanie na podstawach niezłomnych.— Fabre'a d'Olivet nie mogli zrozumieć współcześni mu, ponieważ wyprzedzał on o wiek cały swoją epokę. Wszechogarniający umysł jego posiadał w jednakowym stopniu trzy władze, których połączenie stwarza umysłowości wyższe: intuicję, analizę i syntezę. Urodzony w Ganges (Hérault) w 1767 r., poświęcił się badaniu tajemniczych doktryn Wschodu, zdobywszy uprzednio głęboką znajomość wschodnich filozofji, nauk i literatur.

Court de Gébelin pierwszy swoim dziełem „*Monde primitif*” (świat pierwotny) otworzył mu oczy na znaczenie symboliczne mitów starożytnych oraz na święty język świątyni. Celem wtajemniczenia się w doktryny Wschodu nauczył się języka chińskiego, sanskrytu, arabskiego i hebrajskiego. W r. 1815 ogłosił najwybitniejsze dzieło swoje: „*La langue hébraïque restituée*” (Język hebrajski odtworzony). Dzieło to zawiera: 1<sup>o</sup> Rozprawę wstępną o powstaniu mowy; 2<sup>o</sup> gramatykę hebrajską opartą na nowych podstawach; 3<sup>o</sup> źródłosłowy hebrajskie rozważane ze stanowiska etymologii; 4<sup>o</sup> rozprawę wstępną; 5<sup>o</sup> francuski i angielski przekład dziesięciu pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju, zawierających kosmogonję Mojżesza. Do przekładu tego dodany jest niezmiernie ciekawy komentarz. Na tem miejscu treścić mogę jedynie podstawy i istotę tej księgi objawionej. Przejęta jest ona najgłębszym duchem ezoteryzmu i opracowana według najściślejszych metod naukowych. Metoda, którą posługuje się Fabre d'Olivet, aby wnikać w ukryte znaczenie hebrajskiego tekstu Księgi Rodzaju, oparta jest na zestawieniu i porównaniu języka hebrajskiego z arabskim, syryjskim, aramejskim i chaldejskim *ze stanowiska pierwotnych i ogólnych źródłosłów*, których daje on zdumiewający słownik poparty przykładami, wziętymi ze wszystkich języków. Słownik ten służyć może za klucz do zrozumienia nazw świętych u wszystkich narodów. Dzieło Fabre'a d'Olivet daje, ze wszystkich ksiąg ezoterycznych, dotyczących starego Testamentu, klucze najpewniejsze. Daje ono nadto nadzwyczaj jasny



Dwa przykłady uwydatnią jaskrawie, czem był język święty starożytnych świątyń i w jaki sposób trojaki te znaczenia odpowiadają sobie w symbolach egipskich i w symbolach Księgi Rodzaju. Na licznych nader pomnikach egipskich powtarza się wyobrażenie kobiety uwieńczonej, trzymającej w jednej ręce krzyż — symbol wiecznego życia, w drugiej — berło w kształcie kwiatu lotosu — symbol wtajemniczenia. Jest to bogini *Izyda*. Otóż Izyda

wkład historii Biblii wraz z wyjaśnieniem przyczyn, dla których ukryte jej znaczenie zatraciło się i pozostaje dotychczas zupełnie zapoznawanem przez naukę i teologję oficjalne.

Niech mi wolno będzie powiedzieć na tem miejscu kilka słów o innem jeszcze dziele nowszem, z tamtego wysnutem, które po za osobistą swoją wartością, ma nadto zasługę zwrócenia uwagi niezależnych badaczy na pierwszego w tym kierunku twórcę. Książką tą jest: *La mission des Juifs* (Posłannictwo Żydów) Saint-Yves d'Alveydre 1884—Calmann Lévy (Saint-Yves zawdzięcza filozoficzne wtajemniczenie swoje dziełom Fabre'a d'Olivet. Jego pojmowanie Księgi Rodzaju jest zasadniczo zgodne z linią, po której idzie autor *Odtworzonego języka hebrajskiego*, jego metafizyka jest metafizyką *Złotyeh myśli Pytagorasa*, jego filozofja historii oraz ujęcie ogólne jego dzieła zapożyczone są z *Historji filozoficznej rodzaju ludzkiego*. Wziąwszy za założenie te idee podstawowe, dodawszy do nich własne materiały i obrobiwszy je wedle własnych pojęć, dał on dzieło niezmiernie bogate, niejednolite co do wartości, o budowie złożonej. Cel jego jest podwójny: Dowieść, że nauka i religja Mojżesza były nieuniknionym wynikiem prądów religijnych, które poprzedziły je w Azji i w Egipcie, co już udowodnił w genialnych dziełach swoich Fabre d'Olivet, a także dowieść, że potrojna neograniczona władza: ekonomiczna, sądowa i religijna czy naukowa, szła po wsze czasy równolegle z doktryną wtajemniczonych, stanowiąc podstawową część religji dawnego poprzedzającego Grecję, cyklu. Taką jest myśl przewodnia Saint-Yves'a, myśl głęboka i zasługująca na najwyższą uwagę. Nazywa on ją: *synarchją*, czyli rządzeniem podług zasad; w synarchji tej znajduje on podstawowe prawo społeczne, jedyne zbawienie na przyszłość. Nie tutaj miejsce na badanie, w jakim stopniu dowieśł autor tezy swojej

ma znaczenie trojokie. W znaczeniu właściwym uosabia ona Kobietę, a tem samem żywioł żeński we wszechświecie. Porównawczo symbolizuje ona przyrodę ziemską z całą jej potęgą twórczą. W najwyższym znaczeniu jest to natura niebiańska, niewidzialna, właściwy żywioł dusz i duchów, światło duchowe, rozum, jedyne źródło w tajemniczenia.— Symbolem, odpowiadającym Izydzie w Księdze Rodzaju i w umysłowości judeo chrześcijańskiej, jest *EWA*, *Hewa*, *Kobieta* wiekuista. *Ewa* ta jest nietylko połowicą *Adama*, jest ona też małżonką *Boga*. Stanowi ona trzy czwarte jego istoty. Bowiem imię wiekuistego *IEVE*, które przerobiliśmy niewłaściwie na *Jeńowa* i *Jahwe*, składa się z przystawki *Jod* oraz imienia *Ewa*. *Arcykapłan* *Jerozolimy* wymawiał raz do roku imię boskie, wymawiając je litera po literze w sposób taki: *Jod, he, wau, he*. Pierwsza wyrażała myśl boską<sup>2)</sup> i nauki teogoniczne; trzy litery imienia *Ewy* wyrażały trzy państwa natury<sup>3)</sup>,

---

historycznie. *Saint-Yves* nie lubi podawać źródeł, ogranicza się często do głośownego twierdzenia i nie cofa się nawet przed stawianiem ryzykownych hipotez, o ile popierają one z góry powziętą myśl jego. Mimo to jednak książka jego, dzieło niezmiernie podniosłe, zdradzające wielką wiedzę ezoteryczną, obfituje w ustępy technące wysokim polotem, rzucające wspaniałe obrazy, rozwijające myśli nowe i głębokie. Nie zgadzam się z nim pod wieloma względami, zwłaszcza co do poglądu na osobę *Mojżesza*, któremu nadał on zdaniem mojem rozmiary zbyt olbrzymie i legendarne. Uznaję wszakże wysoką wartość niezwyklej tej książki, której wiele zawdzięczam. Niezależnie od krytycznego poglądu na dzieło *Saint-Yves'a*, przyznać mu należy zasługę wielką: życia poświęconego wyłącznie danej idei. Patrz książki jego: *Mission des Souverains* (Posłannictwo władców) i *la France vraie* (Prawdziwa Francja), w której oddaje on sprawiedliwość, nieco spóźnioną i bezwiednie może, duchowemu przewodnikowi swojemu, *Fabre'owi d'Ollvet*.

2) *natura naturans* Spinozy.

3) *natura naturata* tegoż.



trzy światy, w które wciela się ta myśl, a tem samem nauki kosmogoniczne, psychiczne i fizyczne, które im odpowiadają<sup>1)</sup>.

„Niewypowiedziany“ zawiera więc w głębokiej treści swojej pierwiastek wiekuiście męski i pierwiastek wiekuiście kobiecy. Nerozerwalna spójnia ich składa się na potęgę Jego i Jego tajemniczość. Tego właśnie Mojżesz, wróg zaklęty wszelkich podobizn bożych, nie mówił ludowi, zawarł to wszakże w przenośni w składni imienia bożego i wyjaśnił wyznawcom swoim. Tak więc przyroda, osłonięta w kulcie żydowskim, ukryta jest w samem imieniu Boga. Małżonka Adama, kobieta ciekawa i czarująca winowajczyni, ujawnia nam ukrytą pokrewność swoją z lzydą ziemską i boską, matką bogów, która w głębi łona swojego ukazuje wiry dusz i gwiazd.

Inny przykład. Istotą, odgrywającą wielką rolę w historii Adama i Ewy, jest wąż. Księga Rodzaju nazywa go *Nahasz*. Jakie znaczenie miał wąż w świątyniach starożytnych? Tajniki Indji, Egiptu i Grecji odpowiadają na to pytanie jednogłośnie: Wąż, zwinięty kolisto, oznacza

---

<sup>1)</sup> Fabre d'Olivet wyjaśnia imię *IEWE* w sposób następujący: „Imię to stanowi przedewszystkiem wskazującą oznakę życia podwójną i tworzącą pierwiastek zasadniczo żywotny E E. (ה ה). Pierwiastek ten nie jest nigdy używany jako imię, jest on jedynym, który ma ten przywilej. Jest on już z założenia swego nie tylko słowem, ale jedynem słowem, którego pochodniami są wszystkie inne: ה ה ה ה — istota istniejąca. Tutaj jak widzimy i jak starałem się wyjaśnić w mojej gramatyce, znak zrozumiały ך (Wau) stoi w pośrodku pierwiastka życia. Mojżesz, używając specjalnie słowa tego, aby utworzyć z niego imię własne Istoty istot, dodaje do niego znak objawienia wewnętrznego i Wieczności ך (l) i otrzymuje ה ה ה ך (JEWE), w którym określenie: *istniejący* umieszczone jest między przeszłością bez początku i przyszłością bez kresu. Cudowne imię to oznacza zatem ściśle: Istota, która jest, która była i która będzie.

życie wszechświata, którego czynnikiem czarodziejskim jest światło astralne. Nadto w znaczeniu głębszem Nahasz oznacza siłę, która wprawia to życie w ruch, siłę przyciągania osobniczego, w której Geoffroy de Saint-Hilaire dopatrywał się przyczyny ciążenia powszechnego. Grecy zwali ją Erosem, Miłością czy Pożądaniem.—

Zastosujmy teraz dwa te znaczenia do historii Adama, Ewy i węża, a zobaczymy, że grzech pierwszego stadła, słynny grzech pierworodny staje się odrazu wciągnięciem natury boskiej i przyrody wszechświata z jej państwami, rodzajami i gatunkami, do potężnego niewzruszonego koła życia.

Dwa te przykłady umożliwiły nam pierwszy rzut oka na głębiny moźeszowej Księgi Rodzaju.

Już uchylenie tego rąbka wskazuje nam, czem była kosmogonja dla wtajemniczonego starożytności i co ją odróżniało od kosmogonji we współczesnem znaczeniu tego wyrazu.

Dla nauki współczesnej kosmogonja jest jedynie kosmografją. Znajdziemy w niej opis widzialnego wszechświata oraz badanie łańcucha przyczyn i skutków fizycznych w danej sferze. Będzie to np. system planetarny Laplace'a, w którym podana jest teoria układu słonecznego jako wynik ruchów planetarnych i wzajemnego oddziaływania planet, co jest czystą hipotezą. Będzie to także historia ziemi, której świadectwem nieodpartem są nawarstwienia gruntu. Nauce starożytnej nie były obce te dzieje rozwoju widzialnego wszechświata, a jeśli nawet jej pojęcia o nim mniej były ścisłe aniżeli pojęcia nauki współczesnej, sformułowała ona jednak intuicyjnie prawa zasadnicze, tym rozwojem rządzące.

Dla mędrców Indji i Egiptu był to wszakże zewnętrzny tylko pozór świata, jego ruch odbity. Właściwego jego wyjaśnienia szukali oni w jego obrazie wewnętrznym,



w jego ruchu pierwotnym i bezpośrednim. Znajdowali je w innym układzie praw, ujawniającym się umysłowi naszemu. Dla wiedzy starożytnej nie był wszechświat nieskończony martwą jedynie materją, podlegającą prawom mechanicznym, lecz całością żywą, rozumną, posiadającą duszę i wolę. Wielki ten żywy twór święty posiadał niezliczone organy, odpowiadające nieskończonym jego władzom. Jak poruszenia ciała ludzkiego są wynikiem duszy myślącej i działającej woli — tak samo w pojęciu nauki starożytnej *widzialny układ wszechświata był jedynie odbiciem układu niewidzialnego*, to znaczy sił kosmogonicznych i monad duchowych państw, rodzajów, gatunków, które przez nieustanną swoją *inwolucję* — wstępowanie w materję, powodują *ewolucję* — rozwój życia. W przeciwieństwie do nauki współczesnej, rozpatrującej jedynie stronę zewnętrzną wszechświata, skorupę ziemską, miała na celu nauka świątyni starożytnych ujawnienie jego strony wewnętrznej, wykrycie tajemnych jego sprężyn. Nie wyprowadzała ona intelektu z materji, lecz materję z intelektu. W jej pojęciu nie rodził się wszechświat ze ślepego krążenia atomów, lecz, przeciwnie, drganie duszy wszechświata rodziło atomy. Słowem, drogą jej było zakreślanie kół współśrodkowych, od całości wszechświata do szczegółów, od świata Niewidzialnego do Widzialnego, od Ducha czystego do Substancji organicznej, od Boga do człowieka. Ten porządek zstępny Sił i Duszy, odwrotnie proporcjonalny do porządku wstępnego Życia i Ciała, stanowił ontologję czyli naukę zasad umysłowych i był podstawą kosmogonji.

Wszystkie wielkie wtajemniczenia Indji, Egiptu, Judei i Grecji, wtajemniczenie Kryszny, Hermesa, Mojżesza i Orfeusza znały pod rozmaitemi postaciami ten układ zasad, potęg, dusz, pokoleń, zstępujących z pra-przyczyny z Ojca niewypowiedzianego.

Porządek zstępny wcieleń jest współrzędny z porządkiem wstępnym żywotów i stanowi jedyne jego wytłomaczenie. Zstępność (inwolucja) wytwarza rozwój (ewolucję) i tłumaczy ją.

W Grecji świątynie męskie i doryckie, Jupitera i Apollina, zwłaszcza świątynia Delfijska, były jedyne, które знаły dokładnie układ zstępny. Świątynie Jońskie, czyli żeńskie, znały go tylko w przybliżeniu. Ponieważ cała cywilizacja grecka była jońska, nauka i znajomość układu doryckiego zatracaly się w niej coraz bardziej. Niezaprzeczonym jest wszakże faktem, że jej wielcy wtajemniczeni, jej bohaterowie i jej filozofowie, od Orfeusza do Pytagorasa, od Pytagorasa do Platona i od Platona do szkoły Aleksandryjskiej ściśle związani są z tym układem. Wszyscy oni uznali, że duchowym ich przywódcą był Hermes.

Nawróćmy do Księgi Rodzaju. W pojęciu Mojżesza, również duchowego syna Hermesa, tworzyło dziesięć pierwszych jej rozdziałów istotną ontologję podług porządku i pokrewności zasad. Wszystko, co się zaczyna, musi mieć koniec. Księga Rodzaju opisuje zarazem ewolucję w czasie i tworzenie w wieczności, jedynie godne Boga.

Zachowuję sobie do *księgi o Pytagorasie* danie żywego obrazu teogonji i kosmogonji ezoterycznej, w ramach mniej oderwanych niż Mojżeszowe i bliższych duchowi współczesnemu. Znaczenie tej kosmogonji pytagorejskiej w myśl wtajemniczenia orficznego i świątyń Apollina będzie — pomimo formy politeistycznej, pomimo nieskończonej różnorodności symbolów, — zupełnie takie same jak proroka Izraela. U Pytagorasa wyjaśniać je będzie do pewnego stopnia naturalne jego dopełnienie: doktryna duszy i jej ewolucji. Uczono jej w świątyniach greckich pod symboliką mytu o Persefonie. Nazywano go także



*ziemską i niebieską historją Psyche.* Historji tej, odpowiadającej temu, co chrystjanizm nazywa *Odkupieniem*, brak zupełnie w starym Testamencie. Nie dlatego brak jej tam, aby Mojżesz i prorocy nie znali jej, lecz dlatego, że uważali ją za nazbyt wzniosłą do nauczania powszechnego i zachowywali ją dla tradycji ustnej wtajemniczonych. Boska Psyche pozostanie przez długi czas ukrytą pod symbolami hermetycznymi Izraela, aby potem wcielić się w świetlaną, uduchowioną postać Chrystusa.

Kosmogonję Mojżeszową cechuje szorstka zwięzłość ducha semickiego i ścisłość matematyczna ducha egipskiego. Styl opowiadania przypomina postacie, zdobione: wnętrze grobowców królewskich: proste, suche i surowe; twarda ich nagość kryje nieprzeniknioną tajemnicę. Całość przypomina budowle cyklopiczne; tu i owdzie wszakże, jak wybuch lawy z pomiędzy zwałów olbrzymich, wytryska myśl Mojżesza z nieokiełzaną gwałtownością ognia pierwotnego z pomiędzy niejasnych werwetów tłumaczy. W pierwszych nieporównanie wspaniałych rozdziałach czuje się tchnienie *Elohima*, odwracającego jedną po drugiej ciężkie karty wszechświata.

Przed rozstaniem się z niemi, rzućmy raz jeszcze okiem na niektóre z potężnych hieroglifów, będących dziełem proroka z góry Synaj. Niby wrota świątyni podziemnej, otwiera każdy z nich dostęp do galerji prawd tajemnych, oświetlających nieruchomem światłem swoim szeregi światów i czasów. Spróbujmy dotrzeć do nich za pomocą kluczy wtajemniczenia. Postarajmy się poznać dziwne te symbole, te formuły magiczne w ich sile odtwarzającej; poznać je takimi, jakimi widział je wtajemniczony w świątyni Ozyrysa, gdy wytryskiwały one ognistemi zgłoskami z tygla jego myśli.

W krypcie świątyni Jetry siedzi na jednym z sarkofagów Mojżesz, pogrążony w dumaniu samotnem. Mury

pokryte są hieroglifami i malowidłami, wyobrażającymi imiona i postacie bóstw wszystkich ludów na ziemi. Symbole te streszczają historje okresów zamierzchłych i przepowiadają okresy przyszłe. Lampa naftowa, umieszczona na ziemi, słabo oświetla te znaki, z których każdy własnym przemawia językiem. Samotny myśliciel nie widzi nic wszakże ze świata zewnętrznego; szuka w samym sobie Słowa Księgi swojej; formy swojego dzieła, Słowa, które stanie się Czynem. Lampa zgasła. Ale przed oczami jego duszy, w ciemności podziemi, jaśnieje ognistemi zgłoskami wypisane słowo:

#### I E W E.

Pierwsza litera „I“ jest białości światła, — trzy pozostałe błyszczą jak ogień barwny, w którym przelewają się wszystkie kolory tęczy. Jakie życie dziwne w tych literach! W pierwszej dostrzega Mojżesz Żywioł męski, Ozyrysa, Ducha twórczego, — w Ewie zdolność poczynania, — Izydę niebiańską, która jest jej częścią.

W ten sposób rozwijają się i układają władze boskie, które mieszczą w sobie wszystkie światy w potędze. Doskonały zespół Ojca i niewysłowionej Matki rodzi Syna, Słowo żywe, tworzące wszechświat. Oto tajemnica tajemnic, niedostępna dla zmysłów, lecz przemawiająca znakiem Wiekuistego, jak Duch przemawia do Ducha. A święty tetragram<sup>1)</sup> błyszczy światłem coraz mocniejszym. Mojżesz widzi, jak tryskają z niego wielkimi wyblaskami trzy światy, wszystkie państwa natury i wzniosły układ nauk. Skupia się wówczas palający wzrok jego na męskim znaku Ducha twórczego. Ducha tego wzywa, aby objawił mu porządek tworzenia i aby wola jego najwyższa natchnęła go siłą zrodzenia własnego jego dzieła, wzorowanego na długiem wpatrywaniu się w dzieło Wiekuistego.

<sup>1)</sup> *Tetragram* — wyraz złożony z czterech liter.



I oto w mrokach podziemia wyblyskuje inne imię boskie:

### AELOHIM.

Oznacza ono dla wtajemniczonego: *On* — *Bogowie, Bóg Bogów* <sup>1)</sup>.

Nie jest to już Istota zwarta w sobie samej i w Absolucie, lecz władca światów, którego myśl rozkwita milionami gwiazd, ruchomych sfer zawieszonych we wszechświecie. „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię“. Niebiosa te były wszakże zrazu tylko pojęciem czasu i przestrzeni bez kresu, w których panowała pustka i milczenie“. „I tchnienie Boga unosiło się nad powierzchnią przepaści“ <sup>2)</sup>. Co wyda nasampierw jego łono? Słońce? Ziemię? Mgławicę? Substancję jakąś świata widzialnego? Nie. Tem, co nasampierw zrodziło łono jego, była *Aur* — Światłość. Ale światłość ta nie jest światłem fizycznym; jest to światłość duchowa, którą zrodziło drgnienie lzydy w łonie Nieskończoności; dusza wszechświata, światło astralne, substancja, która tworzy dusze i w której rozwijają się one jak we fluidzie lotnym, żywioł subtelny, po

<sup>1)</sup> *Aelohim* — jest liczbą mnogą od *Aelo*, imienia nadawanego przez Hebrajczyków i Chaldejczyków istocie najwyższej i pochodzącego od pierwiastka *AEL*, co obrazuje wzniosłość, siłę i władzę rozlewną i oznacza w pojęciu powszechnem — Bóg — *Hod*, to znaczy *On* jest w jęz. hebrajskim, chaldejskim, syryjskim, etjopskim, arabskim jednym z świętych imion bóstwa. — Fabre d'Olivet „*La langue hébraïque restituée*“.

<sup>2)</sup> „*Ruah Aelohim* — tchnienie Boga wskazuje w przenośni ruch rozlewania się, rozszerzania, W znaczeniu hieroglificznem jest to siła przeciwstawna ciemnościom. O ile wyraz *ciemność* cechuje siłę zwierającą, o tyle wyraz *ruah* będzie cechował siłę rozwierającą. W jednym i w drugim powtarza się wiekiasty układ dwu sił przeciwstawnych, które mędracy i uczeni wszystkich epok, od Parmenidesa i Pytagorasa do Kartezjusza i Newtona, widzieli w przyrodzie i określali różnemi nazwami“. — Fabre d'Olivet „*Langue hébraïque*“.

przez który przenosi się myśl na przestrzenie nieskończone; światłość boska, która poprzedzała wszystkie słońca i z nich się wylaniała. Zrazu rozlewa ona się w Bezmiarze; jest to potężny *wydech* Boga; potem zwiiera się ruchem miłosnym w samej sobie, głęboki *wdech* Przedwiecznego. W falach eteru boskiego drgają, niby pod osłoną przejrzystą, formy astralne światów i istot. A wszystko to streszcza się dla Maga—proroka w słowach, które wypowiada on i które świecą w ciemnościach zgłoskami błyszczącymi: „*RUA AELOHIM AUR*“<sup>1)</sup>).

„Niech będzie Światłość i stała się Światłość“.  
Tchnienie Aelohima jest światłością!

Z łona pierwotnego tego światła niematerjalnego wytryskuje pierwszych sześć dni Tworzenia, zatem: nasiona, pierwiastki, kształty, dusze życia wszechrzeczy. To Wszechświat w potędze, przed ukształtowaniem, w Duchu poczęty. A jakież jest ostatnie słowo Tworzenia, formuła, streszczająca Istotę w czynie, Słowo żywe, w którym ujawnia się pierwsza i ostatnia myśl Istoty doskonałej. To:

ADAM EWA.

*Mężczyzna — Kobieta.* Symbol ten nie wyobraża bynajmniej, jak uczy kościół i jak sądzą nasi wykładowcy Pisma świętego, pierwszego stadła ludzkiego na ziemi,

<sup>1)</sup> *Oddech — Aelohim — Światło.* Trzy te nazwy są streszczeniem hieroglificznem drugiego i trzeciego wersetu Księgi Rodzaju. Tekst hebrajski 3-go wersetu tak się przedstawia. *Wa—iaomer Aelohim iehi—aur, wa iehi aur.* Przekład dosłowny, podług Fabre'a d'Olivet będzie brzmiał jak następuje: „I on, rzekł On Istota istot: będzie uczyniona światłość; I była uczyniona światłość“. Wyraz *rua*, oznaczający tchnienie, znajduje się w drugim wersecie. Zwrócić należy uwagę, że wyraz *aur*, oznaczający światło, jest wyrazem *rua*, czytany w odwrotnym porządku. Tchnienie boże, zwierające się w sobie — *wdech*—stwarza światłość duchową.



ale Boga czynnego we wszechświecie oraz symbol rodzaju ludzkiego; Ludzkość wszechświata po przez wszystkie nieba. „Bóg stworzył człowieka na podobieństwo swoje; stworzył go mężczyzną i niewiastą“. Ta para boska jest słowem powszechnem, którem Jowe objawia własną naturę po przez światy. Sferą, którą zamieszkuje on pierwotnie i którą Mojżesz ogarnia potęgą myśli swojej, nie jest ogród Edenu, ów legendarny raj ziemski, lecz przejściowa sfera bezkresna Zoroastra, nad—ziemia Platona, powszechne państwo niebieskie, Heden, Hadama. substancja wszystkich ziem. Ale jaką będzie ewolucja Ludzkości w czasie i przestrzeni? Mojżesz widzi ją w postaci streszczonej w historii upadku. W Księdze Rodzaju Psyche, Dusza ludzka, zwie się *Aisza*, odmiana imienia Ewy<sup>1</sup>). Jej ojczyzną jest *Szamaim*, niebo. Żyje ona w niem szczęśliwa w eterze boskim, lecz nieświadoma siebie samej. Cieszy się niebem, nie rozumiejąc go, albowiem, aby zrozumieć je, należy zapomnieć o niem i wznów wskrzesić w sobie pamięć jego; aby pokochać je, należy utracić je i odzyskać ponownie. Przez cierpienie tylko zdobędzie ona owo poznanie; dopiero po upadku zrozumie. O ileż głębszym i bardziej tragicznym jest ten upadek, aniżeli ów z Biblii dziecięcej, którą czytamy: Pociągnięta żądzą poznania ku otchłani mrocznej, spada Aisza... Przystaje być duszą czystą, mającą jedynie ciało gwiazdowe i żywiącą się boskim eterem. Przyodziewa się w ciało materialne i wchodzi w krąg pokoleń. Przechodzi nie przez jedno wcielenie,

---

<sup>1</sup>) Genesis II. 23. *Aisza*, Dusza, zлана tutaj z kobietą, jest małżonką *Aisz'a*, Intelaktu zlanego z mężczyzną. Wzięta ona jest z niego, stanowi nierozłączną jego połowę, jego wolę. — Ten sam stosunek zachodzi pomiędzy Djonizosem i Persefoną w Misterjach orfickich.

lecz przez setki, tysiące wcieleń, w ciała coraz grubsze, zależnie od planet, które zamieszkuje. Spada ze świata w świat... Spada i zapomina... Czarna zasłona zakrywa oko jej duszy. Tli jeszcze w niej iskierka słabego i bladego jak utracona nadzieja wspomnienia dawnego szczęścia; w grubej tkance materji zatracą się boska świadomość, zaciemnia się pamięć nieba. Z iskierki tej ma się ona odrodzić i przetrworzyć.

Tak, Aisza żyje jeszcze w tej parze istot nagich, leżących bezbronną na ziemi dzikiej, pod wrogiem niebem, które rozdziera ryk gromu. Raj utracony? — Przed nią, za nią, bezmiar osłoniętego nieba! Tak rozpatruje Mojżesz pokolenia Adama we wszechświecie <sup>1)</sup>, a potem przeznaczania człowieka na ziemi. Widzi okresy minione i teraźniejszość. W Aiszy ziemskiej, w duszy ludzkości, poczucie Boga jaśniało niegdyś wraz z ogniem Agni, w Krajinie Kusz, na zboczach Himalajów.

Lecz oto na wygaśnięciu jest dusza ludzkości, tonąca w bałwochwalstwie, opanowana przez żądze piekielne, zdławiona przez tyranję assyryjską, wpośród ludów zwaśnionych i bogów wzajem się pożerających. Mojżesz przysięga sobie, że ją wskrzesi przez ustanowienie kultu Aelohima.

Ludzkość cała, podobnie jak człowiek każdy, powinna być podobizną lewy. Gdzie jednak znaleźć naród, który będzie jego wcieleniem i żywym słowem ludzkości?

Tedy Mojżesz, powziąwszy myśl księgi swojej i dzieła swojego, zgłębiwszy mroki duszy ludzkiej, wypowiada wojnę Ewie ziemskiej, naturze słabej i zepsutej. Dla zwal-

---

<sup>1)</sup> W samarytańskim wykładzie Biblii do imienia Adama dodane jest określenie *powszechny, nieskończony*. Mowa tu jest zatem o rodzaju ludzkim, o panowaniu człowieka we wszystkich światach.



czenia jej i podniesienia z upadku wzywa Ducha, Ogień pierwotny i wszechpotężny, lewe, do którego źródła wznosił się powtórnie. Czuje, że wybliski jego rozżarzają go i hartują, jak stal. Jego imię jest Wola.

I w czarnej ciszy podziemia słyszy Mojżesz głos. Wychodzi on z głębin jego sumienia, drga jak światło i mówi: „Idź na górę Pana, na Horeb“.

## IV

## WIDZENIE NA GÓRZE SYNĄJ

Ciemna bryła granitowa, tak naga, tak poszarpana biegiem wód pod olśniewającymi potokami słońca, iż rzekłbyś, poryta błyskawicami i wyrzeźbiona przez pioruny. To szczyt Synaju, tron Aelohima, — mówią synowie pustyni. Naprzeciw niej niższa góra, skały Serbalu, dzikie też i urwiste. We wnętrzu ich kopalnie miedzi, pieczary. Pomiedzy dwiema temi górami ciemna dolina, chaotyczne zbiorowisko gładów, zwane przez Arabów Horeb, czyli Ereb z legendy semickiej. Ponura jest ta dolina smutku, kiedy zapadnie w niej noc, przyspieszona cieniem, kładącym się od Synaju; bardziej jeszcze ponura, kiedy szczyt góry spowije szyszak chmur, z pod których groźne strzelają błyski. Wicher straszliwy dmie wówczas w ciasnym przesmyku. Wieść idzie, że Aelohim obala tam śmiałków, którzy ważą się walczyć z nim i ciska ich w przepaście, gdzie roztapiają się nawałnice. Tam również, mówią Madjanici, błakają się złowrogie cienie olbrzymów, *Refaim*, druzgoczące skały i obalające je na tych, którzy próbują wdrzeć się do miejsca świętego. Tradycja ludowa utrzymuje też, że Bóg Synaju ukazuje się czasem w słupie



ognistym, niby głowa Meduzy o orlich lotkach. Biada tym, którzy ujrzą jego oblicze. Widzieć go—znaczy umrzeć.

Tak opowiadali koczownicy wieczorami, siedząc i gawędząc pod namiotem, kiedy wielbłądy i niewiasty sen już zmorzył. Faktem jest, że tylko najśmielsi z pośród wtajemniczonych Jetry wspinali się aż do jaskini Serbalu i pozostawali tam szereg dni, poświęconych postom i modlitwom. Mędrcy z Idumei czerpali tam natchnienie. Było to miejsce, poświęcone od niepamiętnych czasów widziom nadziemskim, Elohimom czyli duchom świetlanym. Ani jeden kapłan, ani jeden myśliwy nie byłby się zgodził poprowadzić tam pielgrzyma.

Mojżesz szedł nieustraszony w górę przez wąwóz Horebu. Przeszedł on bez lęku w sercu przez dolinę śmierci i przez jej zwaliska skał. Wtajemniczenie ma, jak wszelki wysiłek ludzki, swoje okresy pokory i dumy. Wdzierając się po stopniach góry świętej, stanął Mojżesz u szczytu dumy, bowiem dotarł na wyżyny potęgi ludzkiej. Zdało mu się, że jest zespólny z Istotą najwyższą. Go-rejące purpurą słońce chyliło się na złom wulkaniczny Synaju, którego fioletowe cienie stały się już na doliny, kiedy stanął Mojżesz przy wniścieniu do pieczary, osłoniętym nędzną roślinnością drzew terpentynowych. Chciał już wejść do środka, gdy wtem olśniła go jasność nagle, która go spowiła dokoła. Wydało mu się, że ziemia pali mu się pod stopami i że góry granitowe zamieniły się w morze płomieni. U wniścienia do groty stała zjawia olśniewająca światłością, patrząca na niego i zagradzająca mu mieczem drogę. Mojżesz upadł twarzą na ziemię, jak rażony gromem. Wzrok Anioła przeszył go światłem swoim. Cała jego дума prysła w jednej chwili. Wiedziony owym głębokim odczuciem faktów budzącem się w stanie jasnowidzenia, zrozumiał, że świetlana istota owa nakaże mu spełnienie rzeczy strasznych. Chciałby uchylić się od po-

ślannictwa swojego i wczłogać się pod ziemię jak gad nędzny.

Ale głos jakiś zawołał: — Mojżeszul Mojżeszul

A on odrzekł: — Otom jest!

— Nie zbliżaj się do tego miejsca. Zzuj sandały ze stóp twoich. Bowiem miejsce, na którym się znajdujesz, ziemią świętą jest.

Mojżesz ukrył oblicze w dłoniach. Lękał się widoku Anioła i spotkania się z jego wzrokiem.

A Anioł rzekł do niego: — Ty, który szukasz Aelohima, czemu drżysz przedemną?

— Ktoś ty?

— Promień Aelohima, Anioł słoneczny, wysłannik Tego, który jest i który będzie.

— Co rozkazujesz?

— Powiesz dzieciom Izraela: Wiekuisty, Bóg ojców waszych, Bóg Abrahama, Bóg Izaaka, Bóg Jakóba posłał mnie do was, aby wywieść was z kraju niewoli.

— Kim jestem — zapytał Mojżesz — abym wywieść miał dzieci Izraela z Egiptu?

— Idź — rzekł Anioł — bowiem będę z tobą. Rozpalę ogień Aelohima w sercu twojem i położę słowo jego na wargach twoich. Od czterdziestu lat wzywasz go. Głos twój doszedł do niego. Oto biorę cię jego imieniem. Synu Aelohima, należysz do mnie na zawsze.

A Mojżesz ośmielony zawołał: — Ukaz mi Aelohima! Niech ujrzę jego ogień żywy.

Podniósł głowę. Ale morze ognia znikło i Anioł znikł też jak błyskawica. Słońce zniżyło się na zgasłe wulkany Synaju; cisza śmierci zaległa nad doliną Horebu; Głos, który zdawał się rozbrzmiewać w lazurze i ginąć w nieskończoności, mówił:

„Jestem Ten, który jestem“.



Po widzeniu tem czuł się Mojżesz zupełnie złamanym. Przez chwilę wydało mu się, jak gdyby ciało jego strawił ogień Eteru. Ale duch jego był mocniejszy. Kiedy zeszedł ponownie do świątyni Jetry, czuł, że gotów jest do spełnienia dzieła swego. Żywa myśl jego kroczyła przed nim, jak Anioł zbrojny w miecz ognisty.

EXODUS<sup>1)</sup> — PUSTYNIA — MAGJA I SZTUKA WYWOŁANIA DUCHÓW — TEURGJA

Zamierzenie Mojżesza było jednym z najniezwykleszych, nałśmielszych, jakie człowiek powziął kiedykolwiek. Wyrwać lud z pod jarzma narodu tak potężnego jak egipski; poprowadzić go na podbój kraju zajętego przez ludność wroga i lepiej uzbrojoną; wieść go przez dziesięć, dwadzieścia czy czterdzieści lat po pustyni, palić go pragnieniem, wyczerpywać głodem; drażnić go, jak rumaka pełnej krwi, strzałami Hetitów i Amalecytów, gotowych rozbić go na miazgę; wyodrębnić go z jego namiotem Wiekuistego, w którym spoczywała arka przymierza, z pośród narodów bałwochwalczych, narzucić mu jego różczką ogniową kult jedyne go Boga i wpoić w niego taki lęk przed tym Bogiem, takie ubóstwianie go, aby wcielił się On w niego, aby stał się jego symbolem narodowym, celem wszystkich jego dążeń i jego racją bytu; — takim było niesłychanie śmiałe dzieło Mojżesza.

Wyjście z Egiptu było na długo naprzód obmyślane i przygotowane przez proroka, przez głównych wodzów izra-

---

<sup>1)</sup> *Exodus* — wyjście nazwa drugiej księgi Pięcioksiągu Mojżesza.



elskich i przez Jetrę. Dla wprowadzenia w czyn swojego zamierzenia skorzystał Mojżesz z chwili, kiedy Menefta, dawny jego towarzysz studjów, obecny faraon, zajęty był odpięciem groźnego najazdu króla Libijczyków, Mermaiu. Cała armja egipska, skoncentrowana na Zachodzie kraju, nie mogła powstrzymać Hebrajczyków i masowa ich emigracja dokonała się bez przeszkody.

Oto już, Beni-Izrael w drodze. Długi sznur karawan, z mnóstwem wielbłądów objuczonych namiotami, z niezliczonymi stadami bydła, — przygotowuje się do okrajania morza Czerwonego. Jest ich zrazu tylko kilka tysięcy ludzi. Z czasem rzesze wychodźcze pomnożą „wszelkiego rodzaju ludzie“ — mówiąc słowami Biblii: Chanaanicy, Edomici, Arabowie, Semicci różnych szczepów, pociągnięci i olśnieni przez proroka pustyni, który wzywa ich ze wszystkich stron świata, aby urobić ich na swoją modłę. Jądro tego ludu tworzy Beni-Izrael, lud prawy, ale twardy, uparty i buntowniczy. Wodzowie jego, *hagowie*, wpoili mu kult Boga Jedyneho, który stał się u nich wzniosłą tradycją patryarchalną. Lecz u tych natur pierwotnych i gwałtownych jest monoteizm zaledwie uświadomieniem wyższem i niestałem. Gdy tylko budzą się w nich złe ich żądze, instynkt politeizmu, tak rozumiały u człowieka, bierze znów górę. Wpadają wówczas ponownie w gminne zabobony, w hołdowanie czarnoksięstwu i w bałwochwalcze praktyki narodów sąsiadujących z Egiptem i Fenicją, które Mojżesz będzie zwalczał prawami drakońskimi.

Dokoła proroka rządzącego tym ludem, gromadzi się grupa kapłanów pod przywództwem Aarona, brata jego we wtajemniczeniu oraz prorokini, Marji, która uosabia już w Izraelu wtajemniczenie żeńskie. Grupa ta tworzy stan kapłański. Wraz z nimi skupia się dokoła proroka lewy siedemdziesięciu starszych wybranych lub

wtajemniczonych świeckich, którym powierzy Mojżesz doktrynę swoją tajemną oraz tradycję ustną, odda w ich ręce część swojej władzy, uczyni ich parokrotnie uczestnikami natchnień swoich i swoich widzeń.

W środku tej grupy niesiona jest arka złota, której pomysł wziął Mojżesz ze świątyń egipskich, gdzie służyła ona za miejsce ukrywania ksiąg teurgicznych; przekształcił ją jednak na nową modłę, zgodną z osobistymi jego zamierzeniami. Arkę Izraela wieńczą cztery cheruby złote podobne do sfinksów i przypominające cztery stworzenia symboliczne z widzenia Ezechjelowego. Jedno ma głowę lwa, drugie—byka, trzecie—orła, a ostatnie—ludzką. Symbolizują one cztery żywioły wszechświata: ziemię, wodę, powietrze i ogień, a także cztery światy, wyrażone przez cztery litery boskiego tetragramu. Skrzydła cherubów okrywają złoty stół arki, t. zw. ubłagalnię. Arka ta stanie się narzędziem zjawisk elektrycznych i świetlnych, które będą dziełem magji Ozyrysowego kapłana. Zjawiska te, wyolbrzymione przez legendę, będą źródłem opowieści biblijnych. W arce złotej mieści się nadto Sefer Bereszyt czyli księga kosmogonji, ułożona przez Mojżesza egipskiem pismem hieroglifycznym, oraz laska czarnoksięska proroka, nazwana w Biblii różczką. Zawarta w niej też będzie księga przymierza czyli przykazania z góry Synaj. Mojżesz nazwie arkę tronem Aelohima; bowiem złożona w niej jest święta tradycja, posłannictwo Izraela, myśl lewy.

Jaki usrój polityczny dał Mojżesz ludowi swojemu? Co do tego przytoczyć należy jeden z najciekawszych ustępów Biblii (Exodus). Ustęp ten tembardziej sprawia wrażenie nader starożytnego i autentycznego, że wykazuje słabe strony Mojżesza, jego dumę kapłańską i skłonność do tyranji teokratycznej, którą pokonywał w sobie etjopski jego mistrz.



„I stało się nazajutrz, że usiadł Mojżesz, aby sądzić lud. I stał lud przed Mojżeszem od poranka aż do wieczora.

A widząc świekier Mojżeszowy wszystko, co on czynił z ludem, rzekł:

—Cóż to jest, co ty czynisz z ludem? czemuż ty sam siedzisz, a lud wszystek stoi przed tobą od poranka aż do wieczora?

Tedy Mojżesz odpowiedział świekrowi swemu: Przychodzi lud do mnie, aby się radził Boga.

Gdy sprawę jaką mają, przychodzą do mnie, a rozsządam ich, oznajmiając ustawy Boże i prawa jego.

Zatem rzekł świekier Mojżeszowy do niego: Niedobra rzecz, którą ty czynisz.

Napewno ustaniesz, i ty i lud twój, który jest z tobą, bo nazbyt ciężka to rzecz nad siły twoje; nie będziesz mógł ty sam podołać.

Przeto usłuchaj teraz głosu mego, poradzę ci, a będzie Bóg z tobą; stój ty za lud przed Boga, a sprawy odnoś do Boga.

A nauczaj ich też ustaw i praw, oznajmiając im drogę, którąby chodzić i dzieło, któreby czynić mieli.

Obierz też z całego ludu mężów statecznych, bojących się Boga, mężów prawdomównych, którzyby nienawidzili zysków nieuczciwych, postanów z nich przełożonych, tysiączników, setników, pięćdziesiątników i dziesiętników.

I niech na każdy czas lud sądzić będą; a gdy będzie rzecz wielka, odniosą ją do ciebie, a każdą rzecz małą sądzić będą sami; tedy ulżą tobie, gdy poniosą część ciężaru z tobą.

Jeśli to uczynisz, a rozkaże ci to Bóg, będziesz mógł ostoić się i wszystek lud na miejsce swoje powróci w pokój.

I usłuchał Mojżesz rady świekra swojego, a uczynił wszystko, jako mu on powiedział“<sup>1)</sup>).

Z ustępu tego wynika, że w ustanowionym przez Mojżesza ustroju Izraela władza wykonawcza uważana była za wypływ władzy sądowniczej i podporządkowana kontroli władzy kapłańskiej. Takim był sposób rządzenia, przekazany przez Mojżesza następcom jego w myśl mądrej rady Jetry. Takim też pozostał za Sędziów, od Jozuego do Samuela, aż do przywłaszczenia władzy przez Saula. Czasu królów zatracać zaczęło poniżone kapłaństwo tradycję Mojżeszową, która utrzymana została jedynie przez proroków.

Zaznaczyliśmy już, że Mojżesz nie był patriotą, lecz jedynie poskromicielem ludów, mającym na względzie losy ludzkości całej. Lud Izraelski był dla niego tylko narzędziem, celem jego była religja powszechna i myśl jego ulatywała ponad głowami koczowników w przyszłość. Od wyjścia z Egiptu aż do śmierci Mojżesza była cała historia narodu Izraelskiego długą walką między prorokiem a jego ludem.

Mojżesz poprowadził plemiona izraelskie nasampierw na puszcę Synaj, równinę bezpłodną, rozciągającą się u stóp wyżyny, poświęconej przez wszystkich Semitów Bëlohimowi i będącej dla samego Mojżesza miejscem objawienia. Na tem samym miejscu, na którym Genjusz proroka o władnął nim, chciał prorok o władnąć ludem swoim i wycisnąć na czole jego piętno lewy: dziesięcioro przykazań, potężną syntezę prawa moralnego, uzupełnienie prawdy tajemnej, ukrytej w hermetycznej księdze arki.

Nic bardziej tragicznego nad pierwszą tę rozmowę

---

1) *Exodus XVIII*, 13-24. Doniosłość ustępu tego, ze stanowiska społecznego ustroju ludu izraelskiego, słusznie podkreślił Saint-Yves w pięknej książce swojej: „*La mission des Juifs*“.



proroka z jego ludem. Zachodziły tam sceny dziwne, krwawe, straszliwe, pozostawiające niby odcisk rozpalonego żelaza na udreżonem ciele Izraela. Łatwo, pod wyolbrzymieniem legendy biblijnej, domyśleć się możliwej rzeczywistości faktów.

Wybrane plemię rozłożyło się obozem na płasko-wzgórzu Faranu, u wejścia do dzikiego wąwozu, prowadzącego do skał Serbalskich. Groźny szczyt Synaju góruje nad tym gruntem kamienistym, wulkanicznym, wstrząsanym wybuchami. Wobec wszystkiego zgromadzonego ludu oznajmia Mojżesz uroczyście, że idzie na górę Synaj, aby zasięgnąć rady Aelohima, i że przyniesie stamtąd prawo pisane na tablicy kamiennej. Rozkazał ludowi, by czuwał i pościł i czekał na niego w czystości i modlitwie. Arkę przenośną, którą okrywa namiot cymborjum, pozostawia pod ochroną siedemdziesięciu Starszych, poczem znika w wąwozie, zabierając jedynie ucznia swego wiernego imieniem Jozue.

Mijają dni — Mojżesz nie wraca. Lud niepokoi się zrazu, a potem szemrze: „Przecż było przywozić nas na tę puszcę okrutną i wydać na łup Amalecytom? Przyobiecał nam Mojżesz, że powiedzie nas do ziemi Chanaańskiej, mlekiem i miodem płynącej, a oto mrzemy na puszczy. Lepsza była niewola w Egipcie, niżli to życie nędzne. Dałby Bóg, abyśmy mieli jeszcze mięsiwa owe, które tam spożywaliśmy. Jeśli Bóg Mojżesza jest prawdziwym Bogiem, niech to okaże, niech rozproszeni będą wszyscy jego wrogowie i niech wnijść nam da natychmiast do ziemi obiecanej“. Szemrania te potęgują się wciąż; lud się buntuje; starsi nawet udział w tem biorą.

A oto występuje grupa kobiet, szepczących i szemrających między sobą. Są to Moabitanki, czarnoskóre, o ciałach gibkich i kształtach pełnych, nałożnice czy służebnice wodzów Edonitańskich, sprzymierzonych z ludem

Izraelskim. Przypominają sobie, że były kapłankami Astarty i że odprawiały orgje ku czci bogini w świętych lasach kraju rodzinnego. Czują, że wybiła godzina odzyskania utraconej władzy. Przychodzą, strojne w złoto i materje jaskrawe, przychodzą z uśmiechem na ustach, niby sznur pięknych węzów, wychodzących z pod ziemi i polyskujących w słońcu falistemi kształtami swojemi o metalicznych odbłaskach. Przyłączają się do zbuntowanych, wpatrują się w nich wzrokiem płomiennym, oplatają ich ramionami swojemi, na których pobrzękują kolce miedziane, i kuszą ich mową miodną: Kim że jest ów kapłan z Egiptu? Kim Bóg jego? Umarł pewnie na Synaju. Nie on powiedzie plemiona do Chanaanu. Dzieci Izraela wzywać winny bogów moabitańskich: Belfegora i Astartę! To prawdziwi są bogowie cuda czyniący. Oni to powiodą ich do ziemi Chanaankiej“.

Zbuntowani słuchają mowy Moabitank; jedni podniecają drugich i oto rozbrzmiewa okrzyk tłumu: „Aronie, uczyn nam bogi, któreby szły przed nami, bo Mojżeszowi, mężowi temu, który nas wywiódł z ziemi Egipskiej, nie wiemy, co się stało“.

Aron daremnie usiłuje uspokoić tłum. Moabitanki przywołują kapłanów fenickich, przybyłych z karawaną. Ci przynoszą wyciosany z drzewa posąg Astarty i stawiają go na kamiennym ołtarzu. Zbuntowani zmuszają Arona, grożąc mu śmiercią, aby odlał cielca złotego, jedną z postaci Belfegora. Poświęcają byki i kozły na ofiarę całopalną obcym bogom i zasiadają do jadła i picia. Rozpoczynają się dokoła bałwanów tańce lubieżne, prowadzone przez Moabitanki przy dźwiękach neblów, kinnorów i tulumbasów, wprawianych w ruch przez niewiasty.

Daremnie usiłowało siedemdziesięciu Starszych, wybranych przez Mojżesza, powstrzymać łajaniem to rozprężenie. Teraz siadają oni na ziemi, nakrywszy głowy



workami popiołu. Skupieni dokoła ubłagalni arki, słuchają z przerażeniem dzikich okrzyków, śpiewów lubieżnych, wzywania bogów wyklętych, demonów rozwiązłości i okrucieństwa. Widok tego ludu, tonącego w rozpuszcie i buntującego się przeciw Bogu swemu, napętnia ich odrazą. Co się stanie z Arką, Księżą i Izraelem, jeśli Mojżesz nie powróci?

Mojżesz wraca jednak. Z długiego swojego zamknięcia się w sobie, z osamotnienia swojego na górze Aelohima przynosi on Zakon wypisany na tablicach kamiennych <sup>1)</sup>. Przyszędłszy do obozu, widzi tańce, bachanalje ludu swojego przed posągami Astarty i Belfegora. Na widok kapłana Ozyrysowego, proroka Aelohima, przerywają się tańce, obcy kapłani uciekają, zbuntowanych oponowuje niepokój. Wre gniew w Mojżeszu jak ogień pożerający. Rozbija tablice kamienne i czuje się, że rozbiłby cały ten lud i że Bóg nim owładnął.

Drży lud Izraelski; na dnie oczu rokoszan, ukryta pod lękiem, czai się nienawiść. Jedno słowo, jeden ruch, zdradzający wahanie się wodza—proroka, a hydra bałwochwalczej anarchji podniesie przeciw niemu tysiące łbów swoich i gradem kamieni zmiecie arkę świętą, proroka i jego ideę. Ale Mojżesz stoi niewzruszenie, a za nim potęgi niewidzialne, które go strzegą. Rozumie on, że należy przedewszystkiem wznieść ne własne wyżyny dusze siedemdziesięciu wybranych, a przez nich lud cały. Wzywa Aelohima — Jewę, Ducha męskiego, Ogień pierwotny z głębi duszy własnej i z głębi nieba.

— Zbliźcie się do mnie, wy siedemdziesięciu!—woła Mojżesz. Weźmiecie arkę i udacie się wraz ze mną na

<sup>1)</sup> W starożytności słowa, pisane na kamieniu, uchodziły za szczególnie święte. Hierofanta Eleuzyjski odczytywał wtajemniczonym z tych tablic kamiennych rzeczy, o których przysięgli nie mówić nikomu i które nie były wypisane w żadnym innym miejscu.

góre Bożą. A zaś lud ten niech czeka i drży. Przyniosę mu sąd Aelohima.

Kapłani-lewici wyjmują z namiotu arkę złotą spowitą w zasłony i orszak siedemdziesięciu znika wraz z prorokiem w wąwozie Synaju. Niewiadomo, kto drży bardziej: czy lewici przed tem, co mają zobaczyć, czy lud przed karą, którą zawiesił Mojżesz nad ich głowami niby miecz niewidzialny.

— O! gdyby można było wymknąć się ze straszliwych rąk tego kapłana Ozyrysowego, tego proroka nieszczęsnego!—mówią buntownicy. I połowa obozu zwija pospiesznie namioty, siodła wielbłądy i szykuje się do ucieczki. Gdy oto zmierzch dziwny, zasłona kurzawy zaciąga niebo, ostry wiatr dmie od Morza Czerwonego, puszcza przybiera barwę płową i ściemnioną, po za Synajem gromadzą się wielkie chmury. W końcu niebo staje się zupełnie czarnem.

Dmący wiatr nawiewa fale piasku, błyskawice rozdzierają potokami deszczu skłębione dokoła Synaju chmury. Niebawem olśniewa niebo błysk gromu; ryk jego, odbity o ściany wszystkich wąwozów górskich, rozlega się po obozie wielokrotnymi wybuchami, czyniąc łomot przeraźliwy. Lud nie wątpi już, że to gniew Aelohima, wywołany przez Mojżesza. Córki Moabskie znikły. Lud obala bałwany bożków, wodzowie padają na ziemię, dzieci i kobiety kryją się pod brzuchy wielbłądów. Trwa to noc całą, cały dzień. Piorun spada na namioty, zabija ludzi i zwierzęta, i wciąż jeszcze rozlegają się huki gromu.

Ku wieczorowi ścicha burza, chmury dymią się jednak ciągle na szczycie Synaju, a niebo pozostaje czarnem. Ale oto u wniścia do obozu ukazuje się ponownie siedemdziesięciu Starszych z Mojżeszem na czele. W mdłym świetle zmierzchu oblicze proroka i jego wybranych pro



mienieje światłem nadziemskim, jak gdyby przynosili oni na twarzach swoich olśniewający odblask wizji wzniostej. Na arce złotej, na cherubach o skrzydłach ognistych, migoce błysk elektryczny, jak kolumna fosforyzująca. Na ten widok niezwykle starszyzna i lud, mężczyźni i niewiasty, padają zdala na twarz.

— Niech ci, którzy są za Wiekuistym, zbliżą się do mnie — rzekł Mojżesz.

Trzy czwarte starszyzny Izraelskiej skupia się dookoła Mojżesza; rokoszanie ukryci są w swoich namiotach. Wówczas występuje prorok i rozkazuje wiernym swoim wyciąć w pień przywódców buntu oraz kapłanki Astarty ażeby drżał Izrael po wsze wieki przed Aelohimem, aby pamiętał o Zakonie danym na górze Synaj i jego pierwszym przykazaniu: „Jam jest Przedwiecznym Bogiem twoim który cię wywiódł z ziemi Egipskiej, z domu niewoli. Niebędziesz miał innego Boga przedemną. Nie czyni sobie obrazu rytego ani żadnego podobieństwa rzeczy tych, które są na niebie w górze i które na ziemi nisko i które są w wodach pod ziemią“.

Tak właśnie napoły grozą i napoły tajemniczością narzucił Mojżesz ludowi swemu zakon swój i swoją religję.

Co wszakże widziało owych siedemdziesięciu na górze Synaj? Piąta Księga Mojżeszowa — Deuteronomium (XXXIII, 2) mówi o ogromnem widzeniu, o dziesięciu tysiącach świętych, którzy pojawili się na Synaju wśród nawałnicy, w jasności Jewy. Czy wszyscy Mędrzy starożytnego cyklu, starożytni wtajemniczeni aryjscy, hinduscy, perscy i egipscy, wszyscy szlachetni synowie Azji, ziemi Boga, zstąpili aby dopomóc Mojżeszowi w jego dziele i wywarli nacisk rozstrzygający na świadomość jego wyznawców? Potęgi duchowe, czuwające na ludzkością, są zawsze obecne, zasłona wszakże, która nas od

nich oddziela, rozdziera się w rzadkich jedynie momentach i to dla nielicznych tylko wybranych. Niewątpliwie jednak natchnął Mojżesz owych siedemdziesięciu ogniem bożym i energją własnej woli. Stanowili oni pierwszą świątynię, przed świątynią Salomona; świątynię żywą, świątynię ruchomą, serce Izraela, królewskie światło Boga.

Dzięki zajściom na górze Synaj, dzięki masowemu wycięciu zbuntowanych zyskał Mojżesz władzę nad koczowniczymi Semitami, którą utrzymać umiał żelazną ręką. Zajścia podobne, wywołujące z konieczności nowe przeciwdziałanie silnej władzy, powtarzać się musiały podczas pochodów i kontr-pochodów ku ziemi Chanaanńskiej. Mojżesz, tak samo jak Mahomet, rozwinąć musiał zarazem genjusz proroka, wójtownika i organizatora społecznego. Zmuszony był staczać walki ze zniechęceniem, oszczerstwem i knowaniami. Po zdławieniu buntu ludu należało upokorzyć dumę kapłanów-Lewitów, chcących dorównać mu znaczeniem i uchodzić za wtajemniczonych bezpośrednio przez Jewę; zmiażdżyć należało najniebezpieczniejszych burzycieli porządku w osobach kilku zachwałych ambitnych wodzów, jak Kore, Datan i Abiram, podsycających bunt ludowy celem obalenia proroka i obwołania króla, co uczynią Izraelici w następstwie z Saulem wbrew oporowi Samuela. Walka ta budzi w Mojżeszcu kolejno uczucia oburzenia i litości, czułość ojcowską i rozjuszenie lwa w stosunku do narodu, który szamocze się pod żelaznym uściskiem jego ducha i który mimo wszystko ulegnie mu. Echo tych przeżyć odnajdujemy w przytaczanych w opowieści biblijnej rozmowach proroka z Jego Bogiem, które zdają się ujawniać to, co zachodziło w głębi jego duszy. Według Pięcioksiągu pokonywa Mojżesz zwycięsko wszystkie przeszkody spełnianiem cudów najnieprawdopodobniejszych. Jehowa, pojmowany jako Bóg osobowy, jest zawsze na jego usługi.



Ukazuje się on na ubłagalni w postaci obłoku świetlanego zwanego chwałą Pana. Mojżesz sam tylko może się doń zbliżyć; niepowołanych czeka tam śmierć. Namiot, w którym mieści się arka, odgrywa w opowieści biblijnej rolę niejako baterji elektrycznej olbrzymich rozmiarów, która, naładowana ogniem Jehowy, poraża masy ludzkie. Wybuch jej zabija za jednym zamachem synów Aarona, dwustu pięćdziesięciu stronników Korego i Datana, wreszcie czternaście tysięcy ludu! Nadto wywołuje Mojżesz w oznaczonej godzinie trzęsienie, raczej roztopienie się ziemi, która pochłania trzech buntowniczych wodzów z namiotami ich i rodzinami. Opowieść ta tchnie poezją straszliwą o rozmachu imponującym. Tyle jest w niej jednak przesady, cechuje ją charakter tak wyraźnie legendarny, że niedorzecznością byłoby wprost rozważać kwestję jej prawdziwości. Nadewszystko zaś nadaje opowieściom tym charakter egzotyczny wola Boga gniewnego i zmiennego, jaką odgrywa w nich Jehowa. Zawsze gotów on piorunować i niszczyć, gdy przeciwnie Mojżesz uosabia mądrość i miłosierdzie. Podobnie dziecinne i tak niezgodne z pojęciem boskości wyobrażenie o istocie Najwyższej równie jest obce świadomości wtajemniczonego przez Ozyrysa jak świadomości Chrystusa.

Olbrzymia ta przesada zdaje się wszakże być wynikiem pewnych zjawisk, związanych z darem czarnoksiężkim Mojżesza i znanych już z tradycji świątyn starożytnych. Rozważyć na tem miejscu wypada, co właściwie sędzić należy o rzekomych cudach Mojżesza ze stanowiska teozofji wyrozumowanej oraz wyjaśnionych punktów wiedzy tajemnej. Starożytność nietylko Mojżeszowi przypisywała zdolność wywoływania napięciem woli potężnych wtajemniczonych, zjawisk elektrycznych w rozmaitych postaciach. Tradycja choldejska przypisywała zdolność tę magom, tradycja grecka i łacińska niektórym kapłanom Jupitera

i Apollina <sup>1)</sup>. W podobnych wypadkach zjawiska te należą istotnie do rzędu elektrycznych. Inna wszakże, bardziej subtelna i bardziej rozlana we wszechświecie siła, którą wielcy wtajemniczeni umieli przyciągać, ześrodkowywać i zużytkowywać, wprowadzać miała tutaj w ruch elektryczność atmosfery ziemskiej. Siła ta nosi u bramanów nazwę *akasa*, magowie chaldejscy zwą ją *ogniem pierwotnym*, kabaliści średniowieczni *wielkim czynnikiem czarnoksiężskim*. W nauce współczesnej mogłaby ona być nazwana *siłą lotną*. Można bądź przyciągać ją bezpośrednio, bądź wywoływać za pośrednictwem czynników niewidzialnych, świadomych lub półświadomych, których pełna jest atmosfera ziemska i które umie wykorzystać wola magów. W teorii tej niema nic sprzecznego z racjonalistycznym pojmowaniem wszechświata; jest ona nawet nieodzowną dla wytłumaczenia mnóstwa zjawisk, które bez tego pozostałyby niewytłumaczonymi. Dodać jedynie należy, że zjawiskami temi rządzą prawa niewzruszone, pozostające zawsze w stosunku do intelektualnej, moralnej i magnetycznej siły adepta.

Rzeczą antyracjonalną i antyfilozoficzną byłoby wprowadzanie w ruch przez jakąkolwiek istotę ludzką praprzyczyny, Boga. Antyracjonalną i antyfilozoficzną byłaby też działalność bezpośrednia praprzyczyny, spowodowana przez ową istotę, co równałoby się utożsamianiu tej

---

<sup>1)</sup> Dwukrotnie odparty został w tych samych warunkach atak na świątynię Delfijską. W r. 480 przed Chr. zaatakowały ją armje Xerxesa, lecz cofnęły się przerażone burzą, której towarzyszyło buchanie płomieni z ziemi oraz spadanie wielkich brył skalnych (Herodot). W r. 279 przed Chr. zaatakowana została świątynia ponownie najściem Galów i Kimrysów. Nieliczna garstka Foreańczyków broniła miasta. Barbarzyńcy natarli, ale w chwili kiedy włągnać mieli do świątyni, rozszalała burza i Foreańcy pokonali Gallów. (Patrz piękną opowieść o *Historji Gallów* Am. Thierry, ks. II).



ostatniej z Bogiem. Człowiek względnie tylko wznieść się może do Boga myślą, modlitwą, czynem lub ekstazą. Działalność swoją we wszechświecie sprawuje Bóg pośrednio tylko i hierarchicznie na podstawie niezmiennych praw, powszechnych, oddających myśl jego, jak również przez członków społeczności ziemskiej i boskiej, którzy są jego częściowymi i stosunkowymi przedstawicielami w bezkresie przestrzeni i czasu.

Ustaliwszy punkty te, uważamy za rzecz zupełnie możliwą, aby Mojżesz, któremu pomocne były opiekujące się nim potęgi duchowe i który posiada w wysokim stopniu zdolność kierowania siłą lotną, mógł posługiwać się arką, jako rodzajem zbiornika, ześrodkowująca przyciągającego, celem wywoływania zjawisk elektrycznych o sile piorunującej. Odzież lniana, jaką przywdziewał on, jego kapłani i powiernicy, jak również wonności, których używali, izolowały ich skutecznie i broniły przed wybuchami ognia lotnego. Zjawiska te mogły być wszakże rzadkie tylko i ograniczone. Legenda kapłańska wyolbrzymiła je. Wystarczało Mojżeszowi porażenie zapomocą wyładowania fluidu kilku opornych wodzów lub buntowniczych kapłanów dla steroryzowania i zupełnego poskromienia ludu.

VI  
ŚMIERĆ MOJŻESZA

Kiedy Mojżesz doprowadził lud swój do Chanaanu, uczuł, że dzieło jego zostało spełnione. Czem był Jemu Aelohim dla proroka z Synaju? Porządkiem boskim, oglądanym z góry w dół po przez wszystkie sfery wszechświata i urzeczywistnionym na ziemi widzialnej, na wzór hierarchji niebiańskich i prawdy wiekuistej. Nie, nie nadaremnie oglądał on oblicze Wiekuistego, odzwierciedlające się we wszystkich światach. W Arce spoczywała Księga, a czuwał nad Arką lud silny, żywa świątynia Pana. Kult Boga jedyne go ustanowiony został na ziemi; imię Jemu jaśniało głoskami płomiennymi w świadomości Izraela; fale wieków przepływać mogą nad zmienną duszą ludzkości, nie wymażą one z niej wszakże imienia Wiekuistego.

Zdawał sobie Mojżesz sprawę z tego, wezwał więc Anioła Śmierci. Nałożeniem rąk na głowę następcy swojego, Jozuego, pobłogosławił go przed Arką przymierza, aby Duch Boży przeszedł w niego, poczem pobłogosławił ludzkość całą po przez dwanaście pokoleń Izraela i wstąpił z równin Moabskich na górę Niebo, a towarzyszył mu tylko Jozue i dwaj lewici. Aaron „przyłączony został do ojców swoich“, prorokini Marja tą samą odeszła drogą. Przyszła kolej na Mojżesza.



Jakież były myśli proroka stowudziestoletniego, kiedy znikł z przed oczu jego obóz Izraela i kiedy wstał na wielką samotnię Aelohima? Czego doświadczył, kiedy mu ukazał Pan wszystką ziemię od Galaad aż do Jerycho, miasta palm? Prawdziwy poeta <sup>1)</sup>, oddając po mistrzowski ten nastrój duszy, wkłada w usta Mojżesza taki okrzyk:

Samotnem życiem gdy, Panie, się strudzę,  
Pozwól snem ziemi zasnąć Twemu słudze.

Piękne te słowa więcej mówią o duszy Mojżesza, aniżeli komentarze setki teologów. Dusza ta podobna wielkiej piramidzie z Gizeh, potężna, naga i zamknięta jest na zewnątrz, ale kryjąca wielkie tajniki we wnętrzu swoim i mieszcząca w sobie sarkofag, zwany przez wtajemniczonych sarkofagem zmartwychwstania. Stąd przez przejście ukośne dostrzedz można było gwiazdę polarną. W taki sam sposób dostrzegł nieprzenikniony umysł Mojżesza z pośrodką duszy własnej cel ostateczny wszechrzeczy.

Tak, wszyscy potężni znają samotność, którą stwarza wielkość. Mojżesz wszakże bardziej był od innych samotnym, bowiem idea jego bardziej jeszcze była bezwzględna, bardziej jeszcze od ziemi oderwana. Bóg jego był nadewszystko żywołem męskim, Duchem czystym. Aby wszczepić go ludziom, musiał wypowiedzieć walkę żywiolowi żeńskiemu, bogini Naturze, Hewie, wiekuistej kobiecości, żyjącej w duszy Ziemi i w sercu Człowieka. Walczyć z nią musiał nieustannie i nieubłaganie, nie w celu zniszczenia jej, ale ukorzenia i owładnięcia nią. Cóż zatem dziwnego, że Natura i Kobieta, złączone przy mierzem tajemniczem, drżały przed nim? Cóż dziwnego,

---

<sup>1)</sup> Alfred de Vigny:

„O, Seigneur, j'ai vécu puissant et solitaire,  
Laissez moi m'endormir du sommeil de la terre“

że cieszyć się będą, gdy odejdzie i czekać tylko będą, aby podnieść głowę, z chwilą, kiedy cień Mojżesza przestanie rzucać na nie przecucie śmierci? Takiemi były niewątpliwie myśli Proroka, kiedy wchodził na nagi szczyt góry Nebo. Nie mógł być kochany przez ludzi, bowiem kochał jedynie Boga. Czy przynajmniej żyć będzie dzieło jego? Czy lud pozostanie wiernym swojemu posłannictwu? O, fatalne jasnowidzenie umierających, darze tragiczny proroków, uchylających w ostatniej godzinie wszystkie zasłony! W miarę jak umysł Mojżesza odrywał się od ziemi, widział straszliwą rzeczywistość przyszłości, widział zdrady Izraela; anarchję, podnoszącą głowę; władzę królewską, która zastąpi Sędziów; zbrodnie Królów, bezczyszczące świątynię Pańską; zakon swój złamany i niezrozumiany; myśl swoją spaczoną, przeistoczoną przez ciemnych lub obłudnych kapłanów; odstępstwa królów, cudzołożenie Judasza z narodami bałwochwalcze; czystą tradycję i naukę świętą zdławione i proroków, posiadaczy słowa żywego, prześladowanych w głębi puszczy nawet.

Siedząc w pieczarze góry Nebo, przejrzał Mojżesz to wszystko okiem ducha swego. Ale już śmierć dotykała skrzydłem swem jego czoła i kładła mroźną dłoń na jego sercu. Wtedy to serce lwie raz jeszcze zagrzmieć usiłowało. Rozsrożony na lud swój, wezwał Mojżesz zemstę Aelohima na rące Judasza. Podniósł ramię swe ciężkie. Jozue i lewici, którzy mu towarzyszyli, z przerażeniem usłyszeli słowa, wychodzące z ust umierającego proroka: „Izrael zdradził swego Boga, niechaj rozproszonym będzie na cztery strony nieba!”

Lewici i Jozue patrzyli ze strachem na mistrza, który już znaku życia nie dawał. Jego ostatnie słowo było przekleństwem. Czy oddał wraz z niem technienie ostatnie? Ale Mojżesz otworzył oczy po raz ostatni i rzekł: „Wracajcie do Izraela. A kiedy nadejdzie czas, zbudzi



wam Wiekuisty proroka takiego jakim ja jestem, z pośród braci waszych, i włoży słowa swoje w usta jego, i prorok ten opowiadać wam będzie wszystko, co przewidziany mu rozkaże.

„I stanie się, że ktokolwiek nie byłby posłuszny słowom, które on wam powie, Wiekuisty szukać będzie tego na nim (Deuteronomiumu XVIII, 18.19).

Wypowiedziawszy słowa te prorocze, wyzionął Mojżesz ducha. Czekał już na niego Anioł słoneczny z mieczem ognistym, który ukazał mu się z początku samego na górze Synaj. Uprowadził on go w głąb łona lzydy niebiańskiej, do wnętrza fal światłości owej, która małżonką jest Boga. Zdała od sfer ziemskich mijali obaj kręgi dusz coraz wspanialszych. Wreszcie wskazał mu Anioł Boski ducha tak czarownie pięknego i słodczy niebiańskiej pełnego, a tak promiennego i świecącego jasnością tak porażającą, że własna jego światłość cieniem zaledwie obok tamtej była. Nie miał on w dłoni miecza karzącego, lecz palmę ofiarną i zwycięską. Zrozumiał Mojżesza, że Ten dzieło jego spełni i sprowadzi ludzi ku Ojcu niebieskiemu, potęgą pierwiastka Wiekuistocie Żeńskiego, Łaską Bożą i Miłością najwyższą. I padł Prawodawca na twarz przed Odkupicielem i wielbił Mojżesz Jezusa Chrystusa.

KSIĘGA PIĄTA  
ORFEUSZ  
MISTERJA DJONIZOSA



*Jak miotają się w bezmiarze wszech-  
świata, jak wirują i szukają się wzajem  
te dusze niezliczone, wytryskujące z wiel-  
kiej Duszy Świata! Spadają z planety  
na planetę i oplakują w otchłani za-  
pomnianą ojczyznę... To łzy Twoje,  
Djonizosie... O wielki Duchu, o boski  
Wybawicielu, przyjm ponownie córy  
twoje do twojego łona światłości.*

Fragment orficki.

*— Eurydyko! O Światłości boska!—  
zawołał Orfeusz, umierając. Eurydy-  
ko! — jęknął, pękając, siedem strun jego  
Liry. A głowa jego, która toczy się,  
uniesiona na zawsze na falach czasów,  
wzywa wciąż jeszcze: — Eurydyko.  
Eurydyko.*

Legenda o Orfeuszu.

GRECJA PRZEDHISTORYCZNA — BACHANTKI — UKAZANIE SIĘ  
ORFEUSZA.

**W** świątyniach Apollina posiadających tradycję orficką, tajemnicza uroczystość święcona była podczas wiosennego porównania dnia z nocą. Była to chwila rozkwitania narcyzów dokoła źródła Kastalskiego. Trójnogi, liry świątyni, drgały same przez się; Bóg niewidzialny powracać miał z krajów hyperborejskich na wozie ciągnionym przez łabędzie. Wówczas arcykapłanka przystrojona w szaty Muzy, uwieńczona laurem, z świętymi przepaskami dokoła skroni, opiewała jedynie dla wtajemniczonych *Narodźziny Orfeusza*, syna Apollona i kapłanki Boga. Wzywała duszę Orfeusza, ojca mytów, harmonijnego wybawiciela ludzkości; Orfeusza władnego, nieśmiertelnego, potrzykroć uwieńczonego: w piekle, na ziemi i w niebie; kroczącego, z gwiazdą u czoła, pomiędzy ciałami niebieskimi i Bogami.

Śpiew mistyczny kapłanki delfickiej był aluzją do jednego z licznych tajników, ukrywanych przez kapłanów przed tłumem i nieznanym mu. Orfeusz był genjuszem ożywym świętej Grecji, budzicielem jej duszy boskiej. Jego lira siedmiostronna obejmuje wszechświat. Każda



z jej strun innej odpowiada stronie duszy ludzkiej, zawiera zasady oddiennej nauki czy sztuki. Zatraciliśmy klucz pełnej harmonji, różne jednak tony nie przestały drgać w uszach naszych. Impuls teurgiczny i djonizyjski, jaki umiał Orfeusz nadać Grecji, udzielił się dzięki niej całej Europie. Doba obecna nie wierzy już w piękno życia. Jeśli wszakże mimo wszystko zachowała głęboką pamięć jego, tajemną i niezłomną nadzieję, zawdzięcza ją wzniosłemu temu wtajemniczonemu. Powitajmy w nim wielkiego wieszczka Grecji, praojca Poezji i Muzyki, pojętych jako objawicielki prawdy wiekuistej. Przed odtworzeniem wszakże historii Orfeusza na podstawie wiadomości, zaczerpniętych z głębi tradycji świątyni, powiemy słów kilka, czem była Grecja w chwili jego zjawienia się.

Było to w epoce Mojżesza, na pięć wieków przed Homerem, na trzynaście przed Chrystusem. Indie grzęzły w swoim *Kali-Yag*, okresie mroków, i były już cieniem zaledwie dawnej swojej świętności. Assyryja, która wskutek tyranji Babilonu rozpętała nad światem klątwę anarchji, ciemniżyła w dalszym ciągu Azję. Egipt, wielki wiedzą swoich kapłanów i potęgą swoich faraonów, opierał się całą mocą temu rozkładowi powszechnemu, wpływ jego nie sięgał wszakże po za Eufrat i morze Śródziemne. Izrael był już na puszcy, gdzie grzmiący głos Mojżesza oznajmić miał mu zasadę Boga męskiego i jedności bożej; świat wszakże nie usłyszał jeszcze echa tego oznajmienia.

Grecję rozdzierały głęboko sięgające właśnie polityczne i religijne. Górzysty półwysep, wrzynający się koronkowemi swemi wrębami w fale morza Śródziemnego, otoczony wieńcem wysp, zaludniony był od tysięcy lat przez szczep rasy białej, podobny Gotom, Scytom i Celtom pierwotnym. Rasa ta podlegała wpływom i mieszaninom wszystkich kultur uprzednich. Wybrzeża zaroiliły się kolonjami hinduskimi, egipskimi i fenickimi, które wpro-

wadziły na jej góry i do jej dolin wielorakie rasy, obyczaje i bóstwa. Okręty o rozpiętych żaglach przepływały pod stopami Kolosa Rodyjskiego, ustawionego na obu kamiennych tamach jej portu. Fale morza Cykladzkiego, na którym żeglarz widzieć zawsze mógł w dni jasne wyłaniającą się na widnokręgu wyspę jakąś lub jakieś wybrzeże, pruły czerwone dzioby okrętów fenickich lub czarne piratów lidyjskich. Unosili oni na wydrażonych łodziach swoich wszystkie skarby Azji i Afryki: kość słoniową, malowane wyroby garncarskie, tkaniny syryjskie, złote naczynia, purpurę i perły — częstokroć kobiety, porywane na dzikich wybrzeżach. Krzyżowanie ras wpłynęło na ukształtowanie się języka dźwięcznego i łatwego, mieszaniny pierwotnego celtyckiego, zendskiego, sanskrytu i fenickiego. Język ten, obrazujący majestat Oceanu w imieniu *Posejdona* i pogodę niebios — w imieniu *Uranosa*, naśladował wszystkie głosy natury, od szczebiotu ptaków do szczełku oręża i ryku burzy. Był on wielobarwny,—jak jego morze ciemno-szafirowe o zmiennych odcieniach lazuru, wielodźwięczny—jak fale, cicho szmerzące w zatokach lub rozbijające się z głośnym rykiem o skały niezliczone — *poluphlosboio Thalassa* — jak mówi Homer.

Wraz z tymi kupcami czy rozbójnikami morskimi przybywali często kapłani, którzy kierowali nimi i wydawali im rozkazy, jako władcy ich. Ukrywali oni starannie w łodziach swoich drewniany posążek któregośkolwiek z bożków swoich. Wyciosany z gruba, stanowił on niewątpliwie dla żeglarzy ówczesnych taki sam fetysz, jak Madonna dla marynarzy dzisiejszych. Kapłani ci posiadali już jednak pewien zasób wiedzy, a bożek, którego zabierali oni ze świątyń swoich w podróż daleką, uzmysławiał dla nich sposób pojmowania natury, całokształt praw, ustrój społeczny i religijny. W owych czasach bowiem



źródłem całego życia umysłowego były świątynie. Czczono Junonę w Argos; Artemidę — w Arkadii, w Pafosie i w Koryncie; fenicka Astarta przeistoczyła się w zrodzoną z piany morskiej Afrodytę. W Attyce zjawiło się kilku inicjatorów. Kolonja egipska, założona w Eleuzys, wprowadziła tu kult Izdy pod postacią Demetry (Cerery), matki Bogów. Erechteusz, bohater attycki, którego mit wiąże się ściśle z kultem Ateny i pierwotną cywilizacją Attyki, ustanowił pomiędzy górą Hymetem i Pentelikonem kult bogini dziewicy, córki nieba błękitnego, zwoleńniczki drzewa oliwkowego i mądrości. Podczas najazdów, na pierwszy sygnał alarmowy, chroniła się ludność na Akropol i skupiała się dokoła bogini, jak gdyby dokoła żywego posagu zwycięstwa.

Bóstwa miejscowe podporządkowane były kilku bogom męskim kosmogonicznym. Usunięci wszakże na szczyty gór, zaćmieni przez świetne orszaki bóstw żeńskich, niewielki wywierali oni wpływ. Bóg słońca, Apollo delfijski, <sup>1)</sup> istniał już, nie odgrywał wszakże roli wybitnej. U stóp szczytów śnieżnych góry Ida, na wyżynach Arkadii i pod dębami Dodony głosili już naukę swoją kapłani Wielkiego Zeusa. Lud przekładał jednak nad taje-

---

<sup>1)</sup> Podług starej tradycji trackiej był twórcą poezji *Olen*. Owóż imię to znaczy po fenicku *Istota powszechna*. Źródłostów imienia Apollona jest ten sam. *Ap Olen* lub *Ap Wholon* znaczy *Ojciec powszechny*. Pierwotnie czczono w Delfach Istotę powszechną pod nazwą Olena. Kult Apollona wprowadzony został przez jednego z kapłanów-nowatorów, pod wpływem doktryny zakłęcia słonecznego, która szerzyła się wówczas w świątyniach Indji i Egiptu. Reformator ten utożsamia Ojca wszechświata z podwójnem jego objawieniem: ze światłem nadziemskim i słońcem widzialnem. Reforma ta nie wyszła wszakże po za głębiny świątyni. Orfeusz dopiero nową nadał siłę zakłęciu słonecznemu Apollona, ożywiając je i elektryzując dzięki misterjom Djonizosa. (Fabre d'Olivet: „*Les vers dorés de Pythagore*“).

mniczego boga powszechnego—boginie, uosabiające naturę w jej potęgach czarujących lub straszliwych. Strumienie podziemne Arkadij, pieczary górskie, sięgające głębinami swojemi wnętrza ziemi, wybuchy wulkaniczne na wyspach morza Egipskiego—podsunęły Grekom w zaraniu już kult sił tajemnych ziemi. Przeczuwali oni naturę, bali się jej i czcili ją zarówno na jej wyżynach jak i w jej głębiach. Że jednak bóstwa te nie posiadały ani ośrodka społecznego, ani też syntezy religijnej, wrzała między nimi zażarta walka nieustanna. Wrogie sobie wzajem świątynie i miasta współzawodniczące, narody, które dzielił rytuał oraz ambicje królów i kapłanów, nienawidziły się, zazdrościły sobie wzajem i zwalczały się, tocząc z sobą wojny krwawe.

Po za Grecją wszakże istniała dzika, barbarzyńska Tracja. Ku Północy—pasma gór, porośniętych olbrzymimi dębami i uwieczonych skałami, wiły się jedne za drugimi linją falistą, rozwierały się dolinami rozległymi, półkolistymi lub piętrzyły się złomami węzłowatymi. Wiatry północne orały ich zbocza porośnięte a niebo, częstokroć burzliwe, zmiatało chmurami ich szczyty.

Pasterze dolin i wojownicy płaszczyzn byli synami tej samej silnej rasy białej, wielkiej potęgi Doryjczyków greckich. Była to rasa wybitnie męska, której wyrazem w pięknie jest wybitność rysów i stanowczość charakteru, zaś w brzydocie—potworność masek Meduz i sta-  
rożytnych Gorgon.

Podobnie jak wszystkie ludy starożytne, które ustrój swój zawdzięczały Misterjom, jak Egipt, jak Izrael i Etruria, miała i Grecja swoją geografję świętą, w której każda okolica stawała się symbolem sfery czysto duchowej i nadziemskiej. Dlatego Tracja uważana była zawsze <sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Wyraz *Tracja* pochodzi podług Fabra d'Olivet od fenickiego *Rakhwa*: przestrzeń eteru czyli firmament. Nie ulega wątpliwości, że



przez Greków za krainę szczególnie świętą, krainę światła i prawdziwą ojczyznę Muz? Prawdopodobnie dlatego, że na wysokich jej górach wznosiły się świątynie Kronosa, Zeusa i Uranosa. Stąd splywały dźwięcznymi rytmami eumolpicznymi <sup>2)</sup> Poezja, Prawa i Sztuki święte. Świadczą o tem mitologiczni poeci Tracji. Pod imionami Tamyrysa, Linosa i Amfjona kryją się może osobniki żyjące istotnie; bądź co bądź wszakże wyobrażają one przede wszystkim w języku świątyń różne rodzaje poezji. Każdy z nich uświęca zwycięstwo, odniesione przez jedną teologję nad drugą. W świątyniach ówczesnych pisano historję allegorycznie jedynie. Osobnik nie był niczem, doktryna i dzieło—wszystkiem. Tamyrys, opiewający walkę Tytanów i oślepiiony przez Muzy, wieści porażkę poezji kosmogonicznej.

Linus, który wprowadził do Grecji azjatyckie śpiewy melancholijne i który został zabity przez Herkulesa, opiewał najście na Trację w utworach poetyckich smętnych

---

dla poetów i wtajemniczonych greckich, jak Pindar, Eschylos, Platon — nazwa Tracji miała znaczenie symboliczne kraju czystej doktryny i poezji świętej, która z niej bierze początek. Filozoficznie oznaczała ona: sferę umysłową, całokształt doktryn i tradycji, wyprowadzających świat z rozumu boskiego.—Historycznie nazwa ta przypominała kraj i rasę, w których doktryna i poezja aryjska wykwitły nasamperw, a już potem przeszczepione zostały do Grecji przez świątynię Apollona. — Używanie podobnego rodzaju symbolizmu stwierdza w następstwie historia. W *Delfach* była klasa *kapłanów Tracydyjskich*. Byli to stróże boskiej doktryny. Sąd Amfiktjonji strzeżony był przez *straż Tracydów*, czyli wojowników wtajemniczonych. Tyranja Sparty zniosła ten zastęp nieprzedajny i zastąpiła przekupnikami, których cechowała siła brutalna. W następstwie czasownik: *tracyzować* stosowany był w sensie ironicznym do ludzi, trzymających się dawnych doktryn.

<sup>2)</sup> *Eumolpos* — słynny śpiewak, syn Posejdona, dał początek misterjom eleuzyńskim. Od niego pochodzi ród *Eumolpidów* (Przyp. tłum.).

i uczuciowych, których nie mógł zrazu uznać męski umysł Doryjczyków północnych. Linos jest zarazem wyobrazicielem zwycięstwa kultu księżycowego nad kultem słonecznym. Amfjon natomiast, który, jak głosi legenda alegoryczna, poruszał kamienie dźwiękami swojej liry, uzmysławia siłę plastyczną, jaką doktryna słoneczna i poezja dorycka natchnęły sztuki i całą kulturę helleńską <sup>1)</sup>).

Odmienne zupełnie światłem błyszczą Orfeusz! Promienieje on po przez wieki własnym światłem geniusza twórczego, którego męskie głębie duszy drgają miłością dla pierwiastka wiecznie żeńskiego — zaś pierwiastek ten, żyjący i drgający w trojkiej postaci: w Naturze, w Ludzkości i w Niebie, odpowiada mu z głębin swoich najskrytszych. Wielbienie świątyn, tradycja wtajemniczonych, wołanie poetów, głos filozofów — a nade wszystko: dzieło jego, ustrój Grecji — świadczą o żywej jego rzeczywistości.

Walka głęboka, zacięta wstrząsała w owych czasach Tracją. Kultury słoneczne i kultury księżycowe walczyły z sobą zażarcie o przewagę. Wojna ta wielbicieli słońca z wielbicielami księżycy nie była, jak można przypuś-

---

<sup>1)</sup> Strabon twierdzi stanowczo, że poezja starożytna była jedynie językiem alegorycznym. Denis z Halikarnasu potwierdza to i przyznaje, że tajniki natury i najwyższe pojęcia moralne okryte były zasłoną. Nie jest więc przenośnią nazywanie poezji starożytnej *językiem Bogów*. W samej nazwie jej ukryte jest czarodziejskie jej znaczenie, stanowiące jej siłę i urok. Większość lingwistów wyprowadza nazwę poezji od wyrazu greckiego *poiein*, robić, tworzyć. Jest to etymologia prosta i na pozór zupełnie naturalna, mało jednak zgodna ze świętym językiem świątyn, z których wyszła pierwotna poezja. Logiczniej byłoby przyjąć wraz z Fabre'm d'Olivet, że *poiesis* pochodzi od fenickiego *phohe* (usta, głos, mowa, rozmowa) oraz *ish* (Istota najwyższa, istota — zasada, w przenośni — Bóg. Etruskie *Aes* lub *Aesar*, galijskie *Aes*, skandynawskie *Aee*, koptyjskie *Os* (Pan), egipskie *Oziris* mają ten sam źródłostów.



cić, błahym sporem dwóch zabobonów. Dwa te kultury wyobrażały dwie teologie, dwie kosmogonie, dwie religie i dwa ustroje społeczne, zasadniczo sobie wzajem przeciwnostawne. Kultury uranijskie i słoneczne miały świątynie swoje na wyżynach gór, męskich kapłanów, surowe prawa. Państwem kultów księżycowych były lasy, doliny głębokie; obrządki ich sprawowały niewiasty-kapłanki, zaś same obrządki były zmysłowe, cechowały je nieuregulowane praktyki sztuk tajemnych i upodobanie w podnieceniach zmysłowych, orgjastycznych.

Między kapłanami słońca i kapłanami księżycy toczyła się walka na śmierć i życie. Walka dwu płci, odwieczna, nieunikniona, otwarta czy ukryta, lecz wiekuista pomiędzy pierwiastkiem męskim a żeńskim, pomiędzy mężczyzną a kobietą, walka, wypełniająca historię wyborem pomiędzy jednym a drugą, walka, na której tle rozgrywa się tajemnica światów. Zarówno jak zespolenie się, zlanie obu tych pierwiastków stanowi istotę właściwą i tajemnicę boskości, tak samo równowaga ich zdolna jest jedynie stworzyć wielkie cywilizacje.

Wszędzie w Tracji zarówno jak w Grecji, męscy słoneczni i kosmogoniczni bogowie usuwani byli na szczyty górskie, do krajów pustynnych. Lud miał większe upodobanie do drażniących orszaków bóstw żeńskich, budzących namiętności niebezpieczne i ślepe siły natury. Kultury te nadawały najwyższemu bóstwu płęć żeńską.

Wynikiem tego stały się niebawem nadużycia przerażliwe. U Traków kapłanki księżycy czyli potrójnej Hekaty, zagarnęły całą władzę, przyswoiwszy sobie dawny kult Bachusa, któremu nadały charakter krwawy i groźny. Na znak zwycięstwa swojego przybrały nazwę Bachantek, jak gdyby chcąc zaznaczyć swoją przewagę, panowanie kobiety, pokonanie przez nią mężczyzny.

W swoich świątyniach, wznoszonych w dzikich, odległych dolinach, składały one ofiary bóstwom, uprawiały czarną magję, a zarazem były uwodzicielkami. Jaki czar niepojęty, jaka ciekawość piekąca pociągała mężczyzn i kobiety do samotni tych, pełnych przepysznej, bujnej roślinności? Nagie kształty—tańce lubieżne w głębi lasu... potem śmiechy, okrzyk głośny — i setka Bachantek rzucała się na przybysza, aby go powalić. Musiał przysiąc, że się im podda, że spełniać będzie ich obrządki, w przeciwnym razie ginął. Bachantki oswajały pantery i lwy, które występowały na ich uroczystościach. Nocą padały na ziemię przed potrójną Hekatą, mając węże oplecione dokoła ramion; potem w dzikich płasach wzywały Bachusa, podziemnego dwupłciowca z łbem byka <sup>1)</sup>). Biada wszakże obcemu, biada kapłanowi Jupitera czy Apollona, który ważyłby się podpatrzyć je. Rozszarpywały go na kawały. Pierwotne Bachantki były więc greckimi druidkami. Wielu wodzów Tracji pozostało wiernymi dawnym kultom męskim. Ale Bachantki ovladnąć potrafiły niektórymi z ich królów, łączących obyczaje barbarzyńskie z przepychem i wyrafinowaniem azjatyckim. Oczarowały ich one ponętami rozkoszy i pokonały grozą. W ten sposób podzielili bogowie Trację na dwa wrogie obozy. Kapłani Jupitera i Apollona stawali się bezsilnymi na pustynnych

---

<sup>1)</sup> Bachus z łbem byka występuje w XXIX-ym hymnie orfickim. Jest to pamiątka po dawnym kulcie, niezwiązanym bynajmniej z czystą tradycją Orfeusza, który zupełnie uduchowił i przeistoczył popularnego Bachusa w niebiańskiego Dionizosa, symbol ducha boskiego, objawiającego się we wszystkich państwach natury.—Rzecz dziwna, że odnajdujemy piekielnego Bachusa Bachantek w szatanie z łbem byka, którego wzywały i wielbiły średniowieczne czarownice na swoich schadzkach nocnych. Jest to ów słynny *Baphomet*, o którego kult oskarżał kościół Templarjuszów, aby ich zgubić w opinii ogółu.



swoich szczytach, nawiedzanych przez burze i gromy, przeciwko Hekacie, wciąż wzrastającej w palących żarem dolinach i zagrażającej z głębin swoich ołtarzom synów słońca.

W czasie tym pojawił się w Tracji młodzieniec rodu królewskiego, pociągający czarem niezemskim. Mówiono o nim, że jest synem kapłanki Apollona. Melodyjny głos jego dziwny miał urok. Mówił on o Bogach w sposób zupełnie nowy, rytmiką dotychczas nieznaną. Wydawał się natchnionym. Jasne kędziory włosów jego, chluba Doryczyków, opadały złocistemi falami na ramiona, a dźwięki, ulatujące mu z warg, układały w linje słodkie i smutne zarazem kąty ust jego. Błękitne oczy promieniowały siłą, słodycz i czar magiczny. Dzicy Trakowie unikali jego wzroku; kobiety natomiast, biegłe w sztuce czarowania, mówiły, że w lazurze tych oczu strzały słońca zlewają się z pieszczotą księżyca. Bachantki nawet, zaciekawione jego urodą, krążyły dokoła niego jak zakochane pantery, dumne ze swoich centkowanych skór i uśmiechały się, słuchając słów jego niezrozumiałych.

Nagle młodzieniec ten, którego zwano *synem Apollona*, znikł. Mówiono, że umarł, że zstąpił do piekieł. W rzeczywistości uciekł on potajemnie do Samotracji, potem do Egiptu, gdzie prosił kapłanów memfiskich o schronienie. Przeszedłszy przez ich wtajemniczenie, powrócił po dwudziestu latach pod przybranem w świątyni imieniem, zyskanem od mistrzów po przebytych próbach na znak poruczonego mu posłannictwa. Nazywał się teraz Orfeuszem, Arfa <sup>1)</sup>, to znaczy, *ten który uzdrawia światłem*.

Najdawniejsza świątynia Jupitera wznosiła się wówczas na górze Kaukaion. Hierofanci jej byli niegdyś arcy-

<sup>1)</sup> Wyraz fenicki, złożony z *aur*—światło i *rophac*—uzdrowienie.

kapłanami. Ze szczytów góry tej, bezpieczni od napaści, panowali nad całą Tracją. Odkąd wszakże zyskały przewagę bóstwa z dolin, zmalała liczba wyznawców Jupitera, a świątynie jego opustoszały niemal. Kapłani z Kaukaionu przyjęli wtajemniczonego egipskiego jak zbawcę. Wiedzą swoją i swoim zapalem pociągnął Orfeusz większość Traków, przeistoczył z gruntu kult Bachusa i pokonał Bachantki. Niebawem wpływ jego przeniknął do wszystkich świątyń Grecji. Jego to dziełem było ustanowienie kultu Zeusa w Tracji i Apollona w Delfach, gdzie założył podstawy sądów Amfiktjońskich, które stały się jednością społeczną i narodową Grecji. Wreszcie utworzeniem Misterjów ukształtował ducha religijnego swojej ojczyzny. Albowiem, u szczytu wtajemniczenia, zlał religję Zeusa z religją Djonizosa w ideę wszechświatową. Dzięki nauce jego osiągnęli wtajemniczeni czyste światło prawd najwyższych. To samo światło dostawało się do ludu nieco przyćmione, ale niemniej dobroczynne, pod osłoną poezji i uroczystości porywających. W ten sposób stał się Orfeusz prorokiem Tracji, arcykapłanem Zeusa Olimpijskiego, zaś dla wtajemniczonych—objawicielem Djonizosa niebiańskiego.



II  
ŚWIĄTYNIA JUPITERA

W pobliżu źródeł Ebru wznosi się góra Kaukaion, opasana gąszczem lasów dębowych, uwieńczona koroną skał i głazów cyklopicznych. Od tysięcy lat miejsce to jest górą świętą. Pelasgowie, Celtowie, Scytowie i Getowie<sup>1)</sup>, wypierając jedni drugich, kolejno czcili tam swoich bogów różnorodnych. Czyż to wszakże nie ten sam zawsze Bóg, którego szuka człowiek, wdzierając się tak wysoko? Gdyby tak nie było, dlaczego miałby wznosić mu z takim mazurem świątynie w strefie wicherów i piorunów?

W epoce, o której mówimy, wznosiła się w pośrodku świętej zagrody świątynia Jupitera, budowla ciężka i niedostępna jak twierdza. U wniścia perystyl, złożony z czterech kolumn doryckich, odcina się olbrzymiemi słupami swojemi na ciemnem tle portyku.

---

<sup>1)</sup> *Getowie* — naród tracki, nie mają nic wspólnego z Gotami, jak fałszywie wywodził Grimm. Ciekawym jest faktem historyjograficznym, że dowody, użyte przez Grimma na poparcie Gotycyzmu Getów, obrócone zostały przez Bielowskiego („*Wstęp Krytyczny*”) na korzyść słowiańskości tychże Getów. (Przyp. tłum.)

U zenitu niebo jest pogodne; burza grzmi wszakże jeszcze po nad górami Tracji, których szczyty i doliny zarysowują się na widnokregu, niby otchłań czarna, wstrząsana rykami grzmotów i rozdzierana świetlnymi smugami błyskawic.

To chwila składania ofiar. Kapłani Kaukaionu uznają jedynie ofiarę ognia. Schodzą ze stopni świątyni i rozpalają wonne drzewo ofiarne pochodnią, zażgniętą w sanktuarjum. Wreszcie wychodzi z wnętrza świątyni arcykapłan, odziany, jak inni, w białą szatę lnianą i uwieniczony mirtem i cyprysem. W ręku ma berło hebanowe z rękojeścią z kości słoniowej; opasuje go pas złoty, którego kryształą ciskają ognie posępne, symbole tajemniczej władzy królewskiej. To Orfeusz.

Prowadzi za rękę ucznia, z Delf rodem, bladego, drżącego, wsłuchanego z zachwytem i dreszczem mistycznym w słowa wielkiego Wtajemniczonego. Dostrzega to Orfeusz i chcąc uspokoić wybrańca swego serca, otacza go pięściami ramieniem. Uśmiech igra w oczach jego; nagle strzela z nich błysk płomienny. I gdy u stóp ich krążą kapłani dokoła ołtarza i śpiewają hymn do ognia, z ust Orfeusza wychodzą skierowane do ukochanego ucznia słowa wtajemniczenia, które padają w głąb serca młodzieńca niby nektar boski.

Oto jak brzmiały słowa natchnione Orfeusza:

„Zawrzyj się w głębi duszy własnej, aby wznieść się do Źródła wszechrzeczy, do wielkiej Trójcy, promieniejącej w Eterze niepokalanym. Niech ogień myśli twojej strawi twoje ciało; oderwij się od materji jak płomień oddziela się od drzewa przezeń spalonego. Wówczas duch twój wzleci do czystego eteru pra-przyczyn wiekuistych, jak orzeł do tronu Jupitera.

„Wyjawię ci tajemnicę światów, duszę natury, istotę Boga. Oto główne arkana: Jedyna istota króluje w głę-



binach niebios i w przepaściach ziemi, Zeus gromowładny, Zeus nieuchwytny. W nim wszystko zawarte: rada głęboka, nienawiść potężna i miłość przesłodka. Panuje on w głębinie ziemi i na wysokości nieba gwiazdzistego. Tchnienie rzeczy, ogień niepokromiony, pierwiastek męski i żeński, Król, Moc, Bóg, wielki Mistrz.

„Jupiter jest małżonkiem i małżonką boską, Mężczyzną i Kobiętą, Ojcem i Matką. Z ich związku świętego, z ich zaślubin wiekuistych rodzi się nieustannie Ogień i Woda, Ziemia i Eter, Noc i Dzień, dumni Tytani, Bogowie niewzruszeni i ruchomy posiew ludzki. Związek miłosny Nieba i Ziemi nieznanym jest profanom. Tajniki Oblubieńca i Oblubienicy odsłonięte są jedynie dla istot boskich. Oznajmię ci wszakże, co jest prawdą. Przed chwilą jeszcze wstrząsał skałami temi ryk gromu; piorun spadał na nie jak ogień żywy, jak płomień toczący się, a echa gór wtórem radosnym rozbrzmiewały. Ale ty drżałeś, nie wiedząc, skąd ten ogień przychodzi, ani gdzie uderza. To ogień męski, nasienie Zeusa, ogień twórczy. Wytryska on z serca i z mózgu Jupitera; drga we wszystkich istotach. Kiedy spada piorun, ciska go jego prawica. Ale nam, jego kapłanom, znana jest treść jego; unikamy jego pocisków, a czasem kierujemy niemi.—A teraz spójrz na niebo. Patrz na ten krąg, połyskujący mirjadami gwiazd, na który zarzucona jest lekka opaska drogi mlecznej, kurzawa słońc i światów. Patrz, jak błyszczy Orjon, jak migocą Bliźnięta i świeci jasno Lira. To ciało boskiej Oblubienicy, krążącej w wirze harmonijnym pod okiem Oblubieńca. Patrz oczami duszy, a ujrzysz głowę jej w tył przegiętą, jej ramiona wyciągnięte i uchylił usianą gwiazdami jej zasłonę.

„Jupiter jest Małżonkiem boskim i boską Małżonką. Oto tajnik pierwszy. Ale teraz, o synu Delf, przygotuj się do następnego wtajemniczenia. Drzyj, płacz, raduj

się, wielbija! Bowiem myśl twoja pograży się w strefe płonąca, w której wielki Demiurg miesza pospołu świat i duszę w czarze życia. Pijąc z tej czary upajającej, zapominają istoty o pobycie swoim niebiańskim i staczają się w bolesną otchłań narodzin.

„Zeus jest wielkim Demiurkiem. Djonizos jest jego synem, jego Słowem objawionem. Djonizos, duch promienny, żywy intelekt, jaśniał w siedzibach Ojca, w pałacu Eteru niewzruszonego.. Dnia pewnego, kiedy pochylony, wpatrywał się po przez gwiazdy w otchłań nieba, ujrzał w lazurowych głębiach odbicie własnej postaci, wyciągającej ku niemu ramiona. Zachwycony piękną tą zjawą, zakochany w swoim sobowtórce, rzucił się, aby go uchwycić. Lecz obraz uciekał, uciekał wciąż i pociągał go na dno otchłani. Wreszcie znalazł się w cienistej dolinie, pełnej aromatów przedziwnych, chłodzonej rozkosznym powiewem wietrzyka, który muskał jego ciało. W jednej z grot ujrzał Persefonę. Piękna prządka, Maia, tkła zasłonę, w której osnowie kłębiły się postacie wszystkich istot. Stał oczarowany widokiem boskiej dziewicy. W tej chwili dostrzegli go dumni Tytani i wolne Tytanidy. Pierwsi, zazdrośni o jego urodę, drugie, ogarnięte szałem miłosnym, rzucili się na niego jak wściekłe żywioły i rozszarpali go na strzępy. Potem, rozdzieliwszy pomiędzy siebie jego członki, ugotowali je w wodzie, zaś serce jego pogrzebali. Jupiter poraził piorunem Tytanów, a Minerwa uniosła z sobą do Eteru serce Djonizosa, które stało się tam słońcem gorejącem. Z oparów wszakże dymu spalonego ciała Djonizosa wyłoniły się dusze ludzkie, wznoszące się ponownie ku niebu. Z chwilą, gdy blade cienie dotrą do płomiennego serca Bożego, zapłoną jak ognie i Djonizos cały wskrześnie na wyżynach Empirejskich, bardziej jeszcze żywy niż kiedykolwiek.



„Oto tajemnica śmierci Djonizosa. A teraz słuchaj tajemnicy jego zmartwychwstania. Ludzie są ciałem i krwią Djonizosa; ludzie nieszczęśliwi są jego członkami rozproszonymi, które szukają się wzajem, wijąc się w zbrodni i w nienawiści, w bólu i miłości, po przez tysiące istnień. Żar ogniowy ziemi, otchłań sił nizinnych, wciągają je coraz głębiej w przepaść, rozszarpują je coraz bardziej. Lecz my, wtajemniczeni, którym wiadome, co jest w górze i co jest na padole, jesteśmy zbawcami dusz, Hermesami ludzi. Pociągamy je ku sobie, niby siła magnetyczna, sami przyciągani przez Bogów. Odtwarzamy w ten sposób czarami niebieskimi żywe ciało bóstwa. My to sprawiamy, że niebo płacze, a ziemia się raduje; jak cenne klejnoty nosimy w sercach naszych lzy ludzkie, aby zamienić je na uśmiechy. Bóg umiera w nas i w nas też rodzi się ponownie“.

Tak mówił Orfeusz. Uczeń z Delf ukląkł przed mistrzem swoim z wniesionemi ramionami i z gestem błagalników <sup>1)</sup>). I wyciągnął arcykapłan Jupitera ręce nad głową ucznia, wymawiając słowa uświęcenia:

„Niech Zeus niewypowiedziany i Djonizos potrzykroć objawiający się: w czeluściach piekieł, na ziemi i w niebie, sprzyjają młodości twojej i wleją w serce twoje wiedzę Bogów“.

Wysłuchawszy słów tych, opuszczał Wtajemniczony perystyl świątyni, aby rzucić na ogień ołtarza garść żywicy pachnącej i wzywał trzykrotnie Zeusa gromowładnego. Kapłani otaczali go kołem, śpiewając hymn. Arcykapłan — król pozostał pod portykiem w myślach pogrążony, opierając się ramieniem o jeden ze słupów kamiennych.

— Dźwięczny Orfeuszu — rzekł — synu ukochany Nieśmiertelnych i słodki lekarzu dusz, od dnia, w którym

<sup>1)</sup> *Błagalnictwo (hikezia)*, instytucja pod pieczęcią Zeusa, czyniąca nietykalnym każdego, kto chronił się z gałązką oliwną u ołtarza Boga. (Przyp. tłum.)

słyszałem cię, śpiewającego hymny na cześć Bogów na uroczystości Apollona delfickiego, porwałś serce moje; wszędzie też szedłem za tobą. Śpiew twój jest jak wino, które upaja, twoje nauki—jak napój gorzki, przynoszący ulgę ciału udręczonemu i wlewający nową siłę w członki jego.

— Mozolną jest droga, która prowadzi z padolu ziemskiego ku Bogom — rzekł Orfeusz, zdający się raczej odpowiadać głosom wewnętrznym, aniżeli uczniowi swemu. — Ścieżyna kwietna, zbocza wyboiste, a potem skały nawiedzane przez pioruny, okolone bezmiarem przestworzy — oto los Widzącego i Proroka na ziemi. Pozostań na ścieżkach kwietnych nłziny, o dziecię moje, i nie szukaj zaświatów.

— Pragnienie moje wzmagą się w miarę jak je gasisz — rzekł młody wtajemniczony. Otworzyłeś mi oczy na istotę Bogów. Ale powiedz mi, wielki mistrzu tajników, natchniony przez boskiego Erosa, czy będę mógł *widzieć* ich kiedykolwiek?

— Oczami ducha — odparł arcykapłan Jupitera, — lecz nie oczami ciała. Jak dotychczas wszakże, umiesz posługiwać się temi ostatnimi tylko. Długa praca lub wielkie cierpienia mogą jedynie otworzyć nasze oczy wewnętrzne.

— Ty tylko potrafisz otworzyć je, Orfeuszu! Czegóż mogę lękać się, będąc z tobą?

— Chcesz więc? Zatem słuchaj! W Tessalji, w uroczej dolinie Tempe, wznosi się świątynia mistyczna, zamknięta dla profanów. W niej Djonizos objawia się widzącym i wtajemniczonym. Za rok wezwę cię na uroczystość ku czci jego i pograżę cię w sen czarodziejski, a wówczas otworzę ci oczy na świat boży. Do chwili tej życie twoje musi być czystem, a dusza twoja białości nieskalanej. Wiedz bowiem, że światłość Bogów przeraża słabych i zabija bezczeszczących.



Lecz pójdź za mną do mojej siedziby. Dam ci księgę, która będzie ci potrzebna do przygotowania się.

I wszedł mistrz z uczniem delfickim do wnętrza świątyni i zaprowadził go do wielkiej celli, dla niego przeznaczonej. Płonęła tam lampka egipska wiecznie świecąca, którą podtrzymywał genjusz skrzydlaty wykuty z metalu. Tam w skrzynkach z cedru pachnącego zamknięte były liczne zwoje papyrusów, okrytych hieroglifami egipskimi i znakami fenickimi, jak również księgi, pisane przez Orfeusza w języku greckim i zawierające jego wiedzę magiczną oraz jego doktrynę tajemną.<sup>1)</sup>

Mistrz i uczeń spędzili w celli część nocy na rozmowie.

---

<sup>1)</sup> Pomiedzy licznymi księgami zaginionymi, które greccy pisarze orficy przypisywali Orfeuszowi, były też *Argonautyki*, traktujące o wielkim dziele hermetycznym; *Demetreida*, poemat o matce Bogów, któremu odpowiadała *Kosmogonja*; *święte śpiewy Bachusa* czyli Ducha czystego, których dopełnieniem była *Teogonja*; nie mówiąc już o innych dziełach, jak *Zastona czyli sieć dusz*, sztuka misterjów i obrządków; *Księga przemian*, chemja i alchemja; *Korybanty* czyli tajniki ziemskie i trzęsienia ziemi; *anemoskopja*, nauka o atmosferze; botanika naturalna i czarnoksiężska i t. d...

### III

#### UROCZYŚTOŚCI DJONIZYJSKIE W DOLINIE TEMPE

Było to w Tessalji, w przewlewniej dolinie Tempe <sup>1)</sup>. Nadeszła noc święta, poświęcona przez Orfeusza misterjom Djonizosa. Uczeń z Delf, prowadzony przez jednego ze służebników świątyni, szedł wąskim i głębokim parowem, otoczonym ścietymi prostopadle skałami. Wśród ciszy nocy ciemnej nie było słyhać nic prócz szmeru strumyka, wijącego się wśród zieleni nadbrzeżnej. Wreszcie

---

1) Pauzanjasz opowiada, że corocznie poselstwo wysyłane z Aten do świątyni Apollona w Delfach, udawało się ztamtąd do doliny Tempe, aby zbierać liście gorzkiego lauru, który uważany był za roślinę świętą. Ten zwyczaj symboliczny przypominał wyznawcom Apollona, że związani oni są z wtajemniczeniem orfickim i że źródłem pierwszego natchnienia Orfeusza był pień stary i mocny, którego gałęzie zawsze młode i żywotne zrywała świątynia Delficka.

To zlewanie się tradycji apollońskiej z tradycją orficką znacza się jeszcze w inny sposób w historii świątyń. Słynna dysputa Apollona z Bachusem w sprawie trójnoga świątyni takie ma właśnie znaczenie. Bachus, mówi legenda, odstąpił trójnog bratu i osiadł na Parnasie. Ma to znaczyć, że Djonizos i wtajemniczenie orfickie pozostały przywilejem wtajemniczonych, zaś Apollon głosił wyroczyne swoje na zewnątrz świątyni.



ukazał się za górą księżyc w pełni, wylaniając żółtą tarczę swoją z po za czarnych zazębień skał. Przyciągające światło jego subtelne prześlizgnęło się po głębiach — i nagle odsłoniła się urocza dolina, skąpana w jasności elizejskiej. W świetle tem wyłoniły się na chwilę z mroków jej dna porosłe murawą, jej gaje jesionów i topoli, jej źródła kryształowe, grotty osłonięte kaskadami bluszczów i rzeka jej kręta, opasująca wyspy drzew lub tocząca swe nurty pomiędzy gąszczami splełtanemi. Złotawa poświata, sen rokoszny stulały rośliny. Zwierciadło toni drgało jak gdyby muskane tchnieniem nimf i nieuchwytnie dźwięki lutni ulatywały z kęp trzcin nieruchomych. Cichy czar Djany spowijał wszystko dokoła. Uczeń z Delf szedł niby we śnie. Stawał chwilami, aby napawać się cudownym zapachem przewierścienia i lauru gorzkiego. Czarowna jasność trwała wszakże chwilę tylko. Chmura zasłoniła tarczę księżycy. Wszystko znów szerniało, skały przybrały ponownie groźny swój wygląd i błędne ogniki migotać zaczęły ze wszystkich stron po przez gęstwinę drzew, na brzegu rzeki i w głębinach doliny.

To młodzieńcy szukający wtajemniczenia zbierają się w drogę — objaśnił stary przewodnik po świątyni. — Każdy orszak ma swojego przewodnika, niosącego pochodnię. Pójdziemy za nimi.

Wędrowcy spotykali orszaki, wychodzące z zarośli i udające się w drogę. Nasampierw dostrzegli przechodzących *wtajemniczonych młodego Bachusa*, młodzieńców, odzianych w długie tuniki z cienkiej tkaniny nicianej i uwieńczonych bluszczem. W rękach mieli oni czary z drzewa cyzelowanego, symbole czaru życia. Za nimi kroczyły drużyny młodych ludzi silnych i dumnych. Byli to *młodzi wtajemniczeni walczącego Herkulesa*; w krótkich tunikach, z gołemi nogami, ze skórą lwa przepasaną przez plecy i biodra, z wieńcami liści oliwkowych na

głowie. Dalej szli *wtajemniczeni rozdartego Bachusa*, ze skórą przegowatej pantery zarzuconą dokoła ciała, z przepaskami purpurowymi we włosach, z laską owitą bluszczem i winnym liściem w rękę.

Mijając jedną z pieczar, ujrzeli rozciągniętych krzyżem na ziemi *młodych wtajemniczonych Aidonisa i Erosa podziemnego*. Byli to ludzie, oplakujący śmierć krewnych lub przyjaciół. Śpiewali oni cichym głosem: „Aidonisiel Aidonisiel zwróć nam tych, których nam zabrałeś lub też zstąpić nam pozwól do królestwa twójego!” Wiatr wpadał do pieczary i zdawał się wwiercać w nią z jęklwym śmiechem ponurym. Nagle jeden z młodych wtajemniczonych zwrócił się do ucznia z Delf i rzekł: „Przekroczyłeś próg Aidonisa; nie ujrzysz już wlecej światła żywych“. Inny musnął go w przejściu i szepnął mu do ucha: „Cieniu, staniesz się ofiarą cienia; ty, który przybywasz z królestwa Nocy, powróć do Erebul“ — i uciekł pędem. Lęk zmroził ucznia z Delf. Szepnął więc przewodnikowi swojemu: „Cóż to ma znaczyć?“ Sługa świątyni zdawał się nie słyszeć nic, rzekł bowiem spokojnie: „Należy przejść przez most. Nikt nie ujdzie swojemu przeznaczeniu“.

Przeszliśmy przez most drewniany, przerzucony przez rzekę Peneus.

— Zkąd — spytał neofita — idą te głosy żalosalne i ten śpiew jęklwy?

— Kto są te cienie białe, snujące się długimi szeregami pod drzewami topoli?

— To niewiasty, które mają zostać wtajemniczone w misterja Djonizosa.

— Czy znasz ich imiona?

— Nikt tutaj nie zna imion osób i każdy zatracal pamięć własnego imienia. Podobnie bowiem, jak u wnijsćia w obręb miejsca uświęconego zdejmują i pozostawiają



młodzi wtajemniczeni swoją odzież zbrukaną, aby wykapać się w strumieniu i przywdziać czyste szaty Iniane, tak samo każdy pozbywa się imienia własnego i przybiera obce. Na siedem dni i siedem nocy przeistacza się każdy z nich i przechodzi do innego życia. Patrz na te szeregi kobiet. Nie są one ugrupowane podług rodzin ich ani ich krajów rodzinnych, ale zależnie od Boga, który daje im natchnienie.

Ujrzeni pochod młodych dziewcząt z wieńcami narcyzów na głowach, w faldzistych szatach (*peplos*) lazurowych; przewodnik nazwał je *nimfami*, *towarzyszkami Persefony*. Nosily one skrzyneczki, urny, wazy ofiarne. Po nich szły w szatach czerwonych *kochanki mistyczne*, *małżonki palające miłością* i *poszukiwaczki Afrodyty*. Znikły one w głębi lasu czarnego, z kąd niebawem rozległy się wołania gwałtowne zmieszane z łkaniami omdlewającymi. Zwolna wszakże ucichły. Po nich rozległ się z ciemnego gaju mirtowego chór namiętny i strzelił w niebo falami przeciągłymi: „O, Erosiel zraniłeś nas! O, Afrodytol zmiądzzyłaś członki nasze! Okryłyśmy piersi skórą jelonka, lecz w głębi łona krwawi się nam szkarłat ran naszych. Serca nasze są jak zarzewie pożerające. Inni z nędzy umierają, a nas trawi miłość. Pochłoń nas Erosie, O, Erosiel pochłoń nas, lub nas wyzwól, Djonizosiel Djonizosiel!”

Nadchodziło inne poselstwo. Niewiasty orszaku tego odziane były w szaty z wełny czarnej z długimi, wlokąciami się za nimi, welonami i wszystkie pogrążone były w wielkiej jakiejś żalobie. Przewodnik wymienił nazwę ich: *placzkami Persefony*. W miejscu tem wznosił się wielki grobowiec owity bluszczem. Uklękły dokoła niego, rozpuściły włosy i zawodzić zaczęły głośno. Na strofę pożądania odpowiada antistrofa bólu. „Persefono — wołały — umarłaś, porwana przez Aïdonisa; zstąpiłaś do państwa umarłych. Ale my, oplakujące ukochanego, jesteśmy ży-

wymi trupami. Oby nie odżył dzień. Oby ziemia, która pokrywa cię, o wielka bogini! dała nam sen wieczny i oby cienie nasze błąkały się, tuląc w objęciach cień ukochany! Wysłuchaj błagań naszych, Persefonol O, Persefonol!"

W obliczu tych scen dziwnych, pod wrażeniem udzielającego się szalu tych cierpień głębokich, ogarnęło ucznia z Delf tysiące uczuć sprzecznych i dręczących. Nie był już samym sobą; pożądania, myśli, udreki wszystkich tych istot stały się jego pożądaniem, jego udrekiem. Dusza jego rwała się na cząstki, aby wejść do tysięcy ciał. Przenikał go lęk śmiertelny.

Nie wiedział już, czy jest człowiekiem czy cieniem.

W tej chwili jeden z wtajemniczonych, wzrostu słusznego, przechodzący mimo, stanął i rzekł: „Pokój cieniem zasmuconym! Kobiety cierpiące, dążcie do światła Djonizosa. Orfeusz na was czeka“.

Otoczyły go wszystkie w milczeniu, rozsypując przed nim listki swoich wieńców ze złotogłowiu — a on, owity bluszczem, laską swoją wskazał im drogę. Kobiety poszły czerpać czarami drewnianymi wodę ze strumienia i pić ją. Orszaki utworzyły się ponownie i ruszyły w dalszą drogę. Młode dziewczęta poszły naprzód, śpiewając tren żałobny, którego każda strofa taka kończyła się zwrotką: „Potrząsajcie makil Pijcie wody Letejskiej! Daj nam kwiat upragniony. Niech zakwitnie znów narcyz dla siostr naszych! Persefonol Persefonol!“

Uczeń długo jeszcze szedł z przewodnikiem swoim. Szedł łąkami, na których rosło ziele złotogłowiu; szedł pod cieniem topoli szemrzących smutnie. Słyszał śpiewy ponure, ulatujące w powietrzu i rozbrzmiewające niewiadomo skąd. Widział, zawieszane na drzewach, larwy straszliwe i figurki z wosku niby dzieci spowite. Tu i owdzie



przepływały rzekę łódzie, pełne ludzi milczących jak gdyby umarłych. Wreszcie rozszerzyła się dolina, niebo rozjaśniało się i zabłyśła jutrzienka. Zdała zarysowywały się ciemne przełęczce Ossy, poradlone przepaściami, w których piętrzą się zwaliska skał. Bliżej, w pośrodku koliska gór, jaśniała na zazielenionym pagórku świątynia Djonizosa.

Słońce złociło już szczyty najwyższe. W miarę zbliżania się do świątyni widzieli nadchodzące ze wszystkich stron orszaki młodych mystów<sup>1)</sup>, poselstwa kobiet, grupy wtajemniczonych. Tłum ten, na pozór pełen powagi uroczystej, wstrząsany wszakże wewnątrz dreszczem oczekiwania, zgromadził się u stóp pagórka i piąć się zaczął ku wejściu do świątyni. Wszyscy pozdrawiali się jak przyjaciele, potrząsając na znak powitania gałązkami i swojemi, owitemi bluszczem, laskami. Przewodnik znikł; uczeń z Delf znalazł się, sam nie wiedział w jaki sposób, w grupie wtajemniczonych, których włosy dziwnie jaśniały, przetkane wieńcami i różnokolorowemi opaskami. Nigdy ich nie widział, zdawało mu się wszakże, iż poznaje ich we wspomnieniu pełnem błogości. I oni też zdawali się oczekiwać go. Pozdrawiali go bowiem jak brata i winszowali mu szczęśliwego przybycia. Pociągnięty przez grupę swoją i jak gdyby uniesiony na skrzydłach, wspiął się aż do najwyższych stopni świątyni kiedy nagle olśnił oczy jego błysk jasności oślepiającej. Było to słońce wschodzące, które rzucało snop promieni na dolinę, zalewając światłem swoim olśniewającym ten tłum mystów i starszych wtajemniczonych, zgrupowany na stopniach, wiodących do świątyni, rozsypany na całym pagórku.

---

*Myst* — młody wtajemniczony, stawiający pierwsze dopiero kroki na drodze do osiągnięcia pełnego wtajemniczenia. (Przyp. tłum.)

W tej samej chwili zaintonował chór pierwszą zwrotkę peanu<sup>1)</sup>. Ciężkie, z brązu wykute wrota świątyni same rozwarły się i, w otoczeniu Hermesa i służebnika niosącego pochodnię, ukazał się Orfeusz. Uczeń z Delf poznał go z drżeniem radosnem. Odziany w purpurę, z lirą ze złota i kości słoniowej w rękę, promienny młodością wiekuią, przemówił Orfeusz:

„Witajcie, wy wszyscy, którzy przybyliście tutaj, aby odrodzić się po cierpieniach ziemskich i którzy odradzacie się teraz. Chodźcie upoić się światłem świątyni, wy, którzy wychodzicie z mroku; mysci, niewiasty, wtajemniczeni. Chodźcie radować się, wy, którzyście cierpieli; chodźcie spocząć, wy którzy staczaliście walki. Słońce, które wzywam, aby jaśniało nad głowami waszemi i które będzie błyszczalo w duszach waszych, nie jest słońcem śmiertelnych; to czyste światło Djonizosa, wielkie słońce wtajemniczonych. Przebytemi cierpieniami waszemi, wysiłkiem, który was tu przywiódł, zwyciężycie, a jeśli wierzycie w słowa boskie, już zwyciężyliście. Bowiem po długiem kołowaniu w bytach mrocznych wyjdziecie narzeczcie z bolesnego kręgu pokoleń i odnajdziecie się wszyscy, jako jedno ciało, jako jedna dusza, w światłości Djonizosa!”

„Iskra boża, która wskazuje nam drogę na ziemi, jest w nas; pochodnią staje się ona świątyni, gwiazdą na niebie. Tak potężnieje światło Prawdy! Słuchajcie drgań Liry siedmiostronnej, liry Boga.. Wprawia ona w ruch świąty... Słuchajcie baczenie! niech dźwięk was przenika... a rozewrą się głębiny niebios!

Pomoc słabym, pociecha cierpiącym, nadzieja dla wszystkich. Lecz biada złym! biada gwałcicielom świętości.

---

<sup>1)</sup> *pean* — hymn grecki na cześć bogów, zwłaszcza w kulcie Apollona. (przyp. tłum.).



Srodze zostaną ukarañi. Bowiem w upojeniu Tajnikami každy przejrzeć mo¿e do dna duszê innego. Zlych powala wówczas groza; gwałcicieli druzgoce śmierć.

„A teraz, kiedy Djonizos posiał ju¿ blaski swoje nad wami, wzywam Erosa boskiego i wszechmocnego. Niech będle on w miłości waszej, w waszym smutku, w radościach waszych. Kochajcie, albowiem wszystko kocha,—Demoni otchłani i Bogowie Eteru. Kochajcie albowiem wszystko kocha. Lecz kochajcie swiatło a nie mroki. Pamiętajcie o celu podczas wędrówki. Dusze, powracające do swiatła, noszą na ciele swem gwiezdne, niby plamy potworne piętna wszystkich błędów swojego życia. Aby oczyścić się ze skaz tych, muszą odbyć pokutę i powrócić na ziemię.. Czyści natomiast i silni ulatują ku słońcu Djonizosa.

„A teraz wzniescie okrzyk: Ewohel!“<sup>1)</sup>

---

1) Okrzyk „Ewohel”, wymawiany w rzeczywistości jako: *He, Vau, He*, — był okrzykiem świętym wszystkich wtajemniczonych Egiptu, Judei, Fenicji, Azji Mniejszej i Grecji. Cztery głoski święte, wymówione jak należy: *Jod—He—Vau—He*— oznaczały Boga w jego zlanii się wiekuistym z Naturą; obejmowały całokształt Bytu, żywy Wszechświat. *Jod* (Ozyrys) oznaczał bóstwo właściwe, intelekt twórczy żywioł *Wiekuiście męski*, który jest we wszystkim, wszędzie i po nad wszystkim. *He—Vau—He*—wyobrażało żywioł *wiekuiście żeński*, Ewę, Izydę, Naturę we wszystkich postaciach widomych i niewidzialnych, przezeń zapłodnionych. Najwyższe wtajemniczenie w nauki teogoniczne i sztuki teurgiczne odpowiadało głosce *Jod*. Inny dział nauk odpowiadał ka¿dej z głosek wyrazu *Ewa*. — Podobnie jak Mojżesz, zachował i Orfeusz nauki, wyobrazone przez głoskę *Jod* (Jowisz, Zeus, Jupiter) oraz ideę jedności Boga dla wtajemniczonych pierwszego rzędu, usiłując zarazem wzbudzić w narodzie zainteresowanie dla tych spraw poezją, sztukami oraz żywymi ich symbolami. Dlatego te¿ okrzyk „Ewohe” otwarcie był głoszony na uroczystościach Djonizyjskich, na których dopuszczano do misterjów, poza wtajemniczonymi i początkujących te¿ adeptów.

— Ewohe! — krzyknęli Heroldowie w czterech rogach świątyni. — Ewohe! i zadźwięczały cymbały. — Ewohe! rozbrzmiał w odpowiedzi okrzyk entuzjastyczny zgromadzenia, zgrupowanego na stopniach świątyni. I okrzyk na chwałę Djonizosa, święte wezwanie do odrodzenia, do życia, gruchnęły po dolinie, tryskając z tysięcy piersi, powtórzone przez wszystkie echa górskie. I Pasterze z dzikich przełęczy Ossy, zawieszeni wraz ze stadami swojemi wzdłuż lasów, tuż pod chmurami, krzyknęli: Ewohe!

---

Na tem polega cała różnica pomiędzy dziełem Mojżesza a dziełem Orfeusza. I jeden i drugi wzięli za punkt wyjścia wtajemniczenie egipskie i posiadli tę samą prawdę, stosując ją wszakże w sposób odmienny. Mojżesz ostro, zazdrośnie słał Ojca, Boga męskiego. Powierzył pieczę nad nim zamkniętej kaście kapłańskiej i poddał lud dyscyplinie nieubłaganej, pozbawiwszy go wszakże objawienia. Orfeusz w boskim upojeniu żywiołem wiekuiście żeńskim, Naturą, słał ją imieniem Boga, który ją przetrzaska i którego wytryśnięcia w ludzkości boskiej pożądał. I oto dlaczego okrzyk: „Ewohe!“ stał się okrzykiem świętym we wszystkich misterjach greckich.



IV  
WYWOŁYWANIE DUCHÓW

Uroczystość przemknęła jak sen; nadszedł wieczór. Echa tańców, śpiewów i modlitw rozwiały się we mgle różanej. Orfeusz i uczeń jego zeszli przejściem podziemnym do świętej krypty, dotępanej jedynie dla hierofanty i ciągnącej się aż w głąb góry. Tam właśnie oddawał się wtajemniczony przez Bogów rozmyślaniom samotnym lub też poświęcał się wraz z adeptami wysokim zadaniom magji i teurgji, czyli sztuki wywoływania duchów.

Dokoła nich ciągnęła się rozległa przestrzeń i wyboista. Dwie białe w ziemię pochodnie słabo oświetlały popękane mury i mroczne głąbie. O kilka kroków od nich rozwierała się w ziemi głęboka czarna rozpadlina; wydostawał się z niej powiew ciepły, a sama rozpadlina zdawała się sięgać aż do wnętrza ziemi. Mały ołtarz, na którym płonął ogień wzniecony z sutych gałęzi lauru, a także sfinks porfirowy stali na straży granic krypty. Wdali, na wyżynie niespółmiernej, widoczne było przez skośną szczelinę niebo usiane gwiazdami. Ten biały promyk światła niebieskawego wydawał się okiem firmamentu, zagląającym do wnętrza przepaści.

— Piłeś ze źródła świętej jasności — rzekł Orfeusz, wszedłeś ze sercem czystym do łona tajników. Nadeszła godzina uroczysta, w której przenikniesz za moim przewodem do źródeł życia i światła. Ci, którzy nie uchylili gęstej zasłony, kryjącej przed oczyma ludzkimi cuda niewidzialne, nie stali się synami Bogów.

— Słuchaj więc prawd, które przemilczeć należy przed tłumem, a które stanowią siłę świątyni.

— *Bóg* jest jeden, zawsze jednako niezmienny. Króluje on wszędzie. *Bogów* natomiast jest moc niezliczona i są oni różni, bowiem wiekuistą i nieskończoną jest boskość. Najwięksi są duszami ciał niebieskich.

Słońca, gwiazdy, ziemie i księżyce, każde ciało niebieskie ma własną swoją duszę, a źródłem wszystkich jest ogień niebiański Zeusa i światło pierwotne. Połświadczone, niedostępne niezmiennie rządzą one wszechświatem obrotami swojemi regularnemi. Każde z tych wirujących ciał niebieskich wciąga do sfery swojej eterowej zastępy półbożków czy dusz promiennych, co ludźmi niegdyś były, a, po zstąpieniu po szczeblach królestwa natury, z chwałą przebyły cykle istnień, aby wyjść wreszcie z kręgu pokoleń. Za pośrednictwem tych duchów boskich Bóg oddycha, działa i objawia się; co mówię? są one tchnieniem jego duszy żywej, promieniami jego świadomości wiekuistej; rządzą one zastępami duchów niższych, kierujących żywiołami; rządzą światami. Zdała i zbliżka są dokoła nas, a chociaż z istoty swojej nieśmiertelne, przybierają zmienne wciąż kształty, zależnie od narodów, czasów i stref. Bezbożnik, który przeczy ich istnieniu, lęka się ich; pobożny wielbi je, nie znając ich; Wtajemniczony zna je, przyciąga i widzi. Jeśli walczyłem, aby je znaleźć, jeśli stawilem czoło śmierci, jeśli—jak mówię — zstąpiłem do piekieł, uczynilem to celem pokonania demonów przepaści, wezwania Bogów z wyżyn niebieskich,



aby czuwali nad moją Grecją ukochaną, aby Niebo głębokie zjednoczyło się z ziemią i aby ziemia oczarowana słuchała głosów boskich. Piękno niebios wcieli się w ciało niewieście, ogień Zeusa krążyć będzie we krwi bohaterów. Zanim jeszcze powrócą do gwiazd, jaśnieć będą synowie Bogów jako Nieśmiertelni.

„Czy wiesz, czym jest Lira Orfeusza? Dźwiękiem świątyń natchnionych. Strunami ich są Bogowie. Muzyka ich nastroi Grecję, jak lirę, i marmur nawet śpiewać będzie rytmiką wspaniałą, harmonjami niebiańskimi.

„A teraz wezwę *moich* Bogów, aby jako żywi objawili się tobie i aby ukazali ci w widzeniu proroczym mlstycznego Hymeneusza<sup>1)</sup> którego przygotowuję światu i którego ujrzą moi wtajemniczeni.

„Legnij pod osłoną tej skały. Nie lękaj się niczego. Sen czarodziejski zawrze twoje powieki, drzeć będziesz zrazu i widzieć rzeczy przerażające; ale potem muzyka czarowna, błogość nieznana pochłonie zmysły twoje i istotność twoją całą“.

Uczeń wtulił się w niszę, wykutą w skale w kształcie łoża. Orfeusz rzucił garść wonności na ogień ołtarza. Poczem, ujmując w dłonie berło swoje hebanowe, na którego rękojeści umieszczony był Iskrzący się kryształ, stanął tuż przy sfinksie i wołając głosem głębokim, rozpoczął wezwanie:

„Cybelo! Cybelo! Wielka macierzy, wysłuchaj mnie! Światło pierwotne, płomieniu chyży, lotny i mknący wlekuiście po przez przestworza, ty, który zawierasz w sobie oddźwięki i obrazy wszechrzeczy! Wzywam rumaki twoje światłem połyskujące. O, duszo wszechświata, ryjąca przepaście, siejąca słońca, ciągnąca za sobą w Eterze twój płaszcz gwiazdzisty; światło subtelne, ukryte,

<sup>1)</sup> *Hymeneusz* — u starożytnych bóg związków małżeńskich.

niewidzialne dla oczu cielesnych; wielka matko Światów i Bogów, ty, która mieścisz w sobie kształty wiekuiste! zejść do mnie, zejść do mnie, Cybelo odwieczna! Moim paktem czaredziejskim, moim paktem z Potęgami, na duszę Eurydyki!... wzywam cię, małżonko wielokształtna, uległa i drgająca w ogniu wiekuistej Męskości. Z wyżyn przestworzy, z głębin przepaści, ze wszech stron, przybądź, spłyń, wypełnij falami twojemi tę pieczę. Otocz syna Misterjów szanćcem djamentowym i ukaż mu w łonie twojem głębokiem Duchy Przepaści, Ziemi i Nieba“.

Zaledwie wypowiedział słowa te, gdy grzmot podziemny wstrząsnął głębinę przepaści i zadrżała góra cała. Złmny pot zmroził ciało ucznia. Widział Orfeusza już tylko przez opar gęstniejący. Przez chwilę walczyć usiłował z potęgą olbrzymią, która go miażdżyła. Lecz mózg jego został zalany, wola unicestwiona. Opanowała go śmiertelna trwoga tonącego, którego płuca zalewa woda i którego zachłyśnięcie się straszliwe chłonie w mrokach bezpamięci.

Kiedy odzyskał świadomość, otaczała go noc głucha, panująca dokoła, noc, przez którą prześlizgiwał się żółtawy półcień bródno-szary. Patrzył długo, nie widząc nic. Od czasu do czasu czuł, że ciało jego muskały w przeclocie nietoperze niewidzialne. Wreszcie dojrzał w mroku niejasne zarysy poruszających się centaurów, hydr, gorgon. Pierwszą wszakże istotą, którą ujrzał wyraźnie, była wielka postać niewiasty, siedzącej na tronie. Optywała ją długa, ciemno-fałdzista, posępna zasłona, usiana gasnącemi gwiazdami, głowę jej wieńczył splot maków. Jej szeroko otwarte źrenice czuwały nieruchomie. Mnóstwo cieni ludzkich migają dokoła niej niby ptaki znużone i szepotały półgłosem: „Królowo zmarłych, duszo ziemi, Persefon! Jesteśmy córami nieba. Czemu rzucono nas na wygnanie do posępnego królestwa? O, żniwiarko niebios,



czemu ścieraś dusze nasze, fruujące ongi i szczęśliwe  
w światłościach, wpośród siostrzyc swoich, wśród pól eteru?

A na to Persefona:—Zerwałam narcyz, wstąpiłam do  
łoża małżeńskiego. Wypiłam śmierć z życiem. Jak wy,  
jęczę w mrokach.

— Kiedyż będziemy wyzwolone? — jęknęły dusze.

— Kiedy przyjdzie mój oblubieniec niebieski, boski  
wzbawiciel—odrzekła Persefona.

Nagle ukazały się straszliwe zjawy niewieście. Oczy  
ich krwią były nabiegłe, ich głowy wieńczyły rośliny tru-  
jące. Dokoła ramion ich, dokoła ich półnagich ciał wity  
się węże, któremi posługiwały się nakształt biczów: „Du-  
sze, widziadła, mary!—syczały—nie wierzcie szalonej kró-  
lowej zmarłych. Jesteśmy kapłankami życia mrocznego,  
służebnicami żywiołów, potworami głębin, Bachantkami  
ziemskimi. Furjami piekielnymi. To my jesteśmy wa-  
szymi władczyniami wiekuistemi, o, dusze nieszczęsne!  
Nie wyjdziecie z przeklętego kręgu pokoleń, wtłoczemy  
was w nie przemocą, biczami naszymi. Wjście się wie-  
kuicie w syczących pierścieniach węzów naszych, w wię-  
zach żądź, nienawiści i żalu“. — Mówiąc to, rzuciły się  
z włosem rozwianem na gromadę grozą zdjętych dusz,  
które wirować zaczęły w kołowrocie zeschniętych liści, wy-  
dając jęki przeciągłe.

Na widok ten zbladła Persefona; zdawała się już  
tylko zjawą księżycową. Szepnęła:—Niebo... światło... bo-  
gowie... rojenie sennel... Sen, sen wieczny. — Jej wieniec  
z maków zwiadł; oczy jej zawarł lęk. Królowa zmarłych  
wpadła w sen letargiczny, siedząc na tronie — poczem  
znikło wszystko w mrokach.—

...Zmieniło się widzenie. Uczeń z Delf znalazł się  
wpośród wspaniałej doliny zieleniejącej. W głębi wznosił

się Olimp. Przed otworem czarnej pieczary drzemała na łożu z kwiatów piękna Persefona. Wieniec z narcyzów — zamiast poprzednich maków posepnych — stroił teraz jej głowę, jutrzeńka odradzającego się życia różowiła policzki jej odcieniem rajskim. Ciemne jej warkoczki opadały na śnieżnej białości ramiona, a lekko wzniesione róże jej łona wzywać się zdawały pieśzczoły wiatrów. Na łące płały nimfy. Małe obłoczki białe płynęły po lazurze nieba. Ze świątyni rozbrzmiewały dźwięki liry....

W jej głosie złotym, w jej rytmach świętych słyszał uczeń harmonję wewnętrzną wszechrzeczy. Bowiem słodka jakaś muzyka bezcielesna płynęła z liści wszystkich, z fal, z pieczar; do uszu jego dolatywały rytmami urywanemi dalekie głosy kobiet wtajemniczonych, śpiewających hymny chóralne w górach. Jedne, jak gdyby oszalałe z trwogi, wzywały Boga; inne zdawały się dostrzegać go, padając na skraju lasów, napoty martwe ze znużenia. Wreszcie rozwarły się u zenitu lazury, a z głębin ich wyłonił się obłok olśniewający. Jak ptak, co buja przez chwilę w przestworzu, a potem spada na ziemię, zstąpił z obłoku Bóg, dzierżący laskę owitą bluszczem i stanął przed Persefoną. Promienny był, włos miał rozwiany; w oczach jego jaśniało święte upojenie przecuciem światów, które mają się narodzić. Laska boża dotknęła jej łona; uśmiech wykwitł na jej obliczu. Dotknął czoła jej; rozwarła oczy, podniosła się zwolna i spojrzała na małżonka swego. Oczy jej, pełne jeszcze senności Erebu, rozjaśniły się i błyszczyć zaczęły jak dwie gwiazdy. —

— Czy poznajesz mnie? rzekł Bóg.

— O, Djonizosiel zawołała Persefona, Duchu boski, słowo Jupitera, Światło niebiańskie, jaśniejące w postaci człowieka! ilekroć mnie budzisz, zdaje mi się, że budzę się do życia po raz pierwszy; światy wskrzesają w mojej



pamięci, przeszłość i przyszłość stają się nieśmiertelną terażniejszością; czuję promieniejący w sercu moim wszechświat.

Ponad górami ukazali się równocześnie na kra-  
wędzi obłoków srebrzystych Bogowie zaciekawieni i po-  
chyleni ku ziemi.

W dole grupy mężczyzn, kobiet i dzieci, wychodzą-  
cych z dolin i pieczar wpatrywały się w zachwycie nie-  
biańskim w oblicza Nieśmiertelnych. Hymny płomienne  
ulaływały ze świątyń w dymach kadzidlanych. Pomiedzy  
ziemią a niebem odbyć się miały jedne z zaślubin owych,  
po których poczynały matki bohaterów i Bogów.

Zaróżowił się już krajobraz cały; już królowa zmar-  
łych, która stała się znów boską żniwiarką, wlatywała  
w objęciach swego małżonka ku niebu. Otoczył ich obłok  
purpurowy i wargi Djonizosa spoczęły na ustach Persefony...

Potężny okrzyk miłości rozdarł ziemię i niebo, jak  
gdyby święty dreszcz Bogów, trącając wielką lire, zerwać  
chciał wszystkie jej struny, rozsypać dźwięki jej nawszy-  
stkie strony świata. W tej samej chwili trysnął z boskiej  
pary błysk olśniewający, huragan oślepiającego światła...  
nagle wszystko znikło.

Kiedy odzyskał znów czucie cielesne, pogrążony  
był w odmęcie nocy czarnej. Na tle mrocznych głębin ja-  
śniała jedynie lira promienna. Znikała ona, znikała, aż  
wreszcie stała się gwiazdą. Wówczas dopiero spostrzegł  
uczeń, że był w krypcie wywoływań i że tym punktem  
świetlnym była daleka szczelina pieczary, ukazująca hen  
w górze firmament.

Obok niego stał cień wielki. Poznał w nim Orfeusza  
po długich lokach jego i po kryształach, iskrzącym się w re-  
kojeści jego berła.

— Skąd wracasz, synu z Delf? zapytał hierofanta.

— O, mistrzu wtajemniczonych, czarodzieju niebiański, cudowny Orfeuszu, boski miałem sen. Miałżeby to być czar magji, dar Bogów? Co się stało? Czy zmienił się świat? Gdzie jestem teraz?

— Zdobyłeś szczyt najwyższy wtajemniczenia i we śnie widziałeś ziszczenie marzenia mojego: nieśmiertelną Grecję! Lecz wyjdźmy stąd, bowiem, aby spełniło się marzenie to, stać się musi, abym ja umarł, a ty, abyś żył.



V  
ŚMIERĆ ORFEUSZA

Lasy dębowe na zboczach góry Kaukaionu ryczały miotane burzą; nagie skały rozgrzmiewały zgrzytami gromu ze siłą zdwojoną i wstrząsały podwalinami świątyni Jupitera. Kapłani Zeusa zgromadzili się w sklepionej krypcie sanktuarjum. Siedząc na ławach z bronzu, tworzyli półkole. Orfeusz stał wpośrodku niby oskarżony. Bledszy był niż zazwyczaj; jedynie w oczach jego spokojnych gorzał głęboki płomień.

Najstarszy z kapłanów przemówił surowym głosem sędziego:

— Orfeuszu, ty, o którym mówią, że masz być synem Apollona, mianowaliśmy cię arcykapłanem i królem, daliśmy ci berło mistyczne syna Bożego; sprawujesz nad Tracją władzę kapłańską i królewską. Wzniosłeś w tej okolicy świątynie Jupitera i Apollona, sprawiłeś, że jaśniało w nocy misterjów boskie słońce Djonizosa. Czy wiadomo ci wszakże, co nam zagraża? Ty, któremu znane są tajemnice straszliwe, ty, który niejednokrotnie przepowiadałeś nam przyszłość; ty, który z odległości przemawiałeś do uczniów twoich, ukazując się im we śnie, nie—wiesz, co się dzieje dokoła ciebie. Pod nieobecność twoją zebrały się w dolinie Hekaty dzikie Bachantki, kapłanki przeklęte. Pod przewodem Aglaoniki, czarnoksiężniczki

z Tessalji, udało im się przekonać wodzów z nad wybrzeży Ebru, aby przywrócili kult Hekaty posepnej; grożą zniszczeniem świątyń Bogów męskich i wszystkich ołtarzy Najwyższego. Podnieceni ich mową płomienną, prowadzeni przez ich pochodnie podpalające, obozują wojownicy tracyjscy u stóp tej góry i jutro oblegną świątynię, pobudzani oddechem tych niewiast, odzianych w skóry panter, żądnych krwi samczej. Wiedzie ich Aглаonika, kapłanka Hekaty posepnej; to najstraszliwsza z czarownic, nieubłagana i wściekła jak Furja. Musisz znać ją! Co powiesz o niej?

— Wiedziałem o tem wszystkim — rzekł Orfeusz, — wszystko to musiało się stać.

— Czemu więc nie uczyniłeś nic, aby nas obronić? Aглаonika przysięgła, że powyrzyna nas przy ołtarzach naszych, w obliczu nieba żywego, które wielbimy. Cóż wszakże stanie się z tą świątynią, z jej skarbami, z nauką twoją, z samym Zeusem nawet, jeśli go opuścisz?

— Czyż nie jestem z wami? zapytał Orfeusz łagodnie.

— Przybyłeś, lecz zbyt późno—odparł starzec. Aглаonika prowadzi Bachantki, a Bachantki prowadzą Traków. Czy odeprzesz ich gromem Jowisza i strzałami Apollona? Czemu nie wezwałeś na obronę tego miejsca świętego wodzów trackich, wiernych Zeusowi, aby dopomogli nam zgnieść bunt?

— Nie orężem bronić należy Bogów, lecz słowem. Nie na wodzów uderzyć trzeba, lecz na Bachantki. Pójdę; ja, sam jeden. Bądźcie spokojni. Nikt z profanów nie przestąpi progu tego. Jutro skończy się panowanie krwawych kapłanek. A wiedźcie o tem, wy, którzy drżycie wobec hord Hekaty, że zwyciężą słoneczni Bogowie niebiescy. Tobie, starcze, który zwątpiłeś o mnie, pozostawiam berło kapłana i wieniec hierofanty.



— Co czynić zamierzasz? — zawołał starzec prze-  
rażony.

— Połączę się z Bogami... Do zobaczenia z wami  
wszystkimi! I poszedł Orfeusz, pozostawiając kapłanów  
osłupiałych na ich ławach. W świątyni zastał ucznia  
z Delf, ujmując go więc silnie za rękę, rzekł:

— Idę do obozu Traków; chodź ze mną.

Poszli drogą wśród dębów; burza odeszła daleko;  
po przez gąszcze gałęzi migotały światła gwiazd.

— Wybiła dla mnie godzina ostatnia—rzekł Orfeusz—  
Inni rozumieli mnie, ty zaś mnie kochałeś. Eros jest naj-  
starszym z Bogów, mówią wtajemniczeni; dzierży on klucz  
wszystkich bytów. Dlatego też pozwoliłem ci dotrzeć do  
głębi Tajników; Bogowie przemówili do ciebie, oglądałeś  
ich... Teraz, zdała od ludzi, sam na sam z mistem, musi  
Orfeusz pozostawić ukochanemu uczniowi godło przyna-  
czenia swojego, nieśmiertelne dziedzictwo, czystą pocho-  
dnię duszy swojej.

— Mistrzu! słucham i jestem posłuszny, — rzekł  
uczeń z Delf.

— Chodźmy dalej tą idącą w dół ścieżką — powie-  
dział Orfeusz. Czas nagli. Chcę zaskoczyć zniecka  
nieprzyjaciół moich. Idąc za mną, słuchaj słów moich;  
i wyryj je w pamięci, lecz zachowaj je tam jak taje-  
mnicę.

— Ryją się one ognistymi zgłoskami w sercu mojem;  
wiski nie wymażą ich zeń.

— Wiesz już teraz, że dusza jest córką nieba. Oglą-  
dałeś początek twój i twój koniec, i zaczynasz już przy-  
pominać sobie. Kiedy zstępuje ona w ciało, nie przestaje,  
jakkolwiek w słabym już stopniu, wchłaniać fluidu z góry.  
Tchnienie to potężne przenika nas nasamprzód przez  
matki nasze. Mleko ich łona żywi ciało nasze, lecz całą istotę  
naszą, którą dreczy dławiąca niewola ciała, żywi dusza ich.

Matka moja była kapłanką Apollona, moje pierwsze wspomnienia wyczarowują mi gaj święty, uroczystą świątynię, niewiastę, tulącą mnie do łona, spowijającą mnie miękką kaskadą włosów swoich, niby płaszczem ciepłym. Przedmioty ziemskie, twarze ludzkie przejmowały mnie strachem przeraźliwym. Matka moja tuliła mnie jednak zaraz w ramionach, patrzyłem w jej utkwione we mnie oczy i wzrok jej słał mi fale boskiego wspomnienia nieba. Promień ten zgasł jednak w ponurej szarzyźnie ziemi. Pewnego dnia matka moja znikła; umarła.. Pozbawiony jej spojrzenia, jej pieśczoł, przerażony byłem mojem osamotnieniem. Widok krwi ofiarnej, spływającej na ołtarze, wzbudził we mnie odrazę do świątyni, zeszedłem więc w mroczne doliny. „Bachantki oszołomiły młodość moją. Od owych czasów już panowała Aglaonika nad niewiastami temi lubieżnymi i okrutnymi. Wszyscy, mężczyźni i kobiety, bali się jej. Tchnęła ponurą żądzą i raziła grozą. Tessalijka ta wywierała na wszystkich, którzy się do niej zbliżali, urok fatalny; sztukami piekielnej Hekaty wciągała młode dziewczęta do doliny swojej, opętanej przez złe duchy i wtajemniczała je w arkana swego kultu. Ujrzawszy Eurydykę, zapalała do młodej dziewczyny żądzą przewrotną, miłością wyuzdaną, złowrogą. Zapragnęła wciągnąć ją do kultu Bachantek, ujarzmić ją, wydać ją na łup mocy piekielnych po skażeniu jej młodości. Oplątała ją już siecią uwodzicielskich obietnic, czarami swojemi nocnymi.

Pociągnięty niewytłomaczonym jakimś przeczuciem do doliny Hekaty, kroczyłem pewnego dnia łąką, gęsto porośłą wysokimi trawami i roślinami trującymi. Dookoła panowała groza ciemnych lasów, nawiedzanych przez Bachantki. Przepływały tu fale aromatów, niby gorące tchnienia żądz. Ujrzałem Eurydykę. Szła zwolna, w kierunku pieczary, której otwór czerniał zdala, jak gdyby



pociągał ją cel jakiś niedostrzegalny. Nie widziała mnie. Czasem dolatywał z lasu Bachantek śmiech lekki, czasem dziwne westchnienie. Eurydyka zatrzymywała się, drżąca, niepewna, poczem szła znów dalej, jak gdyby pociągnięta siłą jakąś czarodziejską. Złote jej loki splywały swobodnie na białe ramiona, jej oczy narcyzowe tonęły w upojenia, gdy szła tak ku wnijściu do Piekieł. Ujrzałem jednak niebo uśpione w jej spojrzeniu.—Eurydyko, zawołałem, ujmując jej rękę, — dokąd idziesz? Jak gdyby ze snu zbudzona, wydała okrzyk grozy i wyzwolenia, potem padła mi w ramiona. W owej chwili właśnie ujrzał nas Eros; jedno spojrzenie uczyniło z Eurydyki i Orfeusza małżonków na wieki.

Przytulona do mnie w przerażenie swoim, wskazała mi Eurydyka grotę gestem pełnym lęku. Zbliżywszy się, ujrzałem w niej siedzącą niewiastę. Była to Aglaonika. Tuż koło niej stał mały woskowy posążek Hekaty, pomalowany na czerwono, biało i czarno i trzymający w rękę bicz. Aglaonika szeptała wyrazy czarodziejskie, kręcąc czarodziejski kołowrotek, a oczy jej, wpatrzone w przestrzeń, zdawały się pożerać swoją ofiarę. Połamałem kołowrotek, podeptałem nogami posążek Hekaty i, wpięrając w czarownicę ostrę spojrzenie, zawołałem:—Na Jowiszal zabraniam ci myśleć o Eurydyce—pod karą śmierci! Wiedz bowiem, że synowie Apollona nie boją się ciebie.

— Zdumiona Aglaonika wiła się jak wąż pod gestem moim i znikła w pieczarze, ciskając mi spojrzenie pełne nienawiści śmiertelnej... Uprowadziłem Eurydykę do wrót mojej świątyni. Dziewice z Ebru, uwienieczone kwiatem hiacyntu, śpiewały dokoła nas: Hymen! Hymeneusz!... Zznałem pełni szczęścia!

Księżyc zdążył zmienić się trzy razy zaledwie, kiedy jedna z Bachantek, nasłana przez Tessalijkę, przy-

niosła Eurydyce czarę wina, która—jak mówiła—miała dać jej znajomość napojów i ziół czarnoksięskich. Zaciekawiona Eurydyka wypła wino i upadła, jak rażona grochem. Czara zawierała jad śmiertelny.

—Kiedy stos pochłonał w moich oczach małżonkę moją, kiedy mogła rozwarła się, aby ukryć w swoim wnętrzu jej popioły i kiedy znikł ślad ostatni żywych jej kształtów, zawołałem: — Gdzie jest dusza jej?

Zrozpaczony, opuściłem miejsce naszego szczęścia. Błagałem się po całej Grecji. Błagałem kapłanów Samotracji o wywołanie jej ducha; szukałem jej we wnętrzu ziemi, na przykładzie Tenaru; nadaremnie. Wreszcie przybyłem do jaskini Trofonjusza. Tam prowadzą kapłani śmiałych przybyszów przez szczelinę aż do jezior ognistych, wrących we wnętrzu ziemi, aby zobaczyć mogli, co się w nich dzieje. Podczas drogi, idąc wciąż i iść nieprzestając, wpada się w ekstazę i zyskuje dar jasnowidzenia. Zaledwie można oddychać, głos zamiera, mówi się już tylko znakami. Jedni cofają się z półdrogi, inni nie ustępują i umierają zduszeni; większość tych, którzy wychodzą żywi, dostaje obłędu.

— Po ujrzeniu tego, czego żadne usta nie powinny powtarzać, powróciłem do grotty i wpadłem w głęboki sen letargiczny. We śnie tym śmiertelnym ukazała mi się Eurydyka. Płynęła w poświacie, blada jak promień księżycy i rzekła: „Dla mnie nie uląkłeś się piekiel, szukałeś mnie wśród martwych. Oto jestem. Przybywam na twoje wezwanie. Miejscem zamieszkania mojego nie jest łono ziemi, lecz sfera Erebu, ostrokąć cienia pomiędzy ziemią a księżycem. Wiruję na tej krawędzi, płacząc jak ty. Jeśli chcesz wyzwolić mnie, zbaw Grecję, dając jej światło. Wówczas ja sama odzyskam skrzydła i uleczę ku gwiazdom, gdzie znajdziesz mnie w światłości Bogów.



Aż do czasu tego błąkać się muszę w kręgu mętным i bolesnym“...

— Po trzykroć chciałem pochwycić ją; trzy razy roz-  
wiała mi się w ramionach jak cień. Usłyszałem jedynie  
jak gdyby dźwięk zrywającej się struny; potem głos, słaby  
jak tchnienie, smutny jak pocałunek pożegnalny, szepnął:  
„Orfeuszul“

— Głos ten zbudził mnie. Imię to dane mi przez  
duszę, zmieniło całą moją istotę. Czulem przenikający  
mnie dreszcz święty bezmiernego pragnienia i potęgę  
miłości nadludzkiej. Eurydyka żywa dałaby mi upojenie  
szczęściem; martwej Eurydyce zawdzięczam odnalezienie  
Prawdy. Miłością wiedziony, przywdziałem szaty lniane,  
i poświęciłem się wielkiemu wtajemniczeniu i życiu asce-  
tycznemu; miłości zawdzięczam przeniknięcie magji i szu-  
kanie wiedzy boskiej. Miłość kazała mi przejść przez  
jaskinie Samotracji, przez podkopy Piramid i grobowce  
Egiptu. Badałem śmierć, aby znaleźć życie, a po za ży-  
ciem widziałem krawędzie gwiazd, dusze, sfery przejrzy-  
ste, Eter boski. Ziemia otwarła przedemną czeluście  
swoje, niebo—swoje świątynie gorejące. Wydarłem mu-  
mjom wiedzę ukrytą w ich sarkofagach. Kapłani Izidy  
i Ozyrysa wyjawili mi tajemnice swoje. Oni tych jedynie  
mieli Bogów; ja miałem Erosa! Dzięki niemu mówiłem,  
śpiewałem, zwyciężyłem. Dzięki niemu odcyfrowałem  
słowo Hermesa i słowo Zoroastra; dzięki niemu wypo-  
wiedziałem słowo Jupitera i Apollona“!

— Nadeszła wszakże godzina przypiecztowania mo-  
jego posłannictwa śmiercią moją. Raz jeszcze zstąpić  
muszę do piekieł, aby dostać się do nieba. Słuchaj,  
dziecię ukochane, słów moich: Zaniesiesz doktrynę moją  
do świątyni w Delfach, a przykazania moje sądowi Amfi-  
ktjońskiemu. Djonizos jest słońcem wtajemniczonych;

Apollon będzie światłem Grecji; związek Amfiktjoński — stróżem sprawiedliwości“<sup>1)</sup>).

Hierofanta i uczeń jego byli już u kresu doliny. Przed nimi otwierał się widok na polanę, na zwarte ściany ciemnych lasów, na namioty i na ludzi leżących na trawie; w głębi lasu widać było dogasające ognisko i migocące na wietrze pochodnie. Orfeusz kroczył spokojnie pośród uspiomych Traków, znużonych orgją całonocną. Czuwający wartownik zapytał o jego imię.

— Jestem posłannikiem Jupitera, wezwij starszyznę twoją, — odpowiedział Orfeusz.

— Kapłan świątyni!.. Okrzyk ten wartownika rozległ się jak sygnał alarmowy po całym obozie. Wszyscy zbroją się pospiesznie; przywołują się wzajem; połyskują miecze; starszyzna przybiega zdumiona i otacza arcykapłana.

— Ktoś ty? W jakim celu przybywasz?

— Jestem posłem świątyni. Wy wszyscy, królowie, wodzowie, wojownicy Tracji, wyrzeczcie się walki ze światłem i uznajcie boskość Jupitera i Apollona. Bogowie z niebios mówią do was przez usta moje. Przychodzę jako przyjaciel, jeśli usłuchacie mnie; jako sędzia — jeśli nie zechcecie mnie słuchać.

— Mów! — rzekła starszyzna.

Stojąc pod wielkim wiażem, zaczął Orfeusz mówić. Mówił o dobrodziejstwach Bogów, o uroku światła niebiańskiego, o życiu owem czystym, jakie wiódł tam w górze wraz z braćmi swoimi wtajemniczonymi pod okiem wielkiego Uranosa, jakie chciałby, aby było udziałem wszystkich ludzi. Przyobiecował uśmierzać rozterki,

<sup>1)</sup> *Amfiktjonja* — jako forma prawna zjednoczenia Hellady — powstała na gruncie konieczności bronienia świątyni. Bronili jej „mieszkający dokoła“ (*amfiktjonowie*). Amfiktjonji było wiele, najsłynniejsza z nich — delficka, dzięki której Delfy stały się ogniskiem Hellady. (Przyp. tłum.).



uzdrawlać chorych, uczyć, jakie nasiona rodzą najpiękniejsze owoce ziemskie oraz jakie, cenniejsze jeszcze, rodzą boskie owoce życia: radość, miłość, piękno. A kiedy mówił, głos jego poważny i słodki dźwięczał jak struny liry i sięgał coraz głębiej do dna serc Traków, poruszonych słowami jego. Z głębi lasów nadbiegły zacieka-kawione Bachantki z pochodniami w rękach, pociągnięte brzmieniem głosu ludzkiego. Z pod okrywających je skór pantery wyzierały brunatne ich piersi i obnażone kształty wspaniałe. Przy świetle pochodni nocnych połyskiwały oczy ich lubieżnością i okrucieństwem. Pod łagodzącym wszakże wpływem słów Orfeusza uspakajały się z wolna i, zgrupowane dokoła niego, usiadły u jego stóp, niby oswojone dzikie zwierzęta. Jedne, zdjęte wyrzutami sumienia, wbijały w ziemię wzrok ponury; inne słuchały jak oczarowane. Trakowie, wzruszeni również, szeptali: „To Bóg mówi, to sam Apollo rzuca czary na Bachantki“.

Z głębi lasu wszakże śledziła ich Aglaonika. Arcykapłanka Hekaty, widząc osłupiałych Traków i Bachantki opętane czarami silniejszemi nad jej własne, czuła zwycięstwo nieba nad piekłem, czuła, że pod urokiem słów boskiego czarodzieja władza jej przeklęta runie w mroki, z których wyszła. Rzucając się więc skokiem gwałtownym ku Orfeuszowi, ryknęła: „Bóg?!—powiadacie? A ja mówię wam, że to Orfeusz, człowiek taki sam jak wy, czarownik, który was oszukuje, tyran, który przywłaszczyć chce sobie wasze wawrzyny. Bóg? — mówicie — syn Apollona? On? kapłan? dumny hierofanta? Rzućcie się na niego! Jeśli jest Bogiem, niech się broni... a, jeśli ja kłamię, rozszarpcie mnie! Za Aglaoniką szło kilku wodzów, opętanych zlemi jej czarami i płonących zarzewiem jej nienawiści. Rzucili się na hierofantę. Orfeusz wydał ostry okrzyk i padł, przebity ostrzami ich mieczów. Wyciągnął rękę do ucznia swojego i rzekł:

— Umieram, ale Bogowie żyją!

Po tych słowach wyzionął ducha. Pochylona nad trupem jego czarownica Tessalijska, podobna teraz do Tysyfony, czyhała z dużą radością na ostatnie tchnienie proroka, szykując się do wyciągnięcia przepowiedni ze swojej ofiary.

Jakież było jednak przerażenie Tessalijki, kiedy nagle ujrzała, że ta głowa trupa ożywia się przy niepewnym błysku pochodni, że blade rumieniec wykwita na martwej twarzy, oczy rozwierają się szeroko i spojrzenie głębokie, łagodne, a zarazem straszne zwraca się ku niej, podczas gdy głos dziwny, głos Orfeusza ulatuje raz jeszcze z warg drżących, aby wymówić wyraźnie cztery melodyjne zgłoski mściciela:

— Eurydykol

Wobec tego spojrzenia, wobec głosu tego cofnęła się przerażona kapłanka, wołając: — On nie umarł! Będą mnie prześladowali! wiecnie! Orfeusz... Eurydyka!... Rzucając słowa te, znikła Aglonika, jak gdyby gnana przez furji tysiące. Przerażone Bachantki i Trakowie, zdjęci grozą popełnionej zbrodni, znikli w ciemnościach, wydając okrzyki rozpaczny.

Uczeń pozostał sam przy ciele mistrza. Kiedy ponury promień Hekaty oświetlił pokrławione szaty i bladą twarz wielkiego proroka, wydało się uczniowi jego, że dolina, rzeka, góry i lasy przepaściste jęły jak jedna wielka lira.

Ciało Orfeusza spalone zostało przez kapłanów jego a popioły przeniesione do odległej świątyni Apollona, gdzie oddawano im odtąd cześć boską. Żaden z buntowników nie odważył się pójść do świątyni Kaukaionu. Tradycja Orfeusza, jego nauka i jego misterja zostały tutaj utrzymane i rozeszły się stąd po wszystkich świątyniach Jupitera i Apollona. Poeci greccy utrzymywali, że Apollo stał się zazdrosnym o Orfeusza, ponieważ wzywano go



częściej niż jego. Prawdą było, że kiedy poeci opiewali Apollona, wzywali wielcy wtajemniczeni ducha Orfeusza, wybawiciela i wieszczą.

W następstwie Trakowie, nawróceni na religję Orfeusza, opowiadali, że zstąpił do piekieł, na poszukiwanie duszy małżonki swojej, że rozszarpały go tam Bachantki, zazdrosne o jego miłość wiecznietrwałą i że głowa jego, rzucona do Ebru i uniesiona burzliwemi jego falami, wołała wciąż jeszcze: Eurydyko! Eurydyko!

Trakowie opiewali zatem, jak proroka, tego, którego zamordowali jak zbrodniarza, a który śmiercią swoją nawrócił ich. Tak więc słowo orfickie wessało się w spóśób mistyczny w krew Hellady ukrytemi drogami świątyń i wtajemniczeń! Bogowie dostroili się do głosu jego, jak chór wtajemniczonych dostraja się w świątyni do dźwięków liry niewidzialnej. Dusza Orfeusza stała się duszą Grecji.

KSIĘGA SZÓSTA  
PYTAGORAS  
MISTERJA DELFICKIE



*Poznaj siebie samego — a poznasz  
Wszechświat i Bogów.*

*Napis na świątyni w Delfach.*

*Sen, Marzenie i Ekstaza są trzema  
wrotami, otwartymi na Zaświaty, skąd  
spływa na nas znajomość duszy i sztuki  
wieszczenia.*

*Ewolucja jest prawem Życia.  
Liczba jest prawem Wszechświata.  
Jedność jest prawem Boga.*

**D**usza Orfeusza przemknęła jak meteor boski po burzliwym niebie rodzącej się Grecji. Z chwilą zniknięcia jego zasnuły je ponownie mroki. Po szeregu rewolucji spalili tyrani Tracji jego księgi, obalili jego świątynie, wypędzili jego uczniów. Królowie greccy, a także wiele miast, bardziej dbających o wyuzdaną rozpustę swoją, aniżeli o sprawiedliwość, wypływającą z czystych doktryn, naśladowało ich. Chciano zatrzeć pamięć jego, zniszczyć ostatnie ślady po nim, i uczyniono to z takim powodzeniem, że, w kilka wieków po jego śmierci, część Grecji wątpiła, czy wogóle istniał kiedykolwiek. Daremnie przechowywali wtajemniczeni tradycję jego przez tysiąc lat z górą; daremnie Pytagoras i Platon mówili o nim, jako o człowieku boskim; — Sofiści i retorycy widzieli w nim jedynie personifikację legendy o powstaniu muzyki. Dzisiaj jeszcze uczeni przeczą wprost istnieniu Orfeusza. Opierają się oni na tym zwłaszcza fakcie, że ani Homer, ani Hezjod nie wymieniają jego imienia. Milczenie wszakże poetów tych tłumaczy aż nadto kłątwa, rzucona na wielkiego proroka przez władze miejscowe. Uczniowie Orfeusza nie pomijali wszelako żadnej sposobności przypominania



o najwyższej władzy świątyni w Delfach, powtarzania, iż należało poddać wszystkie spory i zatargi, powstałe pomiędzy poszczególnymi państwami Grecji radzie Amfiktjońskiej. Nie dogadzało to zarówno podżegaczom jak tyranom. Homer, który wtajemniczenie swoje zawdzięcza prawdopodobnie świątyni w Tyrze i którego mitologia jest poetycką przeróbką teologii Sankonjatonu, Homer — Jończyk mógł łatwo nie znać Deonijczyka — Orfeusza, którego tradycję tembardziej okrywano tajemnicą, im bardziej podlegała ona prześladowaniu.

Hezjodowi, urodzonemu w pobliżu Parnasu, musiało być znanem imię Orfeusza i doktryna jego przez świątynię w Delfach; ci wszakże, którzy go wtajemniczali, nakazali mu — nie bez słuszności — zupełne o tem milczenie.

Mimo to wszakże żył Orfeusz w dziele swoim; żył w uczniach; żył w tych nawet, którzy przeczyli jego istnieniu. Jakież to było dzieło? Gdzie szukać należy ducha tego ożywiającego? Czy w spartańskiem okrutnem możnowładztwie wojennem, w którem pogardzano wiedzą, nieuctwo podnoszono do godności systemu i wymagano brutalności jako przejawu męstwa? Czy w nieubłaganych wojnach Messeńskich, podczas których Spartjaci gnębili lud sąsiedni aż do wytepienia go, w których ci Rzymianie greccy dawali już zapowiedź skały Tarpejskiej i krwawych wawrzynów kapitolijskich, rzucając w przepaść bohaterckiego Arystomena, obrońcę ojczyzny swojej?

Czy może raczej w niesfornej demokracji ateńskiej, zawsze gotowej przedzierzgnąć się w tyranję? Czy w straży pretorjańskiej Pizystrata lub w sztylcie Harmodjusza i Arystogitona, ukrytym pod gałęzią mirtu? Czy w licznych miastach Hellady, Wielkiej Grecji i Azji Mniejszej, których dwoma przeciwstawnemi typami są Ateny i Sparta? Czy we wszystkich tych demokracjach i tyranjach zawistnych, zazdrosnych i zawsze gotowych do [wzajemnego rozszar-

pywania się? — Nie; duszy Grecji gdzieindziej szukać należy. Żyje ona w jej świątyniach, w jej Misterjach i w jej wtajemniczonych. Żyje ona w świątyni Jupitera w Olimpji, Junony — w Argos, Cerery — w Eleuzji, panuje nad Ate-  
nami wraz z Minerwą, promienieje w Delfach z Apol-  
lonem, którego światło góruje na wszystkich świątyniach  
i przenika je. Oto właściwe środowisko życia helleńskiego,  
mózg i serce Grecji. Tutaj szukają nauki poeci, ujawnia-  
jący tłumowi prawdy najwyższe w obrazach żywych;  
mędrcy, szerzący je dialektyką subtelną. Duch Orfeusza  
krąży wszędzie, gdzie drga nieśmiertelna Grecja. Odnaj-  
dujemy go we współzawodnictwie poezji i gimnastyki,  
w igrzyskach Delfickich i Olimpijskich, szczęśliwie pomy-  
ślanych urządzeniach, które stworzyli następcy mistrza,  
aby zbliżyć i zjednoczyć dwanaście szczepów greckich.

Widzimy ją namacalnie w sądzie Amfiktjońskim, w tem  
zgromadzeniu wielkich wtajemniczonych, najwyższym try-  
bunale rozstrzygającym, który zbierał się w Delfach, jako  
wymiar sprawiedliwości i zgody, i w którym zyskała  
Grecja jedność swoją w momentach bohaterstwa i samo-  
zaparcia się<sup>1)</sup>.

Jednakże ta Grecja Orfeusza, której intelektem była  
czysta, przechowywana w świątyniach doktryna; duszą —  
religja plastyczna, a ciałem — wysoki trybunał sprawie-  
dliwości, ześrodkowany w Delfach; — Grecja ta zaczęła

1) *Przysięga amfiktjońska* ludów zjednoczonych daje pojęcie  
o wielkości i społecznej potędze tego związku: „Przysięgamy nie  
obalać nigdy miast amfiktjońskich, nie odcinać im nigdy, ani w cza-  
sie pokoju, ani w czasie wojny źródeł zaspakajania ich potrzeb.  
Gdyby potęga jakaś ważyła się uczynić to, pójdziemy przeciwko  
niej i zniszczymy jej miasta. Gdyby bezbożnicy porwali ofiary ze  
świątyni Apollona, przysięgamy użyć naszych nóg, naszych ramion,  
naszego głosu, wszystkich sił naszych przeciwko nim i przeciwko  
ich sojusznikom”.



chylić się, począwszy od siódmego wieku, ku upadkowi. Wyroki delfickie przestały być szanowane; gwałcono święte terytorja. Działo się tak dlatego, że wyginęła rasa wielkich wtajemniczonych, a poziom umysłowy i moralny świątyni obniżył się. Kapłani zagarniali władzę polityczną; Misterja nawet ulegać zaczęły sprzedajności i wypaczeniu. Wygląd ogólny Grecji zmienił się. Dawne rządy królewsko-kapłańskie i rolnicze ustąpiły miejsca w jednych państwach rządowi tyranji absolutnej, w innych — arystokracji wojskowej, w jeszcze innych — demokratycznej anarchji. Świątynie niezdolne już były zapobiec grożącemu rozprzężeniu. Potrzebny im był dopływ nowych sił. Należało uprzystępnić doktryny ezoteryczne. Ażeby myśl Orfeusza mogła żyć i rozwijać się w całej pełni, musiała nauka świątyni przejść do instytucji świeckich. Prześlizgnęła się ona pod rozmaitemi postaciami do głów prawodawców cywilnych, do szkół poetyckich, pod portyki filozofów. Ci ostatni w nauczaniu swoim tę samą odczuwali konieczność dwóch doktryn, jaką uznał Orfeusz w religji: jednej — publicznej, drugiej — tajemnej, wypowiadających tę samą prawdę w odmiennej tylko formie i w odmiennej mierze i poziomie ujęcia, przystosowanym do stopnia rozwoju uczniów. Ewolucja ta dała Grecji jej trzy wielkie wieki twórczości artystycznej i świetności umysłowej. Umożliwiła ona myśli orfickiej, która jest zarazem pierwszą siłą rozpędową i syntezą idealną Grecji, ześrodkowanie całego światła swojego i promieniowanie jego na świat cały, zanim jeszcze budowa jej polityczna, podkopywana przez rozterki wewnętrzne, nie zachwiała się pod ciosami zadaniem jej przez Macedonję, aby runąć w końcu pod żelazną ręką Rzymu.

Ewolucja, o której mówimy, niejednego wysunęła działacza. W rządzie jej sprawców byli myśliciele tacy, jak Tales, prawodawcy — jak Solon, poeci — jak Pindar,

bohaterowie—jak Epaminondas. Miała ona wszakże wodza uznanego. Był nim wtajemniczony pierwszego rzędu, człowiek obdarzony inteligencją niezwykłą, twórczą, nakazodawczą, — Pytagoras, mistrz Grecji świeckiej, podobnie jak Orfeusz był mistrzem Grecji kapłańskiej. Pytagoras tłumaczył i rozwinął myśl poprzednika i przystosował ją do swojej epoki. Tłumaczenie jego było wszakże twórczością. Usystematyzował on natchnienie orfickie w skończony całokształt, dostarczył w nauczaniu swoim na ich poparcie świadectwa nauki, zaś dowodu moralnego w swoim systemie wychowawczym oraz w związku pytagorejskim, który go przeżył.

Pomimo, że działał on w pełnym świetle historii, pozostał Pytagoras postacią niemal legendarną. Głównym powodem tego jest zaciekle prześladowanie, którego był ofiarą na Sycylii i które wielu Pytagorejczyków przypłaciło życiem. Jedni zginęli pod gruzami podpalonej ich akademii, inni umarli z głodu w świątyni. Pamięć i doktryna mistrza utrwaliły się jedynie dzięki pozostałym przy życiu wyznawcom jego, którym udało się uciec z Grecji. Platon zdobył z wielkim trudem i za wielką cenę, dzięki Architasowi, rękopis mistrza, którego doktryna ezoteryczna napisana była przez niego tajemnymi jedynie znakami, w postaci symbolicznej. Właściwym polem jego działalności było nauczanie ustne, jak to się dzieje u wszystkich reformatorów. Mimo to wszakże istota jego systemu doszła do nas w „Złotyeh wierszach“ Lizjasza, w komentarzu Hieroklesa, we fragmentach Filolausa i Architasa, jak również w *Tymeuszu* Platona, zawierającym kosmogonię Pytagorasa. Pełno wreszcie u pisarzy starożytnych wzmianek o filozofie z Krotonu. Przytaczają oni mnóstwo anegdot, malujących jego rozum, jego urodę i jego cudowną niemal władzę nad ludźmi. Neoplatonicy aleksandryjscy, Gnostycy, a nawet pierwsi Ojcowie Koś-



ciola przytaczają go jako autorytet. Są to wszystko cenne świadectwa, w których drga zawsze fala potężna zapołu, jakim niezwykła osobowość Pytagorasa zdołała natchnąć Grecję i jakiego echa ostatnie rozbrzmiewają w osiem wieków po jego śmierci.

Doktryna jego, oglądana z góry i odcyfrowana dzięki zastosowaniu klucza ezoteryzmu porównawczego, przedstawia wspaniałą całość, syntezę harmonijną, której poszczególne części związane są w jedną całość podstawową myślą przewodnią. Znajdujemy w niej rozumowane odtworzenie ezoterycznej doktryny Indji i Egiptu, której nadał on grecką przejrzystość i prostotę i którą zaprawił żywszem, wyraźniejszym odczuciem idei wolności człowieka.

W tej samej epoce i w różnych punktach kuli ziemskiej szerzyli wielcy reformatorzy doktryny analogiczne. Ezoteryzm Fo-hi wydał w Chinach doktrynę Lao-Tse. Sakja-Muni nauczał nad brzegami Gangesu; kapłani etruscy wysłali do Rzymu wtajemniczonego, zaopatrzonego w księgi sybillińskie, króla Nume, który próbował osłabić groźnie potęgujące się ambicje Senatu rzymskiego mądrymi urządzeniami społecznymi. Nie jest też bynajmniej dziełem trafu, że reformatorzy owi występują równocześnie u tak różnych narodów. Ich odmienne posłannictwa jeden wspólny cel mają na względzie. Stwierdzają one, że w pewnych momentach dziejowych ten sam prąd duchowy obiega tajemniczo całą ludzkość. Skąd przychodzi? — Z owego świata boskiego, który jest poza sferą naszego widzenia, lecz którego wysłannikami i uczestnikami są genjusze i prorocy.

Pytagoras przeszedł przez cały świat starożytny, zanim powiedział Grecji to, co miał jej do powiedzenia.

Był w Afryce i w Azji, oglądał Memfis i Babilon, poznał politykę ich i ich wtajemniczenie. Jego życie burzliwe podobne jest do okrętu, puszczonego na wzburzone fale; z rozwiniętymi żaglami płynie on ku celowi, nie zbaczając z drogi, obraz spokoju i siły w pośród żywiołów rozszalałych. Jego doktryna czyni wrażenie nocy przewiewnej, następującej po ogniu żarzącym dnia krwawego. Wyczarowuje ona myśl o pięknie stropu niebieskiego, odślaniającego zwolna oczom jasnowidzącym swoje archipelagi gwiazdziste i harmonje swoje rozwiewne.

Spróbujmy odczyścić ją i wyluskać zarówno z mroku legendy jak z przesądów szkoły.



II  
LATA WĘDRÓWKI

Wyspa Samos była na początku szóstego wieku przed Chr. jedną z najbardziej kwitnących wysp jońskich. Z przystani jej portu otwierał się widok na fioletowe góry zniewieściałej Azji Mniejszej, dostarczycielki przepychu i ponęt wszelakich. Miasto, położone nad szeroką zatoką, piętrzyło się amfiteatralnie wzwyż, od zielonego wybrzeża po zboczu góry, u stóp cyplu wyniosłego, który wieńczyła świątynia Neptuna. Po nad nią sterczały kolumny wspaniałego pałacu, w którym panował tyran, Polikrates. Pozbawiwszy Samos wolności, nadał on miastu polor przybytku sztuk i przepychu azjatyckiego. Sprawadzone przez niego, hetery z Lesbos zajęły pałac, sąsiadujący z jego własnym i<sup>o</sup> ściągaly tu młodzież męską miasta na ucztę, na których zaprawiały ją do najbardziej wyrafirowanych rokoszy, przy wtórce muzyki, tańców i festynów. Anakreon, powołany przez Polikratesa na Samos, przywieziony był na galerze o trzech rzędach wiosel, o żaglach z purpury i złożonych masztach. Poeta, z czarą z cyzelowanego srebra w dłoni, śpiewał dla dostojnego grona biesiadników swoje ody pieściwe i jak deszcz róż wonne. Szczęście Polikratesa stało się przysłowiewem w Grecji. Przyjaciel jego, faraon Amazys, ostrzegał go

wielokrotnie, aby nie ufał powodzeniu tak nieprzerwanemu, a zwłaszcza, aby się nim nie chwalił. Polikrates odpowiedział na ostrzeżenie władcy egipskiego rzuceniem cennego pierścienia w toń morską. „Skladam ofiarę tę Bogom” — rzekł. Nazajutrz rybak ubogi przyniósł tyranowi jego pierścień, który znalazł we wnętrznościach złowionej ryby. Faraon, dowiedziawszy się o tem, oznajmił, że zrywa przyjaźń swoją z Polikratesem, bowiem szczęście tak zuchwałe ściągnąć musi na niego gniew Bogów. — Niezależnie od prawdziwości anegdoty koniec Polikratesa był tragiczny. Jeden z jego satrapów ściągnął go do sąsiedniej prowincji i tam zamordował w mękach straszliwych, poczem rozkazał rozpiąć ciało jego na krzyżu na górze Mykale. Mieszkańcy Samos widzieć mogli w ten sposób w krwawej glorii zachodzącego słońca postać ukrzyżowanego tyrana swojego na wzniesieniu, naprzeciw wyspy, nad którą panował w chwale i uciechach.

Powróćmy jednak do początku panowania Polikratesa. W noc jasną siedział młodzian urodziwy w lesie wierzbowym o liściach lśniących, w pobliżu świątyni Junony, której fasadę dorycką srebrzyło światło księżyca, w pełni uwydatniające całą mistyczną jej wspaniałość. Zwój papyrusu, na którym wypisana była jedna z pieśni homerowych, wypadł już oddawna z rąk jego na ziemię. Rozmyślenia jego, trwającego od zmierzchu, nie przerywało nic aż do późnej nocy. Słońce zaszło już oddawna ale płomienna tarcza jego migiała wciąż jeszcze przed oczami młodego marzyciela obecnością uludną. Bowiem myśl jego błąkała się daleko poza sferą świata widzialnego.

Pytgoras był synem bogatego sprzedawcy pierścieni z Samos i kobiety, imieniem Partenis. Pytja Delficka, do której młodzi małżonkowie udali się po przepowiednię,



przybiecała im narodziny syna „który będzie pożytecznym wszystkim ludziom po wsze czasy“. Wyrocznia kazała małżonkom udać się do Sydonu, w Fenicji, ażeby syn, mający być wybrańcem, poczęty został i porodzony zdala od niepokojących wpływów jego ojczyzny. Jeszcze przed narodzeniem dziecięcia poświęcili je rodzice ze zbożnem oddaniem światłu Apollona.

Dziecię przyszło na świat. Kiedy rok życia ukończyło, matka jego, idąc za radą, daną uprzednio przez kapłanów z Delf, zaniosiła je do świątyni Adonai <sup>1)</sup> w dolinie Libanu. Tam pobłogosławił je arcykapłan, poczem powróciła rodzina do Samos. Dziecię Partenis było bardzo piękne, łagodne, spokojne, pełne wrodzonego poczucia sprawiedliwości. Jedynie w oczach jego płonął żar intelektu, który nadawał czynom jego energję utajoną. Rodzice nie tylko nie stawiali sprzeciwu jego wczesnemu dążeniu do wiedzy, lecz zachęcali go do niej. Dzięki temu mógł swobodnie wieść rozprawy z kapłanami z Samos, z mędrkami, którzy zaczęli wówczas zakładać w Jonji szkoły, gdzie nauczali zasad fizyki. Mając lat osiemnaście, słuchał wykładów Hermodamasa z Samos; w dwa lata potem—Ferecyda z Syros; dysputował nawet z Talesem i Anaksymandrem z Miletu. Mistrzowie ci nowe odsłonili przed nim widnokreگی; żaden z nich wszakże nie zadowolnił go. Szukał wewnętrznego spoidła, które mogłoby być łącznikiem pomiędzy sprzecznymi ich naukami, szukał syntezy, zespolenia w jedną wielką Całość. W owym momencie stanął syn Partenis wobec jednego z tych przełomów, podczas których umysł, nadmiernie podniecony przeciwstawnością rzeczy, napina

<sup>1)</sup> *Adonai*—nazwa Boga, dawana mu przez żydów, którzy tem imieniem zastępują właściwe jego imię, *Jehowa* (Jahwe). *Adonai*—jest to właściwie liczba mnoga od *Adon*-Pan. (Przyp. tłom.)

wszystkie władze swoje w wysiłku najwyższym, aby dostrzedz cel, aby znaleźć drogę, wiodącą do słońca prawdy, do ośrodka życia.

W tę noc ciepłą i wspaniałą patrzył syn Partenis z kolei na ziemię, na świątynię i na niebo błyszczące gwiazdami.—Pod nim, dokoła niego, była ona, Demeter, ziemia—macierz, Natura, którą pragnął przeniknąć. Chłonał w siebie jej wyziewy potężne, czuł niezwykły pociąg, przykuwający go do jej łona,—jego, atom myślący, jak gdyby nieodłączoną cząstkę jej samej. Mędracy, których się radził, mówili mu: „Z niej wszystko powstaje. Nic nie powstaje z niczego. Dusza wyłania się z wody lub z ognia, albo też z obojga razem. Jako wpływ subtelny oddziela się od nich po to tylko, aby ponownie do nich wrócić. Natura wiekuista ślepa jest i nieugięta. Poddaj się jej prawu nieubłaganemu. Jedyłą zasługą twoją będzie poznać ją i poddać się jej“.

Potem patrzył na strop nieba i na zgłoski ogniste, jakie tworzą gwiazdozbiory w niezgłębionych czeluściach przestworzy. Zgłoski te musiały mieć jakieś znaczenie. Jeśli bowiem nieskończenie małe, ruch atomów, ma swoją rację bytu, jakżeby być mogło, aby nie miało jej nieskończenie wielkie: rozproszenie ciał niebieskich, których układ jest wyobrażeniem ciała wszechświata? O, tak! każdy z tych światów podlega wiasnemu swojemu prawu, a ruchami wszystkich rządzi Liczba w harmonji najwyższej. Któż wszelako odczytać zdoła kiedykolwiek alfabet gwiazd? Kapłani Junony mówili mu: „Niebo Bogów istniało przed ziemią. Z niego to przychodzi dusza twoja. Proś ich, aby do niego powrócić mogła“.

Rozmyślanie to przerwał śpiew miłosny, dochodzący z ogrodu położonego na wybrzeżach Imbrazusa. Lubieżne głosy Lesbijek zlewały się omdlewająco, z dźwiękami



cytary <sup>1)</sup>; młodzi chłopcy odpowiadali na nie śpiewami bachicznymi. Z głosami temi skłóciły się nagle przenikliwe, ponure okrzyki, dochodzące z portu. Były to krzyki rokoszan, którymi Polikrates naładować kazał barkę, aby sprzedać ich do Azji jako niewolników. Poganiano ich rzemieniami uzbrojonymi w gwoździe, aby skupić ich pod mostem z dwóch łodzi spojonych. Ich ryki i przekleństwa skończyły w ciszy nocnej, poczem nastąpiła znów cisza.

Ciało młodzieńca przebiegł dreszcz bolesny; pokonał go wszakże, aby skupić się w sobie. Stał wobec zagadnienia, bardziej jeszcze piekącego, bardziej ostrego. Ziemia mówiła: *Fatalizm!* niebo mówiło: *Opatrzność* a Ludzkość, chwiejna pomiędzy obojgiem, odpowiadała: *Szał! Ból! Niewola!* W głębi duszy własnej słyszał jednak młody adept głos niepokonany, odpowiadający łańcuchom ziemi i ogniom nieba okrzykiem: *Wolność!* Po czyjej stronie była słuszność? po stronie mędrców? kapłanów? szaleńców? nieszczęsnych? czy po jego własnej? bowiem wszystkie te głosy mówiły prawdę; każdy odnosił tryumf we własnej sferze; żaden wszakże nie mógł dostarczyć mu dowodów swojej słuszności. Trzy światy istniały niewzruszone, jak łono bogini Demetry, jak światło ciał niebieskich i jak serce ludzkie, ten wszakże jedynie, kto powiązałby je w akord harmonijny, kto uzgodniłby je i odnaleźć umiałby prawo ich równowagi, byłby mędrcem prawdziwym; ten jedynie posiadałby wiedzę prawdziwą i mógłby dopomóc ludziom. Zatem w syntezie trzech światów tkwi tajemnica *Kosmosu!*

Wypowiadając wyraz ten, świeżo przez niego stworzony, wstał. Oczarowany wzrok jego utkwiał w doryckiej fasadzie świątyni. Surowy gmach zdawał się przeistoczo-

<sup>1)</sup> *Cytara* (grecka *kithara*)—rodzaj liry u starożytnych. (Prz. tłum.)

nym w czystych promieniach Djany. Wydalo się Pytagorasowi, że dostrzeżę w niej idealny obraz świata, rozwiązanie zagadnienia, którego szukał. Bowiern podstawa, kolumny, architrawy i fronton trójkątny ujawniły mu nagle troistą naturę człowieka i wszechświata, mikrokosmu i makrokosmu, którego uwieńczeniem jest jedność boska, będąca sama trójcą. Kosmos, nad którym panował i który przenikał Bóg, tworzył:

Tetrade świętą, wielką, czysty symbol,  
Źródło Natury i pierwowzór Bogów.

Tak, tam, w tych liniach geometrycznych, kryje się klucz wszechświata, nauka liczb, prawo troistości, rządzące układem bytów, prawo siedmiorakości, kierujące ich ewolucją. I nagle, w widzeniu wspaniałem, ujrzał Pytagoras ruch światów, zgodny z rytmem i harmonją świętych liczb. Ujrzał równowagę ziemi i nieba, której wahałem jest wolność człowieka; trzy światy: naturalny, ludzki i boski, podtrzymujące i określające się wzajem, rozgrywające dramat wszechświatowy odbywaniem ruchu dwojakiego: wstępnego i zstępnego.

Przeczuł sfery świata niewidzialnego, otaczające i nieustannie ożywiające świat widomy; powziął myśl oczyszczenia i wyzwolenia człowieka już na ziemi, drogą potrójnego wtajemniczenia. Ujrzał wszystko to: życie i dzieło swoje w błysku nagłym, w jasności olśniewającej, z wyrazistością i niedającą się zbić pewnością umysłu, czującego, że stanął w obliczu Prawdy.—

Teraz dowieść należało na podstawie Rozumu tego, co czysty Intelkt jego uchwycił w Absolucje; wymagało to poświęcenia całego życia, pracy Herkulesa.

Gdzie wszakże znaleźć wiedzę niezbędną do celowego dokonania pracy podobnej? Nie mogły jej dostarczyć ani pieśni Homera, ani mędracy joińscy, ani świątynie greckie.



Uskrzydlonym nagle umysłem swoim pograżył się Pytagoras we własnej przeszłości, w narodzinach swoich, okrytych zasłoną tajemniczości i w mistycznej miłości matki. Jedno ze wspomnień dzieciństwa stanęło przed nim z wyrazistością, wrzynając się w pamięć. Przypomniał sobie, że matka zaniósła go, kiedy miał rok, do doliny Libanu, do świątyni Adonaia. Ujrzał się znów małym dziećciem, uczeponem u szyi Partenis, wpośród gór olbrzymich i lasów rozległych, gdzie strumień spadał rozbrzgującą się kaskadą. Matka stała na tarasie, ocienionym wielkimi cedrami. Przed nią kapłan najstarszy z mleczno-białą brodą uśmiechał się do matki i dziecica, wymawiając słowa poważne, których dziecie nie rozumiało.

Matka przypominała mu potem często dziwne słowa hierofanty Adonaia: „O, kobieto jońska, syn twój wielkim będzie mądrością swoją, pamiętaj wszakże, że jakkolwiek Grecy posiadają naukę Bogów, — naukę *Boga* znaleźć można jeszcze jedynie w Egipcie“. Słowa te rozbrzmiały mu znów w uszach, jako wtór do wspomnienia o uśmiechu matku, o pięknem obliczu starca, o dalekim szumie kaskady, nad którym górował głos kapłana pośród pejzażu wspaniałego jak marzenie z zaświata. Po raz pierwszy odgadywał znaczenie wyroczni. Słyszał wprawdzie niejednokrotnie o zdumiewającej wiedzy kapłanów egipskich, o tajemnicach ich potężnych; sądził jednak, że nie mają dla niego znaczenia. Teraz zrozumiał, że musi zdobyć tę „naukę Boga“, aby dotrzeć do głębi natury i że naukę tę znajdzie jedynie w świątyniach Egiptu. A więc to cicha Partenis przeznaczyła go do dzieła tego, przynosząc go w ofierze Najwyższemu.

W chwili tej dojrzało w nim postanowienie udania się do Egiptu po zdobycie wtajemniczenia.

Polikrates chełpił się opieką, jaką roztaczał nad filozofami zarówno jak nad poetami. Chętnie też dał

Pytagorasowi pismo, którem polecał go faraonowi, Amazytowski i prosił, aby ten zapoznał go z kapłanami świątyni w Memfidzie. Nie poszło to wszakże łatwo. Kapłani przyjęli go nieufnie i duże stawiali mu przeszkody. Mędrcy egipscy nie mieli zaufania do Greków, uważając ich za lekkoduchów i niestałych. Robili też wszystko, co było w ich mocy, aby zniechęcić młodego adepta, który poddał się z cierpliwością i niezachwianą odwagą wszystkim próbom, jakie mu narzucono. Wiedział z góry, że osiągnąć może wiedzę jedynie przez opanowanie woli całej swojej istoty. Wtajemniczenie jego trwało dwadzieścia dwa lata za pontyfikatu arcykapłana Sonchisa. Opowiedzieliśmy w księdze Hermesa o próbach, pokusach, grozach i ekstazach przez które przechodził wtajemniczony lzydy, aż do jego pozornej śmierci kateleptycznej i jego wskrzeszenia w świetle Ozyrysa.

Pytagoras przeszedł przez wszystkie fazy, które pozwalają poznać, — nie w postaci czczej teorii, lecz rzeczy przeżytej, — doktrynę Słowa Światła czyli Słowa powszechnego oraz doktrynę ewolucji człowieka po przez siedem cykli planetarnych. Za każdym krokiem tego zawrotnego wzbijania się na wyżyny próby stawały się coraz groźniejsze. Stokrotnie narażał w nich adept życie swoje zwłaszcza, jeśli zdobyć chciał umiejętność posługiwania się siłami tajemnymi, niebezpiecznymi praktykami magji i teorii. Jak wszyscy wielcy ludzie, wierzył Pytagoras w swoją gwiazdę. Nie odstraszało go nic; nie cofał się przed żadną z prób, mogących mu dać wiedzę, nawet przed grozą śmierci, ponieważ widział życie pozaziemskie. Kapłani egipscy, uznawszy w nim wreszcie niezwykle hart duszy oraz namiętne, bezinteresowne umiłowanie wiedzy, które jest rzeczą najrzadszą na świecie, otworzyli przed nim skarbnicę mądrości swojej i swojego doświadczenia. Pod ich kierunkiem kształtował się i hartował duch jego.



U nich zgłębił wiedzę matematyki świętej, naukę liczb czyli zasad powszechnych, które stały się ośrodkiem jego systemu i które sformułował w nowy sposób. Surowość dyscypliny egipskiej w świątyniach dała mu poznać cudowną potęgę woli ludzkiej, umiejętnie ćwiczonej i kierowanej, a także jej nieskończone zastosowania zarówno w sprawach cielesnych jak duchowych. „Nauka liczb i sztuka opanowania woli są to dwa klucze magji, mówili kapłani z Memfis; otwierają one wszystkie wrota wszechświata“.

W Egipcie zatem zdobył Pytagoras ów rzut oka z wyżyn, który pozwala dostrzegać sfery życia i nauki w porządku koncentrycznym i zrozumieć *inwoluację* ducha do materji na drodze twórczości uniwersalnej oraz jego *ewolucję*, czyli ponowne zlanie się z jednością, na drodze twórczości indywidualnej, zwanej rozwojem świadomości.

Pytagoras dotarł do szczytu kapłaństwa egipskiego i myśleć już może zaczynał o powrocie do Grecji, kiedy rozsrożył się nad korytem Nilu huragan wojny ze wszystkimi jej kłeskami i wciągnął wtajemniczonego świątyni Ozyrysa w wir nowy. Oddawna już planowali despci azjatyccy rozgromienie Egiptu. Najścia ich, powtarzane wielokrotnie w przebiegu wieków, rozbiły się o wał bezpieczeństwa, jaki tworzyły dokoła kraju mądre jego urzędnicy społeczne, siła jego kapłanów i energia faraonów. Odwieczne wszakże państwo to, przybytek nauki hermetycznej, nie miało trwać bez kresu. Syn zwycięzcy Babilonu, Kambyzes, rzucił na Egipt niezliczone zastępy armji swoich, wygłodzonych jak chmury szarańczy, i zadał cios miazdzący instytucji faraonatu, której początek ginął w pomroce dziejów. Mędracy zdawali sobie sprawę, że była to katastrofa, dotykająca świat cały. Do owego czasu był Egipt ostoją Europy wobec Azji. Opiekuńczy wpływ jego rozszerzał się na całą połąć wzdłuż morza

Śródziemnego, dzięki świątyniom fenickim, greckim i etruskim, z którymi wyżsi kapłani Egiptu w ciągłych pozostawali stosunkach. Kiedy przedmurze to runęło, mógł już Byk bez przeszkód zwalić się na wybrzeża helleńskie. Pytagoras był więc świadkiem podboju Egiptu przez Kambyzesa. Mógł widzieć na własne oczy, jak despota perski, godny następcy ukorowanych łotrów Niniwy i Babilonu, rabował świątynie Teb i Memfis i rozbijał sanktuarjum Hammona. Widział faraona Psammenita, prowadzonego w okowach przed Kambyzesa i postawionego na wzgórzu, dokoła którego zgromadzono kapłanów, przedstawicieli rodów najwyższych oraz dwór królewski. Widział córkę Faraona odzianą w łachmany i otoczoną wszystkimi damami dworu, w takim jak ona ubraniu, następcę tronu i dwa tysiące młodzieży, prowadzonych na miejsce stracenia z wężydłem na ustach i uzdą na szyi, faraona Psammenita, z trudnością powstrzymującego łkanie na ten widok przeraźliwy; i wreszcie bezecnego Kambyzesa, siedzącego na tronie i rozkoszującego się bólem powalonego przeciwnika. Okrutna, ale jakże pouczająca lekcja historii po lekcjach wiedzy! Jakiż widok zwierzęcości rozpętanej w człowieku i wieńczącej dzieło swoje zrodzeniem tego potwora despotyzmu, który deptał wszystko żelazną stopą i ohydną apoteozą swoją narzucał ludzkości panowanie najbardziej nieubłaganego losu.

Kambyzes przewieźć rozkazał Pytagorasa wraz z częścią kapłanów egipskich do Babilonu i internował go tam<sup>1)</sup>. To miasto olbrzymie, które Arystoteles porównywa do kraju, otoczonego murami, dawało wówczas niezmierzone pole obserwacji. Starożytna wieża Babel,

---

<sup>1)</sup> Fakt ten przytacza Jambligue w swoim *Życiu Pytagorasa*.



wielka nierządnica proroków hebrajskich, stała się, po podboju perskim, bardziej niż kiedykolwiek szatańską mieszaniną ludów, narzeczy, kultów i religii, wśród których wznosił despotyzm azjatycki niebotyczną wieżę swoją.

Według tradycji perskich początek budowy jej sięga czasów legendarnej Semiramidy. Ona to — jak mówią — zbudowała olbrzymi, opasujący ją mur, który miał osiemdziesiąt pięć kilometrów obwodu i którego grubość była tak wielka, że dwa wozy mogły się na nim wyminąć, zbudowała wiszące na tarasach ogrody, wzniosła pałace potężne, ozdobione rzeźbami wielobarwnymi, świątynie podtrzymywane przez kamienne postacie słoni i mające na dachach figury smoków różnokolorowych. Królował tutaj kolejny szereg despotów, którzy ujarzmili Chaldeeę, Assyrję, Persję, część Tatarji, Judeę, Syrję i Azję Mniejszą. Tutaj Nebuchadenezor, zabójca magów, wprowadził do niewoli lud żydowski, uprawiający w dalszym ciągu swój kult w jednym z zaułków olbrzymiego miasta, w którym Londyn mógłby się obrócić cztery razy. Żydzi dali nawet wielkiemu królowi potężnego ministra — doradcę w postaci proroka Daniela. Za panowania Baltazara, syna Nabuchadenezora, padły wreszcie mury starej wieży Babel pod dyszącemi zemstą ciosami Cyrusa, a Babilon przeszedł na przeciąg kilku stuleci pod panowanie perskie. Dzięki temu szeregowi wydarzeń uprzednich trzy religie odmienne reprezentowane były przez wysokich kapłanów Babilonu w chwili przybycia Pytagorasa do tego miasta; byli tu starożytni kapłani chaldejscy, przeżytki magji perskiej oraz wybrańcy z pośród wprowadzonego w niewolę judaizmu. Najlepszym dowodem zgody, panującej pomiędzy tymi kapłanami rozmaitych kultów dzięki wspólnej im stronie ezoterycznej, jest rola Daniela, który, wyznając wiarę Boga Mojżeszowego, zajmował stanowisko głównego

doradcy — ministra przy Nebuchadenezorze, Baltazarze i Cyrusie.

Pytagoras rozszerzyć musiał swój i bez tego już, rozległy horyzont studjowaniem doktryn tych, religji i kultów, których syntezę przechowali jeszcze niektórzy wtajemniczeni. Mógł zgłębić w Babilonie wiedzę magów, następców Zoroastra. Kapłani egipscy jedynymi byli posiadaczami kluczy powszechnych do nauk świętych, zaś magowie perscy mieli opinię ludzi, którzy udoskonalili praktykę sztuk niektórych. Przypisywali oni sobie umiejętność kierowania tajemnymi owemi siłami przyrody, noszącemi miano ognia pantomorficznego oraz światła astralnego. W świątyniach ich, jak mówiono, czyniły się nagle ciemności wśród białego dnia, lampy zapalały się same przez się, widać było promieniowanie Bogów i słychać było huk gromów. Magowie nazywali *lwem niebieskim* ów ogień bezcielesny, czynnik, rodzący elektryczność, którą umieli skupiać lub rozpraszać; *wężami* — prądy elektryczne powietrza i magnetyczne ziemi, które — wedle własnego mniemania — umieli kierować na ludzi, niby strzały. Opracowali też naukę specjalną, dotyczącą potęgi suggestywnej, przyciągającej i twórczej słowa ludzkiego. Używali, do wywoływania duchów, formulek stopniowanych, zapożyczonych z najstarszych języków ziemi. Uzasadniali je psychicznie dla samych siebie w sposób następujący: „Nie zmieniaj żadnego z obcych wyrazów wzwania, bowiem są one nazwami Boga; tkwi w nich siła magnetyczna, płynąca z uwielbienia tłumu i potęga ich jest niewypowiedziana“<sup>1)</sup>. Zaklęcia te, stosowane przy wórze oczyszczeń i próśb, były — właściwie mówiąc — tem, co w następstwie nosiło nazwę białej magji.

---

1) *Wyrocznie Zoroastra*, zebrane w teurgji Proklusa.



Pytagoras dostał się więc do Babilonu, do arkanów magji starożytnej. Zarazem też w tej jaskini despotyzmu oczom jego przedstawił się wspaniały widok: na gruzach rozpadających się religji Wschodu, po nad ich zdziesiątkowanym i wynaturzonym stanem kapłańskim, grupa nieustraszonych, skupionych razem, wtajemniczonych broniła nauki swojej, swojej wiary i, o ile było to w jej mocy, sprawiedliwości. Stojąc oko w oko z despotami, jak Daniel w jaskini lwów, zawsze gotowi na śmierć srogą, rzucali czary na dzikie zwierzęta absolutyzmu i pokonywali je potęgą swojego ducha, a, walcząc uporczywie, usuwali Im, piędź po piędzi, grunt z pod nóg.

Po wtajemniczeniu swoim egipskiem i chaldejskiem poznał młodzian z Samos nauki fizyczne głębiej, niż wszyscy mistrzowie jego, niż jakikolwiek Grek, kapłan czy człowiek świecki jego czasu. Znał on zasady wiekuiste, rządzące wszechświatem i znał ich zastosowania. Natura rozwarła przed nim swoje głębie przepastne; grube zasłony, spowijające materję, rozdarły się w jego oczach, aby ukazać cudowne sfery przyrody i ludzkość uduchowioną.

W świątyni Neith-Izis w Memfisie i Bela w Babilonie zgłębił tajniki, dotyczące przeszłości religji, dziejów ludów i ras. Przeprowadzić mógł porównanie pomiędzy dodatnimi i ujemnymi stronami monoteizmu żydowskiego, politeizmu greckiego, troistości hinduskiej i dwoistości perskiej. Wiedział, że wszystkie te religje są promieniami jednej i tej samej prawdy, przesianymi przez rozmaite stopnie inteligencji i dla różnych stanów społecznych. Miał w rękę swoim klucz, to znaczy syntezę wszystkich tych doktryn, w nauce ezoterycznej. Oko jego, ogarniające przeszłość, sięgające w przyszłość, oceniać musiało z jasnością szczególną — terażniejszość. Doświadczenie

wskazywało mu, że groźba plag największych zawisła nad ludzkością wskutek ciemnoty kapłanów, materializmu uczonych i nieokiełznania demokracji. Widział wzrastający wśród rozprzężenia powszechnego despotyzm azjatycki, a z tej chmury czarnej rozpętać się miał huragan potężnej burzy wirowej nad Europą bezbronną.

Czas był zatem powrócić do Grecji, aby spełnić tam posłannictwo swoje, rozpocząć swoje dzieło.

Pytagoras internowany był w Babilonie w ciągu dwóch lat. Ażebymóć opuścić miasto, należało zyskać odpowiedni rozkaz króla perskiego. Jeden z ziomeków Pytagorasa, Democedes, lekarz królewski, wstawił się za nim i uzyskał uwolnienie filozofa.

Wrócił tedy Pytagoras do Samos po trzydziesto-czteroletniej niebytności. Znalazł ojczyznę swoją ciemioną, dławioną rządami satrapy wielkiego króla. Szkoły i świątynie były zamknięte; poeci i uczeni umknęli, jak chmara jaskółek, przed cezaryzmem perskim. Zznał on przynajmniej pociechy przyjęcia ostatniego tchnienia pierwszego mistrza swojego, Hermomadasa, i odnalezienia matki swojej, Partenis, która jedna jedyna tylko nie wątpiła o jego powrocie. Wszyscy bowiem uważali awanturniczego syna sprzedawcy pierścieni z Samos za zmarłego. Ona natomiast rozumiała, że w białej swojej szacie kapłana egipskiego syn jej przygotowuje się do wysokiego posłannictwa. Wiedziała, że ze świątyni Neith-Izydy wyjść ma mistrz zbawczy, prorok świetlany, o którym śniła w świętym gaju delfickim i którego zapowiedział jej hierofanta Adonaśa pod cedrami Libanu.

A teraz, na falach lazurowych morza Cykladzkiego, unosiła łódź lekka matkę i syna ku nowemu wygnaniu. Opuszczali z całym dobytkiem swolm uciskaną, zaprzepaszczonej wyspę.



Rozpięli żagle ku Grecji. Ani wawrzyny olimpijskie, ani sława poetycka nie pociągały syna Partenis. Dzieło jego bardziej było tajemnicze i bardziej podniosłe: zbudzić uśpioną w świątyniach duszę Bogów; sprawić, aby świątynia Apollona odzyskała dawną siłę i czar; a potem założyć gdziekolwiek szkołę nauki i życia, która wykształciłaby nie polityków i sofistów, lecz ludzi wtajemniczonych, zarówno mężczyzn jak kobiety, prawdziwe matki i prawdziwych bohaterów!

### III

#### ŚWIĄTYNIA W DELFACH

NAUKA APOLLOŃSKA — TEORJA WIESZCZBIARSTWA — PYTJA  
TEOKLEA

Droga z równiny Focydy wiodła wzdłuż łąk kwiatnych, obrzeżających koryto rzeki Plistjos i wrzynała się w krętą pomiędzy wysokimi górami dolinę, zwężającą się co krok i nadającą krajobrazowi charakter coraz bardziej surowy i pustynny. Droga kończyła się wreszcie półkołem gór urwistych, uwieńczonych nagimi szczytami, istnemi zbiornikami elektryczności, nad którymi srożyły się częste burze. Nagle, w głębi ponurej przełęczy, ukazywało się miasto Delfy, niby gniazdo orle na okolonej przepaściami skale, po nad którym strzelały w górę dwa wierchołki Parnasu. Zdała już widać było połyskujące brązowe posągi Zwycięstwa, szpizowe rumaki, niezliczone posągi złote, rozstawione na świętej drodze, niby straż bohaterów i Bogów, czuwających nad dorycką świątynią Phoibosa Apollona.

Było to miejsce najbardziej święte w Grecji. Przepowiadała tam Pytja i zbierał się związek Amfiktjoński; tam również wzniosły ludy helleńskie dokoła świątyni kaplice, w których mieściły się skarby ofiar. Orszaki



mężczyzn, kobiet i dzieci, przybyłych zdaleka, wspinały się tam po drodze świętej, aby hołd złożyć Bogu Światła. Religja poświęciła świątynię w Delfach od niepamiętnych czasów na miejsce składania czci przez ludy. Przyczyniło się do tego jej położenie w samym środku Hellady, jej skała, chroniąca od napaści i umożliwiająca jej łatwość obrony. Miejsce to było jak gdyby stworzone do oddziaływania na wyobraźnię; czarodziejski urok nadawała mu zwłaszcza specjalna pewna okoliczność. W pieczarze po za świątynią rozwierała się szczelina, z której wydobywały się zimne opary, mające — jak mówiono — dawać natchnienie i ekstazę. Plutarch powiada, że w zamierzonych dawno czasach pasterz pewien, który usiadł przypadkiem na skraju tej szczeliny, wpadł nagle w wizję proroczą. Zrazu uważano go za obłąkanego; lecz kiedy przepowiednie jego zaczęły się sprawdzać, zwrócono baczniejszą na ten fakt uwagę. Zajął się tem kapłani i poświęcili owo miejsce bóstwu. Stąd powstała instytucja Pytji, którą sadzano nad szczeliną na trójnogu. Opary, wychodzące z przepaści, wprawiały ją w napad konwulsji, w jakiś dziwny stan nerwowy, wywołujący owo *jasnowidzenie*, jakie spotykamy u somnambulików wybitnych. Ajjschylos, którego twierdzenia nie są pozbawione wagi, ponieważ był synem kapłana eleuzyjskiego i sam był wtajemniczonym, mówi nam w *Eumenidach* przez usta Pytji, że Delfy były z początku poświęcone Ziemi, potem Temidzie (sprawiedliwości), potem Febusowi (księżycowi pośredniczącemu), wreszcie Apollonowi, Bogu Słońca. Jupiter, opowiadali poeci, chcąc przekonać się, gdzie jest środek ziemi, wypuścił dwa orły: jednego od wschodu, drugiego od zachodu; spotkały się one w Delfach. Czemu przypisać ów urok szczególny, ów niezaprzeczony autorytet wszechświatowy, który uczynił z Apollona Boga greckiego

w całym znaczeniu tego wyrazu i który sprawia, że i dla nas nawet zachował on promienną niepojętą?

Historja nie mówi nam nic o tym fakcie doniosłym. Zapytajcie mówców, poetów i filozofów, a dadzą wam odpowiedź powierzchowną w tej sprawie. Właściwe jej rozwiązanie pozostało tajemnicą świątyni. Spróbujmy jej dociec.

W myśl ideologii orfickiej byli: Djonizos i Apollo dwiema odmiennymi postaciami tego samego bóstwa. Djonizos uosabiał prawdę ezoteryczną, treść i wewnętrzną stronę rzeczy, dostępną jedynie dla wtajemniczonych. Zawarte w nim były tajniki życia, byty minione i przyszłe, stosunki wzajemne duszy i ciała, nieba i ziemi. Apollo wyobrażał tę samą prawdę, zastosowaną do życia ziemskiego i do układu społecznego. Dawał natchnienie poezji, lecznictwu i prawodawstwu; był wiedzą, zdobytą wieszczbiarstwem; był pięknem — w sztuce, pokojem — na ziemi, zyskanym przez sprawiedliwość oraz harmonją duszy i ciała, osiągniętą przez oczyszczanie się. Słowem dla wtajemniczonego Djonizos był duchem bożym w jego ewolucji we wszechświecie, zaś Apollo jego objawieniem człowiekowi ziemskiemu. Kapłani uprzyświecili to ludowi w postaci legendy. Powiedzieli mu, że za czasów Orfeusza Bachus i Apollo spór wiedli o trójnog w Delfach. Wreszcie ustąpił Bachus dobrowolnie bratu i usunął się na jeden ze szczytów Parnasu, gdzie kobiety tebańskie święciły jego misterja. W rzeczywistości zatem obydwaj wielcy synowie Jupitera podzielili się władzą nad światem. Jeden panował nad tajemniczym zaświatem; drugi — nad żyjącymi.

Odnajdujemy zatem w Apollonie Zakłęcie słoneczne, Słowo wszechświata, wielkiego Pośrednika, hinduskiego Wisznu, perskiego Mitrasa, Horusa egipskiego. Różnica polega na tem jedynie, że dawne idee ezoteryzmu azja-



tyckiego zyskały w legendzie Apollonowej szatę piękna plastycznego i świetności rzucającej się w oczy, która pozwoliła im wrazić się głębiej w świadomość ludzką, jak gdyby strzałom rzuconym przez Boga, „węzom biało-skrzydłym, wypuszczonym z jego złotego łuku“ — mówi Ajschylos.

Apollo pojawia się w noc wielką w Delos. Wszystkie boginie witają narodziny jego; chodzi, chwyta łuk i lirę; kędziory jego falują na wietrze, jego kołczan dźwięczy mu na ramionach; morze drga i cała wyspa jaśnieje skąpana w glorii płomieni i złota. To objawienie światła boskiego, które dostojną obecnością swoją stwarza ład, świetność i harmonję, znajdujące odzew cudowny w poezji.

Bóg udaje się do Delf; przebija strzałami swemi węża potwornego, który do rozpaczyny doprowadzał całą okolicę, uzdrowia okolicę i zakłada świątynię, wizerunek zwycięstwa światła boskiego nad mrokami i złem. W religjach starożytnych wąż symbolizował zarazem zakłęty krąg życia i zło, jakie ono rodzi. A jednak to życie, zrozumiane i zdławione, jest źródłem świadomości. Apollon, zabójca węża, jest symbolem wtajemniczonego, który przenika naturę wiedzą, ujarzamia ją wolą i, przerwawszy wyroczny krąg ciała, ulatuje na wyżyny w całym blasku ducha, gdy tymczasem zmiażdżone ułamki zwierzęcości ludzkiej wiją się w piasku.

Apollo jest nadto panem pokuty, panem oczyszczenia duszy i ciała. Zbryzgany krwią potwora, odbył pokutę i oczyścił się on sam też na wygnaniu ośmioletniem, pod gorzkiemi, uzdrawiającemi drzewami lauru w dolinie Tempe.— Apollo, wychowawca ludzi, lubi przebywać wśród nich: dobrze się czuje w miastach, w gronie młodzieży męskiej, w walkach poezji i palestry<sup>1)</sup>, pozostaje tam

---

<sup>1)</sup> *palestra* — u starożytnych miejsce ćwiczeń ciała. (przyp. tłum.)

wszakże tylko na czas pewien. Jesienią powraca do ojczyzny swojej, do kraju Hyperborejczyków. Tajemniczy to naród dusz świetlanych i przejrzystych, które żyją w jutrzni wiekuiestej doskonałego szczęścia. Tu są prawdziwi jego kapłani i ulubione kapłanki. Żyje z nimi w głębokiej wspólnocie duchowej, a ilekroć obdarzył ludzi darem królewskim, sprowadza im z kraju Hyperborejczyków jedną z wielkich dusz świetlistych i każe jej zrodzić się na ziemi, aby nauczała śmiertelnych. On sam zaś powraca do Delf co wiosnę, kiedy śpiewane są peany i hymny. Przybywa, widzialny jedynie dla wtajemniczonych, w hyperborejskiej białości swojej, na wozie ciągnionym przez łabędzie dźwięczne. Powraca, aby zamieszkać w świątyni, gdzie przez usta Pytji wypowiada swoje wyrocznie i gdzie słuchają go mędrcy i poeci. Śpiewają wówczas słowiki, źródło Kastalskie przelewa się falami srebrnemi, wytryski światła olśniewającego i muzyki niebiańskiej przenikają do serca człowieka i docierają do naczyń krwionośnych natury.

Z tej legendy o Hyperborejczykach przeziefa promieniami świetnymi ezoteryczny podkład mitu Apollonowego. Kraj Hyperborejczyków, — to zaświaty, to niebo empirjskie dusz zwycięskich, których zorze niebiańskie oświetlają strefy różnobarwne. Sam Apollo uosabia duchowe światło niematerjalne, którego obrazem fizycznym jest słońce i z którego wszelka wypływa prawda. Cudowne łabędzie, które go przywożą — to poeci, boscy geniusze, zwiastuni jego wielkiej duszy słonecznej, pozostawiający za sobą drgania światła i dźwięku. Apollo hyperborejski był więc personifikacją zejścia z nieba na ziemię, wciele-  
nia piękna duchowego w pieśni i w kształty ludzkie, objawiania prawdy nadzmysłowej przez dawanie natchnienia, przez wieszczanie.



Czas już jednak uchylić złocistą zasłonę legend i wejść do wnętrza świątyni. W jaki sposób odbywało się tam wieszczbiarstwo? Dotykamy już tutaj arkanów nauki Apollonowej i tajników delfickich. Głęboko sięgający węzeł łączył w starożytności wieszczbiarstwo z kultami słonecznymi i on właśnie jest kluczem złotym wszelkich tajemnic, zwanych czarodziejskimi.

Ludy aryjskie kierowały uwielbienie swoje już od początków cywilizacji ku słońcu, jako źródłu światła, ciepła i życia. Kiedy wszakże myśl mędrców wzniosła się od zjawiska do jego przyczyny, pojęli oni, że, po za tym ogniem dotykalnym i po za tem światłem widomem, istnieć musi płomień niematerjalny i światło duchowe. Pierwszy utożsamiali z pierwiastkiem męskim, z duchem twórczym czyli treścią duchową wszechświata; drugi — z jego pierwiastkiem żeńskim, jego duszą kształtującą, jego substancją plastyczną. Intuicja ta sięga czasów niepamiętnych. Pojęcie, o którym mówię, odnaleźć możemy w najstarszych mitologjach. Tkwi ono w hymnach wedyjskich w postaci Agni, ognia wszechświata, przenikającego rzecz każdą. Rozwija się w religii Zoroastra, w której kult Mitrasa odzwierciadla stronę ezoteryczną. Mitras jest ogniem męskim, a Mitra—światłem żeńskim. Zoroaster mówi wyraźnie, że Wiekuisty stworzył Słowem żywem światło niebiańskie, nasienie Ormuzda, źródło światła i ognia materjalnego. Myśl Mitrasowego wtajemniczonego ujmuje słońce jako materjalny odbłask tego światła. W swojej grocie ciemnej, której strop zdobią wymalowane na nim gwiazdy, wzywa on słońce łaski, ogień miłości, zwycięzcę złego, pojednawcę Ormuzda i Arymana, ducha oczyszczającego i pośredniczącego, zamieszkującego duszę świętych proroków. W podziemiach świątyni egipskich szukają wtajemniczeni tegoż samego słońca pod mianem Ozyrysa. Kiedy Hermes chce oglądać źródło

wszecrzeczy, czuje się nasamplerw pogrążonym w fale lotne rokosznego jakiegoś światła, w którym poruszają się wszystkie kształty żywe. Potem, pogrążony w mroki grubej materji, slyszy głos jakiś, w którym rozpoznaje *głos światła*. Równocześnie też wytryskuje z głębin ogień i natychmiast chaos porządkuje się i rozjaśnia. W egipskiej *Księdze zmarłych* dusze z trudnością żaglują ku temu światłu w barce lzydy. Mojżesz przyjął w zupełności doktrynę tę w Księdze Rodzaju. „I rzekł Aelohim: Niech będzie światło i stało się światło“. Owo stworzenie światła poprzedza stworzenie słońca i gwiazd. Znaczy to, że w porządku pierwiastków i kosmogonji światło duchowe poprzedza światło materjalne. Grecy, którzy wcielali idee najbardziej oderwane w postać człowieka i dramatyzowali je, wyrazili tę samą doktrynę w micie o Apolonie hyperborejskim.

Umysł ludzki doszedł więc, na drodze wewnętrzngo rozważania wszechświata ze stanowiska duszy i intelektu, do wytworzenia pojęcia światła duchowego, żywiołu nieważkiego, odgrywającego rolę pośrednika pomiędzy materją a duchem. Nietrudno byłoby wykazać, że fizycy współcześni doszli niespostrzeżenie do tego samego wniosku, idąc drogą odwrotną, to znaczy drogą badania ustroju materji i przekonania się, iż niemożliwością jest odnalezienie wytłomaczenia jej przez samą jej istotę. Już w szesnastym wieku uznał Paracelsus, na podstawie badania związków chemicznych i przetwarzania się ciał, istnienie powszechnego czynnika tajemnego, który powoduje ich dokonywanie się. Fizycy siedemnastego i osiemnastego wieku, wyobrażający sobie wszechświat jako martwą maszynę, wierzyli w pustkę bezwzględną przestworzy niebieskich. Z chwilą wszakże gdy uznano, że światło nie jest wpływem materji promieniującej, lecz drganiem ośrodka nieważkiego, przyjąć należało, że przestwór cały wypeł-



niony jest fluidem nieskończenie subtelnym, który przenika wszystkie ciała i za którego pośrednictwem rozchodzą się fale ciepła i światła. Był to powrót do fizycznych i teozoficznych poglądów greckich. Newton, który życie całe spędził na badaniu ruchów ciał niebieskich, posunął się dalej jeszcze. Nazwał eter ten — *sensorium Dei* czyli mózgiem Boga, to znaczy organem, za którego pośrednictwem myśl boska działa zarówno w nieskończenie wielkim jak w nieskończenie małym. Formułując myśl tę, która zdawała mu się konieczną do wytłomaczenia zwykłego krążenia ciał niebieskich, wypłynął wielki ten fizyk na pełne morze filozofii ezoterycznej. Tego samego eteru, który odnalazła myśl Newtona w przestworzach, dopatrywał się Paracelsus na dnie swoich alembików i nazwał go światłem astralnym.

Otóż istnienie fluidu tego nieważkiego, lecz wszechobecnego, przenikającego wszystko, tego czynnika subtelnego, lecz niezbędnego, tego światła niewidzialnego dla oczu naszych, lecz ukrytego na dnie wszelkich iskier, drgań świetlnych i fosforescencji — stwierdził fizyk niemiecki, Reichenbach, na podstawie całego szeregu umiejętnie przeprowadzonych doświadczeń. Zauważył on, że osobniki, posiadające włókna nerwowe szczególnie wrażliwe i umieszczone w zupełnie ciemnym pokoju w obecności magnesu, spostrzegały na obu jego końcach silne promienie światła czerwonego, żółtego i niebieskiego.

Promienie te drgały czasem ruchem falistym. Przeprowadzał on w dalszym ciągu doświadczenia swoje z rozmaitego rodzaju ciałami, zwłaszcza z kryształami. Osobniki wrażliwe widziały emanacje świetlne dokoła wszystkich tych ciał. Dokoła głowy ludzi, umieszczonych w ciemnym pokoju, widziały promienie białe; z ich palców wychodziły małe płomyki. Somnambulicy widują czasem w pierwszej fazie snu te same znaki dokoła

osoby swego magnetyzera. Czyste światło astralne widzialne jest jedynie w stanie najwyższej ekstazy; polaryzuje się ono wszakże, to znaczy zmienia fizyczne właściwości swoich promieni przy przejściu przez wszystkie ciała, łączy się ze wszystkimi fluidami ziemskimi i odgrywa role odmienne w elektryczności, w magnetyzmie ziemskim i w magnetyzmie zwierzęcym<sup>1)</sup>). Doniosłość doświadczeń Reichenbacha polega na dotarciu przez niego do granic widzenia fizycznego i przejścia jego w widzenie astralne, które prowadzić może do widzenia duchowego. Doświadczenia te uchylają również zasłonę, kryjącą nieskończone wysubtelnienia materji nieważkiej. Wszedłszy raz już na te tory, śmiało wyobrazić sobie możemy materję tę tak lotną, tak subtelną i tak przenikliwą, że utożsamia się ona do pewnego stopnia z duchem i służy mu za szatę doskonałą.

Przekonaliśmy się więc, że dla wytłumaczenia ustroju świata zmuszona była fizyka nowoczesna uznać istnienie czynnika nieważkiego, że stwierdziła ona nawet jego obecność i że w ten sposób powróciła — niepostrzeżenie dla siebie — do idei teozofji starożytnych. — Spróbujmy teraz określić naturę i działalność fluidu kosmicznego ze stanowiska filozofji okultystycznej wszystkich czasów. Bowiem na tym punkcie zasadniczym zgadza się Zoroaster z Heraklitem, Pytagoras z świętym Pawłem, Kabaliści z Paracelsem. Wszędzie panuje Cybela-Maia, wielka dusza świata, substancja drgająca i plastyczna, którą kieruje wedle woli swojej tchnienie Ducha twórczego. Jej oceany eteru są spoldem, łączącym wszystkie światy.

<sup>1)</sup> Reichenbach nazwał fluid ten *Odylem*. — Pracę jego przelożył na język angielski Gregory p. t. „*Researches on magnetism, electricity, heat, light, crystallisation and chemical attraction*” (Badania magnetyzmu, elektryczności, ciepła, światła, krystalizacji i chemicznego przyciągania) Londyn 1850.



Jest ona wielką pośredniczką pomiędzy niewidzialnym a widomem, pomiędzy duchem a materją, pomiędzy wewnętrzną i zewnętrzną stroną wszechświata. Zgęszczona w masach olbrzymich w atmosferze, pod działaniem słońca wybucha tam jako piorun. Wchłonięta przez ziemię, krąży tam w postaci prądów magnetycznych. Wysubtelniona w systemie nerwowym zwierzęcym, komunikuje wolę swoją członkom, a wrażenia mózgowi. Ten fluid subtelny tworzy organizmy żywe, podobne do ciał materialnych. Bowiern stanowi on substancję astralnego ciała duszy, szatę świetlną, jaką duch tka dla siebie nieustannie. Fluid ten przeistacza się, wysubtelnia, lub zgęszcza, zależnie od duszy, jaką przyodziewa i od światów, jakie otacza. Nietylko ucieleśnia on ducha i uduchowia materję, lecz odzwierciadla też w ruchliwym łonie swym rzeczy, wolę, i myśli ludzkie w mirażu nieustannym. Siła i tworzenie tych obrazów proporcjonalne są do napięcia woli, która je wytwarza. W istocie bowiem, niern innego sposobu wytłomaczenia poddawania myślowego i przenoszenia myśli na odległość, tej podstawy magji, stwierdzonej obecnie i uznanej przez naukę <sup>1)</sup>. Tak więc przeszłość światów drga w świetle astralnym w obrazach niewyraźnych, a przyszłość krąży tam wraz z duszami żywymi, zniewalanemi przez przeznaczenie swoje nieuniknione do zejścia na ziemię. Takiem właśnie jest znaczenie zasłony Izdy i płaszczu Cybeli, w których tkaninę wesnuła są wszystkie istoty.

Widzimy zatem, że doktryna teozoficzna światła astralnego utożsamia się z doktryną tajemną zakłęcia słonecznego w religjach Wchodu i Grecji. Widzimy też,

---

1) Porówn. Biuletyn T-wa Psychologii fizjologicznej, na czele którego stoi Charcot, 1885. — Por. zwłaszcza piękne dzieło Juljana Ochorowicza „*O poddawaniu myślowem*”.

w jaki sposób doktryna ta wiąże się z doktryną wieszczbiarstwa. Światło astralne występuje w niej jako medium powszechne zjawisk wizyjnych i ekstazy, które też tłumaczy ona. Jest ono zarazem przewodnikiem, przesyłającym poruszenie myśli oraz żywym zwierciadłem, w którym dusza ogląda obrazy świata materialnego i duchowego. Znalazłszy się w tym żywiole, wychodzi umysł widzącego po za granice warunków cielesnych. Przestaje istnieć dla niego miara przestrzeni i czasu. Przyczynia on się do pewnego stopnia do wszechobecności fluidu wszechświata. Materia nieprzezroczysta staje się dla niego przejrzystą, dusza, wyzwolona z więzów ciała, wznosząca się wzwyż w glorii własnego swojego światła, przenika wreszcie—dzięki stanowi ekstazy—do świata duchowego, aby oglądać dusze, spowite w ciała i obcować tam z nimi.

Wszyscy wtajemniczeni starożytni mieli wyraźnie sformułowane pojęcie o tym darze *jasnowidzenia* czyli bezpośredniego widzenia duchowego. Jako dowód służyć może Ajschylos, u którego cień Klitemnestry mówi:

„Spójrz na te rany, duch twój może je oglądać; duch śpiącego ma oczy bardziej przenikliwe; w dzień biały nie ogarniają śmiertelni wzrokiem swoim tak wielkich przestrzeni“.

Dodajmy, że ta teoria jasnovidzenia i ekstazy cudownie zgadza się z licznymi doświadczeniami, przeprowadzonymi naukowo przez współczesnych uczonych i lekarzy na somnambulikach oraz wszelkiego rodzaju jasnovidzących <sup>1)</sup>. Opierając się na tych właśnie faktach współ-

---

<sup>1)</sup> Istnieje w tej materji bogata literatura, bardzo nierównej zresztą wartości, we Francji w Anglii i w Niemczech. Przytoczymy tutaj dwa dzieła, traktujące sprawy te w sposób naukowy przez ludzi wiarogodnych:



czesnych, spróbujemy scharakteryzować pokrótce szereg kolejny stanów psychicznych, zaczawszy od zwykłego jasnowidzenia aż do ekstazy kataleptycznej.

Stan jasnowidzenia, jak na to wskazują wyraźnie tyśiące stwierdzonych faktów, jest stanem psychicznym, różniącym się w tym samym stopniu od snu ile od jawy. Władze intelektualne jasnowidzącego nietylko nie słabną, lecz wzmagają się w sposób zdumiewający. Pamięć jego działa z większą dokładnością, wyobraźnia staje się żywszą, inteligencja—bardziej rozbudzoną. Wreszcie—i w tem właśnie tkwi punkt ciężkości—rozwinął się w nim zmysł nowy, nie będący już zmysłem cielesnym, lecz duchowym. Nietylko udzielają mu się poruszenia myśli magnetyzera, jak w zwykłym zjawisku poddawania myślowego, które już samo przez się wychodzi po za zakres fizyczny, lecz

---

1<sup>o</sup> *Letters on animal magnetism, by William Gregory* (Listy o magnetyzmie zwierzęcym przez Wiliama Gregory)—Londyn 1850.—Gregory był profesorem chemji w uniwersytecie edyńskim. Dzieło jego jest nader pogłębionem studjum zjawisk magnetyzmu zwierzęcego, poczynając od sugestji i skończywszy na widzeniu na odległość i na jasnowidzeniu na jawie, przeprowadzonymi na osobnikach obserwowanych przez niego samego, metodą naukową i z drobiazgową dokładnością.

2<sup>o</sup> *Die mystischen Erscheinungen der menschlichen Natur, von Maximilian Perty* (Mistyczne objawy natury ludzkiej, przez M. Perty) Lipsk 1872. Perty jest profesorem filozofji i medycyny uniwersytetu berneńskiego. Książka jego jest przebogata skarbnicą wszystkich zjawisk okultystycznych, posiadających jakąkolwiek wartość historyczną. Godny uwagi rozdział o jasnowidzeniu na jawie (Schlafwachen) w tomie I-m zawiera dwadzieścia opowieści o dziejach somnambulistek i pięć o dziejach somnambulików, przytoczonych przez lekarzy, którzy ich leczyli. Największą jest historia jasnowidzącej Weiner, pacjentki samego autora.

Porównaj również prace o magnetyzmie Dupotet'a, Deleuze'a, oraz niezmiernie ciekawą książkę: *Die Scherin von Prevorst*, (Jasnowidząca z Prevorst) Justyna Kernera.

jasnowidzący odczytuje myśli obecnych, widzi po przez mury, przenika na odległość setek mil do wewnątrz domów i mieszkań, w których nigdy nie był oraz do życia intymnego ludzi, których nie znał. Oczy jego są zamknięte i nie mogą nic widzieć, ale duch jego widzi dalej i lepiej, aniżeli uczyniłyby to jego oczy otwarte i zdaje się szybować swobodnie w przestrzeni <sup>1)</sup>.

Słowem, o ile jasnowidzenie jest stanem anormalnym ze stanowiska ciała, jest ono stanem normalnym i wyższym ze stanowiska ducha. Bowiern pogłębiła się jego świadomość, rozszerzył się zakres jego widzenia. Jaźń jego pozostała ta sama, wzniosła się ona jedynie na poziom wyższy, na którym wzrok jego, wyzwolony z materialnych narządów ciała, obejmuje i przenika widnokrzg szerszy <sup>2)</sup>. Zaznaczyć należy, że niektóre somnambulistki w chwili poddawania się usypianiu przez magnetyzera, czują, że zalewa je fala światła coraz jaśniejszego, gdy natomiast chwila zbudzenia wydaje im się przykrym powrotem do mroków.

---

<sup>1)</sup> Liczne przykłady u Gregory'ego. List XVI, XVII, i XVIII.

<sup>2)</sup> Filozof niemiecki, Schelling, uznał zasadniczą doniosłość somnambulizmu w kwestji nieśmiertelności duszy. Czyni on spostrzeżenie, że w stanie snu na jawie zachodzi wzniesienie się i względne wyzwolenie duszy w stosunku do ciała, takie, jakie nie miewa nigdy miejsca w stanie normalnym. U somnambulików zdradza wszystko wyższy stopień świadomości, jak gdyby cała ich istota ześrodkowana była w jednym ognisku świetlnym, które łączy przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Nietylko nie zatracają oni pamięci rzeczy minionych, lecz widzą je wyraźniej; odsłania się nawet czasem przed nimi przyszłość w znacznym promieniu. Jeśli stan taki jest możliwy w naszym życiu ziemskim, czyż nie dowodzi to — stawia sobie Schelling pytanie — że nasza jaźń duchowa, która jest tem, co pozostaje po nas po śmierci naszego ciała, jest obecna w nas już za życia, że nie rodzi się ona w chwili zgonu.



Poddawanie myślowe, odgadywanie myśli i widzenie na odległość są faktami, które już same przez się dowodzą niezależnego istnienia duszy i przenoszą nas ponad poziom fizyczny wszechświata, z którym nie zrywamy jednak całkowicie łączności. Jasnowidzenie posiada wszakże nieskończone odmiany i stopniowania różnych stanów, znacznie rozleglejsze, aniżeli stan jawy. Przytoczymy główne jego etapy. *Retrospekcja*—rzut oka wstecz—jest oglądaniem rzeczy minionych, zachowanych w świetle astralnym i wskrzeszonych odczuwaniem jasnowidzącego. *Wieszczenie* właściwe jest odglądaniem zagadkowym rzeczy przyszłych, bądź za pośrednictwem wewnętrznej pracy duszy człowieka, w której tkwią w zarodku czyny przyszłe, bądź pod tajemnym wpływem duchów wyższych, odślaniających duszy jasnowidzącego żywe obrazy przeszłości. W obu wypadkach są to rzuty myśli w świetle

---

lecz wprost wyzwala się z chwilą, kiedy przestaje być związana zmysłami ze światem zewnętrznym? Stań po śmierci jest zatem bardziej rzeczywistym, aniżeli stan ziemski. Bowiem w życiu ziemskim przypadkowość, na którą wciąż jesteśmy narażeni, paraliżuje w nas treść zasadniczą. Schelling określa stan przyszły jednym wyrazem: jasnowidzenie. Duch wyzwolony ze wszystkiego, co jest przypadkową naleciałością w życiu ziemskim, staje się żywszym i silniejszym; zły staje się gorszym, dobry — lepszym.

Niedawno Karol du Prel bronił tej samej tezy, popierając ją bogactwem faktów i spostrzeżeń w pięknym dziele: „*Philosophie der Mystik*” (Filozofja mistyki) 1886. Jego punkt wyjścia jest następujący: Świadomość jaźni nie wyczerpuje swojego przedmiotu. Dusza i świadomość nie są to dwa określenia tożsame i nie pokrywają się wzajem, ponieważ rozciągłość ich nie jest jednakowa. Sfera duszy przerasta znacznie sferę świadomości. „Istnieje więc w nas *jaźń ukryta*. Ta jaźń ukryta, objawiająca się we śnie i w marzeniu, jest jaźnią istotną, nadziemską i duchową, której istnienie poprzedzało naszą jaźń ziemską, związaną z ciałem. Jaźń ziemską jest zniszczalna; jaźń duchowa — nieśmiertelna. Oto dlaczego powiedział św. Paweł: „Już na ziemi kroczymy w niebie”.

astralnym. *Ekstazę* wreszcie określić należy jako wizję świata duchowego, w której duchy złe czy dobre ukazują się jasnowidzącemu w postaci ludzkiej i obcują z nim. Dusza zdaje się rzeczywiście przeniesioną po za ramy ciała, które życie opuściło niemal i które sztywnieje w stanie katalepsji bliskim śmierci. Nic nie jest w stanie oddać, jak opowiadają ekstacy, piękna i świetności tych wizji, ani też uczucia niewypowiedzianego zlania się z istotą boską, jakie pozostaje po nich w postaci upojenia jasnością i harmonją. Można wątpić o istotności tych wizji. Zastrzedz się wszakże należy, że jeśli w przeciętnym stanie jasnowidzenia posiada dusza dokładną świadomość miejsc dalekich i ludzi nieobecnych, logicznem jest przypuszczenie, iż w stanie wyższego uniesienia mogłaby ona oglądać rzeczywistość wyższą i niematerjalną.

Zadanie przyszłości polegać będzie, zdaniem mojem, na przyznaniu transcendentnym władzom duszy ludzkiej należnej im godności i roli ich społecznej, oraz na zorganizowaniu ich pod kontrolą nauki, na podstawach religii prawdziwie powszechnej, dającej wolny dostęp wszystkim prawdom. Wówczas dopiero dotrzeć będzie mogła nauka, odrodzona prawdziwą wiarą i duchem miłosierdzia, mająca oczy otwarte, do sfer owych, w których filozofja pozytywna błąka się po omacku, z opaską na oczach. Tak, nauka stanie się jasnowidzącą i zbawczą w miarę, jak wzrastać w niej będzie i potęgować się znajomość i umiłowanie ludzkości.

I może właśnie „wrotami snu i marzeń“ — jak mówił stary Homer, — boska psyche, którą cywilizacja nasza skazała na wygnanie i która płacze w milczeniu pod ukryciem swojej zasłony, odzyska utracone swoje ołtarze. —

Zjawiska jasnowidzenia, badane we wszystkich ich fazach przez uczonych i lekarzy XIX-go wieku, rzucają bądź co bądź nowe zupełnie światło na rolę wieszczbiar-



stwa w starożytności, a także na mnóstwo przejawów na pozór nadnaturalnych, których pełne są dzieje wszystkich narodów. Oddzielić należy niewątpliwie legendę od historii, halucynację, czyli chorobliwą władzę zmysłów, od wizji prawdziwej. Współczesna psychologia doświadczalna uczy nas wszakże nieodrzucać ryczałtem faktów, które leżą w granicach możliwości natury ludzkiej, lecz, przeciwnie, każe badać je ze stanowiska prawd stwierdzonych. Jeśli jasnowidzenie jest władzą duszy, niewolno już odrzucać bez namysłu proroków, wyroczni i sybill do lamusa przesądów. Wieszcziarstwo i wróżbiarstwo<sup>1)</sup> mogło być znane i uprawiane przez świątynie starożytne na podstawach ustalonych, w celu społecznym i religijnym. Badanie porównawcze religii i tradycji ezoterycznych wskazuje, że podstawy te były jednakie wszędzie, jakkolwiek stosowanie ich nieskończenie mogło być różne. Sztukę wieszczczenia zdyskredytowała jej przedajność, która dawała możliwość dopuszczania się najgorszych nadużyć, zaś piękne jej przejawy możliwe są jedynie u istot nieposzlakowane czystych i wyjątkowo wzniosłych.

Wieszczbiarstwo w tej postaci, w jakiej dokonywane ono było w Delfach, opierało się na powyżej wyluszczonej podstawie, którym odpowiadała wewnętrzna organizacja świątyni. Składała się na nią, podobnie jak w wielkich świątyniach egipskich, sztuka i nauka. Sztuka

---

<sup>1)</sup> *Wieszczenie* — „mantyka atechniczna” i *wróżenie* — „mantyka antechniczna”. W pierwszym wypadku bóg bezpośrednio zwraca się do człowieka, w drugim zsyła mu znaki, wymagające wytłumaczenia przez doświadczonego wróżbitę. Oczywiście nie mogło być tu wyraźnej granicy; najbardziej znana w starożytności mantyka *słów proroczych* zajmowała miejsce pośrednie, ponieważ sny bywały czasem symboliczne i wymagały wróżbity dla ich wytłumaczenia.—Prof. Tadeusz Zieliński: „Religia starożytnej Grecji”—przekł. prof. Stefana Srebrnego. — str. 116. (Przyp. tłum.)

polegała na przenikaniu odległości, przeszłości i przyszłości jasnowidzeniem lub ekstazą proroczą; nauka — na obliczeniu przyszłości na podstawach praw rozwoju wszechświata. Sztuka i nauka kontrolowały się wzajemnie. O nauce tej, zwanej przez starożytnych genetljalogją — czyli nauką wyciągania horoskopów z ruchów gwiazd — której niedostatecznie zrozumianym ułamkiem była astrologja średniowieczna, nie powiemy nic więcej po nad to, że wymagała ona znajomości całej encyklopedji ezoteryzmu, zastosowanej do przyszłości narodów i jednostek. Nader użyteczna, jako sposób orjentowania się, pozostawała ona zawsze nader problematyczną w zastosowaniu. Posługiwać się nią umiały jedynie duchy pierwszego stopnia. Pytagoras zgłębił ją w Egipcie. W Grecji stosowaną ją na podstawie danych mniej pełnych i mniej ścisłych. Jasnowidzenie natomiast i wieszczzenie posunięte były dość daleko.

Wiadomo, że w Delfach uprawiano sztukę tę za pośrednictwem kobiet młodych i starych, zwanych Pytjami i odgrywających bierną rolę jasnowidzących somnambulistek. Kapłani komentowali, wyjaśniali i układali podług własnego rozumienia ich wyrocznie często mgliste i niejasne. Historycy nowocześni nie widzieli w wyroczni delfickiej nic poza wyzyskiwaniem zabobonu przez sprytnych szarlatanów. Nie mówiąc już o tem, że cała filozofja starożytna uznawała sztukę wieszczbiarską świątyni delfickiej, stwierdzić należy, że przemawiają też za nią wyrocznie, przytoczone przez Herodota, jak np. wyrocznie, dotyczące Krezusa i bitwy pod Salaminą. Niewątpliwie miała sztuka ta swoje pierwociny, swój okres rozkwitu i upadku. Szarlatanizm i sprzedajność znieprawily ją, jak o tem świadczy historja króla Kleomena, który przekupił acykapłankę delficką, aby pozbawić Demorata tronu. Plutarch napisał traktat, w którym usiłował dociec, jakie przyczyny spo-



wodowały wygaśnięcie wyroczni, odczute, jako klęska, przez całą społeczność starożytną.

W epoce poprzedzającej uprawiane było wieszczbiarstwo ze zbożną szczerością i pogłębieniem naukowym, które wzniosły je na wyżyny prawdziwego kapłaństwa. Na frontonie świątyni wypisane były te słowa: „Poznaj samego siebie“, a zaś po nad wrotami wejściowemi: „Niech ten, kto nie ma dłoni czystych, nie zbliża się tutaj“. Słowa te mówiły każdemu przybyszowi, że namiętność, kłamstwa i hypokryzje ziemskie nie powinny być przekraczać progu sanktuarjum, którego wnętrze było królestwem prawdy, panującej tam z pełną grozy powagą.

Pytagoras powrócił do Delf dopiero po zwiedzeniu wszystkich świątyni Grecji. Przebywał on przez czas pewien u Epimenidesa w sanktuarjum Jupitera Ideńskiego; był obecnym na igrzyskach olimpijskich; pod jego przewodnictwem odbyły się misterja w Eleuzum, którego hierofanta odstąpił mu miejsca swojego. Wszędzie przyjmowano go jako mistrza. Oczekiwano go w Delfach. Sztuka wieszczbiarska chyliła się tam ku upadkowi i Pytagoras postanowił wznowić dawną jej głębię, jej siłę i jej urok. Nietyle więc przybywał on celem zasięgnięcia rady Apollona, ile dla oświecenia jego interpretatorów, ożywienia ich zapału i podniecenia ich energii. Oddziałać na nich znaczyło oddziałać na duszę Grecji, pracować dla jej przyszłości.

Na szczęście, znalazł on w świątyni cudowne narzędzie, które, zdało się, przygotowały dla niego wyroki opatrności.

Młoda Teoklea była członkinią bractwa złożonego z kapłanek Apollona. Pochodziła ona z jednej z owych rodzin, w których godność kapłańska była dziedziczną. Młodość jej upłynęła wśród podniosłych wrażeń odnoszonych w świątyni, obrządków kultu, peanów i uroczystości na cześć Apollona pytyjskiego i hyperborej-

skiego. Wyobrazić ją sobie należy, jako jedną z owych młodych dziewcząt, mających instynktowny wrodzony wstręt do tego, co pociąga inne. Dziewczeta takie nie lubią Cerery i boją się Wenery. Niepokoi je ciężka atmosfera ziemska, a niejasno przezuwana miłość fizyczna wydaje im się pogwałceniem duszy, sprofanowaniem nie-skalanej, nietykalnej ich dziewiczości. Są one natomiast dziwnie wrażliwe na prądy tajemnicze, na wpływy astralne. Ilekroć srebrzył księżyc ciemne zarośla dokoła źródła Kastalskiego, dostrzegą tam Teoklea prześlizgujące się białe cienie. Wśród dnia białego słyszała głosy tajemnicze. Kiedy wpatrywała się w promienie wschodzącego słońca, wprawiały ją drgania ich w rodzaj ekstazy, podczas której słyszała chóry niewidzialne. Była ona jednak zupełnie niepodatna na wpływ zabobonów i niewrażliwa na bałwochwalstwo kultu gminnego. Posągi były jej obojętne, wstrętem przejmowało ją składanie ofiar ze zwierząt. Nie opowiadała nikomu o widzeniach, które zakłócały jej sen. Czuli instynktem jasnowidzącej, że kapłani Apollona nie posiadli najwyższego światła prawdy, jakiego pożądała. Oni natomiast pilnie dawali na nią baczenie, chcąc ją nakłonić, aby została Pytją, Czuli się ona istotnie pociągniętą niejako ku światom wyższym, do których nie posiadała klucza. Kim byli owi bogowie, którzy opanowali ją, których tchnienie i dreszcz święty czuła w sobie? Chciała dowiedzieć się tego, zanim odda im się w ofierze. Bowiem wielkie dusze czują instynktownie konieczność zdawania sobie jasno sprawy wówczas nawet, kiedy oddają się potęgom boskim.

Jakiż dreszcz głęboki, jakie przeczucie tajemne wstrząsnąć musiało duszą Teoklei, kiedy ujrzała po raz pierwszy Pytagorasa, kiedy usłyszała głos jego wymowny, rozbrzmiewający wpośród kolumn świątyni Apollonal. Odczuła obecność proroka, na którego czekała, poznała



swojego mistrza. Pragnęła poznać prawdę; pozna ją dzięki niemu; dzięki niemu przemówi do niej ów świat wewnętrzny, który nosiła w sobie! —

On zaś również, wiedziony zwykłą sobie przenikliwością i nieomylnością wzroku, poznać w niej musiał ową duszę żywą i wrażliwą, której szukał, chcąc uczynić z niej interpretatorkę myśli swojej w świątyni i tchnąć w nią nowego ducha. Od pierwszego zaraz zamienionego spojrzenia, od pierwszego wypowiedzianego wyrazu, łańcuch niewidzialny przykuł mędrca z Samos do młodej kapłanki, wsłuchanej w słowa jego w niemym zachwycie i chłonej jej wpatrzonemi w niego szeroko oczami. Nie pamiętam już, kto powiedział, że poeta i lira poznają się wzajem po drganiu głębokiem, kiedy zbliżają się do siebie. Podobnie poznali się wzajem Pytagoras i Teoklea.

Ze wschodem słońca rozpoczynały się długie rozprawy Pytagorasa z kapłanami Apollona, których zwano świętymi prorokami. Zażądał on dopuszczenia do rozpraw tych młodej kapłanki celem wtajemniczenia jej w naukę świętą i przygotowania do przyszłej roli. Dzięki temu słuchać mogła wykładów, jakie mistrz miewał codziennie w świątyni. Pytagoras był wówczas w sile wieku męskiego. Jego biała szata kapłańska przepasana była po egipsku, opaska purpurowa przecinała wyniosłe jego czoło. Kiedy mówił, jego spojrzenie głębokie i spokojne tkwiło w osobie, do której kierowane były jego słowa, spowijając ją falą gorącego światła. Powietrze dookoła niego zdawało się stawać lżejszem i czysto duchowem.

Rozprawy mędrca z Samos z najwyższymi przedstawicielami religji greckiej niesłychaną miały doniosłość.

Nie dotyczyły one wyłącznie wszechświata i natchnienia, lecz przyszłości Grecji, losów świata całego. Wiedza, zaszczyty i władza, jakie zyskał w świątyniach memfiskich i babilońskich otoczyły go aureolą wielkiego

autorytetu. Miał on prawo przemawiania w charakterze zwierzchnika i przewodnika mistrzów greckich. Czynił to z siłą wynowy geniuszu swojego, z zapalem swojego posłannictwa. Chcąc rozjaśnić widnokreśli myślowe kapłanów, rozpoczął nauczanie od opowiedzenia im dziejów młodości swojej, walk swoich i swojego wtajemniczenia egipskiego. Mówił im o Egipcie, tej macierzy Grecji, odwiecznym jak świat, nieporuszonym jak mumja, pokryta hieroglifami w głębi jego piramid, kryjąca w grobie swoim tajniki ludów, narzeczy i religji. Odślonił przed oczami ich tajemnice wielkiej lzydy ziemskiej, matki Bogów i ludzi, i, każąc im przejść przez te same próby, przez jakie przeszedł on sam, zanurzył ich wraz z sobą w światło Ozyrysa. Z kolei przeszedł do Babilonu, do magów chaldejskich do ich nauk tajemnych, do owych świątyń obszernych i ciężkich, gdzie wzywają oni ogień żywy, siedlisko demonów i Bogów.

Słuchając Pytagorasa, doznawała Teoklea uczuć zdumiewających. Każde słowo jego wryte było ognistemi głoskami w jej umyśle. Wszystko, co mówił, wydawało jej się zarazem cudownem i już znanem. Słowa mistrza rozwierały przed nią karty wszechświata, jak gdyby był on otwartą dla niej księgą. Nie widziała już Bogów w ich obrazach ludzkich, lecz w ich istocie, tworzącej rzeczy i duchy. Szybowała z nimi, wznosiła się i opadała wraz z nimi w przestworza. Czasem doznawała wrażenia, że nie czuje już granic swojego ciała i że rozwiewa się w nieskończoność. W ten sposób wyobraźnia jej wchodziła z wolna w świat niewidzialny, a dawne oblicza jego, które znajdowała w głębi własnej duszy, mówiły jej, że jest on jedyną, prawdziwą rzeczywistością; wszystkie inne są tylko pozorami. Czuła, że wkrótce jej oczy wewnętrzne otworzą się i że będzie mogła odczytywać bezpośrednio jego tajniki.



Z wyżyn tych ściągnął ją mistrz nagle na ziemię opowiadaniem o klęskach Egiptu. Po nakreśleniu obrazu wielkości egipskiej wiedzy, pokazał ją, padającą pod ciosami najazdu perskiego. Opowiedział o okrucieństwach Kambyzosa, o grabieży świątyń, paleniu na stosach ksiąg świętych, o zabijaniu lub wysyłaniu na wygnanie kapłanów, o perskim potworze despotyzmu, skupiającym pod żelaznemi rządami swojemi wszystkie barbarzyńskie ludy azjatyckie, o koczowniczych, nawpół dzikich rasach z głębi Azji i Indji, czychających tylko na sposobność rzucenia się na Europę. Tak, ten potężniejszy z każdą chwilą huragan runąć musi na Grecję z tak nieublaganą pewnością, z jaką piorun uderzyć musi z chmury, gromadzącej się w powietrzu. Czy Grecja rozkawałkowana, podzielona na drobne, wrogie wzajem państewka, zdolna będzie oprzeć się ciosowi temu straszliwemu? Nie miała ona wyobrażenia nawet o grożącym jej niebezpieczeństwie. Narody nie mogą uniknąć przeznaczeń swoich, a jeśli nie stoją same na ich straży, Bogowie przyspieszają wybuch. Czyż mądry naród Hermesa, Egipt, nie padł po sześciu tysiącach lat rozkwitu? Niestety, Grecja, piękna Jonja, ulegnie prędzej jeszcze! Przyjdzie chwila że Bóg słońca opuści świątynię tę, którą barbarzyńcy zrównają z ziemią, tak że pasterze przyprowadzą stada swoje, aby pasły się na gruzach Delf.

Przy słuchaniu ponurych tych przepowiedni przeobraziło się oblicze Teoklei, przybierając wyraz nieopisanego przerażenia. Osunęła się na ziemię i tu, oplatając ramionami kolumnę, z wzrokiem nieruchomym, pogrążona w zadumę, podobna była do genjusza Bólu, płaczącego na grobie Grecji.

„Są to wszakże tajemnice—mówił dalej Pytagoras,—które pogrzebać należy w głębi świątyni. Wtajemniczony przyciąga śmierć lub odtrąca ją dowolnie. Tworzeniem cza-

rodziejskiego łańcucha woli zbiorowej przedłużają wtajemniczeni istnienia narodów. W waszej leży mocy opóźnić godzinę fatalną, doprowadzić Grecję do rozkwitu, sprawić, aby promieniowało w niej słowo Apollona. Ludy są tem, czem je czynią ich Bogowie; Bogowie objawiają się wszakże tym tylko, którzy ich wzywają. Kim jest Apollo? Słowem Boga jedyne, objawiającem się wiekuiście we wszechświecie. Prawda jest duszą Boga, jego ciałem jest światło. Oglądają je jedynie mędrzy, jasnowidzący i prorocy, ludzie widzą tylko cień jego. Duchy wyniesione do chwały, nazywane przez nas bohaterami i półbogami, przebywają w tem świetle; legjony ich zaludniają je sferami niezliczonemi. Takim jest prawdziwe ciało Apollona, słońce wtajemniczonych; bez promieni jego nic wielkiego nie dzieje się na ziemi. Jak magnes przyciąga żelazo, tak samo myślami naszemi, modlitwami i czynami przyciągamy natchnienie boskie. Waszem winno być dziełem przekazanie Grecji słowa Apollonowego, a wówczas zajasnieje Grecja światłością nieśmiertelną“!

Rozprawami podobnemi zdołał Pytagoras rozbudzić w duszach kapłanów delfickich świadomość ich posłannictwa. Teoklea chłonęła słowa mistrza ze skupioną, niemą namiętnością. Myśl i wola jego przeistaczały ją; przeobrażała się pod ich wpływem, jak gdyby zaczarowana przez nie. Stojąc wpośród zdumionych starców, rozplatała gęstwinę kruczych włosów i odrzucała je w tył głowy, jak gdyby czuła w niej żar płomienny. Oczy jej, szeroko rozwarte, zdawały się oglądać już duchy słoneczne i planetarne na ich drogach świetlistych, w ich blasku olśniewającym.

Pewnego dnia wpadła samorzutnie w głęboki sen na jawie. Otoczyło ją pięciu proroków, nie słyszała wszakże ich głosów, nie czuła ich dotknięcia. Pytagoras zbliżył się



do niej i rzekł: Wstań i idź, dokąd posyła cię myśl moja. Bowiem jesteś już teraz Pytją“!

Pod wpływem głosu mistrza dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem i uniósł je jednym drgnieniem przeciągłem. Oczy jej były zamknięte; widziała wzrokiem duszy.

— Gdzie jesteś? — zapytał Pytagoras.

— Wznoszę się... wznoszę się nieustannie.

— A teraz?

— Płynę w jasności Orfeusza.

— Co widzisz w przyszłości?

— Wielkie wojny... ludzi stalowych... białe zwycięstwa... Apollo powraca do swojej świątyni i ja będę jego głosem!... Ale ty, jego goniec, niestety! niestety! opuścisz mnie... i zawieziesz światło swoje do Italji.

Jasnowidząca, z oczami zamkniętymi, mówiła długo, głosem dźwięcznym, urywanym, rytmicznym; potem nagle, z łkaniem padła jak nieżywa.— Wlewał tak Pytagoras czyste nauki w łono Teoklei i nastrojał ją, jak lirę, na przyjęcie tchnienia Bogów. Wzniesiona na takie wyżyny natchnienia, stała się ona dla niego samego pochodnią, dzięki której mógł zgłębić własne swoje przeznaczenie, przeniknąć możliwą przyszłość swoją i znajdować drogę w bezbrzeżnych strefach świata niewidzialnego. To żywe świadectwo prawd przez niego głoszonych, zachwyty zbudziło w kapłanach, podniecało ich zapał i ożywiało wiarę ich. Świątynia miała już Pytję natchnioną, kapłanów wtajemniczonych w nauki i sztuki boskie; Delfy mogły stać się ponownie ośrodkiem życia i czynu płodnego.

Pytagoras pozostał tutaj przez rok cały. Dopiero po wyjawieniu kapłanom wszystkich tajników doktryny swojej i przygotowaniu Teoklei do wysokiego jej posłannictwa, opuścił Delfy i udał się do Wielkiej Grecji.

IV.  
ZAKON I DOKTRYNA.

Miasto Krotona zajmowało skrajny cypel zatoki Tarrentskiej, obok przylądka Lacynijskiego, mając przed sobą morze otwarte. Było ono, obok Sybarys, najbardziej kwitnącem miastem południowej Italji. Sławiono jego społeczny ustrój dorycki, jego atletów, zwyciężających na olimpijskich igrzyskach, jego lekarzy, współzawodniczących z Asklepiadami<sup>1)</sup>. Sybaryci zawdzięczali nieśmiertelność swoją swojemu zbytkowi i zniewleściałości swojej.

O Krotończykach zapomnianoby może pomimo ich cnót, gdyby nie unieśmiertelniła ich sława siedliska wielkiej szkoły filozofji ezoterycznej, znanej pod nazwą Związku Pytagorejskiego. Szkołę tę uważać można za rodzicielkę akademji platońskiej i pramacierz wszystkich szkół idealistycznych. O ile szlachetnemi są jej potomkinie, pramacierz znacznie je pod tym względem przerasta. Szkoła

---

<sup>1)</sup> Wyspa Kos była ośrodkiem kultu Asklepiosa, czemś w rodzaju fakultetu medycznego. Ojciec medycyny naukowej, Hipokrates, pochodził z wyspy tej, z rodu kapłanów — Asklepiadów. Znajomość ziół leczniczych, która z czasem stała się farmakologją, była uboczną gałęzią nauki Asklepiadów. (Przyp. tłum.)



platońska oparta była na wtajemniczeniu niezupełnem; szkoła stoicka zatraciła już prawdziwą tradycję. Inne systemy filozofji starożytnej i nowoczesnej były mniej lub więcej szczęśliwem myśleniem spekulatywnem, gdy, przeciwnie, Pytagoras oparł doktrynę swoją na nauce doświadczalnej i związał z nią całkowity ustrój życia.

Wobec zaniknięcia ruin miasta pogrzebane są dzisiaj głęboko pod ziemią tajemnice Związku i myśli mistrza. Sprobujmy wszakże wskrzesić je. Da nam to sposobność dotarcia do głębi doktryny teozoficznej, będącej ukrytą sprężyną religji i filozofji oraz do uchylenia rąbka zasłony lzydy przy świetle pochodni geniusza greckiego.

Kilka powodów skłoniło Pytagorasa do obrania tej kolonii doryckiej za środowisko działalności swojej. Celem jego było nie tylko wyjaśnienie doktryny ezoterycznej gronu wybranych uczniów, lecz również przeprowadzenie podstaw jej w wychowaniu młodzieży oraz w ustroju Państwa. Plan ten wymagał założenia instytucji świeckiej z powziętą z góry myślą stopniowego przekształcania politycznego ustroju miast na wzór tego ideału filozoficznego i religijnego. Nie ulega wątpliwości, iż ani jedna republika Hellady czy Peloponezu nie zniósłaby podobnego nowatorstwa. Posądzonoby tam napewno filozofa o knowanie przeciw Państwu. Miasta greckie, położone nad zatoką Tarentską, mniej podminowane przez podżegaczy ludu, były liberalniejsze. Nie mylił się też Pytagoras, żywiąc nadzieję znalezienia u królewskiego senatu posłuchu dla reform swoich. Dodajmy, że plany jego sięgały po za granice Grecji. Odgadując dalszy rozwój rzeczy, przewidywał on upadek hellenizmu, myślał więc o potrzebie wpojenia umysłowi ludzkiemu podstaw religji naukowej. Założeniem szkoły swojej nad zatoką Tarentską rozpowszechnił on idee ezoteryczne w Italji i zachował

w cennej czarze doktryny swojej oczyszczoną treść mądrości wschodniej dla narodów Zachodu.

Przybycie Pytagorasa do Krotonu, skłaniającego się wówczas ku naśladowaniu życia sąsiedniego Sybarysu, oddanego rozkoszy, wywołało tu istny przewrót. Porfirjusz i Jamblik opisują nam pierwsze kroki jego w tem mieście jako czyny czarodzieja raczej, aniżeli filozofa. Zgromadził on młodzież męską w świątyni Apollona, gdzie udało mu się płomienną wymową wyrwać ich z odmetu rozpusty. Zgromadził niewiasty w świątyni Junony i skłonił je do ofiarowania Bogini szat swoich ze złotogłowiu i klejnotów, jako trofeów zwycięstwa, odniesionego nad zbytkiem i próżnością. Surowość nauk jego krasił czar jego głosu; tryskająca płomieniem mądrość budziła oddźwięk sympatji w słuchaczach. Piękno jego oblicza, szlachetność całej postaci, urok głosu i wyrazu twarzy dopełniały dzieła. Kobiety porównywały go do Jupitera, młodzież męska do Apollona hyperborejskiego. Podbił i pociągał tłum, zdumiony własnem ukochaniem cnoty i prawdy pod wpływem słów wieszczych.

Senat krotoński, tak zwana *Rada tysiąca*, zaniepokoił się wzrastającym tym wpływem. Wezwał Pytagorasa, aby zdał sprawę z postępowania swojego oraz ze sposobów, jakich użył do opanowania umysłów. Wezwane to dało mędrcom sposobność rozwinięcia poglądów swoich na sprawę wychowania młodzieży oraz wykazania, że nietylko nie zagrażają one doryckiemu ustrojowi Krotonu, lecz, przeciwnie, mogą go jedynie umocnić. Pozyskawszy dla zamierzeń swoich najmożniejszych obywateli miasta oraz większość senatu, podał im Pytagoras projekt utworzenia instytutu dla niego i jego uczniów. To bractwo wtajemniczonych świeckich prowadzić miało życie wspólne w umyślnie zbudowanym na ten cel gmachu, nie porzucając wszakże prywatnego życia oby-



watelskiego. Ci z pośród zrzeszonych, którzy zasługiwali już na miano mistrzów, mogliby wykładać nauki fizyczne, psychiczne i religijne. Do wykładów tych, jak również do rozmaitych stopni wtajemniczenia, byłaby dopuszczana młodzież, zależnie od stopnia jej rozwoju umysłowego i jej dobrej woli, pod kontrolą przewodnika związku. Na początek mieli młodzieńcy poddać się regulaminowi życia wspólnego i spędzać dni całe w instytucie pod okiem mistrzów. Ci, którzy chcieliby wcielić się formalnie do zakonu, musieliby złożyć majątek swój w ręce obranego kuratora z możliwością odebrania go, kiedy zechcą. Instytut, miałby mieć oddział specjalny dla kobiet, których wtajemniczenie szłoby równolegle, różniłoby się wszakże od męskiego, jako przystosowane do wymagań płci żeńskiej.

Senat krotoński przyjął entuzjastycznie projekt ten, tak że po upływie kilku lat wznosił się już na krańcu miasta gmach, otoczony rozległymi portykami i pięknymi ogrodami. Krotończycy nazwali go świątynią Muz; w istocie też w pośrodku budowli, tuż obok skromnego mieszkania arcymistrza, mieściła się świątynia, poświęcona tym bóstwom.

W ten sposób zrodził się Instytut Pytagorejski, który stał się zarazem kolegjum wychowawczem, akademią nauk oraz małym grodem wzorowym pod kierunkiem wielkiego wtajemniczonego. Teorią i praktyką, poznawaniem nauk i sztuk zarazem osiągnano tutaj stopniowo ową naukę nauk, ową czarodziejską harmonję duszy i umysłu ze wszechświatem, którą Pytagorejczycy uważali za najgłębiej ukrytą sprężynę filozofji i religji. Szkoła pytagorejska szczególnie ma dla nas znaczenie, jako najbardziej godna uwagi próba wtajemniczenia świeckiego. Ta uprzedzająca fakty synteza hellenizmu i chrystjanizmu zaszczerpiła owoc nauki na drzewie życia; osiągnęła owo żywe wewnętrzne urzeczywistnienie prawdy, jakie dać

może jedynie wiara głęboka. Urzeczywistnienie chwilowe, mające znaczenie zasadnicze, jako wzór płodny w daleko idące wyniki.

Ażeby utworzyć sobie pojęcie o niem, dostańmy się do Instytutu Pytagorejskiego wraz z nowicjuszem i przejdźmy krok za krokiem przez wszystkie stadja jego wtajemniczenia.

#### PRÓBA

Biała siedziba braci wtajemniczonych błyszczała z wysokości pagórka, jaśniała wpośród cyprysów i gajów oliwkowych. Z dołu, idąc wzdłuż wybrzeża, widać było jej portyki, ogrody i jej gimnazjum. Po nad dwoma skrzydłami gmachu wznosiły się półkołem wysmukłe, lekkie kolumny świątyni Muz. Z tarasu ogrodów otwarty był widok na miasto z jego Prytaneum<sup>1)</sup>, jego portem i jego placem zgromadzeń publicznych. Zdała, pomiędzy urwistemi brzegami, niby w czarze z agatu, lśniły się wody zatoki; widokrąg zamykało smugą lazuru morze Jońskie. Czasem widzieć można było wychodzące z lewego skrzydła długie sznury niewiast, odzianych w szaty różnokolorowe i idących aleją cyprysową ku morzu. Szły pełnić obowiązki swoje w świątyni Cerery. Często też widywano szeregi mężczyzn, odzianych w szaty białe, wychodzących ze skrzydła prawego i idących w górę ku świątyni Apollona. Niemalym też musiało być urokiem dla żywej wyobraźni młodzieży, że nad szkołą wtajemniczonych pleczę rozciągały dwa bóstwa, z których jedno, Wielka Bogini, mieściło w sobie głębokie tajniki Koblety i Ziemi, zaś drugie, Bóg słońca, wyjaśniało tajniki Mężczyzny i Nieba.

<sup>1)</sup> *Prytaneum* — miejsce posiedzeń stale funkcjonujących organów zarządu Państwa. (Przyp. tłum.).



Jaśniał więc nazewnątrz miasta i ponad niem mały gród wybranych. Jego cicha pogodność pociągała szlachetne instynkty młodzieży, nie widać wszakże było nic z tego, co zachodziło wewnątrz jego murów; wiadomo też było, że wstęp do niego nie należał do rzeczy łatwych. Za całą ochronę ogrodów, przeznaczonych na Instytut Pytagorejski, służył okalający je żywopłot. Stał tu jednak posąg Hermesa, na którego cokóle wypisane były słowa: *Eskato Bebeloi*, cofnijcie się, profani. Wszyscy szanowali ten nakaz Misterjów. Pytagoras niezmiernie był surowy w przyjmowaniu nowicjuszków, mówiąc, że „niekażde drzewo nadaje się do urobienia zeń Merkurego“. Młodzi ludzie, pragnący wstąpić do Związku, musieli przejść przez okres prób i doświadczeń. Wprowadzonym przez rodziców lub jednego z mistrzów pozwalano zrazu wchodzić tylko do gimnazjum pytagorejskiego, gdzie nowicjusze oddawali się grom i zabawom, właściwym ich wiekowi. Młodzieniec spostrzegł na pierwszy zaraz rzut oka, że gimnazjum to niepodobne było do zwykłych instytucji tego rodzaju. Nie słychać tu było okrzyków głośnych, nie było grup hałaśliwych; ani niedorzecznego junactwa, ani pełnego próżności popisywania się przyszłych atletów siłą, wyzywania się wzajem i napinania z przechwałką swoich mięśni; snuły się tutaj natomiast grupy młodzieńców uprzejmych i wytwornych, przechadzały się pary ich pod portykami lub oddawały się grom na arenie. Młodzieńcy zapraszali przybysza z wdziękiem i prostotą do wzięcia udziału w ich rozmowie, jak gdyby należał już do nich, bynajmniej wszakże nie obrzucali go przy tem ciekawem lub nieufnem spojrzeniem. Na arenie urządzano gonitwy, lub bawiono się ciskaniem dzirytów i szermierką krążkiem. Urządzano też udawane boje w postaci tańców doryckich, surowo natomiast zakazane były przez Pytagorasa wszelkie zapasy atletyczne. Mistrz utrzymywał, że zbędnem

byłoby, a nawet niebezpiecznym, rozwijanie siły i zręczności za cenę podniecania pychy i nienawiści; że ludzie, przeznaczeni do uprawiania cnót braterstwa i przyjaźni, nie mogą rozpoczynać od powalania się wzajem na ziemię i tarzania się w piasku jak dzikie zwierzęta; że prawdziwy bohater umie walczyć odważnie lecz bez zaciekłości; że nienawiść czyni człowieka niższym od każdego z jego przeciwników. Nowoprzybyły słuchał mądrych maksym tych, powtarzanych przez nowicjuszków, dumnych, że mogą podzielić się z nim nabytą już tak wcześniej mądrością. Zarazem też zachęcali go oni do wypowiedzenia własnego jego w tej mierze zdania, do otwartego zwalczania ich poglądów. Naiwny przybysz, ośmielony tą zachętą, rychło odślaniał prawdziwą swoją naturę. Szczęśliwy, że go słuchają i podziwiają, prawil i rozwodził się, ile chciał. Mistrzowie pilnie go tymczasem obserwowali, żadnych nie czyniąc mu uwag. Pytagoras zjawiał się niespodziewanie, aby swobodnie badać słowa jego i ruchy. Zwracał on baczna uwagę na chód i na śmiech młodzieńców. Śmiech, mówił, zdradza charakter w sposób niewątpliwy i żadne udawanie nie może upiększyć śmiechu złego człowieka. Przeprowadził on tak głębokie również badania twarzy człowieka, że umiał wyczytać z niej głąb jego duszy <sup>1)</sup>.

Szczegółowa ta obserwacja dawała mistrzowi możliwość urobienia sobie dokładnego pojęcia o przyszłych uczniach. Po kilku miesiącach następowały próby ostateczne. Były one naśladowaniem wtajemniczenia egipskiego, wielce wszakże złagodzonem i przystosowanem do natury greckiej, której wrażliwość nie byłaby zdolną do zniesienia śmiertelnej grozy podziemi memfiskich lub

---

<sup>1)</sup> *Orygenes*, filozof ze szkoły nowoplatońskiej, utrzymuje, że Pytagoras był wynalazcą fizjognomiki.



tebańskich. Nakazywano pragnącemu wstąpić do Związku, aby spędził noc w pieczarze, nawiedzanej, jak utrzymywano, przez potwory i zjawy. Tych, którzy nie mieli siły znieść ponurych wrażeń samotności i nocy, którzy nie chcieli wejść do pieczary lub uciekali z niej przed nadejściem świtu, odrzucano jako zbyt słabych do wtajemniczenia.

Próba moralna była poważniejsza. Nagle, bez przygotowań, zamykano pewnego pięknego rana przyszłego adepta w smutnej, nagiej celi. Zostawiano mu tabliczkę szyfrową i nakazywano, nie dając żadnych wyjaśnień, odnaleźć znaczenie jednego z symbolów pytagorejskich, jak np.: „Co oznacza trójkąt, wpisany w koło?” lub też: „Dlaczego dwunastościan, zawarty w kole, jest cyfrą wszechświata?”. Z tabliczką tą i tem zagadnieniem spędzał młodzieniec dwanaście godzin w celi swojej, mając za jedynych towarzyszy samotności—kubek wody i kęs suchego chleba. Po upływie tego czasu sprowadzano go do sali przed zebranych nowicjusów. W tym jedynie wypadku nakazywano im szydzić niemiłosiernie z nieszczęśliwego, który, zły i zgłodniały, stawał wobec nich jak winowajca. „Oto, — mówili — nowy filozof. Jaką ma natchnioną twarz! Opowie nam o rozmyślaniach swoich! Nie ukrywaj przed nami wielkich odkryć twoich. Przejdziesz w ten sposób wszystkie symbole. Jeszcze miesiąc takiego życia, a staniesz się wielkim mędrcelem!”

W takiej właśnie chwili wpatrywał się mistrz z głębokim napięciem uwagi w młodzieńca, obserwując bawdawczo zachowanie się jego i wyraz twarzy. Rozdrażniony głodem, obrzucany szyderstwami, upokorzony niemożnością rozwiązania niezrozumiałej zagadki, czynić musiał olbrzymi wysiłek, aby nie utracić panowania nad sobą. Niektórzy płakali ze złości, inni dawali odpowiedzi cyniczne; jeszcze inni, tracąc równowagę i wybuchając wściekłością, rzucali

na ziemię tabliczkę, tłukąc ją w kawałki i miotając obelgi na szkołę, mistrza i jego uczniów. Wówczas zjawiał się się Pytagoras i oznajmiał z pełną spokoju powagą, że człowiek, który tak źle zniósł próbę, jakiej poddano jego miłość własną, proszony jest o nieprzychodzenie więcej do szkoły, o której tak ujemny wyraził sąd, a której podstawowemi cnotami muszą być uczucia przyjaźni i poszanowania dla mistrzów. Odrzucony kandydat odchodził ze wstydem, stając się częstokroć groźnym wrogiem Związku, jak ów słynny Cylon, który w następstwie podjudził przeciwko Pytagorejczykom tłum i spowodował upadek instytucji. Ci natomiast, którzy znosili napaści z niezachwianym spokojem, którzy odpowiadali na prowokacje słusznymi i mądrymi uwagami, oznajmiając, że będą gotowi ponawiać próbę stokrotnie, byleby zdobyć bodaj okruszynę wiedzy, przyjmowani zostali uroczystie do nowicjatu, a nowi ich towarzysze wieszowali im entuzjastycznie tego zaszczytu.

#### STOPIEŃ PIERWSZY — PRZYGOTOWANIE NOWICJAT I ŻYCIE PYTAGOREJSKIE

Wówczas dopiero rozpoczynał się nowicjat zwany *przygotowaniem* (paraskeie), trwający co najmniej dwa lata i mogący przedłużyć się do lat pięciu. Nowicjusze, czyli *śluchacze* (akusikoi), poddać się musieli podczas wykładów regulaminowi bezwzględnej milczenia. Nie mieli oni prawa ani oponowania mistrzom swoim ani dyskusowania w sprawie ich wykładów. Mieli obowiązek przyjmowania nauk z szacunkiem, a potem długiego rozważania ich w głębi własnej myśli. Aby wrazić nakaz ten w pamięć nowego *śluchacza*, pokazywano mu posąg niewiasty, spowitej długą zasłoną i trzymającej palce na ustach, posąg *Muzy milczenia*.



Pytagoras nie wlerzył, aby młodzież zdolna była zrozumieć początek i koniec wszechrzeczy: Uważał też, że ćwiczenie jej w dialektyce i w umiejętności rozumowania, zanim zdobędzie poczucie prawdy, rodzi puste mózgownice i zarozumiałych sofistów. Dbał on nadewszystko o rozwinięcie w uczniach swoich pierwotnej władzy wyższej: intuicji. Dlatego też nie wykladał rzeczy zagadkowych i trudnych. Brał za punkt wyjścia uczucia wrodzone, pierwsze obowiązki człowieka od chwili przyjścia jego na świat i wykazywał stosunek ich do praw, rządzących wszechświatem. Wpajając młodzieży przedewszystkiem miłość dla rodziców, rozszerzał to uczucie, upodabniając pojęcie ojca do pojęcia Boga, wielkiego twórcy wszechrzeczy. „Niemasz nic bardziej czcigodnego — mówił — nad godność ojca. Homer nazwał Jupitera królem Bogów, aby wszakże wykazać całą jego wielkość, nazwał go ojcem Bogów i ludzi“. Matkę porównywał z naturą szczerą i dobroczynną: Jak niebiańska Cybela tworzy ciała niebieskie, jak Demeter płodzi owoce i kwiaty ziemskie, tak matka karmi dziecię wszystkimi swojemi radościami. Syn winien zatem czcić w matce i ojcu przedstawicieli, ziemskie wizerunki wielkich tych bóstw. Wykazywał również, że miłość dla ojczyzny jest wyższym szczeblem miłości, którą się w latach dziecięcych czuło dla matki. Rodzice dani nam zostali nie przypadkowo, jak sądzi prostak, lecz na mocy układu uprzedniego i wyższego, zwanego losem lub koniecznością. Rodziców należy czcić, przyjaciela zaś trzeba wybierać. Zachęcano nowicjuszków, aby grupowali się parami, kierowani powinowactwem dusz. Młodszy winien był szukać w starszym cnót, które sam pragnął osiągnąć, i obaj przyjaciele winni byli pobudzać się wzajem do lepszego życia. „Przyjaciel jest drugim naszym ja. Czcic go należy jak Boga“ — mówił mistrz. O ile regulamin pytygorejski naka-

zywał nowicjuszowi — słuchaczowi bezwzględną uległość mistrzom, pozostawiał mu on zupełną swobodę w roskoszowaniu się czarem przyjaźni, widział w niej nawet bodziec do rozwijania wszelkich cnót, budzenia poezji życia, wskazywania drogi do ideału.

Rozbudzał w ten sposób władze indywidualne, ożywiał i zdobił moralizatorstwo czarem poezji. Regulamin, przyjmowany chętnie, przestawał być przymusem, stając się stwierdzeniem istotnej jaźni osobnika. Pytagoras chciał, ażeby posłuszeństwo było zgodą i przyzwaniem. Kształcenie moralne było przygotowaniem do studjów filozoficznych. Bowiem stosunek, jaki uczył się nowicjusz dostrzegać pomiędzy obowiązkami społecznymi a harmonją wszechświata, nasuwał mu myśl o prawie analogji i zgodności. Na prawie tem opiera się zasada Misterjów, doktryny tajemnej oraz wszelkiej filozofji. Umysł ucznia przywykał w ten sposób odnajdywać piętno porządku niewidzialnego na widomej rzeczywistości. Zasady ogólne i treściwe nakazy otwierały perspektywy na świat wyższy. Przez dzień cały brzmiały w uszach ucznia wraz z dźwiękami liry *wiersze złote*:

Bogom nieśmiertelnym nieś hold im poświęcony,  
A potem wiarę twoją zachowaj.

Komentując maksymę tę, wykazywano, że Bogowie, napozór różni, byli w gruncie rzeczy jednacy u wszystkich narodów, bowiem odpowiadali tym samym władzom umysłowym i duchowym, działającym w całym wszechświecie. Mędrzec mógł zatem czcić Bogów swojej ojczyzny, mimo że o istocie ich odmienne aniżeli ogół urobił sobie pojęcie. Tolerencja dla wszystkich kultów; zespolenie wszystkich ludów w ludzkości; jednolitość religji w nauce ezoterycznej; wszystkie te nowe idee światać zaczynały mglistymi zarysami w umyśle nowicjusza, niby bóstwa wspaniałe, dojrzone w przelocie w przepy-



chach zachodu. A złota lira rozbrzmiewała w dalszym ciągu powagą swoich pouczeń:

Cześć miej dla pamięci  
Bohaterów-patronów, duchów nawpół-boskich.

Z poza słów tych jaśniała dla nowicjusza, jak przez zasłonę, boska psyche, dusza ludzka. Droga niebieska jaśniała niby przedziwo świetlne. Albowiem w kulcie bohaterów i pół-bogów dopatrywał się wtajemniczony doktryny życia przyszłego i tajemnicy rozwoju wszechświata. Nie odślaniano przed nowicjuszem wielkiej tej tajemnicy; przygotowywano go jedynie do zrozumienia jej mówieniem mu o hierarchji istot, wyższych od ludzkości, zwanych bohaterami i pół-bogami i będących przewodnikami jego i opiekunami. Dodawano, że istoty owe odgrywają rolę pośredników pomiędzy człowiekiem a bóstwem, że za ich pośrednictwem może on stopniowo zbliżyć się doń, jeśli będzie uprawiał cnoty bohaterskie i boskie. „Jak jednak porozumiewać się z genjuszami tymi niewidzialnymi? Skąd się bierze dusza? dokąd dąży? i dla czego to ponure milczenie śmierci?“ Nowicjusz nie śmiał formułować takich pytań, czuło się je wszakże w jego spojrzeniu. Za całą odpowiedź wskazywali mu duchowi jego przewodnicy ludzi walczących na ziemi, posągi w świątyniach oraz dusze chwałą okryte w niebie, „w ogniowej twierdzy Bogów“, dokąd udało się dotrzeć Herkulesowi.

W ukrytej głębi tajników starożytnych sprowadzano wszystkich Bogów do Boga jedyne go, najwyższego. Objawienie prawdy tej, pojmowanej ze wszystkimi jej konsekwencjami, stawało się kluczem Kosmosu.—

Dla tego właśnie odkładano wyjaśnienie jej do właściwego wtajemniczenia.

Nowicjusz nie wiedział nic o niej. Pozwalano mu jedynie domyślać się jej po za osłoną tego, co mu mó-

wiono o potędze Muzyki i Liczby. Bowiem w liczbach — nauczał mistrz — zawarta jest tajemnica wszechrzeczy, a Bóg jest harmonją wszechświata. Siedem odmian świętych, opartych na siedmiu nutach liry siedmiostrunnej, odpowiada siedmiu barwom światła, siedmiu planetom, siedmiu postaciom bytu, powtarzającym się we wszystkich sferach życia materialnego i duchowego, od najmniejszej do największej. Melodje tych form, umiejętnie wrażane w ucho, nastrojać miały duszę i czynić ją tak dźwięczną, aby mogła współdrgać z tchnieniem prawdy.

Temu oczyszczeniu duszy odpowiadało z natury rzecz oczyszczenie ciała, osiągnięte stosowaniem higieny i surowości obyczajów. Opanowanie żądz własnych i namiętności pierwszym było obowiązkiem wtajemniczenia. Kto nie przetworzył w harmonję własnej swojej istoty, nie może być odbiciem harmonji boskiej. Mimo to wszakże nie miał w sobie ideał życia pytagorejskiego nic z życia ascetycznego, bowiem małżeństwo uważane w niem było za rzecz świętą. Nowicjuszom zalecano wszakże czystość, a wtajemniczonym umiarkowanie, jako źródło siły i doskonalenia się. „Ulegaj roskoszy wówczas tylko, kiedy zgodzisz się być niższym, od samego siebie“ — uczył mistrz. Dodawał, że rokosz sama przez się nie istnieje i porównywał ją do „śpiewu Syren, rozwiewających się, gdy się do nich zbliżyć i pozostawiających, zamiast siebie, jedynie połamane kości i krwawiące ciało zwabionego na, stoczonym przez wody, cyplu skalnym. Prawdziwa natomiast radość podobna jest do koncertu Muz, pozostawiających w duszy boską harmonję.

Pytagoras wierzył w cnoty kobiety wtajemniczonej, nie ufał wszakże zwykłej kobiecie. Jednemu z uczniów, który zapytał go, kiedy wolno mu będzie zbliżyć się do kobiety, odpowiedział ironicznie: „Kiedy znuży cię twój wypoczynek“.



Dzień pytagorejski podzielony był w sposób następujący: Z chwilą gdy płomienna tarcza słoneczna wynurzała się z błękitnych fal morza Jońskiego i złościła kolumny świątyni Muz po nad siedzibą wtajemniczonych, intonowali młodzi Pytagorejczycy hymn do Apollona, do którego wtórem był taniec dorycki o charakterze męskim i świętym. Po przepisanych obmywaniach odbywano w milczeniu przechadzkę po świątyni. Każde przebudzenie jest wskrzeszeniem, mającem swój kwiat niewinności. Duższa winna skupić się wraz brzaskiem dnia i pozostać nieskalaną do wykładu porannego. W gaju świętym gromadzono się dokoła mistrza albo nauczycieli i rozpoczynał się wykład pod cieniem wielkich drzew lub w chłodzie portyku. W południe odprawiano modły do bohaterów, do genjuszów dobroczynnych. Wedle tradycji ezoterycznej duchy przyjazne lubią zbliżyć się do ziemi wraz z promieniami słońca, zaś złe duchy szukają mroku i zapełniają atmosferę z nadejściem nocy.—Skromny posiłek południowy składał się zazwyczaj z chleba, miodu i oliwek. Popołudnie poświęcano ćwiczeniom gimnastycznym, potem nauce, rozmyślaniu i opracowywaniu myślowemu porannego wykładu. Po zachodzie słońca odprawiano modły wspólne, śpiewano hymn do bogów kosmogonicznych, do Jupitera niebiańskiego, do Minerwy-Opatrzności, do Djany-Opiekunki zmarłych. Podczas tego płonęły na urządzonym na otwartem powietrzu ołtarzu: żywica pachnąca, kadzidło lub manna; dźwięki hymnu, zmieszane z oparem wonnym, ulatywały cicho wśród zmroku, gdy pierwsze gwiazdy wyblyskiwały na bladym lazurze nieba. Dzień kończyła wieczerza, podczas której najmłodszy z Pytagorejczyków odczytywał ustęp, objaśniany przez najstarszego.

W ten sposób upływał dzień pytagorejski, czysty jak woda kryniczna, jasny jak poranek bezobłoczny. Podział roku odpowiadał wielkim świętom astronomicznym,

Tak więc powrót Apollona hyperborejskiego i święcenie misterjów Cerery gromadziły nowicjuszy i wtajemniczonych wszystkich stopni: mężczyzn i niewiasty. Młode dziewczęta grały na lirach z kości słoniowej, kobiety zamężne, strojne w peplum z purpury i tkaniny barwionej szafranem, tworzyły chóry z akompanjamentem śpiewu oraz harmonijnych nawrotów strofy i antystrofy, naśladowanych w następstwie przez tragedję. W pośród tych festynów wielkich, na których bóstwo zdawało się przejawiać w pięknie kształtów i ruchów, w przenikliwej melodji chórów, doświadczał nowicjusz jak gdyby przeczcucia sił tajemnych, wszechmocnych praw ożywionego wszechświata, nieba głębokiego i przejrzystego. Zaślubiny, obrządki pogrzebowe miały charakter bardziej pofufny, lecz niemniej uroczysty. Oryginalna ceremonia pewna specjalnie nadawała się do oddziaływania na wyobraźnię. Jeśli zdarzyło się, że nowicjusz opuszczał związek dobrowolnie, aby powrócić do życia zwykłego lub też jeśli — co zdarzyło się raz jedyny tylko — uczeń zdradził jeden z tajników doktryny, wtajemniczeni wznosili mu w specjalnie na to przeznaczonem miejscu grobowiec, jak gdyby był umarł. Mistrz mówił wtedy: „Bardziej on umarł niż zmarł, albowiem powrócił do złego życia; ciało jego chodzi wśród ludzi, lecz dusza jego umarła; płaczmy nad nią“. I grobowiec ten, wzniesiony dla żywego, prześladował go jak własna zjawa i jak ponura przepowiednia.

DRUGI STOPIEŃ — OCZYSZCZENIE—<sup>1)</sup>  
LICZBY — TEOGONJA

Był to dzień szczęśliwy, „złoty dzień“, jak mówili starożytni, ów dzień, w którym przyjmował Pytagoras

<sup>1)</sup> Po grecku *Katharsis*.



u siebie nowicjusza i wkluczał uroczyście do grona uczniów swoich. Dzięki aktowi temu nawiązywał młodzieniec stały, bezpośredni stosunek z mistrzem: wolno mu było wchodzić na wewnętrzny podwórzec siedziby mistrza, dostępny jedynie dla wiernych jego wyznawców. Stąd nazwa *ezoteryków* (tych z wewnątrz), przeciwna nazwie *egzoteryków* (tych z zewnątrz). Rozpoczynało się prawdziwe wtajemniczenie.

Wtajemniczenie to polegało na pełnym i wyrozumowanym wykładzie doktryny okultystycznej, począwszy od jej podstaw, zawartych w tajemnej nauce liczb aż do ostatecznych wyników ewolucji jej we wszechświecie, do przeznaczeń i celów najwyższych boskiej psyche, duszy ludzkiej. Ta nauka liczb znana była pod rozmaitemi nazwami w świątyniach Egiptu i Azji. Tajono ją starannie przed tłumem w przeświadczeniu, że daje ona klucz do całej doktryny. Jedynie wtajemniczony zrozumieć mógł cyfry, litery, figury geometryczne lub też wizerunki ludzkie, służące jako znaki tej algebry świata tajemnego. Znaczenie ich odsłaniano adeptom dopiero po złożeniu przez nich przysięgi milczenia. Pytagoras sformułował naukę tę w książce napisanej przez siebie własnoręcznie: *hieros logos*, mowa święta. Książka ta nie doszła do nas; główne wszakże wytyczne jej znane nam są dzięki późniejszym pismom Pytagorejczyków: Filolausa, Archytasa i Hieroklesa, dzięki dialogom Platona, traktatom Arystotelesa, Porfirjusza i Jamblika. Pozostały one wszakże dla współczesnego filozofa księgą zamkniętą na siedem pieczęci wprost dlatego, że znaczenie ich oraz ich doniosłość mogą być zrozumiane jedynie na podstawie klucza porównawczego wszystkich doktryn Wschodu.

Pytagoras nazywał uczniów swoich matematykami, ponieważ wyższy wykład jego rozpoczął się od doktryny liczb. Ta matematyka święta, czyli nauka zasad, była

wszelako zarazem bardziej duchową i bardziej żywotną aniżeli matematyka świecka, jedyna, znana naszym uczonym i filozofom. LICZBA nie była w niej uważana za czynnik oderwany, lecz za właściwość istotną twórczą JEDNOŚCI najwyższej, Boga, źródła harmonii wszechświata. Nauka *liczb* była nauką potęg żywych, *władz boskich* czynnych we wszechświecie i w człowieku, w makrokosmie i mikrokosmie... Przenikając je, rozróżniając i wyjaśniając, budował Pytagoras podstawy racjonalnej teogenji czyli teologii.

Teologja prawdziwa powinna dostarczyć podstaw wszystkim naukom. Stanie się ona wiedzą boską wówczas dopiero, kiedy zdolna będzie wykazać jednolitość i łączność wszystkich nauk naturalnych. Zasługiwać może na miano swoje jedynie pod warunkiem stania się narzędziem i syntezą wszystkich innych nauk. Taką była właściwa rola nauki słowa świętego w świątyniach egipskich, sformułowana i ustalona przez Pytagorasa pod nazwą nauki liczb. W pojęciu jej twórcy stanowić ona miała klucz bytu, wiedzy i życia. Adept winien był, pod kierunkiem mistrza, zaczynać od rozważania jej podstaw we własnym umyśle, zanim zapoznać się miał z wielorakimi jej zastosowaniami w koncentrycznym bezmiarze sfer rozwoju. Poeta nowoczesny przeczuł prawdę tę, każąc Faustowi zstąpić do *Matek*, aby tchnąć ponownie życie w cień Heleny. Faust chwycił ów klucz magiczny, ziemia zapada się pod jego stopami, wszystko wiruje dookoła niego i pogrąża się on w próżnię przestworzy. Doclera wreszcie do *Matek*, czuwających nad pochodniami postaciami wielkiej Całości i wylaniających istoty z tygla pratypów. Matkami temi są Liczby Pytagorasa, boskie potęgi świata. Poeta oddał drgnienie myśli własnej przy tem pogrążeniu się w otchłanie Niezglębionego. To objawienie duchowe wydawało się starożytnemu wtajemniczonemu, w którym,



niby zmysł nowy, budziło się bezpośrednio widzenie wewnętrzne, — wzlotem raczej ku żarzącemu się słońcu Prawdy, z którego w pełni Światła oglądał byty i kształty, rzucone w wir żywotów promieniowaniem zawrotnem.

Nieodrazu wszakże zdobywał on wewnętrzne takie opanowanie Prawdy, dzięki któremu, skupiając wszystkie władze swoje, osiąga człowiek poznanie życia wszechświata. Wymagało to całych lat ćwiczenia się, wyrabiania w sobie tak trudnego szarmonizowania rozumu i woli. Zanim danem mu było zawładnąć słowem twórczem — jakże niewielu osiągało ten cel najwyższy! — musiał, litera po literze, zgłoska po zgłosce, odczytywać słowo święte.

Pytagoras miał zazwyczaj wykłady te w świątyni Muz, wzniesionej przez senat krotoński na wyraźne żądanie filozofa i podług jego wskazówek, tuż przy siedzibie jego, w zamkniętym ogrodzie. Przekraczać jej progi mogli jedynie wtajemniczeni drugiego stopnia, i to zawsze w obecności mistrza. Wewnątrz tej świątyni kształtu kulistego stało dziewięć marmurowych posągów Muz. W pośrodku ich czuwała Hestja, spowita w zasłonę, uroczysta i tajemnicza. Lewą ręką osłaniała płomień ogniska, prawą — wskazywała niebo. U Greków, zarówno jak i u Rzymian, Hestja, czyli Westa, jest strażniczką wszechobecnego żywiołu boskiego. Jako świadomość ognia świętego ma ona ołtarz swój zarówno w świątyni Delfickiej, jak w Prytaneum ateńskim i w każdym najmniejszym ognisku domowym.

W sanktuarjum Pytagorasa była ona symbolem Wiedzy boskiej ośrodkowej czyli Teogonji. Skupione dokoła niej Muzy nosiły, oprócz tradycyjnych nazw mitologicznych, miano nauk tajemnych i sztuk świętych, nad nad którymi powierzona im była piecza. *Uranja* miała pod swoją opieką astronomję i astrologję; *Polyhymnja* — znajomość dusz w zaświatach oraz sztukę wieszczbiarską;

*Melpomena*, — naukę życia i śmierci, przeobrażeń i odrodzeń. Trzy te Muzy wyższe tworzyły pospołu kosmogonię czyli fizykę nieba. *Kalliope*, *Klio* i *Euterpe* były opiekunkami nauki o człowieku czyli psychologii oraz odpowiadających jej sztuk: medycyny, magji i moralności. Grupa ostatnia: *Terpsychora*, *Erato* i *Talja* obejmowała fizykę ziemską, naukę żywiołów, kamieni, roślin i zwierząt. W żywym kręgu Muz, które oświetlał płomień boski, dostrzegał uczeń, na pierwszy zaraz rzut oka, całokształt nauk, będący odbiciem całokształtu wszechświata.

Po wprowadzeniu uczniów swoich do małego tego sanktuarjum otwierał Pytagoras Księgę Słowa i rozpoczął swój wykład ezoteryczny.

„Muzy te — mówił — są tylko ziemskim wizerunkiem boskich potęg, których niematerialne wzniosłe piękno w sobie samych podziwiać będziecie. Jak one wpatrzone są w ogień Hestji, z którego się wyłoniły, który nadał im ruch, rytm i melodję — tak samo i wy pogrążyć się winniście w centralny ogień wszechświata, w Ducha bożego, aby wcielić się wraz z nim w jego przejawy widome“. — Po słowach tych, śmiałym, potężnym rzutem porywał Pytagoras uczniów swoich ze świata kształtów i rzeczywistości, zacierał granice czasu i przestrzeni i zagłębiał się wraz z nimi w *wielką Monadę*, w treść Istoty Niestworzonej.

Pierwszą, stworzoną z harmonji, Jednością nazywał Pytagoras Ogień męski, przenikający wszystko, Ducha poruszającego się własną swoją siłą, Niepodzielnego i Nieobjawionego, którego myśl twórczą przejawiają znikome światy, Niezmiennego, ukrytego w wielorakości rzeczy zmiennych i przemijających. „Istota rzeczy samej w sobie wymyka się przed człowiekiem — mówił Pytagorejczyk, Filolaus. Zna on jedynie tworzywa tego świata, w którym znikomość łączy się z nieskończonością. A w jaki sposób



może je poznać? Oto dlatego, że pomiędzy nim a tworami temi istnieje harmonja, związek, zasada wspólna. Harmonja tych zasad sprowadza jedność wśród wielości, zgodność w różnorodności. Zasada ta nadana została wszechrzeczy przez Jedność, która wraz z istotą rzeczy daje im miarę i zrozumiałość. Tą wspólną zasadą jest miara wspólna podmiotu i przedmiotu, przyczyna i racja bytu wszechrzeczy, sprawiająca, że dusza bierze udział w ostatecznej przyczynie Jedności".<sup>1)</sup> W jaki wszakże sposób zbliżyć się do Niej, do Istoty nieuchwytniej? Czy widział kto kiedykolwiek władcę czasu, duszę słońc, źródło Intelktów? Nie, bowiem jedynie zlewając się z nim, przenika się jego istotę. Jest on jak ogień niewidzialny, umieszczony w ośrodku wszechświata, którego płomień ruchliwy krąży we wszystkich światach i porusza ich obwód. Dodawał, że zadaniem wtajemniczenia jest zbliżenie się do wielkiej Istoty, przez wyniesienie się intelektu po nad poziomość rzeczy ziemskich, przez stanie się równie *czynnym* jak ona, nie zaś *biernym* jak one. „Czyż dusza wasza własna nie jest mikrokosmem, małym wszechświatem? Pełna ona wszakże burz i rozdźwięków. Osiągnąć w niej zatem należy jedność w harmonji. Wówczas, wówczas dopiero zstąpi Bóg w świadomość waszą, wy zaś

---

<sup>1)</sup> Matematyka transcendentna (nadzmysłowa) udawadnia algebraicznie, że zero, pomnożone przez Nieskończoność, równa się Jedności. Zero w układzie pojęć bezwzględnych oznacza Istotę nieokreśloną. Nieskończoność, Wiekuistość—oznaczona była w języku świątyni za pomocą koła lub też węza, gryzącego własny ogon, co oznaczało Nieskończoność w ruchu. Otóż z chwilą, kiedy Nieskończoność określa się, wytwarza ona wszystkie liczby, jakie zawiera w wielkiej swojej jedności i jakimi rządzi w harmonji doskonałej.

Taklem jest znaczenie transcendentna pierwszego zagadnienia teorii pytagorejskiej, przyczyna, sprawiająca, że wielka Monada zawiera w sobie wszystkie małe i że wszystkie liczby wylaniają się z wielkiej jedności w ruchu.

weźmiecie udział w potędze jego i z woli waszej uczynicie kamień węgielny, oltarz Hastji, tron Jupitera“.

Liczbą Boga, Treści Niepodzielnej, jest zatem Jedność, zawierająca w sobie Nieskończoność; imieniem jego — Ojciec, Twórca lub Wiekuista Męskość; godłem — Ogień żywy, symbol Ducha, istota Wszystkiego. Oto zasada pierwsza.

Władze boskie podobne są wszakże do lotosu mistycznego, który wyrasta z pośród nocy ciemnej, widzialny dla oczu złożonego w grobie wtajemniczonego egipskiego. Jest to zrazu tylko punkt świetlny, potem rozwiera się on jak róża świetlana o tysiącach płatków olśniewających.

Pytagoras mówił, że wielka Monada działa jako *Dwoistość* twórcza. Z chwilą, gdy Bóg się objawia, staje się on dwoistym: treścią niepodzielną i substancją podzielną; pierwiastkiem męskim czynnym, tchnącym życie i pierwiastkiem żeńskim biernym czyli ożywioną materją plastyczną. Dwoistość wyobrażała więc złączenie pierwiastków: Wiekuście Męskiego i Wiekuście Żeńskiego w istocie Boga, czyli dwie zasadnicze i wzajem uzupełniające się władze boskie. Orfeusz poetycznie wyraził myśl tę w następującym wierszu:

Jupiter jest Małżonkiem i Małżonką boską.

Wszystkie politeizmy intuicyjnie miały świadomość tego pojęcia, bowiem wyobrażały Boskość czasem w postaci męskiej, a czasem w postaci niewieściej.

Zaś ta Natura żywa, wiekuista, ta wielka Małżonka Boga, jest nie tylko naturą ziemską, lecz zarazem naturą niebiańską, niedostrzegalną dla oczu naszych cielesnych, Duszą świata, źródłem Światła, z kolei Mają, Izydą lub Cybełą, które pierwsze drgnęły pod tchnieniem boskiem i w których mieszczą się treści dusz wszystkich, typy



duchów wszystkich istot. Jest to również Demeter, ziemia żywa i wszystkie ziemie wraz z zawartymi w nich ciałami, w które dusze te mają się wcielić. Jest to Kobieta, towarzyszka Mężczyzny. W ludzkości jest Kobieta wyobrażeniem Natury; doskonałym wszakże obrazem Boga nie jest wyłącznie mężczyzna, lecz Mężczyzna i Kobieta pospołu. Stąd ich nieprzeparty, czarodziejski i fatalny pociąg wzajemny; stąd Upojenie Miłosne, w którym tkwi marzenie o twórczości nieskończonej oraz przecucie niejasne, iż pierwiastek wiekuiście Męski i wiekuiście Żeński osiągnęły zespół doskonały w łonie Boga. „Cześć zatem Kobiecie na ziemi i w niebie — mówił Pytagoras, a wraz z nim wszyscy wtajemniczeni starożytności; — „dzięki niej rozumiemy wielką Kobietę — Naturę. Niech więc będzie ona uświęconym jej wizerunkiem i niech pomaga nam do stopniowego wznoszenia się do wielkiej Duszy Świata, która rodzi, zachowuje i odnawia, do boskiej Cybeli, ciągnącej za sobą świat dusz w zwojach płaszcza swojego świetlistego“.

Monada — jedność wyobraża istotę Boga; Dwoistość — Dyada — jej zdolność twórczą i płodzącą. Rodzi ona świat, ten rozkwit widomy Boga w przestrzeni i czasie. Otóż świat rzeczywisty jest potrójny. Zarówno bowiem jak człowiek składa się ze ścisłego zespołu trzech różnych pierwiastków: ciała, duszy i umysłu, tak samo dzieli się wszechświat na trzy sfery współśrodkowe: świat natury, świat ludzki i świat boski. Zatem *Tryjada* czyli *prawo troistości* jest prawem ustrojowym wszechrzeczy i prawdziwym kluczem życia. Bowiemy odnaleźć ją możemy na wszystkich szczeblach rozwojowej drabiny życia, począwszy od ustroju komórki organicznej, po przez ustrój fizjologiczny ciała zwierzęcego, działanie systemu krwionośnego i systemu mózgo-rdzeniowego, aż do nadzmysłowego ustroju człowieka, do ustroju wszechświata i Boga.

Otwiera więc ona przed zdumionym umysłem, niby kluczem czarodziejskim, wewnętrzną budowę wszechświata, wykazuje nieskończoną łączność między makrokosmem — wszechświatem i mikrokosmem — człowiekiem. Działa jak światło, które przeniknęłoby w rzeczy, aby uczynić je przejrzyście i dzięki którym małe i wielkie światy świeciłyby niby latarnie czarnoksiężskie. Wyjaśnimy prawo to na podstawie łączności człowieka z wszechświatem.

Pytagoras uznawał, że duch człowieka, czyli intelekt, czerpie z Boga swoją naturę nieśmiertelną, niewidzialną, bezwzględnie czynną. Duch bowiem jest tem, co porusza się samo przez się. Nazywał on ciałem część człowieka śmiertelną, podzielną i bierną. Sądził on, że to, co nazywamy *duszą*, jest ściśle zespolone z duchem, tworzy je wszakże żywiol trzeci, pośredniczący, powstający z *fluidu kosmicznego*. Dusza podobna jest więc do ciała lotnego, które tka i tworzy duch dla samego siebie. Bez tego ciała lotnego nie mogłoby ciało materialne być czynnem, byłoby więc jedynie nieruchomą, martwą bryłą<sup>1)</sup>.

Kształt duszy podobny jest do kształtu ciała, w które tchnie ona życie i które przeżywa po jego rozłożeniu się czyli śmierci. Staje się ona wówczas, podług wyrażenia Pytagorasa, powtórzonego przez Platona, — *wozem lotnym*, unoszącym ducha ku sferom boskim lub też strącającym go w ciemne głębiny materji, zależnie od tego, czy jest ona mniej lub więcej złą czy dobrą. Otóż ustrój i rozwój człowieka powtarzają się, zataczając coraz szersze kregi, na wszystkich szczeblach istnień i we wszystkich sferach. Podobnie jak ludzka psyche walczy z duchem, który ją przyciąga i ciałem, które ją zatrzymuje, tak samo ludzkość waha się pomiędzy światem naturalnym a zwi-

---

1) Identyczną doktrynę rozwija wtajemniczony Ś-ty Paweł, który mówi o *cielu duchowem*.



rzęcym, w którym tkwi korzeniami swojemi ziemskimi, a boskim światem czystych duchów, w którym mieści się jej źródło niebiańskie i do którego pragnie ona wznieść się. Zaś to, co się dzieje z ludzkością, dzieje się też na wszystkich ziemiach i we wszystkich systemach słonecznych, w rozmiarach wciąż odmiennych, w nowych wciąż przejawach. Rozciągnijcie krąg w nieskończoność — i, jeśli możecie, — ogarnijcie jednym pojęciem światy bezgraniczne. Co znajdziecie tam? Myśl twórczą, fluid astralny i światy w stadjum rozwoju: ducha, duszę i ciało bóstwa. Uchylając zasłonę za zasłoną i badając władze samego tego bóstwa, dostrzeżecie w nich Trójkę i Dyadę, spowijające się w ciemne głębiny Monady, jak wykwit gwiazd — w otchłanie nieskończoności.

Po tem wyjaśnieniu pobieżnem zrozumiałą będzie doniosłość zasadnicza, jaką przywiązywał Pytagoras do prawa troistości. Rzec można, iż stanowi ona kamień węgielny nauki ezoterycznej. Wszyscy wielcy twórcy religji byli jej świadomi, przeculi ją wszyscy teozofowie. Wyroczenia Zoroastra głoszą:

Liczba trzy rządzi wszędzie we wszechświecie,  
Zaś jej podstawą jest Jedność — Monada.

Niezrównaną jest zasługą Pytagorasa, że sformułował on myśl tę z jasnością właściwą umysłowi greckiemu. Uczynił z niej ośrodek swojej teogonji i podwalinę nauk. Pojęcie to przysłonięte już w pismach ezoterycznych Platona, zupełnie niezrozumiane przez późniejszych filozofów, udało się przeniknąć w czasach obecnych poszczególnym jedynie wtajemniczonym w nauki okultystyczne<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> W pierwszym rzędzie pomieścić należy Fabra d'Olivet (*Złote wiersze Pytagora*). To żywe ujęcie potęg wszechświata, przebieżonego z góry w dół, nie ma nic wspólnego z jałowem dowodzeniem spekulatywnem czystych metafizyków, jak *teza, antyteza i synteza* Hegla, będąca zwyczajną łamigłówką myślową.

Już teraz więc widzimy, jaką szeroką i mocną podstawę dawało powszechne prawo troistości klasyfikacji nauk oraz budowie kosmogonji i psychologii.

Podobnie jak troistość powszechna ześrodkowuje się w jedności Boga czyli w Monadzie, tak samo troistość człowieka ześrodkowuje się w świadomości jego własnej jaźni i w woli, skupiającej wszystkie władze ciała, duszy i umysłu w żywej swojej jedności. Troistość ludzka i boska, streszczona w Monadzie, stanowi *świętą Poczwoźność*. Człowiek zdaje sobie wszakże sprawę ze swojej jedności w sposób względny jedynie. Bowiem wola jego, oddziaływająca na całą jego istotę, nie może jednakże działać równocześnie w całej pełni w trzech jej organach, to znaczy: w instynkcie, w duszy i w intelekcie. Wszechświat, Boga samego nawet, dostrzega kolejno jedynie, jako odbite jeden po drugim w trzech tych zwierciadłach.

1. Bóg, widziany po przez zwierciadło instynktu i po przez kalejdoskop zmysłów, jest wieloraki i nieskończony, jak wielorakie i nieskończone są przejawy jego. Stąd politeizm, w którym liczba bogów jest nieograniczona.

2. Oglądany po przez duszę rozumną, Bóg jest podwójny, to znaczy jest duchem i materją. Stąd dualizm Zoroastra, Manichejczyków i kilku innych religji.

3. Dostrzegany po przez intelekt czysty, jest on potrójny, to znaczy jest duchem, duszą i ciałem we wszystkich przejawach świata. Stąd troiste kulty indyjskie (Brahma, Wisznu, Sziwa) i sama nawet Trójca chrystjanizmu (Ojciec, Syn i Duch Święty).

4. Pojęty jako wola, streszczająca całokształt, Bóg jest jedyny, mamy więc monoteizm hermetyczny Mojżesza w całej jego surowości. Niema tu już personifikacji, niema wcielenia; opuszczamy wszechświat widomy i wchodzimy do Absolutu. Wiekuisty rządzi światem, który stał się garścią prochu jedynie.



Wielorakość religii jest więc wynikiem tego, że człowiek może wytworzyć sobie pojęcie bóstwa jedynie po przez własną istotę, która jest względną i skończoną, zaś Bóg jest w każdym momencie stwierdzeniem jedności trzech światów w harmonii wszechświata.

Już ten ostatni tylko punkt wykazałby sam przez się czarodziejskie w pewnej mierze znaczenie *tetragramu*<sup>1)</sup> w rozwoju pojęć. Nietylko znajdowano w nim podstawę nauk, prawo bytów i drogę ich rozwoju, lecz nadto przyczynę religii odmiennych i wyższą ich jedność. Był to więc istotnie klucz powszechny. Tem się tłumaczy entuzjizm, z jakim mówi o nim Lizys w *Wierszach złotych*; łatwo też zrozumieć, dla czego Pytagorejczycy przysięgali na wielki ten symbol:

Przysięgam temu co wrył w mem sercu \*  
Tetradę świętą, wielki, czysty symbol,  
Źródło Natury i prawzór dla Bogów.

Pytagoras posuwał znacznie dalej swoją naukę liczb. W każdej z nich ustalał zasadę, prawo, potęgę czynną wszechświata. Mówił jednak, że zasady główne zawarte są w czterech pierwszych liczbach, ponieważ, dodając je i mnożąc, otrzymuje się wszystkie inne. Tak samo też nieskończoną różnorodność bytów, składających wszechświat, stworzyły połączenia trzech potęg pierwotnych: materji, duszy i ducha, pod impulsem twórczym boskiej jedności, która łączy je i rozdziela, skupia je i ożywia. Pytagoras, narówni z najwybitniejszymi mistrzami wiedzy ezoterycznej, przywiązywał wielką wagę do *siodemki* i do *dziesiątki*. Liczba *siedem*, będąca połączeniem trójki i czwórki, oznacza związek człowieka z Bogiem. Jest to liczba adeptów, wielkich wtajemniczonych, a ponieważ wyobraża urzeczywistnianie wszystkiego po przez siedem

<sup>1)</sup> Tetragram — wyraz złożony z czterech liter. (Przyp. tłum).

stopni, jest więc wyobrażeniem prawa rozwoju. Liczba *dziesięć*, utworzona przez dodanie wzajem do siebie czterech pierwszych i zawierająca w sobie siódmkę, jest właściwą liczbą doskonałą, ponieważ wyobraża wszystkie pierwiastki bóstwa czynne i złączone w nową jedność.

Kończąc wykład swojej teogonji, wskazywał Pytagoras uczniom swoim dziewięć Muz, będących uosobieniem nauk ugrupowanych trójkami, będących prawzorem troistości, która zrodziła dziewięć światów i tworzących wraz z Hestją Naukę boską, strażniczkę Ognia pierwotnego — *Świątą Dekadę*.

TRZECI STOPIEŃ DOSKONAŁOŚCI <sup>1)</sup>  
KOSMOGONJA I PSYCHOLOGJA — EWOLUCJA DUSZY

Mistrz wyjawiał uczniowi podstawy nauki. To pierwsze już wtajemniczenie sprawiło, że opadły grube łuski materji, przysłaniające oczy jego ducha. Rozdzierając świetną zasłonę mitologii, wyrwało go wtajemniczenie to ze świata widomego, aby rzucić go gwałtownie w przestwory bezgraniczne i pogrążyć w słońcu Intelaktu, z którego Prawda promieniuje na trzy światy. Nauka liczb była wszakże wstępem tylko do wielkiego wtajemniczenia. Uczeń, uzbrojony w znajomość tych zasad, zstąpić miał teraz pod przewodem mistrza z wyżyn Absolutu w głąbie natury, aby uchwycić tam myśl boską w tworzeniu się wszechrzeczy oraz w ewolucji duszy po przez światy. Kosmogonja i psychologja ezoteryczna dotyczyły już wielkich tajników życia, tajemnic niebezpiecznych i zazdrośnie strzeżonych przez nauki i sztuki okultystyczne. Dla tego też Pytagoras lubił miewać wykłady te zdala od profanującego je światła dziennego, nocą, na brzegu mo-

<sup>1)</sup> Po grecku: *Teleiotes*.



rza, na stopniach świątyni Cerery, przy cichym plusku fall jońskiej, o rytmice tak harmonijnej, przy dalekich fosforescencjach Kosmosu gwiazdzistego, albo też w podziemiach sanktuarjum, w których naftowe lampy egipskie rozsiewały łagodne, równe światło. Kobiety wtajemniczone brały udział w tych zgromadzeniach nocnych. Czasem też przybyli z Delf kapłani i kapłanki ilustrowali nauki mistrza opowiadaniem własnych swoich przeżyć lub też mową proroczą snu jasnowidzącego.

Rozwój materialny i rozwój duchowy świata są to dwa kierunki odwrotne lecz równoległe i zgodne na wszystkich szczeblach bytu. Jeden może być wytłomaczony jedynie przez drugi, zaś rozważane pospołu są one wyjaśnieniem świata.

Rozwój materialny wyobraża przejawianie się Boga w materji przez duszę świata, która go urabia; rozwój duchowy—wyrabianie się świadomości w monadach osobniczych oraz usiłowanie ich połączenia się, po przez cykl żywotów, z duchem boskim, z którego się wyłoniły. Rozpatrywać świat ze stanowiska fizycznego lub ze stanowiska duchowego nie znaczy to bynajmniej rozważać dwie rzeczy różne, lecz rozpatrywać świat z dwu przeciwległych jego krańców. Ze stanowiska ziemskiego rozpocząć należy racjonalne wytłomaczenie świata od rozwoju materji, ponieważ ukazuje się on nam z tej właśnie strony. Odsłaniając nam pracę ducha wszechświata w materji i każąc nam śledzić rozwój monad osobniczych, kieruje nas wytłomaczenie takie — niepostrzeżenie pod względem duchowym — od strony zewnętrznej świata ku jego siedlisku.

Tak przynajmniej postępował Pytagoras, uważający wszechświat za żywą istotę, którą ożywia wielka dusza i którą przenika wielki intelekt.

Drugą część jego wykładu rozpoczynała też kosmogonia. O ile opieralibyśmy się na podziałach nieba, jakie odnajdujemy w egzoterycznych fragmentach Pytagorasa, astronomja ta byłaby podobna do astronomji Ptolomeusza, uznającej nieruchomość ziemi, dokoła której obraca się słońce wraz z planetami i całym niebem. Sama zasada tej astronomji wskazuje nam, że jest ona symboliczną jedynie. W ośrodku wszechświata swojego umieszcza Pytagoras Ogień (którego odbiciem jedynie jest słońce). Otóż, w całym ezoteryzmie Wschodu Ogień jest symbolicznym godłem Ducha, Świadomości boskiej powszechnej. To, co nasi filozofowie biorą ogólnie za poglądy fizyczne Pytagorasa i Platona, nie jest niczem innym, jak obrazem przedstawieniem ich filozofji tajemnej, zupełnie jasnym dla wtajemniczonych, tembardziej wszakże nieprzeniknionym dla umysłów pospolitych, że uważano je za zwykłą fizykę. Dopatrujemy się w niej więc jedynie kosmografji duszy, i niczego innego. Sfera podksiężycowa oznacza sferę, w której dokonywa się przyciąganie ziemskie; nazwana ona jest *kregiem narodzin*. Wtajemniczeni rozumieli przez to, że ziemia jest dla nas sferą życia cielesnego. Tutaj dokonywają się wszelkie zabiegi, mające związek z wcielaniem się dusz i opuszczaniem przez nie ciała. Sfera sześciu planet i słońca odpowiada kategorjom wznoszenia się duchów wzwyż. Olimp, pojęty jako sfera ruchoma, zwany jest *niebem ustalonych*, bowiem utożsamiony jest z siedliskiem dusz doskonałych. Ta astronomja dziecięca jest zatem przykrywką duchowego ujmowania Wszechświata.

Wszystko wszakże wskazuje nam, że wtajemniczeni starożytni, a zwłaszcza Pytagoras, mieli słuszniejsze daleko pojęcie o wszechświecie fizycznym. Arystoteles utrzymuje stanowczo, że Pytagorejczycy wierzyli w krążenie ziemi dokoła słońca. Kopernik stwierdza, że myśl



o obracaniu się ziemi dokoła jej osi powstała w nim przy czytaniu u Cycerona, iż niejaki Hycetas z Syrakuz mówił o obrocie dziennym ziemi. Uczniom swoim trzeciego stopnia wyjaśniał Pytagoras podwójny ruch ziemi. Jakkolwiek nie posiadał on ścisłych danych wiedzy nowoczesnej, wiedział tak samo jak kapłani z Memfis, że planety wyłonione ze słońca, krążą dokoła niego, że gwiazdy są takimi samymi i rządzone przez te same prawa systemami słonecznymi, jak nasz, i że każdy z nich ma miejsce swoje w bezmiarze wszechświata. Wiedział on również, że każdy świat słoneczny tworzy mały wszechświat, mający odpowiednik swój w świecie duchowym oraz własne swoje niebo. Planety służyły na oznaczenie jego drabiny. Dane te wszakże, które mogłyby wywołać przewrót w mitologii ludowej i które tłum uważałby za świętokradztwo, nie były nigdy powierzone piśmiu pospolitemu. Wyjawiano je jedynie pod pieczęcią najgłębszej tajemnicy <sup>1)</sup>).

Świat widomy — mówił Pytagoras — niebo ze wszystkimi jego gwiazdami, jest jedynie przejściową postacią duszy świata, wielkiej Maji, skupiającej materję roz-

<sup>1)</sup> Dziwne niektóre określenia w postaci metafory, jakie zostały nam przekazane i jakie mają źródło w nauczaniu tajemnym mistrza, pozwalają odgadywać, w ich znaczeniu okultystycznym, wspaniałe ujmowanie Kosmosu przez Pytagorasa. — Mówiąc o konstelacjach nazywał on Wielką i Małą Niedźwiedzicę — *rękami Rea-Cybeli*. Otóż Rea-Cybela oznacza ezoterycznie światło astralne rucho-  
me, boską małżonkę ognia wszechświata czyli Ducha twórczego, który, ześrodkowując się w systemach słonecznych, przyciąga niematerialne treści bytów, *chwytą je* i wciąga w wir żywotów. — Nazywał on też planety *psami Prozerpiny*. Dzwonne to wyrażenie może być rozumiane jedynie w sensle ezoterycznym. Prozerpina, bogini dusz, kierowała ich wcielaniem się w materję. Pytagoras nazwał więc planety psami Prozerpiny, ponieważ strzegą one dusz zmarłych, powstrzymując je, podobnie jak Cerber mitologiczny pilnuje dusz w piekle.

sianą w nieskończonych obszarach, potem rozpraszając ją i rozlewającą w postaci nieważkiego fluidu kosmicznego. Każdy wir słoneczny posiada cząstkę tej duszy powszechnej, działającą w łonie jego przez miliony wieków, ze specjalną siłą rozpędu i rytmem sobie właściwym.

Co się tyczy potęg, państw, gatunków i dusz żywych, które będą przejawiały się kolejno w ciałach niebieskich małego tego świata, pochodzą one od Boga, zstępują z Ojca; to znaczy, że wylaniają się z układu duchowego niewzruszonego i wyższego oraz z úprzedniej ewolucji materji, czyli z wygasłego systemu słonecznego. Jedne z tych potęg niewidzialnych, bezwzględnie nieśmiertelne, kierują tworzeniem się tego świata, inne oczekują jego narodzin we śnie kosmicznym lub w marzeniu boskiem, aby wcielić się w tworzywa widome, zależnie od stanowiska swojego i zgodnie z prawem powszechnem.

Dusza słoneczna wszakże i jej ogień ósrodkowy, bezpośrednio wprawiany w ruch przez wielką Monadę, oddziałuje na stopioną materję. Planety są córkami słońca. Każda z nich, wytworzona przez siły przyciągania i krążenia, nieodłączna od materji, posiada duszę nawpółświadomą, wylonioną z duszy słonecznej, ma też wyraźny swój charakter, swoją rolę szczególną w rozwoju. Mędrzy starożytni, opierając się na tem, że każda planeta stanowi odmienny wyraz myśli bożej oraz że wykonywa czynność specjalną w łańcuchu planetarnym, utożsamili nazwy planet z nazwami wielkich bogów, uosabiających władze boskie, czynne we wszechświecie.

Cztery żywioły z których uformowane są ciała niebieskie oraz wszystkie istoty, oznaczają cztery stopniowe stany materji. Pierwszy, najbardziej stężony i najgrubszy, jest najodporniejszy na wpływy ducha; ostatni, najsubtelniejszy, okazuje wielką z nim pokrewność. *Ziemia* wyobraża stan stały; *woda* — stan ciekły; *powietrze* — stan



lotny; *ogień* — stan nieważki. — Piąty żywioł — *eteryczny* wyobraża stan materji tak subtelny i ruchliwy, że przestaje być atomowym i posiada dar przenikania wszechrzeczy. Jest to fluid kosmiczny pierwotny, światło astralne, dusza świata.

Następnie mówił Pytagoras uczniom swoim o prze- wrotach, jakim podlegała ziemia podług tradycji egipskich i azjatyckich. Wiedział on, że ziemia w stanie ciekłym, stopionym, była pierwotnie otoczona atmosferą lotną, która, skraplana wskutek stopniowego ochładzania się, utworzyła morza. Zwyczajem swoim streszczał on ideę tę pod przerośnią, mówiąc, że *lzy Saturna* (czas kosmiczny) wytworzyły morza.

Lecz oto zjawiają się poszczególne królestwa natury. Zarodki niewidzialne, krążące w eterycznej aurze ziemi, wirują w swojej szacie lotnej, potem przyciągane są przez głębokie łono mórz i pierwsze wyłonię lądy. Świat zwierzęcy i świat roślinny, pomieszane jeszcze, zjawiają się niemal równocześnie. Doktryna ezoteryczna uznaje przeistaczanie się gatunków zwierzęcych nie tylko na mocy wtórnego prawa *doboru*, lecz również na mocy podstawowego prawa *przenikania* ziemi przez potęgi niebieskie, zaś wszystkich istot żywych przez pierwiastki duchowe i siły niewidzialne. Ilekroć ukaże się nowy gatunek na globie ziemskim, znaczy to, że nowa rasa dusz wyższego typu wciela się w danej epoce w potomków gatunku dawnego, aby wnieść się o stopień wyżej, przekształcając go i przeistaczając na swoją modłę. W ten sposób tłomaczy doktryna ezoteryczna zjawienie się na ziemi człowieka. Ze stanowiska ewolucji ziemi jest człowiek najwyższym szczeblem i uwieńczeniem gatunków poprzedzających. Wyjaśnienie sprawy z tego stanowiska tak samo wszakże nie jest wystarczające do wytłomaczenia faktu wystąpienia człowieka na arenę dziejową, jak nie wystarczyłoby

do wytłumaczenia zjawienia się pierwszego skorupiaka w łonie mórz. Wszystkie te kolejno pojawiające się twory, równie jak każde narodziny, każą przypuszczać fakt przenikania ziemi przez potęgę niewidzialne, twórczynię życia. Narodziny człowieka każą przypuszczać istnienie uprzednie ludzkości niebiańskiej, kierującej wykluciem się ludzkości ziemskiej. Przesyła jej ona, niby fale potężnego przyływu, nowe potoki dusz, które wcielają się w jej ciała i rozpalają pierwsze promienie boskiego światła w tej istocie nieodpowiedzialnej, idącej jedynie za popędem instynktu, nie znającej uczucia lęku, zmuszonej wszakże, wnet po wyzwoleniu się z mroków zwierzęcości, do walki o byt ze wszystkimi siłami natury.

Pytagoras, który czerpał wiedzę w świątyniach egipskich, miał pojęcie dokładne o wielkich przewrotach, jakim podlegała kula ziemska. Doktryny: indyjska i egipska wiedziały o istnieniu dawnego lądu południowego, kolebki rasy czerwonej oraz potężnej cywilizacji, zwanej przez Greków Atlantą. Przypisywały one wyłanianie się i zatapanie kolejne lądów kołysaniu się blegunów i przypuszczały, że ludzkość przeszła w ten sposób przez sześć potopów. Każdy okres międzypotopowy sprowadza przewagę jednej z wielkich ras ludzkich. Wśród częściowych zanikań cywilizacji i władz ludzkich trwa jednak ruch wstępnny.

Oto już ludzkość ustanowiona i rasy rzucone na drogę ich żywota po przez kataklizmy ziemskie. Na tym globie wszakże, który w nieświadomości naszej dzleciejącej uważamy za nieruchomą podstawę światła, a który sam buja w przestworach; na tych lądach, wyłaniających się z mórz, aby zapaść się ponownie; wpośród tych ludów, które przemijają i tych cywilizacji, które w gruzy się walą—jakaż dręczy wielka, wiekuista, bolesna tajemnica? Jest nią wielka zagadka wewnętrzna, zagadka dręcząca



każdego i wszystkich, zagadka duszy, odnajdującej w sobie samej otchłanie mroków i światła, spoglądającej na siebie napoły z zachwytem i napoły z przerażeniem i mówiącej sobie: „Nie jestem z tego świata, ponieważ nie wystarcza on do wytlomaczenia mojego istnienia? Nie idę z ziemi i dążę w inne strony. Lecz dokąd? To zagadka Psychy, mieszcząca w sobie wszystkie inne.

Kosmogonja świata widzialnego — nauczał Pytagoras — doprowadziła nas do historii ziemi, ta zaś — do tajemnicy duszy ludzkiej. Wraz z nią dotykamy świątyni świątyń, tajemnicy tajemnic. Z chwilą, gdy świadomość ta została rozbudzona, staje się dusza najbardziej zdumiewającym dla siebie samej widowiskiem. Sama ta wszakże świadomość jest jedynie oświetloną stroną zewnętrzną jej istoty, w której wnętrzu podejrzewa ona otchłanie ciemne i niezmierzone. W nieznaney tej głębi swojej ogarnia boska Psyche zachwyconym wzrokiem wszystkie istnienia i wszystkie światy: przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, złączone w Wieczności. „Poznaj samego siebie, a poznasz wszechświat Bogów“. Oto tajemnica wtajemniczonych mędrców. Ażeby wszakże przeniknąć przez tę szczelinę wąską do bezmiaru niewidzialnego wszechświata, zbudźmy w sobie bezpośredni dar widzenia, właściwy duszy oczyszczonej, uzbrojmy się w pochodnię Rozumu, nauki zasad i Liczb świętych.

W ten sposób przechodził Pytagoras od kosmogonji fizycznej do kosmogonji duchowej. Po zaznajomieniu słuchaczy z historją rozwoju ziemi mówić zaczynał o ewolucji duszy po przez światy. Doktryna ta znana jest, po za wtajemniczeniem, pod nazwą *wędrówki dusz*. O żadnej części doktryny tajemnej nie wypowiedano tyłu niedorzeczności, ile o niej właśnie, i to tak dalece, że literatura Starożytna i nowoczesna znają ją tylko z dziecinnie naiwnych trawestacji. Platon nawet, który najwięcej ze

wszystkich filozofów przyczynił się do spopularyzowania jej, dał nam fantastyczne, nieraz dziwaczne rzuty oka na nią, czyniąc to bądź przez ostrożność, bądź też nie mogąc, z powodu złożonej przysięgi, powiedzieć wszystkiego, co wiedział.

Nie wielu ludzi domyśla się dzisiaj, że dla wtajemniczonych mogła mieć ona znaczenie naukowe, otwierać nieskończone pespektywy i koić duszę boską pociechą. Doktryna pnącego się wzwyż, „wstępującego“ życia dusz po przez szeregi bytów jest rysem wspólnym tradycji ezoterycznych i uwieńczeniem teozofji. Dodam, że ma ona dla nas znaczenie zasadnicze. Bowiem człowiek współczesny z jednakową wzdargą odrzuca abstrakcyjną, mglistą nieśmiertelność filozofji jak i dziecinne pojęcie o niebie, tworzone przez religje pierwotne. Zarazem wszakże przeraża go i odstręcza suchość i nicość materializmu. Dąży on nieświadomie do idei nieśmiertelności organicznej, która odpowiadałaby zarazem wymogom rozumu jego i niezwalczonym potrzebom jego duszy. Zrozumiałem jest zresztą, dlaczego wtajemniczeni starożytnych religji, świadomi prawd tych, trzymali je wszelako w tajemnicy. Są one tak wzniosłe, że przyprawiają umysły nieoświecone o zawrót głowy. Wiązą się ściśle z głębokimi tajnikami ojcostwa duchowego, stosunku płci i płodzenia cielesnego, od których zależą losy przyszłej ludzkości.

Sluchacze oczekiwali z natężoną uwagą głównego tego momentu wtajemniczenia ezoterycznego. Pod wpływem słów Pytagorasa, jak gdyby pod działającym powoli czarem, wyzbywała się gruba, ciężka materja wagi swojej, rzeczy ziemskie zdawały się przejrzystemi, rzeczy niebiańskie — widzialnemi dla ducha. Sfery złote i lazurowe, prute przez istoty świetliste, zataczały kręgi swoje do nieskończoności.



Wówczas uczniowie, mężczyźni i kobiety, skupieni dokoła mistrza w podziemnej części świątyni Cerery, zwanej kryptą Prozerpiny, słuchali z tamującym dech wzruszeniem *niebiańskich dziejów Psychy*.

Czem jest dusza ludzka? Cząsteczką wielkiej duszy świata, iskierką ducha bożego, monadą nieśmiertelną. O ile wszakże możliwa przyszłość jej otwiera się w niezgłęblonych jasnościach świadomości boskiej, sięgają tajemnicze jej narodziny początków materji organicznej. Aby stać się tem, czem jest w ludzkości obecnej, musiała przejść ona przez wszystkie królestwa natury, przez wszystkie szczeble drabiny bytów i rozwijać się stopniowo, po przez szereg niezliczonych istnień. Duch, przenikający światy i stężający materję kosmiczną w masy olbrzymie, objawia się w różnem natężeniu i wzrastającym wciąż skupieniu w kolejnych królestwach natury. Jako siła ślepa i niewyraźna w minerałach, zindywidualizowana— w roślinie, spolaryzowana—we wrażliwości i instynkcie zwierzęcym, aby stanąć wreszcie na ostatnim szczeblu powolnego tego urabiania się. Szczeblem tym najwyższym jest świadoma monada, widoczna w stanie zaczątkowym w najniższym już typie zwierzęcym.

Pierwiastek animiczny i duchowy istnieje więc we wszystkich królestwach, jakkolwiek w stanie nieskończonej małej drobinki w królestwach niższych. Dusze, istniejące w stanie zaczątkowym w królestwach niższych, przebywają w nich bez przerwy w ciągu niesłychanie długich okresów i dopiero po wielkich przewrotach kosmicznych przechodzą do królestwa wyższego, na Inną zarazem planetę. W ciągu okresu życia planety mogą co najwyżej wznieść się o kilka gatunków. Gdzie zaczyna się monada? Na pytanie to tak samo trudno byłoby odpowiedzieć, jak na to, kiedy utworzyła się pierwsza mgławica, lub kiedy słońce zajaśniało po raz pierwszy. Bądź co bądź wszakże,

przechodzić musiało to, co stanowi istotę każdej jednostki i ludzkiej, w ciągu milionów lat przez łańcuch planet i przez królestwa niższe, zachowując przytem po przez wszystkie te byty pierwiastek indywidualny, który szedł za nim wszędzie. Ta cecha osobnicza ciemna jeszcze, lecz niezniszczalna, stanowi pieczęć boską monady, w której Bóg przejawiać się chce w postaci świadomości.

W miarę wcielania się w coraz wyższe organizmy coraz bardziej rozwija monada uspięta w niej pierwiastki. Siła spolaryzowana staje się wrażliwością; wrażliwość — instynktem, instynkt — inteligencją. W miarę też rozżarzania się migotliwej pochodni świadomości w płomień coraz jaśniejszy dusza ta coraz bardziej uniezależnia się od ciała, coraz bardziej staje się zdolną do wolnego bytowania. Dusza ciekła i niespolaryzowana minerałów i roślin związana jest z pierwiastkami ziemi. Dusza zwierząt, przyciągana silnie przez ogień wnętrza ziemi, przebywa w nim przez czas pewien po opuszczeniu swojego trupa, poczem wraca na powierzchnię globu, aby wcielić się ponownie w ten sam gatunek.

Nie może ona wydostać się z niższych warstw powietrza, zaludnionych przez żywiołaki, czyli dusze zwierzęce, odgrywające pewną rolę w życiu atmosferycznym i wywierające wielki wpływ tajemny na człowieka. Jedyne dusza ludzka zstępuje z nieba, do którego wraca po śmierci. W jakim wszakże okresie długiego swojego bytowania kosmicznego stała się dusza zaczątkowa duszą ludzką? Przez jaki rozpalony do białości tygiel, przez jaki płomień lotny przeszła ona, zanim osiągnęła ten stopień? Dokonanie przeistoczenia tego umożliwione być mogło, w okresie międzyplanetarnym, jedynie przez zekwipowanie się dusz ludzkich zupełnie już ukształtowanych, które rozwinęły w duszy zaczątkowej jej pierwiastek du-



chowy i odcisnęły boski swój pierwowzór, niby pieczęć ognistą, na plastycznej jej substancji.

Ileż jednak wędrówek, ile wcieleń, ile okresów planetarnych pozostało jeszcze do przebycia, ażeby dusza ludzka, w ten sposób ukształtowana, stała się człowiekiem, jakiego znamy obecnie!

Podług tradycji ezoterycznych indyjskich i egipskich osobniki, z których składa się ludzkość, rozpocząć miały istnienie na innych planetach, gdzie materja jest znacznie mniej zwarta niż na naszej. Ciało ludzkie było wówczas lotne niemal, jego wcielenia lekkie i łatwe. Jego władze bezpośredniego postrzegania duchowego miały być nader potężne i subtelne w tej pierwszej fazie ludzkości; natomiast rozum i intelekt w stanie zarodkowym. W tym stanie napoty cieleśnym i napoty duchowym oglądał człowiek duchy, wszystko było dla oczu jego świetnością i czarem, muzyką dla jego uszu, dla których dostępną była nawet harmonja sfer. Nie myślał, nie rozważał, nieomal nie miał pragnień żadnych. Żył, pojąc się dźwiękami, kształtami i światłem i przelatując, jak marzenie, od życia do śmierci i od śmierci do życia. Orfiki nazywały stan ten *niebem Saturna*. Dopiero wcielając się na planetach coraz bardziej zgęszczonych, zmaterjalizował się człowiek w myśl doktryny Hermesa. Wcieliwszy się w materję jeszcze bardziej zwartą, zatracala ludzkość swój zmysł duchowy; wskutek wszakże coraz bardziej zaciętej walki, jaką prowadzić była zmuszona ze światem zewnętrznym, rozwinęła potężnie rozum swój, swoją inteligencję, swoją wolę. Ziemia jest ostatnim szczeblem tego zstępowania w materję, którą Mojżesz nazywa wygnaniem z raju, a Orfeusz—upadkiem w krąg podksiężycowy. Ztąd człowiek z wysiłkiem wielkim, przechodząc przez szeregi nowych bytów, wznosić się może w coraz wyższe kregi i odzyskać swoje zmysły duchowe ćwiczeniem intelektu

swojego i swojej woli. Wówczas dopiero mówią wyznawcy doktryny Hermesa i Orfeusza, zdobywa człowiek *działalnością* swoją posiadanie boskości, wówczas dopiero staje się *synem Bożym*. A ci, którzy nosili imię to na ziemi, musieli, zanim zjawili się pośród nas, zstąpić i wznieść się po przerażającej tej linii węzowej.

Czemże więc jest skromna psyche w zaczątkach swoich? Tchnieniem przelotnem, wirującym w powietrzu nasionkiem, ptakiem, miotanym przez wichry i przelatującym z życia do życia. Mimo to jednak, spadając nie ustannie, z upadku w upadek, — po przez miliony lat, stała się ona córą Boga i nie uznaje innej już ojczyzny po za niebem! Dla tego też poezja grecka, którą cechuje tak głęboka i tak jasna symbolika, porównała duszę do owadu uskrzydłonego, czasem do robaka ziemskiego, a czasem do motyla lazurów. Ile razy była ona poczwarką a ile razy motylem? Sama nie dowie się o tem nigdy, czuje jednak, że ma skrzydła!

Taką jest przeszłość zawrotna duszy ludzkiej. Wyjaśnia nam ona jej stan obecny i pozwala na uchylenie rąbka zasłony, kryjącej jej przyszłość.

Jakiem jest stanowisko boskiej psyche w życiu ziemskim? Zastanowiwszy się nad tą sprawą bliżej, dojść musimy do wniosku, że dziwniejszego i bardziej tragicznego niepodobna sobie wyobrazić. Od czasu bolesnego jej zbudzenia się w zgęszczonej atmosferze ziemi, wpleciona jest dusza w zwoje ciała. Żyje ona, oddycha i myśli za jego pośrednictwem jedynie, a jednakże nie jest ono nią. W miarę rozwoju swojego czuje ona w sobie światło jakieś, zrazu niepewne i migotliwe, coś niewidzialnego, co nazywa *swoim* duchem, *swoją* świadomością.

Tak, człowiek ma wrodzone snadź poczucie troistości własnej natury, bowiem odróżnia w mowie swojej,



nawet nieuświadomionej, duszę od ciała i duszę od ducha. Lecz dusza niewolna i dręczona szamoce się pomiędzy dwoma towarzyszami swojemi, niby pomiędzy uściskiem węża o tysiącu skrętach a genjuszem niewidzialnym, który ją wzywa, lecz którego obecność odczuć się daje jedynie jako ciche łopotanie jego skrzydeł i jako przebłyski przemijające. Czasem ciało to pochłania ją tak dalece, iż żyje ona jedynie jego wrażeniami i jego namiętnościami, stacza się wraz z niem w krwawe orgje uniesienia lub w gęste opary rokoszy cielesnych, dopóki nie przerazi jej głębokie milczenie niewidzialnego towarzysza. To znów, pociągnięta przez niego, ulatuje na takie wyżyny myśli, że zapomina o istnieniu ciała, aż nie przypomni jej ono o sobie tyranją swojego wezwania. A jednak głos jakiś wewnętrzny mówi jej, że między nią a towarzyszem jej niewidzialnym istnieje łącznik nierozzerwalny wówczas nawet, kiedy węzeł, łączący ją z ciałem, rozerwie śmierć. Miotana walką wiekuistą pomiędzy ciałem a duchem, daremnie szuka dusza szczęścia i prawdy. Daremnie szuka samej siebie na dnie przemijających wrażeń, w pierzchających przed nią myślach, w zmieniającym jak miraż świecie. Nie znajdując nic stałego, nękana, gnana niby liść wichrem miotany, wątpi o samej sobie i o świecie boskim, który objawia się jej tylko przez ból, jakiego doznaje i przez poczucie własnej słabości, która uniemożliwia jej dostanie się do niego. Niewiedza ludzka wypisana jest we wzajemnych sprzecznościach rzekomych mędrców, a smutek ziemski—w niezgłębionej pożądliwości wzroku ludzkiego. Wreszcie, bez względu na rozciągłość ludzkiego poznania, narodziny i śmierć zamykają człowieka w granicach dwu kresów nieubłaganych. Po za tych dwoje wrót, wiodących do mroków, oko jego sięgnąć nie może. Płomień życia rozpala się, wchodząc przez pierwsze, i gaśnie, wychodząc przez dru-

gie. Czyż tak samo dzieje się i z duszą?—A jeśli nie, co się z nią w takim razie staje?

Odpowiedzi, jakie dawali filozofowie na to zagadnienie dręczące, były bardzo różne. Odpowiedź wtajemniczonych teozofów wszystkich epok brzmi w zasadzie jednakowo. Zgodna jest ona z poczuciem powszechnem i z duchem najgłębszym religji, które dawały wyraz prawdzie tej jedynie w formie zabobonu lub symbolu. Doktryna ezoteryczna otwiera szersze znacznie widnokreśli, a twierdzenia jej pozostają w związku z prawami rozwoju wszechświata. Oto co wtajemniczeni, którzy zdobyli wiedzę dzięki poznaniu tradycji i dzięki przebytem licznym doświadczeniom życia duchowego, mówią człowiekowi: „To, co działa w tobie, co zwiesz duszą, jest *lotnym sobowtórem* ciała, w którym zawarty jest duch nieśmiertelny. Duch własną swoją działalnością buduje sobie i tka swoje ciało duchowe. Pytagoras daje mu miano „*subtelnego wozu duszy*“, bowiem przeznaczeniem jego jest uniesienie go z ziemi po śmierci. *To ciało duchowe jest narządem ducha*, jego powłoką czującą, narzędziem jego woli, służącym do ożywiania ciała, które bez niego pozostałoby bezwładnem. W zjawach umierających lub zmarłych *sobowtór* ten staje się widzialnym. Warunkuje to wszakże specjalny stan nerwów widzącego. Wysubtelnienie, potęga i stopień doskonałości ciała duchowego różne są zależnie od jakości ducha, jaki w nim przebywa; zaś substancję dusz, utkanych ze światła astralnego, lecz przepojonych fluidami nieważkiemi ziemi i nieba, cechują odcienie liczniejsze i różnice większe aniżeli te, jakie zachodzą pomiędzy wszystkiemi ciałami ziemskimi i niebieskimi oraz wszystkiemi stanami materji ważkiej. Ciało astralne, jakkolwiek znacznie subtelniejsze i doskonalsze od ciała ziemskiego, nie jest nieśmiertelnem, jak monada w niem zawarta. Zmienia się ono i oczyszcza zależnie od środowisk,



przez jakie przechodzi. Duch kształtuje je i przeobraża nieustannie na swoją modłę, nie opuszcza go wszakże nigdy, gdy zaś zrzuca je stopniowo, czyni to jedynie ze względu na przyoblekanie się w substancje bardziej jeszcze lotne.—

Taką była linja nauczania Pytagorasa, który nie wyobrażał sobie istoty duchowej oderwanej, monady bezkształtnej. Duch, działający w głębi niebios i na ziemi, musi mieć narząd; narządem tym jest dusza żywa, zwierzęca lub wzniosła, ciemna lub promienna, mająca wszakże kształt ludzki, ów obraz i podobieństwo Boga.

Co zachodzi podczas śmierci? Przy zbliżaniu się chwili zgonu dusza przeczuwa zazwyczaj bliskie swoje rozłączenie z ciałem. Cały przebieg jej życia przemyka przed nią w szybkich skrótach kolejnych. Kiedy jednak życie wyczerpane zatrzymuje się w mózgu, podlega dusza nagłemu zaćmieniu i traci całkowicie świadomość.

Jeśli jest to dusza czysta i święta, zbudziły się już jej zmysły duchowe przez stopniowe odrywanie się do materji. Przed śmiercią miała ona już, w ten czy w inny sposób, może tylko dzięki wglębieniu się we własny stan swój, przecucie obecności zaświatów. Pod wpływem nagleń milczących, wezwań dalekich i nikłych promieni Niewidzialnego utraciła już ziemia spoistość swoją i kiedy, uszczęśliwiona wyzwoleniem swoim, wyrwa się narzeczcie dusza z wystygłego już trupa, czuje się uniesioną w wielką światłość promienną, ku rodzinie swojej duchowej, do której należy niepodzielnie. Inaczej wszakże dzieje się z człowiekiem przeciętnym, który życie swoje dzielił pomiędzy instynkty materjalne i wyższe porywy. — Budzi się on w stanie świadomym, jak gdyby w odrętwieniu, spowodowanem zmorą ciężką. Nie ma już ani rąk, które mogłyby chwytać, ani głosu do wołania, ale pamięta, cierpi, istnieje, spowity w całun mroku i przerażenia. Je-

dyną — rzeczą, jaką spostrzega w ciemnościach tych, jest trup własny, od którego się oderwał już, lecz do którego niezwalczony odczuwa pociąg. Bowiern za jego pośrednictwem Istniał, a teraz czemu jest? Szuka z przerażeniem samego siebie w zlodowaciałych włóknach swojego mózgu, w skrzepłej krwi żył swoich — i nie może się już odnaleźć. Czy umarł? czy żyje? chciałby widzieć, chciałby uchwycić się czegoś; ale nie widzi i nie chwyta nic. Zawarty jest w ciemnościach; dokoła niego i w nim wszystko jest chaosem. Dostrzega jedną rzecz tylko, jedną rzecz, która go pociąga i zarazem zgrozą przejmuje,.... ponurą fosforescencję własnych swoich zwłok; i zmora dręczyć go zaczyna ponownie.

Stan taki trwać może miesiące i lata. Czas jego trwania zależy od siły materialnych instynktów duszy. Jednakże, bez względu na to, czy dusza ta zła jest czy dobra, djabelska czy niebiańska, zyska ona stopniowo uświadomienie sobie samej siebie i nowego swojego stanu. Wyzwolona wreszcie z więzów ciała własnego, pomknie w otchłanie atmosfery ziemskiej, której prądy elektryczne wznoszą ją we wsze strony i w której dostrzegać zaczyna, mniej lub więcej podobnych do niej samej, wędrowców wielokształtnych, niby błędne ogniki we mgłę gęstej. Rozpoczyna się wówczas zacięta walka zawrotna ociążałej jeszcze życiem cielesnym duszy, pragnącej wznieść się w wyższe warstwy powietrza, wyzwolić się z przyciągania ziemi i dotrzeć w niebie planetarnem do sfery sobie właściwej, którą jedynie przewodnicy przyjaźni wskazać jej mogą. Zanim jednak usłyszy ich i ujrzy, długi nieraz upłynie okres czasu. Ta faza życia duszy różne nosiła w religjach i mitologjach miana: Mojżesz nazywał ją Horebem; Orfeusz-Erebem; chrystjanizm-Czyśćcem, czyli *doliną cienia śmierci*. Wtajemniczeni greccy porównywają ją do ostrokągu cienia, jaki ziemia



wlecze stale za sobą, i jaki ciągnie się aż do księżyca i nazywali ją z tego powodu *otchlanią Hekaty*. W ciemnych tych głębinach wirują—podług wyznawców Pytagoras i Orfeusza,—dusze, usiłujące wysiłkami rozpaczliwemi dotrzeć do kręgu księżyca i tysiącami strącane gwałtownością wichru na ziemię. Homer i Wirgiljusz przyrównują je do wirujących jesienią liści zeszlých, do rójów ptaków, oszalałych srożącą się burzą. Księżyc wielką odgrywał rolę w ezoteryzmie starożytnych. Na jego zwróconej ku niebu tarczy oczyszczać miały dusze ciała swoje astralne przed dalszem wznoszeniem się w sfery niebieskie. Przypuszczano również, że bohaterowie i geniusze przebywają przez czas pewien na jego tarczy, zwróconej ku ziemi, przed przyodzianiem się w ciało, nadające się do życia na naszym świecie. Przypisywano też poniekąd księżycowi władzę magnetyzowania duszy dla jej wcielenia ziemskiego i odmagnetyzowywania jej dla nieba. Twierdzenia te, którym wtajemniczeni przypisywali znaczenie zarazem realne i symboliczne, znaczyły na ogół, że, przed rozpoczęciem dalszej swojej wędrówki, musi dusza przejść przez stan pośredni oczyszczania się i wyzwalania z naleciałości ziemskich.

Jak wszakże opisać przybycie duszy czystej do właściwego jej świata? Ziemia znikła jak marzenie senne. Sen nowy, omdlenie rokoszne ogarnia ją jak pieszczota słodka. Nie widzi ona już nic i nikogo po za przewodnikiem swoim uskrzydłonym, unoszącym ją z chyżością błyskawicy w głębiny przestworzy. Cóż powiedzieć o jej zbudzeniu się w dolinach gwiazdy lotnej, pozbawionej atmosfery żywiołu, gdzie wszystko: góry, kwiaty, roślinność,—cudowne jest, wrażliwe i mówiące? Co powiedzieć zwłaszcza o tych postaciach świetlanych mężczyzn i kobiet, które ją otaczają niby orszak święty, aby wtajemniczyć ją w święte tajniki jej nowego życia? Czy bogowie to i bo-

ginie. Nie, to dusze takie, jak i ona; a boski cud sprawił, że myśl ich, ukryta zazwyczaj w mózgu ludzkim, rozkwita na ich obliczach, że czułość, miłość, pragnienie czy lęk przeświełają te ciała przezrocze gamą barw promiennych. Tutaj nie są już ciała i twarze maskami duszy; dusza przejrzysta objawia się tutaj w kształcie swoim istotnym i świeci jasnym światłem czystej swojej prawdy. Psyche odzyskała boską swoją ojczyznę. Bowiem światło tajemne, w którym jest teraz skąpana, które wylania się z niej samej i które płynie do niej falą powrotną w uśmiechach istot ukochanych, owo światło szczęśliwości... to dusza świata... czuje w niej ona obecność Bogal

Teraz, niema już przeszkód; kochać ona będzie, wiedzieć i żyć bez zapór żadnych w granicach własnego jedynie lotu.

O, błogości przedziwna i cudowna! czuje się złączoną pokrewnością głęboką ze wszystkimi towarzyszami swojemi. Bowiem w życiu zaświatów ci, co miłości dla siebie wzajem nie czują, unikają się, zaś łączą się i skupiają ci tylko, którzy się wzajem rozumieją. W doskonalszej jeszcze z niemi spójni czić ona będzie wraz z niemi tajniki boskie w świątyniach jeszcze piękniejszych. Będą to żywe, nowe wciąż poematy, których strofą będzie dusza każda i w których każda przeżywać będzie życie własne w życiu innych. Poczem, drżąca cała, wzniesie się ona w światłości wyżyn, na wezwanie genjuszów skrzydlatych, gońców tych, którzy noszą miano Bogów, ponieważ wyzwolić się już zdolali z kręgu narodzin. Pod przewodem tych intelektów wzniosłych będzie usiłowała odczytać wielki poemat Słowa tajemnego, zrozumieć to, co uda jej się uchwycić z symfonji wszechświata. Otrzyma w tajemniczenie hierarchiczne z kół Miłości bożej, będzie usiłowała ujrzeć Treści, rozsiewane po światach przez Genjusze ozywające; oglądać będzie duchy, przyjęte już



do chwały bożej, żywe promienie Boga Bogów i oczy jej znieść nie będą mogły wspaniałości ich olśniewającej, przy której błędną słońca niby lampy kopcające.

A kiedy powróci, przerażona, z tych wędrówek zawrotnych, — dreszcz bowiem zdejmuje ją wobec bezmiarów — usłyszy zdaleka wezwania dusz ukochanych, sfrunie więc na złociste niwy gwiazdy swojej w spowiciu różanem snu kołyszącego, pełnego kształtów białych, woni niebiańskich i melodji czarownych.

Takiem jest życie niebiańskie duszy. Umysł nasz, stężony przez ziemię, zaledwie może je sobie wyobrazić. Przeczuwają je natomiast wtajemniczeni i przeżywają jasnowidzący; prawa analogji i zgodności wykazują, że musi ono być takim istotnie.

Nasze obrazy z gruba ciosane, nasz język niedoskonały napróżno siłą się oddać je, każda wszakże dusza żywa czuje zaród jej w głębiach swoich tajemnych. W stanie obecnym niemożliwością jest dla nas zdanie sprawy z życia tego, którego warunki psychiczne formuluje filozofja okultyzmu. Ideę gwiazd eterycznych, niewidzialnych dla nas, lecz wchodzących w skład naszego systemu słonecznego i stanowiących siedlisko dusz szczególnie, odnajdujemy często w tajnikach tradycji ezoterycznej. Pytagoras nazywa świat ten — przeciwwagą ziemi: *antychtonem*, oświetlonym przez Ogień ośrodkowy, czyli światło boże. W zakończeniu „*Phedona*” opisuje Platon szczegółowo, jakkolwiek pod osłoną symbolu, ową ziemię duchową, o której mówi, że jest jak powietrze lekka i skąpana w atmosferze eterycznej.

Dusza zachowuje więc w życiu przyszłym całą jaźń swoją. Z istnienia na ziemi pozostają w jej pamięci jedynie wspomnienia szlachetne, inne zaś zacierają się w zapomnieniu, nazwanem przez poetów falami Letejskimi. Wyzwolona ze skaz swoich czuje dusza ludzka,

iz odzyskała niejako świadomość swoją. Z zewnętrznej strony wszechświata powróciła ona do jego wnętrza; tchnieniem głębokiem wchłonęła ją ponownie w łono swoje Cybela Mała, dusza świata. Spełni tutaj Psyche marzenie swoje, owo marzenie, rozdzielane nieustannie i nieustannie znów nawiązywane na ziemi. Spełni je miarą wysiłku swojego ziemskiego i zdobytego światła, rozszerzy je wszakże stokrotnie. Zniweczone nadzieje wykwitną ponownie w promiennej zorzy życia jej boskiego; ciemne zachody słońca na ziemi rozplomienią się światłem olśniewającym. Tak, jeśli przeżył człowiek jedną choćby godzinę uniesienia entuzjastycznego lub zaparcia się siebie, ten jeden dźwięk czysty, wyrwany z całej gamy rozdźwięków życia ziemskiego, odbije się w jego życiu zaświatowem progresją cudowną harmonji eolskich. Przemijające rokosze, jakimi darzy nas czar muzyki, jakie dają nam upojenia miłosne czy porywy miłosierdzia, są poszczególnymi jedynie dźwiękami tej symfonji boskiej, jaką usłyszymy wówczas. Czy znaczyć to ma, iż życie na ziemi będzie długim snem tylko, jedną wielką halucynacją? Cóż wszakże bardziej istotnego po nad to, co dusza odczuwa w samej sobie i co urzeczywistnia przez boskie zespolenie się z innymi duszami?

Wtajemniczeni, konsekwentni zawsze idealisci, wierzyli, że jedyną trwałą rzeczywistością na ziemi są przejawy Piękna, Miłości i Prawdy duchowej. Ponieważ zaś ta Prawda, Miłość i Piękno mogą być jedynym celem zaświatów dla tych, którzy uczynili z nich cel życia swojego, przeświadczeni oni są, że niebo prawdziwszem będzie niż ziemia.

Życie niebiańskie duszy trwać może setki i tysiące lat, zależnie od dostojenstwa jej i siły jej impulsu. Najdoskonalsze wszakże tylko dusze, najwznioślejsze, te, które przekroczyły krąg narodzin, mogą wieść je do nie-



skończoności. Nietylko bowiem zyskały one spoczynek czasowy, lecz możliwość nieśmiertelnego trwania i działania w atmosferze prawdy; same stworzyły one własne swoje skrzydła. Są nietykalne, bowiem są światłem; rządzą światami, bowiem przenikają je wzrokiem nawskroś. Wszystkie inne zniewala niezłomne prawo rozwoju do ponownego wcielania się celem przebycia nowej próby i wzniesienia się na wyższy stopień lub też zstąpienia jeszcze niżej, gdyby miało zbraknąć im siły.

Życie duchowe ma, podobnie jak życie ziemskie, swój początek, swój moment najwyższego rozkwitu i swój okres upadku. Kiedy życie to jest na wyczerpaniu, dusza odczuwa ociężałość, zamroczenie i melancholję. Siła niezmierzona ciągnie ją znów ku walkom i cierpieniom ziemskim. Obok pragnienia tego wszakże doznaje również dusza uczucia strasznego lęku i bólu okrutnego na myśl o konieczności rozstania się z życiem boskiem. Czas jednak nadszedł; prawu musi stać się zadość. Uczucie ciężaru wzmacnia się, mrok zalega głąb jej jaźni. To warzyszki swoje świetlane widzi już we mgle tylko, i zasłona ta, coraz gęściejsza, każe jej przeczuwać nieuniknioną rozłąkę. Słyszy smutne ich pożegnania; lzy szczęśliwych ukochanych przenikają ją niby rosa niebiańska, która pozostawi w głębi jej serca płomienną tęsknotę za szczęściem niezaznanem. Wówczas — przysięgami uroczystymi — przyobiecuje *pamiętać...* pamiętać o jasności w świecie mroków, o prawdzie — w świecie kłamstwa, o miłości w świecie nienawiści.

Za tę jedynie cenę zyska możliwość ponownego połączenia się z niemi, zdobycia wieńca nieśmiertelności.

— I budzi się znów dusza w atmosferze zgęszczonej. Gwiazda eteru, dusze przejrzyste, oceany światła — wszystko to znikło, Znów jest na ziemi, w otchłani narodzin i śmierci. Nie zatraciła wszakże jeszcze pamięci

o niebie i przewodnik uskrzydłony, widzialny jeszcze dla jej oczu, wskazuje jej niewiastę, która matką jej będzie. Niewiasta ta nosi już w swem łonie zaród płodu. Zaród ten wszakże o tyle tylko żyć będzie, o ile ożywi go tchnienie ducha. Wówczas dokona się w ciągu dziewięciu miesięcy najbardziej niezbadana tajemnica życia ziemskiego, tajemnica wcielenia i macierzyństwa.

Tajemnicze zespolenie się zarodka z ciałem macierzystym dokonywa się zwolna, umiejętnie, narząd po narządzie, włókno po włóknie. W miarę jak dusza pogrąża się coraz głębiej w tę pulsującą życiem i ciepłem pieczęć, w miarę jak czuje się ona coraz ciaśniej uwikłaną w tysiączne skręty organów wewnętrznych, zaciera się w niej i gaśnie świadomość życia boskiego. Bowiem pomiędzy nią a światłością wyżyn stają fale krwi i tkanki ciała, dławiące ją w swym uścisku i wypełniając ją mrokiem. Już światło to dalekie błyskiem zamierającym jest tylko. Wreszcie ból okrutny ją przeszywa, ścisła ją kleszczami; spazm krwawy odrywa ją od duszy macierzystej i wgwążdża ją w ciało drgające.—

Narodziło się dziecko, nędzny wizerunek ziemski, które wita świat okrzykiem przerażenia. Wspomnienie niebiańskie ukryło się w tajemnych głębinach Nieświadomości. Wskrzesać je znów może Wiedza jedynie lub Ból, Miłość lub Śmierć!

Prawo wcielania się i opuszczania ciała przez duszę odsłania nam więc właściwe znaczenie życia i śmierci. Stanowi ono węzeł główny rozwoju duszy i pozwala nam śledzić ją w jej cofaniu się i w jej pochodzie naprzód do głębin natury i do jądra boskości. Prawo to bowiem odsłania nam rytm i miarę, przyczynę i cel nieśmiertelności. Z oderwanej i fantastycznej przeistacza ono ją w żywą i logiczną, wykazując stosunek wzajemny życia



i śmierci. Narodziny ziemskie są śmiercią ze stanowiska duchowego; śmierć jest zmartwychwstaniem niebiańskim.

Luzowanie się kolejne obu żywotów niezbędne jest do ewolucji duszy, a każdy z nich jest zarazem wynikiem i wytłomaczeniem drugiego. Ktokolwiek przejął się prawdami temi, dotarł do głębi tajników, do ośrodka wtajemniczenia.

Cóż jednak—zapytać można—dowodzi ciągłości trwania duszy monady, jednostki duchowej po przez wszystkie jej istnienia, skoro zatracą ona kolejno ich pamięć? — A coż dowodzi nam—odpowiemy—tożsamości osoby waszej podczas snu i podczas czuwania? Budzicie się codziennie z rana ze snu, równie dziwnego i niewytłomaczonego jak śmierć, zmartwychwstajecie z tej nicości, aby wpaść w nią znów z nastaniem nocy. Czy była to nicość? Nie, bowiem śniliście, a sny wasze były dla was tak samo rzeczywistymi, jak rzeczywistość dnia poprzedzającego. Zmiana warunków fizjologicznych mózgu wpłynęła na zmianę stosunku duszy do ciała i na przesunięcie waszego duchowego punktu obserwacyjnego. Byliście tymi samymi osobnikami, znajdowaliście wszakże w innem środowisku i odmienne wielkością istnienie. U zamagnetyzowanych, somnambulików i jasnowidzących rozwija sen nowe władze, które wydają nam się cudownymi, lecz które są naturalnymi władzami duszy, oderwanej od ciała. Po zbudzeniu się jasnowidzący ci nie pamiętają już tego, co widzieli, mówili i czynili podczas swojego snu na jawie; doskonale sobie natomiast we śnie przypominają, co miało miejsce w śnie poprzednim i przepowiadają czasem, ze ścisłością matematyczną, co nastąpi w przyszłym. Mają więc jak gdyby podwójną świadomość, dwa życia, luzujące się kolejno, zupełnie różne, z których każde wszakże ma racjonalny swój ciąg dalszy i które oplatają się dokoła jednego i tego samego

osobnika, jak różnokolorowe sznurki dokoła nitki niewidzialnej.

Starożytni poeci wtajemniczeni, nazywając sen *bratem śmierci*, nadawali nazwie tej głębokie znaczenie. Bowiem zasłona zapomnienia zarówno oddziela sen od jawy, jak narodziny od śmierci. Tak samo też jak życie nasze ziemskie podzielone jest na dwie, kolejno zawsze następujące po sobie, części, tak samo wstępuje dusza, w bezkresach kosmicznego rozwoju swojego, w dwa stany kolejne: wcielenia ziemskiego i życia duchowego, zawieszona w ten sposób pomiędzy ziemią a niebem. To przechodzenie kolejne z jednej płaszczyzny wszechświata na drugą, to odwracanie biegunów własnego bytu zarówno niezbędne jest dla cielesnego istnienia człowieka. Przy przechodzeniu z jednego istnienia w drugie potrzebne nam są fale Letejskie. W życiu ziemskim zasłona zbawcza kryje przed nami przeszłość i przyszłość. Zapomnienie nie jest wszakże zupełne i światło przebłyskuje po przez zasłonę. Już idee wrodzone dowodzą istnienia uprzedniego. Co więcej wszakże: rodzimy się, nosząc w sobie świat wspomnień niejasnych, popędów tajemniczych, przeczuć boskich. Występują nieraz u dzieci, zrodzonych z rodziców łagodnych i spokojnych, wybuchy dzikich namiętności, które nie dają się dostatecznie wytłomaczyć atawizmem, bowiem są wynikiem istnienia uprzedniego. Widzimy czasem, w życiu najskromniejszym, najbardziej przyziemnym, niewytłomaczone, wzniosłe ukochanie idei, wierność uczuciu. Czy nie są one wpływem obietnic i przysiąg, danych w życiu niebiańskim? Bowiem pamięć tajemna, którą zachowała o nich dusza, silniejszą jest od wszelkich racji ziemskich. Zwycięża ona lub zostaje pokonana, zależnie od tego, czy utrwała w sobie wspomnienie czy też wyrzeka się go. Prawdziwą wiarą jest ta zakłeta w milczenie wierność duszy samej



sobie. Zrozumiałem jest też, że Pytagoras, podobnie jak wszyscy teozofowie, uważał życie cielesne za okres niezbędny wyrabiania się woli, zaś życie niebiańskie — za szczyt wzrostu duchowego i wydoskonalenia się.

Żywoty następują po sobie kolejno, niepodobne wzajem do siebie, lecz wzajem zazębiające się z logiką nieubłaganą. Jakkolwiek każde z nich własnemu podlega prawu i własne ma przeznaczenie, jednakże szeregiem ich ogniw rządzi jedno prawo ogólne, które możnaby nazwać *odbiciem żywotów*<sup>1)</sup>, W myśl prawa tego czyny spełnione w jednym życiu nieunikniony znajdują odzwiek w życiu następnem. Nietylko zbudzi się człowiek do nowego życia z popędami i właściwościami, jakie rozwinęły się w nim podczas wcielenia uprzedniego, lecz rodzaj nawet istnienia jego z góry w znacznym stopniu określony będzie przez dobry czy zły użytek, jaki uczynił on z wolności w życiu swoim uprzednim. Niema takiego wyrazu ani czynu takiego — mówi przysłowie — które nie odbiłyby się echem w wieczności. W myśl doktryny ezoterycznej przysłowie to stosuje się dosłownie do kolejno następujących po sobie żywotów. Pytagoras znajduje wytłumaczenie pozornych niesprawiedliwości losu, jak: kalectw, nędzy, ciosów moralnych i nieszczęść wszelkiego rodzaju — w tem, że wszelkie istnienie jest karą lub nagrodą za istnienie uprzednie. Życie występne pociąga za sobą życie, wypełnione pokutą za grzechy; życie niedoskonałe — życie prób; życie prawe warunkuje posłannictwo; życie wyższe — posłannictwo twórcze.

Sankcja moralna zastosowana z pozorną niedokładnością — do jednego tylko życia, — stosuje się z cudowną doskonałością i drobiazgową sprawiedliwością do szeregu żywotów. W szeregu tym może zachodzić stopniowe

<sup>1)</sup> Tak zwane przez bramanów i buddystów prawo *Karmy*.

wznoszenie się ku duchowości i poznaniu, lub też spadaniu ku zezwierzęceniu i ciemnocie materji. W miarę jak dusza wznosi się stopniowo ku wyżynom, zdobywa ona udział coraz większy w wyborze swoich wcieleń. Dusza niższa ślepo podlega prawu wcielenia; dusza pośrednia, przeciętna — wybiera z pomiędzy wcieleń, jakie jej zostały zaofiarowane; dusza wyższa, która dobrowolnie przyjęła na siebie jakąś misję, wybiera je przez poświęcenie. Im wznioślejsza jest dusza, tembardziej zachowuje ona we wcieleniach swoich jasną, niepokonaną świadomość życia duchowego, królującego ponad naszym horyzontem ziemskim, otaczającego ziemię naszą kręgiem świetlanym i ślącemu promienie swoje w mroki. Tradycja dowodzi nawet, że wtajemniczeni pierwszego rzędu, boscy prorocy ludzkości, zachowali pamięć uprzednich istnień swoich ziemskich. Legenda mówi, że Gautama Buddha, Sakja-Muni, odnalazł w ekstazach swoich wątek swoich istnień uprzednich. Pytagorasowi zaś przypisują, iż zadzięczał on, jak mówił, specjalnej łasce bogów zachowanie pamięci o niektórych swoich żywotach poprzedzających.

Powiedzieliśmy już, że w ciągu szeregu żywotów swoich dusza może bądź cofać się, bądź iść naprzód, zależnie od tego, czy ciąży ona ku swojej naturze boskiej czy też przyziemnej. Wypływa stąd konsekwencja doniosła, której prawdę odczuwała zawsze świadomość ludzka z dziwnym dreszczem lęku. W ciągu wszystkich żywotów zachodzi konieczność staczania walk, dokonywania wyborów i postanowień, których skutki są nieobliczalne. Jednakże na drodze wzwyż, to znaczy na drodze dobra, obejmującej znaczny szereg wcieleń, znaleźć się musi takie życie, taki rok, a może godzina taka chociażby, kiedy dusza, która osiągnęła pełne poznanie zła i dobra, może wznieść się ostatnim i najwyższym wysiłkiem na



wyżnę, skąd nie będzie już musiała zstępować i skąd rozpoczyna się droga na szczyty. Tak samo też na drodze zstępnej, czyli na drodze zła, istnieje punkt, z którego dusza przewrotna może się jeszcze cofnąć z powrotem. Z chwilą jednak przekroczenia tego punktu zatwardziałość w złem staje się już nieodwołalną. Z istnienia w istnienie będzie już dusza staczała się na samo dno mroków. Zatraci człowieczeństwo swoje. Człowiek stanie się demone — zwierzęciem, a niezniszczalna monada jego zmuszona będzie rozpocząć na nowo zmuśnią swoją, przerażającą ewolucję po przez szereg coraz wyższych państw natury oraz istnień niezliczonych. To właśnie stanowi wedle prawa ewolucji piekło prawdziwe. Nie jest-że ono równie straszliwym i bardziej logicznym od piekła religii egzoterycznych? <sup>1)</sup>

Dusza może zatem wznosić się lub staczać w szeregu żywotów. Drogę pochodzenia ludzkości ziemskiej określa prawo postępu wzwyż, wchodzące w zakres praw boskich. Prawo to, które, jak mniemamy, świeżo zostało wykryte, znane już było i głoszone w Misterjach starożytnych. „Zwierzęta są pokrewne człowiekowi, a człowiek jest pokrewny Bogu“—mówił Pytagoras. Rozwijał on filozoficznie nauki, dawane w symbolach eleuzyńskich: prawo postępu, stałe wznoszenie się państw natury wzwyż, dążenie świata minerałów do świata zwierzęcego, świata zwierzęcego do świata ludzkiego oraz kolejny szereg coraz doskonalszych ras ludzkich. Postęp ten nie dokonywa się w sposób jednostajny, lecz regularnymi i wciąż rozszerzającymi się kręgami, wzajem w sobie zawartymi. Każdy naród ma swoją młodość, swoją dojrzałość i swój

---

<sup>1)</sup> Religie egzoteryczne — czyli jawne, w przeciwieństwie do religii ezoterycznych, przeznaczonych dla wtajemniczonych. (Przyp. tłom.)

schylek. To samo powtarza się w życiu ras całych: rasy czerwonej, czarnej i białej, które panowały kolejno na kuli ziemskiej. Rasa biała, będąca obecnie w pełni młodości, nie doszła jeszcze za naszych czasów do okresu dojrzałości swojej. Stanąwszy u szczytu potęgi, wyda z własnego łona rasę doskonalszą jeszcze, a uczyni to na drodze ponownego ustanowienia wtajemniczeń oraz duchowego doboru małżeństw. W ten sposób następują po sobie rasy, w ten sposób postępuje naprzód ludzkość. Wtajemniczeni starożytni zachodzili dalej znacznie w przewidywaniach swoich aniżeli współczesni. Przypuszczali oni, że nadejdzie chwila, w której wielka gromada osobników, stanowiących obecną ludzkość, przeniesie się na inną planetę, aby rozpocząć tam cykl nowy. W szeregu cykli, tworzących łańcuch planetarny, rozwinięta ludzkość cała pierwiastki intelektualne, duchowe i nadmysłowe, jakie rozwijali w sobie już w życiu ziemskim wielcy wtajemniczeni, i doprowadzi je do bardziej powszechnego rozlania się. Rzecz oczywista, że rozwój podobny nie może ogarniać tysięcy, lecz miliony lat i że wywoła on takie zmiany w warunkach bytu i natury człowieka, jakich nie jesteśmy wcale w stanie wyobrazić sobie. Dla scharakteryzowania ich, mówi Platon, że wówczas Bogowie będą istotnie zamieszkiwali świątynie ludzkie. Logika nakazuje przypuszczać, że w łańcuchu planetarnym, to znaczy w kolejnych stadjach rozwoju naszej ludzkości na innych planetach, wcielenia jej staną się coraz bardziej uduchowione, zatem niepostrzeżenie coraz bardziej ją zbliżą do stanu czysto duchowego, do ósmej owej sfery, będącej po za kołem narodzin i określanej przez starożytnych teozofów mianem stanu boskiego. Rzeczą jest też naturalną, że wobec nierównej siły ich rozpędu, wobec faktu, że wiele z nich ustaje w drodze lub stacza się ponownie, liczba wybrańców w cudownym tem pięciu się wzwyż



wciąż się zmniejsza. Intellekty nasze, ograniczone przez warunki życia ziemskiego, nie są w stanie objąć tego wzlotu olśniewającego, który umysły niebiańskie rozpatrują z taką swobodą, z jaką my rozpatrujemy każdy żywot poszczególny. Czyliż pojęta w ten sposób ewolucja dusz nie jest zgodna z jednością Ducha, tą zasadą wszystkich zasad? z jednorodnością Natury, tem prawem wszystkich praw? z ciągłością ruchu, ową siłą sił? System słoneczny, oglądany przez pryzmat życia duchowego, nie stanowi jedynie mechanizmu materialnego, lecz organizm żywy, królestwo niebieskie, w którym dusze wędrują ze świata w świat, jak samo, ożywiające je, tchnienie Boże.

Jakież jest więc w myśl doktryny ezoterycznej cel ostateczny człowieka i ludzkości? Po tylu żywotach, śmierciach, odrodzeniach, okresach ciszy, zbudzeniach bolesnych — czy nastanie kiedykolwiek kres trudom psychy? Tak, mówią wtajemniczeni, nastanie on, kiedy dusza pokona ostatecznie materję, kiedy, rozwinięszy wszystkie swoje władze duchowe, odnajdzie w sobie samej źródło i cel ostateczny wszechrzeczy, — wówczas wcielenie nie będzie już potrzebne, zespoli się więc ona w zupełności z intelektem boskim i osiągnie tym sposobem boski stan. Jakże jednak my, synowie ziemi, którzy zaledwie przeczuć jesteśmy w stanie życie duchowe duszy po każdym życiu ziemskim, zdolni będziemy wyobrazić sobie to życie doskonałe, które nastąpić będzie musiało po szeregu owych bytów duchowych? To niebo nieb będzie w stosunku do uprzednich błogości swoich tem, czem jest Ocean w porównaniu ze strumieniami. Dla Pytagorasa apoteozą człowieka nie było pograżenie się w nieświadomość, lecz, świadoma w stopniu najwyższym celów swoich i zadań, czynność twórcza. Dusza, która stała się duchem czystym, nie zatraciła osobowości swojej; udoskonaliła ją jedynie, bowiem zespoliła się z pratyphem

swoim w Bogu. Przypomina ona sobie wszystkie swoje istnienia dawne, które wydają się jej szczeblami, wiodącymi na szczyty, skąd ogarnia i przenika wszechświat. W stanie tym człowiek przestaje już być człowiekiem, jak mówił Pytagoras; jest on pół-bogiem. Bowiem cała jego istota jest odbiciem światłości niewypowiedzianej, jaką Bóg wypełnia bezmiary. Dla niego wiedzieć—znaczy móżdż; kochać — znaczy tworzyć; być — to promieniować prawdę i piękno.

Czy kres ten jest już ostateczny? Wiekuistość duchowa odmienne ma miary, aniżeli czas słoneczny; ma ona wszakże również etapy swoje, normy i cykle. Przerastają one jednak najzupełniej zakres pojmowania człowieczego. Wszelako prawo podobieństw postępowych w coraz wyższych państwach natury pozwala nam twierdzić, że—o ile światy widzialne zmieniają się i przemijają—nieśmiertelnym pozostaje świat niewidzialny, który jest racją bytu tamtego, jego źródłem i ujściem ostatecznym, a którego częścią jest boska Psyche.

Promienne perspektywy takie otwierał Pytagoras w końcu opowieści swojej o losach *boskiej Psychy*. Ostatnie słowa skonały już na wargach mędrca, lecz znaczenie tej, niepodobnej do udzielenia, prawdy zawieszono wciąż jeszcze było w nieruchomem powietrzu krypty. Każdemu zdawało się, że prześnił do końca sen żywotów i że budzi się w ciszy wielkiej, w słodkim bezmiarze życia jedyne i niemającego kresu. Lampy naftowe łagodnie oświetlały posąg Persefony, wyobrażonej w postawie stojącej, jako żniwiarka niebiańska, i wskrzeszały pamięć jej dziejów symbolicznych w świętych freskach sanktuarjum. Zdarzało się czasem, że która z kapłanek wpadała w ekstazę pod czarem melodji głosu Pytagorasowego; postać jej i oblicze promienne tchnęły wówczas niewypowiedzianem pięknem oglądanej wizji, która zda-



wała się wcielać w jej rysy. Zdjęci dreszczem zbożnym uczniowie patrzyli na nią w niemym zachwycie. Niebawem wszakże mistrz — ruchem powolnym i pewnym — ściągał natchnioną *wieszczkę* na ziemię. Zwolna zatracaly rysy jej sztywność kamienną, poczem osuwała się ona na ręce towarzyszek i wpadała w letarg głęboki, z którego budziła się oszolomiona, smutna, jak gdyby wyczerpana wzlotem swoim w zaświaty.

Krypta pustoszała. Pytagoras i uczniowie jego szli do ogrodów Cerery, aby napawać się świeżością świtania, bielejącego już na morzu, na linii jego zetknięcia się z niebem gwiazdzistym.

#### STOPIEŃ CZWARTY — EPIFANJA <sup>1)</sup>

#### ADEPT — KOBIETA WTajemniczona — MIŁOŚĆ I MAŁŻEŃSTWO

Dotarliśmy pod przewodem Pytagorasa na szczyty wtajemniczenia starożytnego. Z wyżyny tej ziemia zdaje się tonąć w ciemni jak gwiazda gasnąca. Otwierają się stąd gwiazdne perspektywy i roztacza się w całokształcie cudownym widzenie z wyżyn — *epifanja* wszechświata. Celem nauczania nie było wszakże pogrążenie słuchacza w kontemplację czy ekstazę. Mistrz oprowadził uczniów swoich po niespółmiernych krainach Kosmosu, pogrążył ich w otchłanie świata niewidzialnego. Z przerażającej wędrówki tej winni byli prawdziwi wtajemniczeni powrócić na ziemię lepszymi i bardziej zahartowanymi na próby i przejścia życiowe.

---

<sup>1)</sup> *Epifanja* — czyli widzenie z wyżyn; *autopsja* — widzenie bezpośrednie; *teofanja* czyli objawienie Boga. Wszystkie te pojęcia współrzędne i wyrażenia odmienne dla oznaczenia stanu doskonałości, w którym wtajemniczony, zespoliwszy się z Bogiem, ogląda prawdę całkowitą.

Po wtajemniczeniu intelektu następować musiało, najtrudniejsze ze wszystkich, wtajemniczenie woli. Szło teraz o to, aby uczeń mógł wchłonąć prawdę głębiami swojej istoty, wprowadzić ją w czyn w praktyce życiowej. Dla osiągnięcia ideału tego, należało — zdaniem Pytagorasa — zjednoczyć w sobie trojaką doskonałość: osiągnąć urzeczywistnienie prawdy w intelekcie, cnoty — w duszy, czystości — w ciele. Rozumna higiena i umiarkowana wstrzeźliwość podtrzymywać winny były czystość cielesną. Wymagana ona była nie jako cel, lecz jako środek. Wszakże nadużycie cielesne pozostawia ślad i coś w rodzaju skazy na ciele astralnym, żywym tym organizmie duszy, a tem samym i na duchu samym. Bowiem ciało astralne bierze udział we wszystkich czynnościach ciała fizycznego, które bez niego byłoby bryłą nieruchomą. Ażeby więc czystą była dusza, musi ciało być czystem. Należy dalej, aby dusza, oświecana nieustannie przez intelekt, zdobyła męstwo, zaparcie się siebie, poświęcenie i wiarę, słowem — cnotę, i uczyniła z niej drugą naturę swoją, która w zupełności zastąpiłaby pierwszą. Intelekt z kolei zdobyć musi mądrość w taki sposób, aby umiał on odróżniać we wszystkim złe od dobrego i dostrzegać Boga, zarówno w stworzeniu najdrobniejszym, jak w całokształcie światów. Na tej dopiero wyżynie staje się człowiek *adeptem*, i, o ile posiada dostateczną energję, zyskuje nowe władze i zdolności. Rozwierają się zmysły wewnętrzne duszy, z innych promienieje wola. Magnetyzm ciała jego, który przeniknęły wpływy jego duszy astralnej i który naelektryzowała jego wola, zdobywa potęgę cudotwórczą na pozór. Czasem uzdrowia on chorych nałożeniem rąk lub wprost obecnością swoją. Często przenika wzrokiem swoim myśli ludzkie. Czasem w stanie jawy widzi wypadki, zachodzące



daleko<sup>1)</sup>). Działa z odległości skupieniem myśli i woli na osoby, złączone z nim węzłami sympatji osobistej i okazuje im się na odległość, jak gdyby jego ciało astralne miało moc przenoszenia się po za jego ciało materialne. Ukazywanie się umierających lub zmarłych przyjaciółom ich wkracza w sferę tych samych zjawisk, z tą wszakże różnicą, że zjawa, którą powoduje zazwyczaj nieświadome pragnienie umierającego lub dusza zmarłego, wywołana zostaje przez adepta w pełni zdrowia i świadomości.

---

<sup>1)</sup> Przytoczmy dwa słynne tego rodzaju fakty, najzupełniej autentyczne. Pierwszy miał miejsce w starożytności. Bohaterem jego jest słynny filozof nowopytagorejski, cudotwórca Apolonjusz z Tjany.

*Fakt pierwszy. Jasnovidzenie Apolonjusza z Tjany.*— „W czasie kiedy wypadki te (zamordowanie cesarza Domicjana) zachodziły w Rzymie, widział je Apolonjusz w Efezie.—Domicjan napadnięty został przez Klemensa około południa; tego samego dnia i w tej samej chwili nauczał Apolonjusz w ogrodach, przylegających do *Xyst* czyli kolumnad, gdzie odbywały się ćwiczenia. Nagle przycichł głos jego, jakgdyby zdjęło go przerażenie nagle. Nie przerwał rozprawy swojej, wszelako mowa jego nie miała zwykłej siły, jak to się zdarza tym, którzy, mówiąc, myślą o czem innem. Nagle zamilkł, jak człowiek, który zgubił nagle wątek myśli swoich, spojrzął na ziemię wzrokiem strasznym, postąpił o trzy czy cztery kroki naprzód i zawołał: „Przebij tyrana!” Rzec można było, że widzi on nie odbicie faktu, lecz sam fakt w całej grozie jego rzeczywistości. Efezejczycy (bowiem cały Efez obecny był przy rozprawie Apolonjusza) zdumieni byli i przerażeni. Znieruchomiał Apolonjusz, jak człowiek, który czeka na wynik faktu niepewnego. Po chwili znów zawołał: „Bądźcie dobrej myśli, Efezejczycy, tyran został zabity dzisiaj. Co mówię, dzisiaj?! Na Minerwę, zabity został w tej samej chwili, kiedy przestałem mówić”. Efezejczycy przypuszczali, że Apolonjusz postradał zmysły; pragnęli gorąco, aby to, co powiedział, było prawdą, bali się wszakże, aby niebezpieczeństwo jakieś nie wynikło dla nich ze słów jego... Wkrótce wszakże przybyli gońcy, którzy oznajmili im wieść radosną i stwierdzili prawdziwość widzenia Apolonjusza. Bowiem zamordowanie tyrana, dzień w którym zostało ono dokonane, godzina południa, sprawca zabójstwa, którego Apolonjusz zagrzewał do czynu—

mości. Bądź co bądź wszakże wywołać on ją może jedynie podczas snu, przeważnie podczas snu letargicznego. Wreszcie czuje się adept otoczonym niejako przez istoty niewidzialne, wyższe i świetlane, które udzielają mu siły swojej i pomagają mu w spełnieniu jego posłannictwa.

Niewielu jest adeptów, mniej jeszcze takich, co osiągnąć zdołali potęgę podobną. Grecja знаła trzech za ledwie: Orfeusza w zaraniu hellenizmu; Pytagora u szczytu jego rozkwitu; i u schyłku jego — Apolonjusza z Tjany. Orfeusz był wielkim wtajemniczonym i wielkim twórcą religii greckiej; Pytagoras — budowniczym nauki ezoterycznej i filozofji szkół; Apolonjusz — stoikiem moralizatorem i znanym cudotwórcą okresu upadku. We wszystkich trzech wszakże, po przez odcienia i pomimo róż-

---

wszystkie te szczegóły okazały się najzupełniej zgodnymi z temi, jakie Bogowie ukazali mu w dniu mowy jego do Efezejczyków". Żywot Apolonjusza przez Filostrata.

*Fakt drugi. Jasnowidzenie Swedenborga.* — Fakt drugi dotyczy największego z nowoczesnych jasnowidzących. Można prowadzić spory na temat przedmiotowej istotności widzeń Swedenborga, niepodobna wszakże wątpić o jego darze jasnowidzenia, stwierdzonym mnóstwem faktów. Widzenie, które oglądał Swedenborg na odległość trzydziestu mil, mianowicie widzenie pożaru Sztokholmu, narobiło wiele wrzawy w drugiej połowie XVIII-go stulecia. Słynny filozof niemiecki, Kant, przeprowadził badanie za pośrednictwem jednego ze swoich szwedzkich przyjaciół, zamieszkałego w Goteborgu, w mieście w którym fakt ów miał miejsce i oto, co pisze on o tem do jednej ze swoich przyjaciółek:

„Fakt, który tutaj opowiem, posiada, jak mi się wydaje, jak największą siłę przekonywającą i powinien też przeciąć wszelkiego rodzaju wątpliwości. Działo się to w 1759 r., ku końcowi września. P. Swedenborg, w drodze powrotnej z Anglii, wylądował pewnej soboty, około czwartej po południu, w Goteborgu, gdzie został zaproszony, wraz z piętnastoma innymi osobami do domu pana Williama Costela. Wieczorem, około szóstej, p. de'Swedenborg, który



nic, jaśnieje promień boski: duch, dążący z upragnieniem do zbawienia dusz, niezłomna energia, przyobleczona w szatę łaskawości i pogodności. Nie zbliżajcie się wszakże zbyt do tych wyniosłych czół spokojnych; płoną one w milczeniu. Czuje się pod nimi ogień woli płomiennej, stale powściąganej.

Pytagoras jest więc dla nas typem adepta pierwszego rzędu, obdarzonego duchem naukowym i umysłem filozoficznym, najbardziej zbliżonym do umysłów współczesnych. On sam wszakże nie mógł i nie zamierzał czynić doskonałych adeptów z uczniów swoich. Wielka epoka ma zawsze w zaraniu swoim wielkiego ducha twórczego, dającego mu natchnienie. Uczniowie

---

oddalił się, wszedł do sali błady i zmieszany i oznajmił, że w tej samej chwili wybuchł pożar w Sztokholmie, na Sudermalmie, i że ogień dociera z wielką gwałtownością do jego domu... Po chwili dodał, że dom jednego z jego przyjaciół, którego nazwał po imieniu, spalony jest do ła i że własny jego dom jest w niebezpieczeństwie. O ósmej, po oddaleniu się ponownem, zewołał głosem radosnym: „Bogu Najwyższemu dziękil pożar wygasł przy trzecich wrotach od moich”. Tegoż wieczora zawiadomiono o tem gubernatora. W niedzielę z rana wezwał on Swedenborga, aby wybać go w tej sprawie. Swedenborg opisał dokładnie pożar, jego początek, koniec i czas trwania. Tego samego dnia wieść ta obiegła miasto, wywołując tem większe wrażenie, że zainteresował się nią gubernator i że wielu mieszkańców niepokoiło się o swoje majątki i o swoich przyjaciół. W poniedziałek wieczorem przybyła sztafeta, którą kupcy sztokholmscy wysłali podczas pożaru. W listach tych pożar opisywał był w sposób najściślej zgodny z opisem Swedenborga.—Cóż można przytoczyć na dowód, zbijający autentyczność tego faktu? Przyjaciel który mi o nim pisze, zbadał to wszystko nietylko w Sztokholmie, lecz przed dwoma miesiącami w samym Goteburgu; zna tam domy najznaczniesze i mógł w ten sposób zasięgnąć dokładnych informacji w całym mieście, w którym żyje jeszcze większość świadków naocznych, ile że dopiero 9 lat upłynęło od 1859 r.” — List do panny Szarloty de'Knobloch, przytoczony przez *Mattera. Życie Swedenborga.*

jego i uczniowie jego uczniów tworzą łańcuch namagnetyzowany i szerzą myśl jego na świecie. W czwartym stopniu wtajemniczenia poprzestawał więc Pytagoras na nauczaniu wiernych mu stosowania doktryny jego w życiu. Bowiem *Epifanja*, widzenie z wyżyn, dawało całokształt głębokich i odradzających poglądów na sprawy ziemskie.

*Źródło zła i dobra* pozostaje tajemnicą niezrozumiałą dla człowieka, który nie zdał sobie sprawy z początku i końca wszechrzeczy. Moralność, nie mająca na względzie najwyższych przeznaczeń człowieka, będzie utylitarna jedynie i wielce niedoskonałą. Co więcej, wolność ludzka nie istnieje w rzeczywistości dla tych, którzy czują się zawsze niewolnikami swoich pożądań, nie przysługuje również z prawa tym, którzy nie wierzą ani w duszę, ani w Boga, i dla których życie jest błyskiem pomiędzy dwiema nicościami. Pierwsi żyją w niewoli duszy, przykutej łańcuchami do żądz; drudzy — w niewoli intelektu, ograniczonego do sfery świata fizycznego. Inaczej się dzieje z człowiekiem wierzącym i prawdziwym filozofem, tembardziej z teozofem wtajemniczonym, który urzeczywistnia prawdę w troistości swojej istoty i w jasności woli swojej.—Ażeby zrozumieć źródło zła i dobra, ogląda wtajemniczony *trzy światy* okiem ducha. Widzi mroczny świat materji i zwierzęcości, w którym góruje nieublagany *Los*. — Widzi świetlisty świat Ducha, który jest dla nas światem niewidzialnym, olbrzymią hierarchję dusz wyzwolonych, podległych prawu boskiemu i będących czynną *Opatrznością*. — Pomiedzy dwoma tymi światami widzi w półmroku ludzkość, wrosłą korzeniami w świat ziemski i sięgająca szczytami swojemi świata boskiego. Genjuszem jej jest *Wolność*. Bowiem z chwilą, kiedy uświadamia sobie człowiek prawdę i błąd, ma prawo wolnego wyboru: złączenia się z *Opatrznością* przez urze-



czywistnianie prawdy lub też wprężenie się w jarzmo losu przez kroczenie po drodze błędu. Akt woli w łączności z aktem intelektu jest punktem matematycznym jedynie, z punktu tego wszelako wytryska wszechświat duchowy. Umysł każdego człowieka przeczuwa instynktownie cząstkę tego, co intelekt teozofa ogarnia w całości, mianowicie że Złem jest to, co strąca człowieka w jarzmo materji, Dobrem — co wznosi go ku boskiemu prawu Ducha. Prawdziwem jego przeznaczeniem jest wznoszenie się coraz wyżej wysiłkiem własnej woli. Ażeby osiągnąć to, musi on mieć jednakże wolność staczania się na dno samo. Krąg wolności rozszerza się do granic nieskończonych w miarę wznoszenia się na wyżyny; kurczy on się do nieskończoności w miarę staczania się w dół. Im wyżej człowiek się wznosi, tem się staje wolniejszym; im głębiej bowiem przenika w sferę jasności, tem więcej zdobywa siły do dobrego. Im niżej stacza się człowiek, tem bardziej staje się niewolnikiem. Bowiem każde sroczenie się w odmęty zła osłabia poznanie prawdy i zdolność do dobra. Los panuje więc nad przeszłością, wolność nad przyszłością, zaś Opatrzność nad jedną i drugą, zatem nad terażniejszością, nad wiecznem „teraz“, które nazwać można Wiecznością <sup>1)</sup>. Łączne działanie Losu, Wolności i Opatrzności rodzi niezliczone przeznaczenia, piekła i raje dusz. Zło, jako niezgodność z prawem boskiem, nie jest dziełem Bożem, lecz dziełem człowieczem; istnienie jego jest względne, pozorne i przejściowe. Jedynie Dobro, zgodne z prawem boskiem, istnieje rzeczywiście i wiekuiście. Ani kapłani

<sup>1)</sup> Idea ta wypływa logicznie z trójcy ludzkiej i boskiej, z troistości mikro-i makrokosmu, którą wyłożyliśmy w rozdziałach poprzednich. Stosunek metafizyczny Losu, Wolności i Przeznaczenia cudownie wyprowadzony został przez Fabra d'Olivet w jego komentarzu do *Wierzy złotych Pytagorasa*.

delficy, ani eleuzyńscy, ani filozofowie wtajemniczeni nie chcieli nigdy wyjawiać tych myśli głębokich tłumowi, który mógłby opacznie je rozumieć i nadużywać ich. W Misterjach przedstawiano doktrynę tę symbolicznie przez rozczłonkowanie Djonizosa, przy czem wszakże okrywano nieprzeniknioną dla profanów zasłoną to, co nazywano *cierpieniem Boga*.

Najzarliwsze spory religijne i filozoficzne obracają się dokoła źródła dobra i zła. Widzieliśmy, że arkana doktryny ezoterycznej są kluczem do tego zagadnienia.— Istnieje inna jeszcze kwestja zasadnicza, od której zależy problemat socjalny i polityczny, sprawa *nierówności warunków życia ludzkiego*. Widok zła i cierpienie ma w sobie coś przerażającego. Dodać można, iż dowolny i niesprawiedliwy napozór podział ich jest źródłem wszelkich nienawiści, wszelkich buntów i wszelkich przeczeń. I tutaj doktryna głęboka rozprasza nasze mroki ziemskie najwyższem światłem pokoju i nadziei. Różnorodność dusz, warunków i przeznaczeń usprawiedliwić się daje w istocie jedynie wielorakością bytów oraz doktryną ponownych wcieleń. Gdyby bowiem człowiek rodzić się miał po raz pierwszy w tem życiu, jak można byłoby wytłomaczyć klęski niezliczone, które zdają się dotyczyć go za sprawą ślepego trafu? Jak uwierzyć w istnienie sprawiedliwości wiekuistej, skoro jedni rodzą się w warunkach, nieuniknienie pociągających za sobą nędzę i poniżenie, gdy inni przychodzą na świat w dobrobycie i wiodą żywot szczęśliwy? O ile wszakże prawdą jest, że przeszliśmy już przez inne życia i że przechodzić mamy przez jeszcze inne, że po przez wszystkie te istnienia podlegamy prawu powrotności i odwetu,—w takim razie uznać musimy, że odmienność dusz, warunków i przeznaczeń jest wynikiem żywotów uprzednich oraz wielorakich zastosowań tego prawa. Różnice warunków wy-



plywają z nierównego korzystania z wolności w żywotach poprzednich; zaś różnice umysłowe z tego, że ludzie, przebywający na ziemi w ciągu jednego stulecia, są przedstawicielami niesłychanie różnych stadiów rozwoju, zaczynając od stanu nawpółzwierzęcego biednych, cofających się w swoim pochodzie, ras ludzkich, potem sięgając do anielskich stanów istot świętych i kończąc na boskiem panowaniu genjuszu. Ziemia podobna jest w rzeczywistości do wielkiego okrętu, zaś my wszyscy, którzy ją zamieszkujemy, do podróżnych, przybywających z dalekich krajów i rozpraszających się etapami po różnych punktach widnokręgu. Doktryna kolejnych wcieleń uzasadnia, na podstawie sprawiedliwości i logiki wiekuiestej, zarówno klęski najstraszliwsze, jak szczęście najdoskonalsze, wzbudzające zazdrość największą. Niedorozwój idjoty wyda nam się zrozumiałym, o ile pomyślimy, że jego tępota, której jest nawpółświadomy i nad którą boleje, jest karą za występne wyzyskiwanie inteligencji w życiu poprzednim. Wszystkie odcienie cierpień fizycznych czy moralnych, szczęścia i nieszczęścia w niezliczonych ich odmianach wydadzą się nam naturalnymi i mądrze stopniowanymi wpływami popędów i czynów, wad i cnót długotrwałej przeszłości, bowiem dusza przechowuje w głębiach swoich tajemnych wszystko, co nagromadziła podczas wielorakich bytowań swoich. Nawarstwienia dawne zjawiają się i znikają, zależnie od chwili i wpływu; przeznaczenie zaś, a raczej duchy niem kierujące, zastosowują rodzaj ponownego wcielenia do poziomu duszy i jej jakości. Lizys wypowiada symbolicznie prawdę tę w swoich *Złoty Wierszach*:

„Pojmiesz, że klęska, co ludzi pożera,  
To wynik dowolny wyboru własnego,  
I ujrysz także, iż ci nieszczęśliwi  
Zdala od siebie szukają dobrego,  
Które w ich własnym ukryte jest łonie”.

Doktryna ta nietylko nie osłabia poczucia braterstwa i solidarności ludzkiej, lecz, przeciwnie, może je wzmocnić jedynie. Obowiązani jesteśmy nieść wszystkim pomoc, mieć dla wszystkich współczucie i miłosierdzie; wszyscy bowiem jesteśmy dziećmi tej samej rasy, jakkolwiek osiągnęliśmy różne szczeble rozwoju. Cierpienie każde jest świętością, albowiem ból jest ogniem probierczym duszy. Wszelkie współczucie jest boskie; pozwala nam ono bowiem odczuć, jak gdyby prądem magnetycznym, łańcuch niawidzialny, wiążący z sobą wszystkie światy. Cnota cierpienia jest źródłem geniuszu. Tak, mędrcy i święci, prorocy i boscy twórcy jaśnieją bardziej wzruszającym pięknem dla tych, którzy wiedzą, że i te istoty wyższe są ogniwami rozwoju wszechświata. Przez ile żywotów przejść musiała ta zdumiewająca nas siła? Ilu dokonać musiała zwycięstw, aby na takiej stanać wyżynie? A to wrodzone światło geniuszu, ilu nieb przebytych jest darem? Nic o tem nie wiemy. Życia te jednak były, i niebiosa te istnieją. Nie myli się zatem świadomość ludów, nie były kłamstwem słowa proroków, nazywające ludzi tych synami Boga, wysłannikami nieba głębokiego. Bowiem wiekuista prawda wskazała im posłannictwo ich; strzegą ich legje niewidzialne i przez usta ich mówi Słowo żywe!

Zachodzą pomiędzy ludźmi różnice, będące wpływem pierwotnej jaźni osobników; zachodzą inne — jak mówiliśmy — wynikające ze stopnia duchowego rozwoju, jakimi osobniki te osiągnąć zdołały. Pod tym względem przyjęto, że ludzie mogą uszeregować się w cztery grupy, obejmujące wszystkie podziały i wszystkie odcienie.

1<sup>o</sup>) U znacznej większości ludzi wola działa nade wszystko w ciele. Ludzi takich nazwać można *instynktowcami*. Zdatni są oni nietylko do prac cielesnych, lecz



również i do ćwiczenia i rozwijania umysłu swojego w świecie fizycznym, zatem do handlu i przemysłu.

2<sup>o</sup>) Na drugim stopniu rozwoju człowieka, wola, a jako wynik jej, świadomość ma siedlisko w duszy, to znaczy we wrażliwości, na którą oddziaływa intelekt, co stwarza pojrowanie. Są to *animicy* czyli *uczuciowcy*.

Zależnie od temperamentu nadają się oni na wojowników, artystów lub poetów. Znaczna większość piszących i uczonych należy do tego gatunku. Żyją oni bowiem pojęciami względniemi, modyfikowanemi przez uczucia lub też zamkniętymi w ograniczonym widnokregu i nie mogą wznieść się na wyżyny idei czystej, ogarniającej wszechświaty.

3<sup>o</sup>) U ludzi grupy trzeciej, znacznie rzadziej spotykanych, wola zwykła działać głównie i wszechwładnie w czystym intelekcie, wyzwalać rozum w jego funkcji specjalnej z jarzma namiętności i zapór materji, co nadaje wszystkim ich, urobionym przez nich, pojęciom charakter ogarniania wszechświatów. Są to *intelektualiści*. Z ludzi takich rodzą się bohaterowie-męczennicy za ojczyzną, poeci pierwszego rzędu, wreszcie, i nadewszystko, prawdziwi filozofowie i mędrcy, ci, słowem, którzy—zdaniem Pytagorasa i Platona—winniby sprawować rządy nad ludzkością. W ludziach tych nie wygasło uczucie, bez którego nic się nie dzieje; stanowi ono ogień i elektryczność w świecie moralnym. Z tą wszakże różnicą, że w nich uczucia stały się służebnicami rozumu, gdy, przeciwnie, u grupy poprzedniej rozum bywa najczęściej sługą uczuć.

4<sup>o</sup>) Najwyższy ideał człowieczy ziszcza czwarta grupa ludzi, którzy, z panowaniem rozumu nad duszą, i nad instynktem łączą władztwo woli nad całą swoją istotą. Dzięki opanowaniu i zdobyciu wszystkich władz swoich sprawują oni rządy świata. Osiągnęli jedność w trójstości ludzkiej.

Dzięki cudownemu temu ześrodkowaniu, obejmującemu wszystkie potęgi życia, ich wola, przenosząc się na innych, zdobywa siłę nieograniczoną niemal, promienny i twórczy dar czarodziejski. — Ludzie tacy różne nosili imiona w dziejach. Są to prawzory ludzi, *adepti*, *wielcy wtajemniczeni*, genjusze wzniosłe, przeistaczające ludzkość. Są oni zjawiskiem tak rzadkiem, że można policzyć ich na palcach w historii; Opatrzność sieje ich w długich odstępach czasu, jak gwiazdy na niebie<sup>1)</sup>.

Oczywiście, ta ostatnia kategoria wymyka się z pod wszelkich reguł, z ram wszelkiej klasyfikacji. Natomiast ustrój społeczny nie liczący się z właściwościami trzech pierwszych kategorii, nie wprzegający każdej z nich do pełnienia jej funkcji normalnej i nie dostarczający jej środków potrzebnych do jej rozwoju — byłby jedynie zewnętrznym, a nie *organicznym*. Rzecz jasna, że w epoce pierwotnej, sięgającej czasów wedyckich, Bramini indyjscy oparli podział społeczności na kasty na zasadzie troistości. Z czasem wszakże podział ten, tak słuszny i owocny, przelstoczył się w przywilej kapłaństwa i arystokracji. Zasada powołania i wtajemniczenia ustąpiła miejsca zasadzie dziedziczenia. Kasty zamknięte skamieniały z czasem, powodując nieunikniony i bezpowrotny upadek Indji.

Egipt, który zachował za wszystkich Faraonów ustrój, oparty na troistości, z ruchomością i dostępnością jego kast i z zasadą wtajemniczenia, stosowaną do kapłaństwa; z egzaminem, od którego wyniku zależało sprawowanie funkcji cywilnych i wojskowych, przetrwał w ciągu pięciu czy sześciu tysięcy lat, nie zmieniając tego ustroju.

---

<sup>1)</sup> Ta klasyfikacja ludzi odpowiada czterem stopniom wtajemniczenia pytagorejskiego — i stanowi podstawę wszystkich wtajemniczeń aż do wolno-mularzy pierwotnych włącznie, którzy posiadli kilka okruców doktryny ezoterycznej. — Por. Fabre d'Olivet, *Złote wiersze Pytagorasa*.



Co się tyczy Grecji, jej temperament ruchliwy sprawił, że zmieniła ona szybko ustrój arystokratyczny na demokratyczny, a ten z kolei na tyranję. Obracała się ona w tem kole zaczarowanem jak chory, który przechodzi od gorączki do letargu, aby znów później powrócić do stanu gorączkowego. Może potrzebne jej było to podniecenie, aby dokonać mogła dzieła swojego niezrównanego: przełożenia głębokiej lecz mglistej mądrości Wschodu na język jasny, zrozumiały dla wszystkich; stworzenia Piękna przez Sztukę i założenia podwalin pod gmach wiedzy dostępnej i rozumowanej, jaka zastąpiła intuicyjne, ukryte wtajemniczenie. Zasadzie wtajemniczenia zawdzięcza ona wszelako ustrój religii swojej oraz najwyższe swoje natchnienia. Pod względem społecznym i politycznym żyła ona zawsze tymczasowością niejako i nadmiarem. Jako zdept, ogarnął Pytagoras z wyżyn wtajemniczenia zasady wiekuiste, rządzące światem, powziął też plan wielkiej, opartej na prawdach tych, reformy. Przekonamy się niebawem, w jaki sposób on i jego szkoła rozbili się o burzliwe fale demokracji.

Z nieskalanych szczytów doktryny rozwija się życie światów w rytmie Wiekuistości; — wspaniała epifanja! W czarodziejskich wszakże promieniach odsloniętego firmamentu ziemia, ludzkość i życie rozwierają przed nami tajemne swoje głębie. Chcąc czuć obecność Boga, odnaleźć należy nieskończenie wielkie w nieskończenie małym.

Tego właśnie doświadczali uczniowie Pytagorasa, kiedy na uwieńczenie nauk swoich wskazywał im mistrz, w jaki sposób Prawda wiekuista objawia się w związku małżeńskim, łączącym Mężczyznę i Kobieta. Piękno liczb świętych, o jakich usłyszeli i jakie podziwiali w Nieskończoności, odnaleźć mieli w samym łonie życia, a Bóg rodził się dla nich w wielkim tajniku Płci i Miłości.

Starożytność rozumiała prawdę podstawową, której niedoceniali wieki następne. Kobiecie do należytego spełnienia jej posłannictwa małżonki i matki potrzebne jest wtajemniczenie specjalne. Stąd wtajemniczenie czysto żeńskie, to znaczy przeznaczone wyłącznie dla kobiet. Istniało ono już w Indji, w czasach wedyckich, kiedy kobieta była kapłanką ołtarzy domowych. W Egipcie sięga ono Misterjów Izydy. W Grecji podstawy jego założył Orfeusz. Aż do wygaśnięcia pogaństwa widzimy je kwitnącem w Misterjach Djonizyjskich, jak również w świątyniach Junony, Djany, Minerwy i Cerery. Polegało ono na obrządkach symbolicznych, na ceremonjach, na uroczystościach nocnych, a potem — na nauczaniu specjalnem, prowadzonym przez starsze kapłanki lub też przez arcy-mistrza, a dotyczącym najintymniejszych spraw życia małżeńskiego. Dawano rady i przepisy, mające na względzie wzajemny stosunek płci, wskazywano pory roku i miesiąca, sprzyjające szczęśliwym poczęciom. Wagę doniosłą nadawano moralnej i fizycznej higienie kobiety ciężarnej, ażeby dzieło święte, stworzenie dziecka, spełnić się mogło wedle praw boskich. Uczono, słowem, znajomości życia małżeńskiego i sztuki macierzyństwa. Ta ostatnia sięgała daleko po za moment narodzin. Do siedmiu lat pozostawały dzieci pod wyłącznym kierunkiem matki w gynecyum, do którego mąż nie miał wstępu. Mądra starożytność uważała dziecko za wątlą roślinkę, wymagającą ciepłej atmosfery macierzyńskiej, aby nie uleść wypaczeniu. Ojciec zniekształciłby ją. Do rozwoju jej konieczne są pocałunki i pieszczoty matki, niezbędna jest miłość potężna i chroniąca, aby ustrzedz przed zamachami zewnętrznymi tę duszę, którą przeraża życie.

Dzięki wywiązywaniu się z pełni świadomości z wysokich zadań tych, uważanych przez starożytność za funkcje boskie, kobieta była istotną kapłanką rodziny,



strażniczką świętego ognia życia, siły pokoleń, trwałości rodów w starożytności greckiej i rzymskiej<sup>1)</sup>.

Ustanawiając w Instytucie swoim oddział dla kobiet, oczyścił tylko Pytagoras i pogłębił to, co istniało już przed nim. Kobiety, wtajemniczane przez niego, otrzymywały, wraz ze znajomością rytuału, przepisy i zasady najwyższe swoich funkcji. Tym, które były tego godne, dawał on też świadomość ich posłannictwa. Wyjawiał przekształcanie się miłości w małżeństwie doskonałem, które jest wzajemnem przenikaniem się dwu dusz w samym ośrodku życia i prawdy. Czyż bowiem mężczyzna siłą swoją nie uosabia pierwiastka i ducha twórczego? A kobieta czyż całą potęgą swoją nie personifikuje natury w jej sile plastycznej, w jej ziszczeniach cudownych, ziemskich i boskich? Jeśli więc dwie istoty przenikną się wzajem jak najściślej ciałem, duszą i umysłem,—uosobią one w doskonałym zespole swoim streszczenie świata. Ażeby wszakże uwierzyć w Boga, musi kobieta widzieć żywe odbicie jego w mężczyźnie; w tym celu musi mężczyzna być wtajemniczonym. Tylko taki jedynie mężczyzna zdolny będzie głęboką swoją znajomością życia, swoją wolą twórczą zapłodnić duszę kobiecą, przeistoczyć ją miarą ideału boskiego. A ideał ten, spotęgowany wielokrotnie, tworzy mężczyźnie kobieta ukochana współdrżaniem myśli swoich, wrażliwością swoją subtelną, przeczuwaniem swoim głębokiem. Odbija ona dlań, niby tafla lustrzana, obraz jego przetworzony entuzjazmem; *staje się* jego ideałem. *Urzeczywistnia* ideał ten potęgą miłości we własnej duszy swojej. Przez nią *staje się*

---

<sup>1)</sup> Monteskjusz i Michelet są jedynymi prawie autorami, którzy zwrócili uwagę na wysoką wartość małżonek greckich. Żaden z nich wszakże nie zaznaczył przyczyny tego objawu, przytoczonej tutaj przemennie.

ideał żywym i widowym, staje się krwią i ciałem. Gdy bowiem mężczyzna stwarza mocą pożądania i woli, kobieta rodzi fizycznie i duchowo przez miłość.

W roli kochanki, małżonki, matki czy wtajemniczonej nie jest kobieta mniej wielką niż mężczyzna, jest natomiast bardziej od niego boską. Bowiem kochać — znaczy zapomnieć o samym sobie. Kobieta, która kocha z zaparciem się samej siebie i zatraceniem własnej jaźni, jest zawsze wzniosłą. W tym unicestwieniu się znajduje ona odrodzenie swoje niebiańskie, swój wieniec świetlany i nieśmiertelną promiennność swojej istoty.

Miłość panuje wszechwładnie w literaturze współczesnej od dwu stuleci. Nie jest to miłość czysto zmysłowa, którą rozplomienia piękno ciała, jak u poetów starożytnych; nie jest ona również mdłym kultem ideału oderwanego i umównego, jak w średniowieczu; nie, — ta miłość, zarazem zmysłowa i psychiczna, rozpalona z całą swobodą i pełnią fantazji osobniczej, daje wolny bieg uczuciu. Najczęściej obie płcie zwalczają się wzajem w samej tej miłości. Kobieta burzy się przeciwko egoizmowi i brutalności mężczyzny, a mężczyzna ma pogardę dla obludy i próżności kobiety; ze stron obojga — gra zmysłów, wściekłość bezsilna ofiar rokoszy, niewolników rozpusty. A pośród tego — uczucie głębokie, pociąg niepohamowany i tem potężniejszy, że natrafiający na zapory w postaci konwencjonalizmu życia towarzyskiego i ustroju społecznego. Stąd miłość burzliwa, pełna wyboistości moralnych, katastrof tragicznych, dokoła których obraca się prawie wyłącznie powieść i dramat współczesny. Rzecz możnaby, że mężczyzna znużony, nie znalazłszy Boga ani w nauce, ani w religji, szuka go zapamiętałe w kobiecie. — I dobrze czyni; odnajdzie go on wszakże w Niej, i wzajem Ona w Nim, tylko po przez wtajemniczenie się w prawdę wielkie. Jakaś żądza niezmierną przeniknię-



cia się wzajem, znalezienia w tym doskonałym zespole wymarzonego szczęścia, pociąga ku sobie te dusze, nieznające jedna drugiej i nieznające samych siebie, te dusze, które rozchodzą się czasem, wzajem sobie zlorzcząc. — Pomimo wynikających stąd zboczeń i rozpasania, to rozpaczliwe szukanie się wzajem jest potrzebne; jest ono wpływem boskiej nieświadomości. Będzie punktem zwrotnym i źródłem budowania przyszłości. Bowiem, kiedy mocą miłości głębokiej i wtajemniczenia mężczyzna i kobieta odnajdą się wzajem i odnajdą samych siebie, związek ich stanie się ideałem siły promieniującej i twórczej.

Od niedawna dopiero weszła do literatury, a przez nią do świadomości powszechnej, miłość duchowa, miłość — żądza duszy. Źródłem jej jest wszelako wtajemniczenie starożytne. Jeśli literatura grecka zaledwie słabe daje jej przebliski, jest to wynikiem faktu, że była ona niesłychanie rzadkim w jej epoce wyjątkiem. Wpłynęła na to również głęboka tajemnica Misterjów. Mimo to przechowała tradycja religijna i filozoficzna ślad istnienia kobiety wtajemniczonej. Poza poezją i filozofją oficjalną ukazuje się kilka na wpół przysłoniętych lecz świetlistych postaci kobiecych. Znamy już pytję Teoklee, którą natchnął Pytagoras; w następstwie poznamy kapłankę Korynnę, szczęśliwą często współzawodniczkę Pindara, najbardziej wtajemniczonego z liryków greckich i wreszcie ukazuje się na uczcie Platona tajemnicza Diotima, dająca najwyższe wyjaśnienie istoty Miłości. Obok wszakże tych ról wyjątkowych pełniła kobieta grecka rzeczywiste posłannictwo swoje kapłanki ogniska domowego i gynecium. Jej dziełem twórczym byli bohaterowie, artyści, poeci, których śpiewy, rzeźby i czyny wzniosłe tak gorąco wlelbimy. Ona to poczęła ich w tajemnicy miłości swojej, ukształtowała ich w łonie swoim upragnieniem piękna,

pod którego wpływem rozkwitli, ogrzani ciepłem jej skrzydeł macierzyńskich. Dodajmy, że dla mężczyzny i kobiety prawdziwie wtajemniczonych poczęcie dziecka ma znaczenie piękniejsze nieskończenie, doniosłość większą znacznie aniżeli dla nas. Gdy matka i ojciec wiedzą, że dusza dziecka istniała już przed ziemskimi jego narodzinami, staje się poczęcie aktem świętym, wezwaniem duszy do wcielenia się. Pomiedzy matką a duszą wcieloną zachodzi zawsze głęboki stosunek podobieństwa, powinowactwa duchowego. Matki złe i przewrotne przyciągają duchy demoniczne, matki kochające — duchy boskie. A czyż ta dusza niewidzialna, na którą czekamy, która przyjdzie i przychodzi — tak tajemniczo i z tak niewątpliwą pewnością — nie jest rzeczą boską? Jej narodziny, jej uwięzienie w ciele będzie przejściem bolesnem. Jakkolwiek bowiem pomiedzy nią a niebem, które świeżo porzuciła, rozpostarła się — o ile zatraciła ona pamięć o niem, — gęsta zasłona, nie zmniejsza to bynajmniej jej bólul. Świętem więc i boskiem jest zadanie matki, która musi stworzyć nowe dla niej siedlisko, osłodzić jej przykrość więzienia i ułatwić oczekujące ją przejście.

Tak więc nauczanie Pytagorasa, rozpoczęte w głębiach Absolutu od Trójcy Boskiej, kończyło się w samem źródle życia trójcą ludzką. W Ojcu, Matce i Dziecięciu nauczył się już wtajemniczony rozpoznawać Ducha, Duszę i Serce żywego wszechświata. To ostatnie wtajemniczenie zakładało dla niego podwaliny dzieła społecznego, poczętego na wyżynie w całym pięknie ideału; rozpoczynało budowę gmachu, do którego każdy z wtajemniczonych własną dorzucić miał cegielkę.



## IV.

## RODZINA PYTAGORASA — SZKOŁA I JEJ LOSY

Wpółród niewiast, słuchających nauk mistrza, znajdowała się młoda dziewczyna niezwyklej urody. Ojciec jej, Krotończyk, nazywał się Brontinos. Jej zaś imię brmiało: Teano. Pytagoras dobiegał wówczas sześćdziesiątki. Bezwzględne jednak opanowanie namiętności i życia czyste, poświęcone niepodzielnie szczytnemu posłannictwu, sprawiły, iż zachował w całej nietykalności siłę swą męską. Młodość duszy, ów płomień nieśmiertelny, jaki wielki wtajemniczony czerpie w życiu swoim duchowym i jaki zasilają tajemnicze siły natury, promieniowała w nim, jednając mu i podbijając całe otoczenie. Czarodziej grecki nie był u schyłku, lecz w rozkwicie swojej potęgi. Promiennność nadludzka niemal, jaką tchnęła cała istota jego, pociągnęła Teano ku Pytagorasowi. Poważna, skupiona, niejednokrotnie już szukała ona w naukach mistrza wytłomaczenia tajemnic, które kochała, nie rozumiejąc ich. Kiedy wszakże w promieniach prawdy, w słodkiem, ogarniającem ją stopniowo, ciepłe uczuła, że dusza jego rozkwita w głębi własnej jej istoty tysiąc-listną różą mistyczną, kiedy zrozumiała, że rozkwit ten jest dziełem jego jaźni i słów jego — zapalała bezgra-

niczmem dla mistrza uwielbieniem i miłością gorącą, która tała w głębi serca.

Pytagoras nie starał się pociągać jej. Uczucia swoje dzielił pomiędzy wszystkich uczniów. Myślał jedynie o szkole swojej, o Grecji, o przyszłości świata. Jak wielu wielkich adeptów wyrzekł się kobiety, ażeby oddać się bezpodzielnie dziełu swojemu. Dar czarodziejski jego woli, władza duchowa nad tyloma duszami, ukształtowanymi przez niego i oddanymi mu jak ojcu ubóstwianemu, wonny, idący ku niemu opar mistyczny tyłu miłości tajonych w milczeniu, oraz aromat ów cudowny sympatii ludzkiej, jaka łączyła wszystkich braci pytagorejskich — wszystko to zastępowało mu rozkosze płciowe, szczęście i miłość. Pewnego dnia wszakże, kiedy rozmyślał samotnie w krypcie Prozerpiny o przyszłości swojej, ujrzał, zbliżającą się ku niemu, poważną i stanowczą piękną dziewczycę, do której nigdy nie przemawiał w cztery oczy. Uklękła przed nim i, nie podnosząc głowy pochylonej aż do ziemi, błagała mistrza, — jego, który mógł uczynić wszystko! — aby uleczył ją z miłości niemożliwej i nieszczęśliwej, toczącej jej ciało i pożerającej duszę. Pytagoras chciał poznać imię tego, którego pokochała. Po długich wachaniach wyznała Teano, że to on sam jest owym wielbionym, dodając, że gotowa jest poddać się we wszystkim woli jego. Pytagoras nie odpowiedział nic. Milczenie to dodawało jej utuchy, podniosła więc głowę i ogarnęła go spojrzeniem błagalnym, z którego biła potęga życia i czar duszy, złożonej w ofierze na ołtarzu bezgranicznej miłości dla mistrza.

Mędrzec wstrząśnięty był do głębi; i chociaż umiał pokonywać zmysły i zdławić wyobraźnię, błysk wszelako duszy tej przeniknął własną jego duszę. W dziewczycy tej, którą miłość uczyniła dojrzałą i którą przelstoczyła myśl oddania się bezwzględnie, znalazł towarzyszkę życia i prze-



czuł możliwość pełniejszego ziszczenia swojego dzieła. Gestem pełnym wzruszenia podniósł Pytagoras młodą dziewczynę: I wyczytać już mogła Teano w oczach mistrza, że przeznaczenia ich splotły się na wieki.

Poślubienie Teano było *pieczęcią urzeczywistnienia*, nałożoną przez mistrza na dzieło jego. Zespolenie się, zlanie obu istnień było zupełne.

Pewnego dnia zapytano małżonkę mistrza, jak długiego okresu czasu wymaga oczyszczenie kobiety po obcowaniu z mężczyzną. „Jeśli uczyniła to z mężem swoim, jest czystą natychmiast; jeśli z obcym—nigdy“.—brzmiała odpowiedź Teano. Wiele kobiet powie z uśmiechem, że do wyrzeczenia słów takich należy być żoną Pytagorasa i kochać go, jak kochała go Teano.—

Mają one słuszość. Bowiem nie małżeństwo jest uświęceniem miłości, przeciwnie, miłość usprawiedliwia małżeństwo. Teano tak całkowicie wniknęła w głębię myśli męża swojego, że, po jego śmierci, stała się ostoją Bractwa Pytagorejskiego, i że jeden z autorów greckich przytacza zdanie jej o doktrynie Liczb, jako zdanie autorytetu. Dała ona Pytagorasowi dwóch synów: Arymnesta i Telauges oraz córkę: Damo. Telauges był w następstwie nauczycielem Empedoklesa i przekazał mu tajniki doktryny.

Rodzina Pytagorasa służyła bractwu na wzór prawdziwy. Dom jego nazwano świątynią Cerery, a dziedziniec — świątynią Muz. Podczas uroczystości rodzinnych prowadziła matka *choreje* <sup>1)</sup> niewiast, a Damo-choreje młodych dziewcząt. Damo była pod każdym względem godną matki swojej i swojego ojca. Powierzył jej Pytagoras pisma swoje, zakazując bezwzględnie zapoznawania z ich treścią ludzi, nienależących do rodziny jego. Po rozpro-

---

<sup>1)</sup> *Choreja*—składała się w równym stopniu z poezji, muzyki i tańca, poświęconych bóstwu. (Przyp. tłum).

szeniu się Bractwa Pytagorejskiego wpadła Damo w ostateczną nędzę. Ofiarowywano jej znaczne sumy za cenny rękopis. Wierna wszakże woli ojca odmawiała stale ich wydania.

Pytagoras pozostawał przez trzydzieści lat w Krotonie. W ciągu lat dwudziestu niezwykle ten człowiek zyskał tak wielką władzę, że ci, co pół-bogiem go nazwali, nie zdawali się przesadzać. Wpływ ten wkraczał w zakres cudowności niejako; żaden z filozofów nie posiadał nigdy podobnego. Ogarniał on nietylko szkołę krotońską oraz rozgałęzienia jej w innych miastach wybrzeża italskiego, lecz również i politykę wszystkich tych państewek. Pytagoras był reformatorem w całym znaczeniu tego miana. Krotona, osada achajska, miała ustrój arystokratyczny. *Rada tysiąca*, złożona z przedstawicieli wielkich rodów, sprawowała tu władzę prawodawczą i rozciągała pieczę nad władzą wykonawczą. Istniały zgromadzenia ludowe, władza ich wszakże była ograniczona. Pytagoras, pragnący, aby Państwo było ładem i harmonją, zarówno nie uznawał ucisku oligarchji jak chaosu demagogji. Przyjmując tedy ustrój dorycki takim, jakim on był, usiłował jedynie wprowadzić do jego maszyny nowe koło. Myśl była śmiała: utworzenie, ponad władzą polityczną, władzy naukowej, mającej głos rozważający i doradczy w sprawach zasadniczych, i stanowiący główny ośrodek, najwyższą sprężynę regulacyjną Państwa. Po nad Radą Tysiąca zorganizował *Radę Trzystu*, obieraną przez tamtą, lecz wyłączenie z pośród wtajemniczonych. Liczba ich wystarczającą była, aby podołać zadaniu. Porfirjusz opowiada, że dwa tysiące obywateli krotońskich porzuciło zwykły swój tryb życia i zrzeczyło się, aby wraz z żonami swemi i dziećmi, połączywszy we wspólne dobro majątki swoje, wieść żywot zjednoczonego bractwa. Pytagoras chciał więc postawić na czele Państwa rząd wiedzy mniej tajemnej, lecz



mający równie wysokie stanowisko jak kapłaństwo egipskie. To, co urzeczywistnił on na czas pewien, pozostało marzeniem wszystkich wtajemniczonych, którzy zajmowali się polityką: wprowadzić żywioł wtajemniczenia i badania do rządów państwowych i pogodzić w tej syntezie najwyższej zasadę obieralności, a więc zasadę demokratyczną, z zasadą rządu, opartego na doborze rozumu i cnoty.

Rada Trzystu utworzyła zatem rodzaj zakonu politycznego, naukowego i religijnego, na którego czele stanął z natury rzeczy Pytagoras. Zobowiązywano się wobec niego uroczystą, straszliwą przysięgą do zachowania bezwzględnej tajemnicy, jak w Misterjach. Towarzystwa takie, czyli *hetairje*, rozszerzyły się z Krotony, gdzie była hetairja macierzysta, po wszystkich niemal miastach Wielkiej Grecji, w których wywierały wpływ potężny na bieg polityki. Bractwo Pytagorejskie dążyło do objęcia władzy kierowniczej nad państwem w całej Italji południowej.

Rozgałęzienia jego sięgały Tarentu, Heraklei, Mata pontu, Regium, Himery, Katany, Agrygentu, Sybarysu i, jak utrzymuje Arystoksenes, szły aż do Etrusków. Co zaś do wpływu Pytagorasa na rządy temi wielkimi i bogatemi grodami, trudno wyobrazić sobie wpływ podnioslejszy, bardziej liberalny, bardziej pokojowy i kojący. Gdziekolwiek się zjawił, przywracał lub sprowadzał ład, sprawiedliwość i zgodę. Wezwany przed oblicze jednego z tyranów sycylijskich, zniewolił go potęgą swojego słowa do wyrzeczenia się nieprawnie zdobytych bogactw i złożenia podstępnie zagarniętej władzy. Miastom, które podlegały sobie wzajem, zapewnił niezależność i wolność. Jego działalność tak dalece była dobroczynną, że kiedy udawał się na objazd miast, mówiono: „Nie przychodzi nauczać, lecz uleczać“.

Wpływ przemożny wielkiego umysłu i wielkiego charakteru, władza czarodziejska duszy i intelektu tem

straszliwszą budzą zawiść, tem gwałtowniejszą rodzą nienawiść, im wyżej stoją ponad wszelkie napaści. Panowanie Pytagorasa trwało już od ćwierćwieku, adept niestrudzony dobiegał już lat 90-iu, kiedy przyszła reakcja. Iskra wybuchła we współzawodniczącem z Krotonem mieście Sybarys w postaci powstania ludowego, którego wynikiem była porażka stronnictwa arystokratycznego. Pięćuset wygnańców schroniło się pod opiekę Krotończyków, Sybaryci zażądali wszelako wydania ich. W obawie pomsty ze strony wrogiego grodu zamierzała Rada miasta przychylić się do tego żądania, natrafiła wszakże na opór Pytagorasa. Za jego wstawiennictwem odmówiono wydania nieszczęśliwych, błagających o opiekę ofiar w ręce ich wrogów zaciętych. Wynikiem odmowy tej było wytoczenie Krotonowi wojny przez Sybarys. Armja Krotończyków, pod wodzą jednego z uczniów Pytagorasa, słynnego atlety, Milona, zadała Sybarytom klęskę zupełną, zakończoną zdobyciem ich miasta, obrabowaniem go, zniszczeniem do tła i przeistoczeniem w kupę gruzów. Niepodobna przypuścić, aby odwet podobny dokonany został za zgodą Pytagorasa. Zbyt rażącym był on przeciwieństwem jego zasad, jak w ogóle zasad wszystkich wtajemniczonych. Ani on wszakże ani Milon nie byli w stanie opanować rozkiełznanych namiętności zwycięskiej armji, podsycanych odwieczną zawiścią obu miast i podnieconych niesprawiedliwą napaścią.

Wszelki akt zemsty, zarówno ze strony poszczególnych jednostek jak całych narodów, odbija się echem zwrotnem w rozpetaniu namiętności. Nemezys pomsty Krotończyków wybuchła w całej grozie: wyniki jej zawisły ciężarem swoim na losach Pytagorasa i jego Bractwa. Po wzięciu Sybarydy zażądał lud podzłału ziemi. Nie zadawalniając się otrzymaniem jej, zaproponowało stronnictwo demokratyczne zmianę ustroju, odbierającą



przywileje Radzie Tysiąca i znosząc Radę Trzystu, uznając odtąd za jedyny autorytet głosowanie powszechne. Rzecz naturalna, że Pytagorejczycy, wchodzący w skład Rady Tysiąca, przeciwstawili się reformie, niezgodnej z ich zasadami i podcinającej w korzeniu dzieło ich mistrza. Już oddawna byli Pytagorejczycy przedmiotem głuchej owej nienawiści, jaką tajemniczość i wyższość budzą zawsze wśród tłumu. Ich stanowisko polityczne rozpałiło przeciwko nim wściekłość demagogji. Nienawiść osobista, żywiona dla osoby mistrza, przyspieszyła wybuch.

Krotończyk pewien, imieniem Cylon, zjawił się niegdyś w Szkole w charakterze aspiranta. Pytagoras, bardzo surowy w przyjmowaniu uczniów, odrzucił go z powodu gwałtowności i krewkości jego charakteru. Oddalony ten kandydat stał się dyszącym nienawiścią przeciwnikiem Zakonu. Korzystając ze zwrócenia się opinii publicznej przeciwko Pytagorasowi, założył on klub jego przeciwników, wielkie zrzeszenie ludowe. Udało mu się przyciągnąć na swoją stronę głównych przywódców ludu, z których pomocą zorganizował w zrzeszeniach swoich rewolucję, rozpocząć się mającą od wypędzenia Pytagorejczyków. Wobec wzburzonego tłumu wstąpił Cylon na trybunę i odczytał wyjątki, wykradzione z tajemnej księgi Pytagorasa, noszącej miano Mowy Świętej (*hieros logos*). Wyjątki te celowo przeinaczył i wypaczył. Kilku mówców usiłowało obronić „braci milczenia“, umięających uszanować zwierzęta nawet. Wybuchy śmiechu były im odpowiedzią. Cylon kilkakrotnie schodził z trybuny i wchodził na nią. Wykazał, że przykazania religijne Pytagorasa zagrażają wolności. „I nie tylko to — dodaje trybun. Kim jest ów mistrz, ów rzekomy pół-bóg, któremu reszta ślepo jest posłuszna, tak że wystarcza, aby wydał nakaz, a wszyscy braciszkowo wykrzykują: „mistrz tak rzekł“?—kim jest, jeśli nie tyranem Krotonu, najgor-

szym z tyranów, tyranem ukrytym? Na czym opiera się ta przyjaźń nierozzerwalna, łącząca wszystkich członków hetairji pytagorejskiej, jeśli nie na pogardzaniu ludem i lekceważeniu go? Mają oni zawsze na ustach owo powiedzenie Homerowe, że książę winien być pasterzem swojego ludu. A zatem lud jest dla nich stadem tylko! Tak, samo istnienie bractwa nieustannym jest zamachem na prawa ludu. Dopóki nie zostanie ono zniesione, nie będzie wolności w Krotonie!“ Jeden z członków zgromadzenia, wiedziony poczuciem lojalności, zawołał: „Niech przynajmniej dozwolonem będzie Pytagorasowi i Pytagorejczykom przyjść i usprawiedliwić się z mównicy naszej, zanim zapadnie wyrok ostateczny“. Lecz Cylon odparł wyniośle: „Czyż Pytagorejczycy ci nie pozbawili nas prawa sądenia spraw publicznych i wyrokowania o nich? Jakim prawem śmieliby żądać teraz, aby ich wysłuchano? Nie pytali nas o radę, odbierając nam prawo wydawania i wykonywania wyroków sprawiedliwości; dobrze! więc my z kolei zadajmy im cios, nie wysłuchując ich obrony!“ Grzmoty oklasków były odpowiedzią na te napaści gwałtowne i umysły tłumu burzyły się coraz bardziej.

Pewnego wieczoru, kiedy czterdziestu głównych członków Bractwa zebrało się u Milona, trybun zesforował bandy swoje. Otoczono dom. Pytagorejczycy, w których gronie był ich mistrz, zabarykadowali wejścia. Rozwścieczony tłum podłożył ogień, którego płomienie objęły wnet budynek. Trzydziestu ośmiu Pytagorejczyków, najwybitniejszych uczniów mistrza, z nim samym na czele, zglnęło; jedni spłonęli w pożarze, Inni — padli z ręki ludu<sup>1)</sup>. Jedynie Archipjusz i Lizys uszli z życiem.

<sup>1)</sup> Tak brzmi opowieść Djogenesa z Laerty o śmierci Pytagorasa. — Według Dicearka, którego słowa przytacza Porfirjusz, mistrz miał ocalić się wraz z Archippem i Lizysem. Błąkał się potem, wędrując od miasta do miasta, aż do Matadontu, gdzie umarł z głodu,



Tak zginął wielki ten mędrzec, ów człowiek boski, który usiłował wprowadzić mądrość swoją do rządów ludzkich. Wymordowanie Pytagorejczyków było hasłem do rewolucji demokratycznej w Krotonie i w zatoce Tarenckiej. Miasta italskie skazały nieszczęsnych uczniów mistrza na wygnanie. Bractwo zostało rozproszone, szczątki jego wszelako rozpiechły się po Sycylii i Grecji, siejąc wszędzie naukę mistrza. Lizys stał się mistrzem Epaminondasa. Po szeregu ponownych przewrotów zyskali Pytagorejczycy możliwość powrotu do Italji pod warunkiem, że nie będą tworzyli zrzeszenia politycznego. Nie przestały ich wszakże łączyć węzły wzruszającego braterstwa; uważali się zawsze za członków jednej rodziny. Jeden z nich wpadł w chorobę i nędzę i został przygarnięty z litości przez pewnego oberżystę. Przed śmiercią nakreślił on na drzwiach gościnnego domu kilka znaków tajemnych i rzekł do gospodarza: „Bądź spokojny; jeden z braci moich zapłaci dług“. Po roku obcy jakiś przejezdny zatrzymał się w oberży i zobaczywszy znaki, powiedział: „Jestem Pytagorejczykiem; jeden z braci moich umarł tutaj; powiedz, ile jestem ci dłużny za niego?“ —

Bractwo przetrwało w ciągu 250 lat; lecz idee i tradycje mistrza żyją dotychczas jeszcze. Odradzający wpływ Pytagora na Grecję był olbrzymi. Wywierał on go w spo-

---

jakoby, w świątyni Muz. Mieszkańcy Matapontu, utrzymywali natomiast, że mędrzec, przyjęty przez nich gościnnie, dokonał spokojnie żywota w tem mieście. Pokazywali nawet Cyceronowi dom jego, ławę i grób. Zaznaczyć należy, że przez długi czas po śmierci mistrza, miasta, które go najwięcej prześladowały podczas przewrotu demokratycznego, ubiegały się o zaszczyt goszczenia go i ocalenia. Miasta, położone nad zatoką Tarencką, wiodły taki sam spór zacięty o popioły filozofa, jak miasta Jonji o miejsce urodzenia Homera. (Patrz: sumienne w tej sprawie studjum Chaigneta: Pytagoras i filozofja pytagorejska).

sób tajemniczy acz niezawodny za pośrednictwem świątyń, w których przebywał. Widzieliśmy go w Delfach, nadającego nową siłę wieszczbiarstwu, wzmacniającego autorytet kapłanów i stwarzającego sztuką swoją arcywzór Pytji. Dzięki tej reformie wewnętrznej, budzącej entuzjazm w łonie samych świątyń i w duszy wtajemniczonych, stały się Delfy bardziej niż kiedykolwiek ostoją moralną Grecji. Widocznem to było zwłaszcza w okresie wojen perskich. Lat trzydzieści zaledwie upłynęło od śmierci Pytagora, kiedy rozszalał nad wybrzeżami Hellady, przepowiedziany przez mędrca z Samos, cyklon azjatycki. W tej epopei zmagania się Europy z barbarzyńską Azją ma Grecja, przedstawicielka wolności i cywilizacji, oparcie mocne w wiedzy i genjuszu Apollona. Pod wpływem jego ducha patriotycznego i religijnego milknie budzące się współzawodnictwo Sparty i Aten; z niego czerpią natchnienie Milcjades i Temistokles. Pod Maratonem zapał jest tak wielki, iż Ateńczykom wydaje się, że dostrzegają dwóch wodzów, jak światło promiennych, walczących w ich szeregach. Jedni poznają w nich Tezeusza i Echetosa, inni Kastora i Polluksa. Kiedy armja Xerxesa, dziesięciokrotnie przewyższająca armję Darjusza, przekracza Termopyle i zalewa Helladę, wówczas Pytja z wyżyn trójnoga swojego wskazuje wysłańcom Aten drogę zbawienia i dopomaga Temistoklesowi do odniesienia zwycięstwa na okętach Salaminy. Karty Herodota drgają słowami jej urywanemi: „Opuścić siedziby i wysokie wzgórza grodu zbudowanego wkrąg... ogień i groźny Mars na wozie syryjskim zburzą wieże wasze... chwieją się świątynie, na murach ich skrapla się pot zimny, z ich wierzchołków płynie czarna krew... opuście świątynię moją. Niech będzie wam warownią niezdobytą mur z drzewa. Uciekajcie! podajcie tyły żołnierzom pieszym i jeźdźcom niezliczonym! O, boska Salaminie! jakże złowrogą będziesz dla



synów niewiasty!“<sup>1)</sup>. W opowiadaniu Ajschylosa bitwę rozpoczyna okrzyk, podobny do peanu, do hymnu Apollona. „Niebawem dzień na białych rumakach rozpostarł nad światem olśniewające światło swoje. W tej samej chwili wrzawa ogromna, dźwięcząca jak pieśń święta, zrywa się wśród szeregów greckich; echa wyspy odpowiadają jej wybuchem tysięcy głosów! Czyż dziwić się można, że Hellenowie, upojeni nektarem zwycięstwa, w bitwie u stóp Mykole, mając przed sobą Azję zwyciężoną, obrali za hasło: „Hebe! Młodości wiekuista!“—Tak, tchnienie Apollona przenika zdumiewające te wojny perskie. Zapał religijny, sprawiający cuda, porywa żywych i umarłych, opromienia trofea wojenne i złoci groby. Zburzono wszystkie świątynie, lecz świątynia delficka stoi nieporuszona. Armja perska zbliżała się już, aby zbezczęścić gród święty. Wszystkich zdjął dreszcz grozy. Lecz Bóg słoneczny oznajmił przez usta arcykapłana swojego: „Sam się obronię!“ Z nakazu świątyni opróżnia się miasto; mieszkańcy szukają schronienia w grotach Parnasu; jedynie kapłani pozostali na progu świątyni na straży świętej. Armja perska wchodzi do miasta niemego jak grób; posągi tylko są świadkami jej wejścia. W głębi wąwozu skłębia się chmura ciemna; huczy grom i piorun spada na najeźdźców. Dwie skały olbrzymie staczają się ze szczytu Parnasu, miażdżąc wielkie zastępy Persów<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> W mowie świątyni określenie: *syn niewiasty* oznaczało stopień niższy wtajemniczenia, bowiem kobieta miała tutaj znaczenie natury. Na szczeblu wyższym stali *synowie męża*, czyli wtajemniczeni w Ducha i w Duszę; *synowie Bogów*, czyli wtajemniczeni w nauki kosmogoniczne i *Syn Boga*, czyli wtajemniczony w wiedzę najwyższą. Pytja nazywa Persów: „synami niewiasty“, określając ich cechą ich religji. Wzięte dosłownie wyrazy te pozbawione byłyby znaczenia.

<sup>2)</sup> Widać je jeszcze w zagrodzie Minerwy — mówi Herodot (VIII. 39).—Najazd Gallijski w 200 lat później odparty był w sposób podobny: I tutaj wybucha burza, pioruny wała się kilkakrotnie na

Równocześnie rozlega się wrzawa ogromna ze świątyni Minerwy; z pod ziemi, pod stopami zaborców, wytryskują snopy płomieni. Wobec cudów tych cofają się przerażeni barbarzyńcy; ich armia ucieka w popłochu. Bóg obronił się własną mocą swoją. Czyż wydarzyłyby się cuda te, czy zostałyby odniesione te zwycięstwa, które ludzkość zapisała na kartach chwały swojej, gdyby o trzydzieści lat wcześniej nie zjawił się w świątyni delfickiej Pytagoras, aby rozpalic w niej ogień święty? Wolno wątpić o tem.

Kilka słów jeszcze o wpływie mistrza na filozofję. Przed nim istnieli fizycy z jednej — i moralisci z drugiej strony; Pytagoras wkluczył moralność, wiedzę i religję do szerokiej syntezy swojej. Syntezą tą nie jest nic innego, jeno doktryna ezoteryczna, której pełnię światła odnaleźć usiłowaliśmy na dnie wtajemniczenia pytagorejskiego. Filozof krotoński nie był wynalazcą, lecz świetlanym regulatorem tych prawd podstawowych w duchu naukowym. Obraliśmy też system jego, jako ramy najbardziej nadające się do pełnego wykładu doktryny Misterjów i prawdziwej teozofji.

Ci, którzy poszli wraz z nami śladem myśli mistrza, zrozumieli, że w głębi doktryny tej błyszczy słońce Prawdy jedynej. Rozsiane jej promienie znaleźć można w filozofjach i religjach; głównego ich wszakże ośrodka szukać należy tam właśnie. Czego potrzeba, aby dotrzeć do niego? Badanie i rozumowanie nie wystarczą. Konieczna jest jeszcze i nadewszystko *intuicja*. Pytagoras był adeptem, był wtajemniczonym pierwszego stopnia. Osiągnął

---

Gallow; ziemia drży pod ich stopami; widzą zjawy nadziemskie; świątynia Apollona zostaje ocalona. Fakty te zdają się dowodzić, że kapłani delficki posiadali wiedzę ognia kosmicznego i umieli za pomocą potęg tajemnych posiłkować się elektrycznością, jak magowie chaldejscy. — Patrz Amedeusz Thierry — *Historja Gallow*, I. str. 246.



bezpośrednie widzenie ducha, posiadał klucz nauk tajemnych i świata duchowego. Czerpał więc z prazródła Prawdy. Że zaś z właściwościami transcendentalnymi duszy rozumnej i uduchowionej łączył szczegółową obserwację przyrody fizycznej oraz mistrzowską umiejętność porządkowania ich w wielkim umyśle swoim — nikt bardziej od niego nie był stworzony do wzniesienia gmachu wiedzy kosmologicznej. Gmach ten nie został, co prawda, nigdy zburzony. Platon, który przejął od Pytagorasa całą jego metafizykę, miał dokładne o gmachu tym pojęcie, jakkolwiek wyłożył je w sposób mniej ścisły i jasny. Szkoła aleksandryjska zajęła wyższe jego piętra. Nauka współczesna sięgnęła do jego podstaw i wzmocniła jego fundamenty. Liczne szkoły filozoficzne, sekty mistyczne i religijne przebywały w różnych jego częściach. Ani jedna wszakże filozofja nie zdołała nigdy ogarnąć jego całokształtu. Całokształt ten właśnie usiłowaliśmy odnaleźć tutaj w harmonji jego i jego jednolitości.

KSIĘGA SIÓDMA  
P L A T O N  
MISTERJA ELEUZYŃSKIE



Ludzie nazwali bóstwo, będące uosobieniem miłości — Erosem, ponieważ ma skrzydła; Bogowie nazwali je — Pteros, ponieważ ma zdolność nadawania ich.

Platon („Uczta”).

W niebie poznawać — to widzieć,  
Na ziemi — przypominać sobie.

Szczęśny, kto przeszedł przez cuda  
[misterjów,  
Bowiern zna źródło i poznał kres  
[życia.

Pindar.

Po dokonaniu próby odtworzenia w osobie Pytagorasa największego z wtajemniczonych greckich i ujawnienia za jego przewodem pierwotnych zasad powszechnych prawdy religijnej i filozoficznej, moglibyśmy właściwie nie mówić już o Platonie, który nadał jedynie prawdzie tej formę bardziej dowolną i bardziej ją spopularyzował. Oto wszakże powód, który nas zatrzyma przez chwilę przed szlachetną postacią ateńskiego filozofa:

Niewątpliwie, istnieje doktryna — rodzicielka i synteza religii i filozofji. Rozwija się ona i pogłębia w przebiegu wieków; podstawa jej wszakże i ośrodek pozostają niezmienione. Odnaleźliśmy główne jej wytyczne. Czy wystarcza to? Nie; należy jeszcze wykazać, powołaną wyrokami opatrności, przyczynę różnych jej odmian, w zależności od ras i wieków. Odtworzyć należy łańcuch wielkich wtajemniczonych, którzy byli istotnymi wieszczami ludzkości. Wówczas dopiero siłę każdego z nich spotęguje siła wszystkich innych, i jedność prawdy odsłoni się nam w samej właśnie różnorodności jej wyrazu. Grecja, jak wszystko na świecie, miała swoją jutrzenkę, swoją pełnię słońca i swój zachód. Takie jest prawo dni, ludzi, narodów, ziem i nieb. Orfeusz jest wtajemniczonym jutrzienki, Pytagoras — pełni słońca, Platon — zachodu Grecji, zachodu gorąco-purpurowego, który staje się różanem świtaniem nowej jutrzni, jutrzni ludzkości.



Platon idzie za Pytagorasem, jak niosący pochodnię na misterjach Eleuzyńskich kroczył za wielkim hierofantą. Wraz z nim przenikniemy raz jeszcze, drogą odmienną, po przez aleje wiodące do sanktuarjum, do samego serca świątyni, aby móc przyjrzeć się ukrytemu tam wielkiemu jej tajnikowi.

Zanim wszakże udamy się do Eleuzys, dajmy posłuch przewodnikowi naszemu, boskiemu Platonowi. Niech on sam ukaże nam rodzinną ziemię swoją, niech opowie nam dzieje swojej duszy i niech poprowadzi nas do mistrza swojego ukochanego.

## MIŁOŚĆ PLATONA I ŚMIERĆ SOKRATESA

Urodził się w Atenach, w ojczyźnie Piękna i Ludzkości. Oczom młodzieńca odślaniały się widnokregi bezkresne. Attyka otwarta na wszystkie strony świata wrzyna się, niby dziób okrętu, w morze Egejskie i króluje nad kręgiem wysp, co jak szereg białych syren rozsiadły się na ciemnym szafirze fal. Wzrósł u stóp Akropolu, pod opieką Pallas Ateny, na płaszczyźnie rozległej, otoczonej fioletem gór i spowitej w lazury świetliste, pomiędzy marmurowo ściennym Pentelikonem i Hymettem, uwieńczonym lasami pinji wonnych, dokoła których rozlega się brzęczenie pszczół, a cichą zatoką Eleuzyńską.

Tem posepniejszy i bardziej zaćmiony był widnokrąg polityczny, otaczający lata dziecięce i młodość Platona. Przypadły one na ów okres nieubłaganej wojny Peloponeskiej, bratobójczej walki Sparty i Aten, która przyspieszyła rozprzężenie Grecji. Przeminięły wielkie dni wojen perskich, zaszło słońce Maratonu i Salaminy. Rok narodzin Platona (429 prz. Chr.) jest rokiem śmierci Peiryklesa, największego z greckich mężów stanu, nieskazitelnego jak Arystydes, zręcznego jak Temistokles, najdoskonalszego przedstawiciela cywilizacji helleńskiej, czło-



wieka, który umiał czarować burzliwą demokrację ateńską, gorącego patrioty, który pośród gwałtownych zamieszek ludowych umiał zachowywać spokój pół-boga. Matka Platona musiała opowiedzieć mu wydarzenie, którego była świadkiem na dwa lata przed przyjściem na świat przyszłego filozofa. Spartanie zajęli Attykę; Ateny, których byt narodowy był zagrożony, walczyły przez całą zimę i Perykles był duszą obrony. W ponurym roku tym odbyła się w Ceramiku, dzielnicy Ateńskiej, uroczystość imponująca. Mary wojowników poległych za ojczyznę umieszczone były na wozach żałobnych, a lud cały zgromadził się dokoła olbrzymiego grobu, w którym złożyć miano popołu ich zwłoki. Mauzoleum to czyniło wrażenie wspaniałego, posępnego symbolu grobu, który Grecja własnymi rękami kopała sobie swoją walką występłą. Wówczas to wygłosił Perykles najpiękniejszą z mów, jaką przekazała nam starożytność. Tucydides przepisał ją na swoich tablicach spiżowych, na których, jak tarcza na frontonie świątyni, jaśnieją słowa: „Groblem bohaterów jest wszechświat cały, a nie kolumny zdobne w napisy pompatyczne?“ — Słowa te tchną głębokiem zrozumieniem Grecji i jej nieśmiertelności.

Lecz po śmierci Peryklesa cóż pozostało z dawnej Grecji, która żyła swoimi ludźmi czynu? Wewnątrz Aten właśnie dogorywającej demokracji; na zewnątrz — nieustanna groza najścia lacedemońskiego, wojna na lądzie i na morzu, złoto króla Perskiego, krążące, niby trucizna zakażająca, w rękach trybunów i urzędników.

Po Peryklesie odziedziczył Alcibiades popularność i względy powszechne. Typowy ten przedstawiciel złotej młodzieży ateńskiej stał się bohaterem dnia. Awanturniczy polityk, intrygant pełen powabu, z uśmiechem prowadził ojczyznę swoją do zguby. Baczenie zaobserwował go Platon, który w następstwie mistrzowską dał psycho-

logję tej postaci. Przyrównywa on szaloną żądę władzy, jaka opanowała duszę Alcybjadesa, do wielkiego uskrzydłonego szerszenia, dokoła którego brzęczą namiętności, uwieńczone kwiatami, zaprawione aromatami, upojone winem i wszystkimi roskoszami wyuzdanemi, idącemi w ich orszaku. Żywią go one, hodują, zbroją wreszcie w żądla ambicji swoich. Wówczas ten tyran duszy, otoczony konwojem obłądnym, miota się wściekle, a jeśli znajduje dokoła siebie myśli i uczucia uczciwe, zdolne jeszcze wstydem spłonąć, zabija je i odpędza, dopóki nie wypije z duszy resztek powściągliwości i nie wypełni jej szaleń, który wywołał.

Niebo ateńskie ma więc barwę posepną w latach młodości Platona. Mając lat dwadzieścia pięć, był świadkiem naocznym wzięcia Aten przez Spartę po nieszczęśliwej bitwie morskiej pod Rigos Potamos. Potem widział wejście Lizandra do miasta swojego rodzinnego; oznaczało ono koniec niezawisłości Aten. Widział, jak burzono przy dźwiękach muzyki godowej mury zbudowane przez Temistoklesa i jak upojony tryumfem nieprzyjaciel literalnie tańczył z radości na ruinach jego ojczyzny. Potem przyszły czasy trzydziestu tyranów i ich okrucieństw.

Obrazy te zasępiły młodocianą duszę Platona, nie były wszakże w stanie zmącić jej. Była ona łagodna, jasna i przejrzysta jak strop nieba nad Akropolem. Platon był młodzieńcem wysokiego wzrostu, o szerokich ramionach, poważnym, skupionym, zawsze prawie milczącym; ilekroć jednak otwierał usta, słowa jego tchnęły cudowną wrażliwością i czarującą słodyczą. Nic w nim nie raziło wyskokiem nagłym, przesadą ani nadmiernością. Liczne i różnorodne uzdolnienia jego ukryte były, jak gdyby skupione, w najwyższej harmonji jego jestestwa. Wdzięk podniosły, wrodzona skromność przysłańały powagę jego umysłu; kobieca niemal czułość łagodziła



męskość i hart jego natury. Cnota jego wykwitła uśmiechem i powabem czystości niewinnej. Cechą wszelako górującą, niezwykłą, wyjątkową duszy jego był pakt tajemniczy, jaki, zdało się, zawarła ona z Wiekuistością. Tak, jedynie sprawy wiekuiste żyć zdawały się w głębi wielkich jego oczu; inne prześlizgiwały się po nich, niby zjawy złudne po tafli zwierciadlanej. Po za widomemi, zmiennemi, niedoskonałemi postaciami istot i świata dostrzegał kształty niewidzialne, doskonałe, zawsze promienne tych samych istot, widzialne tylko dla ducha jedynie i służące mu za wzory wiekuiste. I oto dla czego młody Platon, nie zdolawszy sformułować jeszcze doktryny swojej nie wiedząc nawet, że będzie kiedyś filozofem, miał już świadomość boskiej rzeczywistości Ideału i jego wszechobecności. Oto dla czego na widok sunących ruchem rozkołysanym niewiast, wozów żałobnych, uroczystości i smutków — wzrok jego zdawał się sięgać dalej i mówić: „Czemu płaczą i czemu wnoszą okrzyki radości? Zdaje im się, że są, a nie są. Czemu nie mogę przywiązać myśli do tego, co się rodzi i do tego, co, umiera? Dla czego kochać mogę jedynie niewidzialne nierodzące się i nieumierające, a wszakże istniejące wiecznie?“

Miłość i Harmonja— oto treść duszy Platona; jakąż jednak Harmonja i jaka Miłość?! Ukochanie Piękną wiekuistego i Harmonja, obejmująca wszechświat. Im wznioślejszą i głębszą jest dusza, tem więcej zużywa czasu na poznanie samej siebie. Pierwszy poryw Platona pchnął go ku sztuce. Pochodził z wysokiego rodu, bowiem ojciec jego utrzymywał, że jest potomkiem króla Kodrusa, a matka wywodziła pochodzenie swoje od Solona. Młodość jego upłynęła więc w zwykłych ramach życia bogatego Ateńczyka: otaczał je przepych oraz wszelkie ponęty okresu upadku. Oddał się im bez nadużywania ich, lecz

i bez pruderji, żyjąc życiem swojego otoczenia, korzystając w sposób szlachetny ze swego dziedzictwa, otoczony i podejmowany przez licznych przyjaciół. Zbyt dobrze opisał nam w swoim *Fajdrosie* miłość we wszystkich jej przejawach, abyśmy mogli przypuścić, że nie zakosztował jej uniesień i okrutnych jej rozczarowań. Pozostał nam po nim jedyne wiersz, równie namiętny jak wiersz Safony, tak samo iskrzący się światłem, jak noc gwiazdista nad morzem Cykladzkim: „Chciałbym być niebem, aby mleć mirjady oczu do patrzenia na ciebie“. Szukając najwyższego Piękna po przez wszystkie rodzaje i formy piękności, oddawał się z kolei malarstwu, muzyce i poezji. Ta ostatnia zdawała się odpowiadać wszystkim jego wymogom, tak że zatrzymał się wreszcie na niej. Zdumiewającą miał łatwość do wszystkich jej rodzajów. Odczuwał z jednaką siłą poezję miłosną i pieśni pochwalne, epeję, tragedję, nawet komedję zaprawną najsztudniejszą solą attycką. Czego brakło mu, aby stać się drugim Sofoklesem i podnieść teatr ateński z grożącego mu niechybnie upadku? Myśl ta przemawiała do jego ambicji. Przyjaciele nie szczędzili mu zachęty w tym kierunku. Mając lat dwadzieścia siedem, napisał kilka tragedji i zamierzał przystąpić z jedną z nich do konkursu.

W tym właśnie czasie zetknął się Platon z Sokratesem, który prowadził dysputy z młodymi ludźmi w ogrodach Akademji. Mówił o Sprawiedliwości i niesprawiedliwości, o Pięknie, Dobru i Prawdzie. Poeta zbliżył się do filozofa, wysłuchał dowodzeń jego, powrócił nazajutrz i odtąd co dnia już. Po upływie kilku tygodni przewrót zupełny dokonał się w jego umyśle. Beztrudnie młodzieniec, poeta pełen ułud nie poznawał samego siebie. Narodził się z niego inny Platon pod wpływem słów tego, który nazywał się sam „akuszerem dusz“. Co się właściwie stało? Jakich czarów użył ten rezoner o twarzy



satyra, aby wyrwać pięknego, genialnego Platona ze środowiska przepychu i rozkoszy, oderwać go od poezji i piękna, nawrócić go na pełną zaparcia się siebie drogę mądrości?

Prosty był człek, ale wielki kryginał z poczciwego tego Sokratesa. Syn rzeźbiarza, sam też w latach młodzieńczych rzeźbił trzy Gracje; potem rzucił dłuto, mówiąc, że woli rzeźbić duszę własną aniżeli marmur. Od tej chwili poświęcił życie swoje całe na poszukiwanie mądrości. Spotykać go można było w gimnazjach, na placu publicznym, w teatrze, rozmawiającego z młodymi ludźmi i żądającego od każdego z nich uzasadnienia twierdzeń swoich.

Od kilku lat rzucili się sofisci, jak chmara szarańczy, na Ateny. Sofista jest sfalszowaną kopją, a zarazem żywą negacją filozofa, podobnie jak demagog jest podrobionym mężem stanu, hipokryta — podrobioną kopją księdza, czarny magik — szatańskim podrobieniem prawdziwego wtajemniczonego. Typ grecki sofisty jest subtelniejszy, bardziej rozumujący, uszczypliwszy od innych; rodzaj ten wszakże stałą jest właściwością cywilizacji chyłących się ku upadkowi. Roi się w nich od sofistów równie nieuniknienie, jak od robaków w ciele gnijącym. Czy nazywają się ateistami, nihilistami czy pesymistami — wszędzie i po wsze czasy — wszyscy sofisci podobni są do siebie wzajem. Zawsze przeczą istnieniu Boga i Duszy, a więc istnieniu Prawdy i Życia najwyższego. Sofisci z czasów Sokratesa: Gorgjasze, Prodikusy i Protogorasi, dowodzili, że niema różnicy pomiędzy prawdą a błędem. Chępnili się, że potrafią dowieść każdego twierdzenia równie dobrze, jak twierdzenia odwrotnego; utrzymywali, że nie istnieje inna sprawiedliwość po za siłą, inna prawda po za sądem danego osobnika. Przy tem zadowoleni z siebie, używający życia, słono każąc

sobie płacić za swoje wykłady, pchający młodzież do rozpusty, intrygi i tyranji.

Sokrates zbliżył się do sofistów z ujmującą swoją słodyczą i przenikliwą prostotą swoją, niby człowiek ciemny, pragnący się oświecić. Oko jego błyszczało rozumem i dobrocią. Potem, przechodząc od pytania do pytania, zmuszał ich do wypowiedzania twierdzeń wręcz odwrotnych aniżeli te, które formułowali pierwotnie i do przyznawania się, że nie wiedzą nawet, o czym mówią. Wykazywał im też, że nie znają przyczyn ani zasad niczego, im, którzy chępnili się, że posiadli wiedzę wszechświata.

Zamknawszy im w ten sposób usta, nie chępnił się odniesionem zwycięstwem, lecz, przeciwnie, dziękował z uśmiechem przeciwnikom swoim za pouczenie go odpowiedziami swojemi, dodając, że „wiedzieć, iż się nic nie wie, jest początkiem prawdziwej mądrości“. — W co wierzył, co twierdził sam Sokrates? Nie przeczył istnieniu Bogów; czcił ich tak samo, jak jego współziomkowie, utrzymywał wszakże, że istota ich jest nieprzenikniona i szczerze przyznawał się, że nie rozumie nic z fizyki i metafizyki, wykładanych w szkołach. Najważniejszą jest rzeczą — mówił — wierzyć w Sprawiedliwość i Prawdę i stosować je w życiu. — Dowodzenia jego nabierały mocy szczególnej w jego ustach, bowiem on sam najlepszy stanowił przykład na ich poparcie: nieposzlakowany obywatel, nieustraszony żołnierz, nieskazitelny sędzia, przyjaciel wierny i bezinteresowny, bezwzględny pan wszystkich żądź swoich.

Jak widzimy, taktyka wychowania moralnego zmienia się, zależnie od środowiska i czasu. Pytagoras wobec wtajemniczonych uczniów swoich rzucał hasła moralne z wyżyn kosmogonji. W Atenach, na placu publicznym, w pośród Kleonów i Gorgjaszów, mówił Sokrates o wro-



dzonem poczuciu Sprawiedliwości i Prawdy, aby odbudować świat i zachwiany w posadach ustrój społeczny. I jeden i drugi, pierwszy w porządku zstępującym zasad, drugi w ich porządku wstępującym, dowodzili tej samej prawdy. Pytagoras jest wyobrazicielem podstaw oraz metody najwyższego wtajemniczenia; Sokrates wieści erę wiedzy dla wszystkich dostępnej. Ażeby nie wyjść ze swojej roli popularyzatora, nie chciał zostać wtajemniczonym w tajniki eleuzyńskie. Mimo to miał głębokie odczucie i zrozumienie prawdy najwyższej, jakiej uczyły wielkie Misterja, i wierzył w nią całkowicie. Kiedy mówił o niej on, ów dobry i mądry Sokrates, zmieniał się na twarzy, jak Faun natchniony, którym owładnie Bóg. Oczy jego płonęły, aureola światła opromieniała łusą jego czaszkę, a z ust jego padało jedno z owych prostych zdań słonecznych, rozjaśniających głębie rzeczy.

Co wszakże spowodowało, że Platon uległ nieodpartemu czarowi tego człowieka, który podbił go całkowicie? Oto, poznawszy go, zrozumiał wyższość Dobra nad Pięknem. Bowiem Piękno jest urzeczywistnieniem Prawdy jedynie w ułudzie Sztuki, zaś Dobro dokonywa tego w głębinach dusz. Rzadki i potężny urok, w którym zmysły żadnej nie odgrywają roli. Na widok człowieka prawdziwie sprawiedliwego zbladły w duszy Platona olśniewające świetności sztuki widomej, a na ich miejscu wykwitło marzenie bardziej boskie.

Człowiek ten wykazał mu niższość piękna i sławy, w jego dotychczasowym ich ujmowaniu, wobec piękna i chwały duszy czynnej, zjednywającej nazawsze inne dusze dla prawd swoich, gdy, przeciwnie, wspaniałości Sztuki zdolne są jedynie błyszczeć przez chwilę złudą prawdy pod barwną osłoną zwodniczą. To promienne wiekuiste Piękno, będące „Wspaniałością Prawdy“, zabiło zmienne i ułudne piękno w duszy Platona. Oto dla czego

Platon, wyrzekając się wszystkiego, co ukochał dotychczas, oddał się Sokratesowi w kwiecie młodości swojej z całą poezją, jaka grała mu w duszy. Wielkie to zwycięstwo Prawdy nad Pięknem nieobliczalne miało dla dziejów ducha ludzkiego wyniki.

Przyjaciele Platona czekali tymczasem na jego pierwszy popis poetycki na arenie tragedji. Zaprosił ich tedy do siebie na wielką ucztę; wszyscy dziwili się, że w tym właśnie momencie ją wydaje. Było bowiem w zwyczaju wydawać ją dopiero po zdobyciu nagrody i po pierwszym wystawieniu uwieńczonej tragedji. Nie odmawiało się wszakże zaprosin bogatego syna domu, w którym spotkać można było Muzy i Gracje w towarzystwie Erosa. Dom jego był oddawna miejscem zebrań wykwintnej młodzieży ateńskiej. Platon wydał majątek na to przyjęcie. Ustawiono stoły biesiadne w ogrodzie. Młodzi chłopcy, uzbrojeni w pochodnie, oświetlali ucztujących. Na zebraniu obecne były trzy najpiękniejsze hetery ateńskie. Festyn trwał do rana. Śpiewano hymny na cześć Amora i Bachusa. Fletniarki tańczyły tańce swoje najlubiejsze.

Wreszcie poproszono Platona, aby wygłosił jeden ze swoich dytyrambów. Podniósł się z uśmiechem i rzekł: „Uczta dzisiejsza jest ostatnią, jaką dla was wydaję. Od dnia dzisiejszego wyrzekam się uciech życia, aby poświęcić się mądrości i iść śladami nauk Sokratesa. Otóż, wiedzcie o tem wszyscy: wyrzekam się poezji nawet, poznałem bowiem jej nieudolność wyrażania prawdy, do której dążę. Nie stworzę już ani jednego wiersza i spalę w waszej obecności te wszystkie, które dotychczas ułożyłem“. Jeden łączny okrzyk zdumienia i protestu rozbrzmiał ze wszystkich końców stołu biesiadnego, dokoła którego leżeli na łożach wspaniałych goście, strojni w wieńce z róż wonnych. Jedne z tych twarzy, rozpalo-



nych winem, wesołością i dowolnymi tematami rozmowy, wyrażały zdziwienie, inne oburzenie.

Tu i owdzie wykwitał na obliczu kóregoś z wykwint-nisiów czy sofistów uśmiech niedowierzania i szyderstwa. Uważano pomysł Platona za szal i świętokradstwo; nalegano, aby cofnął, co powiedział. Platon wszelako potwierdził swoje postanowienie ze spokojem i stanowczością, które wykluczały wszelką możliwość repliki. Zakończył, mówiąc: „Dziękuję wszystkim uczestnikom tej uczyty pożegnalnej; zatrzymam wszelako przy sobie tych tylko, którzy zechcą dzielić nowe moje życie. Przyjaciele Sokratesa będą odtąd jedynymi moimi przyjaciółmi“.

Słowa te powionęły niby fala tchnienia mroźnego po polu kwietnym. Pod ich wpływem zasepiły się radosne przed chwilą twarze, przybierając ów wyraz zażenowania i przymusu, zwykły ludziom kroczącym w orszaku pogrzebowym. Kurtyzany podniosły się i kazały odwieść się w lektykach swoich, obrzucając gniewnem spojrzeniem pana domu. Wytworni młodzieńcy i sofisci wysunęli się ze słowami ironicznymi i podkpiwającemi: „Bądź zdrow Platonie! Bądź szczęśliwy! Powrócisz do nas! Żegnaj! Żegnaj!“!

Jedynie dwaj poważni młodzi ludzie pozostali przy nim. Ujął za ręce wiernych tych przyjaciół i, zostawiając nawpół opróżnione amfory wina, osypujące się róże, liry i fletnie porozrzucane w nieładzie pośród pełnych jeszcze czar, wyprowadził ich na wewnętrzny dziedziniec domu. Ujrzeni tam, spiętrzony na małym ołtarzu, stos zwojów pergaminowych. Były to wszystkie dzieła poetyckie Platona. Poeta wziął pochodnię i podpalił nią stos z uśmiechem, wypowiadając słowa te: „Wulkanie, zejdź do nas; potrzebny jesteś Platonowi“<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Fragment pełnego wydania dzieł Platona, zachowany pod tytułem: „Platon, pałacy poezje swoje“.

Kiedy zgasł płomień, ulatując w powietrze, lzy napęłniły oczy obu przyjaciół, którzy pożegnali w milczeniu przyszłego swojego mistrza. Platon wszakże, pozostawszy sam, nie płakał. Spokój, cisza cudowna przepęłniły całą jego istotę. Myślał o Sokratesie, do którego miał iść. Świt różowił już tarasy domów, krużganki, kolumnady i frontony świątyń; niebawem pierwszy promień słońca zabłysnął na kasku Minerwy, na szczycie najwyższym Akropolu.



## II

### WTAJEMNICZENIE PLATONA I JEGO FILOZOFJA

W trzy lata po przystąpieniu Platona do grona uczniów Sokratesa został mistrz skazany na śmierć przez Aeropag i umarł, w otoczeniu adeptów swoich, po wypiciu kubka cykuty.

Niewiele mamy faktów dziejowych, których historia tylokrotnie byłaby powtarzana, jak śmierć Sokratesa. Utał się obecnie pogląd, że Aeropag miał słusność ze swojego stanowiska, skazując Sokratesa, jako wroga religji państwowej, bowiem, przecząc istnieniu Bogów, godził on na całość republiki ateńskiej. Wykażemy niebawem, że twierdzenie to cechują dwa błędy zasadnicze. Przypomnijmy przedewszystkiem, co Wiktor Cousin odważył się napisać we wstępie do *Apologii Sokratesa*, w pięknym swoim przekładzie dzieł Platona: „Anytus, przyznać to należy, był obywatelem godnym szacunku; Aeropag — sądem wyrozumiałym i umiarkowanym; jeśli też czemu można byłoby się dziwić, to faktowi skazania Sokratesa tak późno oraz niewydania wyroku znaczną większością głosów“. Filozof francuski, minister oświecenia publicznego, nie dostrzegał, że, gdyby słusność po jego była stronie, należałoby wydać wyrok potępiający zarazem

filozofa i religję, aby mózdz sławić wyłącznie politykę kłamstwa, gwałtu i przemocy. Bowiem, jeśli dana filozofja doprowadza z konieczności do obalenia podstaw ustroju społecznego, nie jest ona niczem więcej, jeno obłudnym szumnym; jeśli zaś religja może się utrzymać jedynie dzięki zakazowi poszukiwania prawdy, jest ona tylko tyranją złowrogą. Postarajmy się być sprawiedliwsiymi zarówno w stosunku do religji greckiej jak i do greckiego filozofa.

Istnieje fakt zasadniczy i uderzający, który uszedł uwagi większości historyków i filozofów nowoczesnych.

W Grecji źródłem, nader rzadkiego zresztą, prześladowania filozofów nie były nigdy świątynie, lecz zawsze ludzie, robiący politykę. Filozofji helleńskiej obcą była wojna kapłanów z filozofami, jaka odgrywa tak wielką rolę w naszej filozofji, zacząwszy od zniszczenia ezoteryzmu chrześcijańskiego w drugim wieku naszej ery. Tales mógł bezpiecznie głosić, że świat powstał z wody; Heraklit — że jest on dziełem ognia; Anaksagoras mógł utrzymywać bezkarnie, że słońce jest rozpaloną do białości masą ognistą; Demokryt — dowodzić, że wszystko powstało z atomów. Nie zaniepokoiło to żadnej świątyni. Wiedziano w nich o tem, wiedziano wiele więcej jeszcze. Wiedziano także, iż rzekomi filozofowie, przeczący istnieniu Bogów, nie mogli obalić ich w świadomości ludu; wiedziano, że prawdziwi filozofowie wierzyli w nich w ten sam sposób, co wtajemniczeni, widzący w nich symbole wielkich kategorii hierarchji ducha; Boskości, przenikającej Naturę; Niewidzialnego, kierującego Widomem. Doktryna ezoteryczna była więc węzłem, łączącym prawdziwą filozofję z prawdziwą religją. Oto fakt, głęboko tkwiący w naturze sprawy, podstawowy i ostateczny, wyjaśniający tajemny ich sojusz w cywilizacji helleńskiej.

Któż zatem oskarżył Sokratesa? Kapłani eleuzyńscy, którzy złorzeczyli sprawcom wojny Peloponeskiej, otrząsa-



jąc pył z szat swoich ku Zachodowi, nie wyrzekli przeciwko niemu ani słowa. Co się zaś tyczy świątyni delickiej, złożyła mu ona najpiękniejsze świadectwo, jakie można dać człowiekowi. Pytja, zapytana o sąd Apollona o Sokratesie, orzekła: „Niema człowieka wolniejszego, sprawiedliwszego i rozważniejszego“<sup>1)</sup>. Oba więc główne punkty oskarżenia Sokratesa: że psuje on młodzież i nie wierzy w Bogów, były pretekstem jedynie. Na drugi zarzut odpowiedział Sokrates sędziom swoim zwycięsko: „Wierzę w mojego ducha opiekuńczego, tem bardziej więc wierzyć muszę w Bogów, którzy są wielkimi duchami wszechświata“. Skąd więc ta nienawiść nieublagana do mędrca? Oto, zwalczał on niesprawiedliwość, demaskował obłudę, wykazywał fałsz i bezpodstawność tylu czczych uroszczeń. Ludzie wybaczą wszystkie występki i wszelkie ateizmy, nie wybaczą wszakże nigdy tym, którzy ich zdemaskowali. Dla tego właśnie prawdziwi ateusze, zasiadający w Areopagu, wydali wyrok śmierci na sprawiedliwego i niewinnego, pomawiając go o zbrodnię, którą oni raczej popełniali. W cudownej obronie swojej, odtworzonej przez Platona, Sokrates wypowiada to sam z zupełną prostotą: „Te właśnie poszukiwania moje bezowocne ludzi mądrych pomiędzy Ateńczykami wywołały przeciwko mnie tyle nieprzyjaźni niebezpiecznych, ztąd wszystkie oszczerstwa, szerzone na mój rachunek, bowiem wszyscy ci, którzy słuchają mnie, sądzą, że wiem sam to wszystko, na mocy czego zdzieram maskę z ciemnoty innych... Intryganci czynni i liczni, mówiąc o mnie podług planu z góry ukartowanego, z darem wymowy zdolnym porwać słuchaczy, oddawna już dziurawią wam uszy najpodstępniejszymi, najbardziej wiarołomnymi pogłoskami i przeprowadzają bez wytchnienia swój system szka-

---

<sup>1)</sup> *Ksenofont*: „Apologia Sokratesa“.

lowania. Dzisiaj wystawiają przeciwko mnie Melitusa, Anytusa i Lykona. Melitus jest przedstawicielem poetów; Anitus — polityków i artystów; Lykon — mówców“.

Poeta — tragiczny bez talentu; złośliwy, fanatyczny bogacz i bezczelny demagog, zdołał wymócić skazanie na śmierć najlepszego z ludzi; śmierć ta uczyniła go nieśmiertelnym. Mógł on też z dumą oznajmić sędziom swoim: „Bardziej wierzę w Boga, aniżeli którykolwiek z oskarżycieli moich. Czas już, abyśmy się rozstali; dla mnie — czas umrzeć, dla was — żyć. Komu z nas lepszy los przypadł w udziale? Nikomu to niewiadomo, jedynie Bogu“<sup>1)</sup>).

Sokrates nie tylko nie obalał prawdziwej religii i jej symbolów, lecz, przeciwnie, uczynił wszystko, aby ją umocnić. Byłby on największą ostoją ojczyzny swojej, gdyby zdolna ona była zrozumieć go. Podobnie jak Chrystus, umarł on, przebacząc katom swoim, i stał się dla ludzkości całej wzorem mędrca-męczennika. Bowiernie uosabia on ostateczne wprowadzenie wtajemniczenia indywidualnego i wiedzy, otwartej dla wszystkich.

Jasny obraz Sokratesa, umierającego za prawdę i spędzającego ostatnią godzinę życia na rozprawianiu z uczniami swoimi o nieśmiertelności duszy, uwiecznił się w sercu Platona jak widok najpiękniejszy i najświętsza tajemnica. Było to jego pierwsze, wielkie jego wtajemniczenie. W następstwie studiował fizykę, metafizykę, i wiele innych nauk; pozostał wszelako nazawsze uczniem Sokratesa. Przekazał nam żywy obraz swój, wkładając w usta mistrza skarby własnych myśli. Ten kwiat skromności czyni z niego ideał ucznia, zarówno jak ogień zapalu czyni zeń poetę filozofów. Mimo że wiadomo nam, iż założył szkołę swoją, mając lat pięćdziesiąt i umarł, licząc lat osiemdziesiąt, nie możemy go sobie wyobrazić

1) Platon: „Apologia Sokratesa“.



inaczej, aniżeli młodym. Albowiem młodość wiekuista jest udziałem dusz, które z głębią myśli łączą boską prostotę.

Platon zawdzięcza Sokratesowi pierwszą wielką podniecie, pierwiastek czynny i męski swojego życia, swoją wiarę w sprawiedliwość i w prawdę. Wiedzę swoją i treść idei swoich zaczerpnął z wtajemniczenia w Misterje. Genjusz jego ujawnił się w nadaniu im nowej formy, zarazem poetyckiej i djalektycznej. Wtajemniczenie swoje zdobył nietylko w Eleuzys. Szukał go u wszystkich dostępnych źródeł świata starożytnego. Po śmierci Sokratesa zaczął podróżować. Słuchał wykładów kilku filozofów w Azji Mniejszej. Ztąd udał się do Egiptu, aby zawiązać bliższe stosunki z kapłanami i przeszedł przez wtajemniczenie Izjdy. Nie osiągnął, jak Pytagoras, stopnia wyższego, uprawniającego do stanowiska adepta, dającego istotne i bezpośrednie widzenie prawdy boskiej wraz z władzą nadludzką z punktu widzenia ziemskiego. Zatrzymał się na trzecim stopniu, który darzy zupełną jasnością umysłową oraz panowaniem intelektu nad duszą i ciałem. Potem udał się do Italji południowej aby zetknąć się z Pytagorejczykami, wiedział bowiem dobrze, że Pytagoras był największym z mędrców greckich. Nabył na wagę złota jeden z rękopisów mistrza. Znajajomiwszy się w ten sposób z tradycją ezoteryczną Pytagora u samego jej źródła, zapożyczył od filozofa tego idee przewodnie i osnowę swojego systemu <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> To, co głosił Orfeusz pod osłoną ciemnych alegorji — mówi Proklus—, „co wykladał Pytagoras po przejściu wtajemniczenia orfickiego, tego Platon dokładną zdobył znajomość z pism orfickich i pytagorejskich”. — Ten pogląd szkoły aleksandryjskiej na rodowód idei platońskich znajduje pełne potwierdzenie w zestawieniu porównawczem tradycji orfickich i pytagorejskich z pismami Platona. Rodowód ten, utrzymywany w tajemnicy w ciągu kilku wieków, ujawniony został dopiero przez filozofów aleksandryjskich, bowiem oni pierwsi wyjaśnili ezoteryczne znaczenie Misterjów.

Po powrocie do Aten założył tu Platon szkołę swoją, która zyskała sławę nieśmiertelną pod mianem Akademji. Chcąc prowadzić dalej dzieło Sokratesa, należało szerzyć prawdę. Platon nie mógł wszelako nauczać publicznie rzeczy, okrywanych przez Pytagorejczyków potrójną osłoną tajemnicy. Wzbraniały mu tego złożone przysięgi, przezorność, a nawet sam cel, do którego dążył. Niewątpliwie, doktryną ezoteryczną jest to, co odnajdujemy w *DIALOGACH* Platona, lecz ukrytą, złagodzoną, osnutą dialektyką rozumowania, niby naleciałością obcą, przybraną nawet w szatę legendy, mitu, przypowieści. Nie ukazuje ona się tutaj w imponującym całokształcie, jaki nadał jej Pytagoras i jakiego obraz usiłowaliśmy odtworzyć, w postaci gmachu, zbudowanego na niewzruszonych podstawach, gmachu, którego wszystkie części spojone są trwałym, niezniszczalnym cementem;—lecz w postaci fragmentów analitycznych. Platon, podobnie jak Sokrates, staje na gruncie młodych ludzi ateńskich, światowców, retoryków i sofistów, których pobija własną ich bronią. Genjusz jego stale wszakże czuwa; w każdej chwili gotów jest, jak orzeł, zerwać sieć dialektyki, aby poszybować śmiałym lotem w krainę prawd szczytnych, które są ojczyzną jego i atmosferą jego rodzinną. Dialogi te owiane są czarem niezwykłym i podniecającym: umysł czytelnika rokoszuje się w nich zapalem delfickim i eleuzyńskim oraz cudowną jasnością, solą attycką, złośliwością dobrodusznego Sokratesa, subtelną, natchnioną ironją mędrca.

Niema nic łatwiejszego nad odnalezienie w pismach Platona różnych części doktryny ezoterycznej, a zarazem wykrycie źródeł, z których czerpał. Doktryna idei-pratyków wszechrzeczy, wyłożona w *Fajdrocie*, jest uzupełnieniem doktryny *Liczb świętych* Pytagora <sup>1)</sup>—*Tymeusz* daje

<sup>1)</sup> Por. doktrynę tę, wyłożoną w księdze poprzedniej.



wykład nader niejasny i pogmatwany kosmogonji ezoterycznej. — Co zaś do doktryny duszy, jej wędrówek i jej ewolucji, przetkane nią są, niby nicią czerwoną, wszystkie dzieła Platona. Nigdzie wszakże nie występuje ona tak wyraziście jak w *Uczcie, w Fedonie* oraz w *legendzie o Erze*, umieszczonej na końcu *Rzeczypospolitej* <sup>1)</sup>. Dostrzegamy w nich Psyche osłoniętą, lecz jakże piękną i wzruszającą! Jaśniej ona po przez zaslonę kształtami swojemi przedziwnymi i wdziękiem swoim boskim.

Widzieliśmy w księdze poprzedniej, że klucz Kosmosu, tajemnica ustroju jego od góry do dołu, tkwi w zasadzie *trzech światów*, odbitych w mikro- i makrokosmie, w troistości człowieczej i boskiej. Pytagoras po mistrzowsku sformułował i streścił tę doktrynę w symbolu *świętej Tetrady*. Doktryna ta Słowa żywego, wiekuistego, stanowiła wielki tajnik, źródło zaklęć czarnoksięskich, djamentową świątynię wtajemniczonego, warownię niezdobytą ponad oceanem wszechrzeczy. Platon ani mógł, ani chciał odsłonić tajnik ten w nauczaniu swoim publicznem. Przedewszystkiem zamykała mu usta przysięga dochowania tajemnicy. Po za tem nieszyscy byliby zrozumieli; prostak byłby niegodnie pokalał tę tajemnicę teogoniczną, mieszczącą w sobie rodzenie światów. Czego innego potrzeba było do zwalczania znieprawionych obyczajów i rozkielznanych namiętności politycznych. Wraz z wielkiem wtajemniczeniem zamknąć się miały wkrótce wrota, wiodące do zaświatów, owe wrota, uchylające się w galerji świetlistej jedynie przed wielkimi prorokami

<sup>1)</sup> O tym samym Erze, nazywając go „Herem Armeńczykiem“ (Ja, Her Armeńczyk, leżałem na stosie trupem...) mówi Słowacki w Rapsodzie I i pieśni I *Króla-Ducha*. Źródłem przeinaczenia imienia *Er* na *Her* jest prawdopodobnie przekład francuski *Rzpltej*, z którego zapoznał się Słowacki z dziełem Platona, a którego tłumacz błędnie imię *Era* napisał. (Przyp. tłum.).

oraz przed rzadkością niesłychaną — przed prawdziwymi wtajemniczonymi.

Platon zastąpił doktrynę trzech światów trzema koncepcjami, które, w braku zorganizowanego wtajemniczenia, pozostały w ciągu dwóch tysięcy lat jak gdyby trzema drogami otwartymi do celu najwyższego. Trzy te koncepcje dotyczyły zarazem świata ziemskiego i świata niebiańskiego; zaletą ich jest, że łączą je, jakkolwiek w sposób abstrakcyjny. Okazał się tutaj w całej pełni popularyzatorski i twórczy geniusz Platona. Rzucił on potoki światła na świat, stawiając na jednej linii ideę Prawdy Piękna i Dobra. Wyjaśniając jedną przez drugą, wykazał, że są one promieniami, które z jednego wyszły ogniska, i które skupiając się, odtwarzają ponownie to samo ognisko, to znaczy: Boga.

Dążąc ku Dobru, to znaczy ku Sprawiedliwości, dusza oczyszcza się; przygotowuje się do poznania Prawdy. Jest to pierwszy nieodzowny warunek jej postępu.—Dążąc ku idei Piękna i rozszerzając ją, osiąga ona Piękno intelektualne, owo światło duchowe, rodziciela wszechrzeczy, nadającego życie kształtom, stanowiącego treść i organ Boga.—Zanurzając się w duszy świata, czuje dusza człowiecza, że wyrastają jej skrzydła. — Idąc za ideą Prawdy, osiąga ona czystą Treść, pierwiastki zawarte w czystym Duchu. Poznaje nieśmiertelność swoją po tożsamości pierwiastka swojego z pierwiastkiem boskim. To doskonałość, epifania duszy. — Otwierając wielkie te drogi duchowi ludzkiemu, wyczerpująco określił i stworzył Platon, po za ciasnymi ramami systematów i poszczególnych religii, *kategorję Idealu*, która na całe wieki zastępować miała, i zastępuje po dzień dzisiejszy, *wtajemniczenie organiczne* i zupełne. Utorował trzy drogi święte, prowadzące do Boga, podobnie jak droga święta wiodła z Aten do Eleuzys przez wrota Ceramiku. My, którzy dotarliśmy wraz



z Hermesem, Orfeuszem i Pytagorasem do wnętrza świątyni, tem lepiej ocenić możemy trwałość i prostollność szerokich tych dróg, zbudowanych przez boskiego inżyniera, Platona. Znajomość Wtajemniczenia starczy nam za usprawiedliwienie i rację bytu Idealizmu.

*Idealizm* — to śmiałe stwierdzenie prawd boskich przez duszę, która bada sama siebie w samotności swojej i ocenia rzeczywistości niebiańskie swojemi władzami ośrodkowemi i głosami swojej wewnętrzności. — *Wtajemniczenie*, to przeniknięcie tych samych prawd drogą doświadczenia duszy, bezpośredniego widzenia ducha, odrodzenia się wewnętrznego. Na stopniu najwyższym jest to wejście duszy w obcowanie ze światem boskim.

*Ideal* — to moralność, poezja, filozofja; *Wtajemniczenie* — jest czynnością, widzeniem, szczytną obecnością Prawdy. *Ideal* — to marzenie o ojczyźnie boskiej i tęsknota za nią. Wtajemniczenie, ta świątynia wybranych, jest jasną, wyraźną pamięcią ideału, jest jego osiągnięciem. Stworzeniem więc kategorii *Ideału* dał wtajemniczony Platon schronienie, otworzył drogę zbawienia milionom dusz, nie mogących dosięgnąć w życiu doczesnem bezpośredniego wtajemniczenia, dążących wszakże z boleśnem upragnieniem do Prawdy. Platon uczynił w ten sposób z filozofji przedproże przyszłej świątyni, wzywając doń wszystkich ludzi dobrej woli. Idealizm licznych wyznawców jego, pogańskich czy chrześcijańskich, wydaje nam się jak gdyby poczekalnią przed wielkiem wtajemniczeniem.

Tłomaczy nam to olbrzymią popularność i siłę promieniotwórczą idei platońskich. Źródłem siły tej jest ich podkład ezoteryczny. Oto dla czego Akademia Ateńska, założona przez Platona, przetrwała wieki, znajdując dalszy ciąg swój w wielkiej szkole aleksandryjskiej. Dla tego też pierwsi Ojcowie Kościoła hołd złożyli Platonowi;

a święty Augustyn zaczerpnął z niej dwie trzecie teologii swojej. Dwa tysiące lat upłynęło od chwili, w której uczeń Sokratesa wydał ostatnie tchnienie w cieniu Akropolu. Przez świat przeszło chrześcijaństwo, przeszły najazdy barbarzyńców, wieki średnie. We Francji chcieli Medyceusze założyć akademię i wezwali do zorganizowania jej uczonego greka, wygnańca z Konstantynopola. Jakie imię nadał instytucji tej Marsyllus Ficynus? Nazwał ją Akademią Platońską. Dzisiaj nawet, kiedy tyle systematów filozoficznych, spleźzonych jedno nad drugimi, zupełnej uległo rozsypce; dzisiaj, kiedy nauka zbadła materję aż do ostatnich jej przeistoczeń i stanęła wobec niewytłomaczonego i niewidzialnego, dzisiaj jeszcze powraca do nas Platon. Zawsze prosty i skromny, lecz promienny młodością wiekuistą, wyciąga ku nam świętą gałązkę Misterjów, gałązkę mirtu i cyprysu wraz z narcyzem—*Kwiatem duszy*, zapowiadającym boskie odrodzenie w nowem Eleuzys.



### III MISTERJA ELEUZYŃSKIE

Misterja Eleuzyńskie były w starożytności greckiej i łacińskiej przedmiotem czci specjalnej. Ci sami autorowie, którzy wyśmiewali bajki mitologiczne, nie śmieli tknąć kultu „wielkich bogiń“. Ich panowanie, mniej głośnie niżli Olimpijczyków, okazało się jednak pewniejszym i bardziej skutecznym. W czasach niepamiętnych kolonia grecka, pochodząca z Egiptu, sprowadziła nad cichą zatokę, nad którą leżało Eleuzys, kult wielkiej lzydy pod mianem Demetry, czyli matki wszechświata. Od tego czasu pozostało Eleuzys siedliskiem wtajemniczenia.

Demeter i córka jej Persefona były patronkami małych i wielkich misterjów, ztąd urok ich.

Lud czcił w Cererze matkę ziemię i boginię rolnictwa, wtajemniczeni zaś widzieli w niej światło niebiańskie, matkę dusz, intelekt boski, matkę bogów kosmogonicznych. Kult jej uprawiali kapłani, należący do najstarszego attyckiego rodu kapłańskiego. Nazywali sami siebie synami Księżycy, to znaczy zrodzonymi na pośredników pomiędzy Ziemią a Niebem, pochodzącymi ze sfery, mieszczącej most przerzucony pomiędzy dwiema temi dziedzinami, przez który dusze zstępują i wstępują. Od

początku samego czynność ich polegała na „opiewaniu na tym padole nędz rokoszy bytowania niebiańskiego i nauczaniu sposobów znalezienia drogi do niego“. Ztąd ich miano Eumolpidów, czyli „piewców melodji dobroczynnych“, słodkich odrodzicielek ludzi. Kapłani eleuzyńscy wykładali zawsze wielką doktrynę ezoteryczną, pochodzącą z Egiptu. Z biegiem wieków wszelako przystroili ją w cały czar zachwycającej mitologii plastycznej. Sztuką swoją subtelną i głęboką umieli czarodzieje ci posługiwać się namiętnościami ziemskimi dla wyrażenia idei niebiańskich. Wykorzystali urok zmysłowy, świetność ceremonjału, czar sztuki, aby skłonić duszę do życia lepszego, a umysł do poznania prawd boskich. Nigdzie nie ukazują się misterja w formie tak ludzkiej, żywej i barwnej.

Mit o Cererze i córce jej, Persefonie, stanowi ośrodek kultu Eleuzyńskiego. Niby kołowrót świetlny obraca się wielkie wtajemniczenie eleuzyńskie dokoła tego kręgu promiennego. Owóż, w znaczeniu swoim najgłębszem mit ten symbolicznie wyobraża dzieje duszy, jej zstąpienia w materję, jej cierpień w mrokach zapomnienia, potem ponownego jej wzniesienia się, powrotu do życia boskiego.— Innemi słowy, jest to dramat upadku i odkupienia w jego postaci helleńskiej.

Skądinąd zatem twierdzić można, że dla światłego i wtajemniczonego Ateńczyka z czasów Platona były misterja Eleuzyńskie uzupełnieniem wyjaśniającem, świetlaną przeciwwą tragicznych widowisk ateńskich. Tam, w teatrze Bachusa, wobec wzburzonego, wyjącego tłumu odtwarzały straszliwe czary Melpomeny człowieka ziemskiego, którego zaślepiały własne jego namiętności i żądze, prześladowała Nemezis jego zbrodni, przytłaczał Los nieublagany i często niepojęty. Rozlegały się odgłosy walk prometejskich, przekleństw Erynji; ryk rozpaczny Edypa



i wściekłość Oresta. Tam było królestwo ponurej Grozy i Litości bolesnej.

W Eleuzys, w gaju Cerery, wszystko się rozjaśniało. Krąg rzeczy rozszerzał się dla wtajemniczonych, którzy stawali się jasnowidzącymi. Dzieje Psyche-Persefony były dla duszy każdej objawieniem zdumiewającym. Życie zyskiwało znaczenie bądź pokuty, bądź próby. Po za i po nad teraźniejszością swoją ziemską odkrywał człowiek gwiaździste strefy przeszłości i przyszłości boskiej. Po grozie śmierci — nadzieje, wyzwolenia i rokosze elizejskie, a po przez szeroko rozwarte portyki świątyni — śpiewy szczęśliwych, olśniewające potopy światła czarownego zaświata.

Misterja, w zestawieniu z Tragedją, były dramatem boskim, duszy, uzupełniającym dramat ziemski człowieka.

*Małe Misterja* święcone były w lutym, w Agrae, osadzie sąsiadującej z Atenami. Aspiranci, którzy przeszli przez egzamin przedwstępny, i złożyli dowody swoich narodzin, przyjmowani byli przy wejściu do świątyni zamkniętej przez kapłana z Eleuzys, zwanego *hieroceryksem* czyli świętym heroldem, upodobnionego Hermesowi, jak on strojącego głowę w rodzaj mitry o wąskich skrzydłach i noszącego laskę Merkurego z węzami. Był on przewodnikiem, pośrednikiem i tłumaczem Misterjów. Prowadził przybyszów ku małej świątyni o kolumnach jońskich, poświęconej wielkiej dziewicy — Persofonie, zwanej *Kore*. Pełna wdzięku świątynia ta kryła się w głębi cichej doliny, w pośrodku lasu świętego, pomiędzy grupami cisów i topoli srebrzystych. Wówczas wychodziły ze świątyni kapłanki Prozerpiny, hierofantydy, w śnieżnych szatach, z obnażonymi ramionami i wieńcami z narcyzów na głowach. Ustawiały się szeregiem na najwyższym stopniu schodów i intonowały melopecę uroczystą na modłę do

rycką. Skandując słowa i podkreślając je gestami wymownymi, mówiły:

„O, przyszli adepci Misterjów, stanęliście u progu Prozerpiny. Wszystko, co oglądać będziecie, w zdumienie was wprawi. Dowiedziecie się, że życie wasze obecne jest splątana tkaniną rojeń ułudnych. Sen, który otacza was strefą mroków, uniesie na fali swojej rojenia i dni wasze, niby płynące szczątki ostatnie, które rozwiewają się w oczach. Po za strefą mroków wszelako jest strefa miłości wiekuiściej. Niech sprzyja wam Persefona i niech nauczy was, jak przebyć rzekę ciemności i dostać się do Demetry niebiańskiej“.

Gdy słowa te przebrzmiały, prorokini, prowadząca chór, zstępowała z trzech stopni w dół schodów i wypowiedziała głosem uroczystym, rzucając przytem spojrzenia pełne grozy, przekleństwo następujące: „Lecz biada tym, którzy przyszli, aby pokalać Misterja! Bowiem bogini prześladować będzie te serca przewrotne przez całe ich życie, i w królestwie cieni nie wypuści ona swojej ofiary“.

Kilka dni następnych upływało na obmywaniach, postach, modlitwach i naukach.

Wieczorem ostatniego dnia zbierali się neofici w najtajniejszej części świętego gaju, aby być widzami przy scenie *porwania Persefony*. Przedstawienie to odgrywały kapłanki na otwartem powietrzu. Zwyczaj odgrywania Misterji sięgał bardzo dawnych czasów, przyczem treść przedstawienia, myśl jego przewodnia, pozostawały zawsze bez zmiany, jakkolwiek forma zewnętrzna ulegała w ciągu wieków znacznym przeobrażeniom. Za czasów Platona, dzięki niedawnemu rozwojowi tragedji, ustąpiła surowość hieratyczna miejsca gustowi bardziej ludzkiemu i bardziej wysubtelnionemu oraz kierunkowi bardziej uczuciowemu. Anonimowi poeci eleuzyńscy przekształcili scenę tę pod



kierunkiem hierofanty w mały dramat, który przebiegał w sposób mniej więcej następujący:

(Neofici schodzą się parami na polanę. W głębi widać skały i grotę, otoczone lasem mirtowym i kilkoma topolami. Na przodzie łąka, na której leżą nimfy dokoła źródła. W głębi groty widać *Persefone*, siedzącą na stołku. Obnażona jest do pasa jak Psyche; wysmukły biust jej wyłania się wstydliwie ze zwojów gazy, spowijającej obłokiem lazurowym jej ciało. Wydaje się szczęśliwą, nieświadomą piękności swojej; wyszywa długi zawój nitkami różnokolorowemi. *Demeter*, matka jej, stoi obok córki; na głowie ma kalathos<sup>1)</sup>, w ręku dzierży berło).

*Hermes* (herold Misterjów, do obecnych).— Demeter darzy nas dwoma darami świetnymi: owocami, abyśmy nie żyli jak zwierzęta, i wtajemniczeniem, które daje nadzieję, od owoców słodsza, tym, którzy w niem uczestniczą, — zarówno na kres życia doczesnego jak i na całą wieczność. Baccie pilnie na słowa, jakie usłyszycie i na rzeczy, jakie będziecie oglądali.

*Demeter* (głosem poważnym)— Córko ukochana przez Bogów, pozostań w grocie tej aż do powrotu mojego i wyszywaj zawój. Niebo — ojczyznę twoją, do ciebie należy wszechświat. Widzisz Bogów; przychodzą na wezwanie twoje. Nie dawaj wszakże posłuchu Erosowi przebiegłemu, o spojrzeniu słodkiem, lecz o radach zdradnych. Strzeż się opuszczania groty i nie zrywaj nigdy pociągających kwiatów ziemi; ich zapach oszałamiający i zgubny naraziłby cię na utracenie światłości nieba i zagasiłby w tobie pamięć o niem. Tkaj welon i żyj szczęśliwa do powrotu mojego, z nimfami, twojemi towarzyszkami.

---

<sup>1)</sup> *Kalathos*— naczynie gliniane do mleka lub wina, używane u Greków i Rzymian przy uroczystościach na cześć Bachusa i Cery. (Przyp. tłum.)

A wtedy, na wozie ognistym, zaprzężonym w węże, powożę cię znów do wspaniałości Eteru, ponad drogę mleczną.

*Persefona:*— Tak, matko dostojna i grozy pełna; na to światło, które cię otacza i które mi jest drogą, przyrzekam, i niech ukarzą mnie bogowie, jeśli przysięgi nie dotrzymam. (Demeter wychodzi).

*Chór nimf:*— O, Persefono, o Dziewico, o, czysta oblubienico Nieba, ty, która wyszywasz postaci Bogów na zawoju twoim! obyś nie zaznała nigdy ulud próżnych i niezliczonych cierpień ziemi. Uśmiecha się do ciebie Prawda wiekuista. Twój oblubieniec niebieski, Djonizos, czeka na ciebie w Empireum, w siedlisku ognia i światłości. Czasem ukazuje ci się w postaci słońca dalekiego; pieszczą cię promienie jego; oddycha on tchnieniem twojem, a ty pijesz blaski jego... Już naprzód posiadacie się wzajem!... O, Dziewico, któż szczęśliw jest bardziej nad ciebie?

*Persefona:* — Na welonie tym lazurowym o zwojach nieskończonych wyszywam iglicą z kości słoniowej niezliczone postaci istot i wszechrzeczy. Ukończyłam historję Bogów; wysyłam Chaos przeraźliwy o stu głowach, o ramionach tysiącu. Wyłonić się ztąd mają istoty śmiertelne. Któż do życia je powołał? Oznajmił mi o tem Ojciec Bogów: to — Eros. Nigdy go wszelako nie widziałam, nie wiem, jak wygląda. Kto odmaluje mi oblicze jego?

*Nimfy:* — Nie myśl o tem. Na co pytanie to próżne?

*Persefona:* (wstaje i odrzuca płaszcz). — Erosie! najdawniejszy a przecież najmłodszy z Bogów, źródło niewysychające radości i łez — tak bowiem mówiono mi o tobie — Bogu straszliwym, jedynym nieznanym, jedynym niewidzialnym z Nieśmiertelnych i jedynym upragnionym, Erosie tajemniczym! jakiż niepokój, jaki szal ogarnia mnie na dźwięk imienia twojego!



*Chór:* — Nie usiłuj dowiedzieć się o nim więcej. Pytania niebezpieczne zgubiły już ludzi, a nawet bogów.

*Persefona:* (wpija w próżnię oczy osłupiale przerażeniem)— Czy wspomnienie to? Czy też przecucie straszliwe? Chaos... ludzie... przepaść wcieleń, krzyk rodzenia, wściekła wrzawa nienawiści i wojny... otchłań śmierci! Słyszę, widzę to wszystko, i przepaść ta pociąga mnie, wchłania, muszę w nią zstąpić! Eros pogrąża mnie w nią swoją pochodnią podżegająca. O! umieram! Precz ode mnie, śnie potworny! (Ukrywa twarz w dłoniach i łka).

*Chór:* O! dziewico boska, to sen tylko jeszcze, lecz mógłby on łatwo ziścić się, stać się rzeczywistością nieuchronną, i niebo twoje znikłoby jak marzenie złudne, gdybyś uległa żądzy twojej występnej. Usłuchaj tego ostrzeżenia zbawczego, ujmij ponownie iglicę swoją i tkaj zawój swój lazurowy. Zapomnij o chytrym, bezczelnym, występny Erosiel

*Persefona:* (odejmując ręce od twarzy, która zmieniła wyraz, uśmiecha się po przez łzy).— O, wy szalone! O, ja, bezrozumna! Przypominam sobie taraz, słyszałam o tem na Misterjach Olimpijskich: Eros jest najpiękniejszym z bogów; na wozie skrzydlatym kieruje on przeobrażeniami Nieśmiertelnych, mieszanem Treści pierwotnych. On to wyprowadza ludzi śmiałych, bohaterów, z głębin Chaosu na szczyty Eteru! Wie wszystko; jako ogień pierwotny obchodzi wszystkie światy, dzierży klucze ziemi i nieba! Chcę go widzieć!

*Chór:* — Stój! Nieszczęsna!

*Eros:* (wychodzi z lasu w postaci skrzydlatego młodzieńca)— Wzywasz mnie, Persefono? Oto jestem.

*Persefona:* (siada) — Mówią o tobie, żeś podstępny, a oblicze twoje to niewinność wcielona; mówią, żeś wszechwładny, a zdajesz się dziecięciem wątem; mówią, żeś zdradziecki, a im więcej patrzę w oczy twoje, tem bardziej

rozwiera się moje serce, tem więcej nabieram ufności w ciebie, piękne dziecię swawolne. Mówią o tobie, żeś mądry i zręczny. Czy możesz mi dopomóc w wyszywaniu tego zawoju?

*Eros:* — Chętnie. Oto, siadam tuż przy tobie, u stóp twoich. Jakież welon cudowny! Zdaje się być skąpanym w lazurze twoich oczu. Jakie czarowne postacie wyszyła na nim dłoń twoja, — mniej piękne wszakże, aniżeli boska hafciarka, która nigdy nie oglądała samej siebie w zwierciadle. (uśmiecha się figlarnie).

*Persefona:* — Oglądać siebie samą! czyżby to było możliwem? (rumieni się) Czy poznajesz wszakże te postacie?

*Eros:* — Czy je poznaję? to historia Bogów. Po cóż jednak zatrzymywać się na Chaosie? Tam właśnie rozpoczyna się walka. Czy chciałabyś wyszywać wojny Tytanów, ludzi i miłości ich?

*Persefona:* — Brak mi na to umiejętności i zawodzi mnie pamięć. Czy nie mógłbyś pomóc mi wyszyć resztę?

*Eros:* (rzuca na nią spojrzenie rozplomienione) — Tak, Persefona, lecz pod warunkiem, że przedtem przyjdiesz zerwać ze mną kwiat na łące, najpiękniejszy ze wszystkich!

*Persefona:* (poważnie) — Dostojna i mądra matka moja zakazała mi tego. — Nie ulegaj głosowi Erosa — rzekła do mnie, nie zrywaj kwiatów na łące. Jeśli to uczynisz, będziesz najnędniejszą z Nieśmiertelnych!

*Eros:* — Rozumiem. Matka twoja nie chce, abyś знаła tajemnice ziemi i piekieł. Gdybyś odetchnęła zapachem kwiatów łącznych, zostałyby ci one ujawnione.

*Persefona:* — Czy znasz je?

*Eros:* — Wszystkie; mimo to, jak widzisz, młodszym mnie jeszcze to czyni i zwinniejszym. O, córo bogów,



otchłań pełna jest grozy i dreszczów nieznanych niebu; nie rozumie wszakże nieba, kto nie przeszedł przez ziemię i otchłanie piekielne.

*Persefona:* — Czy możesz mi je wytłumaczyć?

*Eros:* — Tak, patrz! (dotyka ziemi ostrzem swojego łuku; wyrasta z niej wielki narcyz).

*Persefona:* — O, jaki kwiat cudowny! Na jego widok drga i rozkwita w sercu mojem wspomnienie boskie. Czasem, uśpiona na szczycie gwiazdy mojej uwielbianej, którą złoci zachód wiekuisty, dostrzegłam po zbudzeniu się, zawieszoną na szkarłacie widnokregu, gwiazdę srebrzystą w perłowym łonie bladego seledynu nieba. Zdało mi się wówczas, że jest ona pochodnią oblubienica nieśmiertennego, zapowiedzią bogów, Djonizosa boskiego. Lecz gwiazda zniżala się, zniżala... i pochodnia gasła w oddali. — Ten kwiat cudowny podobny jest do owej gwiazdy.

*Eros:* — Ja, który przekształcam i wiąże rzecz każdą; ja, który czynię z małego wizerunek wielkiego, z głębiny — zwierciadło nieba; ja, który mieszam niebo z piekłem na ziemi; który wytwarzam wszystkie kształty w głębokim oceanie, sprawiam, że gwiazda twoja odradza się z otchłani w postaci kwiatu, abyś mogła go dotknąć, zerwać i wonią jego się napawać.

*Chór:* — Strzeż się, aby czar ten nie był zasadzką!

*Persefona:* — Jak nazywasz ten kwiat?

*Eros:* — Ludzie nazywają go narcyzem; ja nazywam go Pożądaniem. Spójrz, jak patrzy na ciebie, jak się ku tobie zwraca. Białe jego płatki drżą jak żywe, z jego złotego łona ulatuje aromat, napełniający całą atmosferę upojeniem. Jak tylko zbliżysz kwiat ten do oblicza twojego, ujrzysz, w obrazie olbrzymim i cudownym, potworów otchłani, głębię ziemi i serce ludzi. Nic nie będzie ukrytem przed tobą.

*Persefona*: — O, kwiecie cudowny, co pachniesz upajająco; moje serce drży, palce moje płoną, kiedy dotykam ciebie. Chcę upoić się aromatem twoim, przyłgnać do ciebie ustami, położyć cię na mojem sercu, — chociażbym miała umrzeć przez to!

(Ziemia rozwiera się obok niej. Z czarnej szczeliny zięjącej wylania się powoli do połowy ciała *Pluton* na wozie, zaprzężonym w dwa czarne konie. Chwyta *Persefonę* w chwili, kiedy zrywa ona kwiat i pociąga ją gwałtownie ku sobie. Dziewica wije się napróżno w jego ramionach i wydaje okrzyk głośny. W tej samej chwili wóz zapada się w ziemię i niknie. Odgłos warkotu kół jego zamiera w oddali, jak ryk gromu podziemnego. Nimfy rozpierzchają się z jękiem po lesie. Eros ucieka z głośnym wybuchem śmiechu).

*Głos Persefony*: (pod ziemią)—Matko mojal Ratuju! Matko!

*Hermes*: — O, przyszli adeptci tajników, których życie przyćmiewają jeszcze opary złego życia,—oto dzieje wasze. Zachowajcie w pamięci te słowa *Empedoklesa* i rozważcie je dobrze: płodzenie jest strasliwym niszczeniem, które sprawia, iż żywi przeistaczają się w zmarłych.

Niegdyś żyliście życiem prawdziwym, a potem, pociągnięci mrokiem, wpadliście w przepaść ziemską, pokonani przez ciało, oddani w moc jego. Teraźniejszość wasza snem jest tylko bolesnym. Jedyne, co istnieje prawdziwie — to przeszłość. Nauczcie się przypominać sobie, nauczcie się przewidywać“.

.....

Podczas sceny tej noc zapadła, zapalono więc dookoła małej świątyni, pomiędzy czarnemi cyprysami, pochodnie pogrzebowe; wodzowie oddalili się w milczeniu, a za nimi szły płaczliwe śpiewy hierofantyd, wzywających: *Persefonol Persefonol Małe Misterja były ukończone. Neofici stali się mistami, to znaczy osłoniętymi. Powróćci*



mieli do zwykłych swoich zajęć, ale wielka *zasłona tajemnic* rozpostarła się na ich oczach. Pomiedzy nimi a światem zewnętrznym stanął obłok mglisty. Zarazem też otworzyło się w umyśle ich oko wewnętrzne, którem nie wyrażnie dostrzegali inny świat, pełen form pociągających, poruszających się w otchłaniach, raz olśniewających, to znowu mrocznych. *Wielkie Misterja*, będące dalszym ciągiem małych i zwane także *Świętymi orgjami*, odprawiane były raz na pięć lat, we wrześniu w Eleuzys.

Uroczystości, te, czysto symboliczne, trwały dziewięć dni, ósmego dnia rozdawano mistom godła wtajemniczenia: laskę Merkurego oraz koszyk przetkany gałązkami bluszczu i nazwany cystą. Mieściły się w nim przedmioty tajemnicze, których znajomość miała dawać klucz życia. Koszyk starannie był jednak opieczętowany. Niewolno było go otwierać przed końcem wtajemniczenia, a i wtedy w obecności hierofanty.

Potem oddawano się radości hałaśliwej, biegano z pochodniami, które jeden oddawał drugiemu, wznoszono okrzyki uciechy. Dnia tego niósł orszak specjalny z Aten do Eleuzys posąg Dionizosa, uwieńczony mirtem i zwany Jakchos. Przybycie jego do Eleuzys zapowiadało odrodzenia. Bowiem wyobrażał on ducha boskiego, przenikającego wszystko, odrodziciela dusz, pośrednika pomiędzy ziemią a niebem.

Tym razem wchodzono do świątyni wrotami mistycznymi, aby spędzić w niej noc świętą, czyli noc wtajemniczenia.

Dostawano się naprzód pod obszerny portyk, zawarty w obmurowaniu zewnętrznym. Tam, herold, z okrutnymi pogroźkami i krzykiem: *Eskato Bebeloïl* — precz ztąd, profanil — usuwał intruzów, którym udawało się czasem wślizgnąć po za mur wraz z mistami. Tym ostatnim kazał on przysięgać pod karą śmierci, że nie ujawnią nic

z tego, co zobaczą. W końcu dodawał: — Oto jesteście u podziemnego progu Persefony. Ażeby zrozumieć życie przysze i wasze położenie obecne, przejść należy przez państwo śmierci; to wypróbowanie wtajemniczonych. Należy umieć stawić czoło mrokom, aby korzystać ze światła. — Poczem wkładano na siebie skórę jelonka, symbol udręczenia i rozdarcia duszy, pogrążonej w życie cielesne. gaszono pochodnie i lampy, i wchodzono do podziemnego labiryntu.

Mistowie szli zrazu po omacku w mrokach. Niebawem rozlegały się szmery, jęki i odgłosy groźne. Błyskawice, którym towarzyszyły grzmoty, rozdzierały ciemności. Błysk ich oświetlał zjawy przeraźliwe: potwory, chimery i smoki, czasem człowieka, miażdżonego stopą sfinksa, czasem larwę ludzką. Zjawy te były tak nagłe i przelotne, że nie starczyło czasu, aby zauważyć sztuczne ich wywoływanie, a ciemność zupełna, jaka zalegała po błyskach, podwajała ich grozę. Plutarch porównywa uczucie grozy, jakiem przejmowały te wizje, do stanu człowieka na łożu śmierci.—

Scena najdziwniejsza, granicząca już z magją istotną, odbywała się w krypcie, w której kapłan frygijski, w szacie azjatyckiej w podłużne pasy czerwone i czarne, stał przed miedzianem naczyniem z rozżarzonemi węglami, słabo oświetlającemi salę błyskami swemi przelotnemi. Gestem stanowczym, nieznoszącym oporu, zmuszał wchodzących do zajęcia miejsca przy wejściu i rzucał na palenisko duże garście kadzideł narkotycznych. Wnet wypełniały salę gęste kłęby dymu, w których rozróżnić można było niebawem splecione, kłębiące się, zmienne nieustannie kształty zwierzęce i ludzkie. Czasem były to wielkie węże, wydłużające się w syreny i skłębione w skręty nieskończone; czasem biusty nimf wygięte lubieżnie, z wyciągniętymi ramionami, przeistaczające się w nietoperze;



czarujące głowy młodzieńców z psiemi pyskami. I wszystkie te poczwary, to ładne, to wstrętne, płynne, zwiewne, zwodnicze, nieistotne, równie rychło znikające, jak nagle pojawiające się, wirowały, migotały, falowały zawrotnie, okrążały oczarowanych mistów, jak gdyby chcąc zagrozić im drogę. Czasem kapłan Cybeli wyciągał w środku mgieł krótką laseczkę swoją, a wówczas emanacja woli jego zdawała się nadawać wielokształtnemu kołowrotowi temu ruch wirujący i niepokojącą szybkość. — Idźcie dalej! — wołał Frygijczyk. Mistowie podnosili się i wchodzili w krąg. Wówczas większość ich czuła się muskaną w sposób dziwny; inni doznawali nagłych dotknięć rąk niewidzialnych lub czuli się gwałtownie ciskanymi na ziemię. Niektórzy cofali się przerażeni i wracali skąd przyszli. Najodważniejsi jedynie przechodzili, ponawiając próby kilkakrotnie; bowiem stanowczość i mocna wola najskuteczniej zwalczały czary <sup>1)</sup>. Wówczas śmiałkowie ci wchodzili do wielkiej sali okrągłej, oświetlonej ponurem światłem nielicznych świeczników. Wpółśrodku jedna jedyna kolumna, drzewo z brązu, którego listowie

---

<sup>1)</sup> Wiedza współczesna widziałaby w faktach tych zwykle tylko halucynacje lub sugestję. Nauka starożytnego ezoteryzmu nadała zjawiskom tego rodzaju, wywoływanym często w Misterjach, wartość zarazem przedmiotową i podmiotową. Wierzyła ona w istnienie duchów żywiołowych, pozbawionych zindywidualizowanej duszy i rozumu, nawpół-świadomych, zapelniających atmosferę ziemską i będących poniekąd duszą żywiołów. Maja, która jest wolą, wprowadzoną w czyn w posługiwaniu się siłami tajemnymi, czyni je czasem widzialnymi. O nich to myśli Heraklit, kiedy powiada: — „Natura jest na każdym miejscu pełna demonów“. — Platon nazywa je „demonami żywiołów“; Paracelsus — „żywiołnikami“. Zdaniem tego lekarza-teozofa z szesnastego wieku przyciąga je atmosfera magnetyczna człowieka, elektryzuje i sprawia, że są one zdolne wówczas do przybierania wrzelkich możliwych kształtów. Im więcej człowiek oddany jest na łup namiętności swoich, tembar-

metaliczne rozkłada się po całej powale <sup>1)</sup>. W liście te wbite są, jako inkrustacja: chimery, gorgony, harpie, sowy, sfinksy, wampiry, żywe wizerunki wszystkich kłesk ziemskich, wszystkich demonów, prześladowających człowieka. Potwory te, odtworzone z metali lśniących, owijają się dokoła gałęzi i zdają się z wysoka czyhać na swoją ofiarę. Pod drzewem zasiada na tronie wspaniałym Pluton—Aidoneus w purpurowym płaszczu. Pod płaszczem nebryda; <sup>2)</sup> w rękę ma trójząb, czoło jego zasepione. Obok króla piekieł, którego oblicza nie opromienia nigdy uśmiech, jego małżonka, smukła Persefona. Mistowie rozpoznają ją w rysach hierofantki, która wyobrażała już boginię w małych misterjach. Jest zawsze piękna, piękniejsza może w melancholji swojej, jakże zmieniona jednak w swojej szacie żałobnej z przybraniem z łań srebrnych, w djademie złotym na głowie! To już nie dziewica z grotu; teraz zna ona już życie podziemi i cierpi z jego powodu. Panuje nad potęgami niższemi, jest władczynią królestwa śmierci, obcą wszelako w swoim państwie. Błady uśmiech rozjaśnia twarz jej, na którą pada cień Piekieł. O! w uśmiechu tym jest wiedza Dobrego i Złego, czar niewypowiedziany rzeczy przeżytych, zakłętego w milczenie cierpienia. Ból uczy litości. Uśmiechem współczucia przyjmuje mistów, którzy kłękają i składają

dziej staje się ich ofiarą, nie domyślając się tego nawet. Mag tylko jedynie pokonywuje je i posługuje się nimi, stanowią one wsze ako sferę ulud zwodniczych i obłądnych, które musi on opanować i przez które przejść musi przed wkroczeniem swoim do świata tajemnego. Bulwer nazywa je w ciekawym swoim romansie p. t. „Zanoni” — strażą progu.

<sup>1)</sup> To drzewo snów, wspomniane przez Wirgiljusza przy zstępowaniu Eneusza do Piekieł w VI księdze *Eneidy*, która odtwarza główne sceny misterjów Eleuzyńskich z upiększeniami poetyckimi.

<sup>2)</sup> *Nebryda*—skóra jelenia, noszona zazwyczaj przez bachantki. (Przyp. tłum.).



u stóp jej wieńce z narcyzów. W oczach jej rozpala się na chwilę gasnący wnet płomień utraconej nadziei, dalekiego wspomnienia nieba!

Nagle, w głębi galerji, idącej w górę, rozbłyskują pochodnie i, jak ryk trąb, grzmi głos jakiś: „Pójdźcie, mistowie! Jakchos powrócił! Demeter czeka na córkę swoją. Evohe! Okrzyk ten powtarzają głośnie echa podziemne. Persefona podnosi się na tronie swoim, jak gdyby zbudzona nagle z długiego snu i olśniona, myślą błyskawiczną, woła: „Światło! Matka moja! Jacchos!“ Chce rzucić się, lecz Aïdoneus powstrzymuje ją gestem za kraj szaty; pod jego wpływem opada ona na tron swój jak martwa. Świeczniki gasną nagle i głos jakiś woła: „Umrzeć—to odrodzić się!“.

Lecz mistowie spieszą przez galerję bohaterów i półbogów ku wejściu do podziemi, gdzie oczekuje ich Hermes oraz niosący pochodnie. Zdejmują z nich skóry jelenie, skrapiają ich wodą lustralną<sup>1)</sup>, wkładają na nich świeże szaty Iniane i wprowadzają do rzeźbiście oświetlonej świątyni, gdzie przyjmuje ich hierofanta, arcykapłan eleuzyński, majestatyczny, przybrany w purpurę, starzec.

A teraz oddajemy głos Porfirjuszowi. Oto, co opowiada on o najwyższem wtajemniczeniu eleuzyńskiem:

„Uwieńczeni mirtem, wchodzimy, wraz z resztą wtajemniczonych, do podziemia świątyni, — ślepi jeszcze; lecz hierofanta, znajdujący się w jej wnętrzu, otworzy nam wkrótce oczy. Przedewszystkiem jednak—nie należy bowiem nic czynić pospiesznie—przedewszystkiem, umyjmy się w wodzie świętej. Albowiem żądano od nas, abyśmy weszli do świętego przybytku z rękami czystymi i sercem czystem. Kiedy stajemy przed hierofantą, odczy-

<sup>1)</sup> *Woda lustralna* u starożytnych — woda do omywań. Dzień lustralny — dzień, w którym w starożytności nadawano dziecku imię. (Przyp. tłum.).

tuje on z księgi kamiennej rzeczy, których nie wolno nam rozgłaszać pod karą śmierci. Powiemy też jedynie, że przystosowane one są do miejsca i okoliczności. Wyśmienilibyście je może, gdybyście usłyszeli je po za Świątynią; lecz tutaj nie przychodzi wam wcale na myśl śmiać się, słuchając słów zgrzybiałego starca i patrząc na symbole wyjawione<sup>1)</sup>. I dalecy bardzo jesteście od śmiechu, kiedy Demeter potwierdza, szczególną mową swoją i swojemi znakami, żywemi błyskami światła, obłokami piętrzącemi się na obłoki, wszystko, co widzieliśmy i co usłyszeliśmy z ust świętego jej kapłana. Wówczas nareszcie światło jasnego cudu napelnia Świątynię. Widzimy czyste pola elizejskie; słyszymy chór szczęśliwych; i w chwili tej już nie przez pozór zewnętrzny, czy interpretację filozoficzną, lecz faktycznie i w rzeczywistości staje się hierofanta twórcą (*demiurgos*) i wyjawicielem wszechrzeczy. Słońce jest tylko jego świecznikiem, Księżyc — jego oficjantem przy ołtarzu, a Hermes — jego heroldem mistycznym. Wypowiedziane zostało słowo ostatnie: *Konx Om Pax*<sup>2)</sup>.

Rytuał jest ukończony i jesteśmy Widzącymi (*epoptai*) na wieki. Co mówił więc wielki hierofanta? Jakie były jego słowa święte, owo wyjawienie ostatnie?

<sup>1)</sup> Przedmiotami złotemi, zamkniętymi w koszyku, były: szyszka jodłowa (symbol płodności, rodzenia), skręcony wąż (ewolucja duszy we wszechświecie, zstąpienie w materję i wyzwolenie przez ducha), oraz jajko (przypominające sferę czyli doskonałość boską — cel człowieka).

<sup>2)</sup> Tajemnicze wyrazy te nie mają żadnego znaczenia po grecku. Dowodzi to, że są one bardzo starożytne i że pochodzą ze Wschodu. Wilford przypisuje im pochodzenie sanskryckie. *Konx* ma pochodzić z *Kansha*, co znaczy: przedmiot największego upragnienia; *Om* — od *Oum* — dusza Brahmy i *Pax* — od *Pasha* — wieża, zamiana, cykl. Najwyższe zatem błogosławieństwo hierofanty z Eleuzys miało oznaczać: Niech pragnienia twoje będą spełnione, powróć do duszy wszechświata!



Wtajemniczeni dowiadawali się, że boska Persefona, którą oglądali wpośród grózy i katuszy piekieł, była obrazem duszy boskiej, skutej w życiu doczesnem z materją lub też wydanej w życiu przysłem na łup straszliwszych jeszcze chimery i udręczeń, o ile żyła w niewoli żądź swoich. Jej życie ziemskie jest pokutą lub próbą, zadaną jej za istnienia uprzednie. Lecz dusza oczyścić się może życiem karnem, może wysiłkiem woli, skojarzonej z intuicją, i pracą myśli przypominać sobie i przeczynać; brać naprzód już udział w wielkich prawdach, które osiąść ma całkowicie w zaświatach niezmiernych. Wówczas dopiero stanie się Persefona ponownie czystą, świetlaną, Dziewicą niewypowiedzianą, siewczynią miłości i radości. — Co się zaś tyczy matki jej, Cerery, była ona w misterjach symbolem Intelaktu boskiego i pierwiastka intelektualnego w istocie ludzkiej, z którym dusza musi złączyć się, aby osiągnąć doskonałość.

O ile wierzyć można Platonowi, Proklusowi i wszystkim filozofom aleksandryjskim, doznawać mieli wewnątrz świątyni wybrańcy z pośród wtajemniczonych cudownych wizji ekstatycznych. Przytoczyłem świadectwo Porfirjusza. A oto inne Proklusa: — „We wszystkich wtajemniczeniach i misterjach bogowie (wyraz ten oznacza tutaj wszystkie rodzaje duchów) ujawniają wielorakie postacie własne i ukazują się w znacznej różnorodności kształtów. Czasem jako światło bez formy określonej, czasem jako światło, przybierające kształt ludzki a czasem kształt odmienny<sup>1)</sup>. A tak znów brzmi ustęp z Apuleusza: „Zbliżałem się do pogranicza śmierci i, stanąwszy u progu Prozerpiny, powróciłem ztamtąd, uniesiony po przez wszystkie żywioły (duchy żywiołowe ziemi, wody, powietrza i ognia). O północy ujrzałem słońce, świecące światłem wspañalem,

<sup>1)</sup> Proklus: Komentarz do „Rzeczypospolitej“ Platona.

a równocześnie bogów piekielnych i bóstwa najwyższe i, zbliżając się do bóstw tych, hołd im złożyłem uwielbienia pobożnego“.

Przy całej mglistości tych świadectw zdają się one wszakże dotyczyć zjawisk tajemnych. Wedle doktryny misterjów wizje ekstatyczne w świątyni miały się dokonywać po przez pierwiastek najczystszy: światło duchowe, upodobnione lzydzie niebiańskiej. Wyrocznie Zoroastra nazywają je: Naturą, która przemawia sama przez się, to znaczy pierwiastkiem, przez który Mag daje wyraz bezpośredni i widomy myśli swojej i który służy zarazem za ciało i szatę duszom, tym najpiękniejszym myśлом Boga.

Oto dla czego hierofanta, o ile miał władzę wywoływania tego zjawiska, wprowadzania wtajemniczonych w zetknięcie z duszami bohaterów i bogów (aniołów i archaniołów), upodobniony był w tej chwili Twórcy, Demiurgowi; niosący świecznik—Słońcu, to znaczy światłu nadzmysłowemu; zaś Hermes—słowu boskiemu, które jest jego tłumaczem. Bez względu wszakże na istotę wizji tych starożytność jednomyślna jest w opisach pogodnego nastroju ducha i radosnego uniesienia, jakie wywoływały ostatnie objawienia eleuzyńskie. Uczucie błogości nieznannej, spokoju nadziemskiego spływało w serca wtajemniczonych. Życie zdawało się zwyciężonym, dusza wyzwoloną, groźny cykl istnień spełniony. Wszyscy odnajdywali się z uczuciem jasnej radości i upojenia niewypowiedzianego w czystym eterze duszy wszechświata.

Przeżyliśmy dramat eleuzyński w jego ukrytem znaczeniu najgłębszem. Wskazałem nić przewodnią, przewijającą się po przez ten labirynt, wykazałem wielką jasność, górującą nad jego przepychem i jego skomplikowaniem. Wzwał najwyższej harmonji umiejętniej łączył obrządki różnorodne z dramatem boskim, stanowiącym ośrodek idealny, ognisko świetlne tych uroczystości religijnych. W ten



sposób wtajemniczeni utożsamiali się stopniowo z czynem. Ze zwykłych widzów przedzierzgiwali się w aktorów i poznawali w końcu, że dramat Persefony rozgrywał się w nich samych. Jakąż niespodzianką, jaką radością było dla nich to odkrycie! Jeśli cierpieli, jeśli walczyli wraz z duszą własną w życiu obecnym, mieli, jak ona, nadzieję odzyskania szczęśliwości boskiej, światła wielkiego Intelaktu. Słowa hierofanty, sceny i objawienia świątyni, dawały im przedsmak tego.

Oczywiście, że każdy rozumiał te rzeczy zależnie od stopnia swojej kultury i swoich zdolności umysłowych. Bowiem, jak mówi Platon, i co jest prawdą po wsze czasy, istnieje wielu ludzi, dzierżących laskę Merkurego i pałeczkę czarnoksięską, lecz niewielu wtajemniczonych. Po epoce aleksandryjskiej odbił się na Eleuzynjach w znacznej mierze upadek pogaństwa, lecz ich podkład wzniosły utrzymał się i uratował je od rozprzężenia, jakiemu uległy inne świątynie. Dzięki głębi swojej doktryny świętej, wspaniałości swojej inscenizacji, utrzymały się Misterja przez trzy wieki wobec potężniejącego chrystjanizmu. Schodziły się na nie owe umysły wybitne, które, mimo uznawania bohaterskiego i boskiego charakteru postaci Jezusa, nie chciały — jak to czynił już Kościół ówczesny — zapominać o dawnej nauce i świętej doktrynie. Potrzeba było dopiero edyktu Teodozjusza Wielkiego, nakazującego zrównanie z ziemią świątyni w Eleuzys, aby kres położyć temu kultowi dostojnemu, w którym podobało się czarowi sztuki greckiej ucieleśnić najszczytniejsze doktryny Orfeusza, Pytagorasa i Platona.

Dzisiaj schronisko starożytnej Demetry znikło bez śladu nad cichą zatoką Eleuzyńską, motyl jedynie, godło Psychy, przefruwający wiosną po nad lazurowymi wodami, przypomina, że niegdyś wielka Wygnanka, Dusza ludzka, wzywała tutaj Bogów i poznała wiekiistą ojczyznę swoją.

KSIĘGA ÓSMA  
J E Z U S  
POŚLANNICTWO  
CHRYSZTUSOWE<sup>1)</sup>



1) Studja, dokonywane od stu lat przez krytykę nad życiem Jezusa, są niewątpliwie jednymi z najznaczniejszych w dobie obecnej. Znajdziemy pełny ich przegląd w świetnym streszczeniu, zestawionem przez Sabatier'a (*Dictionnaire des Sciences religieuses* p. Lichtenberger'a, t. VII. Artykuł: Jezus). Piękna ta praca daje cały zarys historyczny kwestji i ściśle określa stan jej obecny.—Przypomnę na tem miejscu dwie główne fazy, przez jakie przeszła ona wraz ze Straussem i Renanem, ażeby lepiej ustalić nowe stanowisko, jakie zajmę w danej sprawie.

*Strauss*, uczeń szkoły filozoficznej Hegla, związany ze szkołą historyczno-krytyczną Bauera, nie przecząc istnieniu Jezusa, usiłował dowieść, że życie jego w tej postaci, w jakiej opowiedziane ono jest w Ewangeliach, jest mitem, legendą, stworzoną przez wyobraźnię ludu na użytek rodzącego się chrześcijaństwa zgodnie z przepowiedniami Starego Testamentu. Jego teza, czysto negatywna, broniona z wielkim rozumem i głęboką erudycją, okazała się słuszną w pewnych szczegółach, absolutnie jednak niepodobną do przyjęcia w całości swym oraz w punktach zasadniczych. Jej wielką też wadą jest, że nie tłumaczy ona ani charakteru Jezusa, ani też powstania chrystjanizmu. Życie Jezusa w koncepcji Straussa jest systemem planetarnym bez słońca. Przyznać mu wszakże należy poważną zasługę przeniesienia zagadnienia z dziedziny teologii dogmatycznej do dziedziny krytyki tekstów i historii.

*Życie Jezusa* w opracowaniu *Renana* zawdzięcza wielką swoją sławę wysokim swoim zaletom estetycznym i literackim, a także śmiałości pisarza, który pierwszy odważył się zrobić z życia Chrystusa zagadnienie psychologii człowieka. Czy rozwiązał je? Po oszalałającym powodzeniu książki zdanie ogólne krytyki poważnej było negatywne. Jezus Renanowski rozpoczyna karierę swoją życiową, jako idealny marzyciel, jako zapalony i naiwny moralista; kończy ją jako cudotwórca gwałciciel, który zatracił poczucie rzeczywistości. Pomimo całego oszczędzania go przez historyka,—mówi Sabatier—jest to kroczenie zdrowego umysłu ku szalowi. Chrystus Renanowski waha się pomiędzy wyrachowaniem człowieka ambitnego i maczycielstwem odbierającego światło boskie „illuminata“. Faktem jest, że staje się on Mesjaszem bez udziału woli swojej i niemal bezwiednie. Pozwala nadawać sobie nazwę tę jedynie, aby uczynić zadość apostołom i życzeniu ogółu. Wiara tak słaba nie mogłaby wystarczyć prorokowi do stworzenia nowej religji i przeistoczenia

duszy świata. Renanowskie życie Jezusa jest systemem planetarnym, oświetlonym przez słabe słońce, pozbawione ożywczego magnetyzmu i twórczego ciepła.

W jaki sposób stał się Jezus Mesjaszem? Oto kwestja główna, zasadnicza w ujęciu postaci Chrystusa. I właśnie przed tą kwestją zawahał się Renan i zboczył. *Teodor Keim* zrozumiał, że należy przystąpić do niej bezpośrednio. (*Das Leben Jesu*, Zurich 1875, 3-cie wyd.). Jego *Życie Jezusa* jest najbardziej godnem uwagi dziełem w tym kierunku ze wszystkich napisanych po Renanie. Przedstawia ono sprawę w pełni światła, jakie można wyciągnąć z tekstów i z historii, pojętych *egzoterycznie*. Zagadnienie to wszakże nie należy do rzędu tych, które można byłoby rozwiązać inaczej, aniżeli intuicyjnie i z wyłączeniem tradycji *ezoterycznej*. W promieniu światła ezoterycznego, pochodni wewnętrznej wszystkich religij prawdy ośrodkowej wszelkiej filozofji płodnej, — usiłowałem odtworzyć życie Jezusa w głównych jego zarysach, uwzględniając całą uprzednią pracę krytyki historycznej, która oczyściła i utorowała grunt. Zbytecznem byłoby chyba określać tutaj, co rozumiem przez punkt widzenia ezoteryczny: syntezę Nauki i Religji. Cała ta książka jest jego rozwinięciem, dodam więc tylko, że, o ile to dotyczy historycznej i względnej wartości Ewangelji, wziąłem za podstawę trzech pierwszych: Mateusza, Marka i Łukasza, zaś Jana za ukryty klucz doktryny ezoterycznej Chrystusa, zupełnie uznając redakcję późniejszą oraz tendencję symboliczną tej Ewangelji.

Cztery Ewangelje, które należy kontrolować i prostować jedno na podstawie drugich, są jednakowo autentyczne. Z różnych wszakże powodów Ewangelje Mateusza i Marka są cennymi Ewangeljami słowa i faktu; mieszczą się w nich czyny i słowa publiczne. Łagodny Łukasz pozwala wyczuwać znaczenie tajników pod osłoną legendy; jest to Ewangelja Duszy, Kobiety i Miłości. Święty Jan odsłania te tajniki. Znajdujemy u niego głęboki podkład doktryny, nauczania tajemnego, znaczenia zapowiedzi, powściągliwości ezoterycznej. Klemens z Aleksandrji, jeden z rzadkich biskupów chrześcijańskich, posiadających klucz ezoteryzmu powszechnego, dobrze ją nazwał Ewangelją Ducha. Jan głębokie ma zrozumienie prawd transcendentnych, objawionych przez Mistraza oraz potężny sposób ujmowania ich. Dlatego też symbolem jego jest Orzeł, którego skrzydło przebija bezmiary i którego oko płomienne je ogarnia.



*„Nie mniemajcie, abym przyszedł  
rozwiązywać Zakon albo proroki, nie  
przyszedłem rozwiązywać, ale wypełnić”.*

*Ew. Św. Mateusza V. 17.<sup>1)</sup>*

*Na świecie był, a świat jest uczy-  
niony przezeń, a świat go nie poznał.*

*Ew. Św. Jana I, 10).*

*Albowiem, jako błyskawica wychodzi  
od Wschodu i idzie aż na Zachód...*

*(Św. Mateusz, XXIV, 27)*

---

<sup>1)</sup> Wszystkie, mieszczące się w księdze Jezusowej, cytaty z Ewangelji podaję podług polskiego wydania Nowego Testamentu w przekładzie ks. J. Wujka, w przepięknym opracowaniu ks. dr. Antoniego Szlagowskiego. Wyd. 2-ie uzupełnione. Warsz. 1913. (Przypłom.)

I  
STAN ŚWIATA PRZY NARODZINACH JEZUSA

**N**a zegarze dziejów wybiła godzina uroczysta; widnokrąg ziemski był ponury i pełen znaków złowieszczych.

Pomimo wysiłków wtajemniczonych doprowadziło wielobóstwo do ruiny cywilizacji w Azji, w Afryce i w Europie. Nie dotyczy to wzniosłej kosmogonji Orfeusza, tak wspaniale opiewanej, zarazem wszakże pomniejszonej już przez Homera. Jedyną winą tego faktu jest trudność, jaką sprawia naturze człowieka utrzymanie się na pewnej wyżynie intelektualnej. Dla wielkich duchów starożytności byli bogowie jedynie tylko wyrazem szierarchizowanych sił natury, żywym odzwierciedleniem wewnętrznego jej ustroju.— W pojęciu ludzkości Bogowie ci żyli niezniśchalni jako symbole sił kosmicznych i duchowych. W świadomości wtajemniczonych nad tą różnorodnością bogów czy sił górował, przenikający je, Bóg najwyższy czyli Duch czysty. Głównym celem świątyni Memfis, Delf i Eleuzys było właśnie pouczanie o jedności Boga, a także wykładanie związanych z nią idei teozoficznych i przepisów moralnych. Usiłowania uczniów Orfeusza, Pytagorasa i Platona nie wydały należytego plonu wobec



egoizmu polityków, drobiazgowości sofistów i namiętności tłumu. Społeczny i polityczny rozkład Grecji był wynikiem rozkładu jej religijnego, moralnego i intelektualnego. Milknie Apollon, słowo słoneczne, objawienie Boga najwyższego i świata nadziemskiego w pięknie, sprawiedliwości i wieszczeniu. Milkną wyrocznie, wygasa ród wtajemniczonych, niema już prawdziwych poetów. Minerwa—Mądrość i Opatrzność okrywa się zasłoną wobec ludu swojego, zamienionego w satyrów, profanującego Misterja, znieważającego mędrców i bogów na widowiskach bachanalji i w farsach Arystofanesowych. Misterja nawet ulegały rozprzężeniu, bowiem na uroczystości eleuzyńskie dopuszczani są sykofanci<sup>1)</sup> i kurtyzany.— W miarę jak dusza grubieje, religja staje się bałwochwalstwem; im więcej materializuje się myśl, tem sceptyczniejszą staje się filozofja. Ztąd widzimy Lucjana, ów mikrob, wylęgły na trupie pogaństwa, wydrwiwającego mity, gdy przed nim jeszcze Karneades<sup>2)</sup>, uznający wszelką wiedzę za niemożliwą, zapoznawał naukowe ich pochodzenie.

Zabobonna w religji, agnostyczna w filozofji, egoistyczna i rozwiązła w polityce, upojona anarchją i nieuniknienie skazaną na tyranję—taką stała się boska Grecja, która przekazała nam wiedzę egipską i misterja azjatyckie w nieśmiertelnych postaciach piękna.

<sup>1)</sup> *Sykofanta* u Ateńczyków dozorca, pilnujący wywozu figi z Afryki i donoszący rządowi o tych, którzy wywozili figi potajemnie. Ztąd w następstwie nazywano sykofantami ludzi, trudniących się donosicielstwem dla zysku. (Przyp. tłom.)

<sup>2)</sup> *Karneades z Cyreny*, żyjący w II w. przed Chr., założyciel t. zw. trzeciej akademji platońskiej, odznaczającej się sceptycyzmem. Uważał on rzeczywiste poznanie za niemożliwe dla celów praktycznych, zastąpił je więc *teorją prawdopodobieństwa* (*pithanotes*), która jest największą jego zasługą w teorji poznania. (Przyp. tłom.)

Jeśli istniał człowiek, który rozumiał, czego brakło światu starożytnemu, który usiłował podnieść go wysiłkiem bohaterstwa i genjuszu, był nim Aleksander Wielki. Legendarny ten zdobywca, wtajemniczony, równie jak ojciec jego, Filip Macedoński, w Misterja Samotrackie, okazał się bardziej jeszcze duchowym synem Orfeusza, aniżeli uczniem Arystotelesa. Niewątpliwie ten Achilles Macedoński, który rzucił się z garstką Greków po przez Azję aż do Indji, marzył o podboju całego świata, nie tak wszakże jak Cezarowie, przez ucisk ludu, podeptanie religji i zdławienie wolnej nauki. Wielką ideą jego było pojednanie Azji z Europą przez syntezę religji, opartą na autorytecie wiedzy. Powodowany myślą tą, hołd składał zarówno wiedzy Arystotelesowej, jak Minerwie ateńskiej, Jehowie jerozolimskiemu, Ozyrysowi egipskiemu i Brahmie indyjskiemu, uznając, jako prawdziwy wtajemniczony, to samo bóstwo i tę samą mądrość w różnych tych symbolach. Szeroki pogląd, wspaniałe wieszczczenie nowego tego Dionizosa! Miecz Aleksandra był ostatnim błyskiem Grecji Orfeuszowej. Rozświetlił on Wschód i Zachód. Syn Filipa umarł, upojony sławą i rojeniem swoim, pozostawiając szmaty swojego państwa chciwym wodzom. Myśl jego nie umarła wszakże wraz z nim. Założył on Aleksandrę, w której filozofja Wschodu: judaizm i hellenizm, stopić się miały w tygiu ezoteryzmu egipskiego w oczekiwaniu Chrystusowych słów wskrzesielskich.

W miarę jak bliźniacze gwiazdy Grecji: Apollon i Minerva, blednąc, spadały coraz niżej, oglądać mogły ludy wznoszący się na wyżyny burzliwego nieba znak groźny: wilczycę rzymską.

Jaki jest początek Rzymu? Sprzysiężenie chciwej oligarchji w imię siły brutalnej, gnębienie Intelaktu, Religji, Nauki i Sztuki przez władców politycznych, zaliczanych w poczet bogów, innemi słowy przeciwieństwo



prawdy, głoszącej, iż rządy wyprowadzają prawo swoje z najwyższych zasad Nauki, Sprawiedliwości i Ekonomji <sup>1)</sup>.

Cała historia Rzymu jest jedynie konsekwencją niecnego układu, mocą którego senatorowie rzymscy, *patries conscripti*, wypowiedzieli wojnę nasamprzód Italji, a potem rodzajowi ludzkiemu. Dobry obrali sobie symbolł Spizowa wilczyca, jeżąca płową szerść demona, który opanuje do końca duszę rzymską.

W Grecji szanowano przynajmniej świątynię w Delfach i w Eluczys. W Rzymie—odtrącono od początku Naukę i Sztukę. Próba mędrca Numa, wtajemniczonego etruskiego, nie powiodła się wobec podejrzliwej ambicji Senatów. Sprowadził on księgi sybillińskie, zawierające część nauki Hermesowej. Stworzył instytucję sędziów-rozjemców, obieranych przez naród; rozdał ludowi ziemię; wznosił świątynie Dobrej Wiary i Janusa; hierogram, oznaczający powszechność Prawa; poddał prawo wojny decyzji Fecjalów, to znaczy kapłanów specjalnych do obrządków, związanych z wypowiedzeniem wojny lub zawarciem pokoju. Król Numa, którego pamięć narodu nie przestała wielbić, uważając go za natchnionego genjuszem boskim, jest więc niejako dziejowem wdaniem się nauki świętej w sprawę rządzenia. Nie jest on przedstawicielem genjuszu rzymskiego, lecz genjuszu wtajemniczenia etruskiego, opierającego się na tych samych zasadach, co szkoła w Memfisie i Delfach.

Po śmierci Numa spalił senat rzymski księgi sybillińskie, odebrał władzę kapłanom-flaminom, obalił insty-

<sup>1)</sup> To stanowisko ideowe, biegunowo przeciwne szkole empirycznej Arystotelesa i Monteskjusza, było stanowiskiem wtajemniczonych kapłanów egipskich, jak również Mojżesza i Pytagorasa. Uwypuklił to z wielką siłą Saint Yves we wzmiankowanej już tutaj pracy swojej: *Posłannictwo żydów* „(La mission de Juifs)”. Patrz godny uwagi rozdział o założeniu Rzymu.

tucje rozjemcze i powrócił do dawnego swojego systemu, w którym religja była jedynie narzędziem władzy politycznej. Rzym stał się hydrą, która pochłoneła narody wraz z ich Bogami. Ludy ziemi zostały stopniowo pokonane i odarte ze wszystkiego. Więzienie mamertyńskie wypełniło się królami północy i południa. Rzym, który chciał mieć w kapłanach swoich jedynie niewolników i szalbierzy, wyrzyna w Galji, w Egipcie, w Judei i w Persji ostatnich przechowywaczy tradycji ezoterycznej. Udaje wielbienie Bogów, w rzeczywistości wszakże wielbi jedynie lwicę swoją. I oto, w glorii krwawej staje przed ludami ostatni potomek lwicy tej, streszczający w sobie cały geniusz Rzymu: Cezar! Rzym pochłoniął wszystkie narody; Cezar, jego wcielenie, pochłoniął całą władzę. Cezar nie tylko dążył do stania się imperatorem narodów; łącząc na głowie swojej tjarę z koroną, kazał się obwołać arcykapłanem. Po bitwie pod Thapsus, która zakończyła wojnę afrykańską, uchwała mu lud apoteozę bohatera; po bitwie pod Munda—apoteozę boską; potem ustawił posąg jego w świątyni Kwirynusa, przydzielając doń cały zastęp obsługujących go kapłanów, zwanych od jego imienia: kapłanami Juljańskimi. Dziwną ironją losu i niezbadaną logiką rzeczy ten sam Cezar, który ogłasza się Bogiem, przeczy wobec zgromadzonego w pełni senatu, nieśmiertelności duszy.—Czy można powiedzieć wyraźniej, że niema już innego Boga po nad Cezarem!

Rzym Cezarów, spadkobierca Babilonu, wyciąga ramię na podbój świata całego. — Czem się więc stało Państwo Rzymskie? Państwo Rzymskie niszczy na zewnątrz wszelkie życie zbiorowe. Dyktatura wojskowa w Italji; łupiestwo wielkorządców i poborców w prowincjach.— Rzym zdobywcy legł jak wampir na trupie społeczności starożytnych.



Teraz już orgja rzymska może z całą swobodą w dzień biały rozpasać swoją bachanalję występków i swój pochód zbrodni. Rozpoczyna je lubieżne spotkanie Marka Antonjusza z Kleopatrą; skończy — rozpusta Messaliny i szal Nerona. Pierwszym występem politycznym orgji rzymskiej jest rozwiąże publiczne sparodjowanie misterjów; ostatnim — będzie puszczanie w cyrku dzikich bestji na nagie dziewice, męczennice wiary, przy wtórze szalonych oklasków dwudziestotysięcznego tłumu wldzów.

Wszelako, wśród narodów pokonanych przez Rzym był jeden, który nadał sobie miano ludu Bożego i którego genjusz był przeciwieństwem genjusu rzymskiego. Jak stać się mogło, że Izrael, zżarty przez swoje walki wewnętrzne, zdławiony trzema wiekami niewoli, zachował wiarę swoją nieugiętą? Jaka mocą natchniony — wobec upadku Grecji, wpośród orgji Rzymu — staje naród ten, jako prorok, z głową nakrytą worem popiołu i oczami, ciskającemi płomień gniewu strasliwego? Co daje mu śmiałość przepowiadania upadku władców, których stopa miażdżyła mu gardło, i mówienia o niezrozumiałem jakimś zwycięstwie ostatecznem w chwili, kiedy on sam staczał się w przepaść ruiny nieuchronnej? Oto żyła w nim idea wielka. Wpoił mu ją Mojżesz. Za Jozuego, syna Numów, na którego nałożył Mojżesz dłonie swoje, wzniosło dwanaście pokoleń kamień ku pamięci wiecznej z napisem: „Jest to świadectwo pomiędzy nami a Jewem, że Jewe jest Bogiem jedynym“.—

W jaki sposób i dla czego prawodawca izraelski uczynił z jednobóstwa kamień węgielny nauki swojej, prawa społecznego oraz powszechnej idei religijnej, widzieliśmy to w księdze Mojżesza. Genjalny umysł jego zrozumiał, że od zwycięstwa idei tej zależy przyszłość ludzkości. Dla utrzymania jej napisał Księgę hieroglificzną; zbudował Arkę złotą; z koczowniczej kurzawy pustyni

powołał do życia naród wybrany. Na tych świadków idei duchowej spuścił Mojżesz ogień z nieba i kazał nad głowami ich ryczeć gromom. Sprzysięgli się przeciwko nim nie tylko Moabitowie, Filistyni, Amalekitowie, wszystkie ludy Palestyny, lecz także żądze i słabości samego narodu żydowskiego. Kapłani przestali rozumieć Księgę Zakonu; nieprzyjaciele zabrali Arkę, a lud setki razy zdawał się puszczać posłannictwo swoje w niepamięć. Czemu więc przypisać, że mimo wszystko pozostał mu wiernym? Dlaczego idea Mojżesza pozostała wryta zgłoskami ognistymi na czole i w sercu Izraela? Komu i czemu zawdzięcza on wyjątkową tę wytrwałość, tę wierność, impo-nującą po przez zmienne koleje historii burzliwej i pełnej katastrof; wierność która nadaje Izraelowi jedyną i wyłączną fizjonomję jego w pośród narodów? Śmiało odpowiedzieć można: prorokom oraz instytucji wieszczenia. Ścisłe biorąc, sięga jej tradycja ustna czasów Mojżesza. Naród Hebrajski miał swoich *Nabi* we wszystkich okresach dziejów swoich aż do rozproszenia. W postaci organicznej wszelako występuje instytucja wieszczenia po raz pierwszy za proroka Samuela, założyciela bractw *Nebim*, owych szkół proroków, wobec powstającej monarchji i zwyrodniałego już kapłaństwa. Z bractw tych uczynił on nowe strażnice tradycji ezoterycznej i powszechnej myśli religijnej, stawiające czoło królom, jako przedstawicielom idei politycznej i celów narodowych. Bractwa te przechowywały istotnie resztki nauki Mojżesza, muzykę świętą, lecznictwo tajemne i wreszcie sztukę wieszczbiarską, którą wielcy prorocy rozwinęli z potęgą i podniosłością nadzwyczajną, ze zdumiewajacem zaparciem się i oddaniem.

Wieszczbiarstwo istniało w najrozmaitszych postaciach, posługując się najróżniejszymi środkami, u wszystkich ludów starożytności. Rozciągłość wszakże, wznio-



słość i powaga, jaką ma sztuka prorocza w Izraelu, stawiają ją na wysokim poziomie intelektualnym i duchowym, na jakim idea jednobóstwa utrzymuje duszę ludzką. Wieszcziarstwo proroka, przedstawiane przez teologów jako bezpośrednie przestawanie z Bogiem osobowym, negowane przez filozofję naturalistyczną jako czysty zabobon, jest w rzeczywistości wyższym przejawem powszechnych praw Ducha.

„Prawdy ogólne, rządzące światem — mówi Ewald <sup>1)</sup> w pięknej książce swojej o prorokach — innemi słowy *myśli Boże* — są niezienne i nietykalne, zupełnie niezależne od zmienności rzeczy, od woli i czynów ludzkich. Człowiek powołany był pierwotnie do uczestniczenia w nich, do rozumienia i przeistaczania ich w czyny. Ta właśnie drogą ziszcza on właściwe, istotne swoje powołanie. Ażeby jednak słowo Ducha przeniknąć mogło w człowieka cielesnego, musi człowiek ten być wstrząśnięty do głębi wielkimi przełomami dziejów. Wówczas prawda wiekuista wytryskuje z nich niby snop światła. Dla tego właśnie tak często powtarza się w Starym Testamencie, że *Jewe jest Bogiem żywym*. Na głos wezwania boskiego budzi się w człowieku nowe życie, w którym nie czuje on się już samotnym, bowiem pozostaje w łączności z Bogiem i z wszystkimi jego prawdami i w którym gotów jest kroczyć od jednej prawdy do drugiej aż do nieskończoności. W nowem tem życiu myśl jego utożsamia się z wolą powszechną. Jasno zdaje sobie sprawę z terażniejszości i zupełną ma wiarę w ostateczne zwycięstwo idei boskiej. Człowiek, który takich doświadcza uczuć, jest prorokiem, to znaczy, że czuje nieprzepartry pociąg do objawienia się innym w roli przedstawiciela Boga. *Myśl jego staje się widzeniem*, i ta siła wyż-

<sup>1)</sup> Ewald. *Die Propheten* (Prorocy). — Wstęp.

sza, za której sprawą prawda tryska z duszy jego, łamiąc ją czasem, stanowi pierwiastek proroczy. „*Objawienia prorocze były w historii ciosami gromu i piorunowemi błyskami prawdy*“.

Takiem jest źródło, z którego ci tytani ducha, zwani Eljaszami, Izajaszami, Ezechjelami czy Jeremjaszami, czerpali siłę swoją. W głębi pieczar czy w pałacach królewskich byli oni prawdziwą strażą Wiekuistego i, jak mówi Elizeusz do mistrza swojego, Eljasza, „rydwanami i rycerzami Izraela“. Często przepowiadają oni ze zdumiewającym jasnowidzeniem upadek państw, klęski Izraela. Czasem też myślą się. Jakkolwiek zażgnięta u słońca prawdy boskiej, waha się czasem, chwieje i przyćmiewa w ich rękach pochodnia prorocza, gdy padnie na nią tchnienie namiętności narodowych. Nigdy wszakże nie zdołają one zmącić ich poczucia prawd moralnych, ich zrozumienia właściwego posłannictwa Izraela, ich wiary w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości na ziemi.

Jako prawdziwi wtajemniczeni głoszą oni pogardę dla zewnętrznej strony kultu, konieczność zniesienia krwawych ofiar, oczyszczenia duszy i uprawiania miłosierdzia. Wizje ich najczarowniejsze są zwłaszcza, kiedy dotyczą ostatecznego zwycięstwa idei, jako siły wyzwalającej ludzkość, darzącej wszystkie narody błogosławieństwem pokoju. Nic nie jest w stanie osłabić ani zachwiać tej wiary; największe klęski nawet, jakie dotknąć mogą naród, najście wroga i masowe wygnanie do Babilonu. Słuchajcie, co mówi Izajasz, podczas najścia Sennacheriba: „Cóżbym Ja, który otwieram żywot, rodzić Sjonu nie miał? — mówi Pan. Cóżbym Ja, który to czynię, że rodzą, zawartym był? mówi Bóg twój...“

— Weselcie się z Jeruzalemem, a radujcie się w niem wszyscy, którzy go miłujecie. Weselcie się z niem wielce, wszyscy, którzyściekolwiek płakali nad niem... Bo tak mówi



Pan: Oto, Ja obrócę na nie pokój, jako rzekę, a sławę narodów, jako strumień zalewający, i będziecie ssać; na rękę noszeni, i na kolanach rokosznie piastowani będziecie. —

— Jako ten, którego cieszy matka jego, tak Ja was cieszyć będę; a tak w Jeruzalemie uciechy miewać będziecie.

— Ujrzycie zaiste, a radować się będzie serce wasze, a kości wasze jako trawa zakwitną. I poznana będzie ręka Pańska przy sługach jego; ale się gniewem zapali przeciwko nieprzyjaciolom swoim.

— Albowiem Ja znam sprawy ich i myśli ich, i przyjdzie ten czas, że zgromadzę wszystkie narody i języki, i przyjdą a oglądają chwałę moją<sup>1)</sup>.

Dzisiaj dopiero, wobec grobu Chrystusa, wizja ta zaczyna się urzeczywistniać; któż mógłby wszakże przeczyć jej prawdziwej proroczej, myśląc o roli Izraela w dziejach ludzkości?

Niemniej niewzruszoną, aniżeli ta wiara w przyszlą chwałę Jerozolimy, w jej wielkość moralną, w znaczenie wszechświatowe jej religii, jest wiara proroków w Zbawiciela czyli Mesjasza. Wszyscy mówią o tem; nieporównany Izajasz jest tym, który widzi to najwyraźniej, opisuje z największą siłą śmiałym swoim językiem:

„Aie wynijdzie różdżka ze pnia Izajego, a latorostka z jego korzenia wyrośnie.

— I odpocznie na nim Duch Pański, Duch mądrości i rozumu, Duch rady i mocy, Duch umiejętności i bojaźni Pańskiej.

— I będzie czułym w bojaźni Pańskiej, nie będzie według widzenia oczu swoich sądził, ani według słyszenia uszu swoich karał.

<sup>1)</sup> Izajasz LXLI,9—18. Przekład polski: Biblia Święta. Wyd. Trowicza i S-na, Berlin — 1861).

— Ale będzie ubogie sądził w sprawiedliwości, a w prawości będzie karał ciche na ziemi. I uderzy ziemię różgą ust swoich, a duchem warg swoich zabije niezbożnika<sup>1)</sup>.

Wizja ta uspakaja i rozjaśnia posępną duszę proroka, jak rozjaśnia się niebo burzliwe przy drzeniu arfy niebiańskiej, i znikają wszystkie jej burze. Teraz już bowiem przed okiem jego duszy zarysowuje się na prawdę obraz Galilejczyka: „Bo wyrósł jako latorostka z ziemi suchej, nie mając kształtu ani piękności.

— Najwzgardziwszy był i ostatni z ludzi, mąż boleści...

— Zaiste on niemocy nasze wziął na się, a boleści nasze własne nosił, a myśmy mniemali, że jest zraniony, ubity od Boga i utrapiony.

— Lecz on zraniony jest dla występków naszych, starty jest dla nieprawości naszych; kaźń pokoju naszego jest na nim, a sinością jego jesteśmy uzdrowieni...

— Uciśniony jest i utrapiony, a nie otworzył ust swoich i jako baranek na zabicie wiedziony był, i, jako owca przed tymi, którzy ją strzygą, oniemiał i nie otworzył ust swoich<sup>2)</sup>.

Przez osiem wieków, po nad niezgodą i klęskami narodowemi, unosił grzmiący głos proroków ideę i obraz Mesjasza, raz jako mściciela straszliwego, to znów jako anioła miłosierdzia. Idea mesjaniczna, spłodzona pod wpływem tyranji assyryjskiej, zrodzona w niewoli babilońskiej, wzrosła i spotężniała pod panowaniem Seleucydów i Machabeuszów. Za rządów rzymskich i za panowania Heroda żyje już Mesjasz w świadomości wszystkich. Wielcy prorocy widzieli go w postaci męża spra-

<sup>1)</sup> Izajasz. XI,1—5. (Ten sam przekład polski).

<sup>2)</sup> Izajasz. LIII,2—8.



wiedliwego, męczennika, prawdziwego syna Bożego; lud, wierny idei judaistycznej, wyobrażał go sobie jako Dawida, Salomona lub też jako nowego Machabeusza. Bez względu wszakże na to, kim i jakim miał być ów wskrzesiciel sławy Izraela, wierzyli w niego wszyscy, oczekiwali go i wzywali.

Taką jest siła czynu proroczego.

Widzimy więc, że jak dzieje Rzymu doprowadziły nieuniknienie, drogą instynktowną i logiką piekielną Losu — do Cezara; tak samo prowadzi historia ludu Izraelskiego, drogą świadomą i boską logiką Opatrzności, objawioną w jej widomych przedstawicielach: prorokach, — do Chrystusa. Zło jest z konieczności skazane na przeczenie samemu sobie i na zniweczenie samego siebie, ponieważ jest Fałszem; Dobro natomiast, bez względu na wszelkie przeszkody — rodzi w przebiegu czasów światło i harmonję, ponieważ jest płodnością Prawdy. — Zwycięstwa i tryumfy były dla Rzymu źródłem cezaryzmu; z klęsk swoich i upadku zrodził Izrael Mesjasza, stwierdzając słuszność pięknych słów poety: „Z własnego swojego rozbicia stwarza Nadzieję rzecz, którą głęboko przemyślała“. Niewyraźny jakiś stan oczekiwania zawisł nad narodami. Znękana nadmiarem cierpień, przeczuwała ludzkość cała zbawcę. Od wieków już śniła mitologia o boskiem dziecięciu. Świątynie mówiły o niem tajemniczo, astrologowie obrachowywali możliwy czas jego przyjścia, sybille w majaczeniach swoich okrzykiwały upadek bogów pogańskich. Wtajemniczeni wieścili nadejście dnia, w którym rządzić będzie światem jeden z nich, przez syna Bożego<sup>1)</sup>. Ziemia czekała na Króla-Ducha, którego mogliby zrozumieć maluczcy, prostaczkowie i biedacy.

<sup>1)</sup> Takim jest znaczenie ezoteryczne pięknej legendy o królach-magach, którzy z głębi Wschodu przybyli hołd złożyć dziecięciu z Bethleem.

Wielki Ajschylos, syn kapłana z Eleuzys, omal nie został zamordowany przez Ateńczyków, ponieważ ośmielił się wygłosić ze sceny, ustami swojego Prometeusza, że skończy się panowanie Jupitera-Losu. — W cztery wieki później, w cieniu tronu Augusta, zapowiada słodki Wirgiljusz nadejście nowej ery i marzy o cudownym dziecięciu:

„Wiek już nastaje ostatni: Sybilla wieści go z Cumae:  
Wielki powraca porządek wieków, co już przeminęły;  
Wraca już znowu Dziewica, a z nią Królestwo Saturna;  
Z niebios wyżyny już rasa nowa zstępuje ludzkości. —  
Dziecię, którego zrodzenie okres żelazny usunie  
I wiek znów złoty sprowadzi na świecie całym szerokim,  
Przyjąć pod twoją opiekę rącz, o Lucyno przeczysta.  
Brat twój Apollo panuje. — Patrz, jak na osi zachwianej  
Świat się już cały kołysze; niebios sklepienie głębokie,  
Cała natura: i ziemia i morza szlaki przepastne  
Drga zapowiedzią tych wieków, co nadejść mają niebawem!” 1).

To dziecię oczekiwane gdzie się narodzi? Z jakiego świata boskiego przyjdzie ta dusza? Na jakim promieniu miłości zstąpi ona na ziemię? Jakiem niepokalaniem cudownem, jaką energją nadludzką przypomnić zdoła sobie niebo, które opuściła? Jakim wysiłkiem bardziej jeszcze olbrzymim potrafi wzlecieć znów na nie z głębi świadomości swojej ziemskiej i pociągnąć za sobą ludzkość całą?

1) Ultima Cumaei venit jam carminis aetas:  
Magnus ab integro saeculorum nascitur ordo.  
Jam redit et Virgo, redeunt Saturnia regna:  
Jam nova progenies caelo demittitur alto.  
Tu modo nascenti puero, quo ferrea primum  
Desinet, ac toto surget gens aurea mundo,  
Casta, fave, Lucina; tuus jam regnat Apollo.  
...Aspice convexo nutantem pondere mundum,  
Terrasque, tractusque maris, coelumque profundum;  
Aspice venturo laetantur ut omnia saeclo.

(*Wirgiljusz, Sicilanka, IV*).



Nikt nie mógłby odpowiedzieć na te pytania; mimo o czekano na niego. — Wielki Herod, uzurpator idumejski, popierany przez Cezara Augusta, konał wówczas w swoim zamku Cypros w Jerycho po pełnem przepychu i rozlewu krwi panowaniu, które zaludniło Judeę pałacami wspaniałemi i pokryło ją hekatombami ludzkiemi. Konał na straszliwą chorobę, na rozkład krwi, zniechędzony przez wszystkich, toczony wściekłością i wyrzutami sumienia, dręczony zjawami niezliczonych ofiar swoich, z niewinną żoną jego, szlachetną Marjanną, z rodu Machabeuszów oraz trzema własnymi jego synami na czele. Siedem kobiet z haremu uciekło przed zmorą królewską, która, choć żyła jeszcze, trąciła już pleśnią grobu. Opuściły go nawet jego strażę. Obok konającego czuwała, nieporuszona, siostra jego, Salome, zły duch jego, podżegaczka do zbrodni najczarniejszych. Z djademem na czole, z gorsem skrzącym się brylantami, w dumnej postawie czatowała na ostatnie tchnienie króla, aby chwycić z kolei ster rządów.

Tak umarł ostatni król Żydowski. W tej samej też chwili narodził się przyszły duchowy władca ludzkości <sup>1)</sup>. Nieliczni wtajemniczeni Izraela przygotowywali przyjście królestwa jego w głębokiej ciszy, pokorze i mrokach.

---

<sup>1)</sup> Herod umarł w roku 4-ym przed naszą erą. Obliczenia krytyki historycznej jednoznacznie są na ogół co do przesunięcia na ten czas daty narodzin Jezusa. Patrz *Keim* „Das Leben Jesu” (Życie Jezusa).

## II

## MARJA. PIERWSZE LATA ROZWOJU JEZUSA

Jehoszua, którego nazywamy Jezusem z jego zheleinizowanego imienia *Jesous*, urodził się prawdopodobnie w Nazareth<sup>1)</sup>. Niewątpliwie w tym właśnie głuchym zaćmieniu Galilei upłynęło jego dzieciństwo i spełnił się pierwszy, największy z tajników chrześcijańskich: zbudzenie się duszy Chrystusa. Był on synem Mirjam, którą zwiemy Marją, żoną cieśli Józefa, Galilejki szlachetnego rodu, przyjętego do stowarzyszenia Esseńczyków.

Legenda osnuła narodziny Jezusa przedziwem cudów. Cechą jest jej charakterystyczną, jak każdej zresztą legendy, że, torując drogę niejednemu zabobonowi, kryje w sobie niejedną też prawdę duchową mało znaną, bowiem przekraczającą możność pospolitego pojmowania. Dzieje legendarne Marji uwypuklają fakt, że pragnieniem matki było, aby, dziecię Jezus poświęcone zostało, jeszcze

<sup>1)</sup> nie byłoby bynajmniej niemożliwością, aby Jezus urodził się przypadkowo w Bethleem. Tradycja ta wszakże zdaje się wchodzić w skład cyklu legend późniejszych o świętej rodzinie i dzieciństwie Chrystusa.



przed narodzinami swojemi, posłannictwu proroka. To samo mówią dzieje o niektórych bohaterach i prorokach Starożytności. Synowie ci, poświęceni przez matki swoje Bogu, nazywali się *Nazarejczykami*. Ciekawe są z tego względu do odczytania dzieje Samsona i Samuela. Anioł oznajmia matce Samsona, że „pocznie i urodzi syna“, na którego „głowie nie postoi brzytwa, bo Nazarejczykiem Bożym będzie to dziecko zaraz z żywota; a on pocznie wybawiać Izraela z ręki Filistynów“<sup>1)</sup>. — Matka Samuela sama prosiła Boga o dziecko swoje: „Anna, żona Elkana, była bezpłodną. Uczyniła ona ślub, i rzekła: „Panie zastępów, jeśliś wejrzawszy wejrzyysz na utrapienie służebnicy Twojej i dasz służebnicy Twej potomstwo męskiej płci, tedy je dam Panu po wszystkie dni żywota jego, a brzytwa nie postoi na głowie jego“<sup>2)</sup>... *Tedy poznał Elkana Annę, żonę swą...* I stało się po wypełnieniu dni jako poczęła Anna, że porodziła syna i nazwała imię jego Samuel, bo rzekła: „u Panami go uprosiła“. Otóż S-A-M-U-E-L oznacza podług pierwotnego źródła semickiego: *Świętość wewnętrzna Boga*. Matka, czując się jak gdyby oświeconą przez tego, którego nosiła w swoim łonie, uważała go za „*eterową treść Pana*“.

Ustępy te są niezmiernie doniosłe, ponieważ pozwalają nam przeniknąć do tradycji ezoterycznej, stale żywej w Izraelu, a przez nią do istotnego znaczenia legendy chrześcijańskiej. Elkana, mąż, jest właściwym ojcem ziemskim Samuela z ciała, Wiekuisty wszelako jest niebieskim Ojcem jego z Ducha. Symboliczny język monoteizmu judejskiego przysłał tutaj doktrynę uprzedniego istnienia duszy. Kobieta wtajemniczona wzywa duszę wyższą, pragnąc przyjąć ją do swojego łona i wydać na

1) Księga Sędziów, XIII, 3-5.

2) " Samuela, ks. I, rozdz. 1, 11-20.

świat proroka. Doktryna ta, mocno posłonięta u Żydów zupełnie wykluczona z ich kultu oficjalnego, wchodziła w skład ukrytej tradycji wtajemniczonych. Ślady jej widoczne są u proroków. Jeremjasz stwierdza ją w tych słowach: „Stało się do mnie słowo Pańskie, mówiąc: „*Pierwej, aniżeliśm cię utworzył w żywocie matki twojej, znałem cię,* a pierwej, aniżeliś wyszedł z żywota jej, poświęciłem cię, za proroka narodom dałem cię<sup>1)</sup>. Podobnie też rzeknie Jezus Faryzeuszom zgorzonym: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Pierwej niż Abraham się stał, jam jest“<sup>2)</sup>.

Co z wszystkiego tego wynika dla Marji, matki Jezusa? Zdaje się, że Jezus uważany był przez pierwsze gminy chrześcijańskie za syna Marji i Józefa, bowiem Mateusz daje nam drzewo genealogiczne Józefa, ażeby dowieść, że Jezus pochodzi od Dawida. Gminy te, zarówno jak u kilku sekt gnostycznych, widziały w Jezusie syna, którego dał Wiekuisty w tem samym znaczeniu, co Samuela. W następstwie snuć będzie legenda, usiłująca wykazać nadnaturalne pochodzenie Chrystusa, swoją zasłonę ze złota i lazuru: historję Józefa i Marji, Zwiastowanie i nawet dziecięstwo Marji w świątyni<sup>3)</sup>.

Gdybyśmy usiłowali wyłuskać znaczenie ezoteryczne z tradycji żydowskiej i z legendy chrześcijańskiej, powiedzielibyśmy: działalność Opatrznościowa, lub mówiąc jaśniej, wpływ świata duchowego, współdziałającego przy narodzinach każdego człowieka, bez względu na to, kim on jest, potężnieje i staje się wyraźniejszym przy narodzinach genjuszów, których pojawienia się nie tłumaczy bynaj-

1) Jeremjasz, I-4.

2) Ewang. Jana VIII, 58.

3) Ewangelja apokryficzna Marji i dziecięstwa Zbawiciela, opublikowana przez Tiszendorfa.



mniej samo prawo atawizmu fizycznego. Wpływ ten dochodzi do szczytu potęgi swojej, o ile idzie o jednego z boskich proroków, których przeznaczeniem jest przekształcić oblicze świata. Dusza wybrana, mająca spełnić posłannictwo boskie, przychodzi ze świata boskiego; przychodzi dobrowolnie i świadomie; ażeby jednak wystąpić mogła na widownię życia ziemskiego, musi istnieć naczynie wybrane, wezwanie matki wyjątkowo doskonałej, która jestestwem swoim moralnym, pragnieniem duszy i czystością życia przeczuwa, przyciąga i wciela w krew swoją i w ciało swoje duszę Odkupiciela, mającego stać się w oczach świata synem Bożym. —

Taką jest prawda głęboka, kryjąca się pod osłoną odwiecznej idei Dziewicy-Matki. Genjusz hinduski wyraził ją już w legendzie o Krysznie. Ewangelje Mateusza i Łukasza oddały ją z czarowniejszą jeszcze prostotą i poezją.

„Dla duszy, przybywającej z nieba, narodziny są śmiercią“ — powiedział Empedokles na pięćset lat przed narodzinami Chrystusa. Bowiem, bez względu na boskość swoją, duch, wchłonięty przez ciało, zatracą chwilowo pamięć całej swojej przeszłości. Pochwycony przez splątane tryby życia cielesnego, podporządkować musi rozwój swojej świadomości ziemskiej prawom świata, w który się wciela. Staje się ofiarą rozpełanej siły żywiołów. Im wyższem było jego pochodzenie, tem większego będzie musiał dokonać wysiłku dla odzyskania uśpionych władz swoich, przyrodzenia swojego niebiańskiego i uświadomienia sobie swojego posłannictwa.

Duszom głębokim i tkliwym potrzeba do rozkwitu milczenia i spokoju. Jezus wzrastał w ciszy Galilei. Jego pierwsze wrażenia były słodkie, pełne powagi i pogody. Dolina ojczysta podobna była do zakątka nieba, ukrytego wśród osłony gór. Osada Nazareth nie zmieniła wcale

wyglądu swojego w przebiegu wieków<sup>1)</sup>. Domy jej, spiętrzone na zboczu skały, przypominają — zdaniem podróżników — sześciany białe, rozsiane pośród lasu drzew granatowych, figowych i łoż winnych, nad którymi przefruwają wielkie chmary gołębi. Tę ustron, pełną świeżości i zieleni, owiewa czyste, rzeźwiące powietrze górskie; z wyżyn otwiera się wolny, jasny widnokrąg Galilei. Dodajmy do tych ram wspaniałych środowisko rodziny pobożnej i patryjchalnej. Siła wychowania żydowskiego polegała po wsze czasy na jedności prawa i wiary, jak również na potężnej organizacji rodziny, podporządkowanej idei narodowej i religijnej. Dom rodzicielski był dla dziecka rodzajem świątyni. Zamiast wesołych fresków z wyobrażeniami faunów i nimf, zdobiących atrjum domów greckich, jakie widzieć można było w Seforis i w Tyberjadzie, spoczywało oko w domach żydowskich jedynie na wyjątkach z ksiąg zakonu i proroków, których sztywne wstęgi sterczały po nad drzwiami i na ścianach, wypisane głoskami chaldejskimi. Scisle wszakże zespolenie się ojca i matki w miłości dla dzieci ogrzewało i rozświetlało nagość tego wnętrza życiem czysto duchowem. Tutaj odbierał Jezus pierwsze początki nauki, tutaj ojciec i matka uczyli go czytać Pismo Święte. Od lat najwcześniejszych dziwne przeznaczenia ludu Bożego przesuwaly się przed oczyma jego duszy w miarę powtarzania się świąt perjo-dycznych, które święcono w domu rodzicielskim Jezusa czytaniem odpowiednich ustępów Pisma, śpiewami i modlitwami. Na święta szalasów wystawiano w dziedzińcu lub na dachu domu altanę z gałęzi mirtowych i oliwnych na pamiątkę zamierzchłej epoki patryjarchów koczowni-

---

<sup>1)</sup> Znane są wszystkim mistrzowskie opisy Galilei przez Renan'a w jego *Życiu Jezusa*, jak również niemniej godne uwagi opisy Melchjora de Vogüé w jego *Podróży po Syrii i Palestynie*.



czych. Zapalano świecznik siedmioramienny, potem otwierano zwoje papyrusu i odczytywano dzieje święte. Wyobraźnia dziecięca widziała Przedwiecznego nie tylko na niebie gwiazdzistym, lecz i w świeczniku, w którym odbijała się chwała jego, w słowach ojca i w cichej miłości matki. Tak więc dni wielkie Izraela kołysały dziecięstwo Jezusa, dni radości i żałoby, zwycięstwa i wygnania, smutków niezliczonych i nadziei wiekuiestej. Na gorące, przenikliwe pytania dziecka odpowiadał ojciec milczeniem. Matka, natomiast, podnosząc z pod długich rzęs wlekle swoje oczy rozmarzonej Syryjki, i krzyżując spojrzenie ich z pytającym wzrokiem syna, mówiła mu: „Słowo Boże żyje tylko w prorokach Pana. Przyjdzie dzień, w którym odpowiedzą ci mędrcy Eseeńscy, samotnicy z góry Karmel i morza Martwego“.

Łatwo też wyobrazić sobie dziecię Jezus w pośród towarzyszy zabaw, na których wywierało ono urok szczególny umysłem swoim nad wiek wybujałym, głębokim poczuciem sprawiedliwości i współczuwaniem czynnym. Idziemy dalej za nim do synagogi, gdzie przysłuchiwał się on dysputom biegłych w Piśmie i Faryzeuszów. Od wczesnych już lat odpychała go oschłość tych „doktorów prawa“, którzy tak mordowali tekst, że wyciskali zeń całego ducha. Widzimy go też, stykającego się z życiem pogańskim, odgadującego je i ogarniającego wzrokiem przy zwiedzaniu bogatego Seforis, stolicy Galilei, rezydencji Antypasa, nad którą górował jej akropol i której strzegli najemnicy Heroda, jurgeltnicy galijscy i traccy, barbarzyńcy wszystkich krajów. Możliwe jest nawet, że podczas jednej z owych podróży, tak często odbywanych przez rodziny żydowskie, dotarł aż do któregoś z miast fenickich, istnych mrowisk ludzkich, rojących się na morskiem wybrzeżu. Zdała dostrzedz mógł tam niskie świątynie o kolumnach przysadzistych, otoczone ponuremi gajami,

z których dolatywały płaczliwe jęki fletni, towarzyszących śpiewom kapłanki Astarty. Ich krzyk lubieżny, ostry jak ból, odzywał się w zdumionem jego sercu echem przeciągłego dreszczu, trwogi i współczucia. Z wycieczek takich powracał syn Marji do umiłowanych gór swoich z uczuciem wyzwolenia. Wchodził na szczyt skały Naza-rejskiej i ogarniał z niej wzrokiem daleki widnokrąg Ga-lilei i Samarji. Patrzył na Karmel, Gelboe, Thabor i góry Sichem, które pamiętały patijarchów i proroków. Święte szczyty krąg zataczały, stercząc na tle bezbrzeżnego nieba, niby śmiałe ołtarze, czekające na kadzidło i ogień. Czy i one oczekiwały kogoś?

Potężne te wrażenia, jakie wywierał na duszę Jezusa otaczający go świat zewnętrzny, bladły wszelako wobec najwyższej, niedającej ująć się w słowa, prawdy jego świata wewnętrznego. Prawda ta rozkwitała w głębi jego jestestwa, niby kwiat świetlany, wylaniający się z toni ciemnych. Była ona jak jasność wciąż rosnąca, która się w nim rozpałała, ilekroć był sam i mógł skupić się w so-bie. W chwilach takich istoty i rzeczy, bliższe czy dalsze, zdawały mu się przejrzystymi w swej treści ukrytej. Czy-tał myśli, widział dusze. Potem oglądał we wspomnieniu, jak gdyby przez zasłonę leciuchną, istoty bosko piękne i promienne, pochylone nad nim lub skupione w zachwy-ceniu światłem olśniewającym. Wizje precudne nawie-dzały sny jego lub, rozdwarzając jego świadomość, stawały pomiędzy nim a rzeczywistością. W chwilach najwyższego napięcia tych zachwyceń, unoszących go ze szczytów na szczyty, jak gdyby ku niebiosom nowym, doznawał czasem wrażenia, że pociąga go nagły błysk świetlny, poczem tonął w rozżarzonem ogniu słonecznym. Po takich mo-mentach upojenia pozostawało mu uczucie niewysławionej tkliwości, siły szczególnej. Jakże czuł się wówczas cu-downie pogodzonem ze wszystkimi istotami, szarmonizo-



wanym z wszechświatem! Czem było to światło tajemnicze, bliższe mu i bardziej żywe niż owo inne, tryskające z głębi własnej jego duszy unoszące go w przestworza, światło, którego pierwsze promienie olśniły go, idąc z wielkich oczu matki, a które teraz jednoczyło go współdrżaniem tajemnym z duszami wszystkimi? Czy nie było ono źródłem dusz i światów?

Nazwał je: Ojcem Niebieskim<sup>1)</sup>.

Wrodzone to poczucie zjedwania się z Bogiem w świetle Miłości było pierwszym wielkim objawieniem Jezusa. Głos wewnętrzny mówił mu, że musi zamknąć je w najgłębszej treści istoty własnej, miało ono wszelako opromieniać całe życie jego. Dało mu ono pewność niezmożoną. Zrobiło go łagodnym i niepokonanym zarazem. Uczyniło z myśli jego puklerz djamentowy, z jego słowa — miecz świetlisty.

To głęboko ukryte życie mistyczne łączyło się po za tem w młodzieńcu z zupełną trzeźwością w życiu rzeczywistym. Ewangelista Łukasz przedstawia go nam, gdy miał lat dwanaście, „wzrastającym w siłę, wdzięk i mą-

1) Księgi mistyczne wszech czasów wykazują, że prawdy moralne czy duchowe wyższego rzędu pojmowane były przez pewne dusze wybrane nie drogą rozumowania lecz komplementacji wewnętrznej i w postaci wizji. Ten objaw psychiczny, niedostatecznie jeszcze znany nauce współczesnej, jest faktem niezaprzeczonem. Katarzyna Sienneńska, córka ubogiego farbiarza, miewała już od czwartego roku życia wizje nadzwyczajne. (Patrz: *Życie jej*, przez p. Albana Mignaty, u Fichbachera). Swedenborg, człowiek nauki, o umyśle zrównoważonym, obserwującym i rozumującym, zaczął w czterdziestym roku życia, w doskonałym zdrowiu, miewać widzenia, nie pozostające w żadnym związku z jego życiem uprzednim. (Patrz: *Życie Swedenborga* p. Mattera, wyd. Perinn'a). Nie zamierzam bynajmniej stawiać przejawów tych na jednym poziomie z temi, jakie odbywały się w świadomości Jezusa; pragnę wprost ustalić powszechność postrzegania wewnętrznego, niezależnego od zmysłów cielesnych.

drość". Świadomość religijna była mu wrodzoną, najzupełniej niezależną od świata zewnętrznego. Jego świadomość prorocza i mesjaniczna zbudzić się mogła dopiero przy zetknięciu z światem zewnętrznym, przy wejściu w warunki epoki mu współczesnej, wreszcie na drodze wtajemniczenia specjalnego - długotrwałego urabiania się wewnętrznego. Ślady tego odnajdujemy w Ewangeljach i gdzieindziej.

Pierwszego wielkiego wstrząśnienia doznał w czasie pierwszej podróży do Jerozolimy z rodzicami, o której mówi Ewangelista Łukasz.

Gród ten, chluba Izraela, stał się ośrodkowym punktem dążeń jego duchowych. Klęski, jakich doznał, bardziej jeszcze rozpały dla niego umysły. Rzecz można było, że im więcej gromadziło się w nim grobów, tem żywiej biła z nich nadzieja. Za Seleucydów, Machabeuszów, za Pompejusza i wreszcie za Heroda waliły się na Jerozolimę ciosy straszliwych obłędów. Krew lała się strumieniami, legje rzymskie urządziły na ulicach rzeź ludu; masowe rozpinania na krzyżu splugawiły otaczające pagórki scenami piekielnymi. Po tylu okropnościach, po upokorzeniu, zadaniem przez okupację rzymską, po zdziśławkowaniu Sanhedrynu i uczynieniu z arcykapłana drżącego ze strachu niewolnika, odbudował Herod świątynię wspanialszą jeszcze, jak gdyby na urągowisko, niż Salomona. Jerozolimę pozostało wszakże mimo wszystko miastem świętem. Izajasz, którego Jezus czytał najchętniej, nazwał go wszak „oblubienicą, przed którą klękać będą narody". Wieścił on: „Ogłaszać będziesz zbawienie na murach twoich, a chwałę w murach twoich, i będą chodziły narodowie w światłości twojej, a królowie w jasności, która wnijdzie nad tobą" <sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Izajasz, LX,18,3.



Zobaczyć Jerozolimę i świątynię Jehowy było marzeniem wszystkich żydów, zwłaszcza odkąd Judea stała się prowincją rzymską. Przybywali do niej z Perei, z Galilei, z Aleksandrji i Babilonu. W drodze, na puszcy, pod palmami, przy źródłach, śpiewali psalmy, wzdychali do przedśionków Wiekuistego i zdała już szukali wzrokiem stęsknionym pagórka Sjonu.

Dziwne uczucie przygnębienia opanować musiało duszę Jezusa, kiedy podczas pierwszej pielgrzymki swojej ujrzał gród, opasany murami potężnymi, rozsiadły na wzniesieniu niby warownia ponura; kiedy zobaczył amfiteatr rzymski Heroda, wieżę Antonja, górującą nad świątynią i legje rzymskie z włóczękami w ręku, strzegące miasta z góry. Wszedł na stopnie świątyni. Podziwiał wspaniałość jej portyków marmurowych, pod którymi chodzili Faryzeusze strojni w szaty bogate. Minął dziedziniec obcokrajowców i dziedziniec niewiast. Zbliżył się wraz z tłumem Izraelitów do wrót Nikanoru i do balustrady trzyłokciowej, po za którą widać było kapłanów w ich szatach fioletowych i purpurowych, połyskujących złotem i drogiemi kamieniami, odprawiających modły przy oltarzu, zabijających kozły i byki ofiarne, skrapiających lud krwią ich i wymawiających przytem słowa błogosławieństwa. Niepodobny był widok ten do świątyni jego marzeń ani do nieba jego serca.

Potem zeszedł do dzielnic ludowych dolnego miasta. Ujrzał tam żebraków wybladłych z głodu, twarze udręczone z wrytym na nich piętnem ostatnich wojen domowych, mąk przebytych i ukrzyżowań masowych. Wyszedszy przez jedno z wrót miasta, błąkać się zaczął po dolinach kamienistych i ponurych wąwozach, w których natrafił na sterty kamieni, stawy i grobowce królów, okalające Jerozolimę niby pasem cmentarnym. Ujrzał tu obłąkańców, wychodzących z pieczar i miotających

przekleństwa na żywych i umarłych. Potem, zeszedłszy przez szerokie schody do głębokiej jak cysterna fontanny Siloe, ujrzał wlokące się nad brzegami żółtawych wód szeregi trędowatych, paralityków, istot nieszczęsnych, okrytych wszelkiego rodzaju ranami i wrzodami. Jakiś pociąg nieprzeparty zniewalał go do wpatrzenia się wgląd ich oczu, do wchłonięcia w siebie całego bezmiaru ich bólu. Jedni błagali go o pomoc; inni ponurzy byli, bo wszelką utracili już nadzieję; jeszcze inni, otepiali, zdawali się nie cierpieć już wcale. Ileż czasu wszelako trzeba było, aby dojść do tego stanu skamienienia?

Powstało wówczas w duszy Jezusa pytanie: Na cóż ta świątynia, ci kapłani, te ofiary, skoro ukoić nie mogą wszystkich bólów i cierpień? — I, nagle niby strumień, wezbrany potokami łez bezkresnych, poczuł napływające do serca swojego fale cierpień tych dusz wszystkich, tego grodu, ludu tego, całej ludzkości. Zrozumiał, że niema dla niego już szczęścia, gdy nie może udzielić go innym. Spojrzenia te, rozpaczliwe te oczy błagalne nie miały już nigdy wyjść z jego pamięci. Ponura oblubienica, Udręka ludzka, kroczyła u boku jego, mówiąc mu: Już cię nie opuszczę!

Odszedł, zdjęty grozą i smutkiem, a kiedy wstępował na jasne szczyty Galilei, z głębi serca jego wydarł się okrzyk gorący: „Ojcze niebieski.. Chcę wiedzieć... Chcę uleczyć! Chcę zbawić!“



### III

#### ESSEŃCZYCY — JAN CHRZCICIEL — POKUSA

Chciał poznać Prawdę! Wiedzę tę mogli mu dać Esseńczycy jedynie. Ewangelje pokryły milczeniem zupełnym fakty i czyny życia Jezusowego z czasu, poprzedzającego jego spotkanie z Janem Chrzcicielem, z którego rąk otrzymać miał podług nich pomazanie niejako na boskie swoje posłannictwo. Bezwłocznie potem ukazuje się w Galilei z urobioną już doktryną, występuje z całą stanowczością proroka, z poczuciem potęgi Mojżesza. Oczywiście jest wszelako, że śmiało i obmyślane z góry wystąpienie to poprzedzać musiał długotrwały okres rozwoju i poprzedniego wtajemniczenia.

Niemniej też jest pewnem, że wtajemniczenie to mogło odbywać się w jedynym stowarzyszeniu, które utrzymywało w ówczesnym Izraelu rzeczywiste tradycje i prowadziło tryb życia proroków. Nie może to ulegać wątpliwości dla tych, którzy, wzniósłszy się po nad literę i strupieszają sztywność pisanego dokumentu, wążą się przeniknąć duchem przyczynowy łańcuch wszechrzeczy. Uwydatnia się to nie tylko w bliskim powinowactwie doktryny Jezusa i doktryny Esseńczyków, lecz nadto w milczeniu, jakie zachowuje o sekcie tej sam Chrystus

i najbliżsi mu. Czemuż bowiem przypisać, że on, który z nieporównaną swobodą chłoszcze wszystkie stronnictwa religijne ówczesne, nie wymienia nigdy Esseńczyków? Czemu nie mówią też o nich Apostołowie i Ewangeliści? Niewątpliwie dla tego, iż uważają Esseńczyków za braci swoich po duchu, że złączeni są z nimi słubem Misterjów i że sekta ta spoiła się w całość nierozdzielalną z sektą chrześcijan pierwotnych.

Zakon Esseńczyków stanowił za czasów Jezusa ostatnią pozostałość owych bractw proroczych, zorganizowanych przez Samuela. Despotyzm władców Palestyny i zawzięść kapłanów ambitnych a służalczych zepchnęły ich w otchłań zapomnienia i milczenia. Nie walczyli już, jak poprzednicy ich, zadawalniając się jedynie utrzymywaniem tradycji. Mieli dwa główne ośrodki swoje: jeden w Egipcie nad brzegiem jeziora Maoris; drugi w Palestynie, w Engaddi nad Morzem Martwym. Nazwa Esseńczyków, jaką sobie nadali, pochodziła od wyrazu syryjskiego: *Asaya*, lekarze; po grecku: *terapeuci*, bowiem jedynym ich powołaniem, do którego przyznawali się publicznie, było leczenie niemocy fizycznych i moralnych. „Studjowali oni nader pilnie—mówi Józef Flawjusz—„pewne pisma lekarskie, rozpatrujące tajemne własności roślin i mineralów“<sup>1)</sup> Niektórzy z nich posiadali dar wieszczenia proroczego, jak ów Menahem, który przepowiedział Herodowi, że będzie panował. „Służą oni Bogu nader żarliwie — mówi Filon — nie przez składanie mu ofiar, lecz przez uświęcanie ducha swojego. Unikają miast i oddają się dziełom pokoju. Niema w pośród nich ani jednego niewolnika; są wszyscy wolni i pracują jedni dla drugich<sup>2)</sup>. Reguły zakonu były surowe. Przyjęcie do

1) Józef Flawjusz; Wojna Żydowska II, i t. d. Starożytności, XIII, 5-9; XVIII; 1-5.

2) Filon: O życiu kontemplacyjnem.



grona Esseńczyków wymagało nowicjatu całorocznego. Po złożeniu dostatecznych dowodów umiarkowania zostawało się dopuszczonym do ablucji, nie wchodząc wszelako jeszcze w styczność z mistrzami zakonu. Przyjęcie ostateczne do bractwa wymagało dalszych dwóch lat próby. Zaprzysięgano klątwami strasliwemi dotrzymywania obowiązków zakonu i niezdradzania jego tajemnic. Wówczas dopiero przyjmowali nowi członkowie udział w posiłkach wspólnych, święconych z wielką uroczystością i stanowiących kult intymny Esseńczyków. Uważali oni odzież, którą przywdziewali na te biesiady, za świętą i zdejmowali ją przed ponownem przystępowaniem do pracy. Te uczty braterskie, jako forma pierwotna Włeczerzy, wprowadzonej przez Jezusa, zaczynały się od modłów i kończyły się nimi. Podczas biesiad odbywało się pierwsze wyjaśnienie świętych ksiąg Mojżesza i proroków. Zarówno objaśnienie tekstów, jak wtajemniczenie, trojaki posiadało znaczenie i trzy miało stopnie. Bardzo niewiele jedynie osiągało stopień najwyższy. Wszystko to zdumiewająco przypomina organizację Pytagorejczyków <sup>1)</sup>, pewnem jest wszelako, że taki sam mniej więcej ustrój cechował wszystkie bractwa proroków starożytnych, bowiem odnajdujemy go wszędzie, gdziekolwiek istniało wtajemniczenie. Dodajmy że Esseńczycy wyznawali dogmat zasadniczy doktryny orfickiej

---

<sup>1)</sup> Punkty wspólne pomiędzy Esseńczykami a Pytagorejczykami: Modlitwy o wschodzie słońca; odzież lniana; biesiady wspólne; całoroczny nowicjat; trzy stopnie wtajemniczenia; ustalenie porządku i wspólności majątków, któremi zarządzali kuratorzy; przepis milczenia; przysięga Tajemnicy; podział nauczania na trzy części: 1) Naukę zasad powszechnych czyli teologję, odpowiadającą temu, co Filon nazywa *logiką*; 2) *fizykę* czyli kosmogonję; 3) *moralność* czyli wszystko, co ma związek z człowiekiem; nauce tej poświęcali się specjalnie terapeuci.

i pytagorejskiej, to znaczy dogmat uprzedniego istnienia duszy, będącego wynikiem i powodem jej nieśmiertelności. „Dusza—mówili—która zstąpiła z eteru najsubtelniejszego, i którą przyciągnął do ciała urok jakiś przyrodzony, pozostaje uwięziona w niem; wyzwolona z więzów ciała, jak gdyby z długiej niewoli, ulatuje z radością. (J. Fl., Star. Żyd. II, 8).

U Esseńczyków bracia właściwi żyli we wspólnocie dóbr i w celibacie, w miejscach odległych, uprawiając ziemię, wychowując czasem dzieci cudze. Żonaci Esseńczycy tworzyli rodzaj trzeciej reguły, wchodzącej w skład głównej i podporządkowanej jej. Milczący, łagodni i poważni, wędrowali wszędzie, uprawiając sztuki i oddając się dziełom pokoju. Tkacze, cieśle, uprawiacze winnic lub ogrodnicy, nigdy—płatnerze ani handlujący. Rozsiani drobnymi grupami po całej Palestynie, w Egipcie, aż do góry Hereb, stosowali wzajem względem siebie zasadę gościnności nieograniczonej. Zobaczymy też Jezusa i uczniów jego, wędrujących od miasta do miasta, zawsze pewnych, że znajdą dach nad głową. „Esseńczycy—mówi Józef Flawjusz,—odznaczali się moralnością wzorową; usiłowali pokonywać w sobie wszelką namiętność i każdy odruch gniewu; zawsze dobrotliwi w stosunku do innych, cisi, przejęci wiarą i ufnością. Mowa ich większą miała siłę niżli przysięgi; uważali też przysięgi w życiu zwykłym za zbędne, za kalandrię imienia świętego. Woleli znosić ze zdumiewającym hartem duszy i z uśmiechem na ustach tortury najsroższe, aniżeliby zgwałcić mieli najdrobniejszy przepis religijny“.

Przyrodzone powinowactwo ducha pociągało ku Esseńczykom Jezusa, obojętnego na okazałość zewnętrzna kultu jerozolimskiego, odpychanego surowością sa-



ducejską,<sup>1)</sup> pychą Faryzeuszów, pedantyzmem i oschłością synagog. Przedwczesna śmierć Józefa uczyniła zupełnie wolnym syna Marji, gdy doszedł do wieku męskiego. Bracia jego mogli uprawiać nadal rzemiosło ojca i prowadzić dom. Za wiedzą matki udał się tedy Jezus po tajemnie do Engaddi. Przyjęty jak brat, powitany jako wybraniec, rychło zyskał wielkimi zdolnościami swojemi, głębokiem swoim miłosierdziem i dziwną boskością, jaką tchnęła cała jego istota, wpływ przemożny na mistrzów swoich nawet. Wzajem otrzymał od nich, co jedynie Esseńczycy dać mu mogli: tradycję ezoteryczną proroków, a przez nią kierunek własnej swojej orientacji historycznej i religijnej.—

Zdawał sobie jasno sprawę z przepaści, jaka dzieliła oficjalną doktrynę żydowską od dawnej mądrości wtajemniczonych, tej istotnej macierzy religji, zawsze prześladowanej przez Szatana, to znaczy, przez ducha Zła, ducha egoizmu, nienawiści i przeczenia, łączącego z cechami temi absolutyzm polityczny i szalbierstwo kapłanów. — Poznał, że Księga Rodzaju zawiera, pod pieczęcią symboliki, teogonję i kosmogonję, równie dalekie od znaczenia dosłownego, jak daleką jest wiedza najgłębsza od najnaiwniejszej baśni dziecięcej.—Oczami duszy oglądał Aelohima, to znaczy tworzenie wiekuiste, drogą emanacji pierwiastków i kształtowania światów; pozostawanie dusz w zawieszeniu w przestworzu i powrót ich do Boga,

---

<sup>1)</sup> *Saduccusze*,—sektą żydowską, odrzucającą nieśmiertelność duszy. (Przy. tłum).

*Punkty styczne pomiędzy doktryną Esseńczyków a doktryną Jezusa:* Miłość bliźniego wysunięta na plan główny jako zasadniczy obowiązek; zakaz przysięgania dla stwierdzenia prawdy; nienawidzenie kłamstwa; pokora; instytucja Wieczerzy, zapożyczona ze wspólnych biesiad Esseńczyków, mająca wszakże nowe znaczenie. znaczenie ofiary.

po przez szereg kolejnych istnień, czyli pokoleń Adami-  
wych. — Uderzyła go potęga myśli Mojżesza, który pra-  
gął utorować grunt jedności religijnej narodów przez  
stworzenie kultu jedyne Boga i wszczęcie idei tej  
wybranemu przez siebie ludowi.

Odślonięto przed nim doktrynę Słowa Bożego, gło-  
szoną już przez Krysznę w Indji, przez kapłanów Ozy-  
rysa — w Egipcie i przez Pytagorasa — w Grecji i znaną  
prorokom pod mianem *Tajemnicy Syna człowieczego*  
*i Syna Bożego*. W myśl doktryny tej najwyższym obja-  
wieniem Boga jest Człowiek, który ustrojem swoim,  
kształtem, narządami swojemi i swoim intelektem jest  
obrazem Istoty powszechnej i posiada jej własności.  
W ziemskim wszelako rozwoju ludzkości Bóg jest roz-  
siany i rozproszony w mnogości ludzi i jak gdyby oka-  
leczony w niedoskonałości człowieka. Cierpi on, szuka  
samego siebie, walczy w niej — jest Synem Człowieczym.  
Człowiek doskonały, Człowiek — Prawzór, który jest naj-  
głębszą myślą Boga, pozostaje ukryty w niezgłębionym  
bezmiarze pragnień jego i jego potęgi. W pewnych  
wszakże epokach, kiedy wyrwać należy ludzkość z ot-  
chłani, skupić ją celem pchnięcia jej na wyżyny, wybra-  
niec utożsamia się z bóstwem, przyciąga je do siebie  
Siłą, Mądrością i Miłością, i objawia z kolei ludziom.  
Wówczas boskość, mocą istoty i tchnienia Ducha, wszech-  
obecna w nim jest. *Syn Człowieka* staje się *Synem Boga*  
i żywym jego słowem.

Inne wieki i inne narody miały już swoich Synów  
Bożych; od czasu Mojżesza nie powstał wszelako żaden  
w Izraelu. Wszyscy prorocy czekali na przyjście tego  
Mesjasza. Jasnowidzący przepowiadali nawet, że tym ra-  
zem nazwie się on *Synem Niewiasty*, lzydy, światłości  
niebiańskiej, która jest Małżonką Boga, ponieważ świa-  
tło Miłości będzie jaśniało w nim po nad wszystkie



inne blaskiem olśniewającym, nieznanym jeszcze ziemi. Ukryte te sprawy, które odsłaniał młodemu Galilejczykowi patriarcha esseński na pustynnych wybrzeżach morza Martwego, w samotności Engaddi, wydawały mu się cudownymi zarazem i znanymi. Z dziwnem wzruszeniem wsluchiwał się w słowa głowy zakonu, wskazującego mu i wyjaśniającego słowa, które dzisiaj jeszcze czytamy w księdze Henocha: „Od początku był Syn Człowieczy w tajnikach ukryty. Najwyższy utrzymywał go w potęgde swojej i *objawiał go swoim wybranym...* Lecz królowie ulękną się i twarzą na ziemię padną i przerażenie ich ogarnie, gdy ujrzą *syna niewiasty*, siedzącego na tronie chwały... Wówczas przyzwie wybrańiec wszystkie moce niebieskie i potęgę Bożą. Wówczas Cherubinowie, Serafiomowie i Ofanimowie, wszyscy aniołowie *sily*; wszyscy aniołowie Pana, to znaczy Wybrańca oraz *innej mocy*, którzy służą na ziemi i po nad wodami, wzniosą głosy swoje <sup>1)</sup>).

Przy tych objawieniach nauk tajemnych iskrzyły się przed oczyma Nazarejczyka po stokroć odczytywane i rozpamiętywane słowa proroków nieznanymi, głębokimi i straszliwymi błyskami, niby błyskawice, rozdzierające węzami świetlnymi mroki nocy. Któż jednak był tym Wybrańcem? i kiedy przyjdzie On do Izraela?...

Szereg lat spędził Jezus u Esseńczyków. Poddął się dyscyplinie ich, badał wraz z nimi tajniki natury i uprawiał lecznictwo tajemne. Ujarzmił całkowicie zmysły swoje, aby rozwinąć ducha. Nie było dnia takiego, w którym nie rozmyślałby o przeznaczeniach ludzkości i nie badał samego siebie.

<sup>1)</sup> Księga Henocha. Roz. XVIII i LXI. Ustęp ten wskazuje, że doktryna Słowa i Trójcy, zawarta w Ewangelji Ś-go Jana, istniała w Izraelu na długo przed Jezusem i wypływała z głębi wieszczcej sztuki ezoterycznej. W księdze Henocha *Władca duchów* wyobraża Ojca; *Wybrańiec* — Syna; zaś *inna moc* — Ducha Świętego.

Pamiętna to była dla zakonu Esseńczyków i dla nowego jej członka noc, w której otrzymał on, pod osłoną głębokiej tajemnicy, wtajemniczenie najwyższe czwartego stopnia, udzielane jedynie w szczególnym wypadku posłannictwa proroczego, które czuł w sobie młody adept i które uznawali w nim Starsi. Gromadzono się w grocie, wykutej we wnętrzu góry w kształcie obszernej sali, mającej ołtarz oraz ławy z kamienia. Przełożony zakonu znajdował się tam wraz z bracią Starszą. Czasem dopuszczano do tajemniczego obrzędu dwie lub trzy niewiasty esseńskie, prorokinie wtajemniczone. Niosąc świeczniki i palmy, pozdrowiały one nowego adepta, odzianego w białą szatę lnianą, jako „Oblubieńca i Króla“, którego przyjście przeczuwały, a którego widziały może po raz ostatni! Następnie, przełożony zakonu, zazwyczaj starzec stuletni (Józef Flawjusz mówi, że Esseńczycy byli nader długowieczni) podawał mu *złoty kielich*, godło najwyższego wtajemniczenia, w którym było wino z *winnicy Pańskiej*, symbol natchnienia boskiego. Niektórzy utrzymywali, że Mojżesz pił z kielicha tego wraz ze swoimi siedemdziesięcioma. Inni przesuwali pochodzenie jego do Abrahama, który otrzymał z rąk Melchysedeka to samo wtajemniczenie w postaci chleba i wina <sup>1)</sup>).

Kielich ten podawał Starszy zakonu temu jedynie, w którym poznał znaki nieomyłne jego posłannictwa proroczego. Nikt wszakże nie mógł mu posłannictwa tego określić; musiał odnaleźć je sam. Albowiem prawem jest wtajemniczonych: nic z zewnątrz, wszystko z wnętrza duszy własnej. Odtąd był wolnym, był panem czynów swoich, wyzwolonym z więzów bractwa, bowiem sam był hierofantą, podległym jedynie tchnieniem Ducha, który mógł stracić go

<sup>1)</sup> Księga Rodzaju, XIV, 18: „A Melchysedek, król Salemski, wniósł chleb i wino, a ten był kapłanem Boga Najwyższego”.



w otchłań lub unieść go na szczyty, ponad strefę udręk i zamroczeń.

Kiedy po ukończeniu śpiewów, modłów i słów sakramentalnych Przełożonego ujął Nazarejczyk kielich w swoje dłonie, błądzący promień jutrzeńki wcisnął się przez zakręt góry i padł drżący na świeczniki i na długie szaty młodych Essenjanek. Drgnęły i one, kiedy promień padł na bladego Galilejczyka. Bowiernie oblicze jego powlokło się smutkiem głębokim. Czy wzrok jego zadumany szedł ku chorym z Siloe? a może w głębi bólu tego, który towarzyszem był mu nieodstępny, dostrzegał już drogę swoją?

W czasie owym nauczał Jan Chrzyciel nad brzegiem Jordanu. Nie był on Esseńczykiem, lecz prorokiem ludowym z silnego rodu Judy. Na puszczy, kędy pchnęła go pobożność ascetyczna, pędził żywot jaknajtwardszy, w modłach i postach, nosząc na gołym ciele rodzaj włosienicy, utkanej z szersci wielbłądziej, na znak pokuty, jaką nałożyć chciał na siebie i na naród swój. Odczuwał on bowiem głęboko nędzę Izraela i oczekiwał jego wyzwolenia. Wyobrażał sobie, w myśl doktryny judejskiej, że przyjdzie wkrótce Mesjasz, jako sędzia i mściciel, jako nowy Machabeusz, który sprawi, iż lud cały powstanie i wypędzi Rzymian, on sam zaś, przykładnie ukarawszy winnych, w tryumfie wkroczy do Jerozolimy, przywróci królestwo Izraelskie i wyniesie je po nad wszystkie narody w pokoju i sprawiedliwości. Zwiastował ludowi przyjście bliskie tego Mesjasza, dodając, że przygotowwać się doń należy pokutą serca. Zapożyczywszy od Esseńczyków zwyczaj ablucji, który przekształcił na swoją modłę, obmyślił chrzest w wodach Jordanu, jako widomy symbol, jako spełnienie publiczne oczyszczenia wewnętrznego, którego wymagał. Nieznany ten dotychczas obrządek, to płomienne wieszczenie wobec tłumów niezmiernych,

w ramach puszczy, nad świętymi wodami Jordanu, pomiędzy dzikimi skałami Judei i Perei, porywało wyobraźnię, przyciągało zastępy. Przypominało ono pełne chwały dni dawnych proroków; dawało ludowi to, czego nie znajdował on w świątyni: potężne wstrząśnienie duszy i, po grozie żalu za grzechy popełnione, błysk promienny nadziei nieśmiałej. Zbiegano się tłumnie ze wszystkich krańców Palestyny, a nawet z dalszych jeszcze stron, aby słuchać świętego z pustyni, zwiastującego przyście Mesjasza. Ludy, pociągnięte magnesem jego głosu, obozowały tam tygodniami całemi, aby słuchać go codziennie; nie chciały odejść już więcej i czekały na zapowiedzianego Zbawiciela. Większość gotowa była chwycić pod wodzą jego za broń, aby wszcząć znów wojnę świętą.— Heroda Antypasa i kapłanów jerozolimskich zatrzązać zaczynały ruchy ludowe. Mnożyły się zresztą oznaki nadciągania czasów niespokojnych. Tyberjusz, mający już wówczas siedemdziesiąt cztery lata, dokonywał starości swojej w pośród orgji Kaprei; Poncjusz-Piłat podwajał srogość względem żydów; w Egipcie zwiastowali kapłani, że feniks odrodzić się ma z popiołów<sup>1)</sup>.

Jezus, który czuł wzrastającą z dniem każdym w duszy własnej świadomość mesjanicznego posłannictwa swojego, lecz który wciąż jeszcze szukał swojej drogi, udał się na pustynne brzegi Jordanu wraz z kilkoma braćmi Esseńczykami, którzy szli już za nim, jak za mistrzem. Chciał widzieć Jana, usłyszeć go i poddać się obrządkowi chrztu publicznego. Pragnął, występując na widownię, zacząć od aktu pokory i czci wobec proroka, który považał się podnosić głos przeciwko potęgom ówczesnym i budzić z uspienia duszę Izraela.

---

1) Tacyt *Annales*, VI, 28, 31.



Zobaczył surowego ascetę, długowłosego, obrośniętego, z głową Iwa wizjonera, stojącego na wzniesieniu drewnianem pod rodzajem ołtarza polowego, okrytego zielenią młodych gałęzi i skórami kozłemi. Dokoła niego, wśród wyschłych krzewów puszczy, tłum olbrzymi, obóz cały: poborcy myta, żołnierze Heroda, Samarytanie, lewici jerozolimscy, Idumejczycy ze swojemi stadami owiec, Arabowie nawet, którzy się tutaj zatrzymali ze swojemi wielbłądami, namiotami i karawanami, pociągnięci głosem „wołającym na puszczy“. A głos ten grzmiał:—„Poprawcie się, stańcie się lepszymi, gotujcie drogę Pańską, czyńcie proste ścieżki jego“.

Nazywał Faryzeuszów i Saduceuszów „rasą żmij“. Dodawał, że „siekiera już jest do korzeni drzew przyłożona“ i mówił o Mesjaszu.: „Ja chrzcilem was wodą, ale on będzie chrzczył Duchem Świętym i ogniem“.

Wreszcie, ku zachodowi słońca, ujrzał Jezus masy ludowe, spieszące ku przystani na brzegu Jordanu i jurgeltników Heroda, rozbójników, pochylających twarde karki swoje pod strumieniami wody, którą lał na nich Chrzciciel. Zbliżył się więc i on. Jan nie znał Jezusa, nie wiedział o nim nic, poznał wszelako Esseńczyka po jego szacie lnianej. Ujrzał go, zmieszanego z tłumem, wchodzącego po pas w fale i chylącego się kornie pod wodą chrztu. Kiedy neofita podniósł głowę, skrzyżował się groźny wzrok proroka ze spojrzeniem Galilejczyka. Człowiek z puszczy drgnął, przeszyty promieniem słodczy cudownej; usta jego szepnęły mimowoli: „Czyżbyś ty był Mesjaszem? <sup>1)</sup>— Tajemniczy Esseńczyk nie odrzekł nic, lecz

<sup>1)</sup> Wiadomo, że, podług Ewangelji, Jan poznał natychmiast w Jezusie Mesjasza i ochrzcił go jako takiego. Pod tym względem opowieści Ewangelistów sprzeczne są z sobą. Bowiem w następstwie Jan, uwięziony przez Antypasa, każe zapytać Jezusa przez uczniów swoich: Tyś jest, który ma przyjść, czyli innego czekamy? (Mat. XI, 3).

pochylając głowę zadumaną i krzyżując ręce na piersiach, prosił Chrzciciela o błogosławieństwo. Jan wiedział, że milczenie było regułą, obowiązującą nowicjuszków esseńskich. Wyciągnął uroczyście obie ręce; poczem Nazarejczyk znikł wraz z towarzyszami swoimi pomiędzy sitowiem rzeki.

Chrzciciel powiódł za odchodzącym wzrokiem, w którym była zarazem niepewność, radość ukryta i melancholija głęboka. Czem była wiedza jego i wizja jego prorocza wobec światła, jakie dostrzegł w oczach Nieznajomego, światła, jakie opromieniać się zdawało całą jego istotę? O! jeśli młody i piękny Galilejczyk Mesjaszem jest, oglądał Jan radość dni swoich! Lecz jego rola skończona, musi zamilknąć głos jego. Od tego dnia zaczął głosić słowo Boże głosem głębszym i bardziej wzruszonym na temat melancholijny: „Ten jest, o którym powiedziałem: Idzie za mną mąż, który stał się przedemną, iż pierwiej był niż ja“<sup>1)</sup>). Odczuwać zaczynał znużenie i smutek starych lwów, zmęczonych rykiem i układających się w ciszy, aby czekać śmierci...

Miałżeby on być Mesjaszem? — Pytanie Chrzciciela rozbrzmiewało też w duszy Jezusa. Od chwili zbudzenia się świadomości własnej odnalazł Boga w samym sobie i pewność Królestwa niebieskiego w promiennem pięknie widzeń swoich. Potem cierpienie człowieka odezwało się w sercu jego krzykiem rozpacznyj swojej udręki. Mędracy esseńscy odslonili przed nim tajemnice religiji, naukę tajników; ukazali mu upadek duchowy ludzkości, jej ocze-

---

Wątpliwość ta późniejsza dowodzi, że o ile nawet podejrzewał on Mesjasza w Jezusie, nie był tego pewien. Pierwsi wszakże układacze Ewangelji, jako żydzi, skłonni byli przedstawiać Jezusa, otrzymującego posłannictwo swoje i błogosławieństwo z rąk Jana Chrzciciela, ludowego proroka judejskiego.

<sup>1)</sup> Ew. Ś-go Jana I, 30.



kiwanie Zbawiciela. Jak wszakże znaleźć siłę wyrwania jej z tej otchłani? I oto wezwanie bezpośrednie Jana Chrzciciela pada w milczącą głąb jego rozpamiętywania, jak grom z Synaju.— Czyżby on miał być tym Mesjaszem?

Na pytanie to mógł odpowiedzieć Jezus jedynie po skupieniu się w najgłębszej treści jaźni własnej. Ztąd owo usunięcie się od świata, ów post czterdziestodniowy, o którym opowiada Mateusz w postaci legendy symbolicznej. *Pokusa* wyobraża w rzeczy samej w życiu Jezusa ów wielki przełom i ową najwyższą wizję prawdy, przez jakie przejść muszą nieuniknienie wszyscy prorocy, wszyscy twórcy religii, zanim przystąpić mogą do dzieła swojego.

Ponad Engaddi, gdzie Eseeńczycy uprawiali sesam<sup>1)</sup> i wino, prowadziła urwista drożyna do groty, rozwierającej się w zwale górskim. Wchodziło się do niej pomiędzy dwiema kolumnami doryckimi, wykutymi w nagiej skale, podobnymi do kolumn, strzegących wniścia do schronienia Apostołów w dolinie Józefata. Tam, niby w gnieździe orlem, pozostawało się zawieszonym na cyplu, świątym prostopadle ponad przepaścią. W głębi wąwozu widać było winnice, siedziby ludzkie; jeszcze dalej morze Martwe, nieruchome, szare i pustynne, nagie góry Moabskie. Eseeńczycy urządzili tu schronienie dla tych z pośród braci swojej, którzy zapragnęliby poddać się próbie samotności. Znajdowały się tam zwoje pism proroków, wonne zioła wzmacniające, figi suche i strużka wody,— jedyne pożywienie ascety w momentach rozmyślenia.

Tutaj schronił się Jezus.

Nasampierw przeciągnęły przed oczyma jego ducha całe minione dzieje ludzkości. Rozważył on grozę chwili obecnej. Górował w niej Rzym, a w nim to, co magowie

---

<sup>1)</sup> sesam — roślina, z której wylaczano olej. (Przyp. tłum.).

perscy nazwali królestwem Ahrymana, zaś prorocy—panowaniem Szatana, znakiem Bestji, apoteozą Zła.

Mroki ogarniały ludzkość, duszę ziemi.

Naród Izraelski otrzymał z rąk Mojżesza królewskie i kapłańskie posłannictwo uosabiania męskiej religii Ojca, ducha czystego, szerzenia jej wśród innych narodów i zapewnienia jej zwycięstwa. Czy spełnili posłannictwo to królowie i kapłani Izraela? Prorocy, jedynie tego świadomi, odpowiadali jednogłośnie: Niel Izrael konał w szponach Rzymu. Czy należało, dla ocalenia go, ważyć się po raz setny na powstanie, jak o tem marzyli wciąż Faryzeusze, na odzyskanie potęgi doczesnej Izraela siłą? Czy miał wystąpić jako potomek Dawidowy i zawołać z Izajaszem: „Ucieszę się nad nieprzyjaciołmi moimi, a pomszczę się nad przeciwnikami swymi. I obrócę rękę moją na cię, a wypalę aż do czysta żużelice twoją i odpędzę wszystką cenę twoją“<sup>1)</sup>. Czy należało nowym stać się Machabeuszem i obwołać się arcykapłanem—królem?—Jezus mógł ważyć się na to. Widział tłumy, gotowe powstać na głos Jana Chrzciciela, a siła, jaką czuł w sobie samym, większą stokroć była jeszcze! — Czy jednak gwałt odniesie zwycięstwo nad gwałtem? Czy miecz położy kres panowaniu miecza? Czy nie będzie to raczej wzmocnieniem nową siłą zaciężną potęg mrocznych, czyhających na ofiarę swoją w cieniu nocy?

Czy nie należało raczej uprzystępnic wszystkim prawdy owej, która stanowiła dotychczas przywilej wyłączny kilku świątyń i nielicznych wtajemniczonych, otworzyć dla niej serca, zanim przeniknie ona do umysłów mocą objawienia wewnętrznego i mocą nauki? zatem głosić prostaczkom przyjście królestwa niebieskiego, zastąpić

---

<sup>1)</sup> Izajasz I—24,25.



panowanie Zakonu panowaniem Łaski, przeistoczyć ludzkość w jej podstawach, odrodzić ją przez odrodzenie dusz?

Kto wszakże pozostanie zwycięzcą? Szatan czy Bóg? Duch zła, który wraz z mocami swojemi włada ziemią, czy duch Boży, kierujący niewidzialnymi zastępami nieba i utajony w sercu człowieka, niby iskierka w krzemieniu? Jakim będzie los narodu, który poważyłby się zedrzyć zasłonę ze świątyni, aby odsłonić pustkę ołtarza, stawić czoło zarazem Herodowi i Cezarowi?

Należało to wszelako uczynić! Głos wewnętrzny, głos Pana, nie mówił mu, jak Izajaszowi: „Weźmij sobie kręgi wielkie, a napisz na nich pismem człowieczem“<sup>1)</sup>. Głos Przedwiecznego mówił doń: „Powstań i przemów“. Należało więc znaleźć słowo żywe, wiarę, zdolną przenosić góry, siłę, kruszącą warownie najtęjsze.

Zaczął tedy Jezus modlić się żarliwie. Ogarnął go niepokój i niepewność wciąż wzrastająca. Doznawał uczucia utraty owej błogości cudownej, która przypadła mu w udziale i pogrążania się coraz głębiej w mroki przepastne. Widział się otoczonym chmurą ciemną. Chmurę tę wypełniały cienie wszelakiego rodzaju. Rozróżniał wśród nich postacie braci swoich, mistrzów swoich Esseńskich, matki swojej. Cienie mówiły mu, jeden po drugim: „Szalony, który chcesz rzeczy niemożliwych! Ani wiesz, co cię czeka! Odstąp“! Niezłomny głos wewnętrzny odpowiadał: „Musisz!“ Walczył tak przez szereg długich dni i nocy, czasem w postawie stojącej, czasem klęcząc, czasem leżąc rozciągnięty na ziemi. Im głębszą stawała się przepaść, w którą zstępował, tem bardziej zwieriał się obłok dokoła niego. Miał uczucie zbliżania się czegoś przerażającego i nienazwanego.

<sup>1)</sup> Izajasz VIII,1.

Wreszcie wstąpił w stan ekstatycznego snu na jawie, który był mu właściwym i w którym budziła się najgłębsza treść świadomości jego, wstępowała w łączność z żywym Duchem wszechrzeczy i rzucała na przejrzystą tkaninę marzenia obrazy przeszłości i przyszłości. Świat zewnętrzny znikał; oczy przymykały się. Jasnowidzący oglądał Prawdę w światłości, w której tonęła istota jego i która czyniła z intelektu jego rozżarzony ośrodek ognisty.

Zagrzmiał ryk gromu; góra zatrzęsa się w posadach. Wir prądu, idącego z głębi przestworzy, unióśł Jasnowidzącego na szczyt świątyni jerozolimskiej. Dachy i wieże błyszcząły w słońcu niby las srebrno-złoty. Hymny rozlegały się w Świątym Świątych. Z po nad wszystkich ołtarzy unosiły się fale kadzideł i wirowały u stóp Jezusa. Lud w strojach odświętnych zapełniał portyki, niewiasty wspaniale śpiewały mu hymny miłości gorącej. Dźwięczały trąby i sto tysięcy głosów wołało:—„Chwała Mesjaszowi! Królowi Izraelskiemu!“ — Będiesz królem tym, jeśli zechcesz wielbić mnie,—zawołał głos zdołu.—Kim jesteś? — rzekł Jezus. I znów unióśł go wiatr po przez przestworza na szczyt góry. U stóp jego rozpościerały się w poświęcenie złotej królestwa ziemskie.

— Jestem królem duchów i księciem ziemi—zawołał głos z dołu.

— Wiem kim jesteś — odrzekł Jezus;— postacie twoje są niezliczone, na imię ci — Szatan. Ukaż się w twojej postaci ziemskiej.

Postać ukoronowanego monarchy ukazała się na obłokach, rozpostarta na nich niby na tronie. Krag światła przyćmionego opasywał jego głowę królewską. Posępna postać odcinała się na tle łuny krwawej, twarz jego była blada a spojrzenie ostre jak cięcie topora.

Rzekł: — To wszystko dam tobie, jeśli, upadłszy, uczynisz mi pokłon. —



— Wtedy mu rzekł Jezus:— „Pójdź precz, szatanie. Albowiem powiedziane jest: Panu Bogu twemu kłaniać się będziesz, a jemu samemu służyć będziesz!“ Wtedy opuścił go djabeł, a oto aniołowie przystąpili i służyli jemu<sup>1)</sup>).

Pozostawszy znów sam w grocie Engaddi, rzekł Jezus: — Jakim znakiem zwyciężę potęgę ziemskie?

— Znakiem Syna Człowieczego, -- odezwał się głos z góry.

— Ukaż mi znak ten, — powiedział Jezus.

Konstelacja gwiazd zajaśniała na widnokregu. Złożona była z czterech gwiazd w postaci krzyża. Galilejczyk poznał w niej godło wtajemniczeń starożytnych, znane Egipcjanom i utrzymane przez Esseńczyków. W zaraniu świata synowie Jafeta czcili je jako znak ognia ziemskiego i niebieskiego, znak Życia ze wszystkimi jego uciechami, Miłości ze wszystkimi jej cudami. W następstwie nadali mu wtajemniczeni egipscy znaczenie symbolu wielkiego tajnika, Trójcy, nad którą góruje Jedność, godła ofiary, uczynionej z samej siebie przez Istotę niewypowiedzianą, przełamującą się, aby objawić się w światach. Symbol zarazem życia, śmierci i zmartwychwstania, jaśniejący na pieczarach, grobach i świątyniach niezliczonych. Krzyż wspaśniały olbrzymiał i zbliżał się, jak gdyby przyciągany przez serce Jasnowidzącego. Cztery żywe gwiazdy promieniały słońcami potęgi i sławy.

„Oto czarodziejski znak Życia i Nieśmiertelności, — ozwał się głos niebiański. Ludzie posiadli go niegdyś i zatracili go. Czy chcesz im zwrócić go?

— Chcę — rzekł Jezus.

— Patrz zatem! oto przeznaczenie twoje!“

---

<sup>1)</sup> Ew. Ś-go Mat. IV,10,11.

Cztery gwiazdy zgasły nagle. Zaległa noc. Grom podziemny wstrząsnął górami, i z głębin morza Martwego wynurzyła się góra ciemna, na której wzniesiony był czarny krzyż. Człowiek konający przygwożdżony był do niego. Tłum szatański zapelniał szczyt góry, wyjąc śmiechem piekielnym: — Jeśli jesteś Mesjaszem — uratuj się! — Jasnowidzący otworzył szeroko oczy, potem cofnął się, obłany zimnym potem. Tym człowiekiem ukrzyżowanym — był on sam... Zrozumiał. Aby zwyciężyć, musiał utożsamić się z tym przeraźliwym sobowtórem, którego sam wezwał i postawił przed sobą jako pytanie złowieszcze. Zawieszony w niepewności, niby w pustce przestworzy bezkresnych, czuł Jezus równocześnie tortury ukrzyżowanego, szyderstwa i obelgi ludzi, i głębokie milczenie nieba.

— Możesz wziąć na siebie krzyż lub odtrącić go — przemówił głos anielski. Widzenie już zaczęło migotać miejscami i krzyż-zjawa błędną zaczął wraz z męczennikiem, kiedy nagle stanął we wspomnieniu Jezusa obraz chorych dokoła źródła w Siloe, a po za nim szły zastępy idusz rozpacznych, szepczących z rękami złożonemi: „Bez ciebie będziemy zgubione. Zbaw nas, ty, który umiesz kochać!“

Powstał z wolna Galilejczyk i, rozwierając ramiona gestem miłosnym, zawołał: „Wezmę na siebie krzyż niech świat będzie zbawiony!“ W tej samej chwili uczuł Jezus rozdarcie straszliwe wszystkich członków i wydał okrzyk przerażenia... Równocześnie zawałiła się góra czarna, krzyż zapadł się w morze; światło łagodne, uczucie błogości boskiej zalało Widzącego, a z wyżyn lazurowych głos tryumfu przeszył bezmiary, wołając: „Szatan przestał być władcą! Śmierć jest zwyciężona: Chwała Synowi Człowieczemu! Chwała Synowi Bożemu!“



Kiedy Jezus zbudził się po wizji tej, wszystko pozostało niezmienione dokoła niego: wschodzące słońce zło-ciło ściany grotu Engaddi, rosa ciepława, niby łyż miłości anielskiej, wilżyła zbolale stopy jego; mgły zwiewne unosiły się nad Martwym morzem. Lecz on sam nie był już tym, co dotychczas. Wydarzenie rozstrzygające dokonało się w niezgłębionej otchłani jego świadomości. Rozwiązał zagadnienie życia, zdobył spokój; wielka pewność nappełniła duszę jego. Z przełamania jego Istoty ziemskiej, którą podeptał nogami i rzucił w przepaść, wyłoniła się nowa, promienna świadomość: — Wiedział, że akt nieodwołalny woli własnej uczynił z niego Mesjasza.

W krótki czas potem zeszedł do osady Esseńczyków. Dowiedział się tam, że Jan Chrzciciel porwany został przez Antypasa i osadzony w twierdzy Makeru. Nietylko nie przeraziła go zapowiedź ta, lecz wskazała mu, że czas już dojrzał i że należało samemu zacząć z kolei działać. Obwieścił zatem Esseńczykom, że idzie do Galilei głosić „Ewangelię Królestwa niebieskiego“. Znaczyło to: wyjawić ubogim duchem wielkie Tajniki i uprzystępnić im zrozumienie ich przez wykład doktryny wtajemniczonych. Na krok równie śmiały nie poważył się nikt od czasu, kiedy Sakja Muni, ostatni Buddha, zdjęty litością bezmierną, nauczał nad brzegami Gangesu. To samo współczucie wzniosłe dla ludzkości ożywiało Jezusa. Potęgował on je światłem wewnętrznym, siłą miłości, wielkością wiary oraz energią czynu, właściwemi jemu tylko jednemu. Z głębin śmierci, którą zbadał i której zakosztował już przed czasem, niósł swoim braciom nadzieję i życie.

## IV

ŻYCIE PUBLICZNE JEZUSA—NAUCZANIE LUDOWE I NAUCZANIE  
EZOTERYCZNE — CUDA — APOSTOŁOWIE — NIEWIASTY

Usiłowania moje zmierzały dotychczas ku rozjaśnieniu światłem jej właściwym tej części życia Jezusa, którą Ewangelje pozostawiły w cieniu lub też osnuły wątkiem legendy. Powiedziałem drogą jakiego wtajemniczenia, jakiego doskonalenia duszy i myśli osiągnął wielki Nazarejczyk uświadomienie sobie swojego posłannictwa mesjanicznego. Staralem się, słowem, odtworzyć wewnętrzną drogę stawania się Chrystusa, jego genezę. Rozpoznanie genezy ułatwi mi pozostałą część zadania. Życie publiczne Jezusa opowiedziane zostało przez Ewangelistów. Są w ich opowiadaniach rozbieżności, sprzeczności wyraźne, ślady spajania. Tu i owdzie przeziiera jeszcze legenda, pokrywająca lub wyolbrzymiająca pewne tajemnice; całokształt tchnie wszakże taką jednością myśli i czynu, ma charakter dzieła tak potężnego i swiego, iż niepodobna jest oprzeć się uczuciu znajdowania się wobec rzeczywistości, wobec życia. Zbędnym byłoby przerabianie nieporównanych tych opowieści, wymowniejszych w dziecięcej prostocie swojej i w symbolicznym swoim pięknie od wszelkich przeróbek, uzu-



pełnień i rozszerzeń. Najważniejszym jest wszakże obecnie: rzucenie na rolę Jezusa światła tradycji i prawd ezoterycznych, wykazanie znaczenia i doniosłości duchowej podwójnego nauczania jego.

Jaką nowinę wielką zwiastował Esseńczyk ten, sławny już, powracający z nad wybrzeży morza Martwego do ojczyzny swojej, aby głosić tam Ewangelię Królestwa Niebieskiego? Czem przeistoczył miał oblicze świata?— Myśl proroków ciałem się w nim stała. Zbrojny poświęceniem całej istoty swojej, przychodził dzielić z ludźmi owo królestwo niebieskie, które osiągnął mocą rozmyślań i walk, mocą cierpień swoich nieskończonych i radości bezbrzeżnych. Rozdarł zasłonę, którą dawna religja Mojżeszowa rzuciła na zaświaty. Głosił: „Wierzcie, kochajcie, czyńcie, i niech nadzieja będzie duszą czynów waszych. Po za tym padłem ziemskim istnieje świat dusz, życie doskonalsze. Wiem o tem, idę ztamtąd i powiodę was tam. Nie wystarcza jednak pragnąć dostać się tam. Aby uczynić to, należy zacząć od urzeczywistnienia królestwa Bożego tutaj na ziemi, w nas samych nasam-pierw, a potem w ludzkości całej. Czem osiągnąć je?— Miłością, Miłosierdziem czynnem“.

Przybył więc młody prorok do Galilei. Nie mówił, że jest Mesjaszem, dysputował jedynie w synagogach o zakonie i prorokach. Nauczał nad brzegiem jeziora Genezareth, na łodziach rybackich, przy studniach, w oazach zieleni, od których roją się okolice Kapharnaum, Betsaïdy i Korazimu. Uzdrawiał chorych nakładaniem dłoni, spoj-rzeniem, nakazem, często samą obecnością swoją. Tłumy szły za nim; liczni uczniowie i wyznawcy wiązali już życie swoje z jego osobą. Rekrutowali się oni z pośród ludu, z pośród rybaków i celników. Szło mu o przyciągnięcie do siebie natur prostych i nietkniętych, gorących i wierzących, na które wywierał urok nieodparty. Wy-

borem jego kierował w tym względzie ów dar jasnowidzenia, przyrodzony zawsze ludziom czynu, a zwłaszcza twórcom religii. Jedno spojrzenie wystarczało mu do zgłębienia duszy. Niepotrzebne mu były inne próby, a kiedy mówił: idź za mną! — szli za nim. Jednym gestem wzywał do siebie nieśmiałych, wachających się i mówił im: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja was ochłodzę. Weźmijcie jarzmo moje na się, a uczcie się odemnie, żem jest cichy i pokornego serca, a znajdziecie odpoczynek duszom waszym“<sup>1)</sup>. Odgadywał najtajniejsze myśli ludzi, którzy zmieszani, oszołomieni, poznawali w nim mistrza. Zdarzało się, że w niedowiarstwie widział prawość. Kiedy rzekł Natanjel: „Możeż z Nazaretu być co dobrego?“ — odpowiedział Jezus: „Oto prawdziwie Izraelczyk, w którym niemasz zdrady“<sup>2)</sup>.

Od adeptów swoich nie wymagał ani przysięg, ani wyznania wiary, żądał jedynie tylko, aby go kochali i aby wierzyli w niego. Przeprowadził w praktyce wspólność dóbr nie jako regułę bezwzględną, lecz jako zasadę braterstwa wzajemnego.

W ten sposób urzeczywistniać zaczął Jezus w małym środowisku swoim królestwo niebieskie, które ustanowić chciał na ziemi. Kazanie na górze daje nam obraz utworzonego już w zarodku królestwa tego a zarazem treść nauczania Jezusowego, przeznaczonego dla ludu.

Na szczycie pagórka siedzi mistrz; przyszli wtajemniczeni skupiają się u stóp jego; niżej jeszcze lud słyszony chwyta chciwie słowa, wychodzące z ust jego. Co wieści młody mędrzec? — Post? Umartwienia? Pokuty pu-

---

<sup>1)</sup> Mat. XI. 28. 29.

<sup>2)</sup> Jan I—46—47.



bliczne? Nie; mówi: „Błogosławieni ubodzy, bo wasze jest królestwo Boże... Błogosławieni, którzy płaczą teraz, bo się śmiać będziecie“<sup>1)</sup>). Rozwija potem, w porządku wstępnym, cztery cnoty bolesne: cudowny dar pokory; smucenia się za innych; dobroci wewnętrznej serca; głodu i pragnienia sprawiedliwości. Poczem idą promienne cnoty czynne i zwycięskie: miłosierdzie, czystość serca, dobroć, wojująca i wreszcie męczeństwo za sprawę słuszności. „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają“<sup>2)</sup>). Słowa te, jak dźwięk dzwonu złotego, niebo otwierają przed oczami wsłuchanych, niebo, iskrzące się gwiazdami nad głową mistrza. Widzą w niem ciche cnoty, nie w postaci wychudzonej niewiasty w szarych szatach pokutnych, lecz przeistoczone w błogość, w dziewicę świetlistą, zaćmiewającą blaskiem swoim wspaniałość lilji i sławę Salomona. Wiewem liści swoich palmowych napawają one serca spragnione balsamem królestwa niebieskiego. Największym jest cudem, że królestwo to nie rozkwita w oddali niebios, lecz w duszach słuchaczy. Patrzą na siebie wzajem zdumieni. Ubodzy stali się nagle tak bogatymi! Potężniejszy od Mojżesza czarodziej duszy trafił do ich serc, trysnęło z nich źródło nieśmiertelne. Całe jego nauczanie ludu zawarte jest w zdaniu: „królestwo niebieskie w was samych“! Teraz, kiedy wykłada im sposoby, jakich użyć muszą, aby osiągnąć to szczęście niesłychane, nie dziwią ich rzeczy niezwykle, jakich od nich żąda: zabić w sobie nawet chęć zła, wybaczać urazy, kochać nieprzyjaciół swoich. Potok miłości, wylewający się z serca, rwie z taką potęgą, że unosi ich z sobą. W jego obecności wszystko zdaje się łatwym.—

<sup>1)</sup> Ew. św. Łuk. VI, 20, 21.

<sup>2)</sup> „ „ Mat. V. 8.

Olbrzymią nowością, szczególną śmiałością tego nauczania jest, że prorok galilejski stawia życie wewnętrzne duszy po nad całą działalność zewnętrzną, niewidzialne wyżej od widzialnego, królestwo niebieskie po nad ziemskie dobra. Każę wybierać pomiędzy Bogiem a Mammonem <sup>1)</sup>. Streszczając wreszcie doktrynę swoją, mówi: „Kochajcie bliźnich waszych jak samych siebie i bądźcie doskonali, jak doskonałym jest Ojciec wasz niebieski“. Pozwalał w ten sposób dostrzegać w formie popularnej całą głębię moralności i wiedzy. Bowiem najwyższym nakazem wtajemniczenia jest odtwarzanie doskonałości boskiej w doskonałości duszy. Tajemnica wiedzy tkwi w łańcuchu podobieństw i odpowiedników, jakie łączą kręgami coraz szerszemi zjawiska poszczególne z zasadami powszechnymi, skończoność z nieskończonością.

Takim było publiczne, czysto moralne nauczanie Jezusa. Oczywiście musiał on obok niego miewać wykłady poufne dla uczniów swoich, prowadzić nauczanie równoległe, wyjaśniające pierwsze, wykazujące właściwy jego podkład i przenikające do dna prawd duchowych, jakie czerpał z tradycji ezoterycznej Esseńczyków i z własnego swojego doświadczenia. Tradycja ta tłumiona była gwałtownie przez Kościół, zacząwszy od drugiego wieku i dla tego większości teologów obcą już jest właściwa doniosłość słów Chrystusowych, ich znaczenie podwójne i potrójne; widzą oni w nich tylko ich znaczenie pierwotne i literalne. Dla tych natomiast, którzy zgłębili doktrynę Tajników Indji, Egiptu i Grecji, myśl ezoteryczna Chrystusa ożywia nie tylko każde, najdrobniejsze chociażby słowo jego, lecz również i wszystkie czyny jego życia.

---

<sup>1)</sup> *Mammon* — słowo aramejskie, oznaczające pieniąż, zysk (gr. *mamonas*) używane jest w Nowym Testamencie jako uosobienie bogactwa, jako potęga przeciwstawna Bogu. Mat. VI, 24; Łuk. XVI, 9 11, 13). (Przyp. tłum).



Jest to widoczne już u trzech synoptyków, a już zupełnie wyraźne w Ewangelji Ś-go Jana. Oto przykład, dotykający punktu zasadniczego doktryny:

Jezus jest chwilowo w Jerozolimie. Nie naucza jeszcze w świątyni, lecz uzdrawia chorych i miewa wykłady u przyjaciół. Dzieło miłości przygotować ma grunt, na który padnie dobre nasienie. Nikodem, uczonego Faryzeusz, „książe żydowski“ słyszał o nowym proroku. Pałając ciekawością, lecz nie chcąc narażać się wobec swoich, prosi o rozmowę tajemną z Galilejczykiem. Jezus zgadza się. Nikodem przychodzi nocą do jego mieszkania i mówi doń: „Rabi, wiemy, żeś przyszedł od Boga Nauczycielem, bo żaden tych znaków czynić nie może, które ty czynisz, jeśli by z nim Bóg nie był.—

A na to Jezus:—Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci: Jeśli się kto *nie odrodzi znowu*, nie może widzieć królestwa Bożego.—

Rzekł do niego Nikodem:—Jakoż się może człowiek narodzić, będąc starym?: zali może powtórę wniknąć w żywot matki swojej i odrodzić się?—

Odpowiedział Jezus: — Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli by się kto *nie odrodził z wody a z Ducha Świętego*, nie może wniknąć do królestwa Bożego“ <sup>1)</sup>.

W tej formie, wyraźnie symbolicznej, streszcza Jezus starożytną doktrynę odradzania się, znaną już w misterjach egipskich. Odrodzenie się z wody i z ducha, przejście przez chrzest wody i ognia—zaznacza dwa stopnie wtajemniczenia, dwa etapy wewnętrznego i duchowego rozwoju człowieka. Woda wyobraża tutaj prawdę, pojętą duchowo, to znaczy w jej znaczeniu oderwanem i ogólnem. Oczyszcza ona duszę i rozwija zarodek jej duchowy.

<sup>1)</sup> Ew. Jana, III, 2, 3, 4, 5.

Odrodzenie się z ducha, czyli chrzest ognia (niebiańskiego) oznacza przyswojenie sobie tej prawdy wołą tak, aby stała się ona krwią i życiem, duszą wszystkich czynów. Wynikiem jego jest ostateczne zwycięstwo ducha nad materją, nieograniczone panowanie duszy uduchowionej, przeistoczonej w narzędzie posłuszne, nad ciałem. Panowanie to, budzące wspólne władze duszy, otwierające jej zmysł wewnętrzny, darzy ją intuicyjnym widzeniem prawdy i zdolnością oddziaływania bezpośredniego duszy na duszę. Stan ten równa się stanowi niebiańskiemu, zwanemu przez Jezusa Chrystusa królestwem Bożem. Chrzest z wody, czyli wtajemniczenie intelektualne, jest więc zapoczątkowaniem odrodzenia; chrzest z ducha jest odrodzeniem całkowitem, przeistoczeniem całkowitem, przeistoczeniem duszy ogniem intelektu i wołą, a tem samym do pewnego stopnia przeistoczeniem pierwiastków ciała, słowem odrodzeniem radykalnem. Ztąd władza wyjątkowa, jaką daje ono człowiekowi.

Takiem jest znaczenie ziemskie rozmowy wybitnie teozoficznej Faryzeusza Nikodema z Jezusem. Posiada ona wszakże znaczenie inne, które możnaby nazwać krótko: doktryną ezoteryczną o ustroju człowieka. W myśl tej doktryny człowiek jest potrójny; składa się z ciała, duszy i ducha. Posiada część nieśmiertelną i niepodzielną: ducha; część niszczytelną i podzielną: ciało. Dusza, spajająca je obie, podziela naturę obu. Jako organizm żywy, ma ona ciało eterowe, lotne, podobne do ciała materialnego, które, bez tego sobowtóra niewidzialnego, nie miałoby ani życia, ani ruchu, ani jedności. Zależnie od tego, czy człowiek ulega podszeptom ducha czy pokusom ciała, zależnie od tego, czy przekłada on związaną się z jednym nad związaną się z drugim, ciało lotne staje się bardziej rozwiewnem lub zgęszcza się, zespala się lub rozprasza.



W ten sposób podlega większość ludzi, po śmierci fizycznej, — powtórnej śmierci duszy, to znaczy wyzbyciu się nieczystych pierwiastków swojego ciała astralnego, czasem nawet powolnemu jego rozkładowi. Natomiast człowiek zupełnie odrodzony, który już na ziemi ukształtował swoje ciało duchowe, posiadał niebo swoje w duszy własnej, ulatuje więc w sfery, ku którym pociąga go jego pokrewność im.

Otóż woda w ezoteryzmie starożytnym symbolizuje materję fluidową nieskończenie przekształcalną, zaś ogień symbolizuje ducha czystego. Mówiąc o odrodzeniu z wody i z ducha, czyni Chrystus aluzję do podwójnego tego przekształcania się jego istoty duchowej i jego otoczki fluidowej, jakie czeka człowieka po jego śmierci i bez którego nie może on wejść do królestwa dusz błogosławionych i duchów czystych. Bowiem „co się narodziło z ciała, jest ciałem (to znaczy zniszczalnem i przykutem), a co się narodziło z Ducha, duchem jest (to znaczy wolnem i nieśmiertelnem)... Duch, kędy chcę, tchnie i głos jego słyszysz, ale nie wiesz skąd przychodzi ni dokąd idzie; tak jest wszelki, który się narodził z Ducha“<sup>1)</sup>.

Tak przemawia Jezus do Nikodema w ciszy nocy jerozolimskiej. Mała, umieszczona pomiędzy nimi, lampka słabo oświetla niewyraźne zarysy postaci obu rozmawiających. Oczy mistrza galilejskiego błyszczą wszakże w ciemności światłem tajemniczym. Jakże nie wierzyć w duszę, patrząc w te oczy, czasem łagodne a czasem ogniem płonące?

Uczony Faryzejczyk widzi, że burzy się cały gmach jego wiedzy tekstów, natomiast odsłania się przed nim świat nowy. Dostrzegł promień w oku proroka, którego długie włosy kasztanowate opadają falisto na ramiona.

---

<sup>1)</sup> Ew. Jana III, 6-8.

Czuł, iż zar potężny jakim zionie cała istota mistrza, pociąga go ku niemu. Widział ukazujące się i znikające, niby aureola magnetyczna, trzy małe płomyki białe dookoła skroni jego i czoła. Doznał w tej chwili wrażenia, jak gdyby tchnienie Ducha owionęło serce jego.— Wzruszony, milczący, wraca Nikodem pospiesznie do domu w noc głęboką. Będzie żył dalej w pośród Faryzeuszów, lecz w głębi serca swego wiernym pozostanie Jezusowi.

Zaznaczmy jeden jeszcze zasadniczy punkt tego nauczania. W myśl doktryny materialistycznej jest dusza przelotnym, przypadkowym wpływem sił fizycznych; podług zwykłej doktryny spirytualistycznej jest ona pojęciem oderwanem, pozbawionem wszelkiej z ciałem łączności; wedle doktryny ezoterycznej — jedynie racjonalnej — jest ciało fizyczne wytworem nieustannej pracy duszy, działającej na nie za pośrednictwem organizmu, posiadającego tę samą naturę, zatem ciała astralnego, podobnie jak wszechświat widomy jest tylko wpływem siły czynnej Ducha nieskończonego.

Dlatego podaje Jezus doktrynę tę Nikodemowi jako wytłomaczenie cudów, jakich dokonywa. Może ona służyć w istocie za klucz lecznictwa okultystycznego, uprawianego zarówno przez niego samego, jak i przez małą garstkę adeptów i świętych przed Chrystusem i po nim. Zwykle lecznictwo zwalcza choroby ciała oddziaływaniem na ciało. Adept czy święty, będący ogniskiem siły duchowej i fluidalnej, działa bezpośrednio na duszę chorego, zaś za pośrednictwem ciała astralnego—na jego ciało fizyczne. Dzieje się to również we wszystkich przejawach uzdrawiania magnetycznego. Jezus działa za pośrednictwem sił, istniejących w każdym człowieku, jego wszakże działanie wyróżnia się rozmachem, potęgą i skupieniem swoich rzutów. Przekazuje Skrybom i Faryzeuszom swoją władzę leczenia ciała, jako dowód swojego daru odpuszczania



grzechów i uzdrawiania duszy, co stanowi cel jego najwyższy. Uzdrawianie fizyczne staje się w ten sposób sprawdzianem uzdrowienia moralnego, które pozwala mu rzec do człowieka: Wstań i chodź!—Nauka obecna usiłuje tłumaczyć zjawiska te, nazywane w starożytności i w wiekach średnich opętaniem, jako zwykle zaburzenie nerwowe.

Wyjaśnienie to jest niewystarczające. Psychologowie, usiłujący wniknąć głębiej w tajniki duszy, dopatrują się w zjawisku tem rozdwojenia świadomości, przedzierania się jej części ukrytej na powierzchnię. Pytanie to zahacza już o sprawę odrębnych płaszczyzn świadomości ludzkiej, działającej raz na jednej to znów na innej płaszczyźnie i przejawiającej się, dzięki ruchliwości swojej, w rozmaitych stanach somnambulicznych. Zahacza ono również o dziedzinę nadwrażliwości. Bez względu jednak na ostateczne rozstrzygnięcie tego pytania, posiadał Jezus niewątpliwie władzę doprowadzania do równowagi ciał, wytraconych z niej i budzenia w duszach doskonalszego stopnia świadomości.

„Prawdziwą sztuką czarodziejską — powiedział Platon — jest miłość, nienawiść jest jej przeciwieństwem. Miłością i nienawiścią kierowani, działają czarodzieje za pomocą napojów swoich i swoich uroków“. Miłość w najwyższym stopniu jej uświadomienia i w najwyższej jej potędze — oto tajemnica czarodziejskiej mocy Chrystusa.

Liczni uczniowie uczestniczyli w nauczaniu poufnem. Wszelako dla utrwalenia nowej religii należało uruchomić zastęp wybrańców czynnych, którzy mogliby stać się filarami duchowej świątyni, jaką zbudować chciał obok owej istniejącej już świątyni ziemskiej. Ztąd instytucja Apostołów. Nie wybierał ich z pośród Esseńczyków, bowiem szukał natur dzielnych i nietkniętych, a nadewszystko zaszcześcić chciał religję swoją w sercu ludu. Dwie

grupy braci: Szymon Piotr i Andrzej, synowie Jonasowi z jednej strony i Jan i Jakób, synowie Zebedeuszowi — z drugiej, wszyscy czterej rybacy z zawodu, pochodzący z rodzin zamożnych, utworzyli pierwszy związek Apostołów. W pierwszym czasie publicznej działalności swojej zjawia się Jezus w ich domu w Kapharnaum, nad brzegiem jeziora Genezaret, gdzie znajdowały się ich miejsca połowu ryb. Mieszka u nich, naucza, nawraca całą rodzinę. Piotr i Jan wysuwają się na pierwszy plan, górując nad pozostałymi, jako dwie postacie główne. Piotr, — serce prawe i proste, umysł naiwny i zamknięty w ciasnych względnie granicach, równie skory do świetlanych nadziei jak do ponurego zniechęcenia, wszelako człowiek czynu, nadający się do przewodzenia innymi dzięki charakterowi swojemu energicznemu i silnej swojej wierze bez zastrzeżeń. — Jan, natura głęboka i skupiona, tak płomiennie entuzjastyczna, że Jezus nazywał go „synem gromu“. Z cechami temi łączył umysł intuicyjny, duszę gorącą, zawsze niemal w sobie samej zamkniętą, zazwyczaj marzycielską i melancholijną, wybuchy potężne, szal apokaliptyczny, lecz zarazem głębie uczuciowości, o jakie trudno go nawet podejrzewać i jakie mistrz jedynie w nim odkrył. On jeden, milczący, kontemplacyjny, rozumie najgłębiej myśl Jezusa. Będzie on Ewangelistą miłości i rozumu boskiego, właściwym Apostołem ezoterycznym.

Nawróceni słowami Jezusa, przekonani dzięki jego czynom, korzący się przed wielkim jego rozumem i ogarnięci promieniowaniem jego magnetyzmu, szli Apostołowie za mistrzem od grodu do gródu. Głoszenie nowej nauki, „dobrej nowiny“, ludowi zgromadzonemu przeplatało nauczanie w kole ściślejszem. Stopniowo otwierał przed Apostołami myśl swoją. Bądź co bądź wszakże głęboką jeszcze zachowywał tajemnicę co do własnej osoby, co do roli swojej i własnej swojej przyszłości. Oznajmił im



jedynie bliskość królestwa niebieskiego i przyjścia Mesjasza. Już szepotali Apostołowie między sobą: „To On!“ — i powtarzali to dokoła. On sam wszakże, z właściwą sobie łagodną powagą nazywał się „Synem Człowieczym“ — określeniem, którego znaczenia ezoterycznego nie rozumieli oni jeszcze wówczas, a które mówić się zdawało w jego ustach: zwiastun ludzkości cierpiącej. Dodawał bowiem: „Lisy mają jamy, a ptaki niebieskie — gniazda, lecz Syn Człowieczy nie ma gdzie skłonić głowy<sup>1)</sup>“. Apostołowie wyobrażali sobie Mesjasza zgodnie z ludowym pojęciem żydowskim; w naiwnych nadziejach swoich rozumieli królestwo niebieskie jako formę rządu politycznego, którego ukoronowanym monarchą byłby Jezus, a oni mistrzami. Zwalczenie pojęcia tego, przestoczenie go od początku do końca, objawianie Apostołom prawdziwego Mesjasza, królestwa ducha; wtajemniczenie ich w ową prawdę szczytną, zwaną przez niego Ojcem, siłą najwyższą, którą nazywał Duchem, siłą tajemniczą, zespalającą dusze wszystkie ze światem niewidzialnym; wskazanie im słowem swoim, swoim życiem i śmiercią swoją prawdziwego Syna Bożego; utrwalenie w nich przeświadczenia, że i oni i wszyscy ludzie są braćmi i mogą zjednoczyć się z nim, jeśli zechcą; nieopuszczanie ich, dopóki nie otworzy nadziejom ich całego bezkresu nieba; — takim było potężne dzieło Jezusa, obowiązek, jaki miał do spełnienia względem Apostołów. Czy uwierzą, czyli nie uwierzą?

Oto węzeł dramatu, jaki rozgrywa się między nim a nimi.

Istnieje boleśniejszy jeszcze i straszliwszy, ten, jaki wstrząsa własną jego duszą Zbliżamy się już doń.

---

<sup>1)</sup> Ew. Łuk. X.58.

W tej chwili bowiem fala radości zalewa myśl tragiczną, lęgnącą się w świadomości Chrystusa. Burza nie rozpętała się jeszcze nad jeziorem Tyberjadzkim<sup>1)</sup>. To galilejska wiosna Ewangelji, jutrznia królestwa Bożego, zaślubiny mistyczne wtajemniczonego z duchową jego rodziną. Idzie ona za nim, odbywa wraz z nim wędrówkę, jak orszak paranimf za oblubieńcem w przypowieści. Gromada wiernych ciśnie się śladami mistrza ukochanego. Idzie brzegiem jeziora lazurowego, zamkniętego w oprawie gór, niby w kruży złotej. Idzie z nad soczystych łąk Kapharnaum do gajów pomarańczowych Betsaïdy, do górzystego Korazimu, gdzie bukiety palm cienistych górują ponad wodami Genezarethu. W tym orszaku Jezusowym kobiety osobne mają miejsce. Matki i siostry uczniów, dziewice nieśmiałe, czy grzesznice żalujące, otaczają go w każdym miejscu. Wsłuchane, wierne, płonące miłością, ścielą mu pod stopy, niby kwiecie wonne, swój aromat nadziei i smutku. Im nie potrzeba wykazywać dopiero, że Jezus jest Mesjaszem. Wystarcza im, gdy widzą go, a wiedzą. Dziwna błogość, jaką tchnie cała atmosfera dookoła niego, zmieszana z nutą boskiego, niewypowiedzianego cierpienia, jakie dźwięczy w głębi jego istoty, przekonują ją, że stoją wobec Syna Bożego. Już w zaraniu młodości swojej zagłuszył w sobie Jezus głos ciała; pokonał podczas pobytu u Esseńczyków moc zmysłów. Zdołał ten rząd dusz i boski dar przebaczenia, ową rokosz aniołów. Do grzesznicy, tarzającej się u stóp jego w fali włosów rozsypanych kaskadą na plecy, wśród balsamów rozlanych, rzeknie: „Wiele jej będzie odpuszczonem, bo wiele kochała“. Wzniosłe słowo, w którym całe mieści się odkupienie; bowiem, kto przebacza — wyzwała.

<sup>1)</sup> Inaczej jezioro Genezareth, nad którym położone było miasto Tyberjada w prowincji Galilejskiej, w Palestynie — tąż nazwa. (Przyp. tłum.).



Chrystus podniósł i wyzwolił kobietę bez względu na to, co mówią o tem: Ś-ty Paweł i Ojcowie Kościoła, którzy, spychając ją do roli służebnicy mężczyzny, wypaczyli myśl mistrza. Epoka wedyjska miała cześć dla kobiety; Buddha nie ufał jej; Chrystus podniósł ją, składając w jej ręce własne swoje posłannictwo miłości i wieszczenia. Kobieta wtajemniczona wyobraża duszę Ludzkości, Aiszę, jak ją nazwał Mojżesz, zatem Potęgę Intuicji, zdolność miłowania i jasnowidzenia. Burzliwa Magdalena, z której Jezus — wedle wyrażenia biblijnego — wypędził siedmiu djabłów, stała się najgorętszą jego wyznawczynią. Ona to pierwsza — jak utrzymuje Jan — ujrzała boskiego mistrza, Chrystusa duchowego, zmartwychwstałego na grobie jego. Legenda uporczywie dopatrywała się w namiętnej, wierzącej kobiecie najgorętszej wielbicielki Jezusa, wtajemniczonej jego serca, — i nie myliła się. Historia jej jest uosobieniem całego odrodzenia kobiety w myśl Chrystusa.

W małym domku w Betanji, pomiędzy Marją i Magdaleną, lubił Jezus odpoczywać po trudach posłannictwa swojego, przygotowując się do prób ostatnich. U nich roztaczał najśliczniejsze swoje pocieszenia, w ciepłych z niemi gawędach mówił o tajemnicach boskich, których nie miał jeszcze odwagi powierzać uczniom swoim. Czasem, w porze, kiedy złoto zachodu błędnie wpośród gałęzi drzew oliwnych, kiedy zmierzch zacierają już zarysy drobnego ich listowia, wpadał Jezus w zadumę. Zasłona padała na jego oblicze świetlane. Myślał o trudnościach dzieła swojego, o chwiejnej wierze Apostołów, o wrogich potęgach świata. Świątynia, Jerozolima, ludzkość, z występkami jej i jej niewdzięcznością, waliły się na niego, niby góra żywa.

Czy będą dość mocarne ramiona jego, wyciągnięte ku niebu, aby na proch ją zetrzeć czyli też legnie

zmiażdżony ogromem jej ciężaru? W chwilach takich mgliście wspominał o przejściu straszliwym, jakie go czeka i o bliskim końcu swoim. Prerażone uroczystym tonem słów jego, nie śmiały niewiasty pytać go więcej. Jakkolwiek niewzruszenie był zawsze pogodny, rozumiały, że dusza jego spowita jest jak gdyby w całun smętku niewypowiedzianego, oddzielający go od radości życia. Przeczuwały przeznaczenie proroka, czuły postanowienie jego niezłomne. Skąd chmury te ciemne, nadciągające od strony Jerozolimy? Skąd wiatr ten, pałący gorączką i śmiercią, owiewający zarówno serca ich, jak wysuszone pagórki Judei o barwach trupio fioletowych? Pewnego wieczoru... Iza, gwiazda tajemnicza, błysnęła w oku Jezusa. Drgnęły trzy niewiasty i nieme łzy ich spłynęły w ciszy Betanji. Niewiasty opłakiwały Chrystusa, a on opłakiwał ludzkość.—



WALKA Z FARYZEUSZAMI — UCIECZKA DO CEZAREI —  
PRZEMIENIENIE

Dwa lata trwała ta wiosna galilejska, podczas której, pod tchnieniem słów Chrystusa, błyszczące lilje anielskie zdawały się rozkwitać w powietrzu, przepojonem wonią balsamów, a jutrznia królestwa niebieskiego wznosić się po nad wsłuchanemi tłumami. Rychło wszakże zasnuło się niebo chmurami, rozdieranemi przez ponure błyskawice, zwiastuny katastrofy. Nad nieliczną ową rodziną z ducha rozszalała burza, podobna do jednej z tych, co srożą się nad jeziorem Genezareth i chłoną w rozwścieczeniu swem wąż łodzie rybackie. Przerząła ona uczniów; Jezusa nie zdziwiła bynajmniej. Spodziewał się jej. Niemożliwością było, aby jego głoszenie nauki nowej i wzrastająca jego popularność nie poruszyły starszyny religijnej żydowskiej. Niepodobna też, aby pomiędzy nią a nim nie zawiązała się walka głęboka. Co więcej, światło z tego zderzenia jedynie wytrysnąć mogło.

Za czasów Jezusa tworzyli Faryzeusze zwarty zastęp sześciotysięczny. Ich nazwa *Perishin* oznaczała: oddzielonych czyli wyróżnionych. Zapaleni patrijoci, ciałni

wszakże i dumni, stanowili oni stronnictwo, którego hasłem było przywrócenie dawnej świetności narodowej. Istnienie jego datowało od Machabeuszów dopiero. Obok tradycji pisanej uznawali też tradycję ustną. Wierzyli w aniołów, w życie przyszłe, w zmartwychwstanie. Te, idące z Persji, przebłyski ezoteryzmu, tonęły wszakże w powodzi grubej, materjalistycznej interpretacji. Ścisłe przestrzegający litery prawa, pozostający wszakże w zupełnej sprzeczności z duchem proroków, dla których religja streszczała się w miłowaniu Boga i ludzi, dawali wyraz pobożności swojej w sprawowaniu jedynie obrządków i praktyk religijnych, w zachowywaniu postów i odbywaniu pokuty publicznej. Widzieć ich można było w dni uroczyste, przebiegających ulice z twarzami pokrytymi sadzą, zawodzących i modlących się głosem strapionym i ostentacyjnie rozdających jałmużnę. Po za tem żyli w przepychu i chciwie zagarniali dostojęństwa i władzę. Mimo to stali na czele stronnictwa demokratycznego i mieli cały lud w swoich rękach. —

Sadyceusze, natomiast, uosabiali stronnictwo kapłańskie i arystokratyczne. Tworzyły je rodziny, roszczące sobie, na mocy dziedziczości, prawo pełnienia obowiązków kapłańskich od czasów Dawida. Zaciekli wstecznicy, odrzucali tradycję ustną, wierząc jedynie w litere prawa pisanego; nie uznawali duszy i życia przyszłego. Szydzili też z głośnych praktyk Faryzeuszów i ich wierzeń, niedorzecznych ich zdaniem. Religja w ich pojęciu polegała wyłącznie na sprawowaniu obrządków kapłańskich. Utrzymywali pontyfikat za Seleucydów, doskonale zgadzając się z bałwochwalcami, przesiakając nawet sofistyką grecką oraz epikureizmem wytwornym. Za Machabeuszów usunięci zostali przez Faryzeuszów od pontyfikatu, który odzyskali wszakże za Heroda i Rzymian. Byli to ludzie twardzi i zawzięci, kapłani używający życia,



wyznający jedyną tylko wiarę: w własną swoją wyższość i mający za dążenie jedyne: utrzymanie władzy, jaką posiadli na mocy tradycji.

Co mógł widzieć w religii podobnej Jezus, wtajemniczony, następca proroków, natchniony jasnowidzący z Engaddi, dopatrujący się w porządku społecznym odzwierciedlenia porządku boskiego, w którym sprawiedliwość rządzi życiem, wiedza—sprawiedliwością, a mądrość wszystkimi trzema?

W świątyni, w przybytku najwyższej wiedzy i wtajemniczenia — ciemnota materialistyczna i agnostyczna, posiłkująca się religją, jako narzędziem władzy,—zatem—szalbierstwo kapłańskie. — W szkołach i synagogach, zamiast chleba życia i rosy niebiańskiej, któremi darzyć miano serca,—moralność interesowna, w obłonce pobożności formalistycznej — więc obłuda religijna. W dali, ponad nimi, tronujący w glorii, Cezar wszechpotężny, apoteoza zła, ubóstwienie materji, Cezar, jedyny ówczesny Bóg świata, jedyny możliwy władca Sadyceuszów i Faryzeuszów, z wolą ich czy wbrew niej.—

Czyż nie miał słuszności Jezus, który, zapożyczając, wzorem proroków, pojęcie to z ezoteryzmu perskiego, nazwał panowanie Cezarowe krolestwem Szatana czy Ahrymana, to znaczy panowaniem materji nad duchem, któremu przeciwstawić chciał opanowanie materji przez ducha?

Jak wszyscy wielcy reformatorzy zwaiczał nie ludzi, pośród których mogły być wyjątki doskonałe, lecz doktryny i urządzenia społeczne, jako formy, służące do odlewania z nich większości. Wyzwanie musiało być rzucone, wojna wypowiedziana chwilowym potęgom świata.

Walką zawrzała pierwotnie w synagogach galilejskich, skąd przeniosła się pod portyki świątyni jerozolimskiej, w której Jezus długo nieraz przebywał, nauczając i sta-

wiając mężnie czoło przeciwnikom swoim. W tem, jak w całej wogóle karierze swojej życiowej, działał on z cechującym zawsze jego cudownie zrównoważoną naturę połączeniem przezorności i męstwa, przezorności, będącej wynikiem długich rozmyślań i czynu nieustraszonego. Nie wystąpił pierwszy przeciwko przeciwnikom swoim, lecz czekał na zaczepkę z ich strony, aby godnie na nią odpowiedzieć. Nie wypadło mu długo czekać. Od samego już początku wystąpienia swojego na widownię wzbudził on ządrość Faryzeuszów cudownem uzdrawianiem chorych i wzrastającą wciąż popularnością swoją. Niebawem podejrzewać w nim zaczęli wroga najniebezpieczniejszego. Jęli się więc zaczepiać go z szyderczą grzecznością i przebiegłą złośliwością, z zamaskowaną, obłudną słodyczą, która stałą była ich cechą. Jako uczeni doktorowie, jako ludzie, zajmujący wybitne stanowiska, zażądali od niego zdania sprawy z powodów jego obcowania z celnikami i ludźmi nagannego życia.— Dla czego uczniowie jego poważali się zbierać kłosa z pola w dzień sobotni?—Wszystko to było poważnem wykroczeniem przeciw obowiązującym przepisom. Jezus odpowiedział im ze zwykłą słodyczą swoją i szerokością poglądów, wyrazami łaskawości i dobroci. Probował na nich swojego słowa miłości. Zaczął mówić im o ukochaniu Boga, którego bardziej raduje jeden nawrócony grzesznik, aniżeli kilku sprawiedliwych. Opowiedział im przypowieść o zblakanej owcy i o synu marnotrawnym. Stropieni umilkli. Naradziwszy się wszakże powtórnie, ponowili napaści, zarzucając mu nieszanowanie dnia sobotniego, uzdrawianie w nim chorych. „Obłudnicy!— odparł Jezus z błyskiem oburzenia w oku — czyż każdy z was w sabat nie odwiązuje wołu swojego albo osła od żłobu i wiedzie napawać? a tej córki Abrahamowej, którą związał szatan oto osiemnaście lat, niepotrzeba było od



związki tej rozwiązać w dzień sobotni?“— 1). Nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, zarzucili mu Faryzeusze, że wypędza demony w imię Belzebuba. Jezus odpowiedział im równie trafnie jak mądrze, że djabeł nie wypędza się sam; że grzech przeciwko Synowi Człowieczemu będzie wybaczony, nigdy wszakże nie uzyska odpuszczenia grzech przeciwko Duchowi Świętemu. Chciał przez to powiedzieć, że mało sobie robi z obelg na jego własną osobę miotanych, lecz że przeczenie Dobru i Prawdzie, kiedy się je stwierdziło, jest przewrotnością umysłu, występkiem najwyższym, złem nie do naprawienia. Powiedzenie to było rzuceniem rękawicy. Wołano nań: „błuźnierco,“— a on odpowiadał: „Obłudnicy!“ — „Poplecznik Belzebuba!“,— a on: Rodzaju jaszczurczy!“— Od tej chwili zawrzała walka, potężniejsza coraz bardziej—Jezus rozwiniął w niej ostrą, ciętą djalektykę. Słowa jego chłostały niby cięciem bicia, przeszywały jak strzała. Zmienił taktykę; zamiast się bronić, atakował i na zarzuty odpowiadał zarzutami jeszcze mocniejszymi, nieubłagany zwłaszcza wobec kardynalnej wady Faryzeuszków—obłudy. Albowiem Bóg rzekł: „Czcij ojca i matkę; któryby złoczył ojcu i matce, śmiercią niechaj umrze. A wy powiadacie: — Ktobykolwiek rzekł ojcu albo matce: dar, którykolwiek jest ze mnie, tobie pożyteczny będzie: I nie będzie ccił ojca swego albo matki swojej, i skaziliście rozkazanie Boże dla ustawy waszej. Obłudnicy, dobrze o was prorokował Izajasz, mówiąc: ten lud czcii mnie wargami, ale serce ich daleko jest odemnie“ 2).

Ani na chwilę nie utracił Jezus panowania nad sobą, zapalał się jedynie w walce i potężniał. W miarę im mocniejsze stawały się napaści na niego, tem jawniej

1) Ew. Ś. Łuk. XIII, 15, 16.

2) Ew. Ś. Mat. XV, 4, 5, 6, 7, 8.

występował jako Mesjasz. Zaczynał grozić świątyni, przepowiadać klęski Izraela, mówić, że Pan innych ześle pracowników do winnicy swojej. „Albowiem przyjdą na cię dni, i otoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem i oblegą cię, i ścisną cię zewsząd. I na ziemię cię obalą, i synów twoich, którzy w tobie są, a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu“....<sup>1)</sup>).

Poruszyło to Faryzeuszów jerozolimskich. Widząc, że ust mu nie zamkną, ani go nie odeprą, zmienili i oni taktykę. Umyślili zastawić nań sidła, „podchwycić go w mowie“. Posłali mu tedy uczniów swoich z Herodjanami, aby sprowokować go do wypowiedzenia herezji, które pozwoliłyby sanhedrynowi ująć go w imię Zakonu Mojżeszowego, jako bluźniercę lub też dałyby możliwość gubernatorowi rzymskiemu skazać go jako buntownika. Takim było źródło podstępnych pytań o kobietę cudzołożną i o czynsz Cezarowy. Jezus, przenikający zawsze zamiary swoich przeciwników, rozbroił ich odpowiedziami swojemi, w których występował jako głęboki psycholog i zręczny strategik. Widząc, że nie uda się im przyłapać go, próbowali Faryzeusze osłabić go drażnieniem i zaczepianiem na każdym kroku. Podszuczowana przez nich większość ludności odwracać się już od niego zaczęła, widząc, że nie odbudowuje on Królestwa Izraelskiego. Wszędzie, w osadzie najlichszej, spotykał twarze podejrzliwe i podstępne, znajdował śledzących go szpiegów, obłudnych wysłańców, których zadaniem było zniechęcać go.

Niektórzy z nich mówili mu: — „Wynijdź, a idź stąd, bowiem Herod (Antypas) chce cię zabić! A on rzekł im: „Idźcie a powiedźcie lisowi onemu:—nie może być, aby prorok gdzieindziej zginął okrom w Jeruzalem.“<sup>2)</sup>“. Musiał

<sup>1)</sup> Ew. Ś. Łuk. XIX, 43, 44.

<sup>2)</sup> Łuk. XIII. 31, 33.



jednakże przeprować się kilkakrotnie przez morze Tyberjadzkie i schronić się na wschodnim wybrzeżu, aby uniknąć tych zasadzek. Nigdzie wszędy nie był już bezpiecznym. W tym czasie zginął Jan Chrzyciel, któremu Antypas kazał ściąć głowę w twierdzy Makeru. Mówią, że Hannibal, ujrawszy głowę brata swojego, Azdrubala, zabitego przez Rzymian, zawołał: „Teraz poznaję los Kartaginy!“ Podobnie poznać mógł Jezus własny swój los w śmierci swojego poprzednika. Nie miał zresztą co do tego wątpliwości od czasu wizji swojej w Engaddi; z góry już przyjął los ten, rozpoczynając dzieło swoje; mimo to wszakże nowina ta, przyniesiona przez zasmuconych uczniów głosiciela na puszczy, ugodziła Jezusa jako przepowiednia ponura. Zawołał tedy: „Nie poznali go, lecz uczynili z nim, co chcieli. Tak oto Syn Człowieczy przez nich ucierpi“.

Apostołowie niepokoiili się; Jezus wahał się w wyborze drogi. Nie chciał dać się pojmać, bowiem pragnął oddać się dobrowolnie z chwilą, gdy dzieła swojego dokona i skończyć życie jak prorok w obranej przez siebie godzinie. Osaczony już od roku, nawykły do wymykania się nieprzyjacielowi i rozgoryczony na lud, którego ochłodzenie po dniach zapału wyraźnie odczuwał, postanowił Jezus raz jeszcze uciec wraz z wiernymi swoimi. Stawwszy na szczycie góry wraz z dwunastoma uczniami, odwrócił się, aby spojrzeć po raz ostatni na jezioro swoje ukochane, na którego brzegach chciał dać wzejść jutrzence królestwa niebieskiego. Ogarnął wzrokiem miasta, położone nad brzegiem wód lub spiętrzone na górach, tonące w oazach zielonych, bielejące w złotej poświacie zmierzchu, wszystkie te grody umiłowane, w których siał słowo życia, a od których teraz widział się opuszczonym. Miał przeczucie przyszłości. Okiem proroczym widział ten kraj wspaniały, zamieniony w pustynię pod mściwą dłońią

Izmaela, i z ust jego spadły bez gniewu, lecz pełne gorczy i melancholji, słowa: „Biada ci Kapharnaum! Biada ci, Korazyń! Biada ci, Betsaido!“ Potem, zwracając się w stronę świata pogańskiego, poszedł wraz z Apostołami drogą, wiodącą ku dolinie Jordanu, z Gadary do Cezarei Filipowej.

Smutną i długą była droga gromadki, uciekającej po przez wielkie płaszczyzny sitowia i maremmy górnego Jordanu, pod pałacem słońcem syryjskiem. Noce spędzano pod namiotem pasterzy bawołów lub też u Esseńczyków, osiadłych w małych grodach zapadłego tego kąta. Zgnębieni uczniowie pochylali głowy; smutny i milczący Mistrz pogrążony był w rozmyślaniach. Myślał o niemożliwości wszczęcia nauki swojej w serce ludu samem tylko głoszeniem jej, myślał też o groźnych knowaniach przeciwników swoich. Walka ostateczna stawała się nieuniknioną; stanął w ulicy bez wyjścia; jak wydostać się z niej? Myśl Jezusa ogarniała też z troską nieskończoną rozproszoną jego rodzinę duchową, zwłaszcza dwunastu Apostołów, którzy, wierni mu i ufający, porzucili wszystko, aby iść za nim: rodzinę, zawód, dobrobyt, a których serca miały być rozdarte i zawiedzione nadzieje, pokładane w Mesjaszu zwycięskim. Czy mógł pozostawić ich samych sobie? Czy prawda dostatecznie ich przeniknęła? Czy uwierzą, mimo wszystko, w niego i w naukę jego? Czy wiedzą kim jest? Pod wpływem troski tej zadał im dnia pewnego pytanie:—Kim mienią być ludzie Syna człowieczego?

A oni rzekli:—Jedni Janem Chrzcicielem, a drudzy Eljaszem, a inni Jeremjaszem, albo jednym z proroków.

Rzekł im Jezus:—A wy kim mnie być powiadacie?

Odpowiadając, Szymon Piotr rzekł:—Tyś jest Chrystus, Syn Boga żywego<sup>1)</sup>.

<sup>1)</sup> Mat. XVI.13.16.



W ustach Piotra i w myśli Jezusa słowa te nie zna-  
czyły, jak tego chciał w następstwie Kościół: — Jesteś  
jedynym wcieleniem Istoty bezgranicznej, wszechmocnej,  
drugą osobą Trójcy; — lecz po prostu: — jesteś Wybrań-  
cem Izraela, zapowiedzianym przez proroków. We wta-  
jemniczeniu hinduskiem, egipskiem i greckiem *Syn Boży*  
oznacza *świadomość, utożsamioną z prawdą boską, wolę, zdol-  
ną do objawienia jej.*

W myśl proroków miał być Mesjasz ten największem  
z owych objawień. Będzie on Synem Człowieczym, to  
znaczy wybrańcem ludzkości ziemskiej; synem Bożym,  
to znaczy wysłańcem ludzkości niebieskiej, i, jako taki,  
będzie miał w sobie Ojca czyli Ducha, który przez nią  
panuje nad wszechświatem.

To stwierdzenie wiary Apostołów przez usta ich przed-  
stawiciela napełniło serce Jezusa radością niewymowną.  
Zatem zrozumieli go uczniowie jego: żyć będzie w nich;  
zadzierzgnięty zostanie węzeł pomiędzy niebem a ziemią.  
Rzekł Jezus do Piotra:—Błogosławionysz Szymonie Barjona:  
bo ciało i krew nie objawiła tobie, ale Ojciec mój, który  
jest w niebiesiech<sup>1)</sup>.—

Odpowiedzią tą daje Jezus do zrozumienia Piotrowi,  
że uważa go za wtajemniczonego na tej samej zasadzie,  
co samego siebie: przez wewnętrzne, głębokie poznanie  
prawdy. Oto prawdziwe, jedyne: Objawienie, „Opoka,  
na której Chrystus zbudować chce Kościół swój, którego  
nie zwyciężą bramy piekielne“<sup>2)</sup>. Jezus liczy na Apostoła  
Piotra o tyle tylko, o ile posłędzie on tę świadomość.  
W chwilę później, kiedy staje się on znów człowiekiem  
zwykłym, wylęknionym, o ciasnym widnokregu myślowym,  
traktuje go mistrz zupełnie inaczej.

1) Św. Mat. XVI,17.

2) Św. Mat. XVI,18.

Kiedy Jezus zwiastował uczniom, że zostanie skazany na śmierć w Jerozolimie, wzięwszy go Piotr na stronę, począł go strofować, mówiąc: „Boże cię uchowaj, Paniel nie przyjdzie to na ciebie“.

Lecz Jezus, jak gdyby widząc w tym przejawie współczucia pokusę ciała, usiłującą zachwiać wielkiem jego postanowieniem, zwrócił się żywo do Apostoła i rzekł: „Pójdź za mną, Szatanie! jesteś mi zgorszeniem: iż nie rozumiesz, co jest Bożego, ale co jest ludzkiego“<sup>1)</sup>. — I gest władczy mistrza dodawał: Naprzód, po przez pustynię! — Onieśmieleni jego głosem uroczystym, pochylili Apostołowie głowy w milczeniu i poszli w drogę po kamienistych dolinach Gaulonitydy.

Ucieczka ta, którą Jezus pociągnął uczniów swoich po za granice Izraela, była jako pochód ku zagadce jego przeznaczenia mesjanicznego w poszukiwaniu ostatniego jej słowa.

Stanęli wreszcie u wrót Cezarei. Miasto, które stało się pogańskiem od czasów Antjochjusza Wielkiego, chroniło się w cieniu zielonej oazy, nad źródłem Jordanu, u stóp śnieżnych wierzchołków Hermonu. Posiadało ono swój amfiteatr, jaśniało szeregiem pałaców wspaniałych i świątyń greckich. Jezus przeszedł przez nie aż do miejsca, z którego jasnym i byстрыm potokiem wypływa Jordan z wnętrza pieczary górskiej, jak życie, tryskające z głębokiego łona niewzruszonej natury. Stała tam niewielka świątynia, poświęcona bożkowi, Panowi, a w grocie, na brzegu rodzącej się rzeki, było mnóstwo kolumn, nimf marmurowych i bóstw pogańskich. Żydzi wstręt czuli do tych oznak kultu bałwochwalczego. Jezus patrzył na nie bez gniewu, z uśmiechem pobłażliwym. Widział w nich niedoskonałe jeno wyobrażenia boskiego piękna,

---

1) Św. Mat. XVI, 22-23.



którego wzory promienne nosił w sercu własnem. Nie przyszedł, aby przeklinać pogaństwo, lecz aby je przestoczyć; nie przyszedł, aby rzucać klątwę na ziemię i tajemnicze jej potęgi, lecz aby niebo jej ukazać. Serce jego dostatecznie było wielkie, jego nauka dość rozległa, aby ogarnąć niemi wszystkie narody i powiedzieć wszystkim kultom: „Podnieście głowę i uznajcie, że macie wszyscy jednego Ojca“. A przecież znajdował się tutaj na samym krańcu Izraela, tropiony jak zwierz dziki, osaczony, wciśnięty pomiędzy dwa światy, które jednako odrzucały go. Przed nim — świat pogański, który go jeszcze nie rozumiał i w którym słowa jego przebrzmiewały bezsilne; po za nim — świat żydowski, lud, który kamienował swoich proroków i zatykał uszy, aby nie słyszeć swojego Mesjasza, banda Faryzeuszów i Saduceuszów, czyhających na swoją ofiarę. Jakiej odwagi nadludzkiej, jakich czynów niesłychanych potrzeba było, aby przełamać wszystkie te zapory, aby przeniknąć, po przez bałwochwalstwo pogańskie i oschłość żydowską, w głąb serca ludzkości cierpiącej, umiłowanej przez niego całą duszą i dać jej poznać słowo zmartwychwstania? W chwili tej, zwrotem nagłym, cofnęła się myśl jego nazad i poszła znów z biegiem Jordanu, świętej rzeki Izraela; uleciała od świątyni bożka Pana ku świątyni Jerozolimskiej, przemierzyła całą przestrzeń, oddzielającą pogaństwo starożytne od ogarniającej wszechświat myśli proroków, i, powracając do własnego swojego źródła, niby orzeł do gniazda, cofnęła się od obrazu upodlenia Cezarei do wizji w Engaddil I oto widzi znów, wylaniającą się z fal morza Martwego groźną zjawę krzyża!... Czy nadeszła już godzina wielkiej ofiary?

Jak wszyscy ludzie, miał też Jezus w sobie świadomość podwójną. Jedna — ziemską koła go uludami, podszeptując: — Kto wie? może uniknę losu mojego; druga —

boska, powtarzała nieubłaganie:— Droga zwycięstwa prowadzi przez wrota udręki.— Czy iść należało za drugim tym głosem?

We wszystkich wielkich momentach życia swojego zwykł był Jezus udawać się w góry, aby tam modlić się w zupełnej samotności. Mędrzec wedycki rzekł był niegdyś: „Modlitwa podtrzymuje niebo i ziemię i góruje nad Bóstwami“. Jezus znał tę potęgę potęg. Zazwyczaj nie pozwalał nikomu być obecnym przy takich momentach skupiania się w najgłębszych tajnikach świadomości własnej. Tym razem wszakże zabrał z sobą Piotra oraz obu synów Zebedeusza: Jana i Jakóba, na górę wysoką, aby noc tam spędzić. Legenda mówi, że to była góra Tabor.— Tam właśnie odbyło się, pomiędzy mistrzem a trzema najbliższymi wtajemniczonymi uczniami jego tajemnicze zajście owo, o którym Ewangelje opowiadają, nadając mu nazwę *Przemienienia*. Według Mateusza ujrzeli Apostołowie w przejrzystym półmroku nocy wschodniej postać mistrza świetlistą i jak gdyby przezroczą, oblicze jego, jaśniejące jak słońce, a szaty jego białe jako światłość. U boku jego ukazały się dwie postacie, które wzięli oni za postacie Proroków: Mojżesza i Eljasza.— Kiedy drżący cali, ocknęli się z odrętwienia, które wydało im się napoły snem głębokim i napoły jawą o wzmożonej czujności, ujrzeli obok siebie Mistrza, samego już i dotykającego ich, aby ich zupełnie oprzytomnić.— „Wstańcie a nie bójcie się“— rzekł. A oni, podniósłszy oczy swoje, nikogo nie widzieli, tylko samego Jezusa“.

Co widział wszakże, co czuł, co przeżył on sam podczas nocy tej, która poprzedzała akt ostateczny jego działalności proroczej?

---

1) Św. Mat. XVII, 7, 8.



Stopniowe zacieranie się rzeczy ziemskich pod wpływem żaru modlitwy i ulatywanie w sfery coraz wyższe na skrzydłach ekstazy religijnej; powrót głębią świadomości do istnienia swojego uprzedniego, duchowego wyłącznie i boskiego. Daleko już po za nimi: słońca, światy, ziemie, kołowroty wcieleń bolesnych; dokoła niego, w atmosferze jednorodnej: treść fluidualna, światło duchowe. W świetle tem zastępy istot niebiańskich tworzą strop ruchomy, firmament ciał eterowych, lśniących bielą śnieżną, z których wytryskują błyski łagodne. Na obłoku błyszczącym, na którym stoi on sam, sześć postaci potężnych w szatach kapłańskich wznosi w dłoniach splecionych kielich olśniewający jasnością. To sześciu Mesjaszów, którzy przebywali już na ziemi; siódmy; to on sam, a kielich ten oznacza ofiarę, którą ma on spełnić, wcielając się weń z kolei. Pod obłokiem huczy grom; rozwiera się przepaść czarna: krąg narodzin, odmet życia i śmierci, piekło ziemskie. Synowie Boży gestem błagalnym wnoszą kielich w górę; czeka nań niebo nieruchome. Jezus, na znak zgody wyciąga ramiona w kształcie krzyża, jak gdyby chciał objąć świat w uścisku. Wówczas Synowie Boży padają na twarz; zastęp anielic długoskrzydłych, opuszczających oczy, unosi skrzący się blaskiem kielich ku stropowi świetlistemu. — W niebiosach rozbrzmiewa *hosanna*, melodia dźwięczna... Lecz On, nie słuchając jej nawet, pogrąża się w otchłań...

Takim był ongi przebieg wydarzenia w świecie Treści, w łonie Ojca, w którym święcone są tajniki miłości wiekuistej i w którym obroty ciał niebieskich prześlizgują się jak fale lekko. Taką była treść przysięgi przez niego złożonej; takimi cel i przyczyna jego narodzin; takim powód walk, do dnia owego przez niego staczanych. I oto stawał ponownie w obliczu wielkiej przysięgi tej, u kresu dzieła swojego; ujmowała ona go znów we wła-

danie pełnią jego świadomości boskiej, którą odzyskał w momencie ekstazy najwyższej.

Straszliwa przysięga, przerażający kielich! Należało wysączyć go do dna. Po upojeniu ekstazą zbudził się na dnie otchłani, na skraju męczeństwa. Nie było już wątpliwości: nadszedł kres. Przemówiło niebo; ziemia błagalnie wzywała pomocy.

Wówczas zawrócił Jezus i powolnymi etapami zstąpił w dolinę Jordanu, skąd w dalszą udał się drogę do Jerozolimy.



IV.

OSTATNIA WĘDRÓWKA DO JEROZOLIMY — ZAPOWIEDŹ —  
WIECZERZA, SĄD, ŚMIERĆ I ZMARTWYCHWSTANIE

„Hosanna synowi Dawidowemu!“ Okrzyk ten rozbrzmiewał śladem Jezusa, wjeżdżającego wrotami wschodnimi do Jerozolimy, a deszcz gałązek palmowych słał mu się pod stopy. Witali tak entuzjastycznie proroka galilejskiego wyznawcy jego, nadbiegli z okolic i ze środka miasta, aby być świadkami jego wjazdu. Witali wybawcę Izraelowego, który wkrótce królem ogłoszon będzie. Dwunastu towarzyszących mu Apostołów wciąż jeszcze żywiło nadzieję ułudną pomimo wyraźnych zapowiedzi Jezusa. On jeden tylko, Mesjasz witany z zapalem, wiedział, że idzie na męczeństwo i że najbliżsi mu przynikną do świątyni myśli jego dopiero po jego śmierci. Zdecydowany był na nią całą pełnią świadomości swojej i całą mocą swojej woli. Ztąd rezygnacja jego, ztąd słodka jego pogoda. W chwili wjazdu w przysień ogromną, wybitą w ponurej warowni jerozolimskiej, okrzyki powitalne odbijały się o sklepienie i szły za nim, niby głos Losu, chwytającego ofiarę swoją: „Hosanna synowi Dawidowemu!“

Tym wjazdem uroczystym oznajmił Jezus władzom religijnym Jerozolimy, iż bierze na siebie rolę Mesjasza ze wszystkimi jej konsekwencjami. Nazajutrz zjawił się w świątyni, w podwórzu obcokrajowców i, kierując się ku kupcom była i zamieniaczom, których twarze lichwiarskie i ogłuszający brzęk monet bezczęściły miejsce, okalające świąty przybytek, przemówił do nich słowami Izajasza:—Napisano: dom mój dom modlitwy zwany będzie, a wyście uczynili go jaskinią zbójców<sup>1)</sup>.—Kupcy uciekli, zabierając w pośpiechu stoły swoje i swoje wory pieniędzy, ulękli się bowiem stronników Proroka, otaczających go murem zwartym, a bardziej jeszcze wzroku jego płomienistego i władczego jego gestu.

Oszołomieni kapłani zdumieli się tą śmiałością i przerazili potęgą Jezusa. Wysłannicy sanhedrynu przystąpili do niego z pytaniem: „Któż ci dał tę władzę<sup>2)</sup>).

Na pytanie to podstępnie odpowiedział Jezus, jak to miał w zwyczaju, pytaniem niemniej kłopotliwym dla przeciwników swoich:—Chrzest Janów skąd był? z nieba czyli z ludzi?—A oni rozbierali między sobą, mówiąc:—Jeśli powiemy:—z nieba—rzecze nam:—Czemużeście mu tedy nie uwierzyli?—A jeśli powiemy:—z ludzi,—boimy się rzeszy, bo wszyscy Jana mieli za proroka.—I odpowiadając Jezusowi, rzekli:—Nie wiemy.—Rzekł im też on:—Ani ja wam nie powiem, którą mocą to czynię<sup>3)</sup>.—Odparłszy wszelako cios ten, przeszedł Jezus z roli obronnej do zaczepnej i dodał:—Zaprawdę, powiadam wam, że was celnicy i wszetecznicze uprzedzą do Królestwa Bożego<sup>4)</sup>.—Poczem przyrównał ich w przypowieści do

1) Św. Mateusz XXI,13.

2) " " " 23.

3) " " " 24,27.

4) " " " 31.



złego oracza, który zabija syna pana swojego, aby odziedziczyć po nim winnicę. Kończąc przypowieść, nazwał samego siebie kamieniem węgielnym, który „zetrze na kogoby upadł“.

Z tych czynów, ze słów tych widać, że przy ostatnim wjeździe do stolicy izraelickiej chciał Jezus odciąć sobie możliwość odwrotu. Oddawna już pilnie zanotowano z własnych słów jego dwa główne punkty oskarżenia, wystarczające do zgubienia go: jego groźby, skierowane przeciwko świątyni oraz twierdzenie, że jest Mesjaszem. Ostatnie jego napaści rozjątrzyły do reszty wrogów jego. Od tej chwili śmierć jego, postanowiona przez władze, była li kwestją czasu. Od samego momentu przybycia jego najbardziej wpływowi członkowie sanhendrynu: Saduceusze i Faryzeusze, pojednani w nienawiści do Jezusa, porozumieli się, aby zgubić „uwodziciela ludu“. Wahano się jedynie pojmać go publicznie z obawy przed powstaniem ludu. Kilkakrotnie już straż wysłana, aby go ująć, wracała, pokonana jego słowami lub też zaniepokojona gromadzeniem się tłumów. Kilkakrotnie załoga wojskowa świątyni widziała go, znikającego w pośród ciżby w sposób niepojęty. W taki sam sposób cesarz Domicjan urzeczony, oszołomiony, rażony niejako ślepotą przez maga, którego chciał skazać, był naocznym świadkiem zniknięcia Apolonjusza z Tjany w obecności aeropagu sędziów z pośrodku otaczającej go straży.

Walka pomiędzy Jezusem a kapłanami trwała wciąż, wzmagając z dniem każdym ich nienawiść, a równocześnie potęgując jego siłę, żar i zapał, podniecane przeświadczeniem o nieuchronnym końcu fatalnym. Był to ostatni atak Jezusa, skierowany przeciwko tym, którzy dzierżyli chwilowo ster władzy w swoich dłoniach. Rozwinął on w nim energję niezrównaną i całą ową siłę męską, zbrojną w puklerz miłości najszczytniejszej, którą nazwać

można Wiekuistą Kobiecością jego duszy. Groźną walkę zakończyły straszliwe klątwy, rzucone przez niego na fałszerzy wiary: „Biada wam, doktorowie i Faryzeusze obłudnicy, iż zamykacie królestwo niebieskie przed ludźmi, albowiem wy nie wchodzicie, ani wchodzącym dopuszczacie wejść“! — Biada wam, głupi i ślepi, iż dajecie dziecięcinę z miętki, z anyżu i z kminku, a opuściliście co ważniejszego jest w zakonie: sąd, miłosierdzie i wiarę! — Biada wam, iżeście podobni grobom pobielanym, które zwierzchu zdadzą się piękne ludziom, ale wewnątrz pełne są kości umarłych i wszelakiego plugastwa“<sup>1)</sup>).

Napiętnowawszy tak na wieki całe obłudę religijną i fałszywą powagą kapłanów, uważa Jezus walkę swoją za ukończoną niejako. Opuszcza Jerozolimę w otoczeniu uczniów swoich i idzie z nimi na Górę Oliwną. Wspinając się coraz wyżej, widzą świątynię Heroda w całym blasku jej okazałości, z jej tarasami, obszernymi portykami, ścianami wyłożonemi marmurem, inkrustowanemi jaspisem i porfirem, z błyszczącym jej dachem, obwiedzionym srebrem i złotem.—Upadli na duchu, przeczuwający katastrofę uczniowie zwracają uwagę mistrza na wspaniałość przybytku, który opuszczał on nazawsze. W głosie ich drga nuta melancholji i żalu. Bowiem do chwili ostatniej nie tracili nadziei zasiadania tam w przyszłości w roli sędziów Izraela, dokoła Mesjasza, ukoronowanego na godność arcykapłana-króla. Odwraca się Jezus, mierzy świątynię wzrokiem i rzecze: „Widzicie to wszystko? Zaprawdę, powiadam wam, nie zostanie tu kamień na kamieniu, któryby nie był zepsowany“<sup>2)</sup>).

Sądził o trwałości świątyni na podstawie wartości moralnej tych, którzy władzę nad nią sprawowali. Rozu-

---

1) Św Mat. XXIII, 13, 23, 27.

2) „ „ XXIV, 2.



miał, że fanatyzm, nietolerancja i nienawiść nie były orężem, który mógłby przeciwstawić się skutecznie taranom i toporom Cezara rzymskiego.

Wzrokiem wtajemniczonego, zaostrzonym jasnowidzeniem przedednia śmierci, dostrzegł pychę Judejczyków, politykę królów, całą historję żydów, która musiała niechybnie doprowadzić do katastrofy ostatecznej. Źródła zwycięstwa nie w świątyni szukać należało; kryło się ono w myśli proroków, w religji powszechnej; w owej świątyni niewidzialnej, której on sam jedynie pełną miał w tej chwili świadomość. Nad starożytną warownią Sjonu, nad tą świątynią z kamienia, widział już anioła zniszczenia, stojącego u wrót jej i mającego w dłoni pochodnię, niecałą pożogę.

Wiedział Jezus, że godzina jego już bliska, nie chciał wszakże dać się zaskoczyć sanhedrynowi i cofnął się do Betanji. Że zaś umiłował szczególnie górę Oliwną, przychodził tutaj co wieczór prawie rozmawiać z uczniami. Z wyżyny tej widok roztacza się przepiękny. Oko ogarnia ponure góry Judei i Moabu, odrzynające się na widnokręgu barwą sinawą i fioletową. Zdała widać szmat morza Martwego niby zwierciadlaną taflę z ołowiu, nad którą unoszą się opary siarkowe. U stóp góry leży Jerozolima z wysoko w niebo strzelającymi szczytami świątyni i warowni Sjonu. Dzisiaj jeszcze, kiedy zmierzch opada na ponure wąwozy Hinnomu i Józafata, gród Dawidowy i Chrystusowy, strzeżony przez synów Izraela, wyłania się majestatycznie z głębi posepnych tych dolin. Jego kopuły i minarety skupiają na sobie ostatnie, zamierające błyski nieba i zdają się w wiecznem pozostawać oczekiwaniu aniołów sądu ostatecznego. Tam Jezus ostatnich udzielał uczniom swoim wskazówek, dotyczących przyszłości religji, przez niego założonej i przyszłych przeznaczeń ludzkości. Tam przekazywał im swoje przepowiednie

ziemskie i boskie, głęboko związane z nauczaniem jego ezoterycznym.

Jasną jest rzeczą, że układający *Ewangelje synoptyczne*<sup>1)</sup> przekazali nam rozmowy apokaliptyczne Jezusa w sposób tak mętny, że niemal niepodobna odcyfrować ich. Znaczenie ich zaczyna uwypuklać się nieco i stawać się zrozumiałym dopiero w Ewangelji Jana. Gdyby Jezus wierzył był w istocie w swój powrót na obłokach w kilka lat po śmierci swojej, jak tego chce naturalistyczny wykład Pisma Świętego; albo też, gdyby wyobrażał sobie koniec świata i sąd ostateczny w takiej właśnie postaci, jak to przypuszcza teologja prawowierna, mógłby być co najwyżej illuminatem, odbierającym od czasu do czasu światło boskie i tworzącym sobie różnego rodzaju urojenia lub wizjonerem pośledniego gatunku, nie zaś mędrce w tajemniczym i wzniosłym jasnowidzącym, jak to dowodnie wskazuje każdy wyraz nauki jego, każdy krok jego życia. Rzecz oczywista, że tutaj, więcej niż gdziekolwiek, słowa jego pojmowane być muszą w znaczeniu allegorycznym, zgodnie z duchową symboliką proroków. Ewangelja Ś-go Jana, oddająca najwierniej naukę ezoteryczną Mistrza, sama narzuca nam ten sposób interpretowania jej, tak zgodny zresztą z przypowieściowym duchem nauki Jezusowej, przytoczeniem własnych słów jego: „Mamci wam wiele jeszcze mówić, ale teraz znieść nie możecie... *To wam powiedziałem przez przypowieści.* Przychodzi godzina, kiedy dalej już nie przez przypowieści mówić wam będę, ale jawnie o Ojcu oznajmię wam“<sup>2)</sup>.

1) *Synopsis Ewangelji*—wybór miejsc z Ewangelji, mówiących o jednym przedmiocie, stąd nazwa trzech pierwszych Ewangelistów, opowiadających o jednym i tym samym okresie żywota Chrystusowego w Galilei. (Przyp. Hom.).

2) Ew. Św. Jana XVI, 12, 25.



Zapowiedź uroczysta, uczyniona przez Jezusa Apostołów, dotyczy czterech punktów, czterech sfer coraz szerszych, planetarnych i kosmicznych: życia duchowego jednostki; życia narodowego ludu Izraelskiego, ewolucji i ziemskiego kresu ludzkości, własnej jego ewolucji i kresu jego boskiego. Rozpatrzmy z kolei cztery te punkty jego zapowiedzi, cztery sfery te, w których promieniuje myśl Chrystusowa z okresu, poprzedzającego jego męczeństwo, niby słońce zachodzące, oblewające łuną glorii swojej całą atmosferę ziemską aż do zenitu, zanim nad innemi rozgorzeje światami.

1) *Sąd pierwszy*, „dzień Pański“, oznacza: dalsze przeznaczenie duszy po śmierci, zależne od natury jej ukrytej oraz od czynów jej życia ziemskiego. Wyłożyłem już doktrynę tę, mówiąc o rozmowie Jezusa z Nikodemem. Na górze Oliwnej tak przemawia on w tej materji do Apostołów: „A miejcie się na pieczy, aby kiedy nie były obciążone serca wasze obżarstwem i opilstwem i staraniem tego żywota: ażeby z trzaskiem on dzień przypadł“<sup>1)</sup>. I jeszcze: „Przełoż i wy bądźcie gotowi; bo której godziny nie wiecie, Syn człowieczy przyjdzie“<sup>2)</sup>.

2) *Zburzenie świątyni i koniec Izraela*. „Powstanie naród przeciw narodowi... Wtedy podadzą was w udęczenie... Zaprawdę powiadam wam, iż nie przeminie ten naród, ażby stało się to wszystko“<sup>3)</sup>.

3) *Ziemski cel ludzkości*, nieokreślony ściśle co do czasu, lecz możliwy do osiągnięcia przez cały stopniowy i kolejny szereg udoskonaleń. Celem tym jest królestwo społeczności Chrystusowej, czyli panowanie człowieka boskiego na ziemi; to znaczy ustrój społeczności ludzkiej,

---

<sup>1)</sup> Ew. Św. Łuk. XXI,34.

<sup>2)</sup> Ew. Św. Mat. XXIV,44.

<sup>3)</sup> " " " " 7,9,34.

oparty na Prawdzie, Sprawiedliwości i Miłości, a tem samem pokój powszechny. Przepowiedział go już Izajasz w epoce odległej, w widzeniu wspaniałem, kończącym się słowami takimi: „Albowiem ja znam sprawy ich i myśli ich; i przyjdzie ten czas, że zgromadzę wszystkie narody i języki, i przyjdą, a oglądają chwałę moją. I położą na nich znak.. i t. d.<sup>1)</sup>).

Jezus, uzupełniając proroctwo to, wyjaśnia uczniom swoim, jaki będzie ten znak. Będzie nim zupełne odsłonięcie wszystkich tajemnic, czyli przyście Ducha Świętego, którego zwie on również Pocieszycielem, czyli „Duchem Prawdy, co zamieszka z wami na wieki“. — „A ja prosić będę Ojca, a innego Pocieszyciela da wam, aby z wami mieszkał na wieki, Ducha Prawdy, którego świat przyjąć nie może, bo go nie widzi, ani go zna. Lecz wy poznacie go, iż i u was mieszkać będzie i w was będzie“<sup>2)</sup>. Apostołowie pierwsi objawienie to nieść będą, ludzkość później dopiero, w rozwoju czasów. Ilekroć wszakże odbywa się ono w świadomości jednego osobnika lub grupy ludzi, przenika je nawskroś i ogarnia całkowicie. „Albowiem jako błyskawica wychodzi od wschodu słońca i ukazuje się aż na zachodzie, tak będzie i przyście Syna człowieczego“<sup>3)</sup>. Tak samo, kiedy rozżarza się ognisko prawdy ośrodkowej i duchowej, ogarnia ono blaskiem swoim wszystkie inne prawdy i światy wszystkie.

4) *Sąd ostateczny* oznacza kres kosmicznej ewolucji ludzkości lub też wstąpienia jej w stan duchowy ostateczny. Ezoteryzm perski nazywał moment ten zwycięstwem, odniesionem przez Ormuzda nad Ahrymanem, czyli Ducha — nad materją. Ezoteryzm indyjski nadawał

1) Proroctwo Izajaszowe LXLI,18,19.

2) Ew. Św. Jana XIV,16,17.

3) Ew. Św. Mat. XXIV,27.



mu miano wchłonięcia zupełnego materji przez Ducha, czyli kresu dni Brahmy. Po upływie tysięcy i milionów lat przyjdzie czas, kiedy po przez szeregi narodzin i odradzeń się, wcielań się i odtwarzań, osobniki, z których złożona jest ludzkość, wstąpią ostatecznie w stan duchowy, lub też unicestwione zostaną, jako dusze świadome, przez zło, to znaczy przez własne ich namiętności, których symbolem jest ogień gehenny i zgrzytanie zębami. „A na on czas ukaże się znak Syna człowieczego na niebie. I ujrzą Syna człowieczego, przychodzącego w obłokach... I pośle anioły swoje z trąbą i głosem wielkim: i zgromadzą wybranych jego ze czterech wiatrów“....<sup>1)</sup> *Syn Człowieczy*, określenie rodzajowe, oznacza tutaj ludzkość w jej przedstawicielach doskonałych, zatem w nielicznej garstce tych, którzy wzniesli się do poziomu Syna Bożego.

— *Znakiem* jego jest Baranek i Krzyż, to znaczy Miłość i Życie wiekuiste.— *Obłok* jest symbolem Tajników, które stały się przezroczeni oraz materji subtelnej, przestoczonyj przez ducha, substancji fluidowej, która przestała już być ciemną i gęstą zasłoną, a jest lekką i przejrzystą szatą duszy; nie jest już zaporą grubą, lecz wyrazem prawdy; nie pozorem złudnym, lecz samą prawdą duchową, światem wewnętrznym, natychmiastowo i bezpośrednio objawionym.

— *Aniołowie*, gromadzący wybranych — to duchy błogosławione, których kolebką jest ludzkość, co ich wydała. — *Trąby*, w które dmą, symbolizują żywe słowo Ducha, ukazującego dusze takimi, jakimi są w rzeczywistości, niweczącego wszelkie złudne pozory materji.

Czując wigilję śmierci swojej, roztoczył w ten sposób Jezus przed oczyma zdumionych Apostołów wysokie

---

<sup>1)</sup> Ewang. Ś-go Mat. XXIV, 30, 31.

perspektywy, które od czasów najdawniejszych wchodziły w skład doktryny tajników, lecz którym każdy twórca religii nadawał barwę i postać indywidualną. Pragnąc wrazić prawdy te w ich umysły, chcąc ułatwić im szerzenie ich, streścił je w obrazach, które cechuje pomyślność niezwykła oraz moc, przenikająca dusze. Obraz, objawiający prawdę, żywy symbol, był powszechnym językiem wtajemniczonych starożytnych. Charakteryzuje go w wysokim stopniu własność udzielania się słuchaczom, siła skupienia i trwałości, jakich brak abstrakcyjnym sposobom wypowiedania się. Posługując się nim, szedł Jezus za przykładem Mojżesza i proroków. Wiedział on, że Idea nie będzie rozumiana od razu, chciał wszakże wyrycić ją zgłoskami ognistymi w naiwnych duszach wyznawców swoich, pozostawiając wiekom trud wyczarowania zawartych w jego słowach potęg. Czuł się zespolonym ze wszystkim, poprzedzającymi go, prorokami ziemskimi, którzy, równie jak on sam, byli głosicielami Życia i Słowa wiekuistego. W tem uczuciu zespolenia się i wspólnoty z prawdą nlewzruszoną, wobec bezbrzeżnych tych widnokręgów gwiaździsto-promiennych, które dostrzegać można jedynie z zenitu Praprzyczyn, miał odwagę rzucenia uczniom swoim słów dumnych: „Ziemia i niebo przeminą, lecz słowa moje nie przeminą“ <sup>1)</sup>.

Tak upływały poranki i wieczory na górze Oliwnej. Dnia pewnego, idąc za jednym z owych, właściwych jego naturze płomiennej i wrażliwej, popędów uczucia, które nagle ściągały go z najwznioślejszych szczytów myśli na padół cierpień ziemskich, odczuwanych przez niego niemniej niż jego własne, tży zaczął ronić nad Jerusza-laim, nad grodem świętym i nad ludem jego, którego

<sup>1)</sup> Ewang. Ś-go Mat. XXIV, 35.



los straszliwy przeczuwał. Własny jego los zbliżał się też krokiem olbrzyma. Już obradował sanhedryn nad wydaniem wyroku nań i postanowił na śmierć go skazać; już przyrzekł Judasz z Karjotu wydać mistrza swojego. Nie chciwość skąpca była źródłem zdrady tej nikczemnej, lecz miłość własna i ambicja zraniona. Judasz, typ zimnego egoisty i bezwzględnego pozytywisty, niezdolnego do porywów idealnych, stał się uczniem Chrystusa jedynie z wyrachowania światowca. Liczył on na bezpośrednie zwycięstwo proroka na ziemi i na korzyści, jakie z tego tytułu spłyną na jego uczniów. Nie rozumiał nic z głębokich tych słów mistrza: „Bo, kto by chciał zachować duszę swoją, straci ją: a kto by stracił duszę swoją dla mnie, znajdzie ją“<sup>1)</sup>). Jezus, w nieograniczonym miłosierdziu swoim, przyjął go do grona uczniów w nadziei przerobienia natury jego.

Kiedy spostrzegł się Judasz, że sprawy źle stoją, że Jezus zgubiony jest, a uczniowie jego skompromitowani, że tem samem zawiodły go wszystkie nadzieje, rozczarowanie jego w szal się przerodziło. Nieszczęsny zdradził tego, który, w jego przekonaniu, fałszywym był jeno Mesjaszem i przez którego on sam uczuł się zdradzonym. Przenikliwy wzrok Jezusa odgadł, co się dzieje w duszy niewiernego Apostoła. Postanowił nie unikać już losu, którego sieć nie do rozwikłania zacieśniała się z dniem każdym coraz ściślej dokoła niego. Było to w przededniu święta Paschalnego. Nakazał uczniom swoim przygotowanie posiłku w mieście, u jednego z przyjaciół. Przeczuwał, że będzie to ostatnia wspólna wieczerza, pragnął więc nadać jej cechę szczególnie uroczystą.

I oto stajemy wobec ostatniego aktu dramatu mesjanicznego. Koniecznym było, chcąc ująć duszę i dzieło

<sup>1)</sup> Ewang. Ś-go Mat. XVI, 25.

Jezusa u ich źródła, oświetlić światłem wewnętrznym dwa pierwsze rozdziały jego życia, to znaczy wtajemniczenie i jego działalność publiczną. Rozegrał się w nich dramat wewnętrzny jego świadomości. Ostatni rozdział jego życia, dramat męczeństwa, jest wynikiem logicznym obu poprzednich. Znany wszystkim, nie wymaga komentarzy. Ten dramat męki Pańskiej potężnie przyczynił się do stworzenia chrystjanizmu. Wycisnął on łzy z oczu wszystkich, mających serce, i nawrócił miliony dusz. Nieporównane jest piękno opisu wszystkich tych scen w Ewangeliach. Jan nawet zstępuje z wyżyn swoich. Jego opis okolicznościowy nabiera tutaj wartości bolesnego świadectwa prawdy, złożonego przez naczynego świadka. Każdy może w samym sobie przeżyć dramat boski, nikt nie byłby w stanie odtworzyć go. Zmuszony jestem wszelako, celem dokończenia zadania mojego, oświetlić promieniami tradycji ezoterycznej trzy zasadnicze momenty, które zaznaczają kres żywota boskiego Mistrza: Wieczrę Pańską, proces Mesjaszowy i Zmartwychwstanie. O ile punkty te zostaną dostatecznie wyświetlone, odblask ich padnie na całe życie i na całą działalność uprzednią Chrystusa i rzuci promienie swoje na całe następne dzieje chrystjanizmu.

Dwunastu współbiesiadników, a wraz z Mistrzem trzynastu, zasiadło w wysokiej komnacie jednego z domów jerozolimskich. Przyjaciel nieznany, amfitrjon Jezusa, przystroił pokój kobiercem bogatym. Obyczajem wschodnim, Mistrz i uczniowie rozłożyli się, po trzech na czterech ławach szerokich w kształcie tryklinjów, ustawionych dookoła stołu. Kiedy przyniesiono baranka wielkanocnego i napełniono winem wszystkie czary oraz najdrogocenniejszą, puchar złoty, używany przez nieznanego przyjaciela, rzecze Jezus, umieszczony pomiędzy Janem i Piotrem: „Pożądaniem pożądałem pożywać tę Paschę



z wami, pierwej niżbym cierpiał. Boć wam powiadam, że odtąd nie będę jeść tego, ażby się wypełniło w królestwie Bożem“<sup>1)</sup>. Na te słowa sposepniały oblicza i powietrze stało się ciężkiem. Jan, uczeń ukochany przez Jezusa, który sam jeden tylko odgadywał wszystko, pochylał w milczeniu głowę swoją na łono Mistrza. Zwyczajem żydowskim przy uczcie wielkanocnej spożywano w milczeniu ziola gorzkie i charoset<sup>2)</sup>. Wówczas wziął Jezus chleb i, dzięki uczyniwszy, przełamał go i dał im, mówiąc: „To jest Ciało moje, które się za was daje. To czyńcie na pamiątkę moją. Także i kielich, gdy było po wieczerzy, mówiąc: „Ten jest kielich nowy testament we Krwi mojej, który za was wylany będzie“<sup>3)</sup>.

Takim był przebieg Wieczerzy w całej jej prostocie. Więcej zawiera ona w sobie, aniżeli się o tem mówi, aniżeli wiadomo o tem powszechnie. Nietylko symboliczny i mistyczny akt ten jest uwieńczeniem i streszczeniem całej nauki Chrystusowej, lecz stanowi on zarazem uświęcenie i odrodzenie odwiecznego symbolu wtajemniczenia. U wtajemniczonych egipskich i chaldejskich, zarówno jak u proroków i Esseńczyków, zaznaczały łączne wieczerze braterskie pierwszy stopień wtajemniczenia. Pożywanie ciała Bożego, komunja w postaci chleba, tego owocu zboża, oznaczała znajomość tajników życia ziemskiego, a także podział wspólny dóbr ziemskich, tem samem doskonale zespolenie się braci stowarzyszonych. Na stopniu wyższym pożywanie Krwi Bożej w postaci wina, soku winorośli, którą przeniknęły promienie słońca,

---

1) Ewang. Ś-go Łukasza, XXII, 15, 16.

2) *Charoset* — zwarta masa żółtawa, zrobiona z drobno siekanych orzechów i mająca wyobrażać glinę, spożywana podczas wieczerzy wielkanocnej na pamiątkę ciężkich robót przy wyrobie cegieł z gliny, do jakich używano żydów w Egipcie. (Przyp. tłum).

3) Ewang. Ś-go Łuk. XXII, 19, 20.

oznaczało współdziałanie w dobrach niebieskich, w tajnikach duchowych i nauce boskiej. Przekazując symbole te Apostołom, rozszerza Jezus ich zakres. Bowiem po przez nie rozciąga braterstwo i wtajemniczenie, będące ongi przywilejem wybranych, na ludzkość całą. Dodaje do nich tajnik najgłębszy, moc najpotężniejszą: siłę ofiary z siebie samego. Czyni on z niej niewidzialny lecz nierozzerwalny zarazem łańcuch miłości, skuwający go z tymi, co naukę jego podzielają. Miłość ta da jego duszy błogostawionej władzę boską nad ich sercami i nad sercami wszystkich ludzi. Tę czarę prawdy, pochodzącą z głębi wieków proroczych, ów złoty kielich wtajemniczenia, podany mu przez starca esseńskiego, który nazwał go prorokiem, ten kielich miłości niebiańskiej, którym obdarowali go synowie Boży w uniesieniu jego ekstazy najwyższej, tę czarę, w której widzi teraz krew własną — podaje on uczniom swoim ukochanym z tkliwością niewysłowioną ostatniego pożegnania. Czy widzą, czy rozumieją Apostołowie tę myśl odkupicielską, ogarniającą światy? Błyszczą ona w głębokim i bolesnym spojrzeniu, jakie zwraca Mistrz od ucznia ukochanego ku temu, który ma go zdradzić. Nie, nie rozumieją jeszcze; zaledwie odychać są zdolni; dręczy ich zmora złowroga; w powietrzu unosi się jakiś opar ciężki, czerwonawy; dziwią się też skąd to świetliste promieniowanie niezwykle dokoła głowy Chrystusa. Kiedy wreszcie oznajmia Jezus, że spędzi noc na modlitwie w ogródcu na górze Oliwnej i wstaje, mówiąc: „Idźmy!” — nie domyślają się, co ma nastąpić.

. . . . .  
Jezus spędził noc i jej udrękę w Getsemane. Naprzód już, z przerażającą jasnością, widzi zacieśniający się coraz bardziej krąg piekielny, co ma go zdławić. Wobec grozy położenia, w straszliwym oczekiwaniu, w chwili, gdy miał być pojmany przez wrogów, zdrzął Jezus;



przez chwilę dusza jego wzdrgnęła się na myśl o oczekującej go męce, pot krwawy sperlił mu czoło. Potem wszelako wzmocniła go modlitwa. — Gwar głosów zmieszanych... błyski pochodni w pośród ciemnego gąszczu drzew oliwnych... szczęk oręża... to oddział żołnierzy sanhedrynu. Prowadzący ich Judasz pocałunek składa na twarzy Mistrza, aby go poznano. Jezus oddaje mu pocałunek z politowaniem niewysłowionem i rzecze: „Przyjacielu, na coś przyszedł?” Ta słodycz, ten pocałunek braterski, złożony wzamian za zdradę najnikczemniejszą, wywiera na duszy tej, tak zatwardziałej przecie, wrażenie tak wielkie, że, w chwilę później, Judasz, ogarnięty wyrzutami sumienia i wstrętem do samego siebie, życia się pozbawi.

Prostaczemi rękami swojemi chwytają żołnierze Proрока galilejskiego. Po krótkim oporze pierzchają uczniowie, niby garść trzciny wodnych wiatrem rozrzuconych. Jedynie tylko Jan i Piotr pozostają w pobliżu. Pójdą oni za mistrzem do sądu z sercem rozdartem i duszą do losów mistrza przykutą. Jezus sam odzyskał już spokój. Od chwili tej ani jeden wyraz protestu, ani jedna skarga z ust jego nie wyjdzie.

Członkowie sanhedrynu gromadzą się pospiesznie na pełnym zebraniu. Wśród nocy sprowadzają Jezusa. Bowiern sąd chce bez zwłoki skończyć z niebezpiecznym prorokiem. Ofiarnicy, kapłani w togach purpurowych, żółtych i fioletowych, w zawojach na głowach, zasiadają uroczyście w półkole. W pośrodku nich, na wywyższonym siedzeniu, tronuje Kaifasz, arcykapłan w migbie <sup>1)</sup>. Na obu krańcach półkole, na dwóch małych trybunach, na których ustawione są stoły, stoją dwaj pisarze — obrońcy sądowi: jeden do uniewinniania, drugi

---

<sup>1)</sup> *migbah* — rodzaj tjary, uroczysty strój głowy arcykapłana jerozolimskiego. (Przyp. tłum).

do skazywania — *advocatus Dei, advocatus Diaboli*. Nie-wzruszony, stoi w pośrodku Jezus w białej szacie Esseń-czyka. Otaczają go funkcjonariusze sądowi, uzbrojeni w rzemienie i powrozy; ramiona ich obnażone, zaciśnięta pięść oparta mocno na biodrach, wzrok zły. Arcykapłan, sędzia najwyższy, jest głównym oskarżycielem. Proces ma rzekomo na celu obronę bezpieczeństwa publicznego przeciwko zbrodni obrazy religii; w rzeczywistości wszelako jest zapobiegawczym aktem zemsty zaniepokojonego kapłaństwa, które czuje władzę swoją, zagrożoną przez nową potęgę.

Wstaje Kaifasz i oskarża Jezusa, że jest uwodzicielem ludu, *mesytem*. Kilku świadków zebranych na los trafu z pośród tłumu składa zeznania swoje, wzajem wszakże sprzeczne. Wreszcie, jeden z nich powtarza owe słowa, uważane za bluźnierstwo, które Nazarajczyk rzucać miał kilkakrotnie w twarz Faryzeuszom pod portykami Salomona: „Ja rozwalę kościół ten ręką uczyniony, a za trzy dni inny, nie ręką uczyniony, zbuduję“<sup>1)</sup>. Jezus milczy. — Nie odpowiadasz nic, — pyta arcykapłan — na to, co tobie ci zarzucają? — Jezus któremu wiadomo, że będzie skazany i który nie chce tracić słów nadaremnie, milczy uparcie. Słowa owe wszakże, nawet gdyby prawda ich została stwierdzona, nie byłyby wystarczającym motywem do wydania wyroku śmierci. Konieczne jest przyznanie się do winy cięższej. Aby wyciągnąć je z oskarżonego, zadaje mu chytry Saduceusz, Kaifasz, pytanie, zahaczające bezpośrednio o punkt główny, o zasadnicze zadanie posłannictwa jego. Bowiem największa zręczność polega częstokroć na mierzeniu wprost do celu głównego. „Tyżes jest Chrystus, syn Boga Błogosławionego?“<sup>2)</sup>.

<sup>1)</sup> Ewang. Ś-go Marka XIV, 58.

<sup>2)</sup> Ewang. Ś-go Marka XIV, 61.



Jezus odpowiada zrazu w sposób dwuznaczny, świadczący, że poznał się na podstępie: „Jeśli wam powiem, nie uwierzycie mi, a jeśli i spytam, nie odpowiecie mi, ani wypuścicie“<sup>1)</sup>. Kaifasz, widząc, że nie udał mu się wybieg śledczy, korzysta ze swojego prawa arcykapłana i ponawia pytanie uroczyście: „Poprzysięgam cię przez Boga żywego, abys nam powiedział, jeśliś jest Chrystus, Syn Boży?“<sup>2)</sup>. Zagadnięty w ten sposób, wezwany do zaparcia się lub wyznania swojego posłannictwa wobec najwyższego przedstawiciela religii izraelskiej, nie waha się już Jezus i odpowiada spokojnie: „Tyś powiedział; jednak powiadam wam: Odtąd ujrzycie Syna człowieka, siedzącego na prawicy mocy Bożej, i przychodzącego w obłokach niebieskich“<sup>3)</sup>.

Wyrażając się w ten sposób językiem proroczym Daniela i księgi Henocha, wtajemniczony esseński, Jehoszua, nie przemawia do Kaifasza, jako do poszczególnego osobnika. Mówi on do najwyższego kapłana Jehowy, a po przez niego do przyszłych arcykapłanów, do wszystkich kapłanów ziemi i chce im przez to powiedzieć: „Po spełnieniu posłannictwa mojego, przypieczętowanego śmiercią moją, skończyło się w zasadzie i zastosowaniu panowanie Zakonu religijnego i niewyjaśnionego. Tajniki będą wyjawione i człowiek będzie oglądał boskość po przez ludzkość. Nie będą miały znaczenia religie i kultury, które nie potrafią wykazać i ożywić jednej przez drugą“. Takiem, w myśl ezoteryzmu proroków i Esseńczyków, jest znaczenie Syna, siedzącego po prawicy Ojca. Tak pojęta odpowiedź Jezusa, dana arcykapłanowi jerozolimskiemu, zawiera duchowy i naukowy testament

---

1) Ewang. Ś-go Łuk. XXII, 67, 68.

2) Ewang. Ś-go Mat. XXVI, 63.

3) Ewang. Ś-go Mat. XXVI, 64.

Chrystusa, przekazany ziemskim władzom religijnym, podobnie jak ostatnia Wieczerza zawiera jego testament miłości i wtajemniczenia, przekazany Apostołom i ludziom.

Po przez głowę Kaifasza przemawia Jezus do świata całego. Saduceusz wszelako, który zyskał był, czego pragnął, nie słucha go już więcej. Rozdzierając szatę swoją z cienkiej tkaniny Inianej, woła: „Zbluźnił! Cóż dalej potrzebujemy świadków? Otoście teraz słyszeli bluźnierstwo: Cóż się wam zda?“<sup>1)</sup> Ponury pomruk jednozgodny sanhedrynu odpowiada: „Winien jest śmierci!“.

Nikczemne obelgi i brutalne znieważania natychmiastową są ze strony niższych odpowiedzią na wyrok, wydany z góry. Żołnierze plwają na niego, biją go w twarz, wołając: „Prorokuj nam, Chrystusie! kto jest, który cię uderzył?“<sup>2)</sup> Wobec tego wylewu niskiej nienawiści wzniosłe, blade oblicze wielkiego męczennika przybiera znów swoją marmurową nieruchomość wizyjną. Istnieją, jakoby, posągi, które płaczą; są też cierpienia bez łez i nieme modlitwy ofiar, kamionujące katów dreszczem grozy i prześladowające ich przez życie całe.

Lecz niewszystko jeszcze skończone. Sanhedryn ma prawo wydania wyroku śmierci; do zatwierdzenia go wszakże i wprowadzenia w czyn konieczna jest aprobata władzy rzymskiej i świecka siła wykonawcza. Rozmowa z Piłatem, podana szczegółowo przez Jana, niemniej jest godna podziwu, niż poprzednia z Kaifaszem. Ciekawy ten dialog pomiędzy Chrystusem a gubernatorem rzymskim, podczas którego wykrzykiwania namiętne kapłanów żydowskich i wrzaski tłumu sfanatyzowanego odgrywają rolę chórów w tragedji starożytnej, ma siłę przekonywującą głębokiej prawdy dramatycznej. Obnaża on bowiem

1) Ew. Ś-go Mat. XXXI,65,66.

2) Ew. Ś-go Mat. XXXI,68.



dusze obu tych osobistości, ujawnia konflikt trzech potęg w grę wchodzących: cezaryzmu rzymskiego, ciasnego żydostwa i powszechnej religii Ducha, której przedstawicielem jest Chrystus. Piłata, któremu ów spór religijny najdoskonalej jest obojętny, gniewa mocno cała ta sprawa, obawia się bowiem, aby śmierć Jezusa nie wywołała rozruchów ludowych. Bada go więc ostrożnie i podaje mu deskę ratunku w przeświadczeniu, że skazany skwapliwie z niej skorzysta.

— Tyś jest król Żydowski? — pyta.

Odpowiedział Jezus: — Królestwo moje nie jest z tego świata...

Rzekł mu tedy Piłat: — Toś ty jest Król? <sup>1)</sup>

Piłat tak samo nie rozumie stwierdzenia duchowego królowania Jezusa, jak Kaifasz nie zrozumiał jego testamentu religijnego.

— Co jest prawda? <sup>2)</sup> — rzekł Piłat, wruszając ramionami. Ta odpowiedź sceptycznego wojownika rzymskiego odsłania stan duszy ówczesnego społeczeństwa pogańskiego, jak wogóle wszelkiego społeczeństwa w dobie upadku. Widząc wszakże w oskarżonym niewinnego męczennika jedynie, dodaje, zwracając się do żydów:

— Ja żadnej winy w nim nie znajduję <sup>3)</sup>.

Proponuje więc Żydom puszczenie go na wolność, lecz tłum, podszczuwany przez kapłanów, wyje:

— Nie tego, ale Barabasz! A Barabasz był zbójcą <sup>4)</sup>.

Wówczas Piłat, nienawidzący Żydów, czyni sobie szyderczą przyjemność i każe ochłostać różgami rzekomego ich króla. Sądzi, że kara taka wystarczy sfanaty-

1) Ew. Ś-go Jana XVIII,33,36.

2) Ew. Św. Jana XVIII,38.

3) Ew. Ś-go Jana XVIII,38.

4) Ew. Ś-go Jana XVIII,40.

zowanej tłuszczu. Rozwściecza ich to wszakże jeszcze bardziej, wrzeszcza więc jak opętanci:—„Ukrzyżuj, ukrzyżuj go“.

Pomimo tego rozpętania namiętności ludu opiera się Piłat wciąż jeszcze. Dość ma okrucieństwa. Tyle widział w życiu swoim krwi przelanej, tylu opornych skazał na męki, tylu jęków był świadkiem i tyle słyszał przekleństw, nie tracąc przy tem zimnej krwi i nie doznając śladu wzruszenia... Lecz to cierpienie bez słów, te udręki, znoszone z niezemskim stoicyzmem przez Proroka gaillejskiego, odzianego przez szyderców w płaszcz purpurowy i koronę z cierni, dziwnym, niezaznanym dotychczas, przejmuje go dreszczem. Pod wpływem szczególnego widzenia, jakie olśnić go musiało przelotnie, wypowiada dwa wyrazy, z których doniosłości nie zdaje sobie wcale sprawy: — *Ecce Homo!* Oto Człowiek! — Nieugięty Rzymianin wzruszony jest niemał; gotów jest wydać wyrok uniewinniający. Kapłani z sanhedrynu, śledzący go pilnie, dostrzegają to wzruszenie. Lęk ich ogarnia, czują, że ofiara może im wymknąć się. Naradzają się chytrze pomiędzy sobą. Poczem, wyciągając prawice i odwracając głowy gestem zgrozy obłudnej, wykrzykują jednogłośnie: „My Zakon mamy, i według Zakonu ma umrzeć, bo się Synem Bożym czynił<sup>1)</sup>).

A kiedy usłyszał Piłat słowa te — powiada Jan — bardziej się jeszcze uląkł. — Uląkł się, czego? Jakie wrażenie sprawić mogła nazwa ta na pogańskim Rzymianinie, pogardzającym z głębi serca żydami i ich religją i wierzącym jedynie w religję polityczną Rzymu i w Cezara?— Ważna zachodzi tego przyczyna.

Nazwa *Syna Bożego* bardzo była rozpowszechniona w ezoteryzmie starożytnym, jakkolwiek różne nosiła mia-

<sup>1)</sup> Ew. Św. Jana XIX,7.



na, a Piłat, jakkolwiek był sceptykiem, nie był wolnym od przesądów. W Rzymie, podczas małych misterjów Mitrasowych, w które dawali się wtajemniczać rycerze rzymscy, słyszał, że Syn Boży był rodzajem pośrednika—tłomacza, objawiającego myśli bóstwa. Jakiegokolwiek był więc narodowości, jakiegokolwiek wyznawał religję, wielką było zbrodnią targnąć się na jego życie. Nie wierzył Piłat bynajmniej we wszystkie te brednie perskie, mimo to niepokoiła go usłyszana nazwa, potęgując jego zakłopotanie. Widząc to, rzucają żydzi prokonsulowi w twarz najwyższe oskarżenie:— „Jeśli tego wypuścisz, nie jesteś przyjacielem Cesarskim, *każdy bowiem, co się czyni królem, sprzeciwia się Cesarzowi... Nie mamy króla jedno Cesarza*“<sup>1)</sup>).

Argument nieodparty; przeczyć istnieniu Boga — niewielkie to przestępstwo; zabić—błahostka, lecz knować przeciwko Cezarowi — zbrodnią jest nad zbrodnie. Piłat zmuszony jest ustąpić i wydać wyrok potępiający. U kresu kariery swojej ziemskiej staje więc Jezus wobec władcy świata, którego zwalczał pośrednio, jako tajemny przeciwnik, przez całe życie swoje. Cień Cezara skazuje go na ukrzyżowanie. Jakaż głęboka logika rzeczy: Żydzi wydali go, a widmo rzymskie zabija go, wyciągając dłoń swoją. Zabija ciało; lecz to On właśnie, Chrystus, do chwały Bożej wyniesiony, męczeństwem swoim pozbawi Cezara glorii niezasłużonej przywłaszczonej, zedrze z niego apoteozę bóstwa, szatańskie to bluźnierstwo absolutyzmu w koronie.

.....  
Piłat — umywszy ręce przed ludem, powiedziawszy:  
„Niewinienem ja krwi tego sprawiedliwego i wy siebie

1) Ew. Ś go Jana XIX,12,15.

patrzcie“, <sup>1)</sup> wyrzekł to słowo straszne: *Condemno, ibis in cruce*..... Już tłum niecierpliwym ciśnie się ku Gólgocie.

Stoimy oto na szczycie nagim, posianym kośćmi ludzkimi, sterczącym nad Jerozolimą i noszącym nazwę Gilgal, Golgotha, czyli miejscem głów trupich, pustynią ponurą, poświęconą od wieków już na miejsce katuszy najstraszliwszych. Tu Aleksander Janneusz, król żydowski obecny był, wraz z całym haremem swoim, przy ścięciu setek więźniów; tu Warus ukrzyżować kazał dwa tysiące buntowników; tutaj też ponieść miał słodki, przepowiedziany przez proroków, Mesjasz mękę straszliwą, którą wymyślił okrutny genjusz Fenicjan, a którą przejęło nieublagane prawo Rzymskie. Kohorta żołnierzy legjonowych tworzy krąg wielki na szczycie pagórka, usuwa dzidami resztę wiernych, towarzyszących skazańcowi. Są to niewiasty galilejskie; nieme, zrozczone, padają twarzami na ziemię.

Nadeszła ostatnia godzina Jezusa. Obrońca biednych, słabych i uciśnionych dokonać musi dzieła swojego poniesieniem haniebnego męczeństwa, przeznaczonego dla niewolników i łotrów.

Prorok, uświęcony przez Esseńczyków, musi dać się przygwoździć do krzyża, którego znak przyjął w widzeniu w Engaddi; Syn Boży wypić musi kielich, oglądany podczas Przemienienia; zstąpić musi na dno samo piekła i ohdy ziemskiej.

Odmówił Jezus przyjęcia napoju, który przygotowały pobożne niewiasty jerozolimskie, a którego miłosiernym przeznaczeniem było znać przytomność męczenników. Chce w pełni świadomości znieść męki okrutne. Kiedy wiążą go na szubienicy haniebnej, kiedy żołdacy okrutni mocnymi uderzeniami młota wbijają gwoździe w te stopy,

<sup>1)</sup> Ew. Ś-go Mat. XXVII,27.



ubóstwiane przez nieszczęśliwych, w te dłonie, co jeno błogosławić umiały, obłok czarny cierpienia rozdzierającego gasi oczy jego, dławi mu gardło.

Wpółśród konwulsji bólu, wstrząsających ciało jego, z głębi mroków piekielnych, żywa wciąż świadomość Zbawiciela jedno tylko ma słowo dla katów swoich: „Ojczel odpuść im; bo nie wiedzą, co czynią“<sup>1)</sup>).

Lecz oto dno kielicha goryczy: godziny konania, od południa aż do zachodu słońca. Tortura moralna przewyższa fizyczną. Wtajemniczony zrzekł się potęgi swojej; Syn Boży zniknie; pozostaje jedynie człowiek cierpiący. Na kilka godzin utraci niebo swoje, aby mógł zmierzyć odmęt cierpień człowieczych. Krzyż wznosi się powoli wraz z ofiarą swoją i napisem, owocem ostatniej Ironji prokonsula: „*Ten jest król Żydowski*“<sup>2)</sup>). Teraz spojrzenia ukrzyżowanego widzą, zawieszane jak gdyby na obłoku groźnym, Jeruzalem, gród święty, który chciał przyjąć do chwały swojej, a który rzuca nań anatemę. Gdzież są uczniowie jego? Znikli. Słyszcy tylko obelgi członków sanhedrynu, którzy, uważając, że niema już powodu obawiać się Proroka, szydzą, jak tryumfatorzy, z mąk jego: „Inszych wybawiał, niechże się sam wybawi, jeśli ten jest Chrystus, wybrany“<sup>3)</sup>). Po przez bluźnierstwa te, po przez tę przewrotność, widzi Jezus, w przerażającej wizji przyszłości, wszystkie zbrodnie, które w jego imieniu popełniać będą mocarze niegodni i kapłani-fanatycy. Znaku jego używać będą do przeklinania, a na krzyżu jego będą rozpinali męczenników! Nie posępne milczenie nieba, co się osłoniło przed nim, lecz światło utracone dla ludzkości z ust mu wydiera jęk rozpaczny: — *Eloi! Eloi! lamma sabac-*

1) Ew. Ś-go Łuk. XXIII,34.

2) " " " " 38.

3) " " " " 35.

tani! — Boże mój! Boże mój! Czemuś mnie opuścił? <sup>1)</sup>  
Świadomość Mesjasza, woła całego żywota jego w ostat-  
nim wybucha błysku i duch jego ulatuje z okrzykiem:  
„Wykonało się!“ <sup>2)</sup>

O, Nazarejczyku wzniosły, o boski Synu Człowieczy,  
niemasz cię już tutaj. Jednym wzlotem skrzydła dusza  
twoja niewątpliwie odnalazła, w bardziej olśniewającej  
jasności, niebo twoje z Engaddi, niebo twoje z góry  
Thabor! Widziałeś zwycięskie słowo twoje, ulatujące po  
przez stulecia i nie pożądałeś innej sławy oprócz rąk ku  
tobie wyciągniętych i idących za tobą spojrzeń tych  
wszystkich, których uzdrawiałeś i pocieszałeś... Lecz twój  
okrzyk ostatni, niezrozumiany przez strażę, dreszczem  
trwogi je przejął. Odwrócili się żołnierze rzymscy, a na  
widok promienności niezwyklej, jaką duch twój rozświe-  
tlił ukojone oblicze trupa, zdumieni oprawcy spojrzeli  
po sobie, mówiąc: — Byłżeby to naprawdę Syn Boży?“

.....  
Czy istotnie „dokonany“ już jest dramat? Czy za-  
kończyła się już walka potężna i milcząca boskiej Miłości  
i Śmierci, co zażarła się na nią pospołu z panującymi  
mocami ziemi? Kto jest zwycięzcą? Czy są nimi owi ka-  
płani, schodzący z Kalwarji, zadowoleni z siebie, pewni  
swojego ciosu, bowiem świadkami byli zgonu proroka?—  
czyli też jest nim ten blady, siny już, męczennik, na  
krzyżu rozpięty? Dla tych niewiast wiernych, którym żoł-  
nierze legji rzymskiej pozwolili zbliżyć się i które łkają  
u stóp krzyża, dla uczniów przerażonych, szukających  
schronienia w grocie doliny Józefatowej — wszystko się  
skończyło, Mesjasz, co zasiąść miał na tronie jerozolim-  
skim, zginął nędznie, haniebną śmiercią krzyża. Znikł

1) Ew. Ś-go Marka XV,34.

2) Ew. Ś-go Jana XIX,30.



Mistrz, a wraz z nim zgasła nadzieja, umilkła Ewangelja, zawarło się Królestwo Niebieskie. Ponure milczenie, rozpacz głęboka zawisły nad gromadką jego wiernych. Zgnębienie ogarnęło nawet Piotra i Jana. Dokoła nich noc czarna; promień żaden nie jaśnieje już w ich duszach.

.....  
Jednakże, jak w Misterjach Eleuzyńskich światło olśniewające następowało po mrokach głębokich, podobnie w Ewangeljach po tej rozpaczliwej otchłannej następuje nagły, chwilowy, cudowny błysk radości. Wybucho on, wpada nagle jak gloria świetlana przy wschodzie słońca, i po całej Judei rozlega się okrzyk, radością wezbrany: Zmartwychwstał

Pierwsza Marja Magdalena, błąkająca się w bezbrzeżnej rozpaczliwej swojej dokoła grobu, ujrzała Mistrza i poznała głos jego, wzywający ją imieniem jej: Marjol Oszałała z radości, rzuca mu się do stóp. Widzi jeszcze, że Jezus kieruje wzrok swój na nią i gest czyni, jak gdyby wzbraniający dotykania go, poczem zjawa znika nagle, pozostawiając dokoła atmosferę ciepła i upojenia, która napelnia ją słodką uludą rzeczywistej jego obecności. Po niej widzą Pana święte niewiasty i słyszą słowa jego: „Nie bójcie się; idźcie, oznajmijcie braciom moim, aby poszli do Galilei, tam mię ujrzą“<sup>1)</sup>. — Tegoż wieczora, gdy onych jedenastu zgromadzonych było przy drzwiach zamkniętych, widzą Jezusa wchodzącego. Przyśtąpiwszy do nich, zajmuje miejsce wpośród nich i przemawia do nich słodko, wyrzucając im niedowiarstwo ich. Potem mówi: — „Idąc na wszystkie świat, opowiadajcie Ewangelję wszemu stworzeniu“<sup>2)</sup>.

Rzecz dziwna: podczas kiedy słuchają go, są wszyscy jak gdyby we śnie, zapominają zupełnie o jego śmierci,

<sup>1)</sup> Ew. Ś-go Mateusza XXVIII,10.

<sup>2)</sup> Ew. Ś-go Marka XVI,15.

myślą, że żyje i przekonani są, że Mistrz nie opuści ich już więcej. Lecz w chwili, kiedy sami przemówić chcą, znika nagle z przed ich oczu jak światło, które gaśnie. Echo głosu jego drga jeszcze w ich uszach. Oślnieni Apostołowie szukają miejsca jego, pustego już; pozostaje na niem błąd brzask jedynie; nagle znika i on.

Podług Mateusza i Marka ukazał się wkrótce potem Jezus na górze pięciuset braciom, zgromadzonym przez Apostołów. Raz jeszcze ukazał się jedenastu zebranych. Potem przestał objawiać się. Lecz wiara była stworzona, impuls dany, Chrystjanizm żył. Apostołowie, pełni ognia świętego, uzdrawiali chorych i głosili Ewangelię Mistrza swojego. W trzy lata później młody Faryzeusz, imieniem Saul, dyszący nienawiścią gwałtowną do nowej religii i prześladujący chrześcijan z całym żarem zapalczywości młodocianej, udał się wraz z kilkoma towarzyszami do Damaszku. W drodze oślniła go nagle światłość tak oślepiająca, że padł na ziemię. Drżący cały, zawołał: „Ktoś jest Panie? — I usłyszał głos, mówiący doń: — „Jam jest Jezus, którego ty prześladujesz i trudno jest tobie przeciw ościeniowi wierzyć“<sup>1)</sup>. — Towarzysze Saula, równie jak on wyleknieni, podnoszą go. Słyszeli głos, lecz nie widzieli nic. Młodzieniec, oślepiiony jasnością, po trzech dniach dopiero wzrok odzyskał.

Nawrócił się on na wiarę Chrystusową i stał się Pawłem, Apostołem pogan. Świat cały zgodnie twierdzi, że, bez tego nawrócenia, chrystjanizm, ograniczony do Judei, nigdyby Zachodu nie podbił.

Tak opowiada fakty Nowy Testament. Bez względu na wszelkie usiłowania sprowadzenia ich do minimum, bez względu też na ideę filozoficzną i religijną, jaką możemy z nimi wiązać, niepodobna uważać ich za legendę

<sup>1)</sup> Dzieje Apostolskie IX, V.



jedynie i odmawiać im wartości autentycznego świadectwa w rzeczy podstawowej. Od dziewiętnastu wieków fale wątplenia i negacji podmywają skałę świadectwa tego, od stu lat zawzięta się przeciw niej krytyka, uzbrojona we wszystkie swoje narzędzia walki. Udało jej się czynić w niej miejscami wylomy, lecz z miejsca jej poruszyć nie mogła.

Co kryje się po za widzeniami Apostołów? Teologowie pierwotni, egzegeci, wyjaśniający Pismo święte dosłownie, i uczeni agnostycy, odrzucający możność uzasadnienia istoty boskiej, mogą wieść spory do nieskończoności i walczyć w mrokach po omacku; — nie nawrócą się jednak wzajem nigdy i rozumować będą w próżni, dopóki teozofja, będąca nauką Ducha, nie rozszerzy sfery swojej pojęciowej, a wyższa psychologia doświadczalna, będąca sztuką odkrywania duszy, nie otworzy im oczu.

Ze zwykłego wszakże stanowiska sumiennego krytyka, to znaczy ze stanowiska autentyczności faktów tych, jako przajawów duchowych, pozostaje rzecz jedna, o której wątpić niepodobna, mianowicie, że Apostołowie mieli objawienia te i że ich wiara w zmartwychwstanie Chrystusa była niezachwiana. Odrzuciwszy nawet opowiadanie Jana, zredagowane w postaci swojej ostatecznej w sto lat po śmierci Jezusa oraz Łukasza z Emmausu jako upiększenie poetyckie, pozostają proste, pozytywne stwierdzenia Marka i Mateusza, stanowiące źródło tradycji i religii chrześcijańskiej. Pozostaje nadto coś solidniejszego jeszcze i bardziej niewątpliwego: świadectwo Pawła. Pragnąc wyjaśnić Koryntjanom przyczynę wiary swojej oraz podstawę głoszonej Ewangelji, wylicza on sześć objawień się Jezusa w ich porządku kolejnym: Piotrowi, jedenastu, pięciustom, „których większość — dodaje — żyje jeszcze“.

Jakóbowi, zgromadzonym Apostołom, i wreszcie własne jego widzenie na drodze do Damaszku <sup>1)</sup>).

Owóz fakty te zakomunikował Pawłowi sam Piotr oraz Jakób w trzy lata po śmierci Jezusa, wkrótce po nawróceniu Pawła, podczas pierwszej jego podróży do Jerozolimy. Opowieść o nich czerpał zatem od świadków naocznych. Wreszcie, najbardziej niezaprzeczalne ze wszystkich tych widzeń nie jest najmniej niezwykłym; mówię tu oczywiście o widzeniu samego Pawła. Wobec, poprzedzającego ten fakt, stanu duszy Pawła oraz natury jego wizji, przyjąć należy, iż nie przyszła ona z wewnątrz lecz z zewnątrz; była nagłą i porażającą; przeistoczyła z gruntu całe jego jestestwo. W swoich listach powraca, do niej wciąż, jako do źródła wiary swojej. Jak chrzest ognia ogarnia go ona całego, od stóp do głowy, przyodziewa go w zbroję nieprzebitą i czyni z niego wobec całego świata niezłomnego rycerza Chrystusowego.

Tak więc świadectwo Pawła podwójną posiada moc, stwierdza bowiem własną jego wizję i potwierdza wizje innych. Gdyby chciał wątpić o szczerości podobnych stwierdzeń, należałoby odrzucić ryczałtem wszystkie świadectwa historyczne i wyrzec się pisania historii.

Dodajmy nadto, że o ile nie istnieje historia krytyczna bez ścisłego rozważania i rozumowanego doboru wszystkich dokumentów dziejowych, niema również historii filozoficznej, która nie wnioskowałaby z wielkości skutków o wielkości ich przyczyn. Możemy wraz z Celsem, Straussem i Renanem nie przypisywać żadnego znaczenia przedmiotowego zmartwychwstaniu i uważać je jedynie za przejawy halucynacji. W takim razie jednak oprzeć musimy najpotężniejszy przewrót religijny, jaki

---

<sup>1)</sup> List do Koryntów, XV, 1, 9.



notują dzieje ludzkości na podłożu zбочenia zmysłów i uroień umysłu <sup>1)</sup>).

Owóż, pamiętać należy, że wiara w zmartwychwstanie jest podstawą chrystjanizmu historycznego. Bez tego potwierdzenia doktryny Jezusowej przez fakt zdumiewający religja jego nie byłaby nawet zaczęła się utrwałać.

Fakt ten wywołał przewrót zupełny w duszy Apostołów. Świadomość ich z żydowskiej, jaką była, przestoczyła się w chrześcijańską. Dla nich Chrystus Przenajświętszy żyje: przemawiał do nich; niebo rozwarło się; zaświaty zstąpiły na ziemię; jutrznia nieśmiertelności opromieniła ich czoła i rozżarzyła w duszach ich ogień, który nie może już nigdy zagasnąć. Po nad walącym się w gruzy ziemskim królestwem Izraela dane im było oglądać w całej jego świetności Królestwo Niebieskie i powszechne. Stąd zapal ich w walce, stąd radosne ich przyjmowanie męczeństwa. Ze zmartwychwstania Jezusa płynie ów pęd cudowny i owa nadzieja bezgraniczna, które roznoszą Ewangelię po wszystkich krajach i ludach i które sprawiają, że fale jej rozbryzgują się aż po krańce świata. Ażeby chrystjanizm mógł utwierdzić się, potrzeba było dwóch rzeczy — jak powiada Fabre d'Olivet: — aby Jezus chciał umrzeć i aby miał siłę zmartwychwstać.

Wszelako, ażeby z faktu zmartwychwstania wyprowadzić ideę racjonalną, ażeby zrozumieć całą jej doniosłość religijną i filozoficzną, wystarczy skupić uwagę na zjawiskach objawień kolejnych i z góry odrzucić niedorzeczną ideę zmartwychwstania ciała, stanowiącą jeden z największych kamieni obrazu dogmatu chrześcijańskiego, który na tym punkcie, jak i na wielu innych, pozostał

---

<sup>1)</sup> Strauss powiada:—Fakt zmartwychwstania da się wytłomaczyć jedynie jako figiel kuglarski na użytek historii powszechnej, *ein welthistorischer Humburg*. — Powiedzenie to jest raczej cyniczne niż dowcipne i nie tłumaczy bynajmniej wizji Apostołów i Pawła.

najzupełniej pierwotnym i dziecinnym. Zniknięcie ciała Jezusowego daje się wytłumaczyć przyczynami naturalnymi, zaznaczyć też należy, że ciała kilku innych adeptów znikaly również bez śladu i w sposób niemniej tajemniczy, między innymi, ciała: Mojżesza, Pytagorasa i Apolonjusza z Tjany, i nigdy nie dowiedziano się, co się z nimi stało. Możliwe, iż bracia, znani czy nieznani, straż nad nimi sprawujący, zniszczyli ogniem doczesne szczątki swoich mistrzów, celem uchronienia ich od pokalania przez wrogów, Bądź co bądź wszakże, podkład naukowy i wzniosłość duchowa zmartwychwstania ujawniają się w całej pełni wówczas jedynie, jeśli pojmować je będziemy w znaczeniu ezoterycznym.

Przez Egipcjan i przez Persów, wyznających medejską religję Zoroastra <sup>1)</sup> przed Jezusem i po nim, w Izraelu, zarówno jak u chrześcijan z pierwszych dwu wieków, interpretowane było zmartwychwstanie dwojako: w sposób materialny—niedorzeczny oraz w sposób duchowy,—teozoficzny. Interpretacja pierwsza jest poglądem gminnym, przyjętym ostatecznie przez Kościół po zwalczeniu gnostycyzmu; druga stanowi podstawę głębokiego poglądu wtajemniczonych. W ujęciu pierwszym oznacza zmartwychwstanie powrót do życia ciała materialnego, słowem wskrzeszenie trupa rozłożonego czy rozproszonego, które—jak sobie wyobrażano—miało nastąpić wraz z przyjściem Mesjasza lub na Sądzie ostatecznym. Zbytecznym byłoby chyba podkreślanie grubego materializmu i niedorzeczności podobnego ujmowania sprawy. Zgoła odmiennie znaczenie miało zmartwychwstanie dla wtajemniczonego. Pozostawało ono w związku z doktryną troistego ustroju człowieka. Oznaczało ono: oczyszczenie

---

1) *Zoroaster*—nazwa perskiego *Zarathustry*, reformatora narodowej religii Iranu i Persji. (Przyp. tłum.).



i odrodzenie ciała duchowego, eterycznego i fluidowego, będącego właściwym organizmem duszy, rodzajem otoczki ducha. Oczyszczenie to nastąpić może już za życia ziemskiego przez wewnętrzną pracę duszy oraz przez pewien określony sposób bytowania; dla większości ludzi spełnia się ono wszelako po śmierci dopiero, i to dla tych jedynie, których życie całe było, w ten czy inny sposób, dążeniem ku dobru i prawdzie. Obluda w życiu pozaziemskim jest niemożliwa. Dusze okazują się tam takimi, jakimi są w rzeczywistości; objawiają się one ściśle w kształcie i barwie właściwej istoty swojej: mroczne i potworne, jeśli są zlemi; promienne i piękne, o ile są dobrmi. Tak brzmi doktryna, ułożona przez Pawła w pierwszym liście do Koryntjan. Mówi on tam: „Niekażde ciało, toż ciało... które duchowe jest, a które cielesne,... 1). Jezus wyraża to symbolicznie, z większą wszakże głębią dla tego, który umie czytać między wierszami, w rozmowie swojej z Nikodemem: „Co się narodziło z ciała — ciałem jest, a co narodziło się z Ducha, duchem jest“... 2).

Owóż im bardziej uduchowioną będzie dusza, im bardziej oddali się ona od atmosfery ziemskiej, im odleglejsza sfera kosmiczna przyciągnie ją mocą prawa powinowactwa duchowego — tem trudniejszym będzie jej objawianie się ludziom. Dla tego też dusze wyższe objawiają się ludziom tylko w stanie snu głębokiego lub w stanie ekstazy. W stanie takim oczy fizyczne zamknięte są, zaś dusza, napoły wyzwolona z ciała, widzi czasem dusze. Zdarza się wszelako, że wielki bardzo prorok, prawdziwy syn Boży, objawia się braciom swoim w sposób wyraźny i w stanie jawy, ażeby bardziej ich przekonać, działając

---

1) List I. Św. Pawła do Koryntjan, XV, 39, 46.

2) Ew. św. Jana III, 6.

na zmysły ich i ich wyobraźnię. W takim wypadku dusza odcieleśniona nadaje chwilowo duchowemu ciału swojemu postać widomą, czasem nawet dotykalmą, drogą szczególnego dynamizmu, jaki wywiera na materję za pośrednictwem elektrycznych sił atmosfery oraz magnetycznych sił ciał żyjących.

Tak się też wedle wszelkiego prawdopodobieństwa stało z Jezusem. Objawienia, o których mówi Nowy Testament, wchodzą kolejno w zakres jednej i drugiej kategorii: widzeń duchowych i zjaw dotykalmych. Nieulega wątpliwości, że dla Apostołów miały one charakter najwyższej rzeczywistości. Raczej zwątpić mogliby o istnieniu nieba i ziemi, aniżeli o żywym tem obcowaniu swoim ze zmartwychwstałym Chrystusem. Wzruszające te widzenia Pana były najpromienniejszemi momentami ich życia, najgłębszym przejawem ich świadomości. W naturze niema nic nadprzyrodzonego, istnieje tylko nieznanne, jego tajemna ciągłość w nieskończoności oraz błyski niewidzialnego na krańcach granic widzialnego. W obecnym naszym stanie cielesnym z trudnością przychodzi nam wierzyć w rzeczywistość zjawisk nadzmysłowych, a nawet trudno nam wyobrazić je sobie; w stanie duchowym materia raczej wydawałaby się nam nierzeczywistą i nieistniejącą. Duch wszakże jest syntezą duszy i materji, tych dwu postaci substancji pierwotnej. O ile bowiem sięgniemy do zasad wiekuistych, do przyczyn ostatecznych, przekonamy się że dynamizm natury wyjaśnić się daje na podstawie wrodzonych praw intelektu, zaś prawo życia wyjaśnia badanie duszy drogą psychologii doświadczalnej,

Zmartwychwstanie, pojęte w znaczeniu ezoterycznym, takim, jakie wskazałem powyżej, było więc zarazem koniecznym uzupełnieniem życia Chrystusa oraz nieodzownym wstępem do dziejowego rozwoju chrystjanizmu, uzupełnieniem koniecznym, bowiem zapowiadał je Jezus



wielokrotnie uczniom swoim. Władzę objawiania się im po śmierci w glorii zwycięskiej zawdzięczał czystości i wrodzonej mocy duszy swojej, spotęgowanej stokrotnie wielkością wysiłku i dzieła dokonanego.

Dramat mesjaniczny, rozpatrywany od strony zewnętrznej ze stanowiska ziemskiego, kończy się na krzyżu. Jakkolwiek wzniosły jest on sam przez się, brak mu wszakże spełnienia zapowiedzi. Rozważany od strony wewnętrznej, z głębi własnej świadomości Jezusa i z punktu widzenia niebiańskiego, ma on trzy akty, których punkty kulminacyjne stanowią: *Kuszenie, Przemienienie i Zmartwychpowstanie*. Trzy te fazy wyobrażają inaczej mówiąc: *Wtajemniczenie Chrystusa, Wyjawienie zupełne i Uwieńczenie dzieła*. Odpowiadają one dość wiernie temu, co Apostołowie i wtajemniczeni chrześcijanie pierwszych wieków nazywali: *tajnikami Syna, Ojca i Ducha Świętego*.

Uzupełnienie konieczne, powiedziałem, życia Chrystusa i wstęp nieodzowny do dziejowego rozwoju chrystjanizmu. Statek, zbudowany na wybrzeżu, musiał spuszczonej zostać na fale Oceanu. Zmartwychwstanie było nadto otwarciem wrót świetlnych na ukrytą głębię słów Jezusa. Nie powinno też dziwić nas, że jarzące ich światło, którego snopy wpadły tak nagle, tak dalece olśniło i niemal oślepiło pierwszych chrześcijan, iż często brali oni naukę Mistrza dosłownie, zapoznając właściwe jej znaczenie.

Dzisiaj, kiedy umysł ludzki przeżył długie okresy wieków religii i nauk, odgadujemy, co taki święty Paweł, święty Jan, co sam Jezus rozumiał przez tajniki Ojca i Ducha. Widzimy, że mieściło się w nich to, co znajomość duszy oraz intuicja teozoficzna Wschodu posiadały najwznioślejszego i najprawdziwszego. Podziwiamy też możemy całą potęgę nowej ekspansji, jaką nadał Chrystus odwiecznej prawdzie wiekuistej ogromem miłości swojej i energią swojej woli. Dostrzegamy wreszcie

zarazem metafizyczną i praktyczną stronę chrystjanizmu, stanowiącą jego potęgę i jego żywotność.

Starożytnej teozofji azjatyckiej znane były prawdy duchowe. Brahmanowie odnaleźli nawet klucz do rozwiązania zagadki życia uprzedniego i przyszłego w sformułowaniu organicznego prawa wcieleń ponownych i kolejności żywotów. Tak niepodzielnie wszakże pochłonęły myśl ich zaświaty oraz kontemplacja Wieczności, że zapomnieli o rzeczywistości ziemskiej: o życiu jednostki i życiu społecznem.

Grecja, wtajemniczana pierwotnie w te same prawdy, w postaci bardziej przysłoniętej i bardziej antropomorficznej, wiedziona właściwym sobie genjuszem, skupiła całą myśl swoją na życiu ziemskim i życiu natury. Umożliwiło jej to ujawnienie, drogą przykładu plastycznego, nieśmiertelnych praw Piękna i sformułowanie podstaw nauk ścisłych. Wszelako to stanowisko ideowe zacieśniło i przyćmiło stopniowo jej pojęcie o świecie pozaziemskim.

Jezus szerokością poglądów swoich, obejmujących wszechświaty, ogarnia obie strony życia. W modlitwie Pańskiej, streszczającej całą naturę jego, mówi on: „Przyjdź Królestwo Twoje na *ziemi* jako i w *niebie*“. Owóż Królestwo Boże na *ziemi* oznacza urzeczywistnienie prawa moralnego i społecznego w całym przepychu, w całym blasku Piękna, Dobra i Prawdy. Cały też czar jego doktryny, potężna, nieograniczona nieledwie zdolność rozwoju tkwią w ścisłym zespoleniu jego moralności z jego metafizyką, w płomiennej jego wierze w życie wiekuiste oraz w dążeniu jego do rozpoczęcia go już na *ziemi* pełnieniem aktów miłosierdzia czynnego. Chrystus mówi do duszy zgnębionej i przytłoczonej ciężarem trosk ziemskich:

— Wznies się, bowiem ojczyzną twoją jest niebo; aby jednak uwierzyć w nie i dostać się doń, doświadczyć go już na *ziemi* dziełem twojem i twoją miłością!



## VII

## OBIETNICA I URZECZYWISTNIENIE — ŚWIĄTYNIA

— W trzy dni ją obalę i w trzy dni znów ją wzniosę! — powiedział do uczniów swoich syn Marji, Esseńczyk, wyświęcony<sup>1)</sup> na Syna Człowieczego, to znaczy duchowy spadkobierca Słowa Mojżeszowego, Hermesowego i wszystkich dawnych synów Bożych. Czy ziszczył on tę zapowiedź światła, to słowo wtajemniczonego i twórcy? Tak, o ile weźmiemy pod uwagę skutki, jakie miała dla ludzkości nauka Chrystusa, przypięczętowana śmiercią jego i jego zmartwychwstaniem duchowem, a nadto wszystkie inne wyniki, jakie zawiera zapowiedź jego na przyszłość nieograniczoną. Słowo jego i jego ofiara założyły podwaliny pod gmach świątyni niewidzialnej, mocniejszej i trwalszej od wszelkich świątyń z kamienia; ciągłość jej wszakże i wykończenie ostateczne zależne są od udziału w pracy dokoła niej każdej jednostki ludzkiej i całych wieków.

Jakaż to świątynia? — Jest nią ludzkość odrodzona. Świątynia moralna, społeczna i duchowa.

Świątynią moralną jest odrodzenie duszy człowieczej, przeistoczenie osobników na modłę ideału ludzkiego, po-

<sup>1)</sup> Chrystus — po grecku „Pomazaniec”. (Przyp. tłum.).

danego ludzkości, jako wzór szczytny w osobie Jezusa. Cudowna harmonja i pełnia cnót jego utrudniają określenie jego istoty. Rozum zrównoważony, niepojęta intuicja, miłość, znajdująca ujście w samozaparciu się, odwaga w obliczu śmierci — niczego mu nie brakło. W każdej kropli krwi jego tyle było duszy, że wystarczyło jej na uczynienie z niego bohatera; — a przytem jaka słodycz boska! Zespół głęboki bohaterstwa i miłości, woli i rozumu, pierwiastka Wiekuiście Męskiego i Wiekuiście Żeńskiego—czyni z niego wykwit najwyższy ideału ludzkiego. Cała jego moralność, której ostatnim wyrazem jest miłość braterska bez granic i związek powszechny całej ludzkości—naturalnym jest wpływem wielkiej tej osobowości.

Praca dziewiętnastu wieków, jakie upłynęły od jego śmierci, dała w wyniku przeniknięcie ideału tego do świadomości powszechnej. Niema bowiem już człowieka w świecie cywilizowanym, który nie posiadałby mniej lub więcej jasnego o nim pojęcia.

Jakkolwiek więc gmach świątyni moralnej, do jakiej wzniesienia dążył Chrystus, nie jest jeszcze ukończony, śmiało rzec można, iż założone są już niezniszczalne jego podwaliny w głębi świadomości świata współczesnego.

Inaczej rzecz się ma ze świątynią społeczną. Wymaga ona utwierdzenia królestwa Bożego czyli prawa opatrnościowego w podstawowych urządzeniach społecznych. Budowa gmachu tego jest całkowicie jeszcze sprawą przyszłości. Albowiem ludzkość żyje wciąż jeszcze w stanie walki, podporządkowana prawu siły i losu. Prawo Chrystusowe, które rozciągnęło już panowanie swoje nad świadomością moralną, nie przeniknęło jeszcze w krew i ciało urządzeń społecznych.

W książce tej, poświęconej wyłącznie rzuceniu światła na zagadnienie filozoficzne i religijne w samym jego ośrodku, na podstawie kilku zasadniczych prawd ezote-



rycznych oraz życia wielkich wtajemniczonych, dotygam nawiasem tylko spraw ustroju społecznego i moralnego. Nie będę też zajmował się nimi w jej zakończeniu. Na-  
zbyt są one rozległe i powikłane i zbyt mało czuję się powołanym i przygotowanym do ich rozstrzygnięcia, ażebym próbował lub chciał określić je w kilku wierszach. Powiem też tyle tylko: Walka socjalna dokonywa się w zasadzie we wszystkich krajach europejskich, niema bowiem praw ekonomicznych, socjalnych i religijnych, które przyjęte byłyby i uznane przez wszystkie klasy i warstwy społeczne. Tak samo też nie przestały narody europejskie żyć wzajem na otwartej stopie wojny lub w stanie zbrojnego pokoju, nie łączy ich bowiem żaden związek federacyjny. Ich interesy, ich dążności wspólne nie znajdują obrony ani sankcji w powadze żadnego, uznanego przez wszystkich, trybunału najwyższego<sup>1)</sup>). Mimo że prawo Chrystusowe przeniknęło do świadomości jednostek, a nawet w pewnej mierze do życia społecznego, wszelako ustrojem naszych instytucji politycznych rządzi wciąż jeszcze prawo pogańskie i barbarzyńskie. W chwili obecnej władza polityczna oparta jest wszędzie na podstawach niewystarczalnych. Z jednej strony bowiem wyłania się ona z rzekomego prawa boskiego królów, które nie jest niczem innym, jak tylko potęgą militarną; z drugiej zaś — na powszechnem prawie wyborczem, które jest jedynie instynktem mas, zatem rozumem zbiorowym, nieopartym na prawie doboru. Naród nie jest sumą wartości jednakowych czy szeregiem dodanych do siebie cyfr. Jest on żywym organizmem, składającym się z narządów. Dopóki

---

<sup>1)</sup> Przekład niniejszy dokonany został z 51-go, ogłoszonego drukiem w 1919 r., wydania dzieła Schure'go. Ostatnie trzy lata — pomimo prac Ligi Narodów i Konferencji Genueńskiej, — nie uczyniły uwag autora mniej aktualnemi. (Przyp. tłum.)

przedstawicielstwo narodowe nie będzie odzwierciedleniem tego organizmu, zaczawszy od jego ciał rękodzielniczych i skończywszy na ciałach kierowniczych oświecających, nie będzie mogło być mowy o przedstawicielstwie organicznem i rozumnem. Dopóki delegaci wszystkich ciał naukowych i wszystkich Kościołów chrześcijańskich nie utworzą pospołu Rady Najwyższej, dopóty społecznościami naszymi będzie rządził instynkt, żądza i siła; nie będzie też świątyni socjalnej.

Czem się więc dzieje, że po nad Kościołem zbyt ciasnym, aby zmieścić w sobie całego Chrystusa, po nad polityką, wypierającą się go i Nauką, która rozumie go dopiero w połowie, żyje on w duszach ludzkich bardziej niż kiedykolwiek? Tem, że wzniosła moralność jego jest uwieńczeniem nauki jeszcze wznioślejszej. Bowiem ludzkość zaczyna dopiero przeczuwać doniosłość dzieła jego, cały ogrom jego zapowiedzi. Bowiem po za nim dostrzegamy, obok Mojżesza i po za nim, całą starożytną teozofję indyjską, egipską i grecką, której jest on olśniewającym stwierdzeniem. Rozumieć zaczynamy, że Jezus u szczytu uświadomienia swojego, że przemieniony Chrystus z góry Thabor wyciąga miłośnie ramiona ku braciom swoim, ku innym Mesjaszom, którzy poprzedzali go, jak on — promienie słowa żywego; że otwiera je szeroko Wiedzy całkowitej, Sztuce boskiej i Życiu pełnemu. Zapowiedź jego wszelako nie może spełnić się bez współudziału wszystkich żywych sił ludzkości. Dwie rzeczy zasadnicze konieczne są dzisiaj do prowadzenia w dalszym ciągu wielkiego dzieła jego: z jednej strony otwarcie przejawom natury psychicznej, pierwiastkom intelektualnym i prawdom duchowym dostępu coraz szerszego do przybytku wiedzy doświadczalnej i filozofji intuicyjnej, z drugiej zaś — rozszerzenie dogmatu chrześcijańskiego w znaczeniu tradycji i nauki ezoterycznej, i co za tem



idzie, przekształcenie Kościoła na modłę wtajemniczenia stopniowego, a to na zasadzie nietamowanego, więc tembardziej niepokonanego, pędu wszystkich Kościołów chrześcijańskich, które wszystkie są jednakowo i z jednakowego tytułu dziećmi Chrystusa. Nauka musi się stać religijną, a religja—naukową. Podwójna ewolucja ta, której pierwsze kroki już są zapoczątkowane, doprowadziłaby z konieczności w wyniku ostatecznym do pojednania Wiedzy i Religji na gruncie ezoterycznym. Dzieło to napotyka zrazu wielkie trudności na swojej drodze, pamiętać wszakże należy, że przyszłość społeczności europejskiej od niego zawisła. Przekształcenie Chrystjanizmu w sensie ezoterycznym pociągnęłoby za sobą przekształcenie Judaizmu i Islamizmu, a także odrodzenie Bramaizmu i Buddyzmu w tym samym duchu; dałoby więc podstawę religijną pojednaniu Azji z Europą.

Oto świątynia duchowa, której budowa jest zadaniem ludzkości; oto uwieńczenie dzieła, poczętego intuicyjnie przez Jezusa, i świadomie przez niego urzeczywistnianego. Czy może jego słowo miłości utworzyć łańcuch magnetyczny nauk i sztuk, religji i narodów i stać się w ten sposób słowem powszechnem?

Dzisiaj jest Chrystus władcą kuli ziemskiej za pośrednictwem dwu najmłodszych i najsilniejszych, pełnych jeszcze wiary, ras ludzkich. Po przez Rosję wkracza on już do Azji, przez rasę anglo-saską zawładnął on Światem Nowym. Europa starsza jest od Ameryki, lecz młodsza od Azji. Ci, którzy sądzą, że skazana ona jest na upadek nieunikniony, niesłusznie ją oczerniają. Jeśli jednak ludy jej w dalszym ciągu pożerać się będą wzajem, zamiat sfederalizowania się pod kierunkiem i za podniętą jedynej władzy prawowitej: autorytetu naukowego i religijnego, cywilizacji jej grozi zagłada, którą spowodują przedewszystkiem przewroty socjalne, a potem

najścia ras młodszych. Te z kolei uchwycą w swe dłonie pochodnię, którą ona tak niebacznie z rąk swoich wypuściła.

Europa ma wszakże zadanie piękniejsze do spełnienia. Rolą jej być winno utrzymanie kierownictwa światem przez dokończenie społecznego dzieła Chrystusa, sformułowanie całkowitej myśli jego, uwieńczenie Wiedzą, Sztuką i Sprawiedliwością budowy świątyni duchowej największego z Synów Bożych.

K O N I E C





## Spis rzeczy

|   | Str. |
|---|------|
| Od tłumaczki . . . . .                      | I    |
| Pamięci Margherity Albana Mignaty . . . . . | III. |

### WSTĘP

O doktrynie ezoterycznej czyli nauce dla wtajemniczonych VII—XXVII.

### KSIĘGA PIERWSZA

Rama—Cykl aryjski

|  |       |
|--|-------|
| I. Rasy ludzkie i początek religji. II. Posłannictwo rasy. III. Wyjście i podbój. IV. Testament wielkiego przodka. V. Religja wedyjska. VI . . . . . | 2—46. |
|--|-------|

### KSIĘGA DRUGA

Kryszna—Indje i wtajemniczenia braminów

|  |         |
|--|---------|
| Przypisek tłumaczki . . . . .  | 49.     |
| I. Indje bohaterskie.—Synowie słońca i synowie księżycy. II. Król Madury. III. Dziewica Dewaki. IV. Młodość Kryszny. V. Wtajemniczenie. VI. Doktryna wtajemniczonych. VII. Zwycięstwo i śmierć . . . . . | 50—110. |

### KSIĘGA TRZECIA

Hermes—Tajemnice Egiptu

|  |         |
|--|---------|
| I. Sfinks. II. Hermes. III. Izyda—Wtajemniczenie—Próby IV. Ozyrys — Śmierć i zmartwychwstanie. V. Widzenia Hermesa . . . . . | 112—155 |
|--|---------|

### KSIĘGA CZWARTA

Mojżesz—Posłannictwo Izraela

|  |  |
|--|--|
| I. Tradycja jednobóstwa i patryjarchowie pustyni. II. Wtajemniczenie Mojżesza w Egipcie — Ucieczka jego do |  |
|--|--|



Str.  
Jetry: III. Sefer Bereszyt. IV. Widzenie na górze Synaj.  
V. Exodus—Pustynia—Magja i sztuka wywoływania duchów—Teurgja. VI. Śmierć Mojżesza . . . . . 158—220.

### KSIĘGA PIĄTA

Orfeusz—Misterja Djonizosa

I. Grecja przedhistoryczna. — Bachantki — Ukazanie się Orfeusza. II. Świątynia Jupitera. III. Uroczystości Djonizyjskie w dolinie Tempe. IV. Wywoływanie duchów. V. Śmierć Orfeusza . . . . . 222—268.

### KSIĘGA SZÓSTA

Pytagoras—Misterja delfickie

I. Grecja w szóstym wieku. II. Lata wędrówki. III. Świątynia w Delfach — Nauka Apollońska—Teorja wieszczbiarstwa — Pytja Teoklea. IV. Zakon i Doktryna: Próba, Stopień 1-szy. — Przygotowanie, Nowicjat i Życie Pytagorejskie; drugi stopień — Oczyszczenie, Liczby, Teogonja. Trzeci stopień doskonałości; Kosmogonja, Psychologia—Ewolucja duszy . . . . . 270—404.

### KSIĘGA SIÓDMA

Platon—Misterja Eleuzyńskie

Wstęp. Miłość Platona i Śmierć Sokratesa. II. Wtajemniczenie Platona i jego filozofja. III. Misterja Eleuzyńskie. 406—448.

### KSIĘGA ÓSMA

Jezus—Poslannictwo Chrystusowe

Przypisek o studjach krytycznych nad życiem Jezusa. I. Stan świata przy narodzinach Jezusa. II. Marja—Pierwsze lata rozwoju Jezusa. III. Esseńcyzy—Jan Chrzciciel — Pokusa. IV. Życie publiczne Jezusa — Nauczanie ludowe i nauczanie ezoteryczne — Cuda—Apostołowie—Niewiasty. V. Walka z Faryzeuszami—Ucieczka do Cezarei—Przemienienie. VI. Ostatnia podróż do Jerozolimy—Wieczerza—Sąd — Śmierć i Zmartwychwstanie. VIII. Spełnienie zapowiedzi—Świątynia. . . . . 449—565.

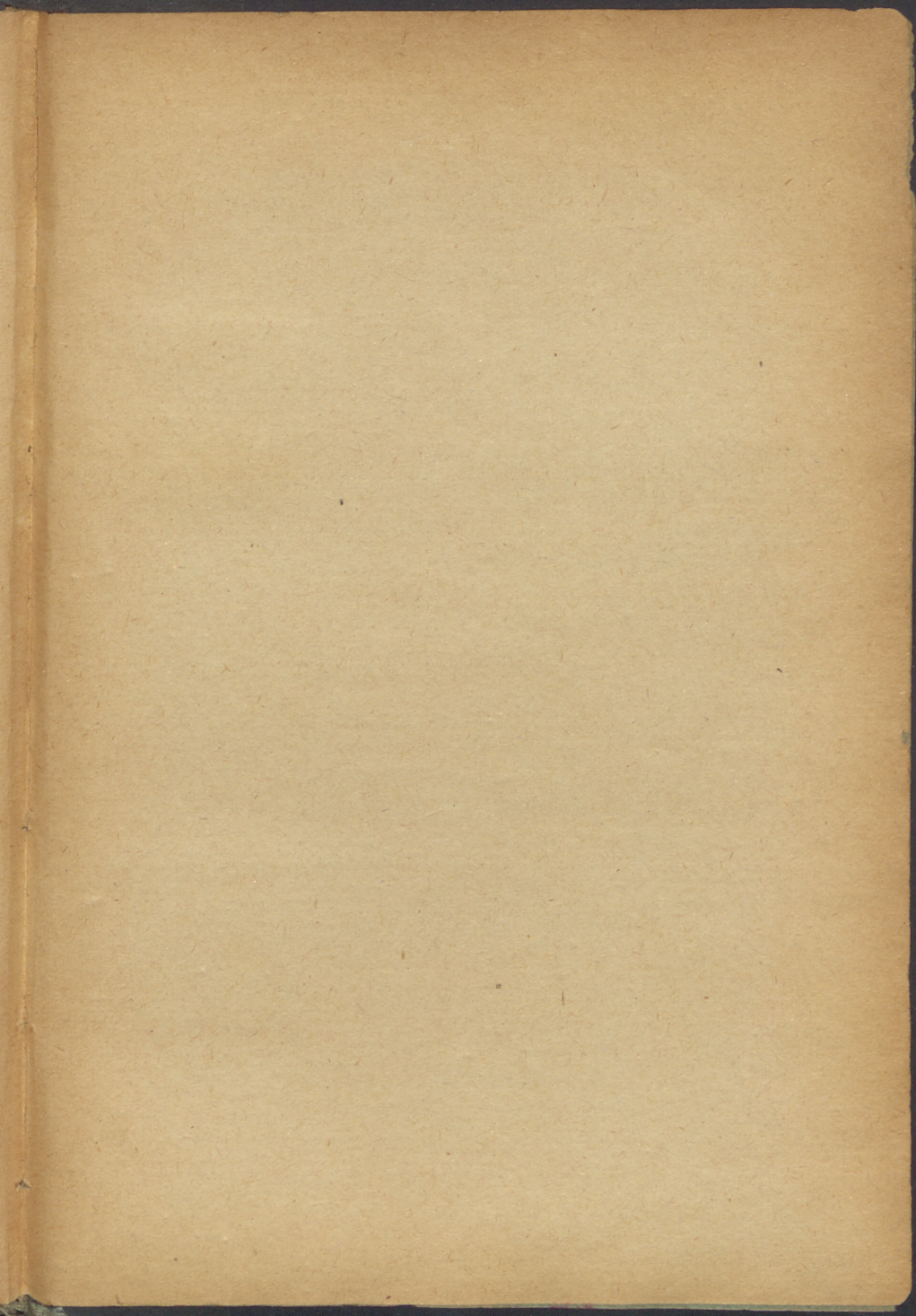
# E R R A T A

| Str: | Wiersz:    | Zamiast:            | Powinno być:   |
|------|------------|---------------------|--|
| XX   | 7 od dołu  | narzędzi            | narządów   |
| XXII | 2 " "      | bytu                | byt  |
| 7    | 8 " "      | kryć                | korzyć   |
| 17   | 11 " "     | stałem              | slabem   |
| 58   | 7 " "      | hodowników          | holdowników  |
| 72   | 17 od góry | mógłby              | mogłaby  |
| 83   | 14 " "     | twoją               | moją   |
| 119  | 9 od dołu  | swoją kategorją     | swoją z kategorją  |
| 121  | 9 od góry  | poznać              | poznawać   |
| "    | 12 " "     | posiadał            | posiadł  |
| 125  | 14 od dołu | którego             | których  |
| "    | 7 od góry  | przyszłości         | przeszłości  |
| 137  | 9 od dołu  | Horuso              | Horus  |
| 142  | 5 od dołu  |                     |  |
|      | (w przyp.) | w niej ma studnię   | w niej można studnię   |
| 149  | 15 " "     | wypromieniowują     | wypromieniowują ją   |
|      | 4 " "      |                     |  |
| 151  | (w przyp.) | Chcybi              | Checybi  |
| "    | " " "      | Kon                 | Kou  |
| 153  | 7 " "      | sławiących          | sławetnych   |
| "    | " " "      | Akhismu-Seku        | Akhimu-Seków   |
| 155  | 11 " "     | spotkałaby          | spotkałaby go  |
| 160  | 5 " "      | jednostki była      | jednostki, brak zasad religijnych, nieokreślona ambicja cechowały następców Ninusa i Semiramidy. Wiedza kapłanów chaldejskich była |
| 163  | 9 od góry  | dogmat              | dogmatu  |
| "    | 14 " "     | znaczenie           | znacznie   |
| 164  | 1 od dołu  | Niniwa, kolosalnemi | Niniwa z kolosalnemi   |
| 168  | 12 " "     | Moabit              | Moabu  |
| 172  | 6 " "      | powąchać, widząc    | powąchać, a widząc   |
| 191  | 18 " "     | Nawróćmy            | Powróćmy   |
| 215  | 2 i 4 " "  |                     |  |
|      | (w przyp.) | Foreańczycy         | Foceańczycy  |
| 217  | 4 " "      | góra Niebo          | góra Nebo  |
| 220  | 5 " "      | Zrozumiał Mojżesza  | Zrozumiał Mojżesz  |
| 227  | 5 od góry  | morza Egipskiego    | morza Egejskiego   |
| 238  | 2 od dołu  | rzekł—synu          | rzekł ucień—synu   |
| 250  | 6 " "      | sutych              | suchych  |
| 503  | 7 od góry  | wspólne             | uśpione  |

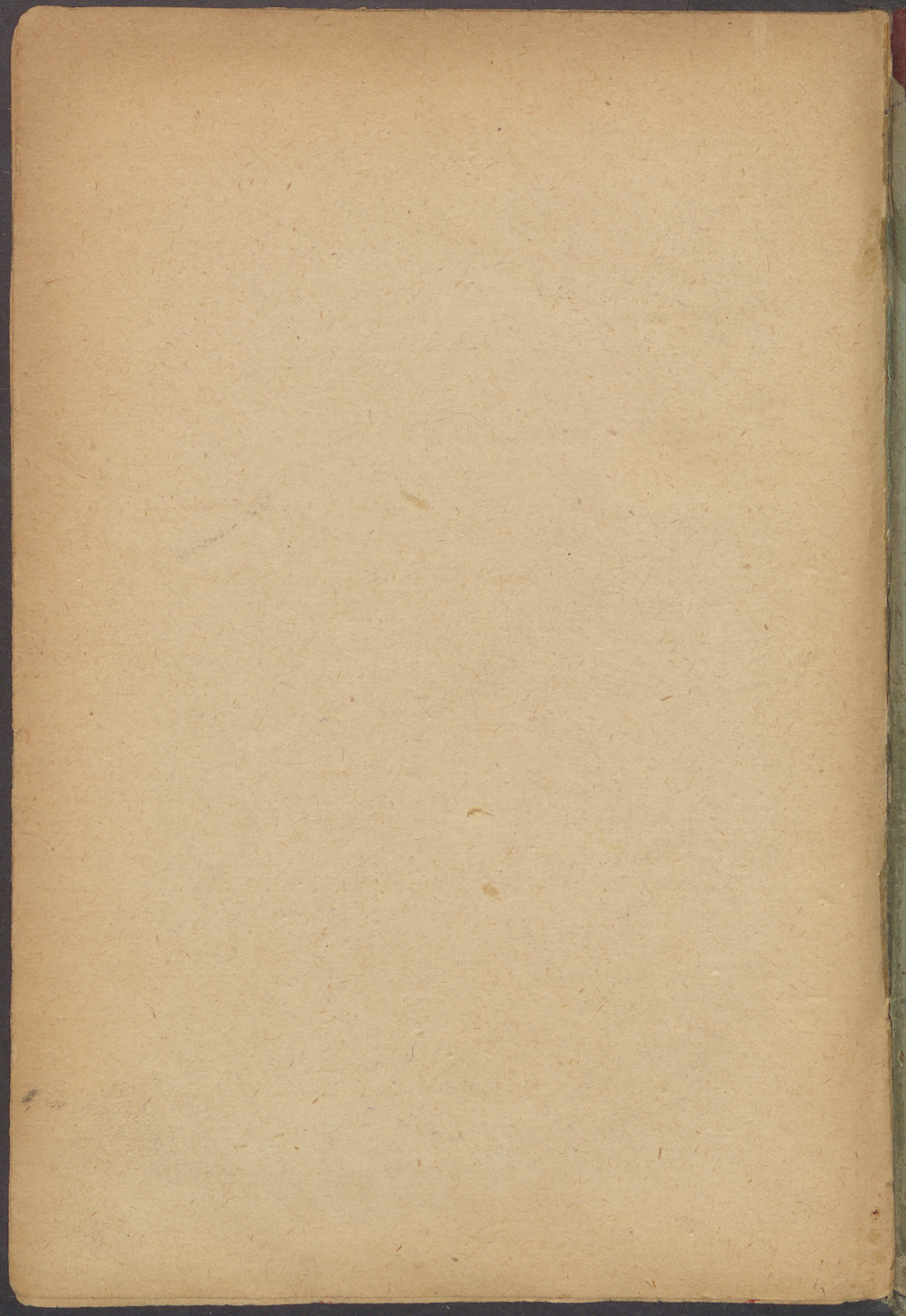


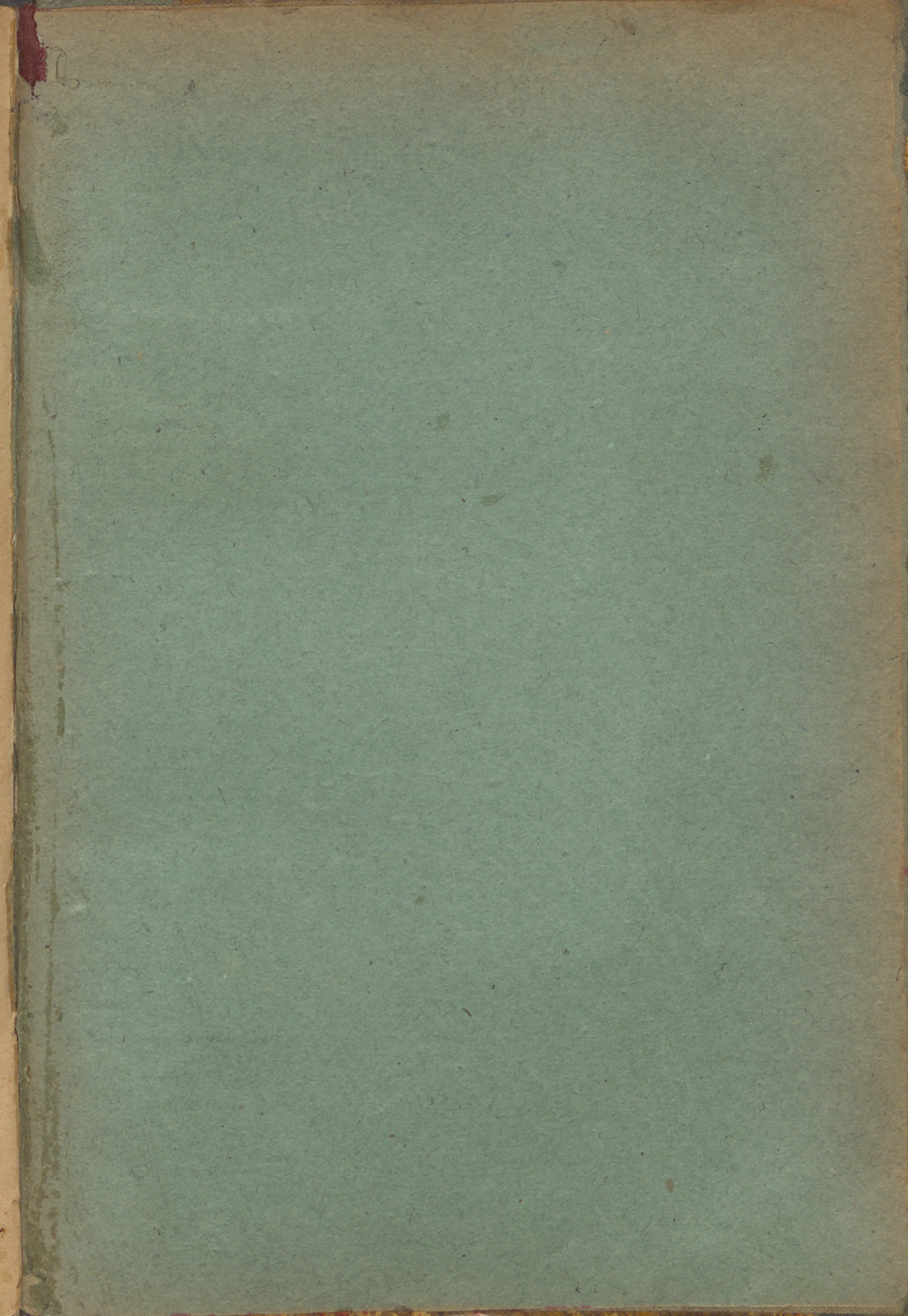














Biblioteka Główna UMK



**300020638536**

100  
282493

D № 247321 :



C e n a

zł 100 gr

CUW — Kd 31 CWD W-wa, 2179/S2/I.  
RSW „Prasa”, Kielce zam. 481. 3200 bl.



